

**ROBERT
LUDLUM**

**ZLECENIE
JANSONA**

PRZEKŁAD: JAN KRAŚKO, RADOSŁAW JANUSZEWSKI

*Łatwo jest mu rozdawać dary.
Nawet gdyby żył wiecznie, nie rozdałby wszystkich,
gdyż posiadał skarb Nibelungów.*

Pieśń o Nibelungach
około roku 1200

Spis treści

| | |
|-------------------|-----|
| Spis treści | 3 |
| Prolog | 4 |
| Część 1 | 10 |
| Rozdział 1 | 11 |
| Rozdział 2 | 21 |
| Rozdział 3 | 33 |
| Rozdział 4 | 39 |
| Rozdział 5 | 47 |
| Rozdział 6 | 52 |
| Rozdział 7 | 65 |
| Rozdział 8 | 72 |
| Część 2 | 79 |
| Rozdział 9 | 80 |
| Rozdział 10 | 92 |
| Rozdział 11 | 103 |
| Rozdział 12 | 110 |
| Rozdział 13 | 119 |
| Rozdział 14 | 126 |
| Rozdział 15 | 135 |
| Rozdział 16 | 145 |
| Rozdział 17 | 153 |
| Część 2 | 165 |
| Rozdział 18 | 166 |
| Rozdział 19 | 179 |
| Rozdział 20 | 187 |
| Rozdział 21 | 196 |
| Rozdział 22 | 210 |
| Rozdział 23 | 220 |
| Rozdział 24 | 226 |
| Rozdział 25 | 232 |
| Rozdział 26 | 240 |
| Rozdział 27 | 247 |
| Rozdział 28 | 254 |
| Rozdział 29 | 262 |
| Rozdział 30 | 269 |
| Rozdział 31 | 276 |
| Część 4 | 279 |
| Rozdział 32 | 280 |
| Rozdział 33 | 287 |
| Rozdział 34 | 298 |
| Rozdział 35 | 301 |
| Rozdział 36 | 307 |
| Rozdział 37 | 317 |
| Rozdział 38 | 324 |
| Rozdział 39 | 329 |
| Rozdział 40 | 332 |
| Rozdział 41 | 338 |
| Rozdział 42 | 343 |
| Rozdział 43 | 351 |
| Epilog | 357 |

Prolog

8°37'N, 88°22'E

Ocean Indyjski, 450 km na wschód od Sri Lanki
północno-wschodnia Anura

Noc była nieznośnie upalna, a stężałe, nieruchome powietrze miało temperaturę ludzkiego ciała. Wieczorem padał lekki orzeźwiający deszcz, ale teraz zewsząd buchał natrętny skwar - zdawało się, że gorący jest nawet srebrzysty sierp księżyca, który muskały zwiewne pierzaste obłoczki. Dżungla dyszała wilgotnym oddechem czatującego na zdobycz drapieżnika.

Shyam poruszył się niespokojnie na płóciennym krześle. Wiedział, że jak na ten miesiąc pogoda jest względnie normalna: na początku pory monsunowej w powietrzu zawsze wisiało coś złowieszczonego. Ale nie. Czarną jak smoła ciszę zakłócało jedynie brzęczenie natrętnych komarów. Wpół do drugiej: siedział na posterunku już cztery i pół godziny. I właśnie wtedy, dokładnie o pierwszej trzydziści nad ranem, nadjechało tych siedmiu. Jedyne zabezpieczeniem posterunku były dwa zwoje drutu kolczastego, rozpięte na drewnianych kozłach i przecinające drogę w odległości dwudziestu czterech metrów od siebie. Posterunek należał do najbardziej wysuniętych, a on i Arjun czuwali przed drewnianymi budkami na poboczu drogi. Za wzgórzem trzymało wartę dwóch innych, ale ponieważ od wielu godzin uparcie milczeli, wszystko wskazywało na to, że po prostu usnęli, podobnie jak żołnierze w prowizorycznym baraku, który zbudowano sto kilkadziesiąt metrów dalej. Mimo groźnych ostrzeżeń przełożonych noce i dni upływały pod znakiem niewysłowionej nudy.

Kenna, północno-wschodnia prowincja Anury, była słabo zaludniona nawet kiedyś, w swoich najlepszych czasach, a czasy, które przeżywali ostatnio, do najlepszych nie należały.

A teraz wiatr od morza, leciutki jak delikatny podmuch powietrza bijący spod skrzydeł owada, przyniósł ze sobą warkot silnika samochodu. Warkot powoli narastał.

Shyam niespiesznie wstał.

- Arjun - zawołał, śpiewnie przeciągając samogłoski. - Arjuun! Coś jedzie.

Arjun ocknął się i pokręcił głową, żeby rozprostować zeszywniały kark.

- O tej porze? - Przetarł oczy. W zgęstniałym od wilgoci powietrzu pot ściekał mu z twarzy jak lśniąca oliwa.

Zza mrocznego, skąpo porośniętego lasem wzgórza buchnęły dwa snopy jaskrawego światła. Chociaż silnik samochodu wył na pełnych obrotach, dobiegł ich czyjś wesoły krzyk.

- Znowu te pieprzone gnojki - wymamrotał posepnie Arjun.

Ale Shyam był zadowolony ze wszystkiego, co przerywało nocną nudę. Poprzedniego tygodnia pełnił wartę, nocną i dzienną, na ruchomym posterunku w Kandarze, posterunku ważnym i ponoć bardzo niebezpiecznym. Jego przełożony, oficer o kamiennej twarzy, wielokrotnie podkreślał, jak istotne, jak kluczowe, jak newralgiczne pełnili tam zadanie. Posterunek zlokalizowano niedaleko Kamiennego Pałacu, gdzie odbywało się właśnie posiedzenie rządu, podobno supertajne i super ważne. Dlatego maksymalnie zaostrzono środki bezpieczeństwa, a droga, której teraz pilnowali, była jedyną przejezdną drogą łączącą pałac z północnym rejonem wyspy, opanowanym przez buntowników. Ale partyzanci z FWLK, Frontu Wyzwolenia Ludu Kagama, doskonale o tych posterunkach wiedzieli i trzymali się od nich z daleka. Zresztą jak większość pozostałych; między wybuchami kolejnych buntów i kolejnymi kampaniami mającymi te bunty tłumić uciekła stąd ponad połowa mieszkańców. A chłopci, którzy pozostali w Kennie, nie mieli pieniędzy, co oznaczało, że wartownicy nie mogli liczyć na łapówki. Tak więc na służbie nie

działo się praktycznie nic, a cienki portfel Shyama chudł w oczach. Czym on sobie na to zasłużył? Pewnie przewinił coś w poprzednim wcieleniu.

Mała ciężarówka, opuszczony dach, dwóch nagich do pasa młodych mężczyzn w szoferce. Jeden z nich stał, polewając sobie pierś piwem i wrzeszcząc. Ciężarówka - zapewne wyładowana kurakkanem, burakami, ziemniakami czy innymi bulwami, a więc tym, co jadła tutajśza biedota - pokonała zakręt na pełnych obrotach silnika, z prędkością prawie stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Z szoferki dobiegał ryk amerykańskiego rocka, nadawanego przed jedną z wyspiarskich rozgłośni radiowych.

Noc rozbrzmiała okrzykami i radosnym wyciem pijanych w sztok chłystków. Wyją jak stado zalanych w trupa hien, pomyślał ponuro Shyam. Kierowcy, cholera. Młodzi, bez grosza przy duszy i nawaleni jak stodoła, mieli wszystko w dupie. Ale rano dupy mogą ich rozboleć. Przed paroma dniami właściciela podobnej ciężarówki odwiedzili zawstydzeni rodzice gnojków takich samych jak oni, jak ci tutaj. Zwrócili uszkodzony wóz i wyrównali szkody kopą kurakkanu. A co do ich dzieci... Cóż, przez długi czas nie mogły usiąść bez grymasu bólu, nawet na fotelu samochodowym wymoszczonym mięciutką poduszką.

Shyam wziął karabin i wyszedł na drogę, ale zaraz wrócił na pobocze, bo ciężarówka nie zwolniła i wciąż pruła przed siebie jak rozpędzony czołg. Zatrzymywać ich? Czysta głupota. Te flachtusy były nawalone, ostro napite, więc co by mu to dało. Wyrzucona z samochodu puszką piwa zatoczyła w powietrzu łuk i pacnęła na drogę. Sądząc po odgłosie, była pełna.

Ciężarówka gwałtownie skręciła, ominęła kozioł po prawej stronie. popędziła dalej, ominęła drugi kozioł, ten po lewej, i pomknęła przed siebie.

- Oby Siwa powyrywał im ręce i nogi - mruknął Arjun i sękatymi palcami przeczesał swoje gęste, czarne włosy. - Przynajmniej nie trzeba nikogo powiadamiać przez radio. Słysząc ich na pięć kilometrów.

- W takim razie co?- spytał Shyam. Nie pracowali w drogówce, a przepisy zabraniały ostrzeliwać pojazd tylko dlatego, że nie zatrzymał się na wezwanie.

- To zwykli wieśniacy. Banda wieśniaków, i tyle.

- Ej - zaprotestował Shyam. - Ja też jestem ze wsi. - Dotknął palcem naszywki na brązowej koszuli. Widniał na niej napis ARA, Armia Republiki Anury. - Wytatuowali mi to na skórze czy jak? Odwalę swoje i za dwa lata wracam na gospodarkę.

- Teraz tak mówisz. Mam wujka. Skończył uniwersytet. Od dziesięciu lat jest urzędnikiem państwowym i zarabia połowę tego co my.

- A ty zarabiasz dokładnie tyle, na ile zasługujesz? - odparł z sarkazmem Shyam.

- Mówię tylko, że trzeba wykorzystywać każdą szansę, która się nadarza. - Arjun wskazał kciukiem leżącą na drodze puszkę. - Pełniutka, widzisz? Właśnie o tym mówię. Nie ma to jak dobre, orzeźwiające piwko, drogi przyjacielu.

- Arjun - zaprotestował Shyam. - Stoimy na warcie we dwóch, razem, nie? Ty i ja.

- Spokojnie - odrzekł z szerokim uśmiechem Arjun. - Podzielę się z tobą.

Kilkaset metrów za zwojem wspartego na koźlach drutu kolczastego kierowca zmniejszył gaz, a jego kolega usiadł. Wytarł się rękami, włożył czarny podkoszulek i zapiął pas. W ciężkim, lepkiem powietrzu piwo miało cuchnący, wprost odrażający zapach. Mężczyźni spochmurnieli.

Na małej ławce tuż za szoferką siedział oficer Frontu Wyzwolenia Ludu Kagama, mężczyzna dużo od nich starszy. Mokre od potu kędzierzawe włosy przykleiły mu się do czoła, wąsy lśniły w blasku księżyca. Gdy ciężarówka przejeżdżała przez posterunek, leżał na podłodze, ale teraz usiadł, włączył walkie-talkie, stare, lecz wciąż niezawodne, i rzucił do mikrofonu krótki, chrapliwy rozkaz.

Chwilę później z metalicznym zgrzytem uchyliła się tylna kłapa ładowni, żeby uzbrojeni po zęby żołnierze mogli zaczerpnąć świeżego powietrza.

Nadbrzeżne wzgórze miało wiele nazw, a nazwy te wiele znaczeń. Hindusi mówili, że jest to Siwanolipatha Malai, Odcisk Stopy Siwy, bo uważali, że przeszedł tamtędy ich bóg. Buddyści znali je jako Sri Pada, Odcisk Stopy Buddy, ponieważ - ich zdaniem - to właśnie Budda przybył kiedyś na Anurę. Muzułmanie nazywali je Adam Malai, Wzgórzem Adama: arabscy kupcy z X wieku utrzymywali, że po wygnaniu z rajy Adam zatrzymał się tu i stał na jednej nodze dopóty, dopóki Jahwe nie uznał, że jest wystarczająco cierpliwy. Koloniści - najpierw Portugalczycy, potem Holendrzy - patrzyli na nie okiem trzeźwym i praktycznym, obojętnym na rozważania natury duchowej: nadbrzeżne wzniesienie nadawało się doskonale na potężną fortecę, której działa mogły stawić potężny opór nieprzyjacielskim okrętom. Wzniesli ją tam w XVII wieku i z biegiem lat wielokrotnie przebudowywali, nie zwracając większej uwagi na pobliskie małe świątynie. Teraz świątynie te miały posłużyć za przystanki dla armii Proroka szykującej się do ostatecznej rozgrywki z wrogiem.

Ich przywódca, którego nazywali Kalifem, zazwyczaj nie uczestniczył w nieprzewidywalnych, pełnych bitewnego zamętu starciach z nieprzyjacielem. Ale ta noc nie była zwykłą nocą. Tej nocy pisała się historia. Jak mógłby tego nie zobaczyć? Poza tym wiedział, że decyzja o jego bezpośrednim udziale w walce niezmiernie podniesie morale żołnierzy. Otaczali go niezłomni synowie ludu Kagama, którzy gorąco pragnęli, żeby był świadkiem ich bohaterstwa lub, jeśli los tak zechce, ich męczeńskiej śmierci. Patrząc na jego szlachetną, czarną jak rzeźbiony heban twarz, na jego silne, mocno zarysowane szczęki, widzieli nie tylko namaszczonego przez Proroka wodza, który poprowadzi ich ku wolności, lecz i człowieka, który opisze ich czyny w księdze życia: dla potomności.

Tak więc Kalif czuwał wraz ze swym specjalnym oddziałem w bezpiecznym, starannie wybranym miejscu na zboczu wzgórza. Z twardej ziemi biła przykra wilgoć, a on miał buty na cienkiej podeszwie, lecz czymże były chwilowe niewygody w porównaniu z tym, że lśniło przed nim główne wejście Kamiennego Pałacu? Jego wschodnia ściana, omszałe wapienne głązy, z których ją zbudowano, i szeroka, świeżo odmalowana brama tonęły w blasku reflektorów wystających z ziemi co kilka metrów. I ściana, i brama leciutko drżały, falowały jak w pustynnym powietrzu. Kusily go. Wzywały. Wabiły.

- Wy i ci, którzy za wami pójdą, mogą dzisiaj zginąć - powiedział swoim dowódcom przed kilkoma godzinami. - Lecz jeśli zginiecie, Anura o was nie zapomni. Ani o was, ani o waszym męczeństwie. Nigdy! Przenigdy! Wasze dzieci i rodziców uznamy za świętych. Wzniesimy świątynie ku waszej pamięci! Do miast i wsi, w których przysłiszcie na świat, będą ciągnęły pielgrzymki! Będziemy was czcić jak ojców narodu. Zawsze. Po wsze czasy.

Byli ludźmi głębokiej wiary, odważnymi, zarliwymi obrońcami ojczyzny, podczas gdy Zachód z szyderczym zadowoleniem nazywał ich terrorystami. Terrorystami! Zachód, to siedlisko światowego terroryzmu, śmiał nazywać ich bandytami! Cóż za wygodny cynizm. Kalif pogardzał rządzącymi Anurą tyranami, lecz prawdziwą nienawiścią, czystą i doskonałą, darzył tych, dzięki którym tyrani objęli na wyspie władzę. Anurańczycy rozumieli przynajmniej, że za uzurpowanie sobie władzy można zapłacić najwyższą cenę; rebelianci nieustannie im o tym przypominali, nieustannie dawali im krwawe nauczki. Ale ci z Zachodu przywykli do bezkarności. Może teraz wreszcie się to zmieni.

Kalif powiódł wzrokiem po zboczu wzgórza, czując, jak narasta w nim nadzieja: nadzieja, że skorzysta na tym nie tylko on sam i jego zwolennicy, ale i wyspa. Anura. Gdy ponownie wkroczą na ścieżkę swego przeznaczenia, czy znajdzie się coś, czego nie będą w stanie dokonać? Każdy kamień, każde drzewo, każdy porośnięty trawą pagórek popychał go do czynu.

Tak, matka Anura wesprze swoich obrońców.

Przed wiekami odwiedzający ją przybysze uciekali się do poezji, żeby oddać tutejsze piękno. Wkrótce potem zawistni i zachłanni koloniści wprowadzili tu swoje własne, jakże logiczne i jakże ponure zasady: wszystko to, co zniewalająco piękne, zostało zniewolone, wszystko to, co chwyciło za serce, schwytane i zakute w kajdany. Anura stała się główną nagrodą, bezcenną

zdobyczą dla rywalizujących ze sobą wielkich morskich imperiów. W pachnących zagajnikach wyrosły mury potężnych fortec, między konchami na plażach legły skorupy armatnich kul. Wyspa spływała krwią, a ci z Zachodu zadowolili się na niej i rozpełzli jak trujące ziele, karmiące się niesprawiedliwością.

Co oni z tobą zrobili, Anuro?

Siedząc na wygodnych, pluszowych otomanach, zachodni dyplomaci wytyczali na mapach granice, które burzyły życie milionom ludzi, traktując atlas świata jak jakąś książeczkę do kolorowania.

Niepodległość! Tak to nazywali. Jedno z największych kłamstw dwudziestego stulecia. Władza obecnego reżimu oznaczała przemoc wobec ludu Kagama, a jedynym lekarstwem na akt przemocy jest inny akt przemocy: przemocy jeszcze większej. Ilekroć zamachowiec samobójca odbierał życie któremuś z hinduskich ministrów, zachodnie media ogłaszały, że jest to „kolejne bezsensowne zabójstwo”, lecz Kalif i jego żołnierze wiedzieli, że nie istnieje nic, co miałoby większy sens. Plan najsłynniejszej, najczęściej opisywanej w prasie fali zamachów bombowych, wymierzonych w cywilne - pozornie cywilne - cele w stołecznym Caligo, opracował osobiście. Ich ciężarówki i furgonetki z reklamami wszechobecnych międzynarodowych firm kurierskich i przewozowych były dosłownie niewidzialne. Podstęp genialnie prosty i jakże skuteczny! Wyładowane po brzegi nasączonymi ropą nawozami sztucznymi, wiozły śmierć. W ciągu ostatniego dziesięciolecia zamachy te zyskały miano najbardziej potępianych aktów terroru w świecie. Dziwaczna hipokryzja: przecież on i jego zwolennicy prowadzili wojnę z tymi, którzy ich do tej wojny podżegali!

Główny radiowiec szepnął mu coś do ucha: właśnie zniszczono bazę wojskową w Kaffrze. Bazę zniszczono, a nadajniki i odbiorniki zapewniające łączność z pozostałymi bazami rządowymi rozmontowano. Nawet gdyby tamci zdołali wysłać łączników, strażnicy Kamiennego Pałacu nie mieli szans na żadne wsparcie. Pół minuty później radiowiec otrzymał kolejny meldunek, potwierdzenie, że ich żołnierze, że lud odbił kolejną bazę. Opanowali zatem już drugą arterię komunikacyjną wyspy. Kalif poczuł na plecach miłe mrowienie. Jeszcze kilka godzin i wyzwolą ze szponów śmierci całą Kenę. Władza przejdzie w ich ręce. Wraz ze wschodem słońca nad Anurą zaświta jutrzienka wolności.

Jednakże nic nie było tak ważne jak zdobycie Steenpalais, Kamiennego Pałacu. Absolutnie nic. Posłaniec wielokrotnie to podkreślał, a jak dotąd zawsze miał rację, i co do wartości swojego wkładu, i co do zaangażowania w sprawę też. Jego słowo miało wagę złota - nie, znacznie większą. Dostarczając im broń oraz informacje wywiadowcze, był hojny do granic rozrzutności. Nigdy go nie rozczarował, a on, Kalif, na pewno nie rozczaruje jego. Ich przeciwnicy mieli swoje źródła dochodów, swoich popleczników, mocodawców i dobroczyńców. Dlaczego oni nie mieliby mieć swoich?

- Zimna! - wykrzyknął radośnie Arjun, podnosząc puszkę. Była nawet lekko oszroniona. Przytknął ją do policzka i aż jęknął z rozkoszy. Jego palce wytopiły w szronie cztery owale, błyszczące wesoło w żółtym świetle posterunkowych rtęciówek.

- Tylko czy aby na pewno pełna - rzucił z powątpiewaniem Shyam.

- Nieotwarta - odrzekł Arjun. - Ciężka i pełniutka! - Rzeczywiście, puszka była ciężka, aż za ciężka. - Wypijemy po łyku za naszych przodków. Potem ja wypiję kilka tęgich łyków za siebie, a tobie dam to, co zostanie na dzień, bo wiem, że nie przepadasz za piwem. - Grubymi palcami podważył metalowy jęczyzek i mocno nim szarpnął.

Stłumione puff! detonatora, odgłos podobny do tego, jaki towarzyszy otwarciu rurki wystrzeliwującej konfetti na przyjęciu, rozległo się na ułamek sekundy przed eksplozją. Arjun zdążył tylko pomyśleć, że padli ofiarą niewinnego żartu, Shyam - że jego podejrzenia - choć niezu-

pełnie świadome i wywołujące tylko mglisty niepokój - okazały się słuszne. Jednak gdy wybuchło trzysta trzydzieści sześć gramów plastiku, wątek ich myśli został gwałtownie zerwany.

Eksplozji towarzyszył huk i chwila jaskrawej światłości, która błyskawicznie przekształciła się w wielką ognistą kulę zniszczenia. Podmuch wybuchu zmiotł z drogi drewniane kozły i powalił prymitywny barak, w którym spali żołnierze. Dwaj zmiennicy Arjuna i Shyama, drzemający po drugiej stronie blokady, zginęli, zanim zdążyli się ocknąć. Fala wywołanego eksplozją gorąca była tak intensywna, że czerwona ziemia pokryła się szklistą, przypominającą obsydian skorupą. A potem, zupełnie nagle i równie niespodziewanie jak się pojawiły, oślepiający płomień i ogłuszający huk zniknęły, jak znika pięść, gdy szybko rozprostuje się palce. Siła zniszczenia była ulotna jak dym, jej skutki przerażająco trwałe.

Kwadrans później, gdy szczątki posterunku miały konwój pokrytych brezentowymi plandekami ciężarówek, siedzący w nich żołnierze nie musieli się już kryć ani stosować żadnych innych sztuczek.

Cała ironia w tym, pomyślał Kalif, że tylko jego wrogowie w pełni docenią genialność tego krwawego, porannego szturm. Mgła wojny przesłoni wszystko, co z daleka będzie doskonale widoczne: taktykę ataków skoordynowanych i zranych w czasie tak precyzyjnie, jakby dowodziła nimi niewidzialna ręka. Kalif wiedział, że już nazajutrz analitycy z amerykańskich agencji wywiadowczych obejrzą zdjęcia z satelitów szpiegowskich i bez najmniejszego trudu wyczytają z nich cały schemat ich zmyślnych działań. Jego zwycięstwo przejdzie do legendy, a jego dług wobec Posłańca - nalegał na to nie kto inny jak sam Posłaniec - pozostanie sprawą między nim i Allahem.

Podano mu lornetkę i spojrzął przez nią na gwardzistów stojących szeregiem przed główną bramą.

Ludzki drobiazg, szmaciane laleczki. Kolejny przykład bezgranicznej głupoty zwolenników rządu. W blasku otaczających pałac reflektorów byli jak tarcze na strzelnicy, tym bardziej że oślepieni jaskrawym światłem, nie widzieli, co czai się w ciemności.

Gwardziści należeli do elity ARA, Armii Republiki Anury. Ciesząc się poparciem wysoko postawionych krewnych, byli układnymi, znającymi dobre maniery karierowiczami, którzy zawsze dbali o higienę, a spodnie od munduru prasowali w ostry jak brzytwa kant. *Crime de la crime brulee*, pomyślał Kalif z ironią i pogardą. Komedianci, a nie wojownicy. Patrzył przez lornetkę na siedmiu mężczyzn z karabinami na ramieniu. Broń wyglądała imponująco i była imponująco bezużyteczna. Nie, to nawet nie komedianci. To zwykłe marionetki.

Główny radiowiec dał mu znak: dowódca sekcji zajął już pozycję i śpiący w koszarach żołnierze nie mogli się teraz w żaden sposób przegrupować. Jeden z otaczających go ludzi podał mu karabin: był to gest czysto ceremonialny - Kalif sam go wymyślił - lecz ceremonialne gesty są nieodzownymi atrybutami każdej władzy. Przywódca miał oddać pierwszy strzał z tego samego karabinu, z którego przed pięćdziesięciu laty jeden z wielkich bojowników o niepodległość Anury zastrzelił pewnego holenderskiego generała. Karabin, stary, ręcznie ryglowany mauser M24 był pieczołowicie konserwowany i miał starannie zestrojone przyrządy celownicze. Odwinięty z atlasowego całunu, zaślnił w blasku księżyca jak miecz Saladyna.

Kalif wymierzył do pierwszego z brzegu gwardzisty, lekko wypuścił powietrze, żeby nitki celownika skrzyżowały się na jego ozdobionej baretkami piersi i łagodnie pociągnął za spust, obserwując wyraz jego twarzy, początkowo skonsternowany, potem bolesny, wreszcie oszołomiony. Na piersi żołnierza wykwitła mała czerwona plamka przypominająca szkarłatną butonierkę.

Członkowie oddziału poszli w ślady wodza i w spowijającej wzgórze ciemności zabrzmiała krótka, dobrze mierzona salwa. Sznurki pękły: siedem marionetek drgnęło, podskoczyło i legło bez ruchu na ziemi.

Kalif wybuchnął śmiechem. Wybuchnął śmiechem wbrew sobie, gdyż w śmierci tych ludzi nie było żadnego dostojenstwa, jedynie absurd równy absurdowi tyranii, której służyli. Tyrani musieli teraz przejść do defensywy.

Jeszcze przed wschodem słońca każdy członek anurańskiego rządu -jeśli tylko zdecyduje się pozostać w prowincji -będzie musiał czym prędzej zrzucić mundur, żeby nie rozerwał go na strzępy wrogi tłum.

Kenna przestanie być częścią nielegalnej Republiki Anury. Kenna będzie należała do niego.

A więc zaczęło się.

Kalif poczuł gwałtowny przyływ wiary w słuszność sprawy i ta jasna, przenikliwa wiara wypełniła go niczym promienna światłość. Tak, jedynym lekarstwem na przemoc jest jeszcze większa przemoc.

Zdawał sobie sprawę, że w ciągu najbliższych minut wielu żołnierzy zginie, że ci, którzy zginą, będą mieli szczęście. Ale w Kamiennym Pałacu mieszkał ktoś, kto zginąć nie miał prawa, przynajmniej na razie. Był kimś wyjątkowym, kimś, kto przybył na Anurę jako mediator, żeby zaprowadzić na wyspie pokój. Był potężny i podziwiany przez miliony, ale on również był agentem neokolonialistów. Dlatego musieli potraktować go z odpowiednim szacunkiem. Ten człowiek - ten „rozjemca”, ten przedstawiciel wszystkich narodów świata, jak nazywały go zachodnie media - nie padnie ofiarą wojskowej potyczki. Nie zostanie zastrzelony.

W jego wypadku wszystko przebiegnie z zachowaniem wszelkich niuansów i subtelności prawa.

A potem zostanie ścięty jak zwykły przestępca, którym był.

Rewolucja napoi się jego krwią!

Część 1

Rozdział 1

Światowa siedziba Harnett Corporation zajmowała dwa najwyższe piętra strzelistego wieżowca z czarnego szkła przy Dearborn Street w głównej dzielnicy finansowo-handlowej Chicago. Korporacja Harnett była zrzeszeniem firm budowlanych, lecz nie takich, które wznoszą drapacze chmur w największych amerykańskich metropoliach. Większość przedsięwzięć realizowała poza granicami kraju; podobnie jak koncerny większe i potężniejsze od niej, takie jak choćby Bechtel, Vivendi czy Suez Lyonnaise des Eaux, budowała tamy, oczyszczalnie ścieków i napędzane gazowymi turbinami elektrownie, a więc konstrukcje niezbyt efektowne, ale niezbędne. Tego rodzaju projekty stawiały wyzwania nie tyle natury estetycznej, co inżynierskiej, ale i one wymagały wiecznie niepewnej współpracy między sektorem publicznym i prywatnym. Kraje Trzeciego Świata naciskane przez Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy, które domagały się od nich jak najszybszego sprywatyzowania państwowego majątku, najczęściej poszukiwały chętnych do przetargu na budowę systemów telefonicznych, wodociągów, elektrowni, linii kolejowych i kopalni. Zmiana właściciela wymuszała natychmiastowe inwestycje i właśnie wtedy wkraczały firmy wąsko wyspecjalizowane, takie jak Harnett Corporation.

- Do pana Harnetta - powiedział mężczyzna. - Paul Janson.

Recepcjonista, młody, piegowaty rudzielec, kiwnął głową i zawiadomił kogoś z sekretariatu szefa. Potem bez żadnego zainteresowania zerknął na przybysza. Kolejny facet w średnim wieku i w żółtym krawacie. Na kogo tu patrzeć?

Natomiast Janson szczycił się tym, że rzadko kiedy mu się przyglądano. Choć był mężczyzną roslim i atletycznie zbudowanym, nie miał w sobie nic, co rzucałoby się w oczy. Poprzecinane zmarszczkami czoło, krótko ostrzyżone stalowoszare włosy - zwykły, przeciętny pięćdziesięciolatek, i tyle. Czy to na Wall Street, czy to na Bourse umiał wtopić się w tłum i pozostać całkowicie niewidzialnym. Nawet jego kosztowny, szyty na miarę szary garnitur stanowił doskonały kamuflaż równie odpowiedni w korporacyjnej dżungli jak zielone i czarne pasy, w które kiedyś malował sobie twarz w prawdziwej dżungli w Wietnamie. Jedynie wnikliwy i doświadczony obserwator potrafiłby dostrzec, że ramiona jego garnituru wypełnione saniem miękkimi poduszczkami, tylko zwykłymi ramionami, z mięśni, krwi i kości. Obserwator ten musiałby spędzić z nim sporo czasu, aby zauważyć, że jego szaroniebieskie oczy dostrzegają każdy, najmniejszy nawet szczegół otoczenia i że Janson jest człowiekiem zachowującym ironiczny dystans do świata.

- Zechce pan chwileczkę zaczekać - rzucił obojętnie recepcjonista i Paul niespiesznie odszedł na bok, żeby obejrzeć wiszące na ścianach zdjęcia. Ilustrowały przedsięwzięcia realizowane obecnie przez Harnett Corporation: wodociągi i oczyszczalnie ścieków w Boliwii, tamy w Wenezueli, mosty w Saskatchewan i elektrownie w Egipcie. Stanowiły dowód, że jest to korporacja bardzo prężna i świetnie prosperująca. I rzeczywiście taka była, przynajmniej do niedawna,

Sęk w tym, że Steven Burt, jej dyrektor do spraw eksploatacji, uważał, że powinna prosperować znacznie lepiej. Ostatnio coraz częściej ponosiła duże straty, dlatego Burt poprosił Jansona, żeby ten zechciał spotkać się z Rossenr Harnettem, prezesem korporacji i jej naczelnym dyrektorem. Janson nie miał ochoty przyjmować kolejnego klienta: chociaż był konsultantem do spraw bezpieczeństwa dopiero od pięciu lat, niemal natychmiast wyrobił sobie reputację specjalisty niezwykle efektywnego i dyskretnego, dlatego popyt na jego usługi przekraczał obecnie zarówno jego możliwości czasowe, jak i zainteresowanie. Nie przyjąłby tej propozycji, gdyby nie Steven, przyjaciel z dawnych czasów. Podobnie jak on, Burt też pro-

wadził kiedyś inne życie, które porzucił, wkraczając w świat zdominowany przez cywili. Janson nie chciał go zawieść. Dlatego postanowił stawić się przynajmniej na spotkanie.

Do recepcji weszła asystentka Harnetta, serdeczna, trzydziestokilkuletnia kobieta, która zaprowadziła go do gabinetu dyrektora. Korytarze i biura z olbrzymimi oknami wychodzącymi na południe i wschód były urządzone z nowoczesną oszczędnością. Przefiltrowane przez szkło jaskrawe promienie słońca traciły w nim blask, nabierając chłodnej poświaty. Harnett siedział za biurkiem i rozmawiał przez telefon, więc asystentka wyczekująco przystanęła w drzwiach. Harnett władczy gestem ręki wskazał Jansonowi fotel.

- W takim razie będziemy musieli renegocjować warunki wszystkich kontraktów z Ingersoll-Rand - mówił. Miał na sobie bladobłękitną koszulę z monogramem, białym kołnierzykiem i podwiniętymi rękawami, które odsłaniały grube przedramiona. - Jeśli nagle zmieniają cenę, mamy prawo kupować gdzie indziej. Pieprzyć ich. Podrzyj ten kontrakt.

Janson usiadł w czarnym skórzanym fotelu naprzeciwko biurka, w fotelu odrobinę niższym niż ten, na którym siedział Harnett. Niższy fotel: przemyślna, choć dość prymitywna zagrywka, która zamiast poczucia pewności siebie sygnalizowała wyraźny jego brak. Paul demonstracyjnie spojrzął na zegarek i tłumiąc rozdrażnienie, rozejrzał się wokół. Z okien mieszczącego się na dwudziestym szóstym piętrze narożnego gabinetu roztaczała się panorama jeziora Michigan i centrum Chicago. Wysoki fotel, wysokie piętro: im wyżej, tym lepiej. Harnett chciał, żeby wszystko było jasne.

Harnett. Był niski, potężnie zbudowany i miał chrapliwy głos. Przypominał hydrant przeciwpożarowy. Podobno szczycił się tym, że regularnie odwiedza place budów realizowanych przez korporację przedsięwzięć i że rozmawia z majstrami jak równy z równym. Fakt, butny i pewny siebie, wyglądał na takiego, co to zaczynał od zwykłego budowlańca i doszedł do milionów siłą własnych rąk. Tak naprawdę było zupełnie inaczej. Paul wiedział, że Harnett ukończył Kellog School of Management, że jest specjalistą od zarządzania i administracji i że bardziej interesuje go samo zarządzanie, zwłaszcza finansami, niż inżynieria. Zawładnął korporacją, przejmując zależne od niej firmy w czasach, gdy gwałtownie potrzebowały zastrzyku gotówki i gdy ich cena była stosunkowo niska. Ponieważ branża budowlana jest interesem podlegającym cyklicznym zmianom koniunkturalnym, doszedł do wniosku, że utrzymując starannie zaplanowaną równowagę między wartością aktywów podlegających mu przedsiębiorstw, za niewielkie pieniądze może zbudować imperium.

W końcu odłożył słuchawkę i przez chwilę w milczeniu przyglądał się Jansonowi.

- Stevie mówi, że jest pan świetny - zaczął znudzonym głosem. - Całkiem możliwe, że znam pańskich klientów. Dla kogo pan pracował?

Paul obrzucił go zdziwionym spojrzeniem. Czyżby Harnett zamierzał przeprowadzić z nim rozmowę kwalifikacyjną?

- Większość klientów, których decyduję się przyjąć - odparł, znacząco zawieszając głos - rekomendują mi inni klienci. - Ze też musiał mu tłumaczyć coś tak oczywistego. Jakie to prostackie: to nie on miał przedstawiać rekomendacje przyszłemu klientowi, tylko przyszły klient jemu. - W pewnych okolicznościach chlebobawca może rozmawiać o mojej pracy z innymi, ale ja nigdy nie ujawniam tajemnic zawodowych. Taką mam zasadę.

- Jak mały drewniany Indianin, co? - mruknął z nie ukrywanym rozdrażnieniem Harnett.

- Słucham?

- Ja też, bo mam nieodparte wrażenie, że obaj tylko tracimy czas. Pan jest zajęty, ja jestem zajęty, po cholere mamy tu siedzieć i wzajemnie sobie dogryzać. Wiem, że Stevie ubzdurał sobie, że nasza krypa przecieka i nabiera wody. Ale to nieprawda. Raz na wozie, raz pod wozem: tak to już w tej branży bywa. Stevie jest wciąż zbyt zielony, żeby to zrozumieć. Stworzyłem tę korporację własnymi rękami i wiem, co dzieje się w tej chwili w każdym biurze i na każdym placu budowy w dwudziestu czterech krajach świata. Zastanawiam się nawet,

czy w ogóle potrzebujemy konsultanta do spraw bezpieczeństwa. Poza tym słyszałem, że nie jest

pan tani, a ja należę do ludzi oszczędnych. Idealnie zbilansowany budżet to moja biblia. Proszę mnie dobrze zrozumieć: jeśli już wydaję pieniądze, muszę wiedzieć, na co idą i co z tego będę miał. Jeśli nic, po cholere je wydawać? To moja mała tajemnica i chętnie się nią z panem podzielę. - Harnett odchylił się w fotelu niczym pasza, który czeka, aż sługa naleje mu herbaty. - Ale proszę, niech mnie pan przekona, że się mylę. Ja swoje powiedziałem. Teraz z przyjemnością wysłucham pana.

Janson posłał mu słaby uśmiech. Będzie musiał przeprosić Stevena Burta - szczerze wątpił, czy którykolwiek z jego najbliższych przyjaciół śmiało nazywać go „Steviem” - ale z Hamettem nie zamierza pracować. Owszem, miał kilku klientów, lecz z tym długo by nie wytrzymał. Postanowił wycofać się z tego jak najszybciej i jak najzwinniej.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, co powiedzieć - odrzekł. - Wygląda na to, że w pełni panuje pan nad sytuacją...

Harnett kiwnął głową. Nie raczył się nawet uśmiechnąć, jakby uważał, że to oczywiste.

- Prowadzę tę firmę żelazną ręką, mój drogi panie - rzucił protekcyjnie. - Plany naszych przedsięwzięć są dobrze chronione. Tak było przedtem, tak jest teraz, tak będzie zawsze. Nigdy nie doszło u nas do żadnego przecieku, nikt nie uciekł od nas do konkurencji, nie mieliśmy tu nawet większej kradzieży. Jako prezes firmy i jej naczelny dyrektor dobrze wiem, co mówię. W tym punkcie chyba się pan ze mną zgodzi, prawda?

- Dyrektor, który nie wie, co dzieje się w jego firmie, nie jest w sta nie skutecznie nią zarządzać - odrzekł spokojnie Janson.

- Otóż to. - Harnett spojrzał na stojący na biurku telefon połączony z interkomem. - Panie Janson, ma pan świetną reputację. Stevie wychwalał pana pod niebiosa i wierzę, że jest pan znakomitym fachowcem. Dziękuję, że zechciał pan nas odwiedzić i, jak już mówiłem, przykro mi, że zabraliśmy panu tyle czasu...

Zabraliśmy. My. Ukryty podtekst: przykro mi, że jeden z moich zastępców doprowadził do tej niezręcznej sytuacji. Krótko mówiąc, Steven Burt tego oberwie. Przez wzgląd na starego przyjaciela Paul zdecydował się na kilka pożegnalnych słów.

- Zupełnie niepotrzebnie, nic się nie stało - odparł, wstając i ściskając mu przez biurko rękę. - Cieszę się, że firma kwitnie. - Przekrzywił głowę i dodał niewinnie: - Aha, a propos... Ta „zapięczętowana oferta przetargowa”, którą złożył pan władzom Urugwaju...

Harnett drgnął i czujnie błysnął oczami. Hm, celny strzał.

- Jak to oferta? Co pan o niej wie?

- Dziewięćdziesiąt trzy miliony pięćset czterdzieści tysięcy, prawda?

Harnett poczerwieniał.

- Zaraz. Zatwierdziłem ją dopiero wczoraj rano. Skąd, u diabła...

- Na pańskim miejscu martwiłbym się bardziej tym, że jej szczegóły znają również pańscy francuscy rywale, Suez Lyonnaise. Ich oferta będzie zapewne o dwa procent niższa od pańskiej... .

- O dwa procent... Że co? - wybuchnął Harnett z siłą długo uśpionego wulkanu. - Steve Burt to panu powiedział?

- Nie, skąd. Zresztą Steven zajmuje się kosztami eksploatacyjnymi, a nie księgowością czy planowaniem. Czy on w ogóle o tej ofercie wie? Harnett szybko zamrugał.

- Nie - odrzekł po chwili namysłu. - Nie mógł o niej wiedzieć. Cholera jasna, nikt nie mógł o niej wiedzieć. Wysłałem ją zaszyfrowanym e-mailem bezpośrednio do tego urugwajskiego ministra...

- Mimo to niektórzy o niej wiedzą. To nie pierwszy przetarg, który przegrał pan w tym roku, prawda? Powiem więcej: w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy przegrał pan ich kilkanaście. Jedenaście z piętnastu złożonych ofert zostało odrzuconych, zgadłem? Sam pan po-

wiedział: raz na wozie, raz pod wozem.

Policzki Harnetta płonęły żywym ogniem, ale Janson zachował przyjacielski ton głosu.

- Jeśli zaś chodzi o Vancouver... Cóż, w Vancouver poszło o coś innego. Inżynierowie z miejskiego nadzoru budowlanego odkryli, że w używanym do palowania betonie są plastyfikatory, no, wie pan, zmiękczacze. Łatwiej było go wylewać, ale taki beton to zagrożenie dla wytrzymałości fundamentów gmachu. Oczywiście to nie pańska wina: wasze specyfikacje były bezbłędne. Skąd miał pan wiedzieć, że jeden z kooperantów przekupił inspektora, żeby ten sfałszował dokumentację kontrolną? Drobną plotka

dostaje w łapę nędzne pięć tysięcy, a pan zostaje na lodzie z projektem wartym sto milionów. Zabawne, co? Z drugiej strony, panu też marnie idzie z łapówkami, przynajmniej ostatnio. Jeśli zastanawia się pan na przykład, dlaczego nie wypaliło wam w La Paz...

- Tak? - ponaglił go niecierpliwie Harnett. Zerwał się z fotela i zastygł bez ruchu jak bryła lodu. - Dlaczego?

- Cóż, powiedzmy, że Raffy znowu nabił pana w butelkę. Zapewnił jednego z pańskich dyrektorów, że przekazał łapówkę ministrowi spraw wewnętrznych, a ten mu uwierzył. Oczywiście Raffy nikomu nic nie przekazał. Wybrał pan złego pośrednika, i tyle. W latach dziewięćdziesiątych Raffy Nunez oszukał w ten sposób bardzo dużo firm. Większość pańskich rywali dobrze o tym wie. Śmiali się do rozpuku, widząc, jak pański człowiek chleje z nim tequilę w La Paz Cabana, bo przeczuwali, co się zaraz stanie. Ale kit im w oko, przynajmniej próbowaliście, prawda? A że wasz margines operacyjno-inwestycyjny spadnie w tym roku do trzydziestu procent? I co z tego? To tylko pieniądze, nic więcej, prawda? Czy nie tak mówią wasi udziałowcy?

Czerwony jak burak Harnett teraz dla odmiany śmiertelnie pobałdł.

- Hm - kontynuował Janson. - Widzę, że jednak nie. Cóż, spróbuję pana pocieszyć: spora grupa waszych największych udziałowców chce za inwestować w Vivendiego, Keitdricka, może nawet w Bechtela i przejąć tę nieszczęsną korporację. Niech pan popatrzy na to z innej strony, z tej jaśniejszej. Jeśli im się uda, będzie pan miał to wszystko z głowy. - Harnett gwałtownie wciągnął powietrze, lecz Paul udał, że tego nie słyszy. - Ale cóż, jestem przekonany, że już pan o tym wie, że to dla pana nie nowina...

Harnett robił wrażenie oszołomionego i spanikowanego; wpadające przez wielkie okna rozmyte promienie słońca zaskrzyły się w kroplach zimnego potu na jego czole.

- Kurwa... - wymamrotał, patrząc na Jansona jak tonący patrzy na tratwę ratunkową. - Ile?

- Słucham?

- Ile pan chce? - powtórzył Harnett. - Potrzebuję pana - dodał z jowialnym uśmiechem, który miał ukryć rozpacz i krańcową desperację. - Steve Burt mówił, że jest pan najlepszy i nie ma co do tego dwóch zdań. Chciałem się z panem tylko podrażnić. Dlatego posłuchaj pan, panie ważniaku: nie wyjdiesz pan stąd, dopóki nie dobijemy targu, jasne? - Coraz bardziej się pocił. Zwilgotniał mu kołnierzyk i koszula pod pachami. - Jakoś się dogadamy.

- Nie sądzę - odrzekł przyjaźnie Paul. - Nie chcę u pana pracować. To jedna z dobrych stron pracy na własną rękę: ja sam decyduję, którego klienta przyjąć, a którego nie. Ale życzę panu wszystkiego najlepszego. Szczerze. Nic nie podnosi poziomu adrenaliny tak, jak krótka potyczka, prawda?

Harnett roześmiał się sztucznie i klasnął w dłoń.

- Podoba mi się pański styl - powiedział. - Niezły z pana negocjator. Dobrze, już dobrze, wygrał pan. Czego pan chce?

Janson pokręcił głową, uśmiechnął się, jakby usłyszał coś zabawnego i niespiesznie ruszył do drzwi. Lecz zanim wyszedł, przystanął i się odwrócił.

- Dam panu pewien cynk, gratis. Pańska żona wie... - Wypowiadając na głos imię jego wenezuelskiej kochanki, postąpiłby co najmniej niedelikatnie, dlatego enigmatycznie, ale

znacząco dodał: - O Caracas. - Posłał mu porozumiewawcze spojrzenie: rozmawiali jak zawodowcy, dzieląc się jedynie spostrzeżeniami na temat swoich słabych punktów.

Policzki Harnetta pokryły się małymi, czerwonymi plamkami, czuł narastające mdłości, wyglądał jak człowiek, któremu grozi rujnujący finansowo rozwód i strata firmy.

- Dobrze, proponuję panu udziały, akcje...

Ale Janson szedł już korytarzem w stronę wind. Chętnie zobaczyłby, jak ten nadęty duppek wije się przed nim, płacze i płaszczy, ale zanim zjechał na dół, do recepcji, wypełniło go poczucie rozgoryczenia, zmarnowanego czasu i bezsensowności tego, co robił.

W zakamarkach umysłu ponownie odezwał się cichy głos z dawno minionej przeszłości. „I to nadaje sens waszemu życiu?” - pytał Phan Nguyen na tysiące różnych sposobów. To było jego ulubione pytanie. Nawet teraz oczyma duszy Paul widział jego małe, inteligentne oczy, szeroką, pomarszczoną twarz, szczupłe, niemal dziecięce ramiona. Nguyen przesłuchiwał go w Wietnamie i Ameryka niezmiernie go ciekawiła. Ciekawiła, intrygowiała, fascynowała, a jednocześnie napełniała odrazą. „I to nadaje sens waszemu życiu?” Janson pokręcił głową. Niech cię piekło pochłonie, Nguyen.

Wsiadłszy do limuzyny, czekającej z włączonym silnikiem przed gmachem Harnett Corporation, postanowił pojechać od razu na lotnisko O'Hare; wiedział, że zdąży jeszcze na samolot do Los Angeles. Uciec z Chicago było łatwo. Gdyby tylko równie łatwo było uciec od pytań Nguyeny.

W poczekalni Platinum Club linii lotniczych Pacifica Airlines stały za ladą dwie hostessy. Lada i ich mundury miały ten sam szaroniebieski kolor. Mundury były ozdobione czymś w rodzaju epoletów. Musiał je mieć personel wszystkich większych linii lotniczych świata. W innym miejscu i w innym czasie epolety byłyby raczej oznaką zdobytego w boju doświadczenia.

Jedna ze hostess rozmawiała z jowialnym, atletycznie zbudowanym mężczyzną w rozpiętej niebieskiej marynarce z pagerem przypiętym do paska spodni. Po wystającej z wewnętrznej kieszeni metalowej odznace było wiadomo, że facet jest inspektorem Federalnej Administracji Lotniczej, który teraz bez wątplenia łapał chwilę oddechu w miłej, życzliwej atmosferze. Gdy Janson podszedł bliżej, natychmiast zamilkli.

- Poproszę o pańską kartę- powiedziała jedna z kobiet. Jej sztuczna, przypudrowana opalenizna kończyła się tuż pod podbródkiem, a rudawe włosy najwyraźniej niedawno zawarły znajomość z wałkami do trwałej ondulacji.

Paul pokazał jej bilet i plastikową kartę, którą ci z Pacifica nagradzali pasażerów latających non stop.

- Witamy w Platinum Club - zaszczebiotała ta od trwałej.

- Zawiadomimy pana, kiedy samolot będzie gotowy do lotu - dodała ta druga niskim, budzącym zaufanie głosem. Kasztanowe loki, cień do powiek dopasowany kolorem do niebieskich lamówek munduru; wskazała mu drzwi takim gestem, jakby zapraszała go za jakieś złote wrota. - Tymczasem zechce pan odpocząć, korzystając z wszelkich dostępnych w sali udogodnień. - Zachęcające skinienie głową i szeroki uśmiech. Sam święty Piotr by jej uległ.

Wciśnięte między stalowe belki i dźwigary wiecznie zatłoczonego lotniska miejsca takie jak Platinum Club służyły liniom lotniczym do obsługi najbogatszych i najczęściej latających pasażerów. Zamiast słonych orzeszków ziemnych, które oferowano *les miserables* z klasy ekonomicznej, tu stały miseczki z drogimi, egzotycznymi orzechami: nerkowcami, migdałami i orzechami włoskimi. Na marmurowej ladzie barku pyszniły się kryształowe karafki pełne nektaru brzoskwiniowego i świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy. Na podłodze leżała elegancka wykładzina w szaroniebieskim, a więc firmowym kolorze, ozdobiona białymi i granatowymi lamówkami. Na okrągłych stolikach między wielkimi fotelami leżały równiutko

poukładane gazety i czasopisma: „International Herald Tribune”, „USA Today”, „Wall Street Journal” i „Financial Times”. W kącie sali mrugał ekran monitora, na którym Bloomberg nieustannie wyświetlał bezsensowne tabele, diagramy i liczby, podrygujące niczym marionetki w takt melodii wygrywanej przez światową gospodarkę. Przez na wół opuszczone żaluzje prawie nie widać było płyty lotniska.

Janson bez zainteresowania przejrzał kilka gazet. Sięgnął po „Wall Street Journal” i otworzył go na dziale gospodarczym. Natychmiast natrafił na szereg wojowniczo brzmiących metafor: jatka na Wall Street, zmasowany szturm akcjonariuszy na Dow. Dział sportowy „USA Today” mówił o załamaniu się ofensywy Raidersów na skutek serii ostrych kontrataków zespołu Vikingów. Jakby tego było mało, z niewidocznych głośników płynęła piosenka w wykonaniu diwy pop *du jour*, temat muzyczny z kasowego filmu o jednej z legendarnych bitew II wojny światowej. Krew i pot żołnierzy uhonorowano najnowocześniejszą grafiką komputerową i milionami z kasy wytwórni filmowej.

Janson usiadł ciężko w jednym z obitych tapicerką foteli, wędrując wzrokiem w stronę grupy pasażerów, pewnie jakichś ważniaków dyrektorów, menedżerów czy księgowych, którzy podłączony laptopy do sieci, odbierali e-maile od klientów, potencjalnych klientów, pracodawców, podwładnych i kochanek w nieustannym poszukiwaniu czegoś interesującego, czegoś, co by ich podkreśliło. Z ich dyplomatek wystawały grzbiety książek z poradami marketingowymi opartymi na przemyśleniach starożytnych chińskich wodzów: zasady ich sztuki wojennej odpowiednio zmodyfikowano i przeniesiono do współczesnego handlu. Elegancy, zadowoleni z siebie i bezpieczni, pomyślał Janson. Kochając nade wszystko pokój, jakże uwielbiali wojenną metaforykę! Paradny mundur i wszystko to, co się z nim wiąże, jest dla nich równie romantyczne jak ozdobny łeb dzika w pracowni wypychacza zwierząt.

Bywały takie chwile, kiedy on też czuł się jak ten dzik, wypchany, spreparowany i powieszony na wbitym w ścianę haku. Niemal wszystkie drapieżniki figurowały teraz na liście zwierząt zagrożonych, łącznie z amerykańskim białym orłem, a przecież on też był kiedyś drapieżnikiem i agresją odpowiadał na agresję. Znał byłych żołnierzy, którzy przywykli do codziennej dawki adrenaliny jak do narkotyku: gdy przestali być użyteczni na prawdziwym polu walki, natychmiast - i jakże skutecznie - zmienili się w żołnierzy na niby i uganiali się po Sierra Madre, grając w paintball lub, co gorsza, przyjmowali pracę w podejrzanych firmach prowadzących jeszcze bardziej podejrzane interesy, zwykle w tych częściach świata, gdzie prawo stanowił wszechobecny bakszysz. On takimi ludźmi głęboko pogardzał. Mimo to często zastanawiał się, czy nie jest taki sam jak oni, czy wysoce wyspecjalizowane usługi, które oferował amerykańskim przemysłowcom, nie są tylko powszechnie szanowaną odmianą tego samego gówna.

Był samotny i ta samotność dokuczała mu najbardziej w nielicznych wolnych chwilach przeładowanego zajęciami dnia: gdy czekał w hotelu na spotkanie z kolejnym klientem, gdy czekał na kolejny samolot, gdy po prostu czekał. Wiedział, że na kolejnym lotnisku zobaczy tylko kolejnego kierowcę kolejnej limuzyny z białą tabliczką, na której będzie widniało jego przekreślane nazwisko, a potem kolejnego biznesmena, tym razem zniecierpliwionego szefa filii spółki handlowej - przemysł lekki - z siedzibą w Los Angeles. Tego rodzaju życie - tego rodzaju służba? - rzuciła go z jednego luksusowo urządzonego gabinetu do drugiego. Nie miał ani żony, ani dzieci, chociaż tak, żonę kiedyś miał, żonę i nadzieję na dziecko, bo w chwili śmierci Helena była w ciąży. „Chcesz rozśmieszyć Boga? Opowiedz mu o swoich planach” - mawiała jej dziadek. Powtarzała to tak często, że dziadkowa maksyma wreszcie się sprawdziła, i to w taki potworny sposób.

Popatrzył na rząd bursztynowych karafek na półce za barkiem. Nazwy trunków: alibi na ukryte w butelkach zapomnienie. Starał się utrzymywać formę, obsesyjnie ćwiczył, ale nawet w wojsku nigdy nie umiał odmówić sobie paru głębszych. Bo co to komu szkodziło?

- Telefon do pana Richarda Aleksandra - zaskrzeczał w głośnikach nosowy głos. - Pan Richard Alexander proszony jest do stanowiska Pacifica Airlines.

Takie komunikaty rozbrzmiewały na wszystkich lotniskach świata, stanowiły nieodłączną część ich tła, lecz ten wyrwał go z zamyślenia. Richard; Alexander to jego nazwisko, kiedyś go używał. Kiedyś, w dawno minionych czasach. Odruchowo się rozejrzył. Nie, to tylko zwykły przypadek, pomyślał, ale w tym samym momencie w wewnętrznej kieszeni marynarki zamruczała jego nokia. Wetknął do ucha słuchawkę i wcisnął przycisk.

- Tak?

- Pan Janson? Czy może raczej pan Alexander? - Głos jakiejś kobiety, zestresowanej i zdesperowanej.

- Kto mówi? - spytał cicho. Zdenerwowanie go odrętwiało, przy najmniej początkowo; zamiast rozdrażniać, uspokajało go i wyciszało.

- Muszę się z panem spotkać. Teraz, natychmiast. Proszę, to bardzo pilne... - Spółgłoski i samogłoski: wypowiadała je w sposób charakterystyczny dla dobrze wykształconych obcokrajowców. Ale jeszcze więcej podpowiadał mu znajomy szum w tle.

- Teraz? Ale po co?

Chwila wahania.

- Powiem panu, kiedy się spotkamy.

Janson wcisnął guzik, przerywając połączenie. Poczł lekkie mrowienie na karku. Najpierw ktoś prosił go o kontakt ze stanowiskiem Pacifica Airlines, teraz ktoś do niego dzwonił. Zbieg okoliczności? Nie. Ten ktoś musiał być gdzieś tu. Blisko, w zasięgu ręki. Upewniły go odgłosy w tle. Szybko powiódł wzrokiem po twarzach siedzących w poczekalni pasażerów, próbując ustalić, kto mógłby go w ten sposób namierzać.

Pułapka zastawiona przez starego, pamiętliwego i mściwego przeciwnika? Znał wielu takich, którzy ucieszyliby się z jego śmierci; niewykluczone, że dla kilku z nich żądza zemsty byłaby żądzą całkowicie uzasadnioną. A więc pułapka? Mało prawdopodobne. Przecież nic teraz nie robił. Nie przeprowadzał żadnej akcji, nie przemyślał nikogo przez Dardanele na pokład czekającej w Atenach fregaty, omijając po drodze wszystkie posterunki kontroli granicznej. Na miłość boską, on po prostu spokojnie siedział na lotnisku O'Hare w Chicago. I być może właśnie dlatego próbowali go tu dopaść. Na lotnisku są bramki z wykrywaczami metalu, są umundurowani strażnicy i ludzie czują się tu bezpiecznie. Umiejętne wykorzystanie tego wszystkiego wskazywałoby na wyjątkową przebiegłość, tym bardziej że na lotnisku, przez które przewija się codziennie prawie dwieście tysięcy pasażerów, środki bezpieczeństwa są raczej iluzoryczne.

Rozważył i szybko odrzucił szereg opcji. W skośnych promieniach słońca, wpadających do poczekalni przez żaluzje w wielkim oknie z grubego szkła, wychodzącym bezpośrednio na płytę lotniska, siedziała blondynka z laptopem na kolanach; tuż obok leżała komórka, wyłączona. Inna kobieta, siedząca bliżej wejścia, rozmawiała z ożywieniem z mężczyzną, który zamiast ślubnej obrączki miał cienki pasek bladej skóry na opalonym na brąz palcu. Janson uważnie zlustrował wzrokiem całe pomieszczenie i kilka sekund później dostrzegł tę, która do niego dzwoniła.

W cienistym kącie poczekalni siedziała spokojnie -jakże złudny był to spokój - kobieta w średnim wieku z telefonem przy uchu. Siwe, zniszczone włosy, granatowy kostium od Chanel z dyskretnymi guzikami z masy perłowej - tak, to ona, był tego pewien. Miała go zabić czy tylko zabójcę ubezpieczała? Istniało sto różnych możliwości, w tym ileś bardzo mało prawdopodobnych, lecz nawet tych nie mógł całkowicie wykluczyć. Wymagała tego taktyka, nabyte w polu nawyki, jego druga natura.

Szybko wstał. Musiał się natychmiast przegrupować, to zasada numer jeden. „Chcę się z panem spotkać. Teraz, natychmiast. Proszę, to bardzo pilne...” Dobra, skoro tak, chętnie, ale na moich warunkach. Ruszył w stronę wyjścia, chwycił po drodze papierowy kubek ze stoli-

ka, na którym stał pojemnik z zimną wodą, i udając, że kubek jest pełny, podszedł z nim do lady. Przy ladzie zamknął oczy, szeroko ziewnął i wpadł prosto na inspektora z Federalnej Administracji Lotniczej. Ten zachwiał się i zatoczył.

- Bardzo pana przepraszam - wybełkotał Janson z udawanym zażenowaniem. - Chyba pana nie oblałem? - Szybko przesunął dłońmi po jego marynarce. - Oblałem? Tak mi przykro...

- Nie, nie, nic się nie stało - odparł tamten z nutką zniecierpliwienia w głosie. - Ale lepiej niech pan uważa. Tu są setki ludzi.

- Wszystko przez te ciągłe zmiany stref czasowych – wychrypiał Janson jak znużony, zaspany pasażer. - Nie wiem, co się ze mną dzieje. Jestem kompletnie rozbity.

Gdy wyszedł z poczekalni i skręcił w korytarz prowadzący do sektora „B”, w jego kieszeni ponownie zamruczała komórka. Wszystko zgodnie z przewidywaniami.

- Pan nie rozumie - powiedziała kobieta. - Pan nie wie, jakie to pilne.

- Zgadza się - warknął Paul - nie wiem i nie rozumiem. W takim razie może zechce mi pani wytłumaczyć? - W załomie korytarza dostrzegł głęboką na niecały metr niszę, a w niej stalowe drzwi. Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem: NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP SUROWO WZBRONIONY.

- Nie mogę - odrzekła kobieta po chwili milczenia. - Nie przez telefon, boję się. Ale jestem na lotnisku i możemy się spotkać na...

- Na lotnisku? - przerwał jej Janson. - To niech pani zadzwoni dokładnie za minutę. - Kantem dłoni grzmotnął w poziomą sztabę na drzwiach, pchnął ją, wszedł do środka i znalazł się w kiszkiowatym pokoju zastawionym aparaturą do pomiaru temperatury powietrza w okolicach lotniska i mieszczącej się nieopodal fabryki lodówek. Na wieszakach wisiał rząd białych czepków i fartuchów.

Przy okrągłym metalowym stoliku z laminowanym blatem piło kawę trzech pracowników lotniska w granatowych mundurach. Janson najwyraźniej przerwał im rozmowę.

- Co pan tu robi? - wrzasnął jeden z nich, gdy Paul zatrzasnął za sobą drzwi. - Tu nie wolno wchodzić.

- Co to, kurwa, kibel? - rzucił drugi.

Paul uśmiechnął się zimno.

- Znienawidzicie mnie, chłopcy, ale wiecie co? - Wyjął z kieszeni legitymację, którą ukradł inspektorowi przy ladzie w poczekalni. - Mamy kolejną akcję antynarkotykową. Sprawdzamy was na chybił trafił. Wirykowe badania pracowników transportu lotniczego. To fragment ostatniego memorandum szefa. Proszę napełnić kubeczki, panowie. Przepraszam za niedogodność, ale cóż, płacą wam za to że hej, prawda?

- No nie! - wrzasnął z niesmakiem ten trzeci. - Kurwa! - Był łysy, nie licząc pasemka siwiejących włosów z tyłu głowy, i miał za uchem ołówek.

- Ruszcie dupy - warknął Janson. - Tym razem robimy to według nowej procedury. Mój zespół czeka przy bramie numer dwa, w korytarzu „A”. Na waszym miejscu bym nie zwlekał. Kiedy tracą cierpliwość, popełniają błędy. Jasne?

- Kurwa! - powtórzył łysielec.

- Mam zameldować, że członek Stowarzyszenia Transportu Powietrznego odmówił badania czy też próbował go uniknąć? Uprzedzam, że ci z was, którzy dostaną na teście plus, mogą od razu zacząć szukać sobie nowej roboty. - Paul splótł ręce na piersi. - No? Jazda stąd, ale już!

- Dobra, już dobra, idę - mruknął łysielec, tracąc pewność siebie. - Nie ma mnie, OK? - Poirytowani i zde gustowani, wszyscy trzej pośpiesz nie wyszli z pomieszczenia, zostawiając na stoliku kawę i notatki. Janson wiedział, że dojdzie do bramy numer dwa w korytarzu „A” zajmie im co najmniej dziesięć minut. Zerknął na zegarek. W tej samej chwili ponownie zaburzała komórka w jego kieszeni. Kobieta odczekała dokładnie sześćdziesiąt sekund.

- W hali kasowej jest bar szybkiej obsługi - powiedział do słuchawki. - Będę tam na panią czekał. Przy stoliku po lewej, na samym końcu. Do zobaczenia. - Zdjął marynarkę, włożył biały fartuch i czepek i wszedł do niszy przed stalowymi drzwiami. Pół minuty później nadeszła siwowłosa kobieta w kostiumie od Chanel.

- Hej, złotko! - Jednym płynnym ruchem zatkał jej ręką usta, chwycił wpół i wciągnął do środka, upewniwszy się przedtem, czy nikt tego nie widzi. Wszystko razem trwało ledwie trzy sekundy i nawet jeśli ktoś by ich zauważył, pomyślałby pewnie, że to tylko takie zaloty.

Kobieta zeszywniała ze strachu, mimo to nie próbowała nawet krzyknąć, demonstrując zawodowy spokój, który bynajmniej Jansona nie uspokoił. Zatrzasnąwszy drzwi, wskazał jej krzesło przy stoliku.

- Słucham - rzucił.

W tym surowym, pozbawionym wygod wewnątrz kobieta wyglądała zbyt elegancko, tak elegancko, że aż dziwacznie. Usiadła na jednym ze składanych metalowych krzeseł. On nie usiadł.

- Nie tak sobie pana wyobrażałam - zaczęła. - Nie wygląda pan na... - Urwała, widząc, że Janson patrzy na nią z nieukrywaną wrogością. - Proszę posłuchać, nie mamy na to czasu...

- Nie wyglądam na kogo? - wycedził. - Nie wiem, za kogo się pani, do diabła, uważa i nie zamierzam nawet wytykać pani tego, że naruszyła pani szereg powszechnie akceptowanych zasad. Nie pytam pani, skąd pani ma numer mojej komórki ani jak dowiedziała się pani tego, co pani o mnie wie. Ale zanim skończymy, wołałbym, żeby raczyła mi to pani wyjaśnić. Tak byłoby dużo lepiej: dla pani, rzecz jasna. - Nawet jeśli miał do czynienia ze zwykłą klientką, która chciała go legalnie zatrudnić, to fakt, że próbowała nawiązać z nim kontakt w miejscu publicznym, był wysoce niestosowny. To zaś, że wymieniła przy okazji jego fałszywe, choć od lat nieużywane nazwisko, było karygodnym pogwałceniem wszelkich możliwych zasad i reguł.

- Rozumiem - odrzekła. - Najwyraźniej źle mi doradzono. Będzie musiał mi pan wybaczyć...

- Czyżby? To tylko przypuszczenie. - Poczul delikatny zapach jej perfum: Jubilee Penhaligona. Spotkali się wzrokiem i nieco złagodniał, widząc jej smutne, ściągnięte usta i szarozielone oczy, z których biła posępna determinacja.

- Jak już mówiłam, nie mamy zbyt dużo czasu...

- My? Ja mam.

- Możliwe, ale Peter Novak nie ma.

Peter Novak.

Janson drgnął. I nic dziwnego. Ten legendarny węgierski finansista i filantrop dostał przed rokiem Pokojową Nagrodę Nobla za wydatną pomoc w rozwiązywaniu konfliktów niemal we wszystkich zakątkach świata. Był założycielem i dyrektorem Fundacji Wolność, organizacji propagującej demokrację sterowaną - jego największą pasję - i miał swoje przedstawicielstwa we wszystkich stolicach Europy Wschodniej oraz w innych, mniej cywilizowanych częściach świata. Ale Janson miał też swoje własne powody, żeby dobrze go pamiętać. Powody te, a raczej zaciągnięty wobec niego dług, były tak ważne i znaczące, że wdzięczność, jaką wobec niego odczuwał, ciążyła mu niekiedy jak brzemię.

- Kim pani jest? - spytał.

Nieznajoma przeszła go szarozielonym spojrzeniem.

- Nazywam się Marta Lang i pracuję dla Petera Novaka. Mogłabym pokazać panu moją wizytówkę, ale...

Janson powoli pokręcił głową. Wizytówka zawierałaby jedynie nic nie mówiące tytuły, przedstawiające ją zapewne jako ważną dyrektorkę Fundacji Wolność czy kogoś w tym rodzaju. „Pracuję dla Petera Novaka”. Po sposobie, w jaki wypowiedziała te słowa, poznał, z kim ma do czynienia. Była jego wysłanniczką, człowiekiem do wszystkiego, jego poruczn-

kiem; wszyscy wielcy tego świata mieli swoją Martę Lang. Ludzie tacy jak ona woleli trzymać się w cieniu, mimo to pośrednio mieli wielką władzę. Sądząc po jej nazwisku i leciutkim, prawie nieuchwytnym akcencie, była Węgierką, podobnie jak jej chlebowdawca.

- Co chce mi pani powiedzieć? - spytał, mrużąc oczy.

- Tylko tyle, że Peter Novak potrzebuje pomocy. Tak samo jak kiedyś pan. W Baaqli-
nie.

Nazwa tego zapuszczonego, zapomnianego przez Boga i ludzi miasta zabrzmiała w jej ustach jak wyrok, jak paragraf, jak rozdział kodeksu karnego. I właśnie tym była dla Jansona.

- Nie zapomniałem - odparł cicho.

- W takim razie teraz musi pan wiedzieć, że Peter Novak potrzebuje pańskiej pomocy.

Kilka słów wyjątkowo celnie dobranych. Janson przypatrywał jej się przez chwilę.

- Dokąd? - rzucił wreszcie.

- Może pan wyrzucić swój bilet. Samolot czeka, mamy pozwolenie na natychmiastowy start. - Wstała. Widać było, że determinacja czy też desperacja dodaje jej sił, że jest dzięki niej spokojniejsza, że panuje nad sytuacją. - Musimy iść. Zaryzykuję i powiem raz jeszcze: nie mamy czasu.

- Pozwoli pani, że ja też zaryzykuję: dokąd lecimy?

- O to chcielibyśmy spytać pana.

Rozdział 2

Wchodząc chropowatymi, aluminiowymi schodkami na pokład gulfstreama V, przeczytał biały napis, ostro kontrastujący z lśniąca, ciemnoniebieską farbą, jaką pomalowano kadłub samolotu. *Sok kicsi sokra megy*. Po węgiersku. Równie dobrze mogli napisać po chińsku.

Na pasie startowym panował ogłuszający huk. Wysoki, przenikliwy jęk turbin we wlotach powietrza silników odrzutowych mieszał się z basowym rykiem, z jakim to powietrze z nich wylatywało, lecz gdy tylko zamknęły się drzwi, w samolocie zapanowała cisza, jakby weszli do dźwiękoszczelnego pomieszczenia.

Kabinę urządzonego ze smakiem, lecz bez przepychu. Widać było, że maszyna należy do kogoś, kto ma duże pieniądze, lecz nie dba o luksusy. W środku dominował kolor rdzawoczerwony. Rdzawoczerwone były również duże, obite skórą klubowe fotele po obu stronach przejścia; niektóre z nich stały naprzeciwko siebie, rozdzielone niskimi, przymocowanymi do podłogi stolikami. Z tyłu kabiny siedziało czworo posepnych mężczyzn i kobiet, najwyraźniej członków osobistego sztabu Marty Lang.

Marta wskazała mu fotel tuż przy drzwiach. Usiadła naprzeciwko i wymruczała coś do słuchawki interkomu. Sekundę później silniki zwiększyły ciąg - Janson musiał dobrze wytężyć słuch, żeby to zauważyć - i samolot ruszył. Izolacja dźwiękowa była wprost niezwykła. Od kabiny pilotów oddzielało ich jedynie obite dywanową wykładziną przepierzenie.

- Ten napis na burcie, co to znaczy?
- „Z rzeczy małych powstają wielkie”. Węgierskie przysłowie ludowe, ulubiona maksyma Petera. Na pewno pan wie, dlaczego tak bardzo ją lubi.
- Trzeba przyznać, że wciąż pamięta, od czego zaczynał.
- Jest taki, jaki jest, dzięki Węgrom, swoim rodakom. Nie należy do ludzi, którzy zapominają o długach. - Marta posłała mu znaczące spojrzenie.
- Tak jak ja.
- Wiem. Dlatego wierzę, że można na panu polegać.
- Jeśli macie dla mnie jakieś zadanie, chciałbym poznać szczegóły, i to jak najszybciej. Proszę wybaczyć, ale wolałbym również, żeby przedstawił mi je pan Novak, a nie pani.
- Na razie będę musiała panu wystarczyć. Jestem wicedyrektorką fundacji, pracuję z Peterem od wielu lat.
- Nie kwestionuję pani lojalności wobec chlebodawcy – odparł chłodno Janson. - Bynajmniej. Pracownicy Petera Novaka z niej słyną. - Nieco dalej ludzie Marty pochylali się nad mapami i jakimiś planami. Co się tu, do diabła, działo? Zaczął go ogarniać niepokój.
- Rozumiem, co chce pan powiedzieć. Rozumiem również to, czego przez grzeczność powiedzieć pan nie chce. Proszę mi wierzyć: nikt z nas nie ma żadnych złudzeń. Peter Novak jest zwykłym śmiertelnikiem. Je, śpi i chodzi do toalety jak każdy człowiek. My wiemy o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Ale nie kieruje nim religia, panie Janson. Kieruje nim powołanie. Proszę sobie wyobrazić, że najbogatszy człowiek, jakiego pan zna, jest jednocześnie człowiekiem najinteligentniejszym i najmiłszym. Chce pan wiedzieć, dlaczego jesteśmy wobec niego tacy lojalni? Dlatego, że Peter nie jest wyrachowany i obojętny. Że mu na czymś zależy, że jeśli już coś robi, robi to z nieludzkim wprost zaangażowaniem. Parafrazując wasze powiedzenie, Peter nie ma niczego gdzieś, w przeciwieństwie do większości z nas. Chce pozostawić po sobie świat lepszy niż ten, który zastał. Może pan powiedzieć, że to próżność, ale jeśli tak, jest to próżność, jakiej najbardziej potrzebujemy. Ludziom brakuje i zaangażowania, i wizji.
- Tak, o ile dobrze pamiętam, ci od Nobla nazwali go wizjonerem.

- Nie lubię tego słowa. Już dawno się zdewaluowało. Wystarczy otworzyć pierwszy lepszy numer „Fortune” i znajdzie pan tam kogoś, kto twierdzi, że jest „wizjonerem” od kabli telefonicznych czy napojów chłodzących. Ale Fundacja Wolność naprawdę była i jest spełnieniem cudownej wizji: wizji Petera Novaka. Wierzył w demokrację sterowaną w czasach, kiedy wszyscy uważali, że to tylko mrzonka. Wierzył, że można odbudować cywilizowane społeczeństwa w krajach gnębionych przez totalitaryzm i rozdartych przez konflikty narodowościowe. Gdy mówił o tym piętnaście lat temu, wszyscy się z niego śmiali. Kto śmieje się z niego dzisiaj? Nikt mu nie pomógł: ani Stany Zjednoczone, ani ONZ, ale to bez znaczenia. Peter odmienił nasz świat.

- Trudno z tym polemizować - odrzekł poważnie Janson.

- Analitycy z waszego Departamentu Stanu publikowali niekończące się raporty na temat „zadawnionych zatargów etnicznych” i waśni granicznych, twierdząc, że nigdy nie da się ich załagodzić, że nie warto nawet próbować. On próbował. Próbował i odnosił sukces za sukcesem. W regionach, które od niepamiętnych czasów znały jedynie smak wojny, zapanował prawdziwy pokój... - Ze wzruszenia ścisnęło ją w gardle i zamilkła; najwyraźniej nie nawykła do okazywania tak intensywnych uczuć.

Janson taktownie odczekał, aż Węgierka weźmie się w garść.

- Jestem ostatnią osobą na świecie, która by temu przeczyła - powiedział, żeby wypełnić ciszę. - Pani chlebobawca pragnie pokoju dla samego pokoju, demokracji dla samej demokracji. To wszystko prawda. Ale prawdą jest również to, że jego majątek osobisty przewyższa PKJB wielu krajów, w których prowadzi swoją działalność.

Marta skinęła głową.

- Orwell napisał, że świętych powinno się uważać za winnych, dopóki nie udowodni się im niewinności. Peter wielokrotnie udowodnił, kim naprawdę jest. To człowiek dobry na wszystkie czasy, dla wszystkich ludów i narodów. Trudno wyobrazić sobie świat, w którym by go zabrakło. - Spojrzała na niego zaczerwienionymi oczyma.

- A więc dobrze, słucham. Dlaczego tu jestem? I gdzie jest on?

Marta Lang wzięła głęboki oddech, jakby miała do powiedzenia coś, co sprawi jej fizyczny ból.

- Jest zakładnikiem rebeliantów Kagama. Chcemy, żeby go pan uwolnił. Żeby go pan "ewakuował", bo tak to chyba nazywacie. W przeciwnym razie zginie. Tam, na Anurze.

Na Anurze... Peter Novak był zakładnikiem bojowników Frontu Wyzwolenia Ludu Kagama. A Marta Lang chciała, żeby Janson go uwolnił. Nic dziwnego. Anura. Od pięciu lat nie było dnia, żeby o tej wyspie nie myślał. O Anurze. O swoim prywatnym piekle.

- Powoli zaczynam rozumieć. - Odchrząknął. Zaschło mu w ustach.

- Kilka dni temu pojechał tam, żeby doprowadzić do rozejmu między rebeliantami i zwolennikami rządu. Istniało wiele napawających nadzieją oznak. Wierzyliśmy, że wszystko jest na dobrej drodze. Przedstawiciele Frontu Wyzwolenia Ludu Kagama twierdzili, że uważają go za uczciwego, wiarygodnego mediatora i zaproponowali spotkanie w Kennie. Zaakceptowali również wiele postulatów, które jeszcze do niedawna bez namysłu odrzucali. Koniec terroru i trwały pokój na Anurze byłby wielkim osiągnięciem. Każdy to rozumie, pan chyba też.

Janson milczał, lecz serce waliło mu jak młotem.

Mieli dom w Cynamonowych Ogrodach, jednej z dzielnic stołecznego Caligo. Dom wyposażony i umeblowany przez ambasadę, stał w okolicy, gdzie wciąż jeszcze szumiały drzewa, resztki zielonej dżungli, porastającej niegdyś całą Anurę. Gdy wiała poranna bryza, szeleściły liśćmi, a wśród tych liści śpiewały ptaki. Ale ze snu wyrwał go wtedy nie szczebiot

ptaków, tylko cichy, zdławiony kaszel, a potem szum wody z kranu. Z łazienki wyszła Helena, energicznie szorując zęby szczoteczką.

- Może lepiej nie idź dzisiaj do pracy - wymruczał sennie.

Zona pokręciła głową.

- Nie bez powodu nazywają to porannymi mdłościami - odrzekła z uśmiechem. - Szybko mijają, znikają jak rosa w pierwszych promieniach słońca.

Zaczęła się ubierać; zaraz miała iść do ambasady. Gdy się uśmiechała, śmiała się cała jej twarz: usta, policzki, oczy - zwłaszcza oczy... Znowu zalała go fala obrazów z tamtych lat. Helena układająca na łóżku ubranie do pracy. Robiła korekty raportów dla Departamentu Stanu. Niebieska lniana spódniczka. Biała jedwabna bluzka... Helena szeroko otwierająca okna w sypialni, żeby poczuć tchnienie tropikalnego powietrza, pachnącego cynamonem, mango i uroczynem. Helena i jej promienna twarz, zadarty nosek, przejrzyste, niebieskie oczy. Helena i jej ciało, tak orzeźwiająco chłodne w gorące anurańskie noce. Jakże chropowata i twarda wydawała się jego skóra w porównaniu z aksamitem jej skóry.

- Nie idź, kochanie - powtórzył. - Weź wolny dzień.

- Nie mogę, skarbie - odrzekła. - Albo będzie im mnie brakowało, albo nie: jedno gorsze od drugiego. - Cmoknęła go w czoło i wyszła.

Gdyby tylko wtedy została. Gdyby została... Praca i życie prywatne: koszmar rozstajnych dróg. Anurę, wyspę na Oceanie Indyjskim, kraj wielkości Wirginii Zachodniej, zamieszkaną przez dwanaście milionów ludzi, Bóg obdarzył rzadkim pięknem natury i bogatą kulturą. Janson spędził tam półtora roku jako szef specjalnej grupy wywiadowczej, której powierzono zadanie dokonania bezstronnej oceny niepewnej sytuacji politycznej na wyspie i wytropienia sił wspierających coraz większy wśród tubylców ferment. Ferment wzbierał dlatego, że od piętnastu lat na tej rajskiej wyspie grasowała najbardziej niebezpieczna organizacja terrorystyczna na świecie: Front Wyzwolenia Ludu Kagama. Tysiące młodych mężczyzn i kobiet, którzy ulegli charyzmie człowieka zwanego przez nich Kalifem, nosiły skórzane wiatory z kapsułką cyjanku potasu, co miało oznaczać, że są gotowi oddać życie za sprawę. Sam Kalif miał szczególne upodobanie do zamachów bombowych. W trakcie kampanii wyborczej przed kilku laty - miała wyłonić nowego premiera Anury - pewna młoda dziewczyna z potężnym ładunkiem wybuchowym pod sari wyryła trwały ślad w historii politycznej wyspy. Zginął premier, zginęło ponad sto przypadkowych osób. Potem nadeszły czasy samochodów pułapek i zamachów bombowych w centrum Caligo. Jeden z takich samochodów zburzył gmach anurańskiego centrum handlowego. Inny, z reklamą międzynarodowej firmy kurierskiej, przyniósł śmierć kilkunastu pracownikom ambasady amerykańskiej na Anurze.

Wśród nich była Helena. Kolejna ofiara bezsensownej przemocy. Ofiara, a raczej dwie, bo przecież było dziecko, które nosiła pod sercem.

Sparalizowany smutkiem Janson zażądał dostępu do zapisu rozmów przechwyconych przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego, łącznie z zapisem rozmów satelitarnych między przywódcami rebeliantów. Wyrwane z kontekstu i pośpiesznie przetłumaczone na angielski, nie oddawały intonacji głosu rozmówców i były jedynie szybkim, beznamiętnym, zapisem. Jednak ich radosny ton nie pozostawiał żadnych wątpliwości: zamach na ambasadę był dziełem Kalifa. Był jego dumą i chlubą.

Heleno, słońce...

Marta Lang dotknęła jego dłoni.

- Przepraszam - szepnęła. - Wiem, że to bardzo boli.

- Na pewno - odparł beznamiętnie Janson. - Między innymi dlatego właśnie mnie wybraliście.

Nie odwróciła wzroku.

- Peter wkrótce zginie. Konferencja w Kennie okazała się zwykłą pułapką.
- Szaleństwem było już samo to, że w ogóle tam pojechał – warknął Paul.
- Czyżby? No tak, ma pan rację, reszta świata zrezygnowała, poddała się. Nie liczę tych, którzy ukradkiem popierają wszelką przemoc. Ale nic nie obraża Petera bardziej niż defetyzm.

Janson poczerwieniał z gniewu.

- Front Wyzwolenia Ludu Kagama wezwał do obalenia republiki. Jego członkowie i zwolennicy wierzą w przemoc. Jak można negocjować z takimi fanatykami?

- Proszę mi wierzyć, szczegóły są banalne, jak zawsze. Zamierzaliśmy zorganizować na Anurze rząd federalny, rząd, który przyzna prowincjom większą autonomię. Chcieliśmy wynagrodzić krzywdy wyrządzone ludowi Kagama, dając im prawo do samostanowienia i gwarantując Anurańczykom ochronę praw obywatelskich. Leżało to w interesie obu partii politycznych. Tak podpowiadał zdrowy rozsądek. A zdrowy rozsądek czasami zwycięża: Peter wielokrotnie to udowodnił.

- Naprawdę nie wiem, co o was sądzić. Jesteście bohaterami czy zwykłymi arogantami?

- Myśli pan, że łatwo jest odróżnić jednych od drugich?

Janson w zamyśleniu potarł czoło.

- Dajcie tym sukinsynom to, czego chcą, i tyle - powiedział stłumionym głosem.

- Rzecz w tym, że oni niczego nie chcą - odrzekła cicho Marta. - Prosiłiśmy ich, żeby wyznaczili cenę za jego uwolnienie, ale nie chcieli nawet o tym słyszeć. Powtarzają wciąż to samo: Peter Novak został skazany na śmierć za zbrodnie kolonialne i jego egzekucja jest „nieodwołalna”. Czy zna pan mużułmańskie święto Id ul-Kebir?

- Upamiętnia poświęcenie Abrahama.

Martą kiwnęła głową.

- Baranek ofiarny. Kalif mówi, że w tym roku poświęcą na ołtarzu Petera Novaka. Ma być święty. W najbliższy piątek.

- Ale dlaczego? Na miłość boską, dlaczego?

- Dlatego - odparła Marta Lang. - Po prostu dlatego! Jest wrogim agentem neokolonializmu; tak mówią ci z Frontu Wyzwolenia Ludu Kagama. Dzięki jego śmierci ludzie z FWLK zdobędą większą sławę niż ta, którą zdobyli przez piętnaście lat organizowania zamachów bombowych. A może ten ich Kalif za wcześniej zaczął siadać na nocniku: skąd, do diabła, mogą wiedzieć, dlaczego? Pańskie pytanie zakłada odpowiedź z minimalną dozą racjonalności, której terroryści po prostu nie znają.

- Jezu Chryste - mruknął Janson. - Ale jeśli Kalif chce w ten sposób dodać sobie splendoru, dlaczego jeszcze tego nie rozgłosił? Dlaczego nie wiedzą o tym media?

- Bo jest przebiegły. Jeśli rozgłosi to dopiero po śmierci Petera, ubiegnie próby nacisku ze strony międzynarodowej opinii publicznej, próby ewentualnej interwencji. Wie też, że my nie odważymy się tego rozgłosić, bo przekreślilibyśmy natychmiast wszelkie nadzieje, jakkolwiek nikłe, na jego uwolnienie.

- A naciski międzynarodowej opinii publicznej? Czy rząd jakiegoś większego kraju interweniowałby sam z siebie? Nawiasem mówiąc, wciąż nie rozumiem, dlaczego zwróciliście się do mnie. Sama pani po wiedziała, że Novak jest człowiekiem dobrym na wszystkie czasy, dla wszystkich ludów i narodów świata. Skoro Stany Zjednoczone są jedynym supermocarstwem, to dlaczego nie poszliście z tym do Waszyngtonu?

- Od tego zaczęliśmy. Dostarczyli nam informacji. I bardzo nas przepraszali, że nie mogą się w to oficjalnie angażować.

- Dziwne. Śmierć Novaka mogłaby zdestabilizować sytuację w kilku co najmniej regionach świata, a co jak co, ale stabilizację Waszyngton bardzo sobie ceni.

- Ale ceni sobie również życie Amerykanów. Departament Stanu uważa, że interwen-

cja wspierana przez USA, wszystko jedno: oficjalnie czy tajnie, mogłaby narazić na poważne niebezpieczeństwo pańskich ziomeków, którzy przebywają w tej chwili na terenach zajętych przez wojska rebeliantów.

Janson milczał. Dobrze wiedział, jak przeprowadza się tego rodzaju kalkulacje. Sam wielokrotnie je przeprowadzał.

- Twierdzili również, że są też dodatkowe... komplikacje. – Marta wymówiła to słowo z nieskrywaną odrazą. - Saudyjczycy, a więc wasi sojusznicy, wspierają Kalifa od wielu lat. Owszem, krytykują jego nie które poczynania, ale gdyby odmówili pomocy ciemieżonym malkontentom zamieszkującym brzegi i wyspy tego muzułmańskiego jeziora, które my nazywamy Oceanem Indyjskim, straciliby twarz i odwróciłby się od nich cały świat islamski. Poza tym jest jeszcze sprawa tej Hedderman...

Janson kiwnął głową.

- Tak, wiem. Studentka antropologii z Columbia University. Prowadziła badania w północno-wschodniej części Anury. Co było z jej strony równie głupie jak odważne. Rebelianci schwytali ją i oskarżyli o szpiegostwo na rzecz CIA. To z kolei było równie głupie jak nikczemne:

- Przetrzywiają ją od dwóch miesięcy, nie ma z nią żadnego kontaktu. Nie licząc gołosłownych deklaracji, Stany Zjednoczone nie zrobiły dla niej absolutnie nic. Wasz rząd nie chciał „komplikować już i tak skomplikowanej sytuacji”.

- Jasne, rozumiem. Skoro Stany Zjednoczone nie chcą interweniować w sprawie amerykańskiej obywatelki...

- Jak by to wyglądało, gdyby interweniowały w sprawie węgierskiego multimilionera. Właśnie. Nie powiedzieli tego wprost, ale na to wychodzi. Ze względów politycznych, jest to „kwestia nie do obronienia”. Często to powtarzali.

- A potem wy przedstawiliście im wszystkie oczywiste kontrargumenty...

- Te mniej oczywiste też. Pociągnęliśmy za wszystkie możliwe sznurki. Śmiem twierdzić, że zwykle udaje nam się postawić na swoim, chociaż często nie jest to łatwe. Tym razem się nie udało. A potem...

- Niech no zgadnę - przerwał jej Paul. - Odbiliście coś, co tamci nazywają „małą pogawędką w cztery oczy” i w trakcie tej pogawędki padło moje nazwisko.

- Padało wielokrotnie. Rekomendowało pana kilku wysoko postawionych urzędników wywiadu. Już nie pracuje pan dla rządu. Jest pan wolnym strzelcem. Ma pan liczne międzynarodowe koneksje, znajomości wśród ludzi zajmujących się tym samym co pan lub tym, czym zajmował się pan kiedyś. Według pańskich byłych kolegów z Konsularnego Wydziału Operacyjnego, „w tej branży nie ma lepszych niż Paul Janson”. Koniec cytatu.

- Niestety to cytat sformułowany w złym czasie gramatycznym; A więc powiedzieli wam, że się wycofałem. Ciekawe, czy powiedzieli również, dlaczego.

- Najważniejsze, że pracuje pan teraz na własną rękę- odparła Marta. - Pożegnał się pan z nimi pięć lat temu.

Janson przekrzywił głowę.

- W sytuacji równie zręcznej jak taka, kiedy mówi się komuś na ulicy do widzenia, a potem się odkrywa, że ten ktoś idzie w tę samą stronę.

Żeby rozstać się na dobre z KWO, Konsularnym Wydziałem Operacyjnym, musiał odbyć kilkanaście rozmów. Różnych: spokojnych, grzecznych, niewygodnych i burzliwych. Najlepiej utkwiała mu w pamięci ta z podsekretarzem Derekiem Collinsem. Oficjalnie był dyrektorem Biura Wywiadu i Badań Departamentu Stanu, nieoficjalnie szefem jego tajnej komórki: Konsularnego Wydziału Operacyjnego. Nawet teraz miał przed oczami twarz Collinsa,

Widział, jak ten zdejmuje okulary w czarnych oprawkach i, pocierając powoli nasadę nosa, mówi:

- Żal mi cię, Janson. Nigdy nie myślałem, że będę ci to musiał po wiedzieć. Jesteś maszyną. Robotem. Tam gdzie zwykli ludzie mają serce, ty masz kawał granitu. I nagle mówisz mi, że mierzi cię to, w czym jesteś najlepszy. Jak się w tym wszystkim połapać, do cholery? To tak, jakby cukiernik powiedział, że przestał lubić słodczyce. Jakby pianista doszedł do wniosku, że nie znosi muzyki. Janson, przemoc to twój żywioł, jesteś w tym fachu bardzo, ale to bardzo dobry. I raptem mówisz, że praca, którą wykonujesz od tylu lat, brzydzi cię i odpycha.

- Nie oczekiwałem, że mnie zrozumiesz. Powiedzmy, że mi się odmieniło. Że tak mi każe serce.

- Ale ty nie masz serca, Janson. - Oczy Collinsa były jak z lodu. - Dlatego robisz to, co robisz. Diabła tam: dlatego jesteś tym, kim jesteś.

- Może. A może jestem kimś zupełnie innym.

Collins zaśmiał się krótkim, szczekliwym śmiechem.

- Nie umiem się wspinać po linie - odparł. - Nie umiem pilotować samolotu. Kiedy patrzę przez noktowizor, dostaję mdłości. Ale znam się na ludziach. Potrafię ich rozgryźć. Na tym polega moja praca. Mówisz, że zabijanie zaczęło budzić w tobie wstręt. Powiem ci teraz coś, co pewnego dnia zapewne sam odkryjesz: gdyby nie zabijanie, nie czułbyś, że żyjesz.

Paul wzdrygnął się. Słowa Collinsa uświadomiły mu po raz setny, że musi odejść, że powinien był odejść już dawno temu. Pokręcił głową.

- Czy... - zaczął i urwał, przepełniony odrazą. Wziął głęboki oddech. - Czy kogoś, kto musi zabijać, żeby poczuć, że żyje, można nazywać człowiekiem?

Collins przeszył go palącym spojrzeniem.

- Właśnie - odparł. - O to samo cię przed chwilą pytałem.

- Co pani tak naprawdę o mnie wie? - drażył Paul Nadal lecieli prywatnym odrzutowcem Novaka.

- Cóż, jak się pan zapewne domyśla, pańscy koledzy powiedzieli mi, że wyjechał pan z Anury, nie dokończywszy pewnej... sprawy.

- To też cytat? „Nie dokończywszy pewnej sprawy”?

Marta Lang skinęła głową.

Strzępy ubrania, fragmenty kości, kilka oderwanych od ciał i odrzuconych siłą wybuchu kończyn. Szczątki jego ukochanej. Szczątki jego ukochanych. Reszta to „zbiorówka”, by użyć ponurego określenia patologów. Śmierć i zniszczenie. Krwawe szczątki ofiar, szczątki nijakie i nie do rozpoznania. I za co to wszystko? Za co?!

- Tak, to możliwe - odrzekł po krótkim namyśle. - Ci ludzie nie mają poetyckiej duszy.

- Poza tym owszem, tak, wiedzieli, że znamy już pańskie nazwisko.

- Baaqlina?

- Chodźmy. - Marta wstała. - Przedstawię panu mój zespół. Czworo ludzi, którzy są tu wyłącznie po to, żeby panu pomagać. Zdobędą każdą informację, której będzie pan potrzebował, a jeśli nie, to na pewno podpowiedzą, jak ją zdobyć. Mamy archiwum zawierające spis depesz i rozmów przechwyconych przez wywiad oraz wszystkie informacje uzupełniające, jakie mogliśmy zebrać w tak krótkim czasie. Mapy, schematy, plany architektoniczne: wszystko to do pańskiej dyspozycji.

- Jeszcze jedno - odrzekł Janson. - Wiem, dlaczego się do mnie zwróciliście, i nie odmówię wam. Ale czy wzięliście pod uwagę to, że z tych samych powodów, dla których poprosiliście właśnie mnie, mogę być najmniej odpowiednim kandydatem do waszego zadania?

Marta przeszyła go twardym spojrzeniem. Nie odpowiedziała.

Kalif - tego dnia włożył śnieżnobiałe szaty - przeszedł przez Wielką Salę, olbrzymie atrium na pierwszym piętrze wschodniego skrzydła Kamiennego Pałacu. Usunięto już wszystkie ślady krwi - prawie wszystkie. Skomplikowane geometryczne wzory, wymalowane na pięknym drewnianym parkiecie, były w kilku miejscach lekko zniekształcone i pokryte rdzawym osadem, jaki pozostawia po sobie tylko krew.

Przeszedł przez salę i usiał u szczytu długiego na dziewięć metrów stołu, gdzie podano mu filiżankę herbaty ze zbiorów w Kennie. Otaczali go żołnierze z osobistej ochrony, prości, wierni chłopcy o czujnych oczach, którzy służyli mu od wielu, wielu lat. Wezwano już delegatów Kagama, siedmiu mężczyzn, którzy uczestniczyli w negocjacjach z Peterem Novakiem, a ci bezzwłocznie przybyli do pałacu. Dobrze się sprawili. Wszyscy, cała siódemka. Dali Novakowi do zrozumienia, że zmęczeni ciągłymi walkami, są gotowi uznać „nowe realia”. Mówili o „ustępstwach”, o „kompromisie”, skutecznie mydląc oczy i wścibskiemu Węgrowi, i przedstawicielom anurańskiego rządu.

Należeli do powszechnie szanowanej starszyny ludu Kagama, mieli wszelkie możliwe pełnomocnictwa, występowali w imieniu Kalifa i wypełnili swoje zadanie co do joty. Teraz mieli oddać Anurze jeszcze jedną, ostatnią już przysługę.

- Sahibie, delegaci przybyli - oznajmił młody goniec, wstydliwie spuszczać wzrok.

- W takim razie może zechcesz zostać, popatrzeć i opowiedzieć innym o tym, co zobaczysz w tej pięknej sali? - odrzekł Kalif. Pytanie było rozkazem, a rozkazom Kalifa nikt nie śmiał się sprzeciwić.

Otworzyły się potężne mahoniowe drzwi i do Wielkiej Sali wkroczyło siedmiu mężczyzn. Podekscytowani i rozradowani, niemal płynęli w powietrzu, oczekując pochwał i wyrazów wdzięczności.

- Witam tych, którzy z tak wielką wprawą prowadzili negocjacje z rządem Republiki Anury - zaczął Kalif czystym, donośnym głosem. - Witam szanowanych oficerów Frontu Wyzwolenia Ludu Kagama.

Siedmiu mężczyzn pokornie pochyliło głowy.

- To był nasz obowiązek, Sahibie - odrzekł najstarszy z nich. Miał już siwe włosy, lecz oczy płonęły mu niezwykłym blaskiem. Uśmiechnął się niepewnie, trawiony niecierpliwym wyczekiwaniem. - To ty, Sahibie, jesteś architektem naszego przeznaczenia. My wypełniliśmy jedynie twoje majestatyczne...

- Zamilcz! - przerwał mu Kalif. - Powszechnie szanowani oficerowie Frontu Wyzwolenia Ludu Kagama, którzy zawiedli pokładane w nich zaufanie! - Zerknął na ochroniarzy. - Patrzcie, jak ci zdrajcy mizdrzą się, uśmiechają i wywyższają przed nami. Bezwstydni! Przeznaczenie? Zaprzedałoby nasze przeznaczenie za miskę nędznej zupy! Nie byli upoważnieni do tego, co próbowali zrobić. Są lokajczykami republikańskich ciemżycieli, odszczepieńcami, zdrajcami świętej w oczach Allaha sprawy! Każdy ich oddech jest obrażą dla Proroka, *salla Allah u ałihi wa sallam*.

Wystarczyło, że nieznacznie skinął palcem, i ochroniarze zrobili to, co mieli zrobić.

Delegaci zaczęli coś mówić, próbowali protestować, lecz uciszyła ich krótka, celnie mierzona salwa. Poruszali się spazmatycznie, gwałtownie. Na bieli ich strojów wykwitły jaskrawoczerwone plamy. Przez salę przetoczyło się echo przypominające odgłos, jaki wydają wybuchające w powietrzu fajerwerki. Kilku mężczyzn krzyknęło. Ginęli przerażeni, zataczając się i padając jeden na drugiego jak polana na stertę przed paleniskiem.

Kalif nie krył rozczarowania; jego oficerowie umierali jak przestraszone dzieci. Byli dobrymi, wiernymi żołnierzami: dlaczego nie mogli zginąć z godnością? Szturchnął w ramię jednego z ochroniarzy.

- Mustafa - powiedział. - Dopilnuj, żeby szybko tu posprzątało. - Wiedzieli już, co dzieje się z parkietem, gdy nasiąknie krwią. Byli teraz panami pałacu i musieli o niego dbać.

- Wedle rozkazu, Sahibie - odrzekł ochroniarz, kłaniając się nisko i muskając palcami skórzany wisior na szyi. - Stanie się, jak każesz.

Kalif popatrzył na najstarszego członka swojej świty, człowieka, na którego mógł zawsze liczyć, człowieka najlepiej poinformowanego.

- Jak się miewa nasz baranek?

- Baranek, Sahibie?

- Nasz więzień. Przywykł już do nowego mieszkania?

- Nie, Sahibie, nie bardzo...

- On musi żyć! - rzekł z naciskiem Kalif. - Utrzymajcie go przy życiu za wszelką cenę. - Odstawił filiżankę. - Jeśli umrze przedwcześnie, nie będziemy mogli go w piątek ścinać. Byłbym bardzo, ale to bardzo niezadowolony...

- Zajmiemy się nim, Sahibie. Zapewniam cię, że ceremonia przebiegnie zgodnie z planem. Zgodnie z każdym szczegółem twego planu, panie.

Drobiazgi miały znaczenie, nawet takie jak egzekucja tych maluczkich, tych siedmiu niby-negocjatorów. Czy rozumieli, jaką przysługę oddali Anurze, umierając? Czy rozumieli, że kulami, które przeszły ich ciała, kierowała czysta miłość? Był im szczerze wdzięczny za to poświęcenie. A poświęcenia nie można było odwlekać, ponieważ Front Wyzwolenia Ludu Kagama wystosował już oficjalne oświadczenie, w którym stwierdzono, że negocjacje były próbą haniebnego spisku, a ci, którzy w nich uczestniczyli, zasługiwali na miano podłych zdrajców. Delegaci musieli zginąć, po prostu musieli, w przeciwnym razie oświadczenie nie byłoby wiarygodne. Nie mógł im tego wyjaśnić przed egzekucją, ale miał nadzieję, że przynajmniej niektórzy z nich zrozumieli to na sekundę przed śmiercią.

Wszystko, dosłownie każdy szczegół był elementem zwartej całości. Ścięcie Petera Novaka i rozstrzelanie negocjatorów miało wzmocnić wiarę ludu w całkowite i bezwarunkowe zwycięstwo. I powstrzymać ewentualnych intruzów - agentów neokolonializmu, przebranych w humanitarne szaty - którzy mogliby apelować do przedstawicieli skrzydła „umiarkowanych” czy „pragmatyków” i w ten sposób osłabić zapal tych najsprawiedliwszych i najszlachetniejszych. Takie półśrodki, takie tymczasowe kompromisy były obrazą dla samego Proroka! I obrazą dla tysięcy Kagama, którzy oddali życie za Anurę. Nie, nie będzie między nimi żadnych podziałów. Będzie jedynie podział na wiernych i zdrajców. A zdrajców się zentnie.

Świat dostanie nauczkę. Świat przekona się wreszcie, że Front Wyzwolenia Ludu Kagama trzeba traktować poważnie. Tak, ich żądania będą przez świat honorowane, a słowa będą napawały strachem.

Rozlew krwi. Żywa legenda złożona w ofierze. Czyż istniał inny sposób, żeby ten głuchy świat usłyszał wreszcie ich wołanie?

Wiedział, że wiadomość dotrze do tych, do których miała dotrzeć do Kagama. Międzynarodowe media to zupełnie inna sprawa. Znudzonych zachodnich telewidzów interesowała wyłącznie rozrywka. Cóż, oni nie prowadzili walki dla rozrywki. Kalif rozumiał sposób myślenia mieszkańców Zachodu, ponieważ spędził wśród nich wiele lat. Zdawał sobie sprawę, że większość jego zwolenników to ciemni chłopcy, którzy przekuli lemiesz na miecze, którzy nigdy nie lecieli samolotem, którzy wiedzieli o świecie jedynie to, co usłyszeli przez ostro ocenzurowane radio, nadające w języku Kagama.

Szanował ich duchową czystość, ale sam miał o wiele większe doświadczenie. A doświadczenie było mu niezbędne: domu mistrza nie rozbierze się na części bez narzędzi, którymi mistrz go wznosił. Ukończył uniwersytet w Hajdarabadzie i przez dwa lata studiował na uniwersytecie stanu Maryland, a więc był, jak lubił mawiać, w samym jądrze ciemności. Mieszkając w USA, Kalif - a raczej Ahmad Tabari, bo takie nosił wtedy nazwisko - dowie-

dział się, jak Amerykanie patrzą na resztę świata. Poznał tam wielu ludzi, mężczyzn i kobiet, którzy dorastali u źródła władzy i wszelakich przywilejów, dla których jedyną walką była walka z pilotem do przełączania programów telewizyjnych, a największym niebezpieczeństwem nuda. Takie kraje jak Sri Lanka, Liban, Kaszmir czy Birma były dla nich jedynie płytkimi metaforami, symbolami bezsensownego barbarzyństwa mieszkańców Azji czy Afryki. Posiedli dar błogiej nieświadomości: nieświadomości współuczestnictwa, nieświadomości faktu, że ich barbarzyństwo przewyższa wszelkie inne.

Mieszkańcy Zachodu! Wiedział, że dla wielu jego zwolenników są czymś abstrakcyjnym, czymś upiornym, nawet demonicznym. Ale dla niego abstrakcją nie byli; widział ich i potrafił przeniknąć, wtedy i teraz. Wiedział nawet, jak pachną. Choćby ta znudzona życiem żona zastępcy dziekana, którą poznał na uniwersytecie. Na spotkaniu pracowników naukowych i administracyjnych z zagranicznymi studentami opowiedział jej o sobie, o tym, co przeżył, co musiał przejść, i mówiąc, widział, jak kobieta wytrzeszcza oczy, jak z podekscytowania czerwienieją jej policzki. Ta do cna znudzona blondynka dobijała czterdziestki w wygodnej klatce. To, co zaczęło się od zwykłej rozmowy przy wazie z ponczem, skończyło się zaproszeniem na kawę - to ona go zaprosiła, nie on ją - i czymś znacznie, znacznie treściwszym. Podniecały ją opowieści o prześladowaniach, podniecały ślady po oparzeniach papierosem na jego piersi; bez wątpienia podniecało ją również to, co uważała za jego egzotyckość, chociaż przyznawała się jedynie do tego, że pociąga ją „przejęcie”, z jakim potrafił o wszystkim opowiadać. Gdy wspominał, że oprawcy przyczepili mu do genitaliów elektrody i razili go prądem, była równie przerażona, co zafascynowana. Czy pozostawiło to jakieś... trwałe ślady? Pytała całkiem poważnie. Roześmiał się, dostrzegając jej złe ukrywane zainteresowanie, i odrzekł, że z przyjemnością pozwoli sprawdzić jej to osobiście. Jej mąż, karzełek o cuchnącym oddechu i kaczym chodzie, miał wrócić do domu dopiero za kilka godzin.

Tego popołudnia Ahmad odmówił salat, rytualną modlitwę, z jej sokami na palcach. Za matę posłużyła mu atlasowa poduszka.

W ciągu następnych tygodni przeszedł błyskawiczny kurs obowiązków na Zachodzie obyczajów, który okazał się równie bezcenny jak wszystko to, czego nauczył się na studiach. Miał - ulegał im lub sam je sobie brał - dziesiątki kochanek. Żadna z nich nie wiedziała o istnieniu pozostałych. O swoim luksusowym życiu mówiły z pogardą, ale wiedział, że ucieczka z tej połączanej klatki nawet nie przyszłaby im do głowy. Zerkając na niebieskawy ekran telewizora i oglądając najważniejsze wydarzenia dnia, te białe rozpuszczone suki machały rękami, żeby szybciej wysuszyć lakier na paznokciach. A w amerykańskiej telewizji każde wydarzenie można było zredukować do piętnastosekundowej migawki: króciutkie filmiki spływające krwią, poprzeplatane króciutkimi filmikami o nowej cud diecie, o bezdomnych zwierzętach i o kosztownych zabawkach dla niemowląt, które można połknąć i się zadławić. Jakże bogaty był Zachód w dobra materialne i jakże ubogi w duchowe! Ameryka światłem przewodnim dla wszystkich narodów świata? Nawet jeśli, to było to światło latarni wabiącej okręty na mieliznę!

Gdy w wieku dwudziestu czterech lat wracał jako absolwent uniwersytetu stanu Maryland do ojczyzny, kierowało nim jeszcze większe poczucie naglącej potrzeby. Im dłużej panuje niesprawiedliwość, tym jest większa. I - nie mógł się tym powiedzeniem nasycić - jedyną odpowiedzią na przemoc jest przemoc.

Przez godzinę przeglądał dokumenty i wysłuchiwał krótkich sprawozdań czworga współpracowników Marty Lang. Większość materiałów znał; w niektórych analizach dopatrzył się nawet podobieństwa do swoich własnych raportów, które wysyłał z Caligo przed pięcioma laty. Przed dwoma dniami rebelianci zajęli bazy wojskowe, zburzyli posterunki drogowe i zyskali całkowitą kontrolę nad Kenną. Nie ulegało wątpliwości, że plan ataku przygo-

towano bardzo skrupulatnie i z dużym wyprzedzeniem, że jego elementem był również szczyt negocjacyjny w Kennie. W swoim najnowszym oświadczeniu Front Wyzwolenia Ludu Kagama oficjalnie potępił negocjatorów Kalifa, nazywając ich zdrajcami, którzy działali bez żadnych uprawnień i pełnomocnictw. Było to oczywiste kłamstwo, jedno z wielu kłamstw Ahmada Tabari.

Ale pojawiło się też parę nowych szczegółów. W ciągu kilku ostatnich lat Tabari, czyli Kalif, zdobył na Anurze dużą popularność. Niektóre z jego programów żywnościowych zyskały zwolenników nawet wśród hinduskich chłopów. Nazywali go Tępicielem, ale nie dlatego, że miał skłonność do mordowania ludności cywilnej, tylko dlatego, że przeprowadził niezwykle intensywną kampanię nawołującą do tępienia szkodników. Na obszarach kontrolowanych przez FWLK niemal całkowicie wytępiono szczury, a raczej borsuki zwane jamrajami, które siały spustoszenie wśród drobiu i rokrocznie zagrażały zbiorom. Ale tak naprawdę u podłoża kampanii Kalifa leżał pewien przesąd. W klanie Tabarich - licznej rodzinie, do której należał jego ojciec - jamraj był symbolem śmierci. Nie miało żadnego znaczenia, ilu werse-tów Koranu Kalif nauczył się na pamięć: jego psychikę zdominował zwykły szczur.

Ale uwagę Jansona przykuła nie sfera psychologiczna, tylko jak najbardziej fizyczna. Przez ponad dwie godziny uważnie przeglądał mapy topograficzne, niewyraźne zdjęcia satelitarne ukazujące poszczególne fazy operacji rebeliantów, stare plany kompleksu, który był niegdyś domem gubernatora Anury, a przedtem fortecą, gmachu na Wzgórzu Adama, zwanego przez Holendrów *Steenpalais*, Kamiennym Pałacem.

Wielokrotnie analizował rzuty wzgórza i samego pałacu, nieustannie spoglądając to na zdjęcia przedstawiające gmach w całości, to na jego szczegółowe plany architektoniczne. Nasuwał się jeden oczywisty wniosek: to, że władze amerykańskie nie chciały wysłać na Anurę słynnego oddziału Fok, wynikało zapewne z zastrzeżeń natury politycznej, ale nie tylko. Wypływało również z faktu, że ewakuacja Novaka miała naprawdę nikłe szanse na sukces.

Współpracownicy Marty Lang dobrze o tym wiedzieli. Widział to po ich twarzach: prosili go o zorganizowanie i przeprowadzenie misji od samego początku skazanej na niepowodzenie. Może żadne z nich nie chciało powiedzieć o tym szefowej? A może Marta po prostu nie chciała przyjąć tego do wiadomości? Peter Novak był dla niej człowiekiem, za którego warto umrzeć. Oddałaby za niego życie, a ludzie tacy jak ona chętnie szermowali życiem innych. A przecież Amerykanie często ginęli w pościgu za iluzorycznymi, śmiechu wartymi celami: dziesięć razy odbudowywali most na Dak Nghe, doskonale wiedząc, że przed wschodem słońca most zostanie po raz dziesiąty zburzony. Tak, Peter Novak był wielkim człowiekiem. Wielu zawdzięczało mu życie. I chociaż Janson próbował się do tego nie przyznawać, należał do nich i on.

Skoro nikt nie chciał się narażać dla ratowania tego słynnego apostoła oświecenia, czymże były idee pokoju i demokracji, którym Novak poświęcił życie? Ekstremiści wyszydali mieszkańców Zachodu za ich lekceważący stosunek do spraw duchowych, ale czy w swoim ciągłym pościgu ekstremizm sam w sobie nie przeczył moralności? Gzy to właśnie nie ta myśl zmusiła Jansona do porzucenia służby?

Paul wyprostował się, nagle i gwałtownie. Istniał sposób - być może.

- Będziemy potrzebowali samolotu, łodzi, ale przede wszystkim odpowiednich ludzi. - Zmienił mu się głos. Przedtem był to głos człowieka zbierającego informacje, teraz dowódcy. Wstał i przez chwilę chodził bez słowa tam i z powrotem. Tak, o powodzeniu operacji zależy nie sprzęt, tylko ludzie.

Marta Lang popatrzyła z nadzieją na członków swojego zespołu. Nastrój rezygnacji minął, przynajmniej chwilowo.

- Odpowiednich, czyli najlepszych, najwybitniejszych specjalistów w tej dziedzinie - wyjaśnił Paul. - Nie ma czasu na ćwiczenia. To muszą być ludzie, którzy już ze sobą pracowali, którzy współpracowali ze mną, ludzie, którym mogę zaufać... - Przed oczyma prze-

mknął mu rząd twarzy, jak zdjęcia z policyjnych akt. Każdą kandydaturę starannie rozważył, po kolei je odrzucając, aż zostały tylko cztery. Każdemu z tych ludzi mógłby powierzyć swoje życie - każdy z nich zawdzięczał życie jemu i każdy gotów był ten dług spłacić. Poza tym tak się składało, że wszyscy byli obcokrajowcami. Ci z Departamentu Stanu mogli spać spokojnie. Sporządził listę nazwisk i wręczył ją Marcie. Czterech mężczyzn z czterech różnych krajów świata.

Nagle grzmotnął ręką w stół.

- Chryste! - zawołał. - Co się ze mną dzieje? Proszę skreślić z listy ostatnie nazwisko. Sean Hannessy.

- Nie żyje?

- Wprost przeciwnie: siedzi. W więzieniu Jej Królewskiej Mości w Wormwood Scrubs. Kilka miesięcy temu oskarżono go o przemyt broni. Podejrzewają go o przynależność do IRA.

- A jest z IRA?

- Nie. Skończył z tym, mając szesnaście lat, mimo to policja nie zniszczyła jego akt. Nie podano tego oficjalnie, ale w chwili zatrzymania pracował dla spółki Sandline. On i jego ludzie mieli dopilnować, żeby Demokratyczna Republika Konga nie przeszkadzała firmie w wydobywaniu kolumbitu.

- I jest zdecydowanie najlepszym kandydatem do funkcji, którą chce mu pan powierzyć?

- Skłamałbym, mówiąc, że jest inaczej.

Marta podniosła słuchawkę i wystukała kilka numerów na czymś, co wyglądało jak płaśka konsola.

- Marta Lang. Proszę o weryfikację.

Upłynęło sześćdziesiąt sekund, pełna minuta. W końcu powiedziała:

- Z sir Richardem, poproszę. - Numer, który wybrała, był na pewno numerem ściśle zastrzeżonym; ten, kto odebrał telefon, nie musiał nawet pytać, czy sprawa jest pilna. Weryfikacja polegała niewątpliwie na porównaniu zarówno wzorca zapisu głosu, jak i na analizie sygnatury telefonicznej Amerykańskiego Narodowego Instytutu Normalizacji, przyznawanej indywidualnie każdej linii telefonicznej w Stanach Zjednoczonych, także wszystkim łączom satelitarnym.

- Sir Richard? - rzuciła nieco mniej chłodnym głosem. - Dzwonię w sprawie więźnia nazwiskiem Sean, S-e-a-n, Hennessy, podwójne „n”, podwójne „s”. Mniej więcej przed trzema miesiącami zatrzymano go pod zarzutem przemytu broni i przynależności do IRA. Status: oskarżony, jeszcze nie skazany; czeka na proces. - Zerknęła na Jansona. Ten bez słowa skinął głową.

- Musimy go natychmiast uwolnić i wsadzić na pokład... - Zawiesiła głos i nagle zmieniła zdanie. - Na Gatwick czeka nasz samolot. Proszę go tam odwieźć i w ciągu najbliższych czterdziestu pięciu minut powiadomić mnie, czy pan Hennessy jest już na pokładzie.

Zdziwiony Janson tylko pokręcił głową. „Sir Richard” to na pewno Richard Whitehead, dyrektor brytyjskich służb specjalnych. Ale najbardziej zaimponował mu chłodny, rozkazujący ton głosu Marty. Whitehead miał oddzwonić nie po to, żeby poinformować, czy prośba zostanie spełniona, tylko kiedy. Jako najbliższa współpracownica Novaka Marta była zapewne dobrze znana w najbardziej elitarnych kręgach politycznych świata. Jego, Jansona, niepokoiła przewaga militarno-strategiczna tych z Anury, ale ludzie Petera Novaka też mieli swoje doświadczenia.

Podziwiał również jej instynktowny szacunek dla tajności operacyjnej misji, którą właśnie organizowali. Nie podała rozmówcy współrzędnych punktu docelowego: kapitan czekającego na Gatwick samolotu mógł przekazać wieży jedynie ogólny plan lotu. Dopiero po

przekroczeniu granic międzynarodowej przestrzeni powietrznej miał poznać ustalone przez Jansona miejsca spotkania: Nikobary.

Skończywszy z jedynym, zajął się drugim i wraz ze współpracownikiem Marty Lang, Geraldem Hochschildem, zaczął przeglądać listę niezbędnego sprzętu wojskowego. Wyglądało na to, że Hochschild jest ich oficerem logistycznym. Zamiast odpowiadać na pytania „tak” lub „nie”, na każde odpowiadał godzinami: dwanaście, cztery, dwadzieścia, dwadzieścia cztery. Był to czas potrzebny do zlokalizowania i przewiezienia tego czy innego sprzętu na archipelag.

Chryste, myślał Paul, to aż za łatwe. I nagle zrozumiał, dlaczego. Podczas gdy organizacje zajmujące się prawami człowieka odbywały niezliczone konferencje, żeby omówić problem przemytu ręcznej broni palnej w Sierra Leone czy handlu śmigłowcami szturmowymi w Kazachstanie, fundacja Novaka znalazła bardziej bezpośredni sposób oczyszczenia rynku z tych jakże niebezpiecznych towarów: po prostu je skupowała. Ilekroć jakiś kraj zaprzestawał produkcji danego modelu karabinu czy czołgu, do akcji wkraczała Fundacja Wolność: wykupywała i magazynowała to, co pozostało, następnie oddawała broń na złom lub -jak choćby w wypadku czołgów czy transporterów opancerzonych - przerabiała i dostosowywała ją do celów cywilnych.

Pół godziny później na płaskiej konsolce zamrugało zielone światelko i Marta Lang ponownie podniosła słuchawkę.

- Jest już w drodze? - Słuchała przez chwilę i odrzekła: - Aha, w takim razie odleci za niecałą godzinę. Jesteś niezastąpiony, Richardzie - dodała łagodniejszym tonem. - Naprawdę bardzo to doceniamy. Nie zapomnij uściskać ode mnie Gillian, dobrze? Szkoda, że nie byliście w tym roku w Davos. Bardzo nam was brakowało. Ale Peter natarł za to uszu pani premier! Tak. Tak. Niedługo się spotkamy, jak zwykle.

Ta kobieta musi bywać tu i ówdzie, pomyślał z podziwem Janson.

- Istnieje duża szansa, że pan Hennessy stawi się na miejscu spotkania przed panem - powiedziała Marta, odłożywszy słuchawkę.

- *Chapeau bas!* - odrzekł Paul.

Złocistą kulę słońca przesłaniały białe, puszyste obłoczki. Chociaż lecieli dokładnie na zachód, prosto w jego tarczę, czas wciąż płynął. Gdy Marta spojrzała na zegarek, Paul domyślił się, że nie chodzi jej tylko o godzinę. Sprawdzała, ile czasu pozostało Peterowi Novakowi. Podniosła głowę i spotkali się wzrokiem.

- Cokolwiek się stanie - powiedziała - chcę panu podziękować za to, co pan nam dał.

- Nie dałem wam nic - zaprotestował Janson,

- Dał pan nam coś wyjątkowo wartościowego - odparła. - Nadzieję.

Paul chciał powiedzieć coś o realiach, o nikłych szansach, o czarnych scenariuszach, ale się powstrzymał. Musiał uszanować jej pragmatyzm - pragmatyzm wyższego rzędu. W tej fazie misji fałszywa nadzieja była lepsza niż żadna.

Rozdział 3

Wspomnienia pochodziły sprzed trzydziestu lat, lecz równie dobrze mogły pochodzić z wczoraj. Nawiedzały go we śnie - podsycane niepokojem, zawsze w noc przed akcją- i chociaż zaczynały się i urywały w różnych miejscach, przesuwały mu się przed oczami jak obrazy filmowe z zapętłonej taśmy.

W džungli była baza. W bazie biuro. W biurze stół. Na stole leżała kartka.

Informacje wywiadowcze na temat działań przeciwnika i plan taktycznych działań bojowych na dany dzień.

Możliwy atak raketowy Wietkongu. Współrzędne: AT384341. Czas: między 02.00 i 03.00.

Możliwa odprawa kadry politycznej Wietkongu. Lokalizacja: wioska Loc Ninh. Współrzędne: BT415341. Czas: 22.00.

Możliwa próba infiltracji. Lokalizacja: rzeka Go Noi. Czas: między 23.00 i 01.00.

Plik wyfuszonych i brudnych od ciągłego przeglądania kartek na biurku komandora porucznika Alana Demaresta zawierał podobne meldunki. Informatorzy przekazywali je oficerom ARW, ci zaś oficerom MACV, dowództwa amerykańskiego wsparcia wojskowego dla Wietnamu. Zarówno informatorom, jak i meldunkom przypisywano literę oraz cyfrę określającą ich wiarygodność. Niemal wszyscy i wszystkie nosiły symbol F/6: wiarygodność agenta bliżej nieokreślona, wiarygodność informacji-ditto.

„Bliżej nieokreślona” to był eufemizm. Meldunki napływały od podwójnych agentów, od sympatyków Wietkongu, od płatnych informatorów, a nawet od wieśniaków, którzy chcąc wyrównać zadawnione rachunki z sąsiadem, dochodzili do wniosku, że dobrze by było, żeby Amerykanie zbombardowali jego ryżowe poletko.

- Te świstki papieru, te meldunki, mają być podstawą naszych działań taktycznych - rzucił Demarest do Jansona i Maguire'a. - Ale to gówno, nie podstawa. Spłodził je jakiś skośnooki kutas z Hanoi, przesłał kutasom z MACV, a oni przekazali je nam. Szkodą na to artylerii, panowie. Wiecie, skąd o tym wiem?- Wziął z biurka kartkę i pomachał nią jak małą flagą. - Stąd, że na tym papierze nie ma krwi. - Z maleńkich głośników magnetofonu sączył się dwunastowieczny chorał. Demarest był skromnym entuzjastą tego rodzaju muzyki.

- Nie, nie - kontynuował z nachmurzonym czołem. - Przyprawadźcie mi tu ich łącznika. Nie, kilkunastu łączników. A jeśli znajdziecie przy nich jakieś dokumenty, najpierw sprawdźcie, czy jest na nich krew. Udowodnijcie mi, że określenie „wywiad wojskowy” nie zawiera w sobie sprzeczności.

Tego wieczoru sześciu z nich wsiadło do STAB-a, taktycznej łodzi szturmowej z włókna szklanego używanej przez amerykańskie Foki, i wypłynęło na płytkie, ciepłe jak zupa wody Ham Luong. Przedarłszy się przez kilkaset metrów szlamu i błota, wylądowali na niewielkiej, gruszkowatej wysepce. „Wróćcie z jeńcami albo nie wracajcie wcale” - rozkazał dowódca. Przy odrobinie szczęścia mogło im się powieść: wyspa Noc Lo była kontrolowana przez Wietkong. Rzecz w tym, że ostatnio szczęście im nie dopisywało.

Mieli na sobie luźne bawełniane koszule - czarne - i luźne bawełniane spodnie, też czarne. Nie zabrali ani identyfikatorów, ani żadnych dokumentów, ani niczego, co mogłoby zdradzić ich stopień wojskowy i numer jednostki, co mogłoby wskazywać, że należą do Fok, że są słynnymi Diabłami Demaresta. Przez dwie godziny przedzierali się przez gęste chaszczki, czujnie nasłuchując, wypatrując, a nawet węsząc. Szukali jakichkolwiek oznak wskazujących na obecność nieprzyjaciela: odgłosów, śladów w błocie, zapachu *nuoc cham*, sosu, którym Wietnamczycy obficie polewali ryż.

Podzielili się na trzy pary. Dwóch szło przodem, trzy metry od siebie, dwóch środkiem, dwóch z tyłu, w ariergardzie, dźwigając osiemnastokilowy M60 do ewentualnej osłony.

Janson siedł na szpicy z Hardawayem, wysokim, atletycznie zbudowanym Murzynem o brązowej skórze i szeroko rozstawionych oczach. Hardaway golił sobie głowę na zero. Za sześćdziesiąt dni kończył służbę i z niecierpliwością oczekiwał powrotu do domu. Miesiąc wcześniej wyrwał rozkładówkę z jakiegoś czasopisma z gołymi babkami, pocałował ją na kwadraciki, które następnie ponumerował, i każdego dnia uzupełniał puste miejsca jednym z nich. Po wypełnieniu wszystkich dziur zamierzał zabrać papierową dziewczynę do Ameryki i wymienić ją tam na prawdziwą. Tak przynajmniej mówił.

Trzysta metrów w głąb wyspy wypatrzył na ziemi jakieś przedmioty z gumy i płótna. Posłał Paulowi pytające spojrzenie. Buty. Drobni, lekcy jak piórka Wietnamczycy używali ich do chodzenia po bagnach. Ktoś je tu porzucił? Kiedy? Dawno?

Janson zarządził trzydziestosekundową obserwację. Sześciu ludzi zamarło, zastygło bez ruchu, nasłuchując nienaturalnych, nie pasujących do otoczenia odgłosów. Noc Lo leżała dokładnie pośrodku tak zwanej „wolnej strefy”, co oznaczało, że można tam było bez ostrzeżenia strzelać do wszystkiego, co się rusza. Z oddali nieustannie dochodził przytłumiony grzmot artylerii i zduszone bum, bum, bum odpalających co pół sekundy moździerz, a na horyzoncie pulsowała biaława luna. Gdy upłynęło pół minuty, uznali, że najbliższa okolica jest czysta.

- Wiesz, co przypominają mi czasem wystrzały z moździerzy? - spytał Hardaway. - Chór z mojego kościoła. Kiedy śpiewają i klaszczą. Moździerze mają w sobie coś... religijnego.

- Maguire powiedziałyby, że są jak ostatnie namaszczenie - odrzekł cicho Janson. Zawsze lubił Hardaway, ale tej nocy kumpel robił wraże nie wyjątkowo rozkojarzonego.

- Nie bez powodu mówią, że kościół jest święty. Przyjedź do Jacksonville, to któreś niedzieli pójdziemy razem na mszę. Sam zobaczysz. - Hardaway pochylił się do przodu i zaklaskał w dłonie, podrygując w takt muzyki, którą słyszał tylko on. - Świętyś, o Panie! Świętyś, o Panie!

- Cicho - syknął Paul, dotykając ręką jego uprząży z bronią i amunicją.

Suchy trzask wystrzału powiedział im, że nieprzyjaciel wykrył ich obecność. Musieli się błyskawicznie ewakuować.

Ale dla Hardaway na ewakuację było już za późno. Z jego szyi wytrysnęła mała fontanna krwi. Murzyn zachwiał się i zatoczył do przodu niczym sprinter, który właśnie minął linię mety. A potem runął jak kłoda na ziemię.

Gdy nad ich głowami zaświstały kule wystrzelone przez karabin maszynowy Maguire'a, Janson podczołgał się bliżej. Hardaway oberwał w szyję, tuż przy prawym ramieniu. Paul uciśnął pulsującą ranę obiema rękami, rozpaczliwie próbując powstrzymać gwałtowny krwotok.

- Świętyś, o Panie... - wyszeptał słabo Hardaway.

Ucisk nie pomógł. Janson poczuł, że ma mokrą koszulę, mokrą i podejrzenie ciepłą, i dopiero wtedy zrozumiał w czym rzecz. Z tyłu szyi była rana wylotowa, dziura w ciele niebezpiecznie blisko kręgosłupa, i z dziury tej silnym strumieniem tryskała jaskrawoczerwona krew.

W nagłym przypiływie siły Hardaway oderwał mu rękę od szyi.

- Zostaw mnie... - Chciał krzyknąć, ale z jego ust dobył się jedynie chrapliwy szept. - Zostaw! - Odpełznął metr dalej, z trudem dźwignął się na czworaki i powiódł wzrokiem po linii drzew, próbując wypatrzeć nieprzyjaciela.

Od razu oberwał. Siła uderzenia pocisku cisnęła go na ziemię. Kula rozpruła mu brzuch, nie miał żadnych szans. A więc jeden leży. Kto będzie następny?

Janson przeturlał się za najbliższy krzak.

To zasadzka. Pieprzona zasadzka!

Ci z Wietkongu na nich czekali.

Rozgorączkowany, przytknął do oczu lornetkę, ustawił ostrość i powiódł wzrokiem po linii palm i wysokich traw. Trzech żółtków. Biegli prosto na niego.

Szturm? Nie. Bardziej prawdopodobne było to, że nieustanne ra ta ta ta karabinu maszynowego Maguire'a zmusiło ich do przegrupowania. Kilka sekund później usłyszał głucho pacnięcia pocisków ryjących ziemię tuż obok niego.

Cholera jasna! Przecież nie mogli ich tak dokładnie namierzyć! Ktoś musiał ich uprzedzić. Ale kto? Jak?

Szybko przesunął lornetkę w prawo, potem w lewo. Tam: barak na palach. A tuż za barakiem żółtek z AK-47 wymierzonym w jego stronę. Mały, drobny, ale wprawny strzelec i doświadczony: to on musiał skosić Hardawaya.

W świetle księżyca dostrzegł jego oczy, a tuż pod nimi czarny otwór luty karabinu. Obaj wiedzieli, że już się widzą, a rosyjski AK-47 nadrabiał brak celności wyjątkową siłą ognia. Żółtek przytulił kolbę do policzka i zacisnął palec na spuście. W tej samej chwili Janson skrzyżował na jego piersi nitki celownika. Za sekundę jeden z nich miał zginąć.

Świat Paula skurczył się teraz do trzech rzeczy: do palca, spustu i celownika. W tym momencie nie istniało, nie mogło istnieć nic innego.

Dwa starannie mierzone strzały i Wietnamczyk runął na ziemię.

- Kurwa! Wyciągnijcie nas stąd! - wrzasnął do słuchawki Janson, połączywszy się z bazą. - Potrzebujemy wsparcia! Przyślijcie łódź! Przyślijcie cokolwiek, byle szybko!

- Chwileczkę - odrzekł radiooperator i chwilę później Paul usłyszał głos swego dowódcy: - Trzymacie się, synu?

- Panie poruczniku, oni tu na nas czekali!

- Oczywiście, że tak - zaskrzeczało w słuchawce.

- Jak to „oczywiście“?

- Potraktuj to jak mały test, chłopcze. Test na to, który z moich ludzi ma jaja. - W tle sączyła się znajoma muzyka: dwunastowieczny chorał. - Narzekasz na żółtków? Przecież to tylko banda wyrostków w piżamach.

Mimo przytłaczającego tropikalnego upału Janson poczuł, że przechodzi go zimny dreszcz.

- Skąd o nas wiedzieli, panie poruczniku?

- Chciałeś sprawdzić, czy jesteś dobry w strzelaniu do papierowych tarcz? Mogłeś zostać w Little Creek w Wirginii.

- Ale Hardaway...

- Hardaway - przerwał mu Demarest - był słaby. Oblał.

„Hardaway był słaby“: to słowa Alana Demaresta. Ale on, Janson, był silny. Gdy koła samolotu grzotnęły w pokryty tłuczniem pas startowy, zadrżał i gwałtownie otworzył oczy.

Przez wiele lat, na rozkaz dowództwa indyjskiej marynarki wojennej, Katchall była wyspą zamkniętą, częścią strefy bezpieczeństwa, w której skład wchodził prawie cały archipelag Nikobary. Gdy rozkaz odwołano, stała się zwykłym przyczółkiem handlowym. Mango, papaje, owoce durianu: między spalonym słońcem owalem wyspy i stałym lądem nieustannie kursowały PRC-101 i C-130. Janson wiedział, że jest to jedno z niewielu miejsc na świecie, gdzie nikt nie mrugnie okiem, jeśli wylądowuje tam samolot wyposażony w sprzęt wojskowy i amunicję.

Nie było to również miejsce, gdzie przestrzegano by surowych zasad kontroli granicznej. Dżipem dojechał bezpośrednio z samolotu do kompleksu na zachodnim brzegu wyspy. Jego grupa już czekała w baraku. Podłoga była betonowa, ściany z blachy falistej obite płytą pilśniową. Z barakiem sąsiedował mały magazyn. Fundacja Wolność miała w Ragoonie swoje tajne przedstawicielstwo, dlatego mogła bez trudu przetrzymać tu ludzi i pośpiesznie urządzić miejsce spotkania.

W okolicy niewiele się zmieniło, odkąd Janson był tu ostatni raz. Blaszy barak, jeden z wielu podobnych na wyspie, wzniesiony niegdyś przez indyjskich wojskowych, po latach użytkowania porzucono, następnie przejęto dla celów handlowych.

Theo Katsaris już czekał: objęli się i wyściskali, ciepło i serdecznie, jak dobrzy przyjaciele. Katsaris był Grekiem, protegowanym Paula i jednym z najlepszych specjalistów, z jakimi Paul kiedykolwiek pracował. Jansona niepokoiło w nim jedynie to, że tolerował ryzyko, a raczej miał na nie zbyt wielki apetyt. Znał wielu szaleńców z Fok, znał też ten typ człowieka: zwykle pochodzili z biednych, rolniczych regionów kraju, z podupadających miasteczek, gdzie ich rodzice wiedli marne, pozbawione perspektyw życie. Woleli robić cokolwiek - nawet zostać rok dłużej w Wietnamie, na terytorium kontrolowanym przez Wietkong - byle tylko nie musieć podbijać codziennie karty w miejscowej fabryce nitów. Ale Katsaris miał po co żyć, miał wszystko, łącznie z oszałamiająco piękną żoną. Nie można go było nie lubić, chciał i umiał żyć, mimo to piękne życie go nie zadowalało. Już sama jego obecność podnosiła morale wśród żołnierzy; lubili z nim przebywać, bo otaczała go promienna aura człowieka, któremu nigdy nie przydarzy się nic złego.

Manuel Honwana kręcił się w pobliskim hangarze, ale usłyszawszy o przyjeździe Jansona, wyszedł mu na spotkanie. Był kiedyś pułkownikiem mozambickich sił powietrznych: wyszkolony w Rosji, miał niezwykły wprost talent do latania tuż nad ziemią, zwłaszcza w górzystym, tropikalnym terenie. Wesoły, całkowicie apolityczny, miał bogate doświadczenie w walce partyzanckiej, w zwalczaniu okopanych, mocno ufortyfikowanych sił wroga. Doświadczenia dodawało mu również i to, że wylatał mnóstwo godzin prymitywnymi, rozklekotanymi wrakami, bo tylko na takie maszyny stać było jego biedny kraj. Piloci amerykańscy, którzy przechodzili szkolenie na przypominających playstation komputerowych symulatorach, od samego początku mieli do czynienia ze sprzętem wartości wielu milionów dolarów i w rezultacie z czasem tracili instynkt: zamiast pilotami, powoli stawali się niewolnikami maszyn, zwykłymi technikami obsługującymi skomplikowane systemy informatyczne. Tymczasem przecież ich zadanie wymagało obecności prawdziwego pilota. Honwana potrafił złożyć silnik miga gołymi rękami, posługując się tylko szwajcarskim szczyrzykiem, ponieważ kiedyś musiał to robić, i tyle. Jeśli miał odpowiednie narzędzia, tym lepiej, jeśli nie, nie wywierało to na nim żadnego wrażenia. A kiedy trzeba było wylądować awaryjnie, czuł się w swoim żywiole: podczas misji, w których brał udział, i którymi dowodził, dobre lądowisko było wyjątkiem, nie regułą.

Dołączył też do nich Finn Andressen, Norweg, były oficer, magister geologii o niezwykle wyostrzonym zmyśle orientacji. Potrafił ocenić każdy teren i pracował jako inżynier do spraw bezpieczeństwa w wielu spółkach kopalnianych na całym świecie. Przyjechał godzinę po Jansonie, Katsarisie i Honwanie, a tuż po nim przybył Sean Hennessy, wszechstronnie utalentowany i jak zwykle niewzruszony irlandzki lotnik. Witali się różnie, zależnie od temperamentu, albo serdecznym klepinięciem w ramię, albo spokojnym uściskiem ręki.

Janson zapoznał ich z planem akcji, zaczynając od spraw ogólnych, kończąc na szczegółach i opcjach awaryjnych. Tamci słuchali, a słońce powoli olbrzymiało, czerwieniało i opadało na horyzont, jakby robiło się coraz cięższe i jakby coraz silniej przyciągały je wody oceanu. Dla nich było jedynie gigantyczną klepsydrą, przypominającą, jak niewiele pozostało im czasu.

Potem podzielili się na pary i w parach dopracowywali poszczególne elementy planu, dopasowując teoretyczne schematy do wymogów rzeczywistości. Honwana i Andressen przeglądali mapy wiatrów i prądów morskich. Paul i Katsaris „wędrawali” po plastelinowym modelu Kamiennego Pałacu,

Tymczasem Sean Hennessy słuchał i podciągał się na drążku; była to jedna z jego ulubionych rozrywek w więzieniu Jej Królewskiej Mości. Janson zerknął na niego i zmarszczył czoło. Da sobie radę? Nie miał powodów, żeby myśleć inaczej. Irlandczyk cerę miał bladą,

lecz mięśnie bardziej rozwinięte i krzepkie niż za dawnych lat. Paul zrobił mu ostry sprawdzian na osiagi i z zadowoleniem stwierdził, że Sean nie stracił również refleksu.

- Zdajesz sobie sprawę - rzucił Andressen, odrywając wzrok od map - że w samym tylko Kamiennym Pałacu stacjonuje co najmniej stu żołnierzy? Jesteś pewien, że mamy wystarczająco dużo ludzi?

- Jestem - odparł Janson. - Gdybyśmy potrzebowali pięciuset Gurkhów, zażądałbym pięciuset Gurkhów. Dali mi dokładnie to, czego chciałem. Gdybyśmy poradzili sobie we trzech, niepotrzebna byłaby piątka. Im nas mniej, tym mniej komplikacji.

Paul popatrzył na szczegółowe plany architektoniczne Kamiennego Pałacu. Wiedział, że ich sporządzenie wymagało olbrzymiego wysiłku. W ciągu ostatnich czterdziestu godzin przygotował je zespół inżynierów i architektów zatrudnionych przez fundację Petera Novaka. Dostarczono im szczegółowe opisy - relacje odwiedzających pałac gości - setki starych, historycznych już zdjęć oraz najnowsze zdjęcia satelitarne. Poproszono też o pomoc pracowników holenderskiego archiwum kolonialnego. Mimo pośpiechu, z jakim przyszło im pracować, eksperci Novaka byli „prawie pewni” wszystkich szczegółów. Ostrzegali jednaką że niektóre, zwłaszcza te pochodzące z rzadko wykorzystywanych pomieszczeń pałacu, są „mniej pewne” i że kilka dość ważnych analiz oparto wyłącznie na przypuszczeniach, dlatego ich wiarygodność pozostawiała dużo do życzenia.

„Mniej pewne”. „Niepewne”. Słowa, które Janson słyszał za często.

Ale czy mieli jakiś wybór? Dysponowali jedynie mapami i plastelinowym modelem. Sam pałac był przebudowaną fortecą stojącą na dziewięćdziesięciometrowym morskim urwisku. Z grubymi na półtora metra murami mógł wytrzymać ostrzał portugalskiej artylerii w minionych stuleciach. Mury od strony morza były zakończone blankami i parapetami, zza których rażono ogniem wrogie szkunery i korwety,

Wszyscy, których Janson zebrał w tym blaszanym baraku, dobrze wiedzieli, o jaką grają stawkę. Wiedzieli również, jakie będą musieli pokonać przeszkody, próbując zastopować uruchomioną przez Kalifa machinę. Gdyby zginęli, tak jak zginąć miał Novak, nie zyskaliby absolutnie nic.

Nadeszła pora na ostatnią część - odprawę. Paul wstał; roznosiła go nerwowa energia i trudno mu było usiedzieć na miejscu.

- Dobra, Andressen - powiedział. - Pogadajmy o terenie.

Rudobrody wiking przerzucał płachty map, wskazując interesujące ich miejsca. Jego długi palec przesunął się wzdłuż górskiego masywu, którego najwyższy szczyt, Pikuru Takala, miał niemal trzy tysiące metrów wysokości, a potem przeciął ilasto-gnejsowy płaskowyż, zatrzymując się na chwilę na długich strzałkach symbolizujących wiejące z południowego zachodu monsuny. Andressen wskazał Wzgórze Adama i powiedział:

- To są tereny, które tamci niedawno odbili. Stosunkowo prosta sprawa. Mnóstwo możliwości wykorzystania naturalnej osłony terenu.

- Jaki proponujesz kurs?

- Jeśli Nawałnik nie ma nic przeciwko temu, polecimy nad dżunglą Nikala.

Nawałnik Burzowy: pseudonim, na który Honwana po stokroć sobie zasłużył, pilotując samolot tak nisko, że maszyna niemal muskała brzuchem ziemię, jak nawałnik burzowy muska wodę, lecąc tuż nad powierzchnią morza.

- Nawałnik jest za - odrzekł Honwana, odsłaniając jaskrawobiałe zęby w czymś, co przypominało słaby uśmiech.

- Zauważcie - kontynuował Andressen - że gdybyśmy wystartowali o szesnastej, w nocy niemal na sto procent lecielibyśmy nad grubą warstwą chmur. Z oczywistych względów bardzo to doradzam.

- Zaraz, chwila - wtrącił Hennessy. - Mamy skakać z dużej wysokości? Przez chmury? Na oślep?

- Skok w ciemno, przyjacielu - odparł Norweg. - Na: wiarę. To jak religia. To tak, jakbyś chwycił samego Boga za nogi.

- Myślałem, że jesteśmy komandosami, a nie kamikadze. Powiedz no, Paul, jaki głupiec skoczy w ciemno przez chmury? - Szczerze zatroskany Irlandczyk powiódł wzrokiem po ich twarzach.

Janson spojrzał na Katsarisa.

- Theo - odrzekł. - I ja.

Katsaris popatrzył na niego bez słowa.

- Módlmy się i oby Bóg nas wysłuchał - mruknął Hennessy.

Rozdział 4

Składanie spadochronu: niemal święty rytuał, wojskowy przesąd. Zanim ukończyło się kurs, nawyk ten wchodził w krew, jak codzienne mycie zębów czy rąk.

Janson i Katsaris robili to w sąsiadującym z barakiem magazynie. Zaczęli od rozłożenia czasz na wielkiej, płaskiej, betonowej podłodze.

Potem spryskali płynnym silikonem łącznik uchwytu wyzwajającego i zawleczkę. Kolejne czynności też były rutynowe. Ponieważ czarną, tunelową czaszę zrobiono z nieporowatego nylonu o zerowej przepuszczalności, Janson musiał się po niej przetoczyć, żeby wydusić z tuneli jak najwięcej powietrza. Potem rozprostował taśmy, złożył spłaszczoną czaszę i upewnił się, czy wszystkie linki nośne są na zewnątrz i czy luźno zwisają. W końcu wepchnął czaszę do czarnego pokrowca, pokrowiec przydusił, żeby usunąć resztki powietrza, wreszcie zapiął zawleczkę.

Katsaris miał zwinniejsze palce i załatwił to wszystko dwa razy szybciej.

- Dobra - rzucił. - Teraz broń. Pora przejść się na złomowisko.

Nikt nie ryzykuje, żeby ktoś inny ryzykował mniej: tak brzmiała ich kredo. Etos równości był najważniejszy, a faworyzowanie czy bycie faworyzowanym skutecznie go burzyło. Dlatego ilekroć działali jako grupa, jako zespół, Janson traktował ich surowo, lecz po przyjacielsku. Ale nawet wśród elit są elity - nawet wśród najdoskonalszych znajdzie się ten jeden, jedyny ktoś, kto jest zdecydowanie najlepszy.

Tym jedynym i najlepszym złotym chłopcem był przed trzydziestu laty Paul. Kilka tygodni po przyjeździe do Little Creek, gdzie odbywało się szkolenie kandydatów do oddziału Fok, Alan Demarest wybrał go osobiście spośród dziesiątków innych i osobiście przeniósł do grupy jeszcze bardziej elitarniej, w której obowiązywał jeszcze surowszy rygor i wymogi. A liczebność grup topniała w oczach - z dnia na dzień odpadało coraz więcej ludzi pokonanych przez intensywność ćwiczeń i nieludzkie wprost zmęczenie - aż w końcu Demarest wyselekcjonował go do szkolenia indywidualnego.

Twoje palce to broń! Nigdy niepotrzebnie ich nie obciążaj. Połowa inteligencji żołnierza tkwi w jego rękach.

Nie uciskaj żył, tylko nerwy! Zapamiętaj, któredy przebiegają, i naucz się rozpoznawać je palcami, nie wzrokiem. Nie patrz, tylko wyczuwaj!

Kurwa! Wystawiłeś łeb nad skraj okopu. Jesteś trupem!

Nie widzisz wyjścia? Powoli, spokojnie, naucz się patrzeć inaczej. Zamiast jednego czarnego łabędzia, zobacz dwa białe. Naucz się widzieć kawałek tortu, zamiast tortu, w którym brakuje kawałka. Rzucaj kośćmi od siebie, zamiast do siebie. Nie ma to jak *gestalt*, słonko, nie ma to jak *gestalt*. Naucz się tego, a będziesz wolny. Samą siłą ognia nic tu nie wskórasz. Musisz myśleć i coś wymyślić.

Tak jest! Zrób z myśliwego ofiarę! No, nareszcie załapałeś.

W taki oto sposób jeden legendarny żołnierz tworzył kolejnego. Gdy przed lary Janson poznał Katsarisa, od razu wiedział, po prostu wiedział, że podobnie musiał czuć się Demarest w Little Creek.

Ale nawet gdyby Theo nie był tak wyjątkowo uzdolniony, operacyjna równość nie zerwałaby więzów przyjaźni, która pogłębiła się z biegiem lat, przyjaźni wykraczającej daleko poza ramy tej czy innej misji. Przyjaźń tę dodatkowo wzmacniały wspólne wspomnienia i to, że wiele razy zaciągali u siebie dług wdzięczności. Rozmawiali ze sobą gwałtownie i szczerze, ale zawsze na uboczu, zawsze z dala od innych.

Przeszli na drugi koniec magazynu, gdzie przed kilkoma godzinami złożyli dostarczoną przez fundację broń. Katsaris przejrzał pistolety i karabiny, rozkładając je na części, składając i upewniając się, czy są odpowiednio naoliwione; jeśli oliwy było za dużo, w chwili strzału powstawał obłok białego dymu, który mógł zdradzić strzelca widokiem lub zapachem. Niedoczyszczone lufy mogły się za szybko przegrzać. Zawiasy musiały być dociśnięte, lecz nie za mocno. Magazynki powinny wsuwać się szybko i gładko, ale nie za gładko, gdyż w każdej chwili mogły wypaść. Kolby, jak choćby te w MP5K, powinny składać się bez wysiłku.

- Przecież wiesz, dlaczego to robię - powiedział Janson.

- Z dwóch powodów - odrzekł Katsaris. - Z dwóch powodów, dla których nie powinien tego robić. - Mówił, a jego ręce były w nieustannym ruchu. Metaliczny trzask zaników i rytmiczny grzechot pustych magazynków towarzyszył ich rozmowie.

- W mojej sytuacji?

- W twojej sytuacji? Postąpiłbym tam samo. - Theo podniósł wymontowany zamek do nosa i powąchał, wyczuwając rzeczywisty nadmiar oliwy. - Militaryści z Harakat al-Muqaama al-Islamiya nigdy nie słynęli z tego, że zwracają skradziony towar. „Skradziony towar”: zakładnicy, zwłaszcza ci, których podejrzewano o współpracę z amerykańskim wywiadem. Przed siedmiu laty, w Baaqlinie w Libanie Jansona schwytali bojownicy jednej z ekstremistycznych grup; początkowo mu uwierzyli i sądzili, że jest amerykańskim biznesmenem, ale po gwałtownej reakcji kilku wysoko postawionych osób nabrali podejrzeń, że coś jest nie tak. Negocjacje szybko przekształciły się w kłótnię, w walkę o władzę we frakcji i tylko dzięki interwencji przedstawicieli fundacji Petera Novaka- trzeba przyznać, że interweniowali w samą porę - bojówkarze zmienili plany. Po dwunastu dniach Paul wyszedł na wolność.

- Z tego, co wiem - kontynuował Katsaris - sam Novak nawet palcem nie kiwnął. Ale cóż, to jego fundacja. Ergo: jesteś mu winien życie. Nagle przychodzi do ciebie ta kobitka, mówi „Baaqlina”, a ty musisz powiedzieć „tak”.

- Zawsze czytałeś we mnie jak w otwartej księdze - odrzekł Janson z uśmiechem, który uwydatnił kurze łapki w kącikach jego oczu.

- Jasne, jak w księdze zaszyfrowanej ruską jednorazówką. Powiedz mi coś. Często myślisz o Helenie? - spytał, patrząc na niego zaskakująco łagodnym wzrokiem.

- Codziennie.

- Była cudowna, prawda? Zawsze taka... wolna.

- Wolny duch. Moje przeciwieństwo, pod każdym względem.

Theo przeczyścił kolejną lufę nylonowym wyciorem. Sprawdził, czy nie ma na niej żadnych pęknięć, osadu ze spalonego węgla czy innych świństw i raptem spojrzał Paulowi prosto w oczy.

- Kiedyś mi coś powiedziałaś. Dawno, przed wieloma laty. Teraz ja powiem to samo tobie. - Położył mu rękę na ramieniu. - Nie ma zemsty. Nie na tym świecie. To podstawa. W naszym świecie są zamachy, represje, a potem znowu zamachy. Ale oczyszczająca zemsta, zemsta w swojej najszlachetniejszej postaci, po prostu nie istnieje. To tylko fantazja.

- Wiem.

- Helena nie żyje, Paul.

- Aha. Pewnie dlatego nie odbiera moich telefonów. - Ten posepny żart miał zamaskować ból.

Katsaris ani mrugnąć tylko jeszcze mocniej zacisnął rękę na jego ramieniu.

- Nic, absolutnie nic nie wróci jej życia. Zrobisz z tymi fanatykami, co zechcesz, ale musisz o tym pamiętać.

- Minęło pięć lat, Theo - odrzekł cicho Janson.

- I co? I czujesz, że minęło?

- Nie. Wciąż jest tak, jakby to było wczoraj.

Ostatnie słowa wypowiedział szeptem. „Jakby to było wczoraj”. Nie tak przemawia dowódca do podwładnego. Tak przemawia mężczyzna do kogoś, kto jest mu najbliższy w świecie, do kogoś, komu nigdy nie mógłby skłamać. Paul głośno wypuścił powietrze.

- Boisz się, że wpadnę w szal i rozniosę w pył tych, którzy zamordowali mi żonę.

- Nie - odparł Grek. - Boję się, żebyś nie doszedł do wniosku, że najlepszym sposobem uczczenia pamięci o Helenie będzie dać się zabić.

Paul gwałtownie pokręcił głową, choć zastanawiał się przez chwilę, czy w tym, co powiedział Katsaris, nie ma odrobiny prawdy.

- Nie. Dziś w nocy nie zginie żaden z nas. - Obydwaj wiedzieli, że jest to tylko rytualne zapewnienie, a nie realna ocena.

- A Helena zawsze miała dla nich dużo sympatii - rzekł po chwili Janson. - Co za ironia. Oczywiście nie dla terrorystów z FWLK, tylko dla zwykłych ludzi, którzy utknęli w tym gównie jak w pułapce. Gdyby żyła, pojechałaby pewnie z Novakiem na negocjacje. Kalif jest arcymistrzem manipulacji, ale może manipulować tylko dlatego, że ma czym, że Kagama naprawdę cierpią.

- Jeśli mamy tam jechać jako pracownicy socjalni, dali nam zły sprzęt. - Theo przesunął palcem po ostrzu wojskowego noża. - Peter Novak też próbował i zobacz tylko, jak skończył. Nasze zadanie jest proste. Wchodzimy tam, bierzemy faceta za łeb, i chodu.

Paul kiwnął głową.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, spędzimy na Anurze najwyżej sto minut. Z drugiej strony, skoro już tam lecimy, może powinieneś coś o nich wiedzieć...

- O Kagama? - odparł ponuro Katsaris. - Gdybyś mi o nich opowiedział, zawalilibyśmy wszystko, od początku do końca.

- Hm... - mruknął z podziwem Honwana. - Z przyjemnością się tym cackiem przelecę. - On, Janson i Hennessy przystanęli w progu hangaru, czekając, aż wzrok przywyknie do panującego w środku półmroku.

BA609 był przystosowanym do działań morskich śmigłowcem z przechylnymi rotarami; podobnie jak ospreye, których produkcji już zaniechano, miał wirniki umożliwiające pionowy start i lądowanie. Wirniki te po starcie odchylały się do tyłu i zmieniały w zwykłe śmigła, napędzające maszynę w locie poziomym: śmigłowiec zachowywał się wówczas jak samolot. Kadłub tego egzemplarza wykonano nie ze stali, tylko z twardej, bardzo wytrzymałej żywicy poliuretanowej; w rezultacie powstała leciutka maszyna, która na jednym litrze paliwa mogła zalecieć cztery razy dalej niż maszyny o budowie konwencjonalnej. I piloci, i Janson zdawali sobie sprawę, że od jej wszechstronności i niezawodności zależeć będzie powodzenie misji.

Honwana dotknął czubkami palców matowej burty samolotu.

- Piękna...

- I niewidzialna - dodał Janson. - Przy dobrej woli bogów.

- Pomodłę się do moich przodków - odrzekł poważnie Honwana. Ten wykształcony w Moskwie zatwardziały ateista nigdy nie uległ wpływom żadnej religii, ani wyznawanej przez tubylców, ani tej rozpowszechnianej przez misjonarzy.

- Zbiorniki są pełne. Zakładając, że ód ostatniego razu nie przytyłeś, powinniśmy dolecieć tam i z powrotem.

- Może być cienko - odparł poważnie Mozambijczyk. - Prawie bez marginesu.

- Nie mamy wyboru. To nie mój rozkład lotów i nie mój teren. Tam rządzi FWLK. Próbuję improwizować najlepiej, jak umiem. Marzy ci się starannie opracowany plan awaryjny? Tu nie ma żadnego planu, brachu. Tu jest jedna wielka prowizorka, jedno wielkie show.

- Mickey Rooney i Judy Garland w stodole - wtrącił ponuro Hennessy. - Z toną dyna-

mitu pod nogami.

Północne wybrzeże Anury przypominało czubek zrytego zmarszczkami walentynkowego serduszka. Niemal całe wschodnie wybrzeże porastała gęsta, prawie niezamieszkała dżungla. Honwana prowadził maszynę tuż nad wierzchołkami drzew. Gdy znaleźli się nad morzem, samolot zadarł pysk i legł na skrzydło w niemal czterdziestostopniowym skreście.

Mimo dziwnego kursu, lot był zadziwiająco gładki, gdyż Mozambijczyk nieustannie brał poprawki na zmienny wiatr i silne prądy wznoszące. Ustawione w pozycji horyzontalnej silniki wydawały monotony odgłos, coś między rykiem i jednostajnym buczeniem.

Andressen i Hennessy siedzieli z przodu z Honwana jako dodatkowi nawigatorzy, za przepierzeniem zaś, na twardych ławkach tkwili dwaj samotni skoczki, omawiając ostatnie szczegóły akcji.

Pół godziny po starcie Theo Katsaris zerknął na swego odpornego na wstrząsy breitlinga i połknął stumiligramową tabletkę provigilu, Provigil regulował jego rytm dobowy: odpędzał senność jak amfetamina, lecz - w przeciwieństwie do amfetaminy - nie dodawał pewności siebie. Do strefy zrzutu pozostały jeszcze dwie godziny lotu, tak więc provigil miał działać najskuteczniej dopiero podczas akcji. Potem Theo połknął drugą tabletkę, tym razem pocholienergiku, żeby się za bardzo nie pocić.

Wskazał dwa grube, czarne cylindry, które Paul trzymał przy uchu.

- Skuteczne? - spytał.

- O tak - odrzekł Janson. - Pod warunkiem, że nie zaczną przeciekać. Kochane moje - dodał pieczołtliwie. - Są pełne: pełne animuszu, tak samo jak ty.

Katsaris podsunął mu listek provigilu.

- Chcesz?

Paul pokręcił głową. Theo wiedział, co robi, ale każdy narkotyk mógł mieć nieprzewidywalne skutki uboczne, dlatego Paul nigdy nie brał czegoś, czego nie znał.

- Powiedz mi, Theo - rzucił, odkładając cylindry i grzebiąc wśród planów - jak się miewa twoja... żoneczka?

- Żoneczka? Ona wie, że tak ją nazywasz?

- Znałem ją na długo przed tobą! Piękna Marina...

Katsaris wybuchnął śmiechem.

- Nawet nie masz pojęcia, jak piękna! Myślisz, że masz, ale nie masz, najmniejszego! Teraz dosłownie promienieje. - „Promienieje”: wypowiedział to ze specjalnym naciskiem.

- Czekaj. Chcesz powiedzieć, że..;

- Pierwsze miesiące, pierwszy trymestr. Pierwsze poranne mdłości. Ale nie licząc mdłości, czuje się świetnie.

Jansonowi znowu przypomniała się Helena i poczuł, że coś mocno ściska go za serce.

- Piękna z nas para, co? - Theo powiedział to z udawaną dumą i pewnością siebie, lecz taka była niepodważalna prawda. Theo i Marina Katsarisowie byli ulubieńcami bogów, doskonałymi okazami śródziemno morskiej siły i symetrii. Paul spędził z nimi tydzień w Mykenach i dobrze pamiętał pewne popołudnie, gdy spotkali władczą dyrektorkę domu mody z Paryża, która przybyła do Grecji w poszukiwaniu sugestywnej i silnie oddziałującej na widza kombinacji skąpych kostiumów kąpielowych, szerokich łąch białego piasku i lazurowego morza. Francuzka była przekonana, że Theo i Marina są zawodowymi modelami i spytała ich, w jakiej pracują agencji. Widząc ich śnieżnobiałe zęby, gładką, oliwkową cerę i czarne, lśniące włosy i wiedząc, że wszystkie te atrybuty mogą prze paść, niewykorzystane do celów komercyjnych, doszła do wniosku, że jest to czyste marnotrawstwo bezcennych zasobów naturalnych.

- A więc będziesz ojcem - skostatował Janson. Fala gorąca, która zalała go, gdy Theo

przekazał mu nowinę, szybko minęła.

- I widzę, że cieszysz się z tego jak jasna cholera - mruknął Katsaris.

Paul zamilkł i milczał przez dłuższą chwilę.

- Powinieneś być mnie uprzedzić.

- Dlaczego? - spytał lekko Theo. - To Marina jest w ciąży, nie ja.

- Dobrze wiesz dlaczego.

- Jezu, chcieliśmy ci niedługo powiedzieć. Chcieliśmy cię nawet prosić, żebyś został ojcem chrzestnym.

- Powinieneś być mnie uprzedzić - powtórzył niemal zaczepnie Janson.

Katsaris wzruszył ramionami.

- Aha, uważasz, że nie powinienem brać udziału w tej imprezie. Za bardzo się przejmujesz, Paul. Jeszcze mnie nie zabili. Posłuchaj, rozumiem, że ryzykujemy, ale...

- Nic nie rozumiesz, w tym rzecz. Ryzyka nie da się zrozumieć. Ani zrozumieć, ani nad nim zapanować.

- W porządku, nie chcesz, żebym osierocił własne dziecko. Coś ci powiem: ja też nie chcę. Nie chcę, zamierzam zostać ojcem i bardzo, ale to bardzo się z tego cieszę. To jednak w niczym nie zmieni mojego sposobu życia. Jasne? Po prostu cały czas jestem sobą i Marina o tym wie. Ty też o tym wiesz. Dlatego mnie wybrałeś.

- Nie wiem, czy wybrałbym cię, gdybym...

- Nie mówię o tej misji. Mówię o przeszłości. Chodzi mi o Epidaurus.

Minęło ledwie osiem lat od chwili, gdy dwudziestu żołnierzy greckiej armii brało udział w ćwiczeniach zorganizowanych przez Konsularny Wydział Operacyjny. Celem ćwiczeń było wyszkolenie Greków w wykrywaniu i powstrzymaniu narastającego z dnia na dzień handlu bronią- przemytnicy wykorzystywali do tego celu greckie frachtowce. Dla potrzeb ćwiczeń na chybił trafił wybrano pierwszy lepszy okręt stojący na kotwicy nieopodal wybrzeży Epidaurusu. Pech chciał, że okręt ten był załadowany kontrabandą, narkotykami. Co gorsza, na pokładzie znajdował się jeden z ważniejszych tureckich dilerów wraz ze swoją uzbrojoną po zęby gwardią przyboczną. Na skutek kolejnych nieporozumień wszystko poszło nie tak, straszliwie nie tak. Niedoświadczeni ludzie po obu stronach barykady spanikowali: nadzorujący ćwiczenia specjaliści z Konsularnego Wydziału Operacyjnego widzieli to - dzięki cyfrowym teleskopom i urządzeniom nasłuchowym w kombinezonach płetwonurków - lecz nie mogli temu w żaden sposób zaradzić, nie narażając na niebezpieczeństwo pechowych żołnierzy: byli po prostu za daleko.

Janson był wtedy na pokładzie niewielkiej fregaty, stojącej na kotwicy pół mili morskiej dalej, i to, co widział, wprawiło go w przerażenie; szczególnie wryło mu się w pamięć dwadzieścia pełnych napięcia sekund, kiedy to wszystko mogło skończyć się prawdziwą tragedią. Obie grupy były równe sobie liczebnie i znakomicie uzbrojone. Każdy z nich myślał podobnie: będę miał największą szansę przeżycia, jeśli pierwszy otworzę ogień. Ale gdyby ktokolwiek otworzył ogień z broni automatycznej, przeciwnik nie miałby wyboru i musiałby odpowiedzieć ogniem. Czekano ich więc coś w rodzaju samobójczej „uczciwej walki”, która mogła doprowadzić do stuprocentowych strat po obu stronach. Jednocześnie nie było mowy, żeby Turcy się poddali: ludzie z branży uznaliby ich za zdrajców i odpłaciliby im za to natychmiastową śmiercią.

- Nie strzelajcie! - krzyknął młody Grek. Odłożył broń, lecz zrobił to nie ze strachem, lecz z odrazą; Janson słyszał jego metaliczny głos przez głośnik nadajnika. - Kretyni! Głupki! Niewdzięcznicy! Jesteśmy po waszej stronie! Pracujemy dla was!

Turcy gromko zakrzyknęli z radości, jednak już po chwili doszli do wniosku, że jest to oświadczenie na tyle dziwaczne, iż wymaga dalszych wyjaśnień.

Wyjaśnienia zaś, genialne wprost i błyskawicznie zaimprovizowane, były błyskotliwą mieszaniną faktów i fikcji. Młody Grek powołał się na niejakiego Orhama Murata, tureckiego potentata narkotykowego, do którego kartelu należał przebywający na pokładzie frachtowca handlarz. Oznajmił, że owszem, dowódcy rozkazali jemu i jego żołnierzom przeszukiwać i zatrzymywać podejrzaną okręty, ale Murat płacił mu hojnie za to, żeby jego okręty tego losu uniknęły.

- To bardzo, bardzo hojny człowiek - mówił Grek poważnie i z chciwością w głosie. - Dzięki niemu moje dzieci mogą jeść trzy posiłki dziennie. Bo jak tu żyć z tego, co płaci nam państwo? - Pozostali żołnierze początkowo milczeli ze strachu, nie mając pewności, co stanie się za chwilę. Ale potem zaczęli potakiwać, jakby nareszcie zrozumieli, że tamten mówi to wszystko dla ich dobra. Opuścili broń i pokornie spuścili oczy.

- Jeśli kłamiesz... - syknął dowódca gwardii przybocznej handlarza.

- Prosimy was tylko o jedno: żebyście nie nadawali tego przez radio. Nasi przełożeni siedzą cały czas na nasłuchu i znają wasze kody.

- Łżesz! - warknął turecki handlarz, który w końcu wyszedł na pokład.

- Ja? Ależ skąd! Naszym dowódcą pomagali Amerykanie. Jeśli nadacie to przez radio, równie dobrze możecie nas teraz zastrzelić, bo nasi rozstrzelają nas jako zdrajców, gdy tylko wrócimy na ląd. W sumie nawet lepiej by było, gdybyście ich wyręczyli, bo wtedy wojsko uznałoby nas za bohaterów i zatroszczyłoby się o nasze rodziny. Natomiast o tym, czy Orham Murat zatroszczy się o wasze wdowy i sieroty, kiedy się dowie, że zepsuliście mu coś, co kosztowało go mnóstwo czasu i pieniędzy, musicie zdecydować sami.

Zapadła długa, niezręczna cisza. W końcu handlarz nie wytrzymał i wybuchnął:

- Twoje żądania są absurdalne! Jeśli wasi znają nasze kody....

- Jeśli? Jeśli? Myślisz, że to przypadek, że kazano nam zatrzymać wasz statek? - Młody Grek pogardliwie prychnął. - Zadam ci tylko jedno pytanie: czy naprawdę wierzysz w przypadki?

I tym pytaniem uratował swój oddział. Żaden przemytnik - a przynajmniej nie ten, który utrzymał się w branży na tyle długo, żeby nabyć doświadczenia - nie wierzył w zbiegi okoliczności.

Płetwonurkowie zeszli do wody i młody Grek poprowadził ich z powrotem na amerykańską fregatę. Straty? Zerowe. Siedem godzin później „Minosa” otoczyła flotylla uzbrojonych w działą okrętów z ochrony wybrzeża. Widząc tę demonstrację siły, Turcy uznali, że nie mają szans, i poddali się.

Janson przedstawił się młodzieńcowi, który pod wpływem chwili tak genialnie wykorzystał i przekręcił prawdę - prawdę, że wkroczyli na okręt zupełnie przypadkowo - żeby uprawdopodobnić swoją opowieść. Okazało się, że Theo Katsaris jest kimś więcej niż tylko inteligentnym, opanowanym chłopakiem; natura obdarzyła go również niezwykle sprawnością fizyczną, dzięki której doskonale radził sobie ze wszystkimi testami wytrzymałości. Ale dopiero dowiedziawszy się o nim więcej, Paul mógł stwierdzić, jak bardzo Theo różni się od innych. W przeciwieństwie do swoich kolegów, pochodził z dość bogatej rodziny; jego ojciec był dyplomatą średniego szczebla, a ponieważ pracował kiedyś na placówce w Waszyngtonie, Katsaris, wówczas nastolatek, uczęszczał przez dwa lata do St. Alban's. Jansona kusiło, żeby sklasyfikować go jako człowieka uzależnionego od adrenaliny - bez wątplenia znalazłoby się w tym trochę prawdy - ale jego pasja i pragnienie, żeby uczynić świat lepszym, były szczerze i autentyczne.

Kilka dni później Paul zaprosił na kielicha greckiego generała, absolwenta college'u wojskowego w Carlisle, w Pensylwanii. Powiedział mu, że poznał pewnego młodego żołnierza, którego możliwości intelektualnych i fizycznych grecka armia nie jest w stanie w pełni wykorzystać. Zaproponował, że weźmie go pod swoje skrzydła i osobiście zajmie się jego dalszym szkoleniem. W owym czasie kierownictwo Konsularnego Wydziału Operacyjnego

było szczególnie nastawione na rozwijanie tak zwanego „strategicznego partnerstwa”, czyli organizowanie wszelkiego rodzaju akcji wspólnie z natowskimi sojusznikami. Działając pod tak przekonującymi auspicjami, KWO zyskiwał cenny nabytek, natomiast Hellada miała skorzystać na tym później, gdy wyszkolony przez Jansona Katsaris przekaże swoją wiedzę i umiejętności zwalczania terroryzmu kolegom Grekom.

Dogadali się przy trzecim koktajlu.

- Marina wie, co robisz? - spytał Janson, przeszywając go ostrym spojrzeniem.
 - Szczegółów nie zna, o nic nie pytała - odrzekł ze śmiechem Theo. - Przestań. Dobrze wiesz, że ona ma większe jaja niż chłopcy z naszej osiemnastej dywizji.
 - To prawda.
 - Więc pozwól mi podejmować decyzje, dobra? Poza tym, skoro ta misja jest tak niebezpieczna, czy miałbyś sumienie prosić kogoś, żeby mnie zastąpił?
- Paul tylko pokręcił głową.
- Potrzebujesz mnie - dodał Katsaris.
 - Mógłbym wziąć kogoś innego.
 - Ale nie tak dobrego jak ja.
 - Trudno zaprzeczyć. - Obydwaj spowaźnieli, już się nie uśmiechali.
 - I ty, i ja dobrze wiemy, ile ta operacja dla ciebie znaczy. To nie jest zwykła fucha za szmal.
 - Temu też nie zaprzeczę. Pomagając Novakowi, pomożemy światu.
 - Mówię o jakimś Paulu Jansonie, a nie o świecie. Najpierw ludzie, potem abstrakcyjny świat? Zawsze się co do tego zgadzaliśmy. - Patrzył na niego nieugiętym wzrokiem. - Nie zawiodę cię.
- Janson poczuł się dziwnie wzruszony.
- Powiedz mi coś, czego nie wiem - odparł.

Im bliżej było do godziny zero, tym bardziej narastało napięcie. Przedsięwzięli wszelkie środki ostrożności. Samolot został całkowicie zaciemniony: zgaszono wszystkie światła, a przedtem, jeszcze na ziemi, wyzbyto się rzeczy, które mogłyby odbijać światło dochodzące z innego źródła. Siedzący na parcianych pasach przy śliskiej od smaru rampie Katsaris i Janson przestrzegali tej samej zasady i nie mieli na sobie nic błyszczącego. Gdy maszyna zbliżyła się do strefy zrzutu, włożyli czarne, nylonowe kombinezony i pomalowali sobie twarze. Gdyby zrobili to wcześniej, ugotowaliby się z gorąca. Obwieszane sprzętem kamizelki szturmowe pod kombinezonami były nierówne i guzowate, ale cóż, nie mieli innego wyjścia.

Pierwsza wielka niewiadoma: obydwaj mieli na koncie trzy tysiące skoków, ale skok, który mieli wykonać tej nocy, wykraczał poza ich doświadczenie.

Janson czuł coś w rodzaju zadowolenia, gdy zrozumiał, że jedynym sposobem, by dotrzeć do pałacu niepostrzeżenie, jest nocne lądowanie na jego dziedzińcu. Jednakże to, czy zdołają tam wylądować, było wielką niewiadomą.

Żeby dostać się tam niezauważenie, musieli skoczyć bezszelestnie w dół pod bezgwiezdnym, bezksiężycowym niebem, typowym dla pory monsunowej. Według tego, co wyczytali z satelitarnych map meteo, między czwartą i piątą nad ranem powłoka chmur miała być zwarta i całkowicie szczelna.

Ale oni byli zwykłymi ludźmi, nie supermanami. Żeby wszystko się udało, musieli lądować z niezwykłą wprost precyzją. Co gorsza, ta sama pogoda, która zapewniała im osłonę w postaci chmur, mogła zabić gwałtownym wiatrem, kolejnym wrogiem precyzyjnego lądo-

wania. W normalnych okolicznościach każde z tych utrudnień wystarczyłoby, żeby Paul odwołał misję.

Pod wieloma względami miał to być skok w ciemno. Była to również jedyna szansa Petera Novaka.

Gdy samolot przekroczył pułap sześciu tysięcy metrów, Honowan otworzył luk. Na tej wysokości powietrze było rozrzedzone, a temperatura sięgała trzydziestu stopni poniżej zera. Ale wiedzieli, że ekspozycja na mróz będzie stosunkowo krótka. Gogle, rękawice, mocno przylegające do głowy opływowe kaski i nylonowe kombinezony - to wszystko miało pomóc im przetrwać.

Z innych zaś powodów chcieli wyskoczyć nad oceanem, prawie dwa kilometry od Kamiennego Pałacu. Opadłszy na mniejszą wysokość, zamierzali pozbyć się uchwytów wyzwalających i rękawic, żeby przedmioty te nie spadły na cel jak deszcz ulotek ostrzegających o ich przybyciu.

Poza tym skok z dużej wysokości dawał im więcej czasu na ustawienie się w odpowiedniej pozycji i obranie właściwego kursu - albo na całkowite zejście z kursu i zaprzepaszczenie wszelkich szans na powodzenie misji. Bez wcześniejszych ćwiczeń nie sposób było przewidzieć, czy podjęli słuszną decyzję. Jednak jakąś decyzję podjąć musieli i Janson ją podjął.

- Dobra - powiedział, stając w otwartym luku.- Tylko pamiętaj, Theo. To nie jest zwykły skok. Rób to co ja.

- To niesprawiedliwe - zaprotestował Katsaris. - Zawsze musisz być pierwszy.

- Wiek przed urodą, synu - mruknął Paul i zszedł aluminiowymi schodkami na krawędź rampy.

A potem odbił się i skoczył w czarną jak atrament otchłań.

Rozdział 5

Miotany potężnymi podmuchami zaśmigłowymi i lodowatym wichrem, z trudem poprawnie ułożył kończyny. Spadanie swobodne: tak się to nazywało, a jednak nie przypominało spadania. Ulegając sile ciężkości, czuł się tak, jakby Stał w miejscu, a raczej leżał w pustce, zupełnie nieruchomo, i to mimo potwornie silnego, huczącego wiatru. Co więcej, tym razem spadanie swobodne było wszystkim, tylko nie spadaniem swobodnym. Ponad sześć kilometrów pod nim czyhało niespokojne morze. Jeśli miał osiągnąć zaplanowaną trajektorię, niemal każda Sekunda lotu musiała być dokładnie kontrolowana. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli w ciągu najbliższych dwóch minut coś pójdzie nie tak, misja skończy się, zanim się na dobre rozpocznie.

Turbulencje utrudniały mu sterowanie ciałem.

Niemal natychmiast porwał go silny wiatr i kilka sekund później zaczął obracać się wokół własnej osi, początkowo powoli, potem coraz szybciej. Niech to szlag! Dostał zawrotów głowy, narastało poczucie dezorientacji. Zawroty głowy i dezorientacja to na tej wysokości pewna śmierć.

Z twarzą skierowaną w dół, z wygiętym w łuk kręgosłupem, rozłożył ręce i nogi. Przystał wirować, zawroty głowy minęły. Tylko jak długo to trwało? Ile upłynęło czasu?

Podczas zwykłego skoku prędkość opadania przestaje rosnać przy około stu osiemdziesięciu kilometrach na godzinę - odzyskał już dobre ułożenie ciała i musiał teraz tę prędkość maksymalnie zmniejszyć. Jeszcze mocniej wygiął kręgosłup, jeszcze szerzej rozłożył nogi, rozczapierzył ręce i przyjął pozycję pająka. Tymczasem mroźne wichry, najwyraźniej rozścieczone tym, że próbował je okiełznać, szarpały jego uprzęży i wciskały swoje macki pod gogle i pod kask. Był w rękawicach, mimo to palce zdętwiały mu jak po zastrzyku nowokainy. Powoli zgiął rękę i zerknął przez gogle na wielką, podświetloną tarczę wysokościomierza i GPS.

Wyższa matematyka. W ciągu czterdziestu sekund, jakie mu pozostały, musiał dotrzeć do strefy lądowania. Inercyjny żyroskop mógł powiedzieć mu, czy jest na dobrym kursie, nie mógł mu jednak podszeptać, w jaki sposób kurs ten skorygować.

Przekrzywił głowę, żeby sprawdzić, gdzie jest Theo.

Ale nigdzie go nie dostrzegł. Nic dziwnego. Zresztą jaką mieli tej nocy widoczność? Czy Katsaris był sto pięćdziesiąt czy piętnaście metrów dalej? A może trzysta?

Pytanie to nie było bynajmniej bez znaczenia: dwaj spadający przez powłokę czarnych chmur skoczki mogli się ze sobą tragicznie zderzyć. Prawdopodobieństwo, że do tego dojdzie, było minimalne, ale operacja jako taka była też ewidentnym zaprzeczeniem racjonalnej kalkulacji szans na powodzenie.

Wystarczyłoby, żeby na kilkanaście sekund przed przyziemieniem znaleźli się o sześć metrów za daleko w lewo czy w prawo i rezultaty mogły okazać się katastrofalne. Ta sama powłoka chmur, która zapewniała im niewidzialność, w niesłychany sposób utrudniała też precyzyjne lądowanie. W normalnych okolicznościach desantowiec siadał w dobrze oznaczonym miejscu - zwykle używano do tego celu świec dymnych i rac - namierzając je wzrokiem i odpowiednio korygując kurs. Dla doświadczonego skoczka spadochronowego była to kwestia instynktu. Ale w tym wypadku instynkt na niewiele się zda, bo gdy znajdą się na tyle nisko, żeby coś zobaczyć, może być już za późno. Zamiast na instynkcie, musieli polegać na namierniku GPS, który mieli przytoczony do ręki, w efekcie więc obydwaj bawili się w elektronicznego Marco Polo.

Trzydzieści pięć sekund. Okno się zamykało: musiał przyjąć pozycję deltoidalną, i to jak najszybciej.

Odrzucił do tyłu ręce i ułożył je skośnie - sterował teraz jedynie ramionami i dłońmi. Nic z tego: w tej samej chwili silny boczny wiatr zepchnął go w dół i ustawił pod znacznie ostrzejszym kątem w stosunku do leżącej gdzieś w dole ziemi. Janson natychmiast zrozumiał, co się stało. Spadał za szybko. O wiele za szybko.

Czy mógł temu jakoś zaradzić?

Jedynym sposobem było zwiększenie siły oporu. Ale jednocześnie, jeśli w ogóle chciał dotrzeć do pałacu, musiał dotrzeć tam jak najszybciej. A więc jedno z dwojga.

Czyżby spieprzył misję zaledwie kilkanaście sekund po jej rozpoczęciu?

Niemożliwe.

Wprost przeciwnie, bardzo możliwe.

Chłostany lodowatymi wichrami, stwierdził, że spokojne rozkazy wynikające z wieloletniego doświadczenia rywalizują w jego głowie z jazgotem wewnętrznych samooskarżeń. Wiedziałaś, że to nie wypali, że to nie może wypalić. Zbyt dużo niewiadomych, zbyt dużo zmiennych, na które nie masz najmniejszego wpływu. Dlaczego się tej misji w ogóle podjąłeś? Z dumy? Duma i zawodowstwo? Od kiedy? Duma jest wrogiem zawodowstwa: tak twierdził Alan Demarest i miał rację. Przez dumę można zginąć. To zadanie nie miało szans, i to od samego początku. Nie przyjąłby go żaden wojskowy. Dlatego zwrócili się do ciebie.

I nagle wśród tego przeraźliwego jazgotu odezwał się cichy, spokojny głos: płaskie spadanie.

Jego własny głos, głos sprzed kilkudziesięciu lat, kiedy to szkolił kandydatów do Fok. Płaskie spadanie. Tak, musiał natychmiast zmienić pozycję.

Pytanie tylko, czy da radę. Nie ćwiczył tego manewru od lat. A już na pewno nie robił tego podczas skoku z namiernikiem GPS. Płaskie spadanie oznaczało, że trzeba nadać ciału kształt skrzydła samolotu i zyskać dzięki temu chociaż odrobinę siły nośnej. Przez kilka sekund pędził w dół lotem nurkowym z lekko rozłożonymi rękami i nogami. Potem uniósł biodra, wypchnął do przodu ramiona, jakby się komuś uniżenie kłaniał, złożył dłonie w łódkę, odchylił do tyłu głowę, złączył nogi i wyprostował stopy jak baletmistrz.

I nic. Bez skutku.

Upłynęło dobre dziesięć sekund, zanim poczuł, że siła oporu zaczyna powoli narastać i zauważył, że lot nurkowy przestaje być lotem nurkowym. Podczas tego manewru można opaść pod kątem dochodzącym nawet do czterdziestu pięciu stopni.

Teoretycznie.

Podczas płaskiego spadania można zmieniać pozycję zarówno w pionie, jak i w poziomie, tak że każdy metr w dół to niemal cały metr do przodu, bliżej strefy lądowania.

I znowu: teoretycznie.

W rzeczywistości zaś Janson był koszmarnie przeciążony. Dźwigał pod kombinezonem ponad dwadzieścia kilogramów sprzętu. W rzeczywistości był też czterdziestodziewięcioletnim mężczyzną, któremu ręce i nogi marzły na wciskającym się pod kombinezon wietrze. Płaskie spadanie wymagało doskonałej formy fizycznej, a on nie wiedział, jak długo wytrzymają jego mięśnie. W rzeczywistości każde zerknięcie na GPS zakłócało tor lotu, od którego zależało teraz powodzenie misji. Ale z drugiej strony, bez namiernika był ślepy jak kret.

Oczyścił umysł z niepotrzebnych myśli, zapomniał o niepokoju; musiał być maszyną, automatem, którego jedynym zadaniem jest utrzymywanie poprawnego kursu i trajektorii lotu.

Ponownie zerknął ukradkiem na namiernik.

Na jego tarczy mrugało światełko, co oznaczało, że zboczył z kursu. Jak bardzo? Cztery, najwyżej pięć stopni. Zgiął ręce pod kątem czterdziestu pięciu stopni i lekko zniekształcając otaczającą go poduszkę powietrzną, wykonał powolny skręt.

Namiernik przestał mrugać. Przepeliła go irracjonalna, zupełnie bezmyślna nadzieja.

Spadał płasko, szybował po atramentowym niebie jak ptak - poduszka powietrzna niosła go ku miejscu przeznaczenia. Był czarny jak chmury, był jednym z szalejących po niebie prądów. W twarz wiał mu wiatr, lecz wiatr ten, niczym ręka anioła, utrzymywał go w górze jak skrzydło, jak lotnię.

Lekka wibracja na przegubie. Alarm wysokościowy.

Ostrzeżenie, że dotarł tam, skąd nie było już odwrotu, że osiągnął wysokość, poniżej której czyhała już tylko śmierć w chwili zderzenia z ziemią. W podręcznikach piszą o tym mniej dramatycznie, określając rzecz mianem „minimalnej wysokości otwarcia spadochronu”. Natomiast skok z opóźnionym otwarciem z dużej wysokości nie miał ściśle określonych parametrów. Janson wiedział jedno: jeśli pociągnie za uchwyt wyzwalający za późno, ziemia grzmotnie go z siłą dwunastokołowej ciężarówki pędzącej autostradą.

Wciąż jednak znajdował się za daleko, dalej od strefy lądowania, niż planował. Zamierzał otworzyć spadochron dopiero w bezpośredniej bliskości pałacu, gdyż po pierwsze, manewrowanie z otwartą czaszą wśród zmiennych wiatrów jest znacznie trudniejsze, a po drugie, powolne opadanie znacznie zwiększa niebezpieczeństwo wykrycia. Trudniej jest zauważyć człowieka pędzącego ku ziemi z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę niż człowieka szybującego powoli pod wielką, prostokątną czaszą.

Musiał podjąć decyzję, i to już, teraz, natychmiast!

Przekreślił głowę, próbując dostrzec coś w gęstej jak smoła ciemności i raptem ogarnęło go uczucie, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył, a już na pewno nie podczas swobodnego opadania: uczucie klaustrofobii.

To przeważało szalę: jest mgła. On i czarna czasza spadochronu są niewidoczni na tle bezgwiezdnego nieba. Ustawił się w pozycji pionowej i szarpnął za uchwyt wyzwalacza. Zatrzepotało. Ciasno spakowana czasza poszybowała do góry, a wraz z nią linki nośne. Poczł znajome szarpnięcie, jakby ktoś kopnął go w zadek, jednocześnie próbując wyrwać mu ze stawów ramiona. Wycie wiatru momentalnie ustało: ten sam ktoś wyłączył nagle dźwięk.

Wyrzucił uchwyt urządzenia wyzwalającego i spojrzał do góry, żeby sprawdzić, czy czarna nylonowa czasza rozwinęła się jak trzeba, i z trudem dostrzegł jej zarys ledwie cztery i pół metra wyżej. W innych okolicznościach pewnie by się trochę zdenerwował, ale tej nocy widok ten - a raczej jego brak - bardzo go pokrzepił.

Nagły podmuch bocznego wiatru pchnął go gwałtownie w lewo, poczuł się jak ryba na haczyku. Będzie musiał uważać: jeśli przesteruje, w żaden sposób nie będzie mógł wrócić do strefy lądowania. Zdawał sobie również sprawę z kompromisu między sterowaniem i prędkością: czasza osiągała największą przy maksymalnej krawędzi natarcia, gdy taśmy były w pełni poluzowane.

Światelko na tarczy namiernika GPS ponownie zamrugało: zboczył z kursu, i to bardzo.

O Chryste, nie!

Ale walcząc z turbulencjami, wiedział, że to, co ich czeka, będzie jeszcze trudniejsze: musieli wylądować na pałacowym dziedzińcu, cicho i niezauważenie. Najmniejszy błąd mógł narazić ich na niebezpieczeństwo. Wiedział też, że nawet jeśli wylądują bezbłędnie, może zabić ich każda z tysiąca nieprzewidywalnych komplikacji. Jeżeli w pobliżu dziedzińca znajdzie się jakiś żołnierz - a żadne prawo nie zabraniało mu tam przebywać - będzie po nich. Misja się skończy. A jej cel, człowiek, którego mieli uratować, na pewno zginie. W taki oto sposób działali ich przyjaciele terroryści: odpowiedzią na próbę jakiegokolwiek akcji ratowniczej będzie zabicie zakładnika, i to błyskawicznie.

Ściągnął w dół prawą taśmę sterowniczą. Musiał wykonać szybki zwrot, zanim kolejny podmuch wiatru wyśle go gdzieś, skąd nie będzie powrotu. Skutek był niemal natychmiastowy: Janson zachwiał się i gwałtownie zakołysał, a wielki, okrągły wysokościomierz powiedział mu, że prędkość opadania znacznie wzrosła.

Niedobrze. Był za blisko ziemi. Mimo to, założywszy, że kąt schodzenia jest prawidłowy, popuścił taśmę, maksymalnie rozwijając czaszę, żeby zwiększyć opór pionowy. Umiał omijać stożki wiatrów, ale wiatry wiejące nad wyspą, silne i nieprzewidywalne, bardzo utrudniały mu zadanie. Wiedział tylko, że znów zboczył i że jedynym sposobem powrotu na dobry kurs jest ponowny skręt. Tak jak setki razy przedtem, manewrował taśmami dopóty, dopóki nie ustalił kierunku przeważających wiatrów, i w końcu był w stanie wykonać łagodny, esowaty zwrot, który naprowadził go na prawidłową ścieżkę schodzenia. Utrzymanie się na niej wymagało pełnego skupienia, zwłaszcza że od dołu, od morza, były silne termiki, a przynajmniej tak mu się wydawało. Anurańskie niebo było jak nieujarzmiona bestia.

Serce zabiło mu jeszcze szybciej. Niczym maszty statku widma, zza mgły wyłoniły się blanki, otwory strzelnicze i masywne mury z wapienia, odbijające każdy, najślabszy nawet promień sączącego się przez chmury światła. Doznał czegoś w rodzaju szoku: była to pierwsza rzecz, jaką zobaczył od chwili opuszczenia samolotu. Szybko ściągnął i wyrzucił rękawiczki. Musiał przećwiczyć w myśli manewr lądowania. Pod wiatr. Z wiatrem. Przy bocznym wietrze.

Żeby jak najbardziej zmniejszyć prędkość, musiał podejść do lądowiska pod wiatr. Silny boczny podmuch zniósł go trzysta metrów w prawo. Potem przez chwilę szybował z wiatrem i celowo „przestrzelił” dziedziniec. Był to manewr skomplikowany, lecz konieczny: miał teraz do pokonania siedemdziesiąt pięć metrów pod wiatr. Mógłby jeszcze bardziej zwolnić, ściągając w dół obie taśmy, „pompując”, czyli zaginając krawędź natarcia czaszy, ale zwiększyłby tym samym prędkość opadania, a tego zrobić nie mógł. Dlatego podczas redukcji prędkości poziomej musiał polegać na samym wietrze.

Modlił się, żeby już nie musieć skręcać, żeby ścieżka schodzenia, którą obrał, zaprowadziła go prosto na dziedziniec, bo każdy zwrot, zwłaszcza nagły, pociągał za sobą niebezpieczny przyrost prędkości. Ostatnie piętnaście sekund musiało być idealne. Nie mógł pozwolić sobie na najmniejszy błąd; wysokie mury i blanki uniemożliwiały płytkie podejście.

Nagle zdał sobie sprawę z wysokiej wilgotności powietrza - poczuł się tak, jakby wszedł prosto do łaźni parowej. Na przemarzniętych palcach skraplała się woda. Były zupełnie mokre i zaciskając je na uchwytach taśm, poczuł się jak po zastrzyku adrenaliny: Chryste, nie mogły się ześlizgnąć, nie teraz!

Z w pełni rozwiniętą czaszą płynął w kierunku dziedzińca, który rozmywał mu się przed oczami w migotliwej plątanie szarych i czarnych plam. Puściwszy taśmy, wyłączył namierznik GPS i wysokościomierz, żeby nie zdradziła go bijąca z tarcz poświata.

Serce waliło mu jak młotem. Był prawie na miejscu, prawie mu się udało, gdyby tylko zdołał jeszcze dobrze upaść po wylądowaniu.

Wybór odpowiedniego momentu był niezwykle ważny. Teraz? Licząc od butów, był cztery i pół metra nad ziemią; wiedział, że cztery i pół, ponieważ tyle samo dzieliło jego głowę od czaszy. Nie, jeszcze nie. Nawet tu, za murami pałacu, dęty silne, nieprzewidywalne wiatry. Musiał poczekać, aż znajdzie się na wysokości dwóch, dwóch i pół metra...

Teraz!

Ściągnął obie taśmy do poziomu ramienia, a potem jednym płynnym ruchem nadgarstków i przedramion wepchnął je głęboko między uda, całkowicie wytracając prędkość poziomą. Opadając, napiął mięśnie i lekko ugiął nogi w kolanach. Ile czasu mu pozostało? Jedna, najwyżej dwie sekundy, a musiał jeszcze zdecydować, czy będzie to lądowanie z miękkim, w pełni kontrolowanym upadkiem - kolana i stopy razem - czy ustane - kolana i stopy lekko od siebie. Jeśli powiedziało się „a”, należy powiedzieć i „b”: spróbuje ustać.

Rozluźniwszy mięśnie, musnął podszwami ziemię - Były z miękkiej gumy, żeby ciszej stąpać, i znakomicie spełniły swoje zadanie. Bezszelestnie stanął na piętach, przygotowując się na ewentualny upadek, Ale nie, nie upadł.

Stał. Na ziemi. Na dziedzińcu.

Udało się.

Popatrzył wokoło i w czarnej, bezgwiazdnej nocy zobaczył jedynie zarys wielkiego dziedzińca o długości trzy razy większej od szerokości. I coś dużego, białawego - według planów, starą fontannę - kilka metrów dalej. Stał niemal dokładnie pośrodku placu wielkości połowy boiska futbolowego, placu upiornie cichego. Nie dostrzegł żadnego ruchu: nikt go nie zauważył.

Rozpiął uprząż, zdjął kombinezon i szybko zebrał czasę. Przed przystąpieniem do dalszej akcji musiał ją dobrze ukryć. Nawet bezgwiazdna noc nie jest całkowicie pozbawiona widoczności. Czarny nylon, znakomicie maskujący na tle czarnego nieba, kontrastował z jasnoszarymi kamiennymi płytami, którymi wyłożono dziedziniec. Spadochron musiał zniknąć.

Ale gdzie jest Katsaris?

Janson ponownie się rozejrzał. Czyżby Theo przesterował? Wylądował na plaży, hen, daleko w dole? A może na twardej żwirowce prowadzącej do pałacu? Każdy błąd mógł okazać się błędem śmiertelnie niebezpiecznym, dla niego i dla pozostałych członków grupy.

Niech to szlag! Wściekłość i strach ścisnęły mu gardło niczym wielka, włochata łąpa. Jak każdy taktyk, uległ pysze i uwierzył, że to, co wygląda dobrze na papierze, sprawdzi się w warunkach bojowych. Działali bez żadnego marginesu bezpieczeństwa, wiedzieli o tym wszyscy członkowie zespołu. Za bardzo podziwiali go za dotychczasowe osiągnięcia, i tyle. Skok wymagał najwyższego perfekcjonizmu, a perfekcjonizm jest w tym upadłym świecie rzeczą niemożliwą. Zalała go fala frustracji: któż miał wiedzieć o tym lepiej od niego? To, że tak daleko zaszedł, było kwestią zwykłego szczęścia.

Z zamyślenia wyrwał go cichutki szelest, odgłos, jaki wydaje załamująca się nylonowa czasza spadochronu. Zadarł głowę. Katsaris. Spłynął łagodnie na ziemię, wylądował, upadł, przetoczył się miękko na bok, wstał i ruszył w jego stronę.

Teraz było ich dwóch.

Dwóch. Dwóch doświadczonych, świetnie wyszkolonych komandosów.

I byli teraz na miejscu akcji, pośrodku dziedzińca Kamiennego Pałacu. W ostatnim miejscu na świecie, gdzie ktoś mógł spodziewać się gości.

Dwóch przeciwko całemu batalionowi uzbrojonych terrorystów.

Cóż, na początek dobre i to.

Rozdział 6

Janson włączył nadajnik i zgodnie z obowiązującą procedurą syknął do maleńkiego mikrofonu tuż przy ustach.

Katsaris poszedł w jego ślady: zdjął kombinezon i zwinął czaszę w ciasny kłęb.

Podeszli do kamiennej fontanny pośrodku dziedzińca i wrzucili spadochrony do wilgotnego basenu, który ją otaczał. Niegdyś wielka, imponująca rzeźba z pięknie ciosanego marmuru z biegiem lat nasiąkła wodą i obrosła algami. Ściany basenu pokrywała gruba warstwa pochłaniającego światło szlamu. Nikt nie powinien zauważyć. Nie ma to jak nocne barwy ochronne.

Janson obmacał kamizelkę i spodnie, rozpoznając palcami najważniejsze elementy uzbrojenia i wyposażenia. Stojący obok niego Katsaris zrobił to samo, a potem, zgodnie ze standardową procedurą bojową, każdy z nich przeprowadził inspekcję wzrokową wyposażenia kolegi. Pokonali sporą odległość w trudnych warunkach atmosferycznych i dużo mogło się w tym czasie zdarzyć. Bywało, że miotany strugami zaśmigłowymi, ciskany bocznymi wiatrami skoczek lądował bez sprzętu, który później okazywał się niezbędny, i to bez względu na to, jak mocno sprzęt ów był przytroczony do kamizelki czy uprząży. Janson nauczył się tego w Fokach. Katsaris ód niego.

Paul uważnie przyjrzał się przyjacielowi. Na pomalowanej na czarno twarzy widać było jedynie białka oczu. Po chwili dostrzegł jednak bladą plamę na ramieniu. Podczas lądowania Theo rozdarł sobie koszulę i przez dziurę prześwitywała skóra. Gestem ręki Janson kazał stanąć mu nieruchomo i z kieszeni spodni wyjął rolkę czarnej taśmy izolacyjnej. Zakleił rozdarcie. Usługi krawieckie w strefie zrzutu.

Tego rodzaju pozornie nieważne szczegóły mogły mieć olbrzymie znaczenie. Czarne stroje miały pomóc im wtopić się w panujący na dziedzińcu mrok, a w mroku mogło zdradzić ich nawet kilka centymetrów kwadratowych jasnej skóry, zwłaszcza gdyby padło na nią światło latarki strażnika.

Jak to kilkakrotnie podkreślał na Katchall, rebelianci nie dysponowali wyrafinowanymi środkami obronnymi, dysponowali jednak czymś, do czego nie umywała się najbardziej zaawansowana technologia: pięcioma zmysłami czujnego człowieka. Zdolnością do wykrywania anomalii wzrokowych, słuchowych i węchowych, która to zdolność przewyższała możliwości każdego komputera.

Tam, na górze, panował mróz i wiały silne wiatry. Ale tu, na ziemi, nawet o czwartej nad ranem było parno i straszliwie gorąco: dwadzieścia dziewięć stopni Celsjusza. Janson czuł, że zaczyna się pocić - prawdziwym potem, a nie skroploną parą wodną- i wiedział, że zapach ciała może go zdradzić. Zapach skóry wykarmionych mięsem mieszkańców Zachodu musiał być obcy karmionym warzywami i rybami Anurańczykom. Pozostawało mu jedynie wierzyć, że wiejąca od morza słońca bryza zatrze te ślady jego obecności.

Wyjął z kamizelki noktowizor i przytknął go do oczu; wielki dziedziniec tonął teraz w miękkiej, zielonkawej poświacie. Upewnił się, czy gumowe osłony obiektywu mocno przylegają do twarzy i dopiero wtedy ustawił jaskrawość subiektywną: najmniejsza nawet poświata sącząca się spod osłon zaalarmowałaby natychmiast czujnego strażnika. Na jego oczach zginął kiedyś komandos, który o tym zapomniał: żołnierze wrogiego patrolu zauważyli zdradziecką poświatę i momentalnie wypalili, niemal na oślep. Ba! Na jego oczach zginął kiedyś antyterrorysta, którego zdradziła fosforyzująca tarcza zegarka.

Stanęli plecami do siebie, uważnie lustrując przeciwnie krańce dziedzińca.

Na pomocnym Janson dostrzegł trzy rozmyte, pomarańczowe sylwetki ludzi. Dwie z nich nachyliły się ku sobie i nagle wykwitła między nimi plama oślepiającej jasności. Paul zmrużył oczy. Nawet z odległości dwudziestu metrów wyraźnie widział migotliwy płomy-czek. Ktoś zapalił zapalniczkę i strażnicy przypalali nią papierosa.

Amatorzy, pomyślał. Wartownik na służbie nigdy nie powinien używać niczego, co mogło być przypadkowym źródłem światła ani niepotrzebnie zajmować rąk, swojej najważniejszej broni.

Ale z drugiej strony, kim ci ludzie byli? Między Kalifem, między jego strategami wyszkolonymi przez bliskowschodnie komórki terrorystyczne, i ciemnymi, nie umiejącymi czytać ani pisać chłopami z Anury istniała przepaść bez dna.

Tak, w pałacu byli też żołnierze dobrze wyszkoleni. Ale oni obserwowali to, co działo się za murami. Czuwali na blankach, na wieżycach. Tym tutaj, na dziedzińcu, powierzono trywialne zadanie dopilnowania, żeby jakiś podstępny żołdak nie zakłócił snu Kalifowi i członkom jego najbliższej świty.

Chociaż stali ledwie krok od siebie, Katsaris skorzystał z mikrofonu, wiedząc, że dzięki minisluchawce Janson lepiej go usłyszy.

- Jeden strażnik - szepnął. - W południowo-wschodnim kącie dziedzińca. Siedzi. Najprawdopodobniej śpi - dodał po chwili wahania.

- U mnie trzech - odrzekł Paul. - Na północnej werandzie. Ci nie śpią, czuwają.

Podczas akcji odbijania zakładników zawsze idzie się tam, gdzie są strażnicy. Chyba że przeciwnik zastawi pułapkę: widoczni strażnicy w jednym miejscu, zakładnicy w innym, druga grupa strażników przyczajona w jeszcze innym. Ale teraz nie było wątpliwości. Według planów, Novak był przetrzymywany w lochu położonym pod pomocną częścią dziedzińca.

Na lekko ugiętych nogach Janson ruszył szybko w lewo, tuż przy ścianie, pod zadaszeniem zachodniej werandy. Nie mogli za bardzo ufać ciemności: ludzkie oko może dostrzec pojedynczy foton. Nawet najczarniejsza noc ma swoje cienie, dlatego zamierzali pozostać w nich tak długo, jak się da, i posuwać się do przodu przy ścianie, unikając otwartej przestrzeni.

Paul zastygł bez ruchu, na kilka sekund zamarł. Wstrzymał nawet oddech i tylko nasłuchiwał. Dobiegł go odległy ryk morza omywającego podnóże urwiska. Krzyk ptaków - pewnie kormoranów - i brzęczenie owadów w dżungli. Typowe nocne odgłosy - nie mogli ich niczym zakłócić. Ale nie sposób jest poruszać się zupełnie bezszelestnie: materiał trze o materiał, nylonowa tkanina na nogach i rękach rozciąga się i kurczy. Podeszwy butów, nawet te z grubej gumy, muszą kiedyś dotknąć ziemi. Przy każdym stąpieniu istniało ryzyko, że but zgniecie z trzaskiem panczyk martwego żuka czy rozduś cykadę. Noc tłumiała niektóre odgłosy, ale nie wszystkie.

Wyteżywszy słuch bardziej niż najczujniejszy strażnik, Paul próbował usłyszeć szelest kroków Katsarisa. Nie usłyszał nic. Czy on też potrafi poruszać się tak bezszelestnie?

Trzy metry, potem sześć metrów tuż przy ścianie. Nagły trzask: to trzeci strażnik przypalił sobie papierosa.

Janson był na tyle blisko, że mógł już to zobaczyć: gruba, zapalniczka potarta o cegłę, jej płomień muskający coś, co wyglądało jak cienka cygaretki. Dwadzieścia sekund później poczuł zapach dymu - a jednak cygaretki! - i nieco się odprężył. Wiedział, że silny rozbłysk ognia zwięzi strażnikom źrenice i na jakiś czas osłabi wzrok, a zapach tytoniowego dymu pozbawi ich węchu. Poza tym pałac, reagowałoby wolniej, gdyby nagle doszło do walki, a reakcja wolniejsza nawet o ułamek sekundy mogła oznaczać śmierć strażników.

Przystanąwszy cztery i pół metra od północnej werandy, ogarnął wzrokiem ozdobioną płaskorzeźbami wapienną ścianę i wykute z żelaza kraty. Dach pokryto dachówkami z terakoty, które wyglądały dość osobliwie na tym wielokrotnie odbudowywanym i przebudowywanym gmachu. Trzy piętra, wielkie sale na pierwszym. Szyby ze szkła ołowiowego, miedziane okapy i łukowate szczeliny pochodziły zapewne z okresu, gdy jeden z holenderskich gubernatorów

torów nazwał tę portugalską fortecę pałacem. Cóż za pretensjonalność. Większość okien była ciemna, z nielicznych sączyło się słabe światło. Ciekawe, za którym spał tej nocy Kalif, ten architekt śmierci? Paul łatwo się tego domyślił.

Rzecz byłaby bardzo prosta. Wystarczyłby granat odłamkowy wrzucony przez okno do sypialni i Ahmad Tabari by nie żył. Nie pozostałoby po nim więcej szczątków doczesnych niż po Helenie. Szybko tę myśl odrzucił. Była mrzonką, czystą fantazją, której nie mógł ulec. Nie pasowała do taktycznego planu misji. Peter Novak był wielkim człowiekiem. Uratował Jansona i mógł uratować świat. Moralny i strategiczny rachunek był niepodważalny: ocalenie Novaka, człowieka dobrego, miało zdecydowane pierwszeństwo przed zabiciem Kalifa, uosobienia wszelkiego zła.

Janson oderwał wzrok od okien apartamentów gubernatora i spojrzął na pomocną werandę.

Stojąc cztery i pół metra od pierwszego ze strażników, mógł dostrzec ich twarze. Szerokie, chłopskie twarze, tępe i pozbawione wyrazu. Byli młodszy, niż się spodziewał. Z drugiej strony, pomyślał jako czterdziestodwuletni antyterrorysta, gdybym jeszcze pracował w tej branży, uznałbym, że wcale nie są tacy młodzi. Nie, byli starsi od tych, których spotykał, organizując zbrojne wypadki za kambodżańską granicę. Starsi od niego, gdy pierwszy raz zabił człowieka i gdy pierwszy raz sam ledwie uszedł śmierci.

Mieli grube, zrogowaciałe, mocno pocierane dłonie, ale bez wątpienia od ciężkiej pracy na roli, a nie od uprawiania sztuk walki. Dowództwo Frontu Wyzwolenia Ludu Kagama było zbyt dobrze zorganizowane, żeby oddać tak cenny skarb pod opiekę ludzi tak prymitywnych i źle wyszkolonych. Stanowili ledwie pierwszą linię obrony. Pierwszą linię obrony w miejscu, które z logicznego punktu widzenia obrony nie potrzebowało.

Ale gdzie się podział Katsaris?

Popatrzył na drugą stronę szerokiego na osiemnaście metrów dziedzińca i nie zobaczył nic. Theo był niewidzialny. Albo gdzieś przepadł.

Syknął do mikrofonu, naśladowując odgłos cykady. Odgłos rozmył się wśród brzęczenia owadów i odległego pokrzykiwania nocnych ptaków.

I momentalnie usłyszał w słuchawce identyczne syknięcie. Katsaris tam był, dotarł już na miejsce.

Największe znaczenie miała trafność pierwszej decyzji: czy bezpiecznie jest zdjąć tych ludzi? Czy byli tylko przynętą, ptakami na uwięzi?

Jeśli tak, kto ich więził? I gdzie teraz jest?

Janson wyprostował się i spojrzął w okna za żelaznymi kratami. Pot kleił mu się do skóry jak warstewka błota; wilgotność powietrza uniemożliwiała parowanie. Katsaris wziął tabletkę i Paul poniewczasie mu pozazdrościł. Ten pot nie chłodził, tylko okrywał ciało jak dodatkowa, zupełnie niepotrzebna koszula.

Zdał sobie sprawę, że myśli o nieistotnych szczegółach. Musiał się skoncentrować. A więc od początku: jeśli to pułapka, na czym ta pułapka polega?

Przytknął do oczu noktowizor i skierował go na kratę za palącymi cygaretki wieśniakami. I nic.

Nie, a jednak coś. Pomarańczowa plama, zbyt mała, jak na ciało człowieka. Według wszelkiego prawdopodobieństwa była raczej ręką kogoś, kto ukrywał się za kamiennym murem.

Założył, że siedzący na werandzie strażnicy nie wiedzą, iż mają wsparcie. Gdyby wiedzieli, byłiby jeszcze mniej czujni niż teraz. Oni o tym nie wiedzieli - w przeciwieństwie do niego i Katsarisa.

Czy ci ze wsparcia też mieli wsparcie? Zorganizowali tu coś w rodzaju łańcuszka? Oni? Mało prawdopodobne. Ale możliwe.

Z długiej tylnej kieszeni spodni wyjął czarny aluminiowy cylinder, trzydziestodwuipółcentymetrowej długości i dziesięciocentymetrowej średnicy, wyłożony wewnątrz mocną metalową siatką, dzięki której uwięzione w pojemniku stworzenie nie mogło wydać żadnego odgłosu; oddychanie zapewniała mu atmosfera w dziewięćdziesięciu procentach złożona z czystego tlenu.

Pora ich czymś zająć, pora odwrócić ich uwagę.

Paul odkręcił cylinder; pokryty teflonem gwint nie wydał najmniejszego odgłosu.

Chwycił gryzonia za nagi ogon, wyjął go z pojemnika i wysokim łukiem rzucił w stronę werandy. Wyglądało to tak, jakby podczas nocnej wyprawy szczur spadł z dachu, zgubiwszy ślad ofiary, którą ścigał.

Spadł, stanął na tylnych łapkach i zaczął pochrząkiwać jak małe prosię. Strażnicy zorientowali się, że mają gościa. Krótki łeb, szeroki pysk, nagi, łuskowaty ogon. Jamraj. *Bandicota bengalensis*. *Bete noire* Ahmada Tabari.

Natychmiast wybuchła gwałtowna rozmowa w języku tamilskim.

- *Ayaiyo, angeparu, adhu yenna theridhaa?*

- *Aiyo, perichaali!*

- *Adha yepadiyaavadhu ozrikkannum.*

- *Andha vitlaa, naama sethom.*

- *Angapodhu paaruu.*

Kierując się instynktem, zwierzę smyrnęło w kierunku wyjścia, a strażnicy popędzili za nim, próbując je schwytać. Kusiło ich, żeby gigantycznego gryzonia zastrzelić, ale wystrzał obudziłby wszystkich w pałacu i wyszliby na głupców. Co gorsza, chybiony strzał stanowiłby dowód porażki, i to wielkiej. Gdyby Ukochany Przywódca, śpiący smacznie w pałacowej komnacie, natknął się tam na tego posłańca śmierci, mógłby zareagować w sposób zupełnie nieprzewidywalny. W napadzie przerażenia mógłby na przykład kazać rozstrzelać strażników, którzy wpuścili szczura na teren pałacu.

Zgodnie z przewidywaniami, panujące na dziedzińcu zamieszanie zwróciło uwagę drugiej grupy strażników. Ilu ich było? Trzech. Nie, czterech.

Członkowie drugiej grupy byli uzbrojeni w amerykańskie M-16, pamiętające zapewne czasy Wietnamu. Były standardowym wyposażeniem amerykańskich żołnierzy i po upadku Południa ci z Armii Pomocnego Wietnamu zbierali je tysiącami. Od nich trafiły na międzynarodowy rynek handlu bronią i wkrótce stały się podstawowym wyposażeniem bojowym uboższych ugrupowań partyzanckich na całym świecie, ugrupowań takich, które kupowały sprzęt na raty, które wiecznie oszczędzały, zaciskały pasa i z trudem mogły sobie pozwolić na rzeczy naprawdę niezbędne. Wyposażeniem niedzielnych żołnierzy. M-16 strzelał krótkimi, jazgotliwymi seriami, rzadko kiedy się zaciął, prawie nie wymagał konserwacji i był odporny na rdzę nawet w wilgotnym klimacie. Janson bardzo tę broń szanował; szanował każdą broń. Ale wiedział też, że tamci nie użyją jej bez wyraźnej potrzeby. Żołnierze przebywający w bezpośredniej bliskości dowódcy, w dodatku śpiącego dowódcy, nie hałasowali bez powodu o czwartej nad ranem.

Paul wyjął z pojemnika drugiego szczura, jeszcze większego niż tamten, i podczas gdy zwierzę wiło mu się na osłoniętej rękawicą dłoni, wstrzyknął mu w brzuch małą dawkę amfetaminy. Dzięki temu zwierzę będzie nadpobudliwe, odważniejsze i szybsze niż jego kolega i w oczach strażników urośnie do symbolu zła absolutnego.

Rzucił. Tyra razem nisko, od dołu. Bezsilnie przebierając w powietrzu łapkami, zaopatrzonymi w ostre jak brzytwa pazury, zwierzę wylądowało na głowie jednego ze strażników. Strażnik krzyknął, krótko i przeraźliwie.

Wybuchło zamieszanie, jakiego Janson zupełnie nie oczekiwał.

Czyżby przedobrzył? Gdyby wrzaski strażników zaalarmowały żołnierzy stacjonujących poza północnym skrzydłem pałacu, zagrywka ze szczurami kompletnie by ich pogrzyżyła.

Jak dotąd się nie pokazali, ale strażnicy byli wyraźnie rozdrażnieni, przerażeni i skonsternowani. Wystawiwszy głowę za parapet, obserwował północną werandę. Musiał tam nieco więcej, zwłaszcza jeśli nie zdążyła wstrzyknąć ofierze dawki środka obezwładniającego, jednego mililitra cytrynianu carfentanilu. Mężczyzna przyjrzał się jej z wściekłością, a potem popatrzył prosto na Jansona. Zmrużywszy oczy, dostrzegł jego czarną sylwetkę w czarnym kącie dziedzińca.

Natychmiast sięgnął po rewolwer, lecz nagle runął w dół, spadając z werandy. Paul usłyszał głuchy łoskot, z jakim grzmotnął o kamienne płyty niecałe dwa metry niżej. Dwaj pozostali strażnicy też osunęli się na ziemię, tracąc przytomność.

Dwaj młodszy, ci po lewej stronie, wymienili kilka szybkich uwag. Już wiedzieli, że coś jest nie tak. Gdzie ten Katsaris? Dlaczego ich jeszcze nie zdjął?

Środka obezwładniającego używano nie tylko ze względów humanitarnych. Niewielu ludzi miało styczność z tego rodzaju osą: ci, którzy mieli, przez co najmniej dziesięć sekund myśleli, że użądlił ich prawdziwy owad. W przeciwieństwie do tych, których ugodziła prawdziwa kula. Gdyby wytłumiony strzał nie spowodował natychmiastowej utraty przytomności - gdyby pocisk nie przebił na wylot mózgu - ofiara na pewno zaczęłaby przeraźliwie krzyczeć, alarmując wszystkich w zasięgu słuchu. Podczas akcji wymagających bezpośredniego kontaktu z przeciwnikiem często używano garoty, która pozbawiała ofiarę tchu i odcinała dopływ krwi do mózgu, ale teraz garota nie wchodziła w rachubę. Jeśli nawet użycie strzałek ze środkiem obezwładniającym było ryzykowne, taktyka nie polegała na wyborze najlepszej metody, tylko na wyborze metody najlepszej z dostępnych.

Paul wymierzył w rozgadanych strażników i już miał wystrzelić następne osy, gdy wtem obydwaj zatoczyli się, zachwiali i upadli. Katsaris. Zdążył w samą porę.

Na dziedzińcu ponownie zapadła cisza, którą zakłócał jedynie skrzekliwy wrzask srok, pokrzykiwanie mew, brzęczenie, buczenie i bzyczenie owadów. Te odgłosy pasowały do otoczenia, brzmiały dobrze. Brzmiały tak, jakby problem został ostatecznie załatwiony. Paul i Theo ponownie znieruchomili, czujnie wyczekując.

Poczucie bezpieczeństwa, które właśnie zyskali, mogło jednak w każdej chwili prysnąć. Według informacji uzyskanych z przechwyconych rozmów i przekazów satelitarnych, zmiana warty miała nastąpić dopiero za godzinę, ale nie było żadnej gwarancji, że harmonogram nie uległ zmianie. Każda minuta miała teraz olbrzymią wartość i znaczenie.

Zanurkowali w ciemność pod zadaszeniem pomocnej werandy, omijając rozstawione co metr słupy, które zadaszenie to podtrzymywały.

Według planów architektonicznych, okrągła pokrywa studni znajdowała się mniej więcej w połowie północnej ściany, tuż przy fundamentach pałacu. Janson pomacał na oślep i raptem poczuł, że coś muska mu dłoń, a potem przepelza po niej jak gumowy szlauch. Drgnął i błyskawicznie zabrał rękę. Obudził węża. Większość żyjących na wyspie gadów była nieszkodliwa, ale te jadowite, łącznie z łuskowatą żmiją o nazwie krait anurański, bynajmniej nie należały do rzadko spotykanych. Wyjął nóż i dźgnął ciemność. Ostrze napotkało opór - natrafiło na coś - a wówczas Paul pchnął nożem jeszcze mocniej, przygniatając to coś do ściany. Czubek ostrej jak brzytwa klingi wbił się w gęstą, mięsistą masę.

- Jest! - szepnął stojący kilka kroków dalej Theo.

Janson włączył małą latarkę na podczerwień, przypiął ją do noktowizora i wyregulował jasność obrazu.

Katsaris klęczał przy dużej, okrągłej płycie. Przykrywała wejście do pieczary, której w minionych stuleciach używano do różnych celów. Celem głównym było przetrzymywanie więźniów, jednakże przechowywano w niej również żywność i amunicję. Zaraz pod kamienną płytą zaczynał się biegnący pionowo przełaz, który służył niegdyś za zsypanie. Płytę zrobiono tak, żeby dawała się łatwo odsuwać, jednak czas lubi komplikować sprawy.

Po obu stronach miała metalowe uchwyty. Theo zaparł się potężnie i spróbował ją unieść. I nic. Zamiast zgrzytu kamienia o kamień, nocną ciszę zburzyło tylko jego stłumione stęknienie.

Janson przykucnął, chwycił przeciwległą klamrę, zaparł się nogami podobnie jak Katsaris i szarpnęli razem, ze wszystkich sił. Theo wyteżył już i tak maksymalnie napięte mięśnie, powoli wypuszczając powietrze, Paul też.

I znowu nic.

- Przekręćmy ją - szepnął Janson.

- To nie słoik oliwek - zaprotestował Katsaris, mimo to zajął odpowiednią pozycję. Zaparł się nogami o ścianę, zacisnął palce na klamrze i silnie pchnął. Paul zrobił to samo.

Płyta drgnęła. Nareszcie. Dobiegł ich zgrzyt, cichy, lecz charakterystyczny. Dopiero wtedy Janson zrozumiał, skąd te trudności. Okrągłą podstawę, na której spoczywała płyta, zrobiono z gliny i z biegiem lat, gdy w wilgotnym, tropikalnym klimacie wapień zaczął erodować, z maleńkich drobinek kamienia między podstawą i płytą powstało coś w rodzaju naturalnej zaprawy murarskiej.

Ponownie przykucnęli, chwycili za klamry i ponownie dźwignęli. Płyta miała dwadzieścia centymetrów grubości, była koszmarnie ciężka i musiało ją kiedyś odsuwać co najmniej czterech ludzi. Ale dla chcącego nic trudnego. Unieśli płytę i łagodnie położyli ją z boku.

Janson zajrzał do odsłoniętego otworu. Krata. Zza kraty, z głębokiej, podziemnej pieczary sączył się czyjś głos.

Był niewyraźny, lecz spokojny. Ludzki głos przekazuje uczucia za pomocą tonu. Gniew, złość, radość, pogarda, niepokój - to wszystko zawiera się w tonie głosu. Słowa są jedynie ozdobnikami - często bardzo fałszywymi - dlatego na kursach dla śledczych uczono przede wszystkim wychwytywania charakterystycznych cech głosu osoby przesłuchiwanej. Dochodzące z pieczary odgłosy nie pochodziły od więźniów - tyle Janson wiedział na pewno. Ale ten, kto siedzi w podziemnym lochu i nie jest więźniem, jest zapewne strażnikiem tego więźnia. Tak, w lochu siedzieli strażnicy. Ich bezpośredni przeciwnicy.

Położywszy się na ziemi, Paul przytknął głowę do kraty. Chłodne powietrze, zapach papierosowego dymu. Początkowo wszystkie dźwięki się ze sobą zlewały i były jak szemrzący strumyk, lecz po pewnym czasie zaczęły układać się w słowa: słowa wypowiedane przez kilku mężczyzn. Przez ilu? Tego nie wiedział, tego nie mógł wiedzieć na pewno. Nie mógł też założyć, że liczba mówiących jest równa liczbie przebywających na dole ludzi.

Wiedzieli, że zsypania schodzi parę metrów w dół, skręca pod kątem czterdziestu pięciu stopni, a potem biegnie płytkimi, łagodnymi zakosami. W sączącym się przez kratę świetle było widać jedynie mroczną otchłań.

Katsaris podał mu przyborek z minikamerą, który wyglądał jak puderniczka na długim kablu. Paul przykucnął, oparł się plecami o kamienną ścianę, wsunął do otworu kamerę i centymetr po centymetrze zaczął rozwijać światłowód. Światłowód miał grubość zwykłego przewodu telefonicznego, a sama kamera była nie większa niż główka od zapalki. W kablu biegło podwójne włókno światłowodowe, które przekazywało obraz na ekranik wielkości siedem i pół na dwanaście i pół centymetra. Powoli opuszczając kamerę, Janson nie odrywał oczu od ekranu. Gdyby któryś z siedzących na dole strażników ją zauważył, byłoby po wszystkim. Na ekranie zamajaczyły szaro-czarne cienie. Były coraz jaśniejsze, coraz wyraźniejsze, wreszcie pojawiło się słabo oświetlone pomieszczenie. Paul leciutko podciągnął kabel. Widok był teraz częściowo przesłonięty, jednak i taki w zupełności wystarczał. Kamera wystawała zapewne milimetr, dwa milimetry poza krawędź zsypani i tamci nie mogli jej zauważyć. Pięć sekund później automatycznie wyregulowała się ostrość i jasność.

- Ilu? - spytał Katsaris.

- Niedobrze - odrzekł Paul.

- Ilu?

Janson wcisnął guzik, nieco obracając kamerę.

- Siedemnastu. Wszyscy uzbrojeni po zęby. Siedemnastu, ale kto bym ich tam liczył?

- Kurwa.

- Też tak uważam - mruknął Paul.

- Gdybyśmy tych sukinsynów widzieli, moglibyśmy ich sprzątnąć. Stąd, z za kraty.

- Sęk w tym, że ich nie widzimy.

- Może wrzucić tam granat?

- Wystarczy, że jeden przeżyje i będzie po Novaku - odparł Janson. - Już to przerabialiśmy, pamiętasz? Bierz dupę w troki i zasuwaj do wejścia „A”. - Wejście „A”, jak oznaczono je na planach architektonicznych gmachu, stanowiły od dawna nieużywane drzwi prowadzące na tyły lochu. Z taktycznego punktu widzenia należały do najważniejszych elementów planu: zamierzali wyprowadzić nimi więźnia i ukryć go w przepastnych podziemnych czeluściach, jednocześnie obezwładniając strażników granatem termitowym.

- Tak jest - odrzekł Katsaris. - Jeśli jeszcze tam jest, powinienem wrócić za trzy minuty. Mam nadzieję, że przez ten czas wpadniesz na jakiś pomysł.

- Dobra, pośpiesz się - burknął rozkojarzony Janson. Obrócił kamerę o kilka stopni w lewo i ręcznie wyregulował ostrość.

Poprzez chmurę tytoniowego dymu zobaczył grupę mężczyzn. Siedzieli przy dwóch stolikach i grali w karty. Żołnierska rozrywka. Silni, dobrze uzbrojeni, ludzie, którzy decydowali o życiu i śmierci innych, walczyli z czasem, swoim najbardziej wymagającym przeciwnikiem, próbując zabić go talią wytłuszczonych plastikowych kart. Gdy sam nosił panterkę, też grał. Nagrał się wtedy za wszystkie czasy.

Przyjrzał się ruchom ich rąk i kartom na stolikach. Znał tę grę. Grywał w nią kiedyś godzinami w dżungli na Mauritiusie. Proter, tak się nazywała. Miejskowa odmiana popularnego remika.

Właśnie dlatego, że dobrze znał tę grę, jego uwagę przykuł młody -osiemnastoletni?, dziewiętnastoletni? - chłopak siedzący przy większym stoliku, na którym skupiały się pełne podziwu spojrzenia pozostałych.

Chłopak rozejrzał się i rozciągnął swoje dziobate policzki w szerokim, przebiegłym uśmiechu, demonstrując garnitur równych, białych jak śnieg zębów.

Tak, Paul znał tę grę. To nie był zwykły proter. Chłopak grał o coś więcej: maksymalnie ryzykując, grał o maksymalną stawkę. Ostatecznie na tym właśnie polegała gra, w którą grali, i on, i Janson.

Pierś przecinał mu pas z nabojami kalibru siedem milimetrów, z ramienia zwiisał ruger Mini-14. O krzesło oparty był automat większego kalibru - stąd pas z amunicją na piersi - ale Paul nie rozpoznał jego marki. To, że chłopak był tak dobrze uzbrojony, musiało oznaczać, że należy do ich przywódców, zarówno na polu walki, jak i przy karcianym stoliku.

Chłopak poprawił niebieską bandankę i zgarnął ze stolika wszystkie pieniądze.

Wybuchły pełne niedowierzania okrzyki.

Jak na tę fazę gry, był to gest dość niezwykły, chyba że gracz miał pewność, iż za jednym zamachem wyłoży wszystkie karty. Tak wielka pewność siebie wymagała czujności, przenikliwości i zimnej krwi.

Gra ustała. Nawet żołnierze przy sąsiednim stoliku wstali i podeszli bliżej, żeby popatrzeć. Każdy z nich miał karabin i co najmniej jeden pistolet lub rewolwer. Broń była zużyta, lecz dobrze utrzymana.

Chłopak wyłożył karty, jedną po drugiej: miał pełny sekwens. Przypominało to trochę grę w bilard, gdy zawodowy mistrz wbija do luz bilę za bilą, jakby grał towarzysko, w gronie bliskich przyjaciół. Chłopak pokazał kolegom puste ręce i z szerokim uśmiechem odrzucił do tyłu głowę. Wyłożył wszystkie trzynaście kart: jego towarzysze najwyraźniej jeszcze czegoś

takiego nie widzieli, bo tłumiając gniew z przegranej, nagrodzili go gromkim, pełnym podziwu aplauzem.

Prosta gra. Przywódca terrorystów mistrzem protera. Czy równie dobrze władał pistoletem maszynowym stojącym przy krześle?

Dzięki światłowodowej kamerze Janson widział jego twarz, gdy rozdawano karty do kolejnej rundy i już teraz mógł powiedzieć, kto tę rundę wygra.

Nie, to nie byli prości chłopci, to nie byli zwykli rolnicy. To byli starzy wyjadacze, weterani. Poznał to po sposobie, w jaki nosili broń. Ci ludzie doskonale wiedzieli, co robią. Gdyby znaleźli się pod obstrzałem i mieli tylko kilka sekund na przegrupowanie się, jeden z nich natychmiast zabiłby Novaka. Zresztą z przechwyconych rozmów wynikało, że takie właśnie dostali rozkazy.

Jeszcze raz popatrzył na chłopaka w bandamce, a potem ogarnął wzrokiem pozostałych. Tak, siedemnastu zaprawionych w boju żołnierzy, z których co najmniej jeden był obdarzony niezwykłą wprost spostrzegawczością i opanowaniem.

- Dupa blada, nie przejdziemy. - Katsaris. Nie ma to jak konkrety.

- Zaraz tam będę - odrzekł Janson, wybierając trochę kabla i cofając kamerę za krawędź zsydni. Czuł się tak, jakby w brzuchu zacisnęła mu się mała, twarda pięść.

Wstał. Bolały go wszystkie mięśnie. Cholera, był na takie rzeczy za stary, za stary co najmniej dziesięć lat. Dlaczego na to poszedł? Dlaczego postanowił odegrać najniebezpieczniejszą ze wszystkich ról? Wmawiał sobie, że tylko on zgodziłby się takie zadanie przyjąć, że tylko on potrafi tak bardzo zaryzykować, że jeśli nie on, to kto? Wmawiał sobie, że jemu, autorowi planu operacyjnego, najłatwiej będzie ten plan zmienić i jeśli zajdzie taka potrzeba, coś zaimprovizować. Ale czy nie przemawiała przez niego próżność? Czy nie chciał sobie udowodnić, że wciąż jeszcze potrafi, że wciąż jeszcze ma parę? A może był tak zdesperowany, że chcąc zwrócić zaciągnięty u Novaka dług, podjął decyzję, która mogła narazić na śmiertelne niebezpieczeństwo i Novaka, i jego samego? Wątpliwości zalały go jak fala kłujących igiełek i z trudem zachował spokój. Twardy jak lód, czysty jak źródłana woda. Powtarzał to sobie jak mantrę podczas długich, przerażających nocy i dni, które spędził jako jeniec wojenny w Tri-Thien w Wietnamie.

Katsaris czekał dokładnie tam, gdzie według planów było drugie wejście, wejście, bez którego nie mieli najmniejszych szans.

- Są- powiedział. - Widać zarys.

- Dobra nowina - odrzekł Paul. - Lubię dobre nowiny.

- Tak, ale są zamurowane.

- Zła nowina. Nie lubię złych nowin.

- Pustaki, w dobrym stanie. Musieli to zrobić najwyżej dwadzieścia, trzydzieści lat temu. Może ich zalewało, cholera wie. Ją wiem tylko jedno: wejścia „A” nie ma.

Janson zagryzł wargi. Pięść w jego brzuchu zacisnęła się jeszcze mocniej. Twardy jak lód, czysty jak źródłana woda...

- Żaden problem - odrzekł. - Trzeba to jakoś obejść.

Nie miał pojęcia, jak, ale za nic nie mógł pokazać po sobie, że wpadł w panikę: nie przed podwładnym.

Weszli w to prawie bez przygotowania. Była informacja, że Peter Novak jest przetrzymywany w pałacowym lochu. Było uzasadnione przypuszczenie, że dobrze go pilnują. Był skok. Ale co teraz? Co teraz? Pójść na całego? Stawić czoło siedemnastu strażnikom w otwartej walce i narazić na pewną śmierć i siebie, i człowieka, którego mieli ratować? Skuteczność planu zasadzała się na jednoczesności działania: unieszkodliwić strażników i wyprowadzić zakładnika. Ale którą? Wyjście nie istniało. Przestał istnieć plan.

- Chodź - rzucił. - Pokażę ci, jak.

Gdy wracali do zsydni, gorączkowo myślał. A jednak coś było. Tak, zdał sobie sprawę, że jednak coś jest. Coś niesprecyzowanego i niejasnego, ale zawsze to lepsze niż nic.

Ponownie opuścił kamerę i skierował ją na zniszczone schody w przeciwległym końcu pomieszczenia.

- Schody - powiedział. - Podest. Szyb wentylacyjny. Półka. – Na wysokości podestu ze ściany sterczała betonowa półka. - Względnie świeża robota, z ostatnich kilku, najwyżej kilkunastu lat. Pewnie unowocześniali system kanalizacyjny...

- Ale jak się tam dostaniesz? Zauważą cię.

- Niekoniecznie. Przejście z podestu na półkę zajmie mi najwyżej dwie, trzy sekundy. Tamci palą, w lochu jest pełno dymu. Poza tym grają w protera i nic innego ich nie obchodzi. Zadziałalibyśmy jednocześnie, tak jak planowaliśmy, z tym że zamiast wyjścia „A”, wykozystalibyśmy zsydnię. Kapujesz?

- I to jest twój plan awaryjny? - odparował Katsaris. - Improwujesz jak kwintet Mile-sa Davisa. Chryste, Paul, to nie jam session.

- Theo? - To była prośba: prośba o zrozumienie.

- Poza tym jaką masz gwarancję, że nikt przy Novaku nie siedzi?

- Taką, że każdy bezpośredni kontakt z Novakiem jest cholernie nie bezpieczny. Ci z FWLK dobrze o tym wiedzą. Będą go strzegli jak oka w głowie, ale nie dopuszczą do niego strażników.

- Bo co? Bo zaciuka ich spinką do mankietów?

- Nie, Theo, niebezpieczne jest to, co mógłby im powiedzieć. W kraju tak biednym jak ten słowa plutokraty są skuteczniejsze niż piłka do metalu, którą można przeciąć kraty. Dlatego wszyscy strażnicy siedzą w kupie, z dala od więźnia. Gdyby Novak zawarł z którymś bliższą znajomość, kto wie, czym by się to mogło skończyć. Pamiętaj, że na Anurze średni dochód na głowę nie przekracza siedmiuset dolarów rocznie. Wyobraź sobie, że strażnik nawiązuje rozmowę z człowiekiem, który ma w banku miliardy dolarów. Wszyscy wiedzą, że Novak zawsze dotrzymuje słowa. Przypuśćmy, że to ty jesteś tym strażnikiem: facet mówi ci, że ty i twoja rodzina będziecie bogaci, tak bardzo bogaci, że przestaniecie rozumieć znaczenie słów zazdrość i zachłanność. Co robisz? Zaczynasz o tym myśleć, to ludzkie. Niewykluczone, że są wśród nich i tacy, w których zwyciężyłaby ideologiczna żarliwość, ludzie odporni na pokusy, jak choćby sam Kalif. Ale zapewniam cię, że nikt z jego dowództwa na to nie liczy. Lepiej być ostrożnym, niż potem żałować. Dlatego pilnują go, ale trzy mają osobno. To jedyny bezpieczny sposób.

Nieoczekiwanie Katsaris rozciągnął usta w uśmiechu.

- Dobra, szefie, czekam na rozkazy. - Obydwaj przekroczyli już granicę strachu i - przynajmniej chwilowo - ogarnęła ich rajska wprost błogość i spokój.

Ciężką kratę dźwignęli we dwóch, a kosztowało ich to tym więcej wysiłku, że musieli to zrobić bez żadnego hałasu. Zanim Janson odszedł, zostawiając przy zsydni Katsarisa, ponownie rozboleły go wszystkie mięśnie i stawy. Zestarzał się. Ot, i cała prawda. Beretta w kabusie wbijała mu się w udo. Pomalowana wodoodpornymi farbami twarz ociekała potem, który coraz bardziej piekł w oczy. Po raz kolejny przekonał się, że jego mięśnie nie regenerują się już tak szybko jak kiedyś i bolą właśnie wtedy, gdy nie ma czasu na zawracanie sobie głowy bólem. Przed laty czuł się w walce tak, jakby sam był bronią, robotem. Teraz czuł się aż za bardzo jak zwykły człowiek. Nylonowy kombinezon uwierał go w kolana i pachwiny, uciskał pod pachami i na łokciach. Wszystko przez ten pot...

Przyszła mu do głowy myśl: może zostać przy zsydni i wysłać tam Katsarisa? Wspiął się na stertę gruzu i ruszył w stronę wąskiego, prostokątnego szybu biegnącego wzdłuż północnej werandy. Szyb -miał mniej więcej czterdzieści pięć centymetrów średnicy -jeden z kilku identycznych szybów na dachu, służył jako kanał odpływowy dla wody zbierającej się na pierwszym piętrze podczas silnych opadów monsunowych. Przeciskając się nim, stwier-

dził, że ma coraz większe kłopoty z oddychaniem. Z wyczerpania? Ze strachu? Kastaris powiedział, że plan jest całkiem dobry. Obydwoj wiedzieli, że kłamał. To nie był dobry plan. Był to po prostu jedyny plan, jaki mieli.

Obolały jak nigdy dotąd, dotarł do korytarza przylegającego do sali recepcyjnej w północnym skrzydle gmachu. Szybko przebiegł myślami dalszą trasę: sześć metrów pierwszym korytarzem w lewo. Na końcu? Drzwi. Dyskretne. Z wykładanego drewnem kamienia. Nie rzucające się w oczy drzwi prowadzące do niewyobrażalnego piekła. Przy drzwiach dwa krzesła. Puste. Zaalarmowani zamieszczeniem na dziedzińcu strażnicy jeszcze długo nie odzyskają przytomności. Podobnie jak strażnicy ubezpieczający, którzy widzieliby stąd cały korytarz. Siedmiu z głowy. Zostało jeszcze siedemnastu.

Gdy stanął przed drzwiami, serce zabiło mu szybciej. Zamek był stary - czysta formalność. Jeśli intruz zaszedł aż tutaj, takie coś go nie powstrzyma. Po krótkich oględzinach okazało się, że jest to typowy zamek bębnowy, najprawdopodobniej z połowy wieku. Zamiast trzpieni, tak zwanych „szpilek”, tkwiły w nim prostokątne płytki, a sprężyny montowano w cylindrach, zamiast bezpośrednio w obudowie. Wyjął z kieszeni wytrych nie większy od zapalki. Wsunął zagięty koniec do dziurki i delikatnie go nacisnął, żeby dobrze wyczuć zarówno moment obrotowy, jak i siłę, z jaką należało pchnąć metalową płytkę. Wycucie i siła: oba elementy były bardzo ważne. Jedną po drugiej, odchylił wszystkie płytki. Trwało to najwyżej dziesięć sekund. Ale nie, zamek nie był jeszcze otwarty. Janson wsunął do dziurki drugi wytrych, cienki, lecz sztywny, ze stali węglowej, i pchnął go w lewo, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Wstrzymał oddech i słysząc charakterystyczne kliknięcie - język zamka wyskoczył z otworu we framudze drzwi - ostrożnie pociągnął drzwi do siebie. Otworzyły się bez trudu na dobrze naoliwionych zawiasach. Ba! Musiały być dobrze naoliwione, gdyż drzwi miały prawie czterdzieści pięć centymetrów grubości. Gubernator Anury kazał zbudować loch pod sy-pialnią, to prawda, ale najwyraźniej chciał zaoszczędzić sobie wysłuchiwania dochodzących stamtąd odgłosów.

Paul uchylił drzwi jeszcze mocniej, cofając się o krok na wypadek, gdyby ktoś za nimi czyhał.

Powoli, ostrożnie sprawdził, czy korytarz jest czysty. Potem przestąpił próg, stanął na gładko wytartym podeście i taśmą izolacyjną zabezpieczył mosiężny język zamka, żeby drzwi się nie zatrasnęły.

Schody. Dobrze, że nie drewniane, bo przynajmniej nie skrzypiały. Schody i kolejna przeszkoda: stalowa krata na zawiasach. Ponownie sięgnął po wytrychy.

Zamek ustąpił prawie natychmiast, o wiele szybciej niż ten w drzwiach, ale towarzyszący otwieraniu hałas był znacznie głośniejszy.

Donośny zgrzyt. Charakterystyczny odgłos, jaki wydaje metal, trąc o twardy kamień. Czuwający w lochu strażnicy musieli go usłyszeć.

Zadziwiająco, ale nie zareagowali. Dlaczego? Czy to pułapka? Znowu ptaszki na uwięzi, tym razem całe stado?

Janson gorączkowo myślał. I nagle usłyszał słowo: *theyilai*.

Nie znał miejscowego języka, ale to słowo nie było mu obce: herbata! Strażnicy czekali na kogoś, kto przyniesie im herbatę. Dlatego nie zareagowali na hałas. Z drugiej strony, jeśli szybko tej herbaty nie dostaną, zaczną coś podejrzewać.

Teraz na własne oczy zobaczył i usłyszał to, co przy zsydni pokazywała mu kamera. Pojedyncza naga żarówka, niewyraźny rozgwar: tamci wciąż grali w karty. I buchający aż na schody dym z co najmniej kilkunastu papierosów.

Jeden więzień i siedemnastu strażników. Nic dziwnego, że nie bali się o bezpieczeństwo zakładnika.

Pomyślał o chłopaku, który regularnie ich ogrywał, którego interesowały tylko najwyższe stawki: całkowite zwycięstwo lub absolutna porażka. Nic pomiędzy.

Teraz wszystko zależało od zgrania w czasie. Wiedział, że Katsaris czeka z granatem termitowym w ręku na rozkaz. W normalnych okolicznościach użyliby granatu odłamkowego lub hukowego, lecz wybuch mógłby zaalarmować żołnierzy z pałacowych koszar, a wtedy szanse na pomyślną ewakuację Novaka spadłyby do zera.

Obydwaj byli uzbrojeni w zmodyfikowaną wersję MP5K, ważący niecałe dwa kilogramy pistolet maszynowy Hecklera & Kocha, z krótką lufą, składaną kolbą i tłumikiem. Magazynek mieścił trzydzieści nabojów ze spłaszczonymi na czubku pociskami, przeznaczonymi do walki w pomieszczeniach zamkniętych. Tego rodzaju pociski - Hydra-Shok - prawie wcale nie rykoszetowały i zamiast przebijać, rozdzierały ludzkie ciało na strzępy. MP5K wystrzeliwał dziewięćset pocisków na minutę, dlatego koledzy z oddziału Fok nadali mu przydomek „rrrum-brrrum”. Był bardzo wydajny i nadzwyczaj cichy, zwłaszcza z tłumikiem - nie potrafił uciszyć jedynie jęków i krzyków postrzelonych ofiar. Ale masywne drzwi na końcu korytarza powinny zapewnić dobrą osłonę akustyczną, poza tym między lochem i pomieszczeniami na górze był gruby wapienny strop.

Szybko pokonał sześć kamiennych stopni i wskoczył na półkę. Tak jak przewidywał, biegły tamtędy plastikowe rury kanalizacyjne i dobrze izolowane kable elektryczne, lecz udało mu się wyłądować bez hałasu. Jak dotąd wszystko przebiegało dobrze, zgodnie z planem. Żołnierze patrzyli w karty, żaden z nich nawet nie zerknął na sufit.

Janson przywarł do ściany i centymetr po centymetrze zaczął przesuwać się do przodu. Im dalej od schodów, tym większe zaskoczenie dla tamtych, tym szybciej będzie mógł dotrzeć do celi Petera Novaka. Jednakże wiedział, że chociaż półka tonie w ciemności, on sam wciąż jest na widoku, że siedzący przy większym stoliku żołnierze mogą go w każdej chwili zobaczyć. Ale nie, nie spojrzą - nie było powodu, żeby któryś spojrzął w jego stronę.

- *Veda theyilai?* - Dziobaty chłopak, mistrz protera, rzucił to pytanie z nutką rozdrażnienia w głosie, przewracając przy tym oczami. Czyżby coś przeczuwał?

Nie, chyba nie... Tak. A jednak. Spojrzął na półkę i natychmiast sięgnął po broń.

Janson się nie mylił: chłopak był nieprawdopodobnie bystrym obserwatorem. Zauważono go. Chryste.

- Teraz! - syknął do mikrofonu, wkładając gogle, błyskawicznie zalegając na zimnym betonie i przesuując języczek bezpiecznika w dół. Ogień ciągnął.

Chłopak zerwał się na równe nogi, wykrzyczał jakiś rozkaz i wypalił, celując w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą widział Jansona. Pierwszy pocisk odłupał kawał tynku tuż nad głową leżącego Paula. Drugi trafił w ścianę szybu.

Mdławo oświetlone pomieszczenie utonęło nagle w powodzi gorejącej jasności. Po podłodze przetoczył się granat termitowy, małe słońce, które oślepiło nawet tych, którzy zdążyli odwrócić wzrok. Było po stokroć jaśniejsze od łuku elektrycznego, a to, że strażnicy przebywali w mrocznym pomieszczeniu, zwielokrotniło efekt jego działania. Strzelali w jego stronę, lecz ogień był chaotyczny, a kąt ostrzału zbyt ostry, żeby pociski mogły go dosięgnąć.

Przez niemal czarne gogle widział, jak miotają się nieprzytomnie po całym pomieszczeniu, zasłaniając sobie oczy i prując na oślep w sufit.

Ale nawet przypadkowa kula mogła być śmiertelna. Mając przed sobą doskonale oświetlony cel, Paul otworzył ogień krótkimi, dobrze mierzonymi i skupionymi seriami. Opróżnił magazynek i sięgnął po drugi. W lochu rozległ się krzyk.

Schodami zbiegł Katsaris w czarnych goglach i z furkoczącego cicho MP5K zaczął ostrzeliwać tamtych z innego kąta.

Wszystko razem trwało ledwie kilka sekund. Wielu strażników nie zdążyło nawet dostrzec przeciwnika. Zostali zabici, a raczej zmasakrowani przez anonimową broń, wystrzelującą piętnaście pocisków na sekundę. Ze względu na wysoką jakość tłumienia, wystrzały z

MP5K były nie tylko śmiertelne, ale i upiornie ciche. Dopiero po chwili Janson zdał sobie sprawę, co mu ten odgłos przypomina: tasowanie kart. Odgłos towarzyszący zabijaniu powinien brzmieć inaczej, pomyślał. Jak na tak ponurą czynność, był zbyt trywialny.

Zapadła dziwna cisza. Gdy termit zgasł i pomieszczenie ponownie utonęło w półmroku, obydwaj zdjęli gogle. Naga, czterdziestowatowa żarówka ocalała. Strażnicy mieli mniej szczęścia. Ich ciała leżały na betonowej podłodze, jak motyle przybite szpilką do kartonowej podkładki w przeszklonej gablocie. Pociski zadziały tak, jak zostały zaprojektowane: zamiast przebijać ciało na wylot, wyładowały swoją energię, siejąc spustoszenie wśród jego najżywniejszych organów. Podszedłszy bliżej, Paul stwierdził, że niektórzy żołnierze zginęli, zanim zdążyli odbezpieczyć broń.

Ktoś się poruszył? Zauważył go dopiero po chwili. Po betonowej podłodze czołgał się młody chłopak, mistrz protera, ten, który włożył na stół zadziwiający trzynastokartowy sekwens, ten, który zauważył go na półce. Brzuch miał śliski od krwi, ręce wyciągnięte w stronę rewolweru leżącego w pobliżu martwego kolegi.

Janson pociągnął za spust. Krótka seria, kolejne przetasowanie kart życia. Młody człowiek znieruchomiał.

Loch przypominał teraz rzeźnię, cuchnącą krwią i zawartością rozszarpanych pociskami trzewi. Paul znał ten odór aż za dobrze: tak pachniało życie w chwili, gdy je komuś odbierano.

O Chryste. Chryste. Boże. To była prawdziwa jatka, prawdziwa rzeź. I to właśnie robił? Tym się zajmował? Tym właśnie był? Przypomniały mu się słowa ze starego raportu sprawnościowego: czy zabijanie naprawdę było "jego żywiołem"? Przypomniała mu się również rozmowa z Collinsem.

- Ty nie masz serca, Janson. Dlatego robisz to, co robisz. Diabła tam: dlatego jesteś tym, kim jesteś.

- Może. A może jestem kimś zupełnie innym.

- Mówisz, że zabijanie zaczęło budzić w tobie wstręt. Powiem ci teraz coś, co pewnego dnia odkryjesz sam: gdyby nie zabijanie, nie czułbyś, że żyjesz.

- Czy... Czy kogoś, kto musi zabijać, żeby poczuć, że żyje, można nazwać człowiekiem?

Czy był człowiekiem? Jeśli tak, to jakim?

Poczuł, że w gardle pęcznieje mu gorzka, gorąca gula. Pękł? Nie wytrzymał? Zmienił się do tego stopnia, że nie nadawał się już do zadania, które przyjął? Może dlatego, że miał za długą przerwę i zdążył przez ten czas zmięknąć.

Poczuł gwałtowne mdłości. Jednocześnie wiedział, że musi powstrzymać torsje ze względu na Theo, swojego ukochanego ucznia. Nie czas teraz na to. Jego organizm nie mógł sobie pozwolić na taki luksus.

Z głębokich zakamarków umysłu doszedł go chłodny, pełen nagany głos: ci ludzie byli ostatecznie żołnierzami. Wiedzieli, że w każdej chwili mogą zginąć. Należeli do ruchu terrorystycznego, wprowadzili znanego na cały świat człowieka i uroczyście oznajmili, że go zgładzą. Strzegąc bezprawnie przetrzymywanego zakładnika, narażali się na śmierć. Poprzysięgli, że oddadzą za Kalifa życie, i dotrzymali przysięgi. On im tylko to umożliwił.

- Chodźmy ~ rzucił. Mógł się przed sobą usprawiedliwiać, mógł sobie tłumaczyć, że przynajmniej niektóre z tych usprawiedliwień są słuszne, to jednak w niczym nie zmieniało faktu, że widok poharatanych kulami zwłok mierzył go i odpychał.

Pocieszało go jedynie to, że w ogóle odczuwa odrazę. Obojętność była domeną terrorystów, ekstremistów, fanatyków, tych, z którymi przez całe życie walczył, tych, do których bał się upodobnić. Bez względu na to, co przed chwilą zrobił, fakt, że nie mógł przyglądać się temu bez wstrętu, wskazywał, że nie jest jeszcze potworem.

Zeskoczył z betonowej półki i dołączył do Katsarisa, który czekał przy stalowych drzwiach do lochu. Zauważył, że buty Theo są uwalane krwią, tak samo jak jego, i szybko odwrócił wzrok.

- Pozwól, że będę pełnił honory gospodarza domu- powiedział Katsaris. - Trzymał w ręku duży pęk starych kluczy, które odebrał jednemu z martwych strażników.

Trzy zamki. Trzy zasuw. Drzwi otworzyły się na oścież i weszli do ciemnego, kiszko-watego korytarza. Smród wilgotnego, stęchłego powietrza przesyconego odorem choroby i potu, zapachem strachu i śmierci. W całkowicie ciemnym korytarzu, z dala od światła pojedynczej żarówki nad karcianymi stolikami strażników, trudno było cokolwiek zobaczyć.

Katsaris pstryknął włącznikiem latarki. Mrok rozcięła smuga jaskrawego światła.

Przystanęli, nasłuchując.

Czyjś oddech. Dobiegał stamtąd, z mrocznej czeluści.

Wąski korytarz rozszerzył się i dopiero wtedy zobaczyli, jak zbudowany jest podziemny loch gubernatora Anury. Składał się z rzędu nieprawdopodobnie grubych krat, oddalonych ledwie metr dwadzieścia od kamiennej ściany. Kraty broniły dostępu do rozdzielonych kamiennym przepierzeniem cel szerokości dwóch i pół metra każda, pomieszczeń długich i wąskich. Nie było tam ani jednego okna; w kamiennych niszach paliło się kilka lamp naftowych, zapewne takich samych, jak w czasach, gdy osadzał tu swoich więźniów gubernator.

Janson zadrżał na myśl o potwornościach minionego stulecia. Za jakie przestępstwa zamykano tu ludzi? Nie za zwykłe bójkę między tubylcami: tego rodzaju sprawy załatwiała starszyzna wioski, którą zachęcano do stosowania bardziej „cywilizowanych” kar. Nie, ci, którzy trafiali do lochu gubernatora, byli rebeliantami, którzy próbowali stawić opór obcokrajowcom, którzy wierzyli, że mogą rządzić wyspą sami, bez pomocy niedobitków rozpadającego się holenderskiego imperium.

Teraz władzę nad lochem przejęli nowi rebelianci i podobnie jak wielu przed nimi, zamiast go zburzyć, postanowili wykorzystać go do własnych celów. Prawda była gorzka i niezaprzeczalna: ci, którzy niegdyś szturmowali Bastylę, też znaleźli sposób na jej ponowne wykorzystanie.

Koniec korytarza tonął w całkowitej ciemności. Katsaris skierował latarkę w lewo, potem w prawo i wreszcie zobaczyli.

Człowieka.

Mężczyznę, który wcale nie ucieszył się na ich widok. Przywarł do ściany, drżąc, dygocząc ze strachu. Gdy padło nań światło latarki, przykucnął w kącie celi jak przerażone zwierzę, które chce zniknąć z oczu drapieżnika.

- Pan Novak? - spytał cicho Janson. - Peter Novak?

Mężczyzna ukrył twarz w dłoniach, jak dziecko, które myśli, że skoro samo nikogo nie widzi, to inni też go nie widzą.

Nagle Janson zrozumiał: czy z pomalowaną na czarno twarzą, z pistoletem w ręku i w zakrwawionych butach wyglądał jak wybawca czy jak oprawca?

W świetle latarki zobaczył jego absurdalnie elegancką koszulę, sztywną nie od pachnącego lawendą francuskiego krochmalu, tylko od brudu i zaschniętej krwi.

Wziął głęboki oddech i wypowiedział słowa, które jak dotąd wypowiadał jedynie we śnie:

- Nazywam się Paul Janson. Kiedyś uratował mi pan życie. Przyszedłem zwrócić dług.

Rozdział 7

Przez kilka sekund mężczyzna ani drgnął. Potem podniósł głowę i nie wstając, spojrział prosto w światło; Katsaris szybko opuścił latarkę, żeby go nie oślepić.

Oślepiony, a raczej oszołomiony był Janson.

Widział twarz z okładek setek czasopism i gazet. Twarz uwielbianą jak twarz papieża, a w tym świeckim wieku może nawet bardziej. Szopa gęstych, opadających na czoło włosów, włosów wciąż ciemnych, odpornych na siwiznę. Wystające, niemal azjatyckie kości policzkowe. Peter Novak. Laureat Pokojowej Nagrody Nobla. Najsłynniejszy działacz społeczny na świecie.

Był tym bardziej zaszokowany jego wyglądem, że tak dobrze tę twarz znał. Ciemne, niemal szkarłatne worki pod zapadniętymi oczami, niegdyś rezolutnymi, teraz przerażonymi. Gdy Novak chwiejnie wstał, Paul spostrzegł, że jego ciałem wstrząsają dreszcze, że drżą mu nawet brwi.

Znał tę reakcję: była to reakcja człowieka, który porzucił wszelką nadzieję. Znał tę reakcję, ponieważ kiedyś reagował podobnie. Tam, w Baaqlinie, w tym zakurzonym libańskim mieście. Doskonale pamiętał oprawców, których nienawiść niemal całkowicie odczłowieczyła. Wiedział, że do końca życia nie zapomni ich spojrzeń twardych jak stal. Baaqlina. Miał tam umrzeć, był o tym przekonany. W końcu wypuszczono go na wolność dzięki interwencji Petera Novaka. Dali tym sukinsynom łapówkę? Tego nie wiedział. Ale jeszcze długo po uwolnieniu zastanawiał się, czy kara została mu darowana, czy jedynie odroczone. Wszystkie te myśli i wrażenia były nieracjonalne i Paul nikomu się z nich nie zwierzał. Ale być może któregoś dnia zwierzy się z nich Novakowi. Novak zrozumie kogoś, kto przeszedł to samo co on i może znajdzie w tym jakieś ukojenie. Przynajmniej tyle był mu winien. Nie, winien był mu wszystko. Podobnie jak tysiące, jak miliony innych.

Peter Novak podróżował po całym świecie, rozwiązując krwawe konflikty. Teraz ktoś w taki konflikt wciągnął jego. I ten ktoś za to zapłaci.

Janson poczuł nagły przypływ ciepła i współczucia dla nieszczęsnego Węgra i przypływ równie intensywnej nienawiści do tych, którzy tak go poniżyli. Przez całe życie uciekał od takich uczuć; miał opinię człowieka zimnego, opanowanego, zrównoważonego, emocjonalnie obojętnego: nazywano go „maszyną”. W jego obecności niektórzy czuli się nieswojo, w innych wzbudzał niewzruszoną pewność siebie i zaufanie. Ale Paul wiedział, że nie jest twardy jak skała, że potrafi jedynie dobrze się maskować. Rzadko kiedy okazywał strach, bo za bardzo się bał. Ukrywał emocje, bo za bardzo go paliły. Zwłaszcza po zamachu bombowym w Caligo, po stracie jedynej osoby, która nadawała sens jego życiu. Trudno było kochać, gdy widziało się, jak łatwo można tę miłość stracić. Trudno było ufać, gdy wiedziało się, jak łatwo to zaufanie można podważyć. Przed kilkudziesięciu laty znał człowieka, którego bezgranicznie podziwiał, i człowiek ten go zdradził. Nie tylko jego: zdradził całą ludzkość.

Helena powiedziała mu kiedyś, że jest poszukiwaczem. „Poszukiwania dobiegły końca-odrzekł. - Znalazłem ciebie”. I czule ucałował jej czoło, oczy, nos, usta i szyję. Ale Helena miała na myśli coś innego: chodziło jej o poszukiwanie sensu życia, czegoś lub kogoś większego, znaczącego od niego samego. Kogoś takiego jak Peter Novak.

A Peter Novak był teraz wrakiem człowieka, lecz wrakiem człowieka wielkiego. Mógłby być błyskotliwym ekonomistą; niektóre z jego teorii chętnie cytowano. Mógłby być Midasem XXI wieku, rozpieszczonym playboyem, drugim wcieleniem Szachdżehana, indyjskiego władcy, który wzniósł dla swej małżonki słynny Tadź Mahal. Ale on chciał jedynie naprawić

świat, chciał uczynić go lepszym od tego, który zastał w dniu swoich narodzin podczas II wojny światowej.

- Przyszliśmy po pana - powiedział Janson.

Węgier zrobił ostrożny krok do przodu i odchylił do tyłu ramiona, jakby chciał wziąć głęboki oddech. Mówienie kosztowało go wiele wysiłku.

- Przyszliście po mnie - powtórzył jak echo zduszonym, chrapliwym głosem. Niewykluczone, że były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział od kilkunastu dni.

Co oni mu zrobili? Złamali go fizycznie czy duchowo? Z doświadczenia Paul wiedział, że rany cieleśne goją się w miarę szybko. Po oddechu poznał, że Novak ma zapalenie płuc, że od oddychania stęchłym, wilgotnym, pełnym zarazków powietrzem w lochu, w płucach zebrał mu się płyn. Ale to, co mówił, było zupełnie niezrozumiałe.

- Pracujecie dla niego. Oczywiście. Mówi, że może być tylko jeden! Wie, że kiedy się mnie pozbędzie, nikt go już nie powstrzyma. - Gwałtowność słów zastępowała ich sens.

- Pracujemy dla pana - odrzekł Janson. - Przyszliśmy pana uratować.

W rozbieganych oczach Węgra zdumienie mieszało się z najwyższą konsternacją.

- Nie dacie rady go powstrzymać!

- Kogo?

- Petera Novaka.

- Przecież to pan jest Peterem Novakiem.

- Tak! Oczywiście! - Węgier objął się wpół i wyprostował jak dyplomata na oficjalnym przyjęciu.

Czyżby odebrało mu rozum?

- Przyszliśmy pana uratować - powtórzył Paul, podczas gdy Katsaris próbował dopasować klucz do zamka w kracie. Krata ustąpiła. Początkowo Novak ani drgnął. Janson zajrzał mu w oczy, żeby sprawdzić, czy nie jest pod wpływem jakichś narkotyków, i stwierdził, że jedynym narkotykiem, jaki mu zaaplikowano, jest strach. Cierpiał, jak cierpią ludzie w niewoli. Przez trzy dni przetrzymywano go w ciemności: bez wątplenia karmiono go i pojono, lecz pozbawiono nadziei.

Janson dobrze te symptomy znał od czasów Baaqliny, tego pustynnego libańskiego miasta. Powszechnie sądzono, że uwolnieni zakładnicy padają na kolana przed swoimi wybawicielami, że się do nich przyłączają, że walczą z nimi ramię w ramię, jak na filmach. Rzeczywistość często bywała zupełnie inna.

Katsaris posłał mu rozgorączkowane spojrzenie i postukał w zegarek. Każda kolejna minuta narażała ich na dodatkowe ryzyko.

- Może pan chodzić? - spytał Janson ostrzej, niż zamierzał.

Novak jakby się zawahał.

- Tak - odrzekł. - Chyba tak.

- Musimy iść.

- Nie.

- Proszę. Nie możemy zwlekać. - Węgier był kompletnie zagubiony, zdezorientowany, jak każdy uwolniony zakładnik. Czy aby tylko? Czy nie cierpiał przypadkiem na syndrom sztokholmski? Czy nie zdradził swoich moralnych zasad i nie przystał do tych parszywych oprawców?

- Nie, tu jest ktoś jeszcze!

- O czym pan mówi? - rzucił Katsaris.

- Tu jest ktoś jeszcze - powtórzył Novak i zakaszłał. - Jeszcze jeden więzień.

- Kto? - spytał Theo.

- Amerykanka. - Novak wskazał celę na drugim końcu korytarza. - Nie pójdę bez niej.

- To niemożliwe! - zaprotestował Katsaris.

- Jeśli ją zostawimy, oni ją zabiją. Zabijają ją natychmiast! - Błagał ich wzrokiem i jed-

nocześnie rozkazywał. Odchrząknął, zwilżył sobie wargi i głęboko odetchnął. - Nie chcę mieć jej na sumieniu. - Mówił wyczelowaną angielszczyzną, prawie bez cienia obcego akcentu. Kolejny chrapliwy oddech. - Wy też nie możecie.

Janson zdał sobie sprawę, że zakładnik powoli odzyskuje spokój, że dochodzi do siebie. Było widać, że nie jest zwykłym człowiekiem, że jest urodzonym arystokratą, nawykłym do wydawania rozkazów i kształtowania świata wedle swoich upodobań. Miał ku temu dar, który wykorzystywał do czynienia dobra.

Spojrzał mu prosto w oczy.

- A jeśli nie damy rady...

- Będziecie musieli mnie tu... zostawić. - Słowa niezdecydowane, lecz jednoznaczne.

Janson patrzył na niego, nie wierząc własnym oczom. Novakowi nerwowo drgnął mięsień policzka.

- Nie przypuszczam, żeby wasz plan zakładał ewakuowanie więźnia, który tego nie chce.

Było oczywiste, że mimo stresu potrafi błyskawicznie myśleć. Miał w ręku kartę i natychmiast wyłożył ją na stół, dając do zrozumienia, że to koniec dyskusji.

Janson i Katsaris wymienili spojrzenia.

- Theo - rozkazał cicho Paul. - Idź po nią.

Katsaris niechętnie skinął głową. Nagle obydwaj zamarli.

Jakiś hałas.

Zgrzytnięcie metalu o kamień.

Janson dobrze znał ten odgłos: to krata, którą własnoręcznie otworzył.

Przypomniał mu się pełen nadziei okrzyk nieżyjącego już żołnierza: *Theyilai*.

Nadchodził ktoś, kogo tamci przez cały czas oczekiwali, ktoś, kto przyniósł im herbatę.

Janson i Katsaris przeszli do sąsiadującego z lochem pomieszczenia, mdławo oświetlonego i zalanego krwią. Usłyszeli brzęk kluczy, a potem zobaczyli tacę: samowar z ręcznie kutą blachą i kilkanaście małych, glinianych kubków.

Zobaczyli też ręce niosące tę tacę, niezwykle małe i drobne. A potem mężczyznę, który nie był mężczyzną, tylko...

Małym chłopcem. Gdyby Janson miał zgadywać, dałby mu najwyżej osiem lat. Duże oczy, czekoladowo-kakaowa skóra, krótkie, czarne włosy. Był bez koszuli, w samych tylko szortach z niebieskiego madrasu. Jego adidas, o wiele za duże, sądząc po szczupłych łydkach, nadawały mu szczenięcy wygląd. Wzrok skupiał na stopniach schodów: powierzono mu odpowiedzialne zadanie, dlatego stawiał nogi bardzo powoli i ostrożnie. Żeby niczego nie upuścić. Niczego nie rozlać.

Pokonał już dwie trzecie schodów, gdy wtem stanął, znieruchomiał. Najpewniej zaniepokoił go specyficzny zapach. Albo panująca w podziemiach cisza.

Spojrzał przed siebie, zobaczył skutki masakry - strażników leżących w kałużach krzepnącej już krwi - głośno wciągnął powietrze i z wrażenia upuścił tacę. Bezcenną tacę. Tacę, za którą strażnicy mieli mu być tacy wdzięczni, na której widok mieli się tak ucieszyć. Taca potoczyła się po schodach niczym kwadratowe koło: gliniane kubeczki roztrzaskały się na betonie, buchnęła para z rozlanego wrzątku. Janson obserwował to jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie.

Wszystko rozbite. Wszystko rozlane. Łącznie z krwią.

Doskonale wiedział, co musi teraz zrobić. Pozostawiony sam sobie, chłopiec uciekłby i zaalarmował innych. Nie było żadnej dyskusji. Smutne to, potworne, ale nie było wyboru. Jednym płynnym ruchem wymierzył w intruza z wyposażonego w tłumik pistoletu.

Małec patrzył na niego wielkimi, przerażonymi oczami.

Ośmioletni brzdąc z rozdziawionymi ustami. Niewinny szkrab, który nie zdążył podjąć w życiu ani jednej ważnej decyzji.

Ani bojownik. Ani buntownik. Ani konspirator. Zwykły chłopiec.

Chłopiec uzbrojony... w co? W samowar i herbatę?

Wszystko jedno. Podręcznik taktyki nazywał takich jak on „biernie zaangażowanymi cywilami”. Janson wiedział, co robić.

On tak, lecz nie jego ręce. Ręce nie chciały go słuchać. Palec nie chciał pociągnąć za spust.

Miotany sprzecznymi uczuciami, Paul zamarł, zastygł bez ruchu jak posąg. Odraza do „strat ubocznych”, jak określano to w standardowych raportach taktycznych, nasiliła się do tego stopnia, że stał jak sparaliżowany.

Chłopiec odwrócił się i popędził na górę, pokonując po dwa, po trzy stopnie naraz, żeby jak najszybciej uciec od niebezpieczeństwa.

Ale jego bezpieczeństwo było równoznaczne z ich zgubą! Wyrzuty sumienia załazy Jansona jak rozpalona lawa: dwie sekundy sentymentalnej zwłoki, i groziła im niewyobrażalna katastrofa.

Chłopiec uderzył na alarm. Pozwalając mu żyć, Paul podpisywał wyrok śmierci na Petera Novaka. Na Theo Katsarisa. Na samego siebie. Możliwe, że i na pozostałych uczestników misji.

Popęłnił rażący, niewybaczalny i nieuzasadniony błąd. Jeszcze sekunda, jeszcze dwie i na skutek tego błędu stanie się mordercą, mordercą, który będzie miał na sumieniu nie tylko życie jednego dziecka, ale i życie wielu innych ludzi. Rozbieganymi oczami zerkał to na Novaka, to na Katsarisa. To na człowieka, którego najbardziej podziwiał, to na człowieka, którego ukochał jak syna. Misja dobiegła końca. Sabotażystą miał się okazać on sam.

Wtem zobaczył Katsarisa, który śmignął obok niego jak błyskawica, zobaczył krwawe ślady jego butów; Theo pędził w stronę schodów najkrótszą trasą, przeskakując trupy i porzucone krzesła. Chłopiec był już przy drzwiach, już wyciągał rękę do klamki, gdy Katsaris wpakował mu kulę prosto w serce. Stłumione pufff! i rozbłysk z lufy. Grek ani drgnął, pozostając w pozycji, jaką przyjmuje strzelec, żeby oddać jak najcelniejszy, jak najbardziej precyzyjny Strzał: szeroko rozstawione nogi, lekko ugięte kolana, lewa dłoń podtrzymująca od spodu dłoń uzbrojoną. Pozycja, jaką przyjmuje żołnierz, strzelając do kogoś, kto nie może odpowiedzieć ogniem, lecz kto musi zginąć, samo to, że po prostu żyje jest niebezpieczne.

Janson widział przez chwilę wszystko jak przez mgłę, a gdy mgła opadła, zobaczył chłopca, który staczał się ze schodów, robiąc niemal salta w powietrzu.

Stoczył się z nich, a potem zastygł bez ruchu jak ciśnięta na bok szmaciana lalka.

Paul podszedł bliżej. Głowa malca spoczywała na tacy, którą tak dumnie niósł. Na jego miękkich, dziecięcych wargach wezbrały bąbelki śliny.

Serce waliło Jansonowi mocno i powoli. Było mu niedobrze, bo omal nie doszło do nieszczęścia. Było mu niedobrze, bo wiedział, że do nieszczęścia dojść musiało. Było mu niedobrze, że z taką rozrzutnością szafowali tym, co na tej ziemi najcenniejsze: ludzkim życiem. Derek Collins i jemu podobni nigdy by tego nie zrozumieli. Pamiętał, dlaczego rzucił tę służbę. Takie decyzje - czyjaś śmierć, czyjeś życie - musiano podejmować. Lecz on już nie chciał ich podejmować.

Katsaris posłał mu pytające spojrzenie. Co cię tak sparaliżowało? Co cię napadło?

Janson poczuł się dziwnie wzruszony, że zamiast wyrazu pogardy czy niemej nagany, na twarzy Theo maluje się wyraz szczerego zdumienia.

Grek powinien być na niego równie wściekły, jak on był wściekły na siebie samego. Jedynie miłość ucznia do mistrza była w stanie przemienić gniew w zdumienie i niedowierzanie.

- Musimy wiać - rzucił Paul.

Katsaris wskazał schody, drogę, którą według planu mieli uciec. Ale to Janson tu dowodził, a Janson wiedział, kiedy i dlaczego plan ten trzeba zmienić.

- Nie - odparł. - Nie tędy. Zbyt niebezpieczne. Inną drogą.

Czy po tym wszystkim Katsaris mu zaufa? Misja bez dowódcy to misja z góry skazana na niepowodzenie. Janson musiał udowodnić, że wciąż panuje nad sytuacją.

- Po kolei. Chodźmy po tę Amerykankę.

Chwilę później Theo zmagął się z kolejnym zamkiem. Żelazne drzwi otworzyły się z jękiem.

W świetle latarki ujrzeli czyjeś włosy, zmierzwione i zmatowiałe. Kiedyś musiały być jasne.

- Proszę - zaskamlała kobieta, kuląc się w kącie celi. - Proszę, nie róbcie mi krzywdy!

- Zabierzemy panią do domu - odrzekł Katsaris, świecąc latarką tak, żeby mogli ocenić jej stan fizyczny.

Donna Hedderman, studentka antropologii - Janson rozpoznał jej twarz. Gdy Kalif i jego ludzie opanowali pałac, najwyraźniej wtrącili ją do lochu wraz z Novakiem. Zapewne doszli do wniosku, że tu, w jednym miejscu, w oddalonych od siebie celach, łatwiej będzie ich upilnować.

Donna Hedderman była grubokościstą kobietą o szerokim nosie i okrągłych policzkach. Musiała być kiedyś tęga i przysadzista, ale nawet teraz, po siedemdziesięciu dniach niewoli, nie należała do szczupłych. Podobnie jak inne ugrupowania terrorystyczne, bojownicy Frontu Wyzwolenia Ludu Kagama dobrze karmili swoich więźniów. Więzień osłabiony głodem mógłby zachorować i umrzeć. A umrzeć na jakąś chorobę to tyle co uciec. Więźnia, który umarł, nie można przecież ściąć ani rozstrzelać.

Donna Hedderman musiała przejść piekło: widać to było po jej ciele, po skołtunionych włosach, po wytrzeszczonych oczach. Paul widział jej zdjęcia, czytał w gazetach o jej uprowadzeniu. Na zdjęciach, tych z dawnych, szczęśliwych czasów, była promienną, pulchną kobietą. „Pełna werwy”: tak najczęściej o niej pisano. ale po długich tygodniach niewoli cała promiennosc i werwa znikły bez śladu. Oficjalny komunikat szaleńców z FWLK głosił, że jest ona amerykańskim szpiegiem; oświadczenie to było tym bardziej niedorzeczne, że Hedderman zawsze miała lewicowe poglądy. Bardzo tubylcom współczuła, ale bojownicy Frontu Wyzwolenia Ludu Kagama uważali, że współczucie to tylko głupi, bynajmniej nie rewolucyjny sentymentalizm, który zabija strach, a strach był Kalifowi niezbędny.

- Dla kogo pracujecie? - spytała po chwili drżącym głosem.

- Dla pana Novaka - odrzekł Janson, zerkając w bok.

Novak skinął głową.

- Tak - powiedział. - To nasi przyjaciele.

Donna Hedderman wstała i ruszyła w stronę drzwi. Miała obrzękłe kostki u nóg i szła bardzo chwiejnie.

- Pójdziemy inną drogą- szepnął Janson do Katsarisa.- Lepszą. Musimy zrobić zrzutkę. Mamy po trzydzieści gramów semteksu, tak? Zużyjemy wszystko. - Przybornik, który żołnierze oddziałów specjalnych zabierali ze sobą na misję w nie do końca rozpoznany teren, zawsze zawierał semtex i detonatory.

Theo przyjrzał mu się uważnie i kiwnął głową. Ton głosu Paula, a zwłaszcza konkretność rozkazu powiedziała mu, że dowódca wciąż dowodzi, że nawet jeśli miał chwilę słabości, chwila ta na szczęście minęła. Że Janson wciąż jest dawnym Jansonem.

- Lampy naftowe. - Paul wskazał najbliższą. - Zanim doprowadzili tu elektryczność, były głównym źródłem światła. Gubernator musiał mieć zbiornik na naftę. Wielki zbiornik na wielki zapas nafty. Gdzie? Tu, w podziemiach.

- Mogli go już wykopać - zauważył Katsaris. - Zasypać albo zacementować.

- Możliwe. Ale bardziej prawdopodobne jest to, że zostawili go, żeby spokojnie zarzewiał. Podziemia są cholernie rozległe. Miejsca mają tu aż za dużo, po co im więcej.

- Fakt. Wiesz, gdzie ten zbiornik jest?

- Według planów mniej więcej dwieście metrów od północno-zachodniej ściany nośnej. Nie wiedziałem, co tam trzymają, ale teraz to jasne.

- Dwieście metrów to kawał drogi. - Ruchem głowy wskazał Donna Hedderman. - Da radę?

Żeby nie upaść, Donna Hedderman musiała przytrzymać się krat; siedem dziesięciodniowy bezruch bardzo osłabił jej mięśnie, a to, że należała do kobiet dość tęgich, wcale nie polepszało sytuacji.

Novak spojrzął na nią i z zażenowaniem odwrócił wzrok. Łączyła ich specyficzna więź, jaka tworzy się między dwojgiem przerażonych więźniów, którzy się nawzajem nie widzą, lecz którzy mogą porozumiewać się szepcząc, stukając czymś w żelazne kraty, przekazując sobie krótkie listy, namazane na skrawku papieru czy materiału.

- Biegnij przodem, Theo - rzucił Janson. - Kiedy znajdziesz zbiornik, daj mi znać. Ja zostanę z nimi.

Trzy minuty później w jego słuchawkach zabrzmiał triumfalny okrzyk Katsarisa:

- Jest!

Paul spojrzął na zegarek: dalsza zwłoka groziła poważnym niebezpieczeństwem. O której zmieniały się warty? Kiedy ponownie usłyszą złowieszcze zgrzytnięcie stali o kamień?

Ruszyli ciemnym korytarzem prowadzącym do zbiornika. Donna Hedderman przytrzymywała się jego ramienia, mimo to szła chwiejnie i widać było, że każdy krok sprawia jej ból. Gdyby mógł wybierać, nie takie karty by wybrał, ale cóż, to nie on trzymał talię w ręku.

Dawno nie używany i zaniedbany zbiornik miał żelazne drzwi, zabezpieczone ołowianymi kryzami.

- Nie ma czasu - rzucił Janson. - Załatwimy to kopniakiem. Zawiasy są przeżarte rdzą, same odpadną. Trzeba im tylko pomóc. - Wziął krótki rozbieg i grzmotnął w nie nogą. Gdyby nie ustąpiły, mogłyby nadwerekować sobie mięśnie i kości. Ale nie, runęły z hukiem w tumanie rdzawego pyłu.

Paul zakaszłał.

- Dawaj semtex - rzucił do Katsarisa i wszedł do środka. Mimo upływu lat, w wybitym miedzianą blachą pomieszczeniu wciąż cuchnęło. Otwór spustowy, którym niegdyś pobierano naftę, niemal całkowicie zarósł stwardniałym osadem z zawartych w niej zanieczyszczeń.

Paul uderzył w ścianę kolbą automatu. Odpowiedziało mu głuche, metaliczne echo. Tutaj. Zbiornik musiał wystawać metr, metr dwadzieścia nad powierzchnię ziemi, może nawet mniej, bo wiatr i upływ czasu na pewno zrobiły swoje.

Katsaris wyjął semtex - przypominał plastelinę koloru kości słoniowej i był wielkości kawałka gumy do żucia - okleił nim otwór spustowy i wetknął weń dwa cieniutkie, srebrzyste przewody. Drugi koniec przewodów był podłączony do maleńkiej, okrągłej baterii litowej, podobnej do tych, jakich używa się w zegarkach czy aparatach słuchowych. Bateria zwiisała na przewodach, więc po krótkim namyśle wgniół ją lekko w semtex.

Tymczasem Janson uzbroił swój ładunek i rozejrzał się wokoło, żeby wybrać najodpowiedniejsze miejsce na jego założenie. Sprawa była ważna, nie mógł się pomylić. Jak dotąd od pomocnego skrzydła pałacu chroniła ich akustycznie szczelna warstwa kamienia. Urządzili w lochu jatkę, lecz poza nieżyjącymi już ofiarami nikt tego nie słyszał. Jednakże wyjść po cichu byłoby trudno. Zdawał sobie sprawę, że odgłos eksplozji przetoczy się natychmiast jak grzmot i postawi wszystkich na nogi. Nie będzie żadnego zamieszania, nie będzie żadnych wątpliwości, dokąd biec i do kogo strzelać. Dlatego nie mogli pozwolić sobie na najmniejszy błąd, w przeciwnym razie cały wysiłek poszedłby na marne.

Wcisnął semtex w miejsce, gdzie ściana stykała się z miedzianym zbiornikiem, niecały metr od ładunku Katsarisa.

Plastik odpadł, lecz Janson chwycił go w powietrzu. Materiał nie chciał przylgnąć do tłustej, cuchnącej powierzchni.

Co teraz? Paul wyjął nóż i zeszkrobał osad ze zbiornika. Ostrze szlag trafił, lecz już po chwili w świetle latarki błysnął czysty, nagi metal.

- Cofnijcie się!

Wyszli, Janson ostatni, upewniwszy się, że ładunki „trzymają” i są odpowiednio rozmieszczone. Przystanąwszy za rogiem korytarza, jednocześnie wcisnęli przyciski uaktywniające baterie.

Wybuch był ogłuszający. Przypominał ryk gigantycznej bestii albo odgłos, jaki wydałoby sto basowych głośników o mocy czterdziestu tysięcy watów. Mimo odległości, uderzył w nich podmuch tak silny, że poczuli, jak wibrują im gałki oczne. Buchnął biały dym, niosąc ze sobą charakterystyczny zapach azotu i... coś jeszcze: słonawy zapach morskiej bryzy. Utorowali sobie drogę ucieczki.

Teraz musieli tylko przeżyć, żeby móc z tej drogi skorzystać.

Rozdział 8

Ile czasu upłynie, zanim tamci się zmobilizują? Dwie minuty? Mniej? Ilu strażników było teraz na służbie? Ilu czuwało na murach?

Wkrótce mieli się tego dowiedzieć.

Eksplzja wyłupała wielki kawał ściany i pogięła metalowe płyty. W świetle latarki Katsarisa zobaczyli to, co mieli nadzieję zobaczyć. Otwór. Otwór na tyle duży, że mogli się przezeń precyzyjnie. Theo wyszedł pierwszy. Janson został na dole, pomagając Novakowi i Donnie Hedderman.

Dokładnie osiemdziesiąt sekund później wszyscy czworo byli już na zewnątrz. Bryza była tu silniejsza, nocne niebo jaśniejsze niż przedtem; chmury zaczynały się powoli rozstępować. Rozbłyły pierwsze gwiazdy, zaśnił sierp księżyca.

Nocna, niedobra poświata. Uciekli z lochu. Lecz nie byli wolni.

Jeszcze nie.

Przywarli do ściany. Janson próbował ustalić ich dokładną pozycję. Morski wiatr oczyścił mu nozdrza z zapachu krwi, rozprutych wnętrzności i odoru brudnych zakładników.

Teren bezpośrednio przy ścianie był pod pewnymi względami bezpieczniejszy niż strefa rozciągająca się nieco dalej. Na murach Paul dostrzegł żołnierzy, dostrzegł armaty i działa. Po to te mury wzniesiono: żeby ostrzeliwać z nich szkunery rywali, konkurencyjnych imperiów kolonialnych. Im dalej od nich, tym będą bezpieczniejsi.

- Da pan radę biec?

- Daleko? - spytał Novak.

- Nie, kawałeczek.

- Zrobię, co będę mógł - odrzekł z determinacją Węgier. Miał ponad sześćdziesiąt lat, przez kilka dni przetrzymywano go w ciemnym lochu, mimo to nie stracił silnej woli i wiedział, że sobie poradzi.

Jego stanowczość i zdecydowanie podniosło Jansona na duchu. Gorzej było z Donna Hedderman. Wyglądało na to, że w każdej chwili może załamać się i wpaść w histerię. A była za ciężka, żeby przerzucić ją sobie przez ramię i ponieść.

- Hej - powiedział łagodnie. - Donna. Nikt nie każe pani robić czegoś ponad pani siły. Jasne?

Amerykanka zaskamlała, patrząc na niego błagalnie. Widok czarnej jak smoła twarzy bynajmniej nie dodawał jej otuchy.

- Chcę, żeby się pani skoncentrowała, dobrze? - Paul wskazał skalny występ pięćdziesiąt metrów dalej, sterczący w miejscu, gdzie zaczynało się morskie urwisko. Biegło tamtędy pomalowane na biało niskie ogrodzenie, które zamiast przeszkodą czy zabezpieczeniem, było czymś w rodzaju umownej linii demarkacyjnej. - Tam. Widzi pani? Tam idziemy.

Oszczędził jej szczegółów planu. Nie musiała wiedzieć, że czeka ich zjazd po linie do łodzi czekającej na wzburzonych wodach osiemdziesiąt metrów niżej.

Katsaris i Novak puścili się pędem przed siebie. Janson za nimi; Donna bardzo wszystko opóźniała.

W zieleniach i szarościach noktowizora urwisko wyglądało jak kraj świata. Błada grań, a wokół niej dosłownie nic, całkowita pustka.

I pustka ta była ich celem. Co więcej, była ich wybawieniem.

Jeśli tylko zdążą. Jeśli tylko dotrą tam na czas.

- Zaczep! Szukaj zaczepu!

Gnejsowa krawędź, twarda metamorficzna skała, zerodowana i wystrzępiona. Tuż przy nawisie sterczały dwa występy w kształcie rogu. Gdyby zdołali wykorzystać któryś z nich, poszłoby szybciej niż z kośćmi i hakami. Zwinnymi, pewnymi ruchami Katsaris owinął dwie liny wokół dłuższego rogu niczym wokół knagi, zawiązał je i na wszelki wypadek zabezpieczył dodatkową kluczką. Gdyby jedna lina pękła - gdyby przetarła się na skałach lub gdyby ją przestrelono - druga powinna wytrzymać. Mocna, dość elastyczna, miała prawie dziewięć i pół milimetra grubości i podczas jazdy w dół zapewniała dość skuteczne hamowanie.

Podczas gdy Theo wiązał linę, Paul szybko ubrał Novaka w uprząż do wspinaczki, po czym sprawdził zapięcia pasa głównego i pasów udowych. Wiedział, że nie będzie to zjazd kontrolowany przez człowieka, że kontrolować ma go sprzęt. A sprzęt nie mógł być zbyt skomplikowany: musieli polegać na tym, co mieli, co mogli łatwo przenieść. Mieli zaś ósemki, zwykłe hamulce. Ósemka to nic innego jak dwa pierścienie z wypolerowanej stali, połączone ze sobą krótkim stalowym trzpieniem. Jeden pierścień jest większy, drugi mniejszy. Ani jednej ruchomej części. Kwintesencja prostoty. Każdą ósemkę można zamocować łatwo i szybko.

Katsaris przeciągnął liny przez większy pierścień, owinął je wokół trzpienia, mniejszy pierścień zaś zatrzasnął na karabinku przypiętym do upręży Novaka. Tego rodzaju hamulec jest dość prymitywny, lecz zapewnia wystarczająco duże tarcie, żeby zjazd nie przekształcił się w niekontrolowany upadek.

Czuwający na szczycie narożnej baszty strażnik dostrzegł ich i otworzył ogień.

Zostali zauważeni.

- Chryste, Janson, nie mamy czasu! - krzyknął Katsaris.

Ale Paul mógł trochę czasu kupić. Mógł kupić minutę, może mniej, a to zawsze coś.

Odczepił z kamizelki granat hukowy i rzucił go w kierunku baszty. Granat zatoczył łuk i spadł u stóp strażnika.

Nie zwlekając ani chwili, Janson cisnął linę w czarną otchłań. Im szybciej Novak zejdzie im z oczu, tym będzie bezpieczniejszy: jego jedynym ratunkiem był teraz zwój liny.

Niestety strażnik na baszcie umiał szybko myśleć i miał dobry refleks: chwycił granat i dosłownie na sekundę przed wybuchem odrzucił go daleko od siebie. Granat eksplodował w powietrzu, oświetlając czterech uciekinierów jak silny reflektor.

- Co teraz? - spytał nieprzytomnie Novak. - Nie umiem się wspinać...

- Skacz! - krzyknął Katsaris. - Teraz! Już!

- Pan zwariował! - odparł Węgier, przerażony czarną, bezdenną pustką, która się przed nimi rozwierała.

Theo nachylił się szybko, dźwignął go i z trudem zachowując równowagę, zrzucił ze skalnego nawisu.

Choć nieelegancki i pozbawiony wdzięku, w tej sytuacji był to jedyny sposób. Nie zdążyliby mu niczego wytłumaczyć, dlatego mogli jedynie zepchnąć go w dół i liczyć na to, że ósemka zaskoczy. To zaś, że spadł z nawisu, działało na jego korzyść, gdyż od skalnej ściany urwiska dzieliła go spora odległość.

Janson usłyszał charakterystyczny syk, z jakim dwie dziewięć i pół milimetrowej średnicy liny przesuwały się przez większy pierścień, co było jednoznacznym dowodem na to, że Novak bezpiecznie dotrze do omywanych wzburzonymi falami skał u podnóża czarnej przepaści. Strome urwisko chroniło go teraz i osłaniało przed ogniem tych z baszty i tych z murów. Kule świszczwały pod nim i nad nim, nie raniąc go jednak. Nie musiał nic robić. Wszystko robiła za niego siła grawitacji.

Całą resztą miał zająć się czekający na dole zespół „B”.

Skalny nawis chronił pałac przed atakiem z morza, podobnie jak podwodne rafy i liczne w tej okolicy mielizny, dzięki którym nieprzyjacielskie okręty nie mogły podплыnąć zbyt bli-

ska. Tak było od stuleci. Nie bez powodu fortecę wzniesiono akurat tutaj. Nawis, rafy i mieli-
zny były teraz ich jedyną nadzieją.

Peter Novak dotarł już prawie na dół.

Co do pozostałych, sprawa przedstawiała się znacznie gorzej.

Janson i Katsaris mogliby zjechać po linie bez najmniejszego trudu. Ale co z Donna Hedderman? Nie mieli ani zapasowej upręży, ani zapasowej ósemki. Paul i Theo wymienili spojrzenia: bez słowa uzgodnili plan awaryjny - bardzo awaryjny i bardzo desperacki.

Katsaris zawiązał podwójną linę na drugim skalnym rogu. Jego twarz mówiła wszystko. Niech szlag trafi tę przeklętą Amerykankę! Ale porzucić ją na łaskę losu? To nie wchodziło w rachubę.

Krótką seria z pistoletu maszynowego, deszcz skalnych odprysków.

Czas! Mieli coraz mniej czasu!

Strzelało w ich stronę coraz więcej strażników. Jeszcze trochę i pociski osiągną celu.

Jak dotąd pudłowali, lecz kule świszczały coraz bliżej. Zbyt blisko, żeby czuli się bezpiecznie, jednak zbyt daleko, żeby ich ranić. Było ciemno, morze tonęło we mgle: ciemność i mgła utrudniały celowanie - w takich warunkach trudno jest trafić w oddalony o czterdzieści metrów cel. Jednakże brak celności nadrabiali liczebnością strzelców, których zresztą stale przybywało. Nie ulegało wątpliwości, że któryś wreszcie trafi.

- Wkładaj uprząż, Theo - rzucił Janson, zaciskając pasy swojej upręży na grubych udach i szerokiej talii Donny Hedderman. Pośpiesznie zatrzaskał karabinek, pchnął ją i znikła w otchłani.

Janson nie miał teraz ani upręży, ani nawet ósemki. Stanąwszy przodem do skalnego rogu, przeciągnął linę przez lewy pośladek, przez biodro i pierś aż do prawego ramienia, a potem przez plecy do lewej ręki. Zamierzał sterować nią prawą ręką, prędkość opadania regulując lewą. Gdy odepchnie ją lekko od pleców, prędkość wzrośnie, gdy zaciśnie na biodrze - zmaleje. Wiedział, że nylonowy kombinezon zapewni mu względnie dobrą ochronę przed oparzeniami powstałymi na skutek silnego tarcia. Jednakże nie miał złudzeń. Kiedyś ćwiczył taki zjazd i doskonale pamiętał, jak bolesne było to przeżycie.

- Myślisz, że zadziała? - rzucił sceptycznie Katsaris.

- Jasne - odparł Janson. - Już to przerabiałem. - Miał wtedy głęboką nadzieję, że ponownie przerabiać tego nie będzie musiał.

Kilka krótkich serii - odgłos przypominał zgrzytliwe wycie piły tarczowej - i w nawis uderzył grad ołowiu. Kilka kul odłupało kawał skały tuż u ich stóp i Janson poczuł piekące ukłucia na twarzy. Czas! Kończył im się czas!

- Utknęłam! - krzyknęła płaczliwie Donna Hedderman, zwisając bezwładnie dziewięć metrów niżej. - Utknęłam!

- Zaraz tam będziemy! - odkrzyknął Paul i wraz z Katsarism ruszyli w dół. Zgiąwszy się w pasie, schodzili po skale tam, gdzie było to możliwe, odbijając się od niej nogami i zjeżdżając tam, gdzie iść nie mogli. Dla Jansona zejście było koszmarnie bolesne i wyczerpujące; nylonowa powłoka kombinezonu była dość gruba, mimo to lina nieustannie wrzyniała mu się w ciało. Żeby zmniejszyć jej nacisk i tarcie, jeszcze mocniej napinał już i tak napięte i bolące mięśnie.

- Pomóżcie mi! - zawodziła donośnym głosem Donna Hedderman. - Pomóżcie!

Kiedy pokonali jedną trzecią drogi, zobaczyli, co się stało. Jej długie, zmierzwiłone włosy wplątały się w ósemkę. Koszmar: powinni byli to przewidzieć. Katsaris wyjął nóż i odbił się nogami od ściany. Amerykanka rozdzierająco krzyknęła. Jednym cięciem Theo obciął wplątane włosy, lecz Donna włosów miała sporo i sytuacja mogła się w każdej chwili powtórzyć. Katsaris zwolnił hamulec, przeszedł na autoblok i zawisł w powietrzu tuż obok niej.

- Nie ruszaj się! - krzyknął. Powoli, powolutku zbliżył się jeszcze bardziej i nie zważając na jej piskliwe protesty, kilkoma szybkimi ruchami obciął pozostałe włosy. Nowa fryzura nie należała do najelegantszych.

Janson nadażał za nimi z wielkim trudem, zaciskając z bólu zęby. W pewnej chwili lina owinęła mu się wokół piersi niczym wielki boa dusiciel i pozbawiła go tchu, by zaraz potem wbić mu się głęboko w mięsień lewego pośladka. Doszedł do wniosku, że schodząc po linie bez upręży, musi czuć ból podobny do tego, który czuje kobieta, kiedy rodzi. Ręce odmawiały mu posłuszeństwa, lecz gdyby rozwarł palce, runąłby prosto na sterczące z wody skały.

Musiał jeszcze trochę wytrzymać. Musiał nieustannie powtarzać sobie w duchu, że u podnóża urwiska czekają jego ludzie w ultralekkiej, nadmuchiwanej łodzi, którą przemycili na pokładzie BA609. Że chłopcy będą wypoczęci i gotowi do działania. Że on i pozostali będą z nimi bezpieczni. Pod warunkiem że tam dotrze, że jeszcze trochę wytrzyma.

Twardy jak lód, czysty jak woda źródłana...

Sekundy wlokły się w nieskończoność. Słyszał już ich głosy, wiedział, że wciągnęli Novaka do łodzi.

Najważniejszy był teraz czas. Gdyby nawet Kalif miał jeszcze jakieś wątpliwości co do tego, którzy uciekli, zwisające ze skalnych rogów liny dopowiedziałyby mu całą resztę. A gdyby w ciągu kilku następnych minut liny te przecięli, troje ludzi roztrzaskałoby się o podnóże urwiska. Ich jedynymi sprzymierzeńcami były teraz ciemność i mgła, ich największym wrogiem upływ czasu.

Nadzieję na przeżycie dawał pośpiech: musieli jak najprędzej zejść z tych przeklętych lin i wskoczyć do łodzi.

W chwili, gdy mięśnie osiągnęły stan najwyższego wyczerpania, poczuł, że podtrzymują go czyjeś ręce i mógł wreszcie odrzucić to potworne narzędzie tortur. Usiadł na płaskim dnie łodzi i rozejrzał się. Było ich sześcioro. Novak. Donna Hedderman. Katsaris. Andressen. Honwana. Hennessy, zmiennik Honwany, czekał w samolocie.

Ryknął silnik i Sea Force 490 śmignęła na południe kilkaset metrów od brzegu, aby zaraz potem skręcić na wody otulone mgłą. Słaba widzialność, kurs poza zasięg ciężkiej artylerii - jak dotąd było nieźle.

- Są wszyscy - zameldował przez radio Andressen, żeby uprzedzić Hennessy'ego. - I pewna pani na gościnnych występach.

Daleko od nich w wodę pacnęło kilka kul. Były to pociski odpalone w desperacji, na oślep. Jednak mogły wyrządzić tyle samo szkód co pociski z broni starannie wycelowanej.

Odgłosy wystrzałów ucichły dopiero wówczas, gdy znaleźli się osiemset metrów od brzegu; tamci bez wątpienia strzelali dalej, choćby z czystej frustracji, jednak teraz wokół nich hałasowało tylko wzburzone morze.

Łódź to dźwigała się na falach, to opadała; jej potężny silnik walczył z pchanymi monsunem grzywaczami. Gdy brzeg Anury zniknął we mgle, Janson uświadomił sobie, jak niewielki jest ich gumowo-stalowy stateczek, jak mało znaczący, jak bardzo zagubiony na tym pustym, bezkresnym oceanie. Mimo to dla tych, którym zależało na ludzkości i jej losach, łódź i jej ładunek przedstawiał wartość wprost bezcenną.

Peter Novak patrzył w kierunku, w którym płynęli. Po tym, jak mocno zaciskał szczęki, Paul poznał, że Węgier powoli odzyskuje poczucie tożsamości, że przypomina sobie, kim naprawdę jest. Ale twarz miał wciąż pustą, bez wyrazu i widać było, że myślami błądzi gdzie indziej. We włosach błyszczały mu kropelki wody i drobiny morskiej piany, koszulę miał do cna przemoczoną. Od czasu do czasu przeczesywał ręką swoje gęste, krótko ostrzyżone włosy.

Donna Hedderman ukryła twarz w dłoniach i zwinęła się w kłębek na dnie łodzi. Janson wiedział, że jej rany będą się goić znacznie dłużej. Wpadli w ręce rebeliantów FWLK w róż-

nych okolicznościach i zarówno ich stan fizyczny, jak i psychiczny mógłby stanowić klasyczne studium kontrastu.

Ludzie Jansona też milczeli. Byli pogrążeni w myślach lub odtwarzali w pamięci kolejne fazy operacji.

Czy buntownicy Kalifa puszcza się za nimi w pościg? Możliwe, choć mało prawdopodobne. Dla niedoświadczonego wspinacza urwisko na Wzgórzu Adama było przeszkodą praktycznie nie do pokonania.

Łump, łump, łump - donośny łopot śmigieł dobiegł ich, zanim zobaczyli samolot. Dzieło ich od niego dobre czterysta metrów. Andressen zerknął na zegarek i pchnął dźwignię przepustnicy. Byli spóźnieni: ewakuacja zakładników trwała dłużej, niż zakładali. Łódź podnosiła się na falach i opadała jak kawałek drewna, lecz jej potężny silnik utrzymywał ją na stałym kursie. Wreszcie zobaczyli samolot. Stał na pływakach, wielkich, nadmuchiwanym cygarach z czarnej gumy. Pod wirującymi śmigłami burzyła się woda. Hennessy rozgrzewał urządzenia hydrauliczne.

Matowy kadłub maszyny zarysował się wyraźniej na tle pierwszych kosmyków różanego światła nad horyzontem. Kilka minut później kosmyki przekształciły się w coś nieokreślonego, lecz intensywniejszego i przypominały teraz widziany przez palce świetlisty łuk. Na niemal czystym już niebie powoli wstawał świt. Ciemny fiolet przechodził szybko i łagodnie w intensywny błękit. Świt nad Oceanem Indyjskim. Pierwszy świt, który Peter Novak widział od kilku dni.

Hennessy otworzył okno.

- Skąd tu baba? - krzyknął spiętym głosem.

- Słyszałeś kiedyś o Donnie Hedderman?

- Matko Przenajświętsza, Janson! Mieliliśmy ewakuować jedną osobę. Na drugą nie ma tu miejsca. Kurwa, i tak nie wiem, czy starczy nam paliwa. Weźmiemy na pokład siedemdziesiąt kilo więcej i nie dolecimy do lądowiska. Zerowa tolerancja, brachu.

- Rozumiem.

- To świetnie. To twój plan. Podaj mi namiary innego lądowiska.

Janson pokręcił głową.

- Innego, bezpiecznego, nie ma nigdzie w pobliżu.

- No i co teraz? - drażył Irlandczyk.

- Zostanę. Zbiornik łodzi jest prawie pełny, dopłynę do Sri Lanki. - Hennessy spojrzął na niego jak na wariata. - Popłynę na małym ciągu - dodał Paul - wykorzystując prądy. Wierz mi, wiem, co robię.

- Sri Lanka też nie jest bezpieczna, sam to mówiłeś.

- Mówiłem, że jest niebezpieczna dla Novaka. Dam sobie radę. Przygotowałem plan na wypadek czegoś takiego. - Błefował, choć nie do końca. Plan powinien wypalić, ale jak dotąd nie brał go pod uwagę.

Wepchnęli na pokład maszyny zadyszaną i zapłakaną Donnę Hedderman. Twarz miała zaczerwienioną, ubranie przemoczone.

- Panie Janson? - Mimo ryku silników, głos Novaka brzmiał czysto i dźwięcznie. - Jest pan bardzo dzielny człowiekiem. Nauczył mnie pan pokory, a proszę mi wierzyć, że pokorny jak dotąd nie byłem. - Uścisnął mu ramię. - Nigdy tego panu nie zapomnę.

Paul pochylił głowę, a potem spojrzął mu prosto w oczy.

- Lepiej niech pan zapomni. Szczerze mówiąc, chciałem pana o to prosić ze względu na bezpieczeństwo moich ludzi. - Odpowiedź godna zawodowca. A on, Janson, był zawodowcem.

- Jest pan dobrym człowiekiem - odrzekł po chwili milczenia Węgier. Katsaris pomógł mu wsiąść do samolotu i zszedł schodkami do łodzi.

Miał surową twarz.

- Ja popłynę. Ty leć z nimi.
 - Nie, mój przyjacielu - odparł Janson.
 - Proszę. Oni ciebie potrzebują. Jesteś dowódcą, tak? Co będzie, jeśli coś pójdzie nie tak?
 - Wszystko pójdzie jak trzeba. Novak jest w dobrych rękach.
 - Ponad sto osiemdziesiąt kilometrów na otwartym morzu w tej łupince to nie żarty - nie ustępował Katsaris.
 - Chcesz powiedzieć, że jestem na takie coś za stary?
- Theo posępnie pokręcił głową.
- Proszę cię, Paul. To ja powinienem płynąć. - Jego czarne włosy zaśniły w blasku poranka.
 - Nie, do ciężkiej cholery! - wybuchnął gniewnie Janson. - Ja rozdaję karty, ja obstawiam, ja przegrywam lub wygrywam. Żaden z moich ludzi nie będzie za mnie ryzykował, jasne? Koniec rozmowy. - To, co działo się w świecie tajnych operacji, zawsze było sprawą honoru, męstwa i dumy. Katsaris głośno przełknął ślinę i już nie protestował, lecz twarz wciąż miał niespokojną.

Janson przesunął wajchę przepustnicy, zmniejszając obroty silnika; musiał oszczędzać paliwo. Potem sprawdził kurs, posługując się kompasem na tarczy zegarka.

Dopłynięcie do południowo-wschodniego wybrzeża Sri Lanki powinno zająć mu trzy, cztery godziny. W Sri Lance znał kogoś, kto mógł podrzucić go ciężarówką na międzynarodowe lotnisko w Kolombo, jeśli tylko nie zajęły go ponownie Tamilskie Tygrysy. Plan nie był doskonały, lecz innego po prostu nie miał.

Mały, turkusowy samolot wzbijał się w powietrze jak po stopniach piramidy, by nabrać wysokości i skorzystać ze sprzyjających wiatrów.

Poranne niebo było teraz piękne, lazurowe, tak że maszyna wtapiała się w nie i powoli rozmywała w oddali. Jansona ogarnął błogi spokój.

Pozwolił sobie na krótką chwilę dumy. Prawie nie miał szans, mimo to odniósł triumfalne zwycięstwo. Peter Novak był wolny. Ci szaleńcy, mordercy, ci obłąkani fanatycy stracili swoją najcenniejszą zdobycz i zostali ostatecznie poniżeni. Paul odchylił się do tyłu i obserwował wzbijający się coraz wyżej i wyżej samolot, który z tej odległości przypominał żywe stworzenie, wzlatującego w niebo owada.

Wiedział, że podejście do wybrzeża Sri Lanki będzie wymagało uwagi i wysiłku; na tych zdradzieckich wodach roiło się od mielizn, łach grząskiego piachu. Ale z Kolombo miał bezpośredni samolot do Bombaju, a z Bombaju mógł wrócić bezpiecznie do Europy. Znał na pamięć prywatny numer Marty Lang, podobnie jak Katsaris. Na łodzi nie było radiostacji, lecz wiedział, że Theo weźmie sprawy w swoje ręce i że za kilka minut zawiadomi zastępczynię Novaka, iż misja zakończyła się pełnym sukcesem. Janson miał nadzieję, że to on ją zawiadomi, lecz Katsaris miał do tego pełne prawo: był niesamowity i walnie przyczynił się do końcowego triumfu.

O ile ich znał, zanim Theo i cała reszta zdążą dolecieć na Katchall, ci z fundacji Novaka zgromadzą tam małą flotyllę. Samolot wspinał się coraz wyżej i wyżej, majestatycznie szybując w przestworzach. Paul patrzył.

I nagle... Nie! To niemożliwe, to na pewno tylko złudzenie! Zobaczył silny, oślepiający błysk i pióropusz dymu. Poranne niebo rozświetliła ognista kula, a kilka sekund później dostrzegł kolejny błysk towarzyszący eksplozji paliwa. Do morza runęły szczątki kadłuba.

Nie! O Chryste, nie!

Sparaliżowało go na kilkanaście nieskończenie długich sekund. Zamknął oczy i zaraz je otworzył. Czy to tylko wyobraźnia?

O Boże. O Boże.

Takiej katastrofy nigdy dotąd nie widział. Poczuł, że ściska mu się serce, mocno, straszliwie, brutalnie. Theo. Theo Katsaris był dla niego prawie jak syn. Kochał go, a on kochał jego. „Ja popłynę. Ty leć z nimi”. Prosił go, a on - z dumy, z czystej próżności - odmówił.

Theo nie żył. Spłonął żywcem na jego oczach.

Jak w kalejdoskopie ujrział twarze pozostałych. Twarz małomównego, zrównoważonego Manuela Honwany. Twarz Andressena: lojalnego, metodycznego, niezawodnego i niezwykle łagodnego, człowieka często niedocenianego, gdyż pozbawionego szacunku dla samego siebie. Twarz Seana Hennessy'ego, którego wyciągnął z angielskiego więzienia tylko po to, żeby postać go na śmierć. I twarz Donny Hedderman, pechowej Amerykanki, która chciała uszczęśliwić innych na siłę.

Tych ludzi już nie było. Zginęli. Przez niego.

I wreszcie twarz Petera Novaka, największego humanisty nowego stulecia. Olbrzymia między karłami. Mediatora, rozjemcy. Człowieka, który kiedyś uratował mu życie. Człowieka, którego mieli ewakuować z Anury.

On też już nie żył.

Spłonął dziewięćset metrów nad powierzchnią Oceanu Indyjskiego.

Niezwykły triumf przerodził się o świcie w koszmar.

Janson wiedział tylko, że nie był to wypadek, że nie była to nagła awaria silnika. Świadczyła o tym podwójna eksplozja, wybuch, który o kilka jakże znaczących sekund wyprzedził eksplozję sprężonego paliwa. To, co zaszło, było rezultatem czyjegoś przebiegłego, przemysłowego działania. Przebiegłego i przemysłowego działania, na skutek którego zamordowano czterech wspaniałych ludzi, łącznie z najwspanialszym człowiekiem, jakiego znał świat.

Co się, do diabła, stało? Kto mógł to zaplanować? Kto i kiedy?

I dlaczego? Na miłość boską, dlaczego?

Opadł na dno łodzi, sparaliżowany smutkiem, bezsilnością, wściekłością i przez długą chwilę zdawało mu się, że leży w trumnie, że pierś ugniata mu wielki ciężar. Nie mógł oddychać. Krążąca w żyłach krew zgęstniała i skrzepła. Falujące morze kusiło lekkiem na wszelkie smutki -niebytem. Zbolały i udręczony, bardzo się bał i wiedział, jak położyć strachowi kres.

Ale to wyjście nie wchodziło w rachubę.

Chętnie oddałby życie za każdego z nich. Teraz to wiedział.

Ale nie, to wyjście nie wchodziło w rachubę.

Bo przeżył tylko on.

W jego umyśle uruchomił się nagle jakiś mechanizm napędzany lodowatą wściekłością. Podjął walkę z bandą fanatyków tylko po to, żeby ulec sile jeszcze bardziej szatańskiej. Wściekłość zmroziła mu duszę niczym ciekły azot. Emocje takie jak smutek czy gniew musiały ustąpić miejsca emocjom większego kalibru, absolutnemu, przemożnemu pragnieniu sprawiedliwości, i pragnienie to zabroniło mu ulegać emocjom niższym, bardziej prymitywnym. Przeżył tylko on. Dlatego tylko on mógł dowiedzieć się, co tak naprawdę zaszło.

I dlaczego.

Część 2

Rozdział 9

Waszyngton

Najważniejsze jest w tym wypadku zachowanie jak najściślej tajemnicy - powiedział przedstawiciel Agencji Wywiadowczej Obrony. Miał gęste, ciemne brwi, szerokie bary, wielkie, muskularne ręce i wyglądał na zwykłego robotnika, chociaż w rzeczywistości Douglas Albright był pracownikiem jak najbardziej umysłowym, człowiekiem metodycznym i skłonny do głębokiej zadumy. Miał doktorat z nauk politycznych i doktorat z teorii gier. - Po pierwsze, po drugie i po trzecie: musimy zachować tajemnicę. To absolutny priorytet. Chcę, żeby nikt nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Wątpliwości? Biorąc pod uwagę miejsce spotkania, brak jakichkolwiek wątpliwości w tej kwestii był niemalże nakazem. Gmach Meridian International Center stał przy Crescent Place, niedaleko Szesnastej ulicy na Meridian Hill. Beznamiętnie elegancki, neoklasycystyczny i wtopiony w neoklasyczną architekturę waszyngtońskich biur i urzędów, nie rzucał się w oczy. Jego dyskretny urok polegał na tym, że nie będąc własnością rządową- oficjalnie funkcjonował jako siedziba niedochodowej organizacji kulturalno-oświatowej - był miejscem, gdzie odbywały się ściśle prywatne - czytaj: ściśle tajne - spotkania rządowe. Jego główne wejście zdobiły piękne drzwi z rzeźbionego dębu; ó wiele większe znaczenie jednak miało wejście boczne, dzięki któremu przybywający na spotkanie dygnitarze mogli wejść do gmachu, nie zwracając na siebie uwagi. Meridian International Center stał ledwie półtora kilometra od Białego Domu, mimo to pewne spotkania, zwłaszcza międzyresortowe narady, które nie miały żadnego formalnego uzasadnienia, organizowano właśnie tutaj. Po naradach tych nie pozostawał praktycznie żaden ślad na papierze, w przeciwieństwie do spotkań w Białym Domu, Starym Gmachu Administracyjnym, w Pentagonie czy w budynku jakiegokolwiek agencji wywiadowczej, gdzie ślady takie musiały pozostać choćby ze względów bezpieczeństwa. Ale nie tu. Tu niczego nie nagrywano, niczego nie stenografowano, niczego nie rejestrowano. Jakby to czy inne spotkanie w ogóle się nie odbyło.

Pięciu mężczyzn o poszarzałych, znużonych twarzach, siedzących przy małym, okrągłym stole konferencyjnym, pracowało co prawda w pokrewnych branżach, jednak biorąc pod uwagę strukturę rządu amerykańskiego, w normalnych okolicznościach ludzie ci nie mieliby powodu się spotykać. Nie trzeba dodawać, że kwestia, którą przyszedli tu przedyskutować, dalece odbiegała od kwestii omawianych oficjalnie, okoliczności zaś były po prostu tragiczne: groził im prawdziwy kataklizm.

W przeciwieństwie do swych tytułarnych zwierzchników, ludzie ci nie należeli do pracowników mianowanych z ramienia określonych partii politycznych. Byli urzędnikami, którzy przygotowywali i analizowali programy daleko wykraczające poza kadencję tej czy innej administracji. Pracowali, współpracowali, składali raporty i odpowiadali przed innymi urzędnikami, tymi, którzy przychodzili i odchodzili, którzy zmieniali się co cztery lata, tymczasem horyzont ich odpowiedzialności - odpowiedzialności takiej, jak ją pojmowali - sięgał znacznie dalej.

Siedzący naprzeciwko Douglasa Albrighta zastępca dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego miał wysokie czoło i małą, szczerzą twarz. Był dumny z tego, że bez względu na okoliczności zawsze zachowuje kamienny spokój. Jednakże i ów kamienny spokój, i wpływająca z niego duma mogły lada chwila prysnąć.

- Zachowanie ściślej tajemnicy, tak - powiedział cicho. - Charakter dyrektywy jest oczywisty. W przeciwieństwie do charakteru Jansona.

- Paul Elie Janson... - myślał na głos podsekretarz stanu, który - przynajmniej na papierze - był dyrektorem Biura Wywiadu i Badań Departamentu Stanu. Od dłuższego czasu milczał, odezwał się dopiero teraz. Atletycznie zbudowany, o jasnych, zmierzwionych włosach, miał gładką twarz i nosił okulary w grubych, czarnych oprawkach, które dodawały mu powagi. Zebrani przy stole wiedzieli, że podsekretarz „przeżył” wielu prezydentów, że poradzi: sobie z każdą przeszkodą, dlatego uważnie wsłuchiwali się w jego słowa. Ciekawiło ich, jak ustosunkuje się do omawianej sprawy. - Jak doskonale wiecie, był jednym z nas. Nie zdążyliśmy tych dokumentów zredagować. Przepraszam. Nie było czasu i po prostu sięgnęliśmy po jego akta. Tak czy inaczej, ogólne wrażenie jest oczywiste.

- Janson to jedna z tych waszych maszyn do zabijania – mruknął Albright, łypiąc na niego spode łba. Chociaż pełnił wysoką funkcję administracyjną, większą część życia pracował w wydziale analiz i analitykiem do końca pozostał. Wrodzona nieufność, jaką odczuwali ludzie z jego branży do pracowników wydziału operacyjnego, była częstokroć uzasadniona. - Produkuje tam bezduszne maszyny. Wypuszczacie je na wolność, a potem my musimy po nich sprzątać. Nie rozumiem, w co się ten człowiek bawi.

Podsekretarz stanu poczerwieniał z gniewu.

- A czy wziął pan pod uwagę, że to ktoś może bawić się nim? - Przeszył go spojrzeniem. - Wyciąganie pochopnych wniosków bywa niebezpieczne. Nie wierzę, żeby Janson zdradził.

- Rzecz w tym, że nie jesteśmy tego pewni - odrzekł po chwili namysłu Sanford Hildreth z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i spojrzął na siedzącego obok młodego mężczyznę, którego ochrzczono mianem cudownego dziecka, gdy niemal w pojedynkę zmodyfikował główną bazę danych Centralnej Agencji Wywiadowczej. - Kaz, czyżbyśmy coś pominęli?

Kazuo Onishi pokręcił głową. Ukończył Caltech, wychował się w południowej Kalifornii, mówił z lekkim akcentem z Doliny i wyglądał na ostatnią fajtłapę. - Mogę tylko powiedzieć, że zarejestrowaliśmy kilka nienormalnych aktywności i odnotowaliśmy próby spenetrowania urządzeń ograniczających dostęp sieci zewnętrznych do sieci wewnętrznych. Nie udało mi się jednak namierzyć tego, kto to robi. Przynajmniej na razie.

- Powiedzmy, że masz rację, Derek - kontynuował Hildreth. - W takim razie cholernie facetowi współczuję. Ale nic, powtarzam, absolutnie nic nie może nas zdradzić. Ani nas, ani naszego programu. Douglas ma rację: najważniejszą sprawą jest zachowanie jak najściślejszej tajemnicy. Najważniejszą i niepodważalną. W przeciwnym razie Pax Americana szlag trafi. Nie ma znaczenia, że ten człowiek myśli teraz to, co myśli. Na pewno wiemy tylko jedno: ten cały Janson nie ma zielonego pojęcia, w co wdepnął. - Podniósł filiżankę i wypił łyk kawy z nadzieją, że tamci nie zauważą, jak bardzo drżą mu ręce. Odstawił filiżankę na spodek. - I nigdy się tego nie dowie. - Zabrzmiało to bardziej jak oświadczenie niż spostrzeżenie.

- To jestem w stanie zaakceptować - odrzekł przedstawiciel Departamentu Stanu. - Czy zawiadomiono już Charlotte? - Charlotta Ainsley była doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego i ich głównym łącznikiem w Białym Domu.

- Zawiadomimy ją po południu - odrzekł przedstawiciel Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. - Czy widzą panowie jakieś inne wyjście?

- W tej chwili? Ten człowiek wszedł na ruchome piaski. Nie pomogliśmy mu nawet, gdybyśmy chcieli.

- Byłoby łatwiej, gdyby nie stawiał oporu - zauważył analityk z Agencji Wywiadowczej Obrony.

- Bezsprzecznie - odparł Derek Collins. - Ale jeśli go znam, nie ustąpi bez walki. Tak, będzie walczył, i to do ostatniej kropli krwi.

- W takim razie trzeba podjąć środki nadzwyczajne - oznajmił analityk. - Jeśli program weźmie w łeb, jeśli na jaw wyjdzie chociaż jeden procent tego, co robimy, my natychmiast pójdziemy na dno, a zniszczeniu ulegnie wszystko to, co najcenniejsze. Wszystko. Absolutnie

wszystko. Historia cofnie się o dwadzieścia lat, ale to jeszcze nic, to, że tak powiem, betka, najlepszy scenariusz. Ten najgorszy to wybuch trzeciej wojny światowej. Tyle tylko, że tym razem my tę wojnę przegramy.

- Biedak - powiedział zastępca dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, przeglądając akta Jansona. - To go przerasta.

Podsekretarz stanu chciał wzruszyć ramionami, ale się powstrzymał.

- Nas też - mruknął ponuro.

Ateny

Grecy nazywają to *nefos*. Smog: dar zachodniej cywilizacji dla kolebki jej narodzin. Tkwiąc w pułapce otaczających go gór, opadał bardzo nisko, nasączając powietrze kwasem, przyspieszając proces niszczenia zabytków, podrażniając oczy i płuca mieszkańców tego czteromilionowego miasta. W złe dni otulał Ateny jak cuchnący pled. A ten dzień był zdecydowanie zły.

Janson przyleciał tu bezpośrednio z Bombaju i lądując na międzynarodowym lotnisku Ellinikón, czuł się jak żywy trup. W środku był pusty, martwy, wypalony. „Tam gdzie zwykli ludzie mają serce, ty masz kawał granitu”. Gdyby to była prawda.

Wielokrotnie dzwonił do Marty Lang, ale na próżno. Doprowadzało go to do szału. Twierdziła, że pod numerem, który mu dała, złapie ją zawsze i wszędzie, o każdej porze dnia i nocy, że telefon zostanie natychmiast przełączony na jej biurko, na prywatną linię, a jeśli nie odbierze go po trzech sygnałach, przechwyci go jej komórka. Podkreśliła, że numer tej komórki zna jedynie troje ludzi. Mimo to za każdym razem w słuchawce słyszał tylko szum, nic więcej. Dzwonił do przedstawicielstw fundacji Novaka w Nowym Jorku, Amsterdamie i Bukareszcie. „Pani Lang jest w tej chwili nieosiągalna”, informowali go urzędnicy i sekretarki o miękkich, łagodnych głosach. Janson nie ustępował. To bardzo pilne. Prosiła go o telefon. Jest jej bliskim przyjacielem. To sprawa najwyższej wagi. Dotyczy samego Petera Novaka. Próbował wszystkiego, każdej taktyki i nie posunął się nawet o krok do przodu.

„Wiadomość zostanie przekazana”, powtarzano mu mistrzowsko łagodnym i jednocześnie bezdusznym tonem głosu. Nie mogli jednak przekazać jej wiadomości prawdziwej, nie mogli przekazać tej strasznej, tej jakże potwornej prawdy. Bo co im mógł powiedzieć? Że Novak nie żyje? Wyczuł, że ci, z którymi rozmawiał, nic o tym nie wiedzą, a on wołał ich nie uświadamiać.

Przechodząc przez wschodni terminal, ponownie usłyszał wszechobecny głos wszechobecnej amerykańskiej piosenkarki, gwiazdy muzyki pop, która śpiewała wszechobecny przebój z wszechobecnego amerykańskiego hitu filmowego. Oto, czego doświadczał współczesny pasażer: wszędzie otaczała go tożsamość, ten sam kulturowy pęcherz.

„Wiadomość zostanie przekazana”.

Kurwa! Gdzie ta baba jest? Ją też zabili? A może - myśl ta cięła go po oczach jak brzytwa - a może Marta Lang należy do jakiegoś koszmarnego, tajemnego spisku? Czyżby Novaka zabił członek lub członkowie jego własnej organizacji? Nie mógł tej hipotezy całkowicie wykluczyć, chociaż pociągała za sobą straszliwy wniosek, że on był w tym spisku pionkiem, narzędziem. Że zamiast uratować kogoś, kto kiedyś uratował życie jemu, po prostu go zabił. Nie, to czysty obłęd! To nie miało żadnego sensu. Po co zabijać człowieka skazanego na śmierć?

Wsiadł do taksówki; chciał dojechać do Metsu na południowy-zachód od Stadionu Olimpijskiego. Czekало go trudne zadanie. Musiał powiedzieć Marinie Katsaris, co się stało, musiał spojrzeć jej w twarz i perspektywa ta ciążyła mu jak olbrzymie brzemie.

Z lotniska do centrum Aten jest ponad dziewiętnaście kilometrów i siedząc niewygodnie w ciasnej taksówce - miał za mało miejsca na nogi - znużony rozglądał się wokoło. Autostrada prowadząca z Glyfada, gdzie leżało lotnisko, na rozległe ateńskie wzgórza przypominała taśmociąg zastawiony samochodami, które zasilały spalinami nisko wiszącą i cuchnącą chmurę dwutlenku siarki.

Zauważył małą dwójkę na liczniku i w tej samej chwili spotkał się wzrokiem z kierowcą, przysadzistym mężczyzną, którego policzki pokrywał natrętny ciemny zarost, który nigdy nie daje się całkowicie usunąć.

- Wieziemy kogoś w bagażniku?

- W bagażniku? - powtórzył wesoło kierowca, dumny ze swej angielszczyzny. - Ha! Kiedy sprawdzałem, nikogo tam nie było! Czemu pan pyta?

- Bo na tylnym siedzeniu też nikogo nie ma, a licznik jest nastawiony na podwójną opłatę.

- Przepraszam, nie zauważyłem - mruknął taksjarski i uśmiech zniknął mu z twarzy. Spochmurniały, przestawił licznik na jedynekę, co oznaczało, że nie tylko zarobi mniej, ale i straci to, co zdążył zarobić do tej pory.

Janson wzruszył ramionami. Stara sztuczka ateńskich kierowców. Tym razem świadczyła tylko o jednym, o tym, że musi wyglądać na wyczerpanego, na kompletnie wyplutego, w przeciwnym razie taksjarski nie próbowałby go tak prymitywnie oszukać.

Ruch był tak duży, że ostatnie dwa kilometry przejechali w czasie o wiele dłuższym niż poprzednie dziesięć. Ulice Metsu wiły się wśród stromych wzgórz, a przedwojenne domy - większość z nich zbudowano, gdy w Atenach mieszkało znacznie mniej ludzi - nosiły znamiona czasów starszych i dużo miłszych niż obecne. W kolorze piasku, niemal wszystkie miały kryte dachówką dachy i czerwone okiennice. Na podwórkach rosły doniczkowe kwiaty i prawie na każdym widać było zewnętrzne spiralne schody. Dom Katsarisów stał przy Voulgareos, wąskiej uliczce niedaleko stadionu.

Janson zapłacił taksówkarzowi dwa tysiące pięćset drachm, zadzwonił do drzwi i czekał z cichą nadzieją, że nikt mu nie otworzy.

Ale drzwi otworzyły się bardzo szybko i stanęła w nich Marina, dokładnie taka, jaką ją pamiętał, może nawet piękniejsza. Miała wydatne kości policzkowe, miodową cerę, spokojne, brązowe oczy i proste, jedwabiste, czarne jak smoła włosy. Brzuch ledwo było widać, a jeśli nawet było, mógł uchodzić za zmysłową część jej kształtnego, bujnego ciała, zwłaszcza że osłaniała go luźną, jedwabną bluzą.

- Paul! - wykrzyknęła radośnie. Spojrzała mu w oczy i cała radość momentalnie wyparowała. Marina zbladła tak bardzo, jakby z policzków i czoła odpłynęła jej cała krew. - Nie - powiedziała cicho.

Janson nie odpowiedział, lecz jego mina i wymizerowana, zrozpaczona twarz mówiły wszystko.

- Nie - szepnęła Greczynka.

Zadrżała. Jej twarz wykrzywił niewysłowiony smutek, a potem gniew. Gdy wszedł za nią do środka, odwróciła się gwałtownie i uderzyła go w twarz. Uderzyła raz, drugi i trzeci, biorąc szeroki zamach i wymierzając razy, jakby chciała zabić prawdę, która zburzyła jej świat.

Bolało go, lecz nie tak bardzo jak rozpacz i gniew, który ciosy te sprowokował. W końcu chwycił ją za rękę i przytrzymał.

- Marina - powiedział głosem chrapliwym i smutnym. - Przestań, proszę.

Popatrzyła na niego tak, jakby siłą woli chciała sprawić, żeby zniknął wraz ze straszną nowiną, którą jej przyniósł.

- Marina, nie wiesz nawet, jak mi przykro. - W takich chwilach wypowiada się zwykle frazesy, lecz to zdanie frazesem nie było. Paul mocno zacisnął powieki, szukając słów pocie-

szenia. - Theo był bohaterem, do samego końca. - Słowa te zabrzmiały głucho i pusto, gdyż smutku, jaki dzielił z jego żoną, nie dało się wyrazić. - Nie ma drugiego takiego jak on. Widziałem, jak robił rzeczy...

- *Mpa! Thee mou.* - Wyszarpnęła mu się i wybiegła na balkon z widokiem na małe podwórce. - Czy ty nic nie rozumiesz? Te rzeczy już mnie nie obchodzą. Mam gdzieś wasze bohaterstwo, waszą głupią zabawę w kowbojów i Indian. To nie ma dla mnie żadnego znaczenia!

- Kiedyś miało.

- Tak, bo kiedyś też się w to bawiłam.

- To, co zrobiłaś w Bosforze, było niesamowite. - Operacja miała miejsce przed sześcioma laty, niedługo przed tym, gdy Marina zrezygnowała ze służby w greckim wywiadzie. Przechwyciła transport broni prze znaczonej dla 17 Noenwri, grupy terrorystycznej 17 Listopada, a tych, którzy tę broń przemycali, zatrzymała. - Moi znajomi z wywiadu wciąż się tym zachwycają.

- Tak, a potem zadałam sobie pytanie, po co to wszystko zrobiłam? Jakie to miało znaczenie?

- Uratowałam życie wielu ludziom.

- Czyżby? Jeden mały transport broni? Nazajutrz wysłali następny, inną trasą. Dzięki temu ceny stale rosną, handlarze coraz lepiej zarabiają.

- Theo widział to inaczej - zauważył łagodnie Janson.

- Tak, masz rację, on widział to inaczej. A teraz nie zobaczy już nic. - Załamał jej się głos.

- Winisz mnie za to.

- Winie za to siebie.

- Nie, Marino, niepotrzebnie.

- To ja pozwoliłam mu jechać, tak? Gdybym się uparła, zostałby. Myślisz, że nie? Zostałby. Ale nie, nie nalegałam. Bo nawet gdyby został w domu tym razem, za tydzień, za miesiąc byłoby inne zadanie, a potem jeszcze inne, i jeszcze, i tak bez końca. Gdyby stale odmawiał, to by go zabiło. Wiem, Theo był dobrym fachowcem. Z tego właśnie był najbardziej dumny. Jak mogłabym mu to odebrać?

- Wszyscy dokonujemy jakichś wyborów.

- Jak mogłam przekonać go, że w innych rzeczach też może być wspaniały? Że jest dobrym człowiekiem. Że będzie dobrym ojcem.

- Był dobrym przyjacielem.

- Był, dla ciebie, ale czy ty byłeś dobrym przyjacielem dla niego?

- Nie wiem.

- On cię kochał, Paul. Dlatego pojechał.

- Rozumiem - odrzekł głucho Janson. - Rozumiem...

- Świata poza tobą nie widział.

Paul długo nie odpowiadał.

- Tak mi przykro... - wykrztusił wreszcie.

- Ty nas ze sobą poznałeś. A teraz rozdzieliłeś nas w jedyny sposób, w jaki można nas było rozdzielić. - Spojrzała na niego błagalnie i nagle tama pękła. Marina załkała, zaskowyczała jak zwierzę, dziko i niepohamowanie. Przez kilka minut szloch wstrząsał nią jak silne konwulsje. Siedziała na czarnym krześle z laki w domowym zaciszu, pośród sprzętów, które razem zgromadzili: cienki dywan, jasna, świeżo odnowiona podłoga, mały, uroczy domek, gdzie wraz z mężem rozpoczęła nowe życie - gdzie razem niecierpliwie czekali na przybycie maleństwa. Ta przekłeta, rozdarta wojną wyspa na Oceanie Indyjskim, myślał Janson, odebrała im synów: jemu Theo, Theo syna, który miał się dopiero narodzić.

- Nie chciałam, żeby jechał - szepnęła. - Nigdy. Ani razu. - Miała zaczerwienioną

twarz, a gdy otworzyła usta, między jej spuchniętymi wargami zalśniła niteczka śliny. Gniew dodawał jej sił. Gdy minął, przyszło załamane.

- Wiem - odrzekł z wilgotnymi oczyma. - Wiem. - Widząc, że Marina osuwa się na podłogę, objął ją mocno i podtrzymał. - Marino... - Zabrzmiało to niemal jak prośba, jak błaganie. Roztaczający się z balkonu widok był groteskowo słoneczny, a pobekiwanie klaksonów i przed wieczorny uliczny hałas działał jak kojący balsam. Sznur samochodów, morze powracających z pracy ludzi, mężczyzn, kobiet, synów i córek - geometria domowego życia.

Gdy na niego spojrzała, oczy miała pełne łez.

- Uratował kogoś? Ocalił komuś życie? Powiedz, że nie zginął na próżno. Powiedz, że uratował komuś życie. Powiedz, Paul. Powiedz!

Janson siedział bez ruchu w wiklinowym fotelu.

- Jak to się stało? - spytała, Jakby znajomość szczegółów mogła pomóc jej zachować zdrowe zmysły.

Upłynęła co najmniej minuta, zanim zdołał wziąć się w garść. I opowiedział jej. Wszystko. Ostatecznie po to tu przyjechał. Poza tym tylko on wiedział, jak zginął Theo. Mówiąc, zdał sobie sprawę, jak mało zna faktów, jak mało fakty te wyjaśniają. Jak wiele jest pytań, na które nie zna odpowiedzi. Wiedział też, że poznaje, choćby miał zginąć.

Hotel Spyrios, strzelający w niebo kilka ulic od placu Syntagma, zbudowano w nijakim, kosmopolitycznym stylu. Wyłożone marmurem ściany wind, wykończone mahoniem drzwi, meble, skromne i funkcjonalne, lecz zaprojektowane w taki sposób, żeby dobrze wyglądały w lśniących broszurach. Ot, po prostu zwykły międzynarodowy hotel.

- Pański pokój będzie gotowy za pięć minut - powiedział recepcjonista, starannie dobierając słowa. - Zechce pan łaskawie usiąść i zaczekać. Pięć minut, nie dłużej.

Pięć minut to w Atenach co najmniej dziesięć, lecz w końcu dostał kartę i pojechał na ósme piętro. Znajomy rytuał: włożyć kartę do czytnika, *zaczekać*, aż zamruga zielone światelko, przekręcić klamkę, pchnąć ciężkie drzwi.

Cały czas czuł się tak, jakby dźwigał na sobie wielki ciężar. Bolały go ramiona, bolały plecy. Rozmowa z Mariną była straszliwie bolesna, tak jak tego oczekiwał. Dotkliwa strata połączyła ich, lecz tylko na chwilę: Theo zginął przez niego - nie sposób było od tego uciec - więc gdy tylko został sam, ogarnął go jeszcze większy smutek. Nie, ona nigdy tego nie zrozumie. Nie zrozumie, jak bardzo śmierć Theo go wypaliła, jak bardzo nim wstrząsnęła, jak wielkie wzbudziła w nim wyrzuty sumienia.

Wchodząc do środka, poczuł stęchły zapach potu. Sprzątaczką. Pewnie przed chwilą stąd wyszła. I zaciągnięte zasłony. O tej porze? Roztargniony i wycieńczony, nie skojarzył rzeczy, które powinien był skojarzyć. Smutek przesłonił mu świat niczym gaza.

Siedzącego w fotelu mężczyznę zauważył dopiero wtedy, gdy oczy przywykły do mroku.

Zesztywniał, ale już ułamek sekundy później sięgnął po broń, której... nie miał.

- Koję lat, Paul.

Przymilny ton głosu, staranna angielszczyzna, leciutki, grecki akcent. Nikos Andros.

Zalała go fala wspomnień, głównie przykrych.

- Odwiedzasz Ateny i nie sprzedasz mnie o swoim przyjeździe? Jestem urażony. - Andros wstał i podszedł bliżej. - Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Myślałem, że wypijemy razem po kieliszku ouzo. Za stare, dobre czasy. Nie?

Pulchne policzki, małe, rozbiegane oczy: Nikos Andros należał do innych czasów, do innej epoki. Wychynał jak z szuflady, którą Janson zamknął, porzucając służbę w Konsularnym Wydziale Operacyjnym.

- Nie obchodzi mnie, jak tu wszedłeś - odparł beznamiętnie. - Spytam cię tylko o jedno:

jak chcesz stąd wyjść. Najszybciej byłoby przez balkon. To tylko osiem pięter.

- To tak rozmawia się z przyjacielem? - Andros miał czarne, bardzo krótko ostrzyżone włosy. Zawsze nosił kosztowne ubrania, starannie dopasowane i pedantycznie wyprasowane. Teraz był w czarnej, kaszmirowej marynarce, granatowej jedwabnej koszuli i w butach z mięciutkiej cielęcej skóry. Janson zerknął na jego rękę. Andros miał długi na centymetr paznokcie: był to stary zwyczaj ateńskich dandysów, którzy demonstrowali w ten sposób niechęć do pracy fizycznej.

- Z przyjacielem? Robiliśmy razem interesy, Nikos. Interesy. Ale to już przeszłość. Wątpię, czy masz do sprzedania coś, co chciałbym kupić.

- Nie kupujesz? Nie sprzedajesz? Widać nie pora, pewnie coś cię goni. Nieważne. Ale nie, dzisiaj uprawiam działalność dobroczynną i ni czego nie sprzedaję. Przyszedłem, żeby przekazać ci pewną wiadomość. Absolutnie gratis.

W Grecji znano go jako opiekuna zabytków narodowych, jako kuratora Muzeum Archeologicznego w Pireusie i bojownika o czystość środowiska naturalnego; często cytowano jego wypowiedzi, nawołujące do zwrotu marmurów z Partenonu. Mieszkał w neoklasycynej willi w Kifissia na zielonych przedmieściach Aten, na zboczu Pendeli, i był barwną postacią wśród ateńskiej elity. Dzięki swemu koneserstwu, erudycji i znajomości archeologii klasycznej był wielce cenionym gościem w salonach ludzi bogatych i wpływowych w całej Europie. To, że żył wystawnie i od czasu do czasu robił niejasne aluzje do rodzinnej fortuny, cieszyło się dużym uznaniem wśród Greków, którzy zawsze szanowali i podziwiali *anthropos kales*, ludzi dobrze urodzonych.

Janson wiedział, że ten elegancki, zawsze wymuskany kurator jest synem właściciela sklepu z Salonik. Wiedział też, że jego reputacja, na którą ciężko pracował, miała wielkie znaczenie podczas zimnej wojny, gdy Andros był tajnym informatorem. W Atenach zbiegały się wówczas nici najważniejszych siatek wywiadowczych CIA i KGB: to tu trafiali przemyślnicy przez Bosfor uciekinierzy, to tu inicjowano liczne operacje, w które zaangażowane były sąsiadujące z Grecją kraje Azji Mniejszej. Ale Andros nie mieszał się w sprawy supermocarstw; był kimś w rodzaju hurtownika, a hurtownik faworyzuje klienta, który daje najwięcej.

- Jeśli masz coś do powiedzenia - odparł Janson - to mów i zjeżdżaj stąd.

- Rozczarowujesz mnie, Paul. Zawsze miałem cię za człowieka taktownego, światowego, dobrze wychowanego. Zawsze cię za to szanowałem. I z przyjemnością robiłem z tobą interesy.

Interesy z Androsem były dla Jansona prawdziwym koszmarem. O wiele przyjemniej i prościej robiło się je z tymi, którzy znając wartość towaru, woleli wymienić go na inny, równie wartościowy towar. Natomiast Androsowi zawsze trzeba było schlebiać, zawsze trzeba było mu się przymilać, nie tylko płacić. Paul dobrze pamiętał jego natrętne prośby o rzadkie gatunki ouzo. O prostytutki, młode kobiety, czasami nawet o młodych mężczyzn, którzy towarzyszyli mu w najmniej odpowiednich momentach. Gdy załatwił swoje, przestawało go obchodzić, czy naraża na niebezpieczeństwo innych, czy przez jego nierozwagę nie ucierpi ta czy inna siatka.

Nikos Andros dorobił się na zimnej wojnie. Ot tak, po prostu. Janson takimi ludźmi pogardzał i chociaż nie mógł sobie pozwolić na jawne okazywanie tej pogardy, czasy wspólnych interesów już dawno minęły.

- Kto cię przysłał?

- Ojej. Zachowujesz się jak *koinos eglimatias*, pospolity zbir: zagrażasz i sobie, i innym. Coś ci powiem. Twoi znajomi dzielą się na dwie grupy: na tych, którzy uważają, że po Wietnamie bardzo się zmieniłeś, i na tych, którzy tak nie uważają.

Janson zeszywniał.

- Bzdura. - Palila go twarz.

- Czyżby. Narobiłeś sobie wrogów. Wtedy, w tamtych czasach. Nie którzy z nich zajęli

się tym samym co ty. Niektórzy do dziś dnia ci nie wybaczyli. Dużo podróżuję i podczas tych podróży spotygam czasem ludzi, którzy przy kieliszku ouzo otwarcie przyznają, że zawsze uważali cię za potwora. Podobno obciążylesz swego dowódcę zeznaniami, za które oskarżono go o zbrodnie wojenne i postawiono przed plutonem egzekucyjnym, chociaż sam robiłeś dokładnie to samo co on. Masz ciekawe poczucie sprawiedliwości. Zamiast w siebie, zawsze celujesz w innych...

Janson podszedł bliżej, położył mu rękę na piersi i przyparł go mocno do ściany. Głowę wypełnił mu ogłuszający huk, ale uciszył go siłą woli. Musiał się skupić. Musiał pomyśleć.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Andros?

W oczach Greka dostrzegł błysk czegoś w rodzaju nienawiści i zdał sobie sprawę, że pogarda, jaką do niego odczuwa, nie jest pogardą nieodwzajemnioną.

- Że ktoś chce cię zobaczyć. Twój byli pracodawcy.

- Czyżby.

- Miałem ci to przekazać. Miałem ci powiedzieć, że chcą z tobą pogadać. Że chcą, żebyś się zgłosił.

„Chcą, żebyś się zgłosił...” Andros znał te słowa aż za dobrze, Janson też. Zgłosić się, zameldować, stawić się w kwaterze głównej na przesłuchanie, na rozmowę, na pogawędkę, na cokolwiek, co tamci uznali za konieczne.

- Bzdura - powtórzył. - Gdyby ci z Konsularnego Wydziału Operacyjnego chcieli, żebyś nawiązał z nimi kontakt, nie przysyłałoby tu rozpieszczonego socjopaty. Jesteś chłopcem na posyłki i możesz pracować dla każdego. Ale wiesz co? Chętnie poznam nazwisko twojego prawdziwego szefa.

- Chłopcem na posyłki, powiadasz? Posłańcem?

- Zawsze nim byłeś.

Andros uśmiechnął się i wokół jego oczu wykwitła sieć drobnych zmarszczek.

- Znasz tę starą legendę? W V wieku przed naszą erą Persowie zajęli nadmorskie miasto o nazwie Maraton. Posłańcowi imieniem Phidippides rozkazano biec do Aten i sprowadzić posiłki. Ale zanim pobiegł, ateńska armia, czterokrotnie mniejsza od perskiej, przypuściła niespodziewany, iście samobójczy atak na wroga i odniosła zdumiewające zwycięstwo. Poległy tysiące Persów. Pozostali uciekli na okręty, żeby zaatakować Ateny od strony morza. Trzeba było wysłać do miasta tajną wiadomość o wielkim zwycięstwie i o nadciągającej flocie. Ponownie wezwano Phidippidesa i ponownie powierzono mu ważną misję; pamiętaj, że żołnierz ten miał na sobie ciężką zbroję, że pół dnia spędził na polu walki. Ale nieważne. Przez całą drogę biegł, biegł najszybciej, jak mógł. Przebiegł ponad czterdzieści dwa kilometry, przekazał wiadomość, upadł i zginął. Sam widzisz, że grecki posłaniec to nie byle kto. Nie ma to jak tradycja.

- Niespodziewane ataki i tajne wiadomości. Już rozumiem, dlaczego tak ci się to podoba. Ale nie odpowiedziałeś na pytanie, Andros. Dlaczego akurat ty?

- Dlaczego? - Grek rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. - Dlatego, mój przyjacielu, że byłem pod ręką. Myślę, że to samo powiedział przed śmiercią nasz biedny Phidippides. Bo byłem pod ręką. Nie, Paul, ty nic nie rozumiesz. Tym razem wiadomość wysłał ten, kto mógł namierzyć jej adresata. Wypuszczono tysiące gołębi i tak się przypadkiem zło żyło, że ten gołąb dotarł do celu. Wygląda na to, że gdy tu przyjechałeś, twoi starzy koledzy zgubili ślad. No i pomyśleli o mnie, o moich koneksjach. Mam znajomych prawie w każdym hotelu, w każdej tawernie, w każdej kafejce i w każdym barze. Rozpuszczam wieści i po jakimś czasie ktoś się do mnie odzywa. Myślisz, że amerykański attache załatwiłby to równie szybko i skutecznie? - Andros odsłonił w uśmiechu rząd równych, ostrych, niemal drapieźnych zębów. - Ale na twoim miejscu mniej przejmowałbym się pieśniarką, a bardziej samą pieśnią. Widzisz, twoi byli pracodawcy chcą, żebyś wyjaśnił im pewne sprawy...

- Jakie sprawy?

Andros westchnął, ciężko i teatralnie.

- Powstały wątpliwości co do twoich ostatnich.. .poczynañ. Wątpliwości, które wymagają natychmiastowego wyjaśnienia. - Wzruszył ramionami. - Posłuchaj, ja nic nie wiem. Powtarzam tylko to, co mi kazano. Jestem jak stary aktor z *epitheorisi*, z naszych seriali, oper mydlanych...

Janson wybuchnął szyderczym śmiechem.

- Łżesz, Andros, łżesz jak pies.

- Jesteś niegrzeczny.

- Moi byli chlebodawcy nie zaufaliby komuś takiemu jak ty, to wykluczone.

- Tylko dlatego, że jestem *outheteros*? Bezstronnym outsajderem? Pamiętaj, że ja też się zmieniłem, tak samo jak ty. Jestem innym człowiekiem.

- Ty innym człowiekiem? - prychnął Janson. - Nie, Andros, to nie możliwe: ty nie jesteś nawet człowiekiem.

Greki zeszywniał.

- Twoi byli pracodawcy... są teraz moimi.

- Znowu łżesz.

- Nie. My, Grecy, jesteśmy ludźmi wychowanymi na agorze, na rynku. Ale nie ma rynku bez konkurencji. Wolny rynek, wolny handel, co? Tak głoszą gołosłowne deklaracje waszych *politicos*. W ciągu ostatniego dziesięciolecia świat bardzo się zmienił. Konkurencja była kiedyś bardzo ożywiona. Teraz macie rynek tylko dla siebie, zawładnęliście całym. Opanowaliście cały rynek i mówicie o wolnym handlu. - Andros prze krzywił głowę. - Więc cóż można w tej sytuacji zrobić? Moi niegdyś moi wschodni klienci otwierają portfele, ale wylatują z nich tylko zakurzone ćmy. Ich jedyną troską jest teraz to, czy zimą nie zabraknie w Moskwie węgla do opalania mieszkań. Jestem dla nich luksusem, na który nie mogą już sobie pozwolić.

- W KGB jest wielu twardogłowych, którzy chętnie zapłaciliby za twoje usługi.

- Ale jaki jest pożytek z twardogłowego bez twardej waluty? Przychodzi czas, kiedy trzeba wybierać, prawda? Pamiętam, że często to powtarzałeś. Ja już wybrałem. Wybrałem... Wy, Amerykanie, macie na to urocze określenie: zielone.

- Zielone interesowały cię od urodzenia. Tylko im byłeś wierny.

- Ranisz mnie, Paul. - Andros uniósł brwi. - Czuję się jak tania prostytutka.

- W co ty właściwie grasz? Wmawiasz ludziom, że jesteś teraz na liście płac amerykańskiego wywiadu?

Greki gniewnie błysnęli oczami.

- Myślisz - spytał z niedowierzaniem - że rozpowiadałbym przyjacielom, że pracuję dla tych mdłych jankesów? Myślisz, że Greki by się czymś takim chwalił?

- Czemu nie? Byłbyś kimś, byłbyś figurą.

- Nie, Paul. Byłbym *Americanofilos*, sługusem Wujy Sama.

- Co w tym złego?

Andros ze współczuciem pokręcił głową.

- Oszukujesz się, Paul. Kto jak kto, ale ty? Człowiek światowy? Nie wierzę. Grecy nienawidzą Ameryki nie za to, co Ameryka robi. Grecy nienawidzą jej za to, czym jest. Nikt tu Wujy Sama nie lubi. Ale twoja dziewicza niewinność nie powinna mnie w sumie dziwić. Wy, Amerykanie, nigdy nie mogliście pojąć, że ktoś was może nie znosić. Chcecie, żeby was kochano, i nie możecie zrozumieć, że kocha was tak niewielu. Potrafisz zadać sobie pytanie, dlaczego tak bardzo was nie lubią, czy cię to przerasta? Idzie sobie człowiek w wielkich, ciężkich butach i dziwi się, że mrówki go nienawidzą. Wiesz, dlaczego go nienawidzą? Bo człowiek ten nic do nich nie czuje!

Janson zmarszczył czoło. Jeśli Andros naprawdę dogadał się z amerykańskim wywiadem, nie zrobił tego tylko po to, żeby móc się chwalić, to pewne. Skoro nie tylko po to, to po co jeszcze?

- Tak czy inaczej - kontynuował Andros - powiedziałem twoim starym kolegom, że łączą nas bardzo serdeczne stosunki. Że lubimy się i przyjaźnimy od wielu, wielu lat.

Tak, to do niego podobne: erudycja, wymyślone na poczekaniu kłamstwa, głośowne zapewnienia. Janson doskonale mógł to sobie wyobrazić: gdyby Andros zwietrzył, że go szukają, mógłby zaoferować im swoje usługi. „Słowom zaufanego przyjaciela - powiedziałaby łącznikowi z Konsularnego Wydziału Operacyjnego - ufa się bardziej niż słowom obcego. Słowa przyjaciela nie wzbudzają podejrzeń”.

Patrzył na niego bez słowa z narastającym napięciem.

Chcą, żebym się zgłosił.

Ale dlaczego? Takich żądań nie stawia się ot tak sobie, nie w tej branży. Takich żądań się nie ignoruje, nie bez konsekwencji.

- Znam cię, Andros. Coś przemilczałeś,

- Powtórzyłem ci tylko to, co kazano mi powtórzyć - odparł Grek.

- Zgoda, powiedziałeś to, co powiedziałeś. Teraz powiedz to, co zataiłeś.

Andros wzruszył ramionami.

- Owszem, słyszałem to i owo...

- Na przykład co?

Grek pokręcił głową.

- Nic z tego, nie pracuję dla ciebie. Kto nie płaci, ten nie ma gaci.

- Ty sukinsynu - nie wytrzymał Janson. - Gadaj, co wiesz, bo...

- Bo co? Bo mnie zastrzelisz? Ściany tego pokoju miałyby zbryzgać moja krew? Krew dobrego, cennego amerykańskiego informatora? To by na pewno oczyściło atmosferę, o tak...

Janson przyglądał mu się przez chwilę zwięzonymi oczami.

- Ja bym cię nie zastrzelił, Nikos. Ale agent twojego nowego chlebobdawcy... Czemu nie? Zwłaszcza gdyby wiedział o twoich powiązaniach z Noemvri.

Wzmianka o słynnej grupie terrorystycznej 17 Listopada, którą Amerykanie bezskutecznie próbowali rozpracować od wielu lat, wywołała natychmiastową reakcję.

- Z Noemvri? - warknął Andros. - Nic mnie z nimi nie łączy.

- Powiedz to im, nie mnie. Na pewno ci uwierzą.

- Irytujesz mnie. To czysty wymysł. Tak, występowałem przeciwko juncie pułkowników, to żadna tajemnica, ale wiązać się z terrorystami? Absurd. Oszczerstwo!

- Czyżby? - W kącikach ust Jansona błąkał się leciutki uśmiech.

- Tyżby. - Andros nerwowo przestąpił z nogi na nogę. - Zresztą i tak by ci nie uwierzyli.

- Mnie nie, ale komuś innemu? Myślisz, że zapomniałem, jak się w to gra? Pół życia przepracowałem w wywiadzie i umiem rozpuścić wiadomość w taki sposób, żeby nikt nie wykrył jej źródła, żeby zyskiwała na wiarygodności, ilekroć ktoś powtórzy ją komuś innemu.

- Zmyślasz - wychrypiał niepewnie Andros.

- Poseł greckiego parlamentu zwierza się innemu posłowi, nie wiedząc, że ten drugi siedzi w kieszeni CIA. Krótki łańcuszek, kilka filtrów i raport o rozmowie trafia do szefa miejscowej placówki, który, nawiasem mówiąc, doskonale pamięta, że ci z 17 Listopada zamordowali jednego z jego poprzedników. Wiarygodność źródła? Bardzo wysoka. Wiarygodność raportu? Jak wyżej. Przy nazwisku Nikosa Androsa pojawia się znak zapytania i twoi chlebobdawcy mają dylemat. Już samo podejrzenie, że człowiek powiązany z Dhekaefta Noemvri jest na liście płac amerykańskiego wywiadu, wywołałoby skandal. Skandal na tyle duży, że zniszczyłby karierę każdego zamieszanego w sprawę. Pojawiłoby się zatem pytanie, czy warto ryzykować i rozpoczynać oficjalne śledztwo.

Bo gdyby je rozpoczęto i gdyby okazało się, że wynik jest zgodny z oczekiwaniami, ci z wywiadu zaczęliby skakać sobie do gardeł. Wykryliby, że to prawda, że amerykańskie dolary zasilały antyamerykańską grupę terrorystyczną. Wybuchłby kolejny skandal. Cóż więc robić? - Mówiąc to, Janson cały czas patrzył Grekowi prosto w oczy. - Czy jest jakieś inne, bezpieczniejsze wyjście? Może wypadek? Może jedna z dziwek, które sprowadzasz do domu, przyjdzie na spotkanie z jakąś miłą zabaweczką i rano już się nie obudzisz? „Kurator muzeum w Pireusie i znany bojownik o czystość środowiska naturalnego umiera na atak serca”. Tak napiszą w gazetach i wszyscy nareszcie odetchną. A może zrobią z ciebie przypadkową ofiarę ulicznego napadu? Albo ofiarę transakcji handlowej, która nie doszła do skutku, bo tego drugiego poniosły nerwy?

- To śmieszne! - zaprotestował bez przekonania Andros.

- Mogą też po prostu skreślić cię z listy płac, wymazać z dokumentacji twoje nazwisko i dać ci święty spokój. Tak, to całkiem możliwe. - Janson przekrzywił głowę. - Myślisz, że tak zrobią?

Andros stał przed nim, zaciskając szczęki; na czole pulsowała mu błękitna żyła.

- Podobno- zaczął- chcą cię spytać, skąd wzięłeś te szesnaście milionów. Te, które trzymasz na Kajmanach, w banku Mont Verde. Jeszcze kilka dni temu ich nie miałeś, dlatego...

- Łżesz! - ryknął Janson.

- Nie! - W oczach Androsa widać było autentyczny strach. - Nie wiem, czy to prawda, ale oni myślą, że tak jest, ja nie kłamię...

Paul wziął kilka głębokich oddechów i przeszył go wzrokiem.

- Precz stąd - warknął. - Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę.

Andros wyszedł pośpiesznie z pokoju, najwyraźniej porażony tym, że musiał mu wyjaśnić to, co wyjawiał. Być może uznał też, że Janson wyrzucił go dla jego własnego dobra, bo gdyby wyładował na nim swoją wściekłość, mogło być kiepsko.

Janson z trudem walczył z natłokiem myśli. To nie miało sensu. Andros był zawodowym kłamcą, ale ta wiadomość - sugestia, że on, Paul, ukrywa gigantyczną fortunę - należała do kłamstw zupełnie innego kalibru. Jednakże najbardziej zaniepokoiła go wzmianka o koncie w banku na Kajmanach, bo rzeczywiście miał takie konto, lecz wiedział o nim tylko on, nikt więcej. Konto oficjalnie nie istniało, nie istniał też żaden ślad, ani jeden dowód na to, że je ma. Skoro tak, skąd wiedział o nim Andros?

W co ten łajdak grał?

Janson włączył swój komputerowy notatnik i wystukał na klawiaturze numer połączenia internetowego z bankiem Mont Verde. Podwójnie kodowany sygnał wykorzystywał serie przypadkowo dobranych, generowanych przez procesor cyfr, które miały być wykorzystane tylko raz, co uniemożliwiało ich przechwycenie. Trochę to trwało, gdyż tysiącdwudziestoczerobitowy algorytm szyfrowania bardzo wszystko spowalniał, ale dziesięć minut później na ekranie notatnika pojawiło się zestawienie ostatnich operacji bankowych.

Gdy zaglądał tam ostatni raz, miał na koncie siedemset tysięcy dolarów.

Teraz na ekranie widniała kwota dużo większa: większa dokładnie o szesnaście milionów dolarów.

Jakim cudem? Rachunek był zabezpieczony nie tylko przed nieautoryzowanymi zleceniami wypłaty, ale i przed nieautoryzowanymi depozytami.

„Chcą, żebyś się zgłosił”.

Słowa te powróciły ze zdwojoną siłą i cięły go jak ostry nóż.

Wystarczyło pół godziny i znalazł na koncie kilka transferów opatrzonych jego własnym podpisem elektronicznym, niepowtarzalnym, znanym tylko jemu ciągiem liczb, jego „prywatnym kluczem”, do którego dostępu nie miał nawet bank. Elektroniczny zapis nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości: Paul Janson osobiście autoryzował i zaakceptował

przelew na szesnaście milionów dolarów. Pieniądze otrzymał w dwóch ratach, po osiem milionów każda. Pierwsza wpłynęła przed czterema dniami. Druga wczoraj, dokładnie o siódmej dwadzieścia jeden czasu wschodnioamerykańskiego.

Mniej więcej kwadrans po śmierci Petera Novaka.

Rozdział 10

Powietrze zgęstniało, zaczęły nań napierać ściany pokoju. Musiał odzyskać równowagę, musiał wyjść na zewnątrz. W okolicy Syntagma roilo się od kiosków i sklepów, im bliżej placu, tym elegantszych i droższych. Nawet tutaj widać było wszechobecnych heroldów powszechnej globalizacji: McDonald's, Arby's, Wendy's... Szedł przed siebie, mijając po drodze neoklasyczne, dziewiętnastowieczne, wzorowane na tureckich gmachy, z których większość należała teraz do państwa. Herod Atticus, Vassilissis Sofia, wreszcie dotarł do Vouli, siedziby greckiego parlamentu, wielkiego, płowóżółtego budynku z nieproporcjonalnie małymi oknami. Przed wejściem stali na baczność uzbrojeni w karabiny z bagnetami wartownicy w rdzawoczerwonych czapkach z frędzlami i w kiltach. Kilkanaście brązowych tablic upamiętniało dawne, zapomniane już dziś zwycięstwa.

Poszukał chłodu i czystsze powietrza w Parku Narodowym przed Vouli. Pośród drzew i krzewów wypatrzył trzy obskurne białe rzeźby i mały staw. Między altanami i altankami grasowały setki dzikich kotów, w tym mnóstwo kocic z rozciągniętymi sutkami. Dziwna rzecz: zwykle się ich nie widziało, lecz gdy się już je zobaczyło, były dosłownie wszędzie.

Skinął głową siwowłosemu mężczyźnie na ławce, który patrzył w jego stronę; jak na przyjaznych i wylewnych Greków, mężczyzna odrobinę za szybko odwrócił wzrok. Nie, to tylko nerwy. Nerwy i wyobraźnia. Zaczynał bać się własnego cienia.

Zawrócił w kierunku Omónia, nieco zaniedbanej dzielnicy na północny-zachód od Syntagma; znał tam kogoś, kto pracował w bardzo specyficznej branży. Szybko przeszedł Stadiou, mijając po drodze liczne sklepy i *kapheneion*. Tym razem jego uwagę przykuła nie tyle znajoma twarz, ile twarz człowieka, który - podobnie jak siwowłosy mężczyzna w parku - za szybko odwrócił głowę na jego widok. Czyżby miał przywidzenia? Odtworzył to w myśli i doszedł do wniosku, że jednak nie. Znak drogowy na rogu ulicy, przed znakiem kolejny mężczyzna. Mężczyzna patrzył na znak, lecz w chwili, gdy pojawił się Janson, natychmiast przeniósł wzrok na okno wystawowe pobliskiego sklepu. Zrobił to jak tajny agent, który wie, że obserwowany przez niego człowiek nie powinien zobaczyć - a już na pewno nie z bliska - i zapamiętać jego twarzy.

Janson momentalnie wzmógł czujność. Na następnym skrzyżowaniu zauważył kobietę przed oknem wystawowym jubilera po drugiej stronie ulicy. I znowu, coś z nią było nie tak. Promienie palącego słońca padały prosto na szybę i zamiast zwykłym oknem, okno było teraz lustrem. Gdyby kobieta naprawdę oglądała naszyjniki, bransolety i pierścionki, stałaby pod innym kątem, tyłem do słońca: wtedy rzuciłaby cień i szyba odzyskałaby przezroczystość; chwilę przedtem stojący obok niej mężczyzna pochylił się do przodu, osłaniając twarz kapełuszem o szerokim rondzie - inaczej nic by nie zobaczył. A może kobietę interesowało jedynie to, co odbijało się w szybie?

Natychmiast uruchomił wszystkie wykształcone podczas pracy w terenie zmysły: każdy nerw ostrzegał, że ktoś go obserwuje. Tak, powinien był wpaść na to już wcześniej, widząc mężczyznę i kobietę przy ladzie kwaciarni naprzeciwko hotelu, którzy - żeby nie zobaczył ich twarzy - demonstracyjnie oglądali wielki plan miasta. Większość turystów, zwłaszcza tych zwiedzających Ateny na piechotę, wołało zamiast takiej płachty mniejsze, kieszonkowe.

Co się tu, do diabła, dzieje?

Wszedł na targ mięsny przy Omónia, który zajmował parter przestronnego dziewiętnastowiecznego gmachu z frontonem ozdobionym wzorami geometrycznymi z kutego żelaza. W środku wisały na hakach niezliczone szeregi wielkich zwierzęcych tusz, jak ubrania w pralni. Na obłożonych lodem tacach piętrzyły się góry błyszczących serc, wątrób i żołądków. Nie-

tknięte tusze krów, świń i nieprawdopodobnie wielkich kur, kaczek i gęsi wisały do góry nogami, tworząc makabrycznie wyrazisty, mięsny krajobraz.

Janson szybko spojrział w lewo, potem w prawo. Po lewej stronie, kilka rzędów dalej, stał jakiś mężczyzna, dźgając palcem tłustego prosiaka: ten sam mężczyzna, którego widział w parku przed parlamentem. Paul nie dał po sobie poznać, że go zauważył i przeszedł na drugą stronę mięsnej kurtyny. Wyjrzał spomiędzy dwóch owczych tusz i spostrzegł, że siwowłosa natychmiast przestał się interesować świniakiem. Teraz zainteresowały go widocznie owce, bo ruszył wzdłuż rzędu zwisających z haków tusz, wyciągając szyję, żeby lepiej widzieć. Janson chwycił jedną z większych owiec za tylne nogi i gdy mężczyzna go mijał, pchnął ją mocno w jego stronę. Tusza grzmotnęła go w ramię: siwowłosa stracił równowagę i wpadł do wanny pełnej rozedrganych cielęcych flaków.

Wybuchł krzyk, zrobiło się zamieszanie. Paul natychmiast to wykorzystał: przebiegł na drugą stronę targowiska, ponownie wyszedł na ulicę i ruszył w kierunku sklepu towarowego Lambropouli Bros. na rogu Eólou i Lykourgous.

Dwupiętrowy budynek zbudowano ze szkła i marszczonego betonu, który miał imitować stare stiuki. Janson przystanął przed oknem wystawowym i stał tam dopóty, dopóki nie dostrzegł w szybie mężczyzny w luźnej, żółtej wiatrówce, który kręcił się przed sklepem z wyrobami skórzanymi po drugiej stronie ulicy. Wtedy wszedł do sklepu i skierował się do działu z odzieżą męską w tylnej części. Udawał, że ogląda garnitury i od czasu do czasu zerkał w lusterka, które zamocowane w strategicznych miejscach pod sufitem, żeby zapobiec kradzieży. Upłynęło pięć minut. Nawet jeśli obstawiono wszystkie wejścia i wyjścia, żaden agent nie dopuści do tego, żeby obserwowany przez niego cel przepadł na całe pięć minut. Za duże ryzyko: cel mógł w tym czasie zniknąć, i to na dobre.

Zgodnie z przewidywaniami, mężczyzna w żółtej wiatrówce wszedł do sklepu i chodził między rzędami ubrań, aż wypatrzył Jansona. Wtedy przystanął przed stoiskiem z perfumami. Stoisko zrobiono z chromowanej stali i ze szkła, a w lśniącym, wypolerowanym szkłe wszystko odbija się jak w lustrze.

Paul wybrał w końcu garnitur i koszulę i ruszył do przymierzalni na końcu sklepu. Tam się przyczaił. Stał i czekał. W sklepie brakowało personelu i sprzedawca miał więcej klientów, niż by chciał. Na pewno nie zauważy, że jeden z nich nagle zniknął.

W przeciwieństwie do obserwującego go mężczyzny. Po pewnym czasie facet zaczął się zastanawiać, co Janson tak długo tam robi. Zacznie podejrzewać, że mógł zwać jakimś znanym tylko sobie wyjściem. I nie pozostanie mu nic innego, jak wejść do przymierzalni i sprawdzić to osobiście.

Zrobił to dokładnie trzy minuty później. Skrzypnęły drzwi i Janson zobaczył, jak mężczyzna w żółtej wiatrówce wchodzi do środka z brązowymi spodniami przewieszonymi przez ramię. Wszedł i upewnił się, czy w wąskim przejściu prowadzącym do kabin nikogo nie ma. W przejściu nikogo nie było, lecz mogli wykorzystać to obaj, i on, i Paul. Gdy mijał jego drzwi, Janson otworzył je gwałtownie, tak że grzmotnęły go w twarz. Zaraz potem wyskoczył z kabiny i zawlókł na wpół oszołomionego mężczyznę do pomieszczenia z napisem WSTĘP WZBRONIONY.

Musiał działać szybko, bo w każdej chwili mógł zajrzeć tam zaniepokojony niespodziewanym hałasem sprzedawca.

- Jedno słowo i po tobie - syknął, przykładając ostrze scyzoryka do tętnicy na szyi.

Nawet tu, w mrocznym magazynie, natychmiast dostrzegł małą słuchawkę w jego uchu i cienki kabel znikający pod ubraniem. Rozerwał mu koszulę, wyciągnął kabel i leciutki nadajnik radiowy marki Arrex z tylnej kieszeni spodni. Potem zerknął na jego rękę: mężczyzna miał na nadgarstku coś w rodzaju plastikowej bransolety. Był to namiernik lokalizacyjny, podający jego pozycję tym, którzy z nim współpracowali.

Mało wyrefinowane i raczej prostackie; ekipę musiano zebrać w pośpiechu, i wyposażono ją w równie prosty sprzęt. Ich wyszkolenie też pozostawiało wiele do życzenia. Widocznie przydzielili mu rezerwowych. Przyglądał się stojącemu przed nim mężczyźnie: zniszczona twarz, delikatne dłonie. Dobrze takich znał: facet służył w piechocie morskiej, ale siedział głównie za biurkiem. Najpewniej wezwano go nagle, bez uprzedzenia, i powierzono mu równie nagłe i pilne zadanie.

- Dlaczego mnie śledzisz?

- Nie wiem - odrzekł tamten z wytrzeszczonymi oczami; miał trzydzieści, najwyżej trzydzieści pięć lat.

- Dlaczego? - powtórzył z naciskiem Paul.

- Kazali mi. Nie powiedzieli, dlaczego. Miałem tylko za tobą chodzić, nic nie robić...

- Oni? To znaczy kto?

- Nie wiesz?

- Szef służby bezpieczeństwa w konsulacie? Piechota morska?

Mężczyzna kiwnął głową.

- Ilu was jest?

- Tylko ja.

- Wkurzyłeś mnie, stary. - Janson dźgnął go palcem w nerw podjęzykowy tuż pod dolną szczęką. Wiedział, że go zaboli, że z bólu zabraknie mu tchu, dlatego jednocześnie zatkał mu ręką usta. - Ilu? - powtórzył i po chwili zabrał rękę.

- Sześcioro - wychrypiął tamten, sztywniejąc z bólu i strachu.

Janson chętnie by jeszcze z nim pogadał, gdyby nie czas: od kilku minut namiernik rejestrował wciąż tę samą pozycję i jego koledzy mogli w końcu coś zwęszyć. Zresztą facet i tak by nic więcej nie powiedział. Służył w sekcji antyterrorystycznej. Wezwano go pewnie bez uprzedzenia i bez słowa wyjaśnienia wysłano w teren. To typowe dla tych z konsularnego.

Co im ten Andros powiedział?

Paul związał mu ręce i nogi jego własną koszulą, którą podarł na pasy, następnie zakneblował go prowizorycznym kneblem i zdjął mu z ręki bransoletkę namiernika.

Namierniki. Wiedział, do czego ich używano: do wspomagania nadajników Arrex, które bywały zawodne, zwłaszcza w terenie zabudowanym; często zawodziły do tego stopnia, że kompletnie głuchły. Namierniki zaś umożliwiały dowódcom grup śledzenie kroków podlegających im ludzi: każdy z nich ukazywał się jako pulsująca kropeczka na ciekłokrystalicznym wyświetlaczu. Gdy jeden z obserwatorów tracił ślad i odłączał się od grupy, natychmiast zastępował go inny, na ustny rozkaz lub bez rozkazu dowodzącego.

Janson włożył żółtą wiatrówkę i szarą czapkę pechowego agenta i lekkim truchtem wybiegł ze sklepu z nadzieją, że tamci dadzą się nabrać; facet był mniej więcej jego wzrostu i budowy. Musiał tylko pamiętać o zachowaniu odpowiedniej odległości, nie mógł dopuścić, żeby się za bardzo zbliżyli. Przebiegł Eólou do Praxitelous, potem do Lekka, wiedząc, że jego aktualne położenie wskazuje pulsująca na czymś ekranie kropeczka.

Co ten Andros im powiedział?

I skąd się wzięły pieniądze na koncie? Ktoś chciał go zrobić? Jeśli tak, wybrał cholernie kosztowny sposób. Kto mógł dysponować takimi pieniędzmi? Na pewno nie agencja rządowa. Ktoś z Fundacji Wolność? Tak, to możliwe. Pojawiło się odwieczne pytanie: *Cui bono?*

Kto z fundacji skorzystałby na śmierci Novaka? Czy zabito go, bo odkrył jakieś nieprawdopodobne oszustwo? Oszustwo, które przedtem uszło uwagi jego i Marty Lang?

Chodnikiem szła niespiesznie szara, wychudzona kotka; w pobliżu był Park Narodowy, ateńskie królestwo dzikich kotów. Janson przyśpieszył kroku, żeby ją złapać.

Popatrzyło na niego dziwnie kilku przechodniów.

- Greta! - wykrzyknął, chwytając kocicę i tuląc ją do piersi. - Zgubiłaś swój kołnierzyk!

I szybkim ruchem włożył jej na szyję plastikową bransoletę lokalizatora; chyba za bardzo nie uciskała. Zbliżywszy się do parku, wypuścił wijące się i szarpiące zwierzę, które natychmiast popędziło w krzaki. Potem wstąpił do jednej z brązowych, drewnianych ubikacji, zdjął wiatrówkę i czapkę i wepchnął je do czarnego, stalowego pojemnika na śmieci.

Dziesięć minut później, przez nikogo nieśledzony, jechał tramwajem numer jeden. Wiedział, że za kilka minut wszyscy ci, którzy do tej pory deptali mu po piętach, zbiorą się w kocim parku. O ile znał ateński sektor, ich pomysłowość na pewno znajdzie odbicie w ratujących twarz raportach.

Ateński sektor... W latach siedemdziesiątych spędził tu aż za dużo czasu. Teraz wyteżał umysł, żeby przypomnieć sobie, kto mógłby wyjaśnić mu, co się dzieje - wyjaśnić to od środka, z pozycji człowieka wprowadzonego. Kiedyś oddał wiele przysług wielu ludziom - nadeszła pora odebrać dług.

Najpierw pojawiła się twarz, potem nazwisko. Facet miał trzydzieści pięć, czterdzieści lat i pracował w ateńskiej placówce CIA, w małym gabinecie na drugim piętrze gmachu przy Vassilissis Sophias 91, niedaleko Muzeum Bizantyjskiego.

Nelson Agger. Typ znany i często spotykany. Karierowicz z nerwicą żołądka i mętными przekonaniami. Ukończył wydział nauk politycznych w Northwestern z wynikami i referencjami wystarczająco dobrymi, żeby zakwalifikować się na studia doktoranckie, jednak nie na tyle dobrymi, żeby dostać stypendium, bez którego nie dałby sobie rady finansowo. Wsparcie musiało zatem nadejść z innego źródła, a mianowicie - w jego wypadku - z fundacji przy Departamencie Stanu.

Gdy już zdobył kwalifikacje zawodowe, został analitykiem i do mistrzostwa opanował niepisane reguły taśmowej produkcji wszelkiego rodzaju raportów i analiz. Jego analizy - z których Janson kilka widział - były nienagannie sformułowane, bezpieczne - czytają: ogólnikowe - i napisane ostrym, zdecydowanym językiem, który pokrywał ich nie wnoszącą nic nowego treść. Roilo się w nich od zdań takich jak: „Jest wielce prawdopodobne, że bieżące trendy będą się utrzymywać” oraz od przymiotników w rodzaju „narastający”. Tak więc wszystkie trendy „się utrzymywały”, z czego nie wynikało jednak, jaki będzie tego rezultat. „Przewiduje się, że król Fahd napotka narastające trudności w utrzymaniu się u władzy”, pisał co miesiąc o saudyjskim przywódcy. Fakt, że król Fahd utrzymywał się u władzy przez wiele, wiele lat - panował prawie dwie dekady, by w końcu umrzeć na atak serca - bynajmniej nie wprawiał go w zakłopotanie; ostatecznie ani razu nie napisał, że król straci władzę w ciągu takiego, a takiego czasu. O Somalii napisał kiedyś tak: „Okoliczności i sytuacja nie rozwinęły się jak dotąd do takiego stopnia, żeby dało się dokładnie przewidzieć skład, charakter czy też politykę rządu, który przejmie w przyszłości władzę”. Czysta analiza - bez jednego choćby konkretnego.

Chudy, łysiejący i tyczkowaty Nelson Agger należał do ludzi, których agenci terenowi bardzo często nie doceniali; brak odwagi nadrabiał pomysłowością i zręcznością w polityce wewnętrznej biura. Krótko mówiąc, jak na urzędnika, radził sobie całkiem nieźle i przetrwał wielu zwierzchników.

To dziwne, ale dał się przy tym lubić. Trudno było powiedzieć, dlaczego Janson tak dobrze się z nim dogadywał. Pewnie częściowo dlatego, że Adder nie miał co do siebie żadnych złudzeń. Był cynikiem, ale w przeciwieństwie do moralizatorskich oportunistów, od jakich roilo się w Departamencie Stanu, nigdy nie ukrywał, że takim oportunistą jest, przynajmniej w obecności Paula. Paul wiedział z doświadczenia, że najbardziej niebezpieczni są ci, którzy snują wielkie plany i mają zimne oczy. Agger, choć nie przynosiło to chluby jego profesji, robił w sumie więcej dobrego niż złego.

Ale gdyby miał być wobec siebie całkiem szczery, Janson musiałby przyznać, że dogadywał się z nim tak dobrze dlatego, że Nelson po prostu go lubił. Ci z za biurka, broniąc swo-

jej roli i znaczenia w systemie, zwykle traktowali agentów protekcjonalnie. W przeciwieństwie do Aggera, który powiedział kiedyś ze śmiechem, że jest „tchórzliwym cudem natury”, i który nigdy nie ukrywał podziwu, jaki żywił dla agentów.

Być może też lubił go za to, że potrafił okazywać wdzięczność. W minionych latach często bywało tak, że dzięki Paulowi pierwszy dostawał jakąś wiadomość; kilka razy zdążył nawet napisać i wymuskać raport do tego stopnia, że gdy informacja trafiała do centrali zwykłymi kanałami, okazywała się już przestarzała. Wystarczyło, żeby urzędnik wydziału analiz dostarczył taką analizę raz na jakiś czas i natychmiast zyskiwał reputację znakomitego, błyskotliwego fachowca - taki obowiązywał tam poziom średniactwa i przeciętności.

Nelson Agger był dokładnie tym, kto mógł mu pomóc. Mimo jego wątpliwych zdolności do trafnego analizowania informacji z wywiadu międzynarodowego, miał niewątpliwie zdolności do przechwytywania i analizowania informacji wewnętrznych: wiedział, kto cieszy się względami przełożonych, kto się nimi nie cieszy, kto traci ikrę i zapal do pracy, a kto jest na fali i robi karierę. Trzeba mu też oddać sprawiedliwość, że chociaż uwielbiał słuchać plotek, sam nigdy ich nie rozpuszczał. Jeżeli ktokolwiek mógł rzucić trochę światła na to, co się działo, tym kimś był na pewno Nelson. Bez wiedzy malej, ale zwartej i sprawnie działającej placówki CIA w sektorze ateńskim nie działo się absolutnie nic.

Siedział w kawiarni przy Vassilissis Sophias, naprzeciwko ambasady amerykańskiej, i pijąc mocną, bardzo słodką, a więc typowo ateńską kawę, Janson zadzwonił z komórki do centrali.

- Centrala wydziału handlowego, słucham.

- Z panem Aggerem, poproszę.

Minęło kilka sekund. Trzask, trzy ciche kliknięcia: rozmowa była nagrywana.

- Można spytać, kto mówi?

- Alexander. Richard Alexander.

Upłynęło kilka kolejnych sekund i wreszcie odezwał się Nelson.

- Dawno tego nazwiska nie słyszałem - powiedział obojętnym głosem. - Ale cieszę się, że je słyszę.

- Masz ochotę na szklaneczkę retsiny? - spytał z równą obojętnością Janson. - Możesz się teraz wyrwać? Przy Lakhitos jest tawerna...

- Mam lepszy pomysł - przerwał mu Agger. - Bar przy Papadhima Kaladza. Pamiętasz? To trochę dalej, ale mają tam pyszne żarcie.

Paul poczuł się jak po zastrzyku adrenaliny: kontrpropozycja padła za szybko. Poza tym obaj doskonale wiedzieli, że jedzenie w Kaladza jest podłe; rozmawiali o tym przed czterema laty, kiedy spotkali się ostatni raz. „Najgorsze w całym mieście”, powiedział wtedy Agger, zieleniejąc na twarzy na widok podejrzanie wyglądających kalmarów.

Po prostu dawał mu do zrozumienia, że obaj muszą zachować wyjątkową ostrożność.

- Bomba! - wykrzyknął wesoło Janson, wiedząc, że są podsłuchiwani. - Masz komórkę?

- Kto w Atenach nie ma komórki?

- Gdybym coś mnie zatrzymało, dam ci znać.

- Dobry pomysł - odparł Agger. - Bardzo dobry pomysł.

Nie wstając z miejsca, Paul widział, jak Nelson wychodzi z ambasady bocznymi drzwiami, jak skręca w kierunku szpitala marynarki wojennej, a potem w ulicę, która miała zaprowadzić go do Kaladza.

I właśnie wtedy zobaczył coś, czego najbardziej się obawiał. Z szarego, nijakiego, ceglanego budynku sąsiadującego z gmachem ambasady wyszła kobieta z mężczyzną. Wyszli i podążyli za Aggerem. Śledzono go.

A on, zwykły urzędnik, nie potrafił wykryć ogona.

Ten, kto podsłuchiwał ich rozmowę, musiał rozpoznać stare, legendarne nazwisko i momentalnie zareagować. Najwyraźniej ktoś wiedział o łączącej ich bliskiej znajomości i założył, że Janson może szukać z nim kontaktu.

Nelson wmieszał się w tłum przechodniów, idąc w stronę Parko Euftherias. Kobieta i mężczyzna deptali mu po piętach.

Nie, Kaladza była zbyt niebezpieczna - musieli się spotkać gdzie indziej. Janson wsunął pod kubek plik drachm i wyszedł. Lykavittós to najwyższe ateńskie wzgórze - jego lesisty szczyt góruje nad miastem jak zielona kopuła. Tak, to dobre miejsce na pośpiesznie zorganizowane spotkanie. Turystów przyciągało zapierającym dech w piersi widokiem na Ateny, jego zaś tym, że w takim terenie trudno jest obserwatorom pozostać niezauważonymi. Janson musiał tam dotrzeć pierwszy. Jego jedyną bronią była zwykła lornetka i bał się, że to nie wystarczy. A może bał się niepotrzebnie? Może to tylko zwykła paranoja?

Kolejka linowa odjeżdżała co dwadzieścia minut z końca Ploutarkhou w Kolonaki, jednej z najelegantszych dzielnic miasta. Uważnie wypatrując oznak profesjonalnego zainteresowania ze strony pasażerów, Paul wjechał na prawie trzystumetrowy szczyt, zostawiając w dole rzędy pięknie ukształtowanych i zadbanych tarasów. Nieco poniżej szczytu znajdowały się liczne punkty obserwacyjne i kawiarnie, na samej zaś górze stała biała dziewiętnastowieczna Agios Geórgios, kaplica Świętego Grzegorza.

Janson zadzwonił z komórki do Aggera.

- Zmiana planów, chłopie.

- Zmiany są ponoć dobre.

Paul zmarszczył brwi. Powiedzieć mu, że za nim idą? Nie, lepiej nie. i bez tego ze zdenerwowania drżał mu głos. Nie wiedziałby, jak im uciec, a każda nieudana próba jeszcze bardziej wystawiłaby go na cel. Nie będzie o nich wiedział, nie będzie się bał - jeśli się wystraszy, może zwać do ambasady. Nie, wystarczy zadać mu marszrutę, dzięki której zgubi ogon.

- Masz długopis?

- Jestem długopisem - westchnął Agger.

- W takim razie posłuchaj. Będziesz musiał wskoczyć do tramwaju i kilka razy się przesiaść... - Podał mu nazwy ulic i numery tramwajów.

- Niezłe kółko - mruknął Nelson.

- Wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi, stary. - Janson wiedział, że prawdziwego zawodowca nie powstrzyma konieczność nadażenia za Aggerem, tylko coraz mniejsze szanse pozostania niezauważonym. W sytuacji takiej jak ta dobry agent zrezygnowałby raczej z misji, niż naraził się na wpadkę.

- Jasne - odrzekł Agger głosem człowieka, który wie, że zadanie go przerasta. - Nie ma sprawy.

- Kiedy wjedziesz kolejką na Lykavittos, pójdziesz w stronę teatru. Spotkamy się przy fontannie.

- Będę tam... Nie wiem, pewnie za godzinę.

- Na razie.

Janson starał się mówić głosem różnym i pewnym siebie, żeby dodać mu otuchy; Agger był wyraźnie zdenerwowany, a to zły znak. Może przesadzić z ostrożnością, może zwracać zbyt dużą uwagę na nic nie znaczące szczegóły, pomijając przy tym te naprawdę istotne.

Paul minął kawiarnię na wzgórzu, wesoły lokal z jasnozielonymi plastikowymi krzesłami, brzoskwiniowymi obrusami na stolikach i wyłożonym terakotą tarasem. Zaraz obok był starannie wypielegnowany ogród pełen nowoczesnych marmurowych rzeźb. Przechodziło tamtędy dwóch nastolatków w obcisłych podkoszulkach - podkoszulki miały być obcisłe, lecz ponieważ chłopcy nie należeli do zbyt atletycznie zbudowanych, powiewały luźno na wietrze. Jakaś stara dziwaczka z torebką twardej, stęchłej fety karmiła przekarmione już gołębie.

Janson zajął pozycję w gęstej kępie sosen i dokładnie przyjrzał się spacerującym w okolicy ludziom. W gorące dni wielu ateńczyków szukało tu schronienia przed upałem i dokuczliwym smogiem. Zobaczył dwoje Japończyków: on trzymał w ręku miniaturową kamerę, ona zaś stała na tle nieba, mając u stóp całe Ateny.

Minęło pięć minut, minął kwadrans. Ludzie przychodzili i odchodzili na pozór przypadkowo. Jednakże nie wszyscy. Trzydzieści metrów niżej, po lewej stronie, siedział mężczyzna w kaftanie, szkicując krajobraz w wielkim szkicowniku; jego ręka poruszała się szerokimi, zapętlonymi ruchami. Janson wyregulował ostrość i skupił wzrok na jego dużych, silnych dłoniach i kawałku węgla między palcami. Mężczyzna zapełniał kartkę zwykłymi gryzmołami. Może go coś interesowało, ale na pewno nie roztaczający się ze wzgórza widok. Paul skierował lornetkę na jego twarz i serce mu zamarło. „Artysta” ze szkicownikiem nie przypominał Amerykanów z ambasady, z którymi poszło mu łatwo i szybko. Napinająca kołnierzyk gruba szyja, martwe oczy: tak, ten człowiek był najemnikiem, zawodowym zabójcą. Janson poczuł, że mrowieje mu skóra na karku.

Po przekątnej inny mężczyzna czytał gazetę. Ubrany jak biznesmen, w lekki, szary garnitur, był w okularach. Paul ponownie wyregulował ostrość: mężczyzna poruszał ustami. Nie czytał na głos, bo zerkając w bok, nie przestał nimi poruszać. Rozmawiał z kimś - mikrofon miał ukryty w klapie marynarki albo w krawacie - pewnie ze współnikiem, w każdym razie z kimś z małą słuchawką w uchu.

Kto jeszcze? Kto?

Rudowłosa kobieta w zielonej bawełnianej sukience? Nie, szło za nią dziesięcioro małych dzieci. Była nauczycielką, prowadziła je na wycieczkę. Żaden agent nie zaryzykuje dekonspiracji w chaosie, jaki może wybuchnąć w grupie dzieci, których zachowania nie da się przewidzieć.

Stojąc między drzewami trzydzieści metrów nad fontanną, gdzie miał spotkać się z Aggerem, Janson kontynuował obserwację. Jego oczy wędrowały nieustannie po wysypanych żwirem ścieżkach, po gęstych krzewach i rozległych połaciach trawy.

Wniosek: niedoświadczony amerykański zespół zastąpiono miejscowymi talentami, ludźmi, którzy znali teren, i którzy potrafili szybko reagować.

Tylko jakie otrzymali rozkazy?

Czuźnie wypatrując wszelkich anomalii, nieprzerwanie obserwował ludzi na zboczu wzgórza. Biznesmen zdawał się teraz drzemać, podsypiać jak podczas sjeisty. Głowa opadła mu na pierś i tylko to, że od czasu do czasu lekko poruszał ustami - rozmawiając z kimś, choćby z nudów - zdradzało, co tak naprawdę robi.

Ci, których udało mu się zidentyfikować - „artysta” ze szkicownikiem i „biznesmen” z gazetą - byli na pewno Grekami, nie Amerykanami; świadczyła o tym nie tylko ich fizjonomia, ale i ubranie, a nawet postawa. No i język. Janson kiepsko czytał z ruchu warg, ale wiedział, że mężczyzna w okularach mówi po grecku, nie po angielsku.

Ale na miłość boską, po co ta cała sieć? Samo istnienie obciążających dowodów nie świadczyło jeszcze o tym, że ktoś popełnił przestępstwo. Paul przez prawie dwadzieścia pięć lat służył w jednej z najtajniejszych amerykańskich agencji i przeświecono go na wylot jak nikogo innego. Gdyby chciał zbić tęgą kasę, mógłby to zrobić już dawno temu, na sto różnych sposobów. A jednak wyglądało na to, że tamci podejrzewali najgorsze właśnie teraz, podejrzewali i nie brali pod uwagę tego, że może być niewinny.

Co się tak nagle zmieniło? Czy wpłynęło na to coś, co zrobił lub coś, co jego byli szefowie chcieli mu wmówić? Coś, o czym wiedział? Jasne było tylko jedno: ni z tego, ni z owego stał się zagrożeniem dla planistów z Waszyngtonu, miasta oddalonego o pół świata od tego starożytnego wzgórza w centrum Aten.

Wzgórze. Był tu ktoś jeszcze? Raziło go słońce, mimo to zlustrował każdy kamień, każdy krzak i drzewo, dzieląc zbocze na kwadraty i nie pomijając niczego. W końcu rozbolały go oczy.

O czwartej nadszedł wreszcie zmęczony, wyraźnie zaniepokojony Agger. Lekką marynarkę z granatowego lnu przerzucił sobie przez ramię. Został w niebieskiej, przepoconej pod pachami koszuli. Dla pedantycznego analityka, który rzadko kiedy opuszczał klimatyzowany gabinet ambasady i swoją klimatyzowaną willę, musiała to być nader wyczerpująca eskapada.

Janson nie spuszczał go z oczu. Nelson usiadł na długiej, marmurowej ławce przy fontannie, ciężko oddychając i rozglądając się w poszukiwaniu starego kumpla od kieliszka.

Janson położył się na ziemi.

Mężczyzna ze szkicownikiem: obstawa? Ubezpieczenie? Czy główny wykonawca? Niepokoiło go to, że jest Grekiem. Tamci byli Amerykanami z ambasady, agentami amerykańskiego wywiadu wojskowego. Może nie należeli do zupełnych amatorów, ale na pewno nie byli zawodowcami. Innych, lepszych, nie udało się po prostu w tak krótkim czasie zmobilizować. Nie wiedzieli, że przyjedzie do Aten, bo i skąd - podjął tę decyzję pod wpływem chwili, ledwie przed dwunastoma godzinami.

Ale ci tam: kim byli? Pewnie ludźmi wynajętymi przez CIA. Outsajderami, którym powierzono jakąś misję. Zawodowcami, których zawsze trzyma się w zasięgu ręki, na wszelki wypadek. Fakt, że zaangażowali kogoś z zewnątrz, mógł oznaczać, że ludzie ci mają wykonać wyrok, bo takiego zadania nie przydzieliliby agentom oficjalnie zatrudnionym w ambasadzie.

Ale nie, uprzedzał fakty: nie było podstaw, żeby tamci wydali na niego wyrok. Nie było ich przynajmniej na razie.

Poczłgał się przed siebie wzdłuż usypanego z piachu i łupku długiego wału oporowego. Między gęstymi krzewami maquis, po wysokiej, ostrej trawie, która łaskotała go w nos, wśród zarośli, których nie mógł potrafić, żeby nie zdradzić swojej obecności. Dwie minuty później ostrożnie wystawił głowę nad wał: był zaledwie kilka kroków od mężczyzny ze szkicownikiem. Mężczyzna teraz stał; pałeczka węgla leżała u jego stóp jak zapomniany niedopałek papierosa.

Stał tyłem do niego, tak że Janson widział, jak potężnie facet jest zbudowany. „Artysta” patrzył czujnie na Aggera, na marmurową ławkę przy fontannie, odruchowo napinając mięśnie, żeby w razie czego natychmiast zareagować. Prawą rękę trzymał pod kaftanem, na wysokości pasa...

Zachowując absolutną ciszę - gdyby tamten usłyszał zgrzyt kamienia o kamień, momentalnie by się odwrócił - Paul wyłuskał z wału duży, ostry kawałek łupku, wziął zamach i ze wszystkich sił cisnął nim, celując w szyję „artysty”. Cisnął, błyskawicznie wstał i gdy tamten zachwiał się i zatoczył - oberwał w kark - Janson chwycił go za włosy, zatkał mu ręką usta i jednym ruchem wciągnął go za wał.

Wyszarpnął mu z kieszeni płaski pistolet - potężnego, automatycznego waltera P99 - z przytwierdzonym na stałe perforowanym tłumikiem. Tego rodzaju broni nie noszono na pokaz, żeby komuś grozić - tego rodzaju broń noszono po to, żeby jej użyć, żeby tę groźbę spełnić. Facet był profesjonalistą i miał profesjonalny sprzęt, Paul przesunął palcami po jego haftowanym kołnierzu, żeby sprawdzić, gdzie jest mikrofon. *Znalazł*: mikrofon był wyłączony. Następnie odchylił połę kaftana, odsłaniając niebiesko-czarny plastikowy nadajnik w kształcie dysku i wybiegający z niego miedziany przewód.

- Powiedz kumplowi, że ktoś was sypnął! - syknął do ucha półprzytomnemu „artyście”; wiedział, że tego rodzaju zadania nie powierzono by ludziom nie mówiącym po angielsku, bo mogliby źle zrozumieć rozkazy. - Powiedz mu, że wpadłeś, bo chyba wpadłeś, co?

- *Den omilo tin Aggliki* - odrzekł tamten.

Janson wbił mu kolano w szyję.

- Nie mówisz po angielsku? W takim razie nie widzę powodu, żeby cię nie zabijać.

„Artysta” krztusił się, oczy wychodziły mu z orbit.

- Nie! Proszę, zrobię, co zechcesz...

- Tylko pamiętaj. *Katalcweno ellinika*. Rozumiem po grecku. - Trochę rzeczywiście rozumiał. Może mniej niż trochę, ale zawsze to coś.

Wciskając ukryty pod kołnierzem przełącznik, mężczyzna włączył mikrofon i zaczął mówić coś tym gwałtowniej i z tym większą chęcią, że Paul przytknął mu do skroni lufę jego własnego waltera.

Gdy skończył, Janson pchnął go mocno na łupkowaty wał. „Artysta” uderzył głową w kamień i zwiotczał jak szmaciana kukła. Przytomność odzyska najwcześniej za godzinę, może nawet za dwie.

Paul ponownie sięgnął po lornetkę. „Biznesmen” w jasnoszarym garniturze szybko wstał i ruszył w jego stronę. Po sposobie, w jaki niósł gazetę, Paul poznał, że coś w niej ukrywa. Cały czas rozglądał się czujnie, cały czas trzymał rękę między kartkami „Eleftherotypia”, popularnego ateńskiego dziennika.

Janson zerknął na zegarek. Upłynęło za dużo czasu. Agger mógł się w każdej chwili zdenerwować i wrócić do ambasady. Zresztą taka była standardowa procedura: agent czekał tylko tyle, ile miał czekać, nie dłużej.

Janson szybko przykucnął za murem. Gdy „biznesmen” podszedł bliżej, błyskawicznie wstał i grzmotnął go ręką pistoletu w twarz, wybijając mu zęby i miażdżąc kość. Na koszulę mężczyzny spłynęła krew, z upuszczonej gazety wypadł pistolet z tłumikiem. Zaklekotał na kamieniach i znieruchomiał u jego stóp. Paul odchylił mu klapę garnituru: „biznesmen” miał tam mały, niebiesko-czarny dysk, identyczny jak ten pod kaftanem „artysty”.

Janson wetknął waltera za pasek spodni i starł kroplę krwi z ręki. Zaczęło go ogarniać przygnębienie. W ciągu ostatnich kilku dni spadło na niego wszystko to, czego nie chciał, o czym poprzysiął sobie zapomnieć: przemoc, podstępne rozgrywki, śmiertelne wybiegi, nawyki wykształcone przez lata pracy w zawodzie, który porzucił. Ale nie, nie pora spoglądać w otchłań. Musiał się skoncentrować. Musiał to przeanalizować, musiał działać.

Gdzie byli pozostali? Nikogo innego nie zauważył, ale skąd pewność, że ich tam nie ma? Japońscy turyści? Możliwe. Ale mało prawdopodobne.

Będzie musiał zaryzykować.

Podszedł do Aggera, który wciąż siedział na marmurowej ławce, spływając potem.

- Paul! Dzięki Bogu! Już się martwiłem, że coś się stało.

- Utknąłem w korku na Vas Sofia. Zapomniałem, jaki tu u was ruch. - Janson doszedł do wniosku, że jeszcze nie czas, że jeszcze nie pora go alarmować. Nelson był urzędnikiem, specjalistą od kabelków i klawiatur; spotkanie takie jak to wykraczało poza jego dziedzinę i było w sumie po gwałceniu obowiązujących procedur. Według przepisów, musiałby zgłosić przełożonym, że nawiązał z nim kontakt były agent amerykańskiego wywiadu, i sporządzić raport z odbytej z nim rozmowy. Godząc się na spotkanie, już te przepisy złamał i przy okazji nadszarpnął sobie nerwy.

- Chryste, te wszystkie przesiadki - rzucił ze słabym uśmiechem. - Kim ja jestem? Szpiegiem? Nie, nie, lepiej nie odpowiadaj. Cieszę się, że cię widzę, Paul. Martwiłem się o ciebie, i to bardzo. Nie masz pojęcia, co o tobie wygadują.

- Powoli, przyjacielu, wszystko po kolei.

Zdawało się, że opanowanie i pewność siebie Jansona trochę go uspokoiły.

- Ale wiem, że można to wszystko wyjaśnić. Wyjaśnimy to i dadzą ci święty spokój. Zostaw tych z Waszyngtonu mnie. Wierz mi, nikt nie zna urzędasów tak dobrze jak urzędas.

Janson roześmiał się, głównie przez wzgląd na niego.

- Tak, wiem, że coś się dzieje. Zauważyłem to dziś rano. Idę ulicą i nagle: jak na spotkaniu absolwentów jakiegoś ogólniaka, cholera. Wszyscy tajniacy z naszej ambasady. Nie wiedziałem, że jestem taki popularny.

- To obłąd, Paul, czysty obłąd, ale oni mówią, że wzięłeś pewną robotę. Robotę, której nie powinieneś być brać.

- I?

- Chcą wiedzieć, kto cię wynajął. I dlaczego na to poszedłeś. Nie którzy twierdzą, że przekonało cię szesnaście milionów dolarów...

- Jezu Chryste! Jak oni mogą? Przecież mnie znają. Agger uważnie sondował go wzrokiem.

- Mnie nie musisz tego mówić. Posłuchaj, im wszystkim odbiło. Ale wiem, że można to jakoś wyjaśnić... Powiedz- spytał niemal wstydliwie - to prawda, że... że wzięłeś tę robotę?

- Tak. Skontaktowali się ze mną ludzie Petera Novaka. Miałem u niego wielki dług. Tak czy inaczej, wiedział o tym Departament Stanu.

- Widzisz, rzecz w tym, że Departament Stanu temu zaprzecza.

- Co takiego?

Agger przepaszczając wzruszył ramionami.

- Departament Stanu temu zaprzecza - powtórzył. - CIA też. Nie wiedzą nawet, co zaszło na Anurze. Dostali mnóstwo sprzecznych raportów, ogólnikowych meldunków. Ale krąży plotka, że zapłacono ci za to, żeby Novak nigdy stamtąd nie wyjechał.

- Obłąd.

Nelson ponownie wzruszył ramionami.

- Obłąd... Ciekawe, że użyłeś tego słowa. Widzisz, powiedziano nam, że mogło ci odbić. Tak, tak, nazwali to inaczej, bardziej uczenie. Zaburzenia psychiczne, wyładowanie emocjonalne na wspomnienie urazu psychicznego...

- Agger, czy ja wyglądam na wariata?

- Oczywiście, że nie - odrzekł szybko Nelson. Zapadła niezręczna cisza. - Ale posłuchaj, wszyscy wiedzą, ile przeszedłeś. Tyle miesięcy tortur w Wietnamie, Chryste. Bili cię, głodzili: coś takiego musi kiedyś człowieka dopaść. Jezu, co oni ci robili... Nie wspominając już o rym - dodał ciszej - że ty też nie próżnowałeś.

Jansona przeszedł zimny dreszcz.

- Nelson, co ty chcesz mi powiedzieć?

- Tylko to, że wielu ludzi poważnie się o ciebie martwi, że są wśród nich nawet ci najważniejsi, ci z końca łańcucha pokarmowego.

Naprawdę myśleli, że zwariował? Skoro tak, nie mogli dopuścić do tego, żeby pozostał na wolności, nie z tym, co pamiętał jako były agent Konsularnego Wydziału Operacyjnego. Znał wszystkie procedury, znał nazwiska informatorów, wiedział, które siatki zlikwidowano, które wciąż działają. Gdyby sypnął, na marne poszłoby wiele lat pracy, a na to nie mogli sobie pozwolić. Rozumowanie jego dawnych zwierzchników było jasne i oczywiste.

Świeciło słońce, ale on nagle zadrżał z zimna.

Agger poruszył się niespokojnie.

- Nie znam się na tym. Powiedzieli, że sprawiałeś wrażenie wiarygodnego, przekonującego i opanowanego. Nie wiem, jak jest z twoją głową, ale szesnastu milionom dolarów trudno się oprzeć. A może mówię tylko za siebie...

- Nie mam pojęcia, skąd wzięły się te pieniądze - odparł Janson. - Może ci z Fundacji Wolność to banda ekscentryków? Nie wiem. O wy nagrodzeniu tylko wspominali. Niczego z nimi nie negocjowałem. Nie zrobiłem tego dla pieniędzy. Chodziło o dług honorowy. Wiesz, jaki.

- Paul, przyjacielu, chcę to wszystko wyjaśnić i wiem, że na pewno to wyjaśnimy. Zrobię, co tylko będę mógł, pomogę ci. Ale najpierw ty musisz pomóc mnie, musisz podać mi jakieś szczegóły, fakty. Kiedy skontaktowali się z tobą ludzie Novaka?

- W poniedziałek. Czterdzieści osiem godzin po jego uprowadzeniu.

- Kiedy dostałeś pierwsze osiem milionów?

- Po cholere ci to?
- Pierwsze osiem milionów wpłynęło na konto, zanim tamci się do ciebie zgłosili, zanim powiedziałaś „Tak”. Zanim dowiedzieli się, że ewakuacja jest w ogóle możliwa. To nie ma sensu.
- Czy ktoś od was z nimi rozmawiał?
- Paul, oni cię nie znają, nie wiedzą, kim jesteś. Nie wiedzą o uprowadzeniu. Nie wiedzą nawet, że ich szef nie żyje.
- Jak zareagowali, kiedy im powiedzieliście?
- Nic im nie powiedzieliśmy.
- Dlaczego?
- Rozkaz z góry. Jesteśmy specami od zbierania informacji, nie od ich rozpowszechniania. Każdy z nas otrzymał wyraźne polecenie służbowe. A propos: właśnie dlatego Waszyngton chce, żebyś się zgłosił. To jedyny sposób. Jeśli się nie zgłosisz, podejmą działania na podstawie podejrzeń i przypuszczeń. Czy muszę mówić dalej?
- Jezu Chryste...
- Paul, zaufaj mi. Wdepnąłeś w gówno, ale mogę ci pomóc. Musisz się tylko do nich zgłosić. Musisz.

Janson posłał mu zdziwione spojrzenie. Im dłużej rozmawiali, tym Agger mniej się denerwował. I zaczął traktować go coraz bardziej protekcyjnie.

- Zastanowię się.
- To znaczy, że się nie zgłosisz - rzucił beznamiętnie Nelson. - Nie dobrze, stary, bardzo niedobrze... - Sięgnął do kłapy marynarki i na pozór odruchowo przesunął palcami po dziurce od guzika.

Wzywa posiłki. Chryste.

Janson szybko odchylił klapę. Znajomy widok: niebiesko-czarny dysk. Sparaliżowało go, zdrętwiało.

„Artysta” i „biznesmen” wcale Aggera nie śledzili. Byli jego wsparciem. We trzech mieli uprowadzić jego, Paula!

- Teraz ja mam do ciebie pytanie, Nelson: kiedy przyszły rozkazy?
- Odszukania i odzyskania? Nie pamiętam.
- Kiedy? - Janson stanął tyłem do przechodniów i wycelował w niego z walera.
- O Chryste! - wykrzyknął Agger. - O Chryste, Paul! Co ty robisz? Przyszedłem ci pomóc, chcę ci pomóc...
- Kiedy? - Janson dźgnął go tłumikiem w kośćistą pierś.
- Dziesięć godzin temu - wyrzucił z siebie Nelson. - Telegramem, dokładnie o dziesiątej trzydzięci trzy czasu wschodnioamerykańskiego. - Rozejrzał się, nie mogąc ukryć narastającej konsternacji.
- A gdybym się nie zgłosił? - drażył Paul - Co kazali wam zrobić? Mieliście mnie zabić? - Szturchnął go lufą w mostek.
- Przestań! - krzyknął Agger. - To boli! - Mówił głośno, jakby nagle wpadł w panikę, ale chociaż nie był agentem terenowym, nie był też ulegającym panice amatorem. Nie krzyczał z bólu: krzyczał, żeby zaalarmować innych, tych, którzy mieli czuwać w pobliżu.
- Czyżbyś na kogoś czekał?
- Nie - zełgał natychmiast Agger. - O czym ty mówisz?
- Ty przeklęty sukinsynu! - wybuchnął Paul.

Nelson pobladał jak śmierć, ale nie ze strachu, tylko z gniewu.

- Masz od nich pozdrowienia - dodał Janson. - Przekazą ci je osobiście, kiedy tylko odzyskają przytomność.

Aggerowi zwężyły się oczy.

- Chryste, a więc to prawda. Ty naprawdę zwariowałaś!

Rozdział 11

Portowa tawerna, zapuszczona i ciemna, miała podłogę zniszczoną od rozlewanego tu przez lata alkoholu. Na podłodze stały proste drewniane krzesła i stołki, ponacinane nożem i powyginane - z wyraźnymi śladami wybuchających od czasu do czasu bójek. Janson szedł niespiesznie w stronę długiej, cynkowanej lady, czekając, aż wzrok przywyknie do panującego w sali mroku. Przy ladzie pił samotnie posepny marynarz. Nie był jedynym marynarzem w tawernie, ale Paul wyczuł, że najłatwiej go będzie podejść. Poza tym nie mógł już dłużej czekać. Musiał uciekać z Grecji. Szybko. Jak najszybciej.

Znowu próbował się dodzwonić pod prywatny numer Marty Lang. I znowu na próżno. Powoli zaczynało go to doprowadzać do obłądu.

„Nie wiedzą nawet, że ich szef nie żyje”. Słowa Aggera.

Do głowy przychodził mu tylko jeden człowiek, który mógłby wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, i który pewnie mógłby z nim swobodnie porozmawiać. Ale najpierw trzeba było przedsięwziąć niezbędne środki ostrożności, żeby ochronić i siebie samego, i człowieka, którego chciał odwiedzić.

Port w Pireusie zbudowano w rozległej, okrągłej zatoce. Jej kształt przypominał Jansonowi otwarte kajdany - otwarte albo takie, które się właśnie zamykają. Tak czy inaczej, przynęcała go tu konieczność. Nie miał zamiaru zdradzać swoich planów nikomu, kto mógł się nim zawodowo interesować.

W ciągu ostatnich dwóch godzin rozważył i odrzucił kilka sposobów wydostania się z Grecji. Ateńskie lotnisko? Musiało się tam roić od agentów; było też całkiem prawdopodobne, że wysłali ludzi do Salonik i na inne większe lotniska. Podróżowanie pod własnym nazwiskiem i z własnym paszportem nie wchodziło w grę: jeśli w sprawę była zamieszana ambasada, istniało duże niebezpieczeństwo, że na wszystkie przejścia graniczne wysłano rozkaz jego natychmiastowego zatrzymania. Gdy dotarł do znajomego Greka, fałszerza, specjalisty od oficjalnych dokumentów - właściciela sklepu w Omónia - okazało się, że tam też jest już pełno agentów, więc gdyby go odwiedził, naraziłby na niebezpieczeństwo i siebie, i jego. Dlatego Pireus. Stąd zainteresowanie ludźmi, których życie nauczyło wszystkich zasad obowiązujących w branży międzynarodowych przewozów - zasad i tego, jak je omijać.

Był w garniturze, co wyglądało tu dość osobliwie, za to krawat miał rozwiązany i sprawiał wrażenie przygaszonego, niemal przybitego. Szedł chwiejnym, niepewnym krokiem. Wybierz rolę i ubierz się stosownie do niej: był zamożnym, zdesperowanym biznesmenem w nagłej potrzebie. Gdyby to nie poskutkowało, wystarczyły dwie minuty w toalecie i wyszedłby stamtąd jako zwykły oprych.

Usiadł na stołku obok i zerknął na marynarza. Facet był nieźle zbudowany, atletycznie, pewnie dopisywał mu apetyt, który często maskował dużą siłę fizyczną. Mówił po angielsku? Paul westchnął ciężko.

- Przeklęta albańska kurwa - wymamrotał pod nosem na tyle głośno, że tamten musiał go usłyszeć. Wiedział, że w Grecji, gdzie wciąż przywiązywano olbrzymią wagę do czystości krwi, przekleństwa pod adresem mniejszości narodowych, zwłaszcza Cyganów i Albańczyków, są najlepszym sposobem nawiązania rozmowy.

Marynarz spojrział na niego i głucho chrząknął. Ale jego nabiegłe krwią oczy wciąż były czujne. Co robił w tej spelunie facet w eleganckim garniturze?

- Wszystko zabrała - mówił dalej Janson. - Wyczyściła mnie na amen. - Gestem ręki przywołał barmana.

- Okradła cię? Zwykła kurwa? - Marynarz pytał bez współczucia. W jego głosie po-

brzmiewała nutka rozbawienia. Dobry początek.

- Nie, forsy nie zabrała. Opowiedzieć ci? - Zerknął na naszywkę na jego mundurze: UCS, serwis kontenerowy. Skinął na barmana. – Piwo dla przyjaciela.

- A może by tak kieliszek metaxy? - spytał marynarz, ostrożnie badając grunt.

- Jasne! - wykrzyknął Janson. - Metaxa, to jest to! - Dwie podwójne. - Wyczuł, że marynarz zna egejskie doki jak własną kieszeń – doki i podejrzone interesy, jakie się tam robi.

Podano im dwa kieliszki bezbarwnej brandy, mocno przyprawionej anyżkiem. Paul poprosił o wodę. Barman łypnął na niego spode łba i podsunął mu bursztynową szklankę z ciepłą wodą na dnie. Knajpa nie utrzyma się z pojenia klientów wodą, chyba że z tej, którą chrzcilo się trunki.

Janson zaczął opowiadać, jak to czekał w Zea Mariną na prom, spokojnie popijając ouzo, gdy wtem...

- Widzisz, właśnie wyszedłem z pięciogodzinnej nasiadówki. Dobiłszy interesu, którego nie mogliśmy dobić od wielu miesięcy. Dlatego mnie tu przysłali. Miejscowym przedstawicielom szefowie nie ufają, bo nigdy nie wiadomo, dla kogo tak naprawdę ci ludzie pracują.

- Można spytać, co produkujecie? - spytał marynarz.

Janson strzelił oczami w lewo, strzelił w prawo i w końcu jego wzrok spoczął na ceramicznej popielniczce.

- Ceramikę - odparł. - Izolatory elektryczne. - I wybuchnął śmiechem. - Rozczarowałem cię? Wiem, wiem, brudna robota, ale ktoś musi to robić, nie?

- A ta kurwa? - rzucił marynarz i wychylił brandy jak kieliszek wody.

- No więc siedzę tam cały w stresie - wiesz, co znaczy „w stresie”? - a ta zdzira zaczyna się do mnie kleić. Myślę sobie, a co tam! Rozumiesz, chciałem się trochę rozerwać, nie? No i zaprowadziła mnie do jakiejś nory po sąsiedzku. Nie wiem nawet, gdzie to było i...

- Kiedy się obudziłeś, nie miałeś już nic. Obrobiła cię na cacy.

- Właśnie! - Janson zamówił jeszcze jedną kolejkę. – Musiałem przysnąć albo co, i przeszukała mi kieszenie. Na szczęście nie znalazła pasa z pieniędzmi. Pewnie musiałyby przewrócić mnie na plecy i bała się, że się obudzę. Ale zabrała paszport, karty kredytowe, zabrała... - Pijackim gestem podsunął mu pod nos rękę, z zażenowaniem demonstrując najwyższe pohańbienie, jakiego doznał od albańskiej dziwki: ukradła mu ślubną obrączkę. Oddychał głośno i ciężko, jak ważny handlowiec, który przeżywa koszmar.

- Czemu nie pójdziesz do *astynomia*? Policja portowa zna wszystkie kurwy w mieście.

Janson ukrył twarz w dłoniach.

- Nie mogę ryzykować. Złożę meldunek i dobiorą mi się do dupy. Z tego samego powodu nie mogę pójść do ambasady. Mamy tu swoich przedstawicieli: dowiedzą się i będzie po mnie. Wiem, że na takiego nie wyglądam, ale mam niezłą reputację i mógłbym ją stracić. No i moja żona... O Chryste! - Oczy wypełniły mu się łzami. - Ona nie może się o tym dowiedzieć. Nigdy!

- Ważniak z ciebie, co? - Marynarz otaksował go spojrzeniem.

- Ważniak i ostatni kretyn! O czym ja myślałem? - Jednym haustem wychylił słodką brandy, odwrócił się ze stołkiem i pełnym rozdrażnienia gestem podniósł do ust szklankę. Ale tylko bystry obserwator zauważyłby, że chociaż barman niczego mu nie dolewał, zamiast ubyc, wody w szklance nagle przybyło. Czary.

- Duża głowa nie myślała - orzekł spostrzegawczy marynarz. – Tylko ta malutka...

- Gdybym mógł dostać się do naszego przedstawicielstwa regionalnego w Izmirze, wszystko bym załatwił.

Marynarz drgnął.

- Jesteś Turkiem?

- Turek? Uchowaj Boże! - Janson skrzywił się z niesmakiem. – Jak mogłeś tak pomyśleć? A ty? Jesteś Turkiem?

Tamten z obrzydzeniem splunął na podłogę.

Stare antagonizmy wciąż żyły, przynajmniej tu, w Pireusie.

- Nie. Pracuję w międzynarodowej firmie. Tak się składa, że jestem Kanadyjczykiem, ale klientów mamy wszędzie. Nie mogę pójść na policję, nie mogę pójść do ambasady. To byłby mój koniec. Wy, Grecy, jesteście otwarci na świat i rozumiecie ludzką naturę, nie to, co ludzie, z którymi pracuję. Chodzi o to, że gdybym zdołał dotrzeć do Izmiru, ten cały koszmar po prostu by... się skończył. Cholera, jeśli będę musiał, popłynę tam nawet żabką! - Trzasnął szklanką o ladę i pomachał barmanowi banknotem, prosząc o jeszcze jedną kolejkę.

Tamten popatrzył na pieniądze i pokręcił głową.

- *Ehete mipospiopsila?* Nie ma pan drobniejszych? - zapytał, spoglądając na pięćdziesiąt tysięcy drachm, które Janson trzymał w ręku.

Paul spojrział na banknot jak pijak, któremu dwoi się w oczach; pięćdziesiąt tysięcy drachm to równowartość mniej więcej stu dolarów.

- Och, przepraszam. - Podał barmanowi cztery banknoty po tysiąc drachm każdy.

Zgodnie z przypuszczeniami, jego nowy przyjaciel natychmiast tę pomyłkę zauważył i wyraźnie się ożywił.

- Żabką? - rzucił z pozbawionym wesołości śmiechem. - To kawałek drogi. Jest lepszy sposób.

Janson spojrział na niego z błaganiem w oczach. - Tak? Jaki?

- Transport specjalny. Nie za wygodny. I nie za tani.

- Zawieź mnie do Izmiru. Dam ci dwa i pół tysiąca. Dolarów. Amerykańskich, nie kanadyjskich.

Marynarz ponownie otaksował go spojrzeniem.

- Musiałbym wciągnąć w to paru ludzi...

- Dwa i pół tysiąca tylko dla ciebie - przerwał mu Paul. - Jeśli będą dodatkowe koszty, pokryję.

- Zaczekaj. - Marynarz wstał. Nagły przyływ chciwości nieco go otrzeźwił. - Muszę zadzwonić.

Janson czekał, bębniąc palcami w cynkowaną ladę; udawanie pijanego wymagało trochę wysiłku, natomiast zdenerwowanego udawać wcale nie musiał. Minuty wlokły się w nieskończoność. Wreszcie marynarz wrócił,

- Rozmawiałem ze znajomym kapitanem. Mówi, że jak wejdiesz na pokład z narkotykami, wyrzuci cię na środku morza bez kamizelki ratunkowej.

- No co ty! - zaprotestował przerażony Janson. - Wykluczone! Żadnych narkotyków!

- Ta albańska kurwa też ci je zabrała? - spytał cierpko marynarz.

- Co? - Paul podniósł głos, jak pozbawiony poczucia humoru biznesmen, którego właśnie obrażono. - Co ty gadasz?!

- Żartuję - odparł marynarz, mając przed oczyma dwa i pół tysiąca dolarów. - Ale obiecałem kapitanowi, że cię uprzedzę. - Umilkł i po chwili dodał: - To kontenerowiec. Odpływa o czwartej rano z pirsu dwudziestego trzeciego. Cztery godziny później cumuje przy nabrzeżu szóstym w Izmirze. Schodzisz na ląd i dalej radzisz sobie sam. Nikomu nie powiesz, jak się tam dostałeś, jasne? - Zrobił gest, jakby podrzynał sobie gardło. - To bardzo ważne. I jeszcze jedno: zapłacisz kapitanowi tysiąc dolarów. Z góry. Będę tam i cię przedstawię.

Janson kiwnął głową, wyjął pieniądze i trzymając ręce pod ladą, zaczął odliczać banknoty.

- Druga połowa rano - szepnął.

Marynarzowi zatańczyły oczy.

- Dobrze. Ale jeśli kapitan spyta cię, ile mi dałeś, skreśl jedno zero. Zgoda, mój nowy

przyjacielu?

- Ratuszujesz mi życie - odrzekł Paul.

Marynarz zacisnął rękę na zwiłku banknotów, szacując jego wagę i grubość.

- Czy mogę zrobić dla ciebie coś jeszcze? - spytał z uśmiechem.

Janson z roztargnieniem pokręcił głową.

- Powiem żonie, że mnie napadli - mruknął, pocierając serdeczny palec.

- Powiedz jej, że napadł cię Albańczyk - doradził marynarz. - Kto by w to nie uwierzył?

Później, już na lotnisku w Izmirze, Janson doszedł do wniosku, że tego rodzaju zagrywki przebiegają według ciekawego schematu. Ludzie bez namysłu ufają człowiekowi, który otwarcie przyznaje się do tego, że nie jest godny zaufania. Komuś, kto padł ofiarą własnej chciwości i żądzy, okazuje się współczucie chętniej niż komuś, kto miał zwykłego pecha. W rozmowie z przedstawicielem brytyjskiego biura podróży Paul bez żenady przedstawił tę samą historyjkę, którą opowiedział marynarzowi z Pireusu.

- Nie powinien pan być zadawać się z tymi brudnymi dziewczynkami - orzekł przewodnik; miał kurzą klatkę piersiową, jasne, kudłate włosy i uśmiechał się do niego uśmiechem, w którym było więcej sadyzmu niż męskiego zrozumienia. - Łobuziak z pana, oj, łobuziak. - Na piersi miał plastikowy identyfikator z nazwą biura podróży i z propagowanym przez biuro sloganem reklamowym: „Holiday Express Ltd. - radość i zabawa!”

- Byłem pijany w trzy dupy! - zaprotestował Janson z akcentem przedstawiciela brytyjskiej niezamożnej klasy średniej. - Pieprzone Turczynki. Obiecała mi prywatny pokaz. Myślałem, że mówi o tańcu brzucha!

- Na pewno - odrzekł tamten z lubieżnym uśmieszkiem. - Niewiniątko z pana, co? - Po kilku dniach podlizywania się i rozweselania rozkapryszonych klientów nareszcie mógł komuś dogryźć.

- Ale zostawić mnie tu jak ostatnią szmatę? Wykupiłem zorganizowaną wycieczkę, powinni byli o mnie pamiętać!

- Zdarza, się. Zdarza. Klient idzie w tango i znika. Grupa nie spóźni się na samolot tylko dlatego, że ktoś zapał i zaspał. To niedorzeczne, prawda?

- Cholera, kompletny idiota ze mnie - odrzekł ze skrucą Paul. - Myślałem jajami, nie głową.

- Któż z nas jest bez grzechu, jak mówi Pismo - rzekł przewodnik już nieco łagodniejszym tonem głosu. - Pańskie nazwisko?

- Cavanaugh. Richard Cavanaugh. - Znalezienie nazwiska na liście podróżujących z Holiday Express kosztowało go dwadzieścia minut w kawiarence internetowej przy Kibris Sehileri.

- Richard Cavanaugh - powtórzył przewodnik. - Pan Cavanaugh jedzie na wycieczkę i uczy się żyć w cnotcie. - Wtykanie szpilek bezbronnemu klientowi - w dodatku klientowi, który nie może złożyć oficjalnego zażalenia - bezgranicznie go bawiło.

Janson łypnął na niego spode łba.

Przewodnik zatelefonował do izmirskiej filii Thomasa Cooka i wyjaśnił, co przydarzyło się jednemu z klientów, taktownie pomijając najciekawsze fragmenty jego opowieści. Dwa razy powtórzył nazwisko. Ze słuchawką w rękę czekał dziesięć minut, głównie milcząc i słuchając.

Skończywszy rozmowę, pokręcił głową i parsknął śmiechem.

- Oni myślą, że dwie godziny temu wylądował pan w Stansted wraz ze swoją grupą.

- O cholera... - Janson popatrzył na niego z niedowierzaniem w oczach.

- Zdarza się. Zdarza ~ rzucił filozoficznie tamten, rozkoszując się swoją światowością.

- Na liście pasażerów jest dwadzieścia odhaczonych nazwisk. Nikomu nie chce się ich sprawdzić, nikt ich nie sprawdza i komputer bez sprzeciwów kupuje całą dwudziestkę. W regularnych liniach lotniczych rzecz nie do pomyślenia ale czartery bywają trefne. Ups! Niech pan nie powtarza tego mojemu szefowi. „Najwyższa jakość usług za najniższą cenę”. To nasze credo. Gdyby wierzyć komputerowi, ganiałby pan teraz po swoim sklepie z okularami w Uxbridge, zamiast siedzieć w Izmirze i robić w portki ze strachu, że już nigdy nie wróci pan do rodzinnego domu. - Zerknął na Jansona kątem oka i dodał: - Dobra była?

- Co?

- Ta dziwka. Dobra była?

- Sęk w tym, że nic nie pamiętam - odrzekł speszony Paul. – Byłem za bardzo nawalony.

Przewodnik uściśnął go lekko za ramię.

- Myślę, że będę mógł panu pomóc. Ale niech pan pamięta: to uczciwa firma, nie organizujemy tu wycieczek do burdeli. Następnym razem niech pan mocno zapnie rozporek. Inaczej wykluje pan komuś oko, jak powiada moja dziewczyna. - Ryknął śmiechem, rozkoszując się swoim ordynarnym poczuciem humoru. - Zwłaszcza że pracuje pan w sklepie z okularami!

- Nie w sklepie z okularami, tylko w centrum optycznym – odparł Janson, wczuwając się w rolę dumnego sprzedawcy. - A więc dowieziecie mnie na Stansted? Nie będzie żadnych problemów?

- Nie. - Przewodnik zniżył głos. - Właśnie próbuję to panu wytłumaczyć. Firma tego dopilnuje. Rozumie pan? Pomożemy panu.

Paul z wdzięcznością kiwnął głową, doskonale wiedząc, co spowodowało ten nagły przyływ altruizmu: zdumienie i popłoch, jaki telefon przewodnika musiał wywołać w centrali. Strategia Jansona polegała na tym, żeby przyprzeć ich do muru: urzędnicy brytyjskiego biura podróży wprowadzili w błąd brytyjski urząd celny, twierdząc, że niejaki Richard Cavanaugh, zamieszkały przy Culvert Lane 43 w Uxbridge, przekroczył granicę i wrócił do kraju. Jedynym sposobem uniknięcia serii kłopotliwych przesłuchań i ewentualnego cofnięcia licencji było zorganizowanie wszystkiego tak, żeby Richard Cavanaugh naprawdę wrócił do Anglii, nie pozostawiając za sobą śladów, które mogłyby dać podstawy do zarzutów, że biuro prowadzi niefrasobliwą, a może nawet nieuczciwą działalność. Dokumenty, które przygotował dla niego przewodnik o kurzej klatce piersiowej - „Pilny transport personel lotniczy” - były tymczasowym środkiem zaradczym, stosowanym głównie w nagłych przypadkach medycznych, ale z powodzeniem wystarczyły. Holiday Express elegancko po sobie posprząta i Dickie Cavanaugh zdąży do domu na kolację.

Przewodnik zachichotał, wręczając mu plik żółto-pomarańczowych kartek.

- Za bardzo nawalony, żeby pamiętać? Nic tylko usiąść i płakać, co?

Małym, wycarterowanym samolotem doleciał do Istambułu, gdzie po dwugodzinnym oczekiwaniu przesiadł się do większej, również wycarterowanej maszyny z trzema grupami turystów Holiday Express na pokładzie, która miała wylądować na lotnisku Stansted na północ od Londynu. Ilekroć było trzeba, pan Cavanaugh machał plikiem żółtych kartek z Izmiru i przedstawiciel biura podróży natychmiast prowadził go do samolotu. Polecenie musiało nadejść z samej góry: zaopiekujcie się tym palantem, bo mogą być poważne kłopoty.

Podczas trzygodzinnego lotu sponiewierany i dobity turecką przygodą optyk z Uxbridge prawie z nikim nie rozmawiał, oddając się ponurym wspomnieniom. Ci zaś, z którymi rozmawiał, widzieli w nim jedynie naiwnego i głupiego sprzedawcę, który poprzysiągł sobie, że jego nierozważne wyczyny na zawsze pozostaną na Oriencie.

Paul zamknął oczy i w końcu zdołał zasnąć, chociaż wiedział, że znowu nawiedzą go złe duchy z przeszłości.

Działo się to przed trzydziestoma laty, czyli teraz. W odległej dżungli, czyli tutaj. Janson wrócił z nieudanej misji w Noc Lo i bez chwili zwłoki ruszył prosto do namiotu Demaresta. Powiedziano mu, że komandor porucznik chce z nim natychmiast rozmawiać.

Brudny i cuchnący stanął przed pogrążonym w zadumie dowódcą. Z małych głośników płynęła średniowieczna pieśń, prosta i powolna.

Demarest w końcu podniósł wzrok.

- Wiesz, co się tam wydarzyło? - spytał.

- Nie, panie poruczniku.

- Jeśli jakieś wydarzenie nie ma sensu, nie ma też powodu, żeby się wydarzyło. Nie w takim świecie chcemy żyć. Chcemy żyć w świecie, w którym wszystko ma jakiś cel i znaczenie.

- Już panu mówiłem, panie poruczniku: oni tam na nas czekali.

- A więc sprawa jest chyba jasna, prawda?

- Nie wygląda pan na... Widzę, że nie jest pan zaskoczony, panie poruczniku.

- Zaskoczony? Nie. To była moja hipoteza zerowa: sprawdzałem słuszność pewnych założeń. Musiałem mieć pewność. Noc Lo to taki mały eksperyment. Jeżeli mamy powierzyć nasze plany taktyczne łącznikom z Armii Republiki Wietnamu, trzeba najpierw sprawdzić ich wiarygodność i lojalność. Trzeba sprawdzić, kto i w jaki sposób przekazuje informacje miejscowym rebeliantom. Jest na to tylko jeden sposób. Dostaliśmy nauczkę. Przekonaliśmy się o czymś. Wiemy już, że wróg jest zażarty i pragnie naszej zguby, że pragnie jej całym sercem, duszą i umysłem. A co się dzieje u nas? U nas pracuje banda przeniesionych służbowo urzędników, którzy myślami wciąż błądzą po swoich nowojorskich gabinetach. Synu. Kilka godzin temu omal nie zginąłeś. Czy Noc Lo to klęska czy zwycięstwo? Niełatwo powiedzieć, co?

- Smaku zwycięstwa to raczej nie miało, panie poruczniku.

- Powiedziałem, że Hardaway zginął, bo był słaby. Ty przeżyłeś, bo jesteś silny. Wiedziałem, że jesteś silny. Silny jak twój ojciec; o ile dobrze pamiętam, był w drugim rzucie desantowców szturmujących Czerwoną Plażę. Silny jak twój wuj, który z myśliwską strzelbą w rękę polował na oficerów Wehrmachtu w lasach i jarach Szumawy. Nie ma ludzi bardziej zaciekłych niż partyzanci ze wschodniej Europy; ja też miałem takiego wuja. Wojna pokazuje nam, kim naprawdę jesteśmy, Paul. Mam nadzieję, że dzisiaj poznałeś siebie trochę lepiej. Że już wiesz, co ja do strzegłem w tobie w Little Creek.

Komandor porucznik Demarest sięgnął po leżącą na biurku książkę, zniszczoną i pełną oślich uszu.

- Znasz Emersona? Przeczytam ci coś. „Człowiek wielki zawsze pragnie być mały. Siedząc na miękkich poduszkach korzyści i przywilejów, szybko usypia. Ale zmuszony do działania, torturowany i pokonany, ma okazję, żeby nauczyć się czegoś o sobie. Sprawdza swoje męstwo. Poznaje fakty. Leczy się z ignorancji i szaleństwa zarozumiałości”. Coś w tym musi być, nie sądzisz?

- Chyba tak, panie poruczniku.

- Pole bitwy to wielki poligon. Na polu bitwy albo giniesz, albo rodzisz się na nowo. To nie metafora, synu. Rozmawiałeś kiedyś z matką o tym, jak cię rodziła? Kobiety wiedzą, kobiety to rozumieją. Wiedzą, że kulminacją ich życia, życia ich rodziców, życia rodziców ich rodziców, życia całej ludzkości na tej planecie jest wydanie na świat tej mokrej, śliskiej, rozwrzeszczanej istoty, że jest tak od dziesiątków tysięcy lat. Poród wygląda strasznie. Dziewięćmiesięczny cykl, od przyjemności do bólu. Wody płodowe, rozdęte trzewia, krew: rodzi się dziecko. To ty. Chwila niewysłowionego cierpienia. Tak, poród jest koszmarem, ponieważ znaczenie nadaje mu ból. Widzę, jak stoisz tu, cuchnąc krwią i bebechami innego żołnierza, patrzę ci w oczy i wiem, że dzisiaj odżyłeś, narodziłeś się na nowo.

Janson gapił się na niego bez słowa. Był po trosze przerażony, po trosze zahipnotyzowany i oszołomiony.

Demarest wstał, wciąż przeszywając go wzrokiem. Położył mu rękę na ramieniu i dodał:

- O co w tej wojnie chodzi? Wykształceni na najlepszych uniwersytetach urzędnicy z Departamentu Stanu w Waszyngtonie twierdzą, że odpowiedź na to pytanie zawarli w swoich grubych skoroszytach. Ale to tylko nic nie znaczący szum, bezsensowne tłumaczenia. W każdej wojnie chodzi o to samo: o wypróbowanie ludzi i sprzętu. W ciągu ostatnich czterech godzin poznałeś, co znaczy siła i wyczerpanie. Przeżyłeś więcej - w agonii, ekstazie i pod wpływem czystej adrenaliny - niż normalny człowiek przeżywa w ciągu całego życia. Ty żyjesz, Paul. Żyjesz bardziej niż te chodzące trupy, które siedząc za kierownicą samochodu, wmawiają sobie, jacy to są szczęśliwi, że nie muszą patrzeć śmierci w oczy jak ty. To oni są zagubieni, nie ty. To oni są przegrani. Spędzają czas na porównywaniu cen drobiu i proszków do prania, na rozważaniach o zepsutym zlewozmywaku i o rym, czy naprawić go samemu, czy lepiej poczekać na hydraulika. Oni nie żyją, Paul. Oni już dawno umarli i nawet o tym nie wiedzą. – Demarest błysnął jasnymi oczyma. - O co chodzi w wojnie? O prostą rzecz: o to, żeby zabić tych, którzy chcą zabić ciebie. Noc Lo: co to było? Klęska czy zwycięstwo? Przykładasz do tego złą miarę, synu. Oto, co się tam wydarzyło: omal nie zginąłeś i teraz już wiesz, co znaczy żyć.

Rozdział 12

Wielka ciężarówka z ładunkiem surowej tarcicy zjechała z ruchliwej szosy M1 i skręciła w Queen's Road. Tam zaparkowała obok kilku innych wielkich ciężarówek z materiałami budowlanymi i sprzętem naprawczym. Tak to już jest z tymi dużymi, starymi uniwersytetami: zawsze się coś tam naprawia i remontuje.

Gdy kierowca zgasił silnik, mężczyzna, którego podwiózł, podziękował mu serdecznie i wysiadł. Zamiast jednak iść do pracy - miał na sobie ciemnobrązowy kombinezon roboczy - ruszył prosto do jednej z przenośnych toalet w pobliżu placu budowy; na jej plastikowych drzwiach wymalowano hasło reklamowe jednej z firm budowlanych z West Yorkshire: „Innowacja: pierwsi wśród najlepszych”. Wyszedł stamtąd w tweedowej marynarce w jodełkę. Wiedział, że dzięki temu przebraniu nie będzie rzucał się w oczy, spacerując po rozległych zielonych trawnikach najstarszych college'ów Cambridge: King's, Clare, Trinity Hall i Trinity College, do którego chciał dotrzeć. Odkąd Paul Janson wylądował na Stansted pod Londynem - lotnisko było teraz jedynie niewyraźnym wspomnieniem, pełnym przeszklonych ścian i pikowanych stałą sufitów - minęło zaledwie cztery godziny.

W ciągu ostatniej doby wypowiedział tyle kłamstw i tak często zmieniał akcent, że rozboleła go głowa. Ale już wkrótce miał spotkać kogoś, kto być może rozproszy mgłę tajemnicy. Kogoś, komu będzie mógł zaufać. Jedyne go człowieka, który mógł rzucić trochę światła na tragedię u wybrzeży Anury. Tak, pomocy musiał szukać w Trinity College: u profesora Angusa Fieldinga.

Trafił do niego na początku lat siedemdziesiątych jako student historii gospodarczej. Fielding, mężczyzna o łagodnej twarzy, śmiejących się oczach i umyśle mędrca, miał w sobie coś, co go porwało, on zaś też musiał czymś zafascynować jego, gdyż naukowiec szczerze go polubił. Od tamtych czasów minęło wiele lat. Paul bardzo nie chciał wciągać go w to niebezpieczne śledztwo, ale nie miał wyboru. Jego stary akademicki mentor, ekspert od globalnych systemów finansowych był członkiem trustu mózgow Petera Novaka, trustu, który kierował Fundacją Wolność. I jak ostatnio słyszał, dziekanem Trinity College.

Gdy przechodził przez most, naszły go wspomnienia z innej epoki, ze złotych czasów nauki, ukojenia i wypoczynku. Kojarzył się z nimi każdy mijany zakamarek, każdy szczegół. Trawniki, gotyckie gmachy, nawet płaskodenne łodzie, które sunęły po rzece Cam pod łukami kamiennych mostów, rozgarniając po drodze zasłony płaczących wierzb. Im bliżej Trinity, tym silniej powiewały wiatry z przeszłości. Oto gmach jadalni wzniesiony na początku XVII wieku, oto wspaniała biblioteka Wrena ze swymi strzelistymi stropami i łukowatymi przejściami. Trinity College był wielki i majestatyczny, lecz stanowił jedynie niewielką część olbrzymiej całości: kolegium miało drugą co do wielkości własność ziemską w Wielkiej Brytanii, zaraz po własności królowej. Janson minął bibliotekę i skręcił w wysypany żwirem podjazd przed domem dziekana.

Wcisnął guzik dzwonka. Otworzyło się okno.

- Do dziekana, kochanieńki? - spytała służąca.

- Tak.

- Chyba troszkę za wcześnie, prawda? Ale nie szkodzi. Niech pan zajdzie od frontu, to pana wpuszczę. - Najwyraźniej wzięła go za kogoś, kto był umówiony o tej godzinie.

Środki bezpieczeństwa? Żadne. Nie spytała go nawet o nazwisko. Cambridge nie zmieniło się ani o jotę od czasów, gdy tu studiował.

Dom dziekana. Szerokie, wyłożone czerwonym dywanem schody i galeria słynnych luminary z minionych stuleci: portret brodatego George'a Trevelyana, gładkoliciego Williama

Whewella, portret zdobnego w gronostaje Christophera Wordswortha. Na szczycie schodów, po lewej stronie, był wyłożony różowym dywanem salon o ścianach pomalowanych na biało, żeby nie gryzły się za bardzo z wiszącymi na nich obrazami. Za pierwszym salonem był drugi, nieco większy: jego ciemną podłogę pokrywały wschodnie dywany. Gdy Janson wszedł do środka, z naturalnych wymiarów portretu spojrziała na niego królowa Elżbieta I - namalowany za jej życia obraz z niezwykłą wprost wiernością oddawał każdy szczegół jej sukni, nie oszczędzając też zniszczonej twarzy. Z sąsiedniej ściany spoglądał na niego władczy Isaac Newton w brązowej peruce, do ich dwojga zaś szyderczo - a może bezczelnie - uśmiechał się z obrazu czternastoletni Lord Gloucester. Nie licząc Narodowej Galerii Portretów, była to jedna z najwspanialszych kolekcji tego rodzaju w świecie, procesja postaci należących do elity intelektualnej i politycznej Wielkiej Brytanii, które kształtując historię, odpowiadały za sukcesy i porażki swej ojczyzny. Większość lśniących obrazów przedstawiała ludzi z minionych epok, mimo to pasowałby tu również portret Petera Novaka, gdyż jego wielkość - podobnie jak wielkość wszystkich prawdziwych przywódców - wyrastała z poczucia obowiązku, z głębokiego moralnego poczucia życiowej misji.

Janson patrzył jak urzeczony na twarze dawno już nieżyjących królów i doradców, dlatego aż drgnął, słysząc czyjś dyskretny kaszel.

- Boże święty, to naprawdę ty! - wykrzyknął Angus Fielding na wpół piskliwym, na wpół dudniącym głosem. - Wybacz, patrzyłem na ciebie, jak oglądasz portrety i zastanawiałem się, czy to możliwe. Te ramiona, ten chód, myślałem... Chłopcze drogi, ileż to lat? Doprawdy, zrobiłeś mi najcudowniejszą niespodziankę, jaką tylko mogę sobie wyobrazić. Gilly powiedziała mi, że ktoś przyszedł - byłem umówiony na dziesiątą - więc nastawiłem się duchowo na rozmowę z pewnym mało obiecującym magistrantem; mieliśmy uciąć sobie pogawędkę o Adamie Smisie i o Condorcet. Osobnik ten, by zacytować Lady Asquith, „ma żywy umysł, lecz morduje go, podejmując decyzję”. Pomyśleć tylko, przed czym mnie uratowałeś.

Zza chmur wychynęło słońce i otoczyła go świetlista aureola. Twarz miał zrytą zmarszczkami, siwe włosy rzadsze niż przed laty, lecz wciąż szczupły, trzymał się prosto, a z jego niebieskich oczu biła wesoła jasność, jakby przypomniawszy mu się jakiś dowcip - nienazwany kosmiczny dowcip - i jakby właśnie zamierzał go opowiedzieć. Dobijał siedemdziesiątki i nie należał do olbrzymów, lecz miał w sobie coś, ów tajemniczy zapał, który czynił go olbrzymem.

- Chodź, drogi chłopcze, chodź. - Krótki korytarz, zadzierzysta sekretarka i przestronny gabinet z dużym oknem na Wielki Dziedziniec. Proste, białe półki były wypełnione książkami, czasopismami i kserograficznymi kopiami jego artykułów o tytułach tak porażających, jak: *Czy globalnemu systemowi finansowemu grozi upadek? Pogląd makroekonomiczny, Płynność walut obcych, a stanowisko Banku Centralnego, Nowe metody pomiaru ryzyka na rynku globalnym, Strukturalne aspekty płynności rynkowej i ich wpływ na stabilność finansową*. Na stole leżał przyżółcony słońcem egzemplarz „Dalekowschodniego Przeglądu Gospodarczego”; na jego okładce widniało zdjęcie Petera Novaka i napis: ROZMIENIĆ DOLAR NA DROBNE.

- Przepraszam za bałagan - powiedział Fielding, zabierając dokumenty z zabytkowego krzesła przed biurkiem. - Wiesz, w sumie cieszę się, że nie uprzedziłeś mnie o wizycie, bo mógłbym się jeszcze napuszyć i obydwaj bylibyśmy rozczarowani. Wszyscy mi mówią, że bym wyrzucił kucharkę, ale ta biedaczka pracuje tu chyba od restauracji Stuartów i nie mam do tego serca. Jest moją *emitence grise*, a przygotowane przez nią jedzenie bywa silnie toksyczne. Do naszych udogodnień i wygód, do tej ciekawej kombinacji obfitości i skromności, by nie powiedzieć niechlujności, dość trudno przywyknąć. Na pewno pamiętasz to ze swoich czasów, ale takie rzeczy pamięta się jak zabawę w berka w dzieciństwie, jak coś, co przed laty bardzo wciągało, a teraz zdaje się zupełnie bez sensu. - Poklepał Jansona po ramieniu. - Ale z wiekiem, drogi chłopcze, z wiekiem stajesz się tego nieodłączną częścią.

Powódź słów, nagłe zwroty i zawirowania, szybko mrugające roześmiane oczy -to był ten sam Angus Fielding, na przemian mądry i zgryźliwy. Jego oczy widziały więcej niż zdradzały, a profesorska swada mogła być skuteczną metodą odwracania uwagi i kamuflażu. Wykładał na wydziale, który wypuścił takich gigantów jak Marshall, Keynes, Lord Kaldor czy Sen, i słychać nie tylko z dzieł na temat globalnego systemu finansowego. Był również członkiem Tuesday Club, stowarzyszenia intelektualistów i analityków, którzy swego czasu utrzymywały kontakty z brytyjskim wywiadem. Na początku kariery Fielding współpracował z MI6, badając słabe punkty gospodarki krajów bloku wschodniego.

- Angus... - zaczął Janson głosem cichym i skrzekliwym.

- Butelka bordo! - wykrzyknął Fielding. - Wiem, jest trochę za wcześnie, ale możemy to załatwić. Przez okno widać Wielki Dziedziniec, a, o ile pamiętasz, pod dziedzińcem jest wielka piwnica; naprawdę wielka, bo sięga aż do ogrodu. Katakumby pełne bordo! Winny Fort Knox! Mamy tu dozorcę z wielkim pękiem kluczy i tylko on nas tam wpuszcza. Mamy też specjalny komitet, który decyduje o nowych zakupach, ale jest to ciało rozdarte na liczne frakcje, jak była Jugosławia, tyle że bardziej wojownicze. - Zadzwoił do sekretarki. - Czy moglibyśmy prosić o butelkę Lynch Bages rocznik osiemdziesiąt dwa? Tak, tę nie otwartą, tę z wczoraj...

- Angus - powtórzył Janson. - Przyszedłem porozmawiać o Peterze Novaku.

Fielding znieruchomiał i spojrzał na niego czujnymi oczami.

- Przysłał cię tu z jakąś wiadomością?

- Nie, ale mam wiadomości o nim.

Fielding milczał przez chwilę.

- Dziwne - powiedział w końcu. - Czuję przeciąg. Zimny przeciąg. - Pociągnął za konicuszek ucha.

- Nie wiem co już o tym wiesz, ale... - Janson urwał.

- O czym? Nie rozumiem...

- Angus, Novak nie żyje.

Fielding gwałtownie pobladał i przez długie sekundy patrzył na niego bez słowa. Potem opadł jak przekłuty balon na drewnianym krześle z oparciem w kształcie harfy.

- Podobne plotki krążyły już w przeszłości... - wyszeptał.

Janson usiadł obok niego.

- Zginął na moich oczach.

Fielding osunął się jeszcze niżej. Wyglądał teraz jak sędziwy starzec.

- To niemożliwe - wymruczał. - Niemożliwe.

- Zginął na moich oczach - powtórzył Paul.

Opowiedział mu, co wydarzyło się na Anurze. Mówił o wciąż jeszcze żywym koszmarze eksplozji, aż zabrakło mu tchu. Angus słuchał. Lekko przymknął oczy i z twarzą bez wyrazu od czasu do czasu łagodnie kiwał głową. Słuchał go jak studenta na konsultacjach.

Janson też był kiedyś jego studentem. Ale nie typowym młodym chłopakiem o rumianych policzkach, który wkłada swój szkolny krawat, bierze plecak wypchany sponiewieranymi podręcznikami i przeciekającymi długopisami, wskakuje na rower i pedałuje jak szalony King's Parade. Gdy dzięki stypendium Marshalla przybył do Cambridge, był wrakiem człowieka. Chudy jak szkielet, obciągnięty siłą, niemal przezroczystą skórą, próbował uleczyć ciało i duszę, wyniszczone i wypalone półtoraroczną niewolą w Wietnamie i potwornościami, które okres ten poprzedzały. Był rok 1974 i Janson podjął studia które rozpoczął przed laty na uniwersytecie stanowym w Michigan. Studiował historię gospodarczą świata: on, komandos słynnych Fok, trafił do gaju Akademosy. Początkowo bał się, że nie da rady się przystosować. Ale czy w wojsku nie nauczono go przystosowywania się do nowych warunków bez względu na to, jakie one są? Zamiast ksiąg kodowych i dokładnych map terenowych miał teraz księgi

historyczne i wzory matematyczne, mimo to wziął się do nich z uporem, determinacją i gorliwością.

Chodził na konsultacje do Fieldinga, który mieszkał wtedy w Neville Court. Siadał, zaczynał mówić, a profesor jakby drzemał. Lecz gdy tylko Paul kończył, mędrzec otwierał oczy i po kolei wytykał mu wszystkie słabe punkty referatu. Pewnego razu Janson przedstawił mu analizę gospodarczych konsekwencji ekspansjonizmu Bismarcka. Fielding jak zwykle ocknął się, otworzył oczy i zasypał go gradem pytań. Jaka jest różnica między ekspansjonizmem i regionalną konsolidacją? Co z konsekwencjami gospodarczymi aneksji Szlezwika-Holsztynu, do której doszło kilka lat wcześniej? Skąd wziął liczby, na których oparł swoją analizę - chodziło o dewaluację niemieckiej marki w latach tysiąc osiemset siedemdziesiąt trzy, siedemdziesiąt siedem - bo chyba nie z Hodgemana, prawda, młody człowieku? Z Hodgemana? Wielka szkoda. Staremu Hodgemanowi wszystko się pokręciło. Cóż, ostatecznie czego można oczekiwać po absolwencie Oksfordu? Przykro mi, chłopcze. Wracaj do domu i dokładnie to sobie przemyśl. Zanim zbudujesz dom, upewnij się, czy masz fundamenty.

Nieprawdopodobnie inteligentny, maniery miał wytworne, nawet wykwintne. Często mówił o szekspirowskim „śmieszku z nożem” i chociaż nie był hipokrytą, określenie to dobrze go charakteryzowało. To, że przydzielono mu na konsultacje Jansona, jak wyznał kilka miesięcy po rozpoczęciu nauki, nie było dziełem zwykłego przypadku. Miał przyjaciół w Waszyngtonie, którzy - będąc pod wrażeniem niezwykłych dokonań i umiejętności Jansona - poprosili go, żeby zechciał mieć na niego oko. Po dziś dzień Paul nie był do końca pewny, czy Fielding zwerbował go do Konsularnego Wydziału Operacyjnego czy tylko podsunął mu tę opcję i pozwolił zdecydować samemu. Pamiętał długie rozmowy o „sprawiedliwych wojnach” i współzależności między idealizmem i realizmem podczas wybuchu usankcjonowanej przez państwo przemocy. Czy wypytyując go o poglądy na różne tematy, chciał wyćwiczyć jego umysł czy też badał również jego zdolności analityczne? A może umiejętnie te poglądy kształtował, chcąc, żeby doszedłszy do siebie, Janson służył ojczyźnie w inny sposób?

Wytarł oczy chustką, mimo to wciąż były wilgotne.

- Novak był wielkim człowiekiem, Paul. Może to niemożne określenie, ale nie znałem nikogo takiego jak on. Boże, to wizjonerstwo, ta błyskotliwość, to współczucie. Tak niezwykle, absolutnie niezwykle człowiek. To prawdziwe szczęście, że mogłem go poznać. Nasze stulecie, to nowe stulecie, też powinno być szczęśliwe, że Novak w nim żył! - Ukrył twarz w dłoniach. - To paplanina starego głupca... Paul, nigdy nie podziwiałem żadnych bohaterów, ale on... On był przedstawicielem wyższej formy ewolucyjnej. Podczas gdy nas, zwykłych ludzi, pochłaniało skakanie sobie do gardeł, on zdawał się należeć do innej rasy, która umiała godzić umysł z sercem, zapal z dobrocią. Nie był tylko specjalistą od liczb: rozumiał ludzi, bardzo ich ukochał. Myślę, ten sam szósty zmysł, dzięki któremu potrafił przewidzieć reakcje rynków walutowych - wysokość fal ludzkiej chciwości - pozwalała mu również dokładnie określić, jakiego rodzaju interwencja socjalna będzie najskuteczniejsza w tym czy innym rejonie naszej planety. Ale jeśli spytasz, dlaczego rzucał się na problemy, które inni uważali za beznadziejne i nierozwiązywalne, musisz wiedzieć, że zdrowy rozsądek to nie wszystko. Wielkie umysły to rzadkość, ale jeszcze większą rzadkością są wielkie serca. A to było kwestią serca. Filantropią w swym podstawowym znaczeniu: miłością. - Fielding cicho wydmuchał nos i szybko zamrugnął, próbując wziąć się w garść.

- Byłem mu winny życie - powiedział Janson, wspominając pył Baaqliny. - Jestem mu winny wszystko.

- Podobnie jak cały świat. Dlatego to niemożliwe. Mówiłem o konsekwencjach faktu, nie o samym fakcie. Novak nie ma prawa umrzeć. Zbyt wiele od niego zależy. Zależy od niego zbyt wiele delikatnych wysiłków zmierzających do osiągnięcia pokoju i stabilizacji. On je sponsoruje, on je inspiruje. Jeśli zginie, wraz z nim zginie wielu innych, wiele ofiar bezsensownego cierpienia i rzezi: Kurdowie, Hutu, Cyganie, wszyscy pogardzani tego świata.

Chrześcijanie w Sudanie, muzułmanie na Filipinach, Indianie w Hondurasie, Ainu w Japonii... *Damnes de la terre*. Wszystkich nawet nie da się wyliczyć. Będą działały się złe rzeczy, Paul. Dużo złych rzeczy. Tamci wygrają.

Fielding jakby zmałał, nie tylko się zestarzał. Widać było, że jest bardzo wyczerpany.

- Może jednak da się wynegocjować remis - rzekł cicho Janson.

Fielding spojrział na niego z rozpaczą w oczach.

- Chcesz powiedzieć, że schedę po nim może przejąć Ameryka. Pewnie myślisz nawet, że to jej obowiązek. Ale wy, Amerykanie, nie rozumiecie jednego: antyamerykanizmu i tego, jak głęboko antyamerykanizm ten zakorzeniony jest w świecie. Dzisiaj, w erze postzimnowojennej, wielu uważa, że żyjemy pod amerykańską okupacją gospodarczą. Wy mówicie o globalizacji, oni słyszą: amerykańszczenie. Oglądacie telewizję, widzicie migawki z antyamerykańskich demonstracji w Malezji czy w Indonezji, reportaże z protestów w Genewie czy Montrealu, słyszcicie o wybuchach bomb we francuskich McDonalldach i myślicie, że to tylko zwykłe przypadki. Wprost przeciwnie. To zapowiedź burzy, pierwsze krople deszczu przed urwaniem chmury.

Janson kiwnął głową. Słyszał to kiedyś, słyszał to przed paroma dniami.

- Ktoś powiedział mi niedawno, że świat nienawidzi Ameryki nie za to, co Ameryka robi, tylko za to, czym jest.

- I właśnie dlatego Novak jest bezcenny, właśnie dlatego nie da się go nikim zastąpić. - Fielding przybrał profesorski ton głosu. - Nie był Amerykaninem, nie można nawet twierdzić, że reprezentował amerykańskie interesy. Wszyscy wiedzą, że odrzucił wasze zaloty, że rozłodził wasz establishment, a zwłaszcza Departament Stanu, idąc własną, przez siebie obraną drogą. Jego jedyną gwiazdą przewodnią było sumienie. Był kimś, kto potrafił wstać i powiedzieć, że zbroczyliśmy z kursu. Że rynek niemoralny się nie utrzyma. Potrafił to powiedzieć i ludzie go słuchali. Czar rynku to nie wszystko, mówił. Potrzebna nam moralność zamierzeń i determinacja, żeby osiągnąć cel. - Profesor przełknął ślinę. Załamał mu się głos. - Właśnie to miałem na myśli, mówiąc, że nie wolno mu zginąć.

- Mimo to zginął - powiedział Paul.

Fielding kiwał się łagodnie do przodu i do tyłu. Przez chwilę milczał. Potem otworzył szeroko swoje jasnoniebieskie oczy.

- Dziwne jest to, że nikt nic o tym nie mówi, ani o uprowadzeniu, ani o zabójstwie. Bardzo dziwne. Zamiast wyjaśnień, przekazałeś mi nagie fakty. - Przeniósł wzrok na zachmurzone niebo, wiszące nad beczasowym przepychem dziedzińca. Widok, który nie uległ zmianie od stuleci.

- Miałem nadzieję, że mi pomożesz - powiedział Janson. - Kto mógł pragnąć jego śmierci?

Profesor powoli pokiwał głową.

- Spytaj raczej, kto jej nie pragnął. - Ruszyły trybiki. Jego oczy nabrały blasku, twarz mu się ściągnęła. - Oczywiście przesadzam. Niewielu śmiertelników zasłużyło na tyle miłości i wdzięczności co on. Mimo to. Mimo to... *La grande benevolenza attira la grande malevolenza*, jak powiedział Boccaccio. Zbytńia dobroć jest zaczynem wrogości.

- Wytłumacz mi to. Przed chwilą powiedziałeś, że tamci by wygrali. Jacy tamci?

- Dużo wiesz o Novaku?

- Tylko tyle, że był synem rozdartego przez wojnę narodu węgierskiego.

- Wychowywał się w środowisku ludzi wielce uprzywilejowanych i nieuprzywilejowanych jednocześnie. Był jednym z niewielu, którzy ocalili, gdy hitlerowcy spalili jego rodziną wieś po bitwie z żołnierzami Stalina. Jego ojciec, bliżej nieznanego węgierskiego szlachcica, był w latach czterdziestych członkiem rządu Miklósa Kallaya. Potem uciekł za granicę i podobno obsesyjnie lękał się o życie jedynego syna. Narobił sobie wrogów i myślał, że zechcą się na nim zemścić. Może i był paranoikiem, ale nawet paranoicy mają wrogów.

- Minęło ponad pół wieku. Kogo mogłoby dzisiaj obchodzić, co jego ojciec robił w latach czterdziestych?

Fielding postąpił mu surowe, profesorskie spojrzenie.

- Najwyraźniej słabo znasz Węgry. Właśnie tam znajdziesz jego największych zwolenników i najzagorzalszych wrogów. Oczywiście nie licząc milionów innych, rozsianych po całym świecie, którzy uważają, że padli ofiarą jego zabiegów finansowych. Wielu mieszkańców południowej Azji, których gniew podsycają demagodzy, obarcza go winą za upadek ich waluty.

- Uważasz, że bezpodstawnie?

- Novak mógł być największym spekulantem giełdowym w historii, ale nikt głośniejszym niż on nie wypowiadał się przeciwko nieuczciwym praktykom finansowym. Unifikacja walutowa miała im zapobiec, nie możesz więc twierdzić, że działał dla własnej korzyści. Wprost przeciwnie. Tak, naturalnie, niektórzy powiedzą, że to stara Anglia najbardziej odczuła skutki jego spekulatywnej polityki, przynajmniej początkowo. Pamiętasz, co działo się tu w latach osiemdziesiątych. Doszło do wielkiego kryzysu finansowego i wszyscy zastanawiali się, który z europejskich rządów obniży stawki. Novak postawił kilka miliardów, przeczuwając, że pierwsza będzie Wielka Brytania. I była: funt spadł, a jego fundusz wzbogacił się prawie trzykrotnie. Niesamowita zagrywka! Nasz ówczesny premier nasłał na niego tych z MI-6. Po zakończeniu śledztwa szef ekipy dochodzeniowej powiedział dziennikarzom „Daily Telegraph”, że, jedynym prawem, które złamał ten pan, jest prawo przeciętności”. Tak, oczywiście, kiedy spadł malajski ringgit i Novak wyczuł, że ponownie może zarobić, tamtejsi politycy nie przyjęli tego zbyt dobrze. Ale to demagodzy: zaczęli mówić o manipulacji, o tajemniczych złych mocach, i tak dalej. Tak więc, jak sam widzisz, lista tych, którzy mogliby życzyć mu śmierci, jest bardzo długa. Choćby Chiny. Mają tam rząd starców, gerontokrację, a gerontokraci najbardziej boją się demokracji sterowanej, którą lansuje jego organizacja. Wiedzą, że chciałby wprowadzić ją w Chinach, i ma tam potężnych wrogów. Podobnie jak we wschodniej Europie. Tam w tak zwanym sektorze sprywatyzowanym, siedzą byli komuniści, aparatczycy, którzy próbują przejąć były majątek państwowy. Największą groźbą jest dla nich ostra kampania antykorupcyjna, rozpętana przez Fundację Wolność na ich własnym podwórku. Wszyscy wiedzą, że poprzysięgli przejść do kontrofensywy. Jak powiadam: czyniąc dobro, zawsze komuś zagrażasz. Zagrażasz zwłaszcza tym, którzy czerpią korzyści z zakorzenionej wrogości i korupcji. Pytałeś, kogo miałem na myśli, mówiąc „tamci”. Oto odpowiedź.

Fielding z trudem siedział prosto, z jeszcze większym trudem panował nad emocjami.

- Należałeś do jego trustu - powiedział Janson. - Co tam robiłeś?

Profesor wzruszył ramionami.

- Od czasu do czasu zasięgał mojej rady w tej czy innej sprawie. Średnio raz na miesiąc rozmawialiśmy przez telefon. Raz na rok spotykaliśmy się w cztery oczy. Prawdę mówiąc, mógłby nauczyć mnie więcej niż ja jego, ale on umiał słuchać. Tak, był niezwykłym słuchaczem. Nigdy nie miał do nikogo pretensji, może tylko z wyjątkiem pretensji do samego siebie o to, że wiedział mniej, niż mógł wiedzieć. Zawsze niepokoiły go niezamierzone konsekwencje interwencji humanitarnych i akcji charytatywnych. Chciał mieć absolutną pewność, że dary dotrą tam, gdzie trzeba, że pomoc tym czy innym uciekinierom nie wesprze przypadkiem reżimu, przed którym uciekli. Zdawał sobie sprawę, że to nie zawsze możliwe. Wszędzie doszukiwał się minusów, wad i braków. Zawsze twierdził, że nie ma informacji absolutnie pewnych. To był jego podstawowy artykuł wiary. Wszystko to, co wiesz, musi zostać poddane krytycznej ocenie i w razie konieczności zarzucone.

Wiszące nad uniwersytecką kaplicą słońce przesłoniły chmury i po gabinecie zaczęły pełzać długie, rozmyte cienie. Janson miał nadzieję, że uda mu się zawęzić krąg podejrzanych, tymczasem Fielding pokazał mu, jak bardzo ten krąg jest szeroki.

- Mówisz, że spotykałeś się z nim nieregularnie...

- Peter nigdy nie ulegał nawykowi. Nie należał do samotników, nie, był raczej nomadą. Przypominał mi pewnego starożytnego mędrca, perypatetyka Epikratesa z Heraklei.

- Ale fundacja ma siedzibę w Amsterdamie.

- Tak, przy Prinsengracht 111/23. Wśród pracujących tam ludzi krąży to żałosne powiedzenie: Jaka jest różnica między Bogiem i Novakiem? Bóg jest wszędzie. Novak jest wszędzie z wyjątkiem Amsterdamu. - Fielding powtórzył ten znany dowcip bez odrobiny wesołości w głosie.

Janson zmarszczył brwi.

- Novak musiał mieć też innych doradców, w tym takich, których nazwiska nigdy nie dotarły do mediów. Niewykluczone, że któryś z nich wie o czymś bardzo istotnym i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Ci z fundacji spalili za sobą wszystkie mosty, nie mogą się z nimi w żaden sposób skontaktować. Między innymi z tego powodu tu przyjechałem. Muszę dotrzeć do ludzi, którzy współpracują lub współpracowali z Novakiem. Albo do kogoś, kto blisko z nim współpracował i został odsunięty na boczny tor. Nie można wykluczyć, że zabił go ktoś z najbliższego otoczenia.

Fielding uniósł brwi.

- Równie dobrze możesz skierować swą ciekawość w stronę tych, którzy współpracują lub współpracowali z tobą.

- To znaczy?

- Spytałeś mnie o jego wrogów, a ja odpowiedziałem, że są rozsiani po całym świecie. Pozwól, że poruszę teraz dość drażliwy temat. Czy jesteś całkowicie pewny rządu swego własnego kraju? - Nutka jedwabi sta przeplatała się w jego głosie ze stalową.

- Chyba nie chcesz powiedzieć tego, co myślę - zaprotestował ostro Janson. Wiedział, że jako członek słynnego Tuesday Club Fielding ma niezwykle rozbuchaną wyobraźnię.

- Stawiam tylko pytanie - odrzekł ostrożnie profesor. - Czy niemożliwe jest, żeby maczali w tym palce twoi byli koledzy z Konsularnego Wydziału Operacyjnego?

Paul drgnął: celny strzał. Pytanie to, choć pozornie nedorzeczne, dręczyło go od Aten.

- Ale dlaczego? Po co?

Czy to w ogóle możliwe?

Profesor poruszył się niespokojnie na antycznym krześle i przesunął palcami po czarnej, krokodylej skórze, którą je obito.

- Niczego nie twierdzę. Nawet nie sugeruję. Po prostu pytam. Pomyśl tylko. Peter Novak miał potężniejszą władzę niż niejeden suwerenny kraj. Niewykluczone, że chcący lub niechcący uniemożliwił Amerykanom przeprowadzenie jakiejś operacji, pokrzyżował im plany, zagroził waszyngtońskim biurokratom, rozgniewał kogoś wpływowego... - Machnął ręką, dając mu do zrozumienia, że możliwości jest bardzo dużo, że są zbyt rozmyte, by je skonkretyzować. - Czy to całkowicie wykluczone, żeby któryś z waszych strategów doszedł do wniosku, że Novak jest zbyt potężny, że stanowi zbyt wielkie zagrożenie jako niezależny aktor na scenie światowej polityki?

Tego rodzaju spekulacje były zbyt przekonujące, żeby zachować spokój ducha. Marta Lang знаła wielu wysoko postawionych przedstawicieli Departamentu Stanu i nie tylko. Nakłonili ją do tego, żeby go zaangażowała i o ile wiedział, dostarczyli nawet sprzęt oraz informacje wywiadowcze, niezbędne do przeprowadzenia misji na Anurze. Oczywiście musiała im poprzysiąc, że niczego nikomu nie powie, że dochowa tajemnicy ze względu na „polityczny aspekt sprawy”, o którym wspomniała podczas ich rozmowy. Janson nie musiał wiedzieć, skąd ten sprzęt pochodzi, ona zaś nie miała powodu, żeby nie dotrzymać danego słowa. Kim ci ludzie byli? Nie padło ani jedno nazwisko. Wiedział jedynie, że go znali lub o nim słyszeli. A więc najprawdopodobniej pracownicy Konsularnego Wydziału Operacyjnego. I jeszcze ten obciążający transfer szesnastu milionów dolarów. Myślał, że byli zwierzchnicy nie wiedzą o koncie w banku na Kajmanach, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że niekiedy rząd jest w

stanie wyrzucić delikatną presję na zagraniczne instytucje finansowe. Kto mógłby być lepiej ustawiony niż wysocy urzędnicy amerykańskich służb wywiadowczych, żeby sobie tylko wiadomym sposobem przelać pieniądze na jego tajne konto? Ich rozstaniu towarzyszyła uraza i zła wola, dobrze o tym pamiętał. To, że wiedział o wciąż działających siatkach szpiegowskich i znał obowiązujące procedury, mogło stanowić dla nich poważne zagrożenie.

Ale czy to możliwe?

Jak uknuli ten spisek? Czy bystrzy, szybko myślący taktycy z Waszyngtonu dopatrzyli się w tym okazji? Dwa ptaszki za jednym strzałem: zabić kłopotliwego miliardera i zrzucić winę na niesfornego agenta? Ale dlaczego nie pozostawili Novaka na Anurze? Dlaczego nie pozwolili, żeby zgładzili go tamtejsi ekstremiści? Tak byłoby dużo prościej i wygodniej: morderczy fanatycy Kalifa ścięliby go, i już. Tylko że...

Dobiegło go przytłumione dzwonienie starego, mosiężnego dzwonka: ktoś dzwonił do drzwi prowadzących do poczekalni przed gabinetem Fieldinga.

Profesor otrząsnął się z zamyślenia i wstał.

- Przepraszam, za minutkę wracam. To ten nieszczęsny magistrant. Nie mógł wybrać gorszej pory. Ale cóż...

Diagram się rozdziwił. W jednym rozgałęzieniu Stany Zjednoczone nie robiły nic, świat nie robił nic i Novak ginął. Dyplomaci i wysocy urzędnicy, z którymi konsultowała się Marta Lang, wielokrotnie wskazywali na niebezpieczeństwa wynikające z amerykańskiego zaangażowania w sprawę. Ale całkowita bierność też pociągała za sobą ryzyko, gdyż Stany Zjednoczone mogły znaleźć się w kłopotliwej sytuacji politycznej. Mimo licznych wrogów, o których mówił Fielding, Novak był powszechnie uwielbiany. Gdyby został zabity, miliony zwykłych ludzi spytałyby, dlaczego Ameryka nie chciała pomóc temu świętemu człowiekowi, gdy tej pomocy najbardziej potrzebował. Fundacja Wolność zaś mogłaby oskarżyć USA - gwałtownie i głośno - o marazm, opieszałość i apatię. Łatwo było sobie wyobrazić, że wtedy doszłoby do wielu kłopotliwych przesłuchań w Kongresie, przesłuchań przed kamerami telewizyjnymi i w obecności setek dziennikarzy. W całym kraju rozbrzmiałyby stare, pamiętne słowa: "Aby zatriumfowało zło, wystarczy, żeby dobrzy ludzie siedzieli z założonymi rękami". Wybuchłoby zamieszanie, wielu straciłoby stołki. Okazałoby się, że pozornie bezpieczna ścieżka jest wysypana ostrym szkłem.

Ale może istniało inne wytłumaczenie?

Fundacja, powszechnie znana ze swej niezależności, mobilizuje grupę komandosów z nadzieją na odbicie zakładnika. Gdyby coś poszło nie tak, kogo by za to obwinili, jeśli nie siebie samych? Urzędnicy z Departamentu Stanu, najpewniej ci ze środkowego szczebla, szybko zorganizowali kontrolowany przeciek i z pomocą pośpieszyły im armia niezadowolonych dziennikarzy: „Chcieliśmy im pomóc, ale bez namysłu odmówili. Pewnie bali się, że nasza pomoc zburzyłaby mit o ich całkowitej niezależności. Sekretarz stanu jest całkowicie załamany, wszyscy jesteśmy załamani. Ale jak można pomóc komuś, kto tej pomocy nie chce? Że to arogancja? Cóż, być może niektórzy tak powiedzą. Ale czy rzeczywiście nie zawiniła tu sama fundacja?” Wszechwiedzący dziennikarze - z „New York Timesa”, z „Washington Post”, ze stowarzyszonych z nimi serwisów światowych - pod natchnieniem sensacyjnych wiadomości, rozesłały na wszystkie strony depesze z cyklu: „Według dobrze poinformowanych źródeł, propozycja pomocy została bez namysłu odrzucona...”

Od natłoku myśli zakreśliło mu się w głowie. Czy taki scenariusz to tylko fantazja, czy sta fikcja? Tego nie wiedział, tego nie mógł wiedzieć na pewno. Przynajmniej na razie. Wiedział jednak, że nie można tej możliwości wykluczyć!

Minutka przeciągnęła się do trzech, w końcu jednak Fielding wrócił. Gdy wszedł i ostrożnie zamknął za sobą drzwi, Paul stwierdził, że profesor jest jakiś... inny.

- Mój magistrant - powiedział niepewnym, piskliwym głosem. - Nazywam go Nieszczęsnym Halem. Próbuje rozwiązać węzeł zawiązany w Condorcet. Za nic nie potrafi dostrzec, że sam węzeł nie jest wcale taki interesujący...

Janson poczuł, że kark pokrywa mu gęsia skórka. W zachowaniu Fieldinga coś się zmieniło - mówił oschle, jak nigdy dotąd, i czy nie drżały mu teraz ręce? Coś musiało go zderwować, i to mocno.

Fielding podszedł do pulpitu, na którym spoczywał graby słownik. Nie był to słownik zwykły: było to pierwsze wydanie rzadkiej edycji słownika Samuela Johnsona z roku tysiąc siedemset pięćdziesiątego dziewiątego. Na jego grzbiecie widniały złote litery A-G. Paul pamiętał ten słownik z czasów, gdy profesor wykładał w Trinity Neville Court.

- Tylko coś sprawdzę. - Fielding powiedział to łagodnie, ale widać było, że jest zestresowany. Ale nie z powodu Novaka, nie z powodu tej nagłej straty. Jego głos odzwierciedlał emocje zupełnie innego rodzaju. Niepokój. I podejrzliwość.

Drżenie rąk, oschły głos i coś jeszcze. Tylko co?

Tak. Angus Fielding nie próbował już nawiązać z nim kontaktu wzrokowego. Niektórzy w ogóle tego nie robili, w przeciwieństwie do niego. Gdy mówił, nie odrywał oczu od rozmówcy, jakby chciał w ten sposób dopomóc słowom. Janson odruchowo sięgnął za siebie...

I jak zahipnotyzowany spojrzął na swego profesora. Fielding stał do niego tyłem, właśnie otwierał słownik, gdy wtem... Nie, to niemożliwe.

Dziekan Trinity College odwrócił się na pięcie z małym pistoletem w drżącej dłoni. W pergaminowych kartach słownika widniało głębokie wycięcie, skrytka na broń. Na broń, z której stary profesor celował w niego.

- Po co tu przyjechałeś?

W końcu spotkali się wzrokiem i Janson dostrzegł w jego oczach coś, co pozbawiło go tchu: morderczą furję.

- Novak był dobrym człowiekiem - powiedział drżącym głosem Fielding. Paul słyszał go jak przez grubą ścianę. - Człowiekiem wielkim. Właśnie dowiedziałem się, że go zabiłeś.

Rozdział 13

Stary profesor spuścił na chwilę oczy i wbrew sobie głośno wciągnął powietrze. Bo Janson też trzymał w ręku broń, pistolet, który jednym płynnym ruchem wyszarpnął z ukrytej na plecach kabury, gdy jego podświadomość zarejestrowała coś, czego świadomość zarejestrować nie chciała.

Trzasnął skrzydełkiem bezpiecznika. Przez długie sekundy stali naprzeciwko siebie bez słowa.

Ten, kto odwiedził przed chwilą Fieldinga, na pewno nie był studentem historii gospodarczej świata.

- Pierwszy tom - rzucił Paul. - Od A do G. Nawet się zgadza. A jak amunicja, G jak gnat. Odłóż ten zabytek, Angus. Nie pasuje do ciebie.

- Żebyś i mnie zabił? - prychnął Fielding.

- Na miłość boską! - wybuchnął Paul. - Użyj swego wspaniałego mózgu. Nie widzisz, że to idiotyzm?

- Nie. Widzę tylko, że cię na mnie nasłano, że mnie zdradziłeś, że chcesz zlikwidować wszystkich, którzy cię znają. „Maszyna do zabijania”, tak cię nazywają. Nie straciłem kontaktu z moimi amerykańskimi kolegami. Ale nigdy dotąd nie wierzyłem w to, co mówili. Przebiegłością dorównujesz staremu, chytremu traperowi, to godne podziwu. I znakomicie udajesz, że jesteś smutny. Tak, nabrałeś mnie. Nie wstydzę się do tego przyznać.

- Chciałem się tylko dowiedzieć...

- Jak znaleźć współpracowników Novaka, żeby ich też wykończyć! - przerwał mu gwałtownie Fielding. - Wewnętrzny krąg, mówiłeś, ludzie z wewnętrznego kręgu. Gdybym powiedział ci, kim i gdzie są, byłbyś wreszcie spokojny, że misja Novaka ostatecznie dobiegła końca, że ją skutecznie przekreśliłeś. - Uśmiechnął się strasznym, zimnym uśmiechem, odsłaniając poźółtkie, nierówne zęby. - O tak, doceniam twoją przebiegłość, doceniam. Spytałeś mnie, kim są „tamci”, a przecież ty dla nich pracujesz!

- Angus, przed chwilą z kimś rozmawiałeś. - Janson był wściekły i oszołomiony. - Powiedz mi z kim. - Zerknął na pistolet Fieldinga, na starego webleya kaliber dwadzieścia dwa, najmniejszą, najłatwiejszą do ukrycia broń brytyjskich agentów wywiadu z początku lat sześćdziesiątych. - Kto to, do cholery, był?

- Chciałbyś wiedzieć, co? Powiedziałbym ci, a ty dodałbyś pewnie kolejne nazwisko do swojej krwawej listy.

- Angus, co ty bredzisz? Nie wiesz, co mówisz. Przecież to obłąd! Po co miałbym...

- Sprzątasz - przerwał mu Fielding. - Sprzątanie takie już jest: ni gdy nie ma końca. Zawsze znajdzie się jakaś nitka, którą trzeba zawiązać albo po prostu urwać.

- Cholera jasna, przecież mnie znasz!

- Czyżby? - Wciąż stali naprzeciwko siebie, stary mistrz i jego były uczeń, wciąż do siebie mierzyli. - Czy naprawdę cię znaliśmy? - Mówił powoli, leniwie, lecz w jego głosie pobrzmiwały wyraźne nutki strachu i odrazy. Nie udawał: profesor Angus Fielding był absolutnie przekonany, że Janson zdradził, że jest mordercą.

A Janson nie mógł mu udowodnić, że jest inaczej.

Bo co mówiły fakty?

Że jest jedynym świadkiem tego, co się zdarzyło. Że dowodził operacją, która doprowadziła do śmierci Novaka. Że nie wiadomo skąd na jego konto wpłynęły miliony dolarów. Było oczywiste, że stoją za tym potężne siły: czy siły te nie mogły wpaść na pomysł zaangażowania kogoś takiego jak on? Czy to niemożliwe? Mało prawdopodobne? Przeciwnie.

Janson wiedział, co psycholog wyczytałby z jego akt, z tej historii zdrady i okrucieństwa, którą przeżył. Tak, wyszedł z tego, ale czy nie pozostał w nim jakiś uraz, czy uraz ten da się wyleczyć? Jego zwierzchnicy nigdy nie wspominali o tym otwarcie, ale widział to w ich oczach. Testy psychologiczne, którym regularnie go poddawali - test Meyersa-Briggsa, test apercpepcji tematycznej, profil psychologiczny Aristosa - miały wykryć nawet najmniejsze pęknięcie w jego psychice. „Janson, przemoc to twój żywioł, jesteś w tym fachu bardzo, bardzo dobry”: lodowate słowa Collinsa. „Przemoc to twój żywioł”. Właśnie dlatego tak bardzo go sobie cenili i właśnie dlatego tak wielką zachowywali wobec niego rezerwę. Dopóki był ciężkim działem wymierzonym we wroga, traktowali go jak dar od Boga, ale gdyby kiedykolwiek miał zwrócić się przeciwko tym, którzy go wyszkolili, wykorzystywali, mógłby okazać się ich nemezis.

Przypomniało mu się wydarzenie sprzed dziesięciu lat, jedno z kilkunastu podobnych do siebie. „Janson to wściekły pies, który zerwał się z łańcucha”. Wręczono mu akta: trasy, lista ograniczeń i tak dalej. Miał wszystko zapamiętać, a dokumenty spalić. Stawka była za wysoka, żeby bawić się w sąd polowy czy wyciągać „konsekwencje dyscyplinarne”: agent zabił już kilku ludzi, przyjaciół i kolegów. Karą miała być kula małego kalibru w tył głowy. Ciało? Znajdą je w bagażniku samochodu rosyjskiego mafiosa, którego spotka podobny los. Dla świata - który miał to gdzieś - ofiarą będzie kolejny amerykański biznesmen z Moskwy, który myślał, że wykiwa miejscową mafię. Popęłnił błąd i drogo za to zapłacił.

Wściekły pies, który zerwał się z łańcucha, musi zginąć: to jedna z procedur obowiązujących w Konsularnym Wydziale Operacyjnym. Janson przeprowadził wiele takich egzekucji i dobrze o tym wiedział.

Stojąc naprzeciwko Fieldinga, starannie dobierał słowa:

- Nie mam nic, co mogłoby rozproszyć twoje podejrzenia, Angus. Nie wiem, z kim przed chwilą rozmawiałeś, dlatego nie wiem też, czy to ktoś wiarygodny. Ale to dziwne, że przekazano ci wiadomość tak szybko. Dziwne, że wystarczyły trzy minuty, żebyś temu człowiekowi uwierzył i chciał zabić kogoś, kogo znasz od lat, swego ucznia i przyjaciela.

- O Madame de Stael mawiano, że jest niewzruszenie poprawna. - Fielding uśmiechnął się blade. - Jesteś bardziej niewzruszony niż poprawny. Tylko nie próbuj kontrargumentować, to nie konsultacje.

Janson przyjrzał się uważnie twarzy starego profesora: była to twarz człowieka, który święcie wierzy, że stoi przed nim zdradziecki, śmiertelnie niebezpieczny przeciwnik. Ale dostrzegł w niej również lekki ślad wątpliwości, niepewności co do tego, czy osąd ten jest właściwy. „Wszystko to, co wiesz, musi zostać poddane krytycznej ocenie i w razie konieczności zarzucone”. I dwa pistolety, jak odbicie w lustrze.

- Mówiłeś, że akademickie potyczki są zażarte, bo gra się w nich o niskie stawki. - Janson ogarnął dziwny spokój. - Cóż, widzę, że wszystko się zmienia. Ale dobrze wiesz, że są ludzie, którzy próbowali zabić mnie dla pieniędzy. Czasami mieli ku temu dobry powód, a przynajmniej zrozumieli. Ale większość miała zły. Kiedy jesteś w polu, nie myślisz o powodach. Ale potem tak. Jeśli zrobiłeś komuś krzywdę, modlisz się, żeby wyszła komuś na dobre. Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale wiem, że ktoś cię okłamał. I ponieważ o tym wiem, trudno mi jest się na ciebie wściekać. Boże, Angus, jak ty wyglądasz? Nie powinienesz stać tu z pistoletem w ręku. Ja też nie. Przez tego kogoś zapomnieliśmy, kim jesteśmy. - Ze smutkiem pokręcił głową. - Chcesz pociągnąć za spust? Lepiej zastanów się przedtem, czy na pewno. Dobrze się zastanów. Na pewno, Angus? Nie wierzę.

- Zawsze miałeś skłonność do wyciągania pochopnych wniosków.

- Przestań. - Janson powiedział to ciepło. W jego głosie nie było zapamiętania. - Pamiętasz słowa Olivera Cromwella? „Błagam was z Chrystusowego serca, byście rozważyli, czy nie popełniacie błędu”.

- Zawsze uważałem, że są ironiczne, bo wypowiedział je człowiek, który, z uszczerb-

kiem dla ojczyzny, ani razu w sobie nie zwątpił.

Nie zrywając kontaktu wzrokowego, Janson rozluźnił palce, odwrócił pistolet rękojeścią do przodu i podał go profesorowi.

- Skoro chcesz mnie zastrzelić, weź mój. Ta twoja skałkówka może pourywać ci palce.

Fieldingowi jeszcze bardziej zadrżała ręka. Cisza była niemal nie do zniesienia.

- Weź! - powtórzył Paul z naganą w głosie.

Rozdarty między miłością do dobroczyńcy, którego czcił, i miłością do swego byłego ucznia, do którego był kiedyś bardzo przywiązany, dziekan Trinity spopielał na twarzy. Tak, Angus Fielding nie wiedział, co robić - przynajmniej tyle Janson wyczytał z jego zrytej zmarszczkami twarzy.

- Niechaj Bóg się nad tobą zlituje - powiedział w końcu, opuszczając broń. Słowa te zabrzmiały jak błogosławieństwo i przekleństwo zarazem.

Wokół okrągłego stołu w Meridian Center siedziała jedna kobieta i czterech mężczyzn. Ich sekretarze i sekretarki mówili wszystkim, że szefa nie ma: że wyszedł do fryzjera, że jest na występie pianistycznym syna, że właśnie załatwia długo odkładaną sprawę. Gdyby ktoś zechciał sprawdzić potem, gdzie naprawdę byli, okazałoby się, że rzeczywiście pochłonęły ich osobiste czy rodzinne sprawy, sprawy, do których prawo mają nawet najwyżsi urzędnicy państwowi. Byli bardzo zajęci, ale kryzys zmusił ich do wygospodarowania chwili czasu. Nie mogło być inaczej. Program Mobiusa odmienił świat. Gdyby odkryli go ludzie o złych intencjach, mógłby ten świat zniszczyć.

- Nie możemy z góry zakładać, że doszło do najgorszego - powiedziała Charlotte Ainsley, doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, nienagannie ubrana, okrągłolica Murzynka o dużych, badawczych oczach. Uczestniczyła w naradzie pierwszy raz od początku kryzysu, ale Sanford Hildreth, wicedyrektor Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, informował ją na bieżąco o rozwoju wypadków.

- Tydzień temu powiedziałbym to samo - odrzekł informatyk Kazuo Onishi. W waszyngtońskiej hierarchii ludzie tacy jak dyrektor Agencji Bezpieczeństwa Narodowego stali o niebo wyżej niż genialny elektronik z CIA, ale charakter ich programu, a zwłaszcza obecna sytuacja, stworzyła wśród nich coś w rodzaju małej, sztucznej demokracji, demokracji, jaka obowiązuje w tratwie ratunkowej na otwartym morzu. Wszystkie opinie były równorzędne: władza polegała na sile perswazji.

- Tkamy bardzo skomplikowaną sieć... - zaczął Sanford Hildreth.

- Oszczędź nas - przerwał mu Douglas Albright, wicedyrektor Agencji Wywiadowczej Obrony, opierając na stole swoje wielkie jak bochny ręce. - Co wiemy? Co nam doniesiono?

- Że zniknął - odrzekł Hildreth, masując sobie czoło kciukiem. - Mieliśmy go i zniknął.

- To niemożliwe. - Albright zmarszczył czoło.

- Nie znasz Jansona - wtrącił Derek Collins, podsekretarz stanu i dyrektor Konsularnego Wydziału Operacyjnego.

- Dzięki za błogosławieństwo, Derek - odparł Albright. - Kto to jest? Golem jakiś czy co? Wiecie, co to jest golem? Moja babcia mi opowiadała. Lepi się lalkę z gliny i złych duchów i wychodzi z tego potwór. Coś w rodzaju Frankensteina. Ulepiliście go i teraz on was pożre.

- Golem - powtórzył jak echo Collins. - Ciekawe. Fakt, mamy tu do czynienia z golemem, ale wszyscy wiemy, że nie jest nim Janson.

Zapadła cisza. Przerwał ją Sandy Hildreth.

- Z całym szacunkiem, ale myślę, że powinniśmy wrócić do konkretów. Czy program jest w jakiś sposób zagrożony? Czy Janson może nas zdekonspirować?

- Jak się w to wpakowaliśmy? - westchnął ciężko Albright.

- Stara historia - odrzekła doradca prezydenta. - Myśleliśmy, że się pieprzymy, tymczasem zwyczajnie nas wydymano. - Powiodła wzrokiem po twarzach kolegów. - Może coś przeoczyliśmy? Przejrzyjmy akta jeszcze raz. Tylko najważniejsze punkty poproszę.

- Paul Elie Janson - czytał Collins, przesłoniwszy oczy okularami w czarnych oprawkach. - Urodzony w Norfolk, Connecticut, ukończył Kent School. Pannieńskie nazwisko matki: Anna Klima, emigrantka z Czechosłowacji, tłumaczka literatury pięknej. Nawiązała bliską znajomość z dysydenckimi pisarzami, pojechała odwiedzić kuzynkę w New Haven i już nie wróciła. Pisała wiersze po czesku i po angielsku; dwa opublikowała w „New Yorker”. Alec Janson pracował w ubezpieczeniach; był wicedyrektorem firmy. W 1969 roku niecierpliwy Paul przerywa studia na uniwersytecie stanu Michigan i wstępuje do marynarki wojennej. Gdy okazuje się, że ma talent do taktyki i walki, przenoszą go do Fok i zostaje najmłodszym żołnierzem w historii oddziału. Dostaje przydział do kontrwywiadu. .. Krótko mówiąc, idzie w górę jak rakietą.

- Chwileczkę - wtrącił Albright. - Taki cieplarniany kwiatek? Co on robił w Parszywej Dwunastce? Może źle go sprofilowaliście?

- Jego całe życie nie pasowało do profilu - odparł Derek Collins z nutką surowości w głosie. - Chcesz zasięgnąć opinii biegłych psychiatrów? Może buntował się przeciwko ojcu; nie łączyły ich zbyt bliskie stosunki. Może nasłuchiwał się za dużo opowieści o swoim czeskim wuju, bohaterze ruchu oporu, który polował na hitlerowców w lasach i jarach Szumawy. Tatuś też nie był mięczakiem. Zanim zaczął pracować w ubezpieczeniach, podczas II wojny światowej służył w piechocie morskiej. Semper Fi, panowie i panie. Ten kwiatek ma odwagę we krwi. Poza tym wiecie, co mówią: bitwę pod Waterloo wygrano na boisku w Eton. Tam tych też źle sprofilowano?

Albright poczerwieniał.

- Próbuję tylko zrozumieć, jakim cudem wymknął się pełnemu zespołowi CIA. Niewidzialny z niego człowiek, czy co?

- Mieliśmy mało czasu - odrzekł Clayton Ackerley z wydziału operacyjnego Centralnej Agencji Wywiadowczej. Miał rude włosy, wodniste niebieskie oczy i zanikającą już opaleniznę. - Biorąc pod uwagę okoliczności, jestem przekonany, że nasi ludzie zrobili, co mogli.

- Czas na wzajemne oskarżenia jest zawsze, ale nie teraz - powiedziała Charlotte Ainsley, patrząc na nich surowo znad okularów. - Mów dalej, Derek. Wciąż nic z tego nie rozumiem.

- Służył w czwartej kompanii Fok i już podczas pierwszego okresu służby dostał Navy Cross - kontynuował podsekretarz stanu. Jego wzrok padł na poślódkę kartkę. Wziął ją i zaczął czytać:

Raport sprawnościowy

20 listopada 1970

Podczas służby w oddziale specjalnych sit połączonych A-8 podporucznik Janson wykazał się nadzwyczajnymi umiejętnościami i sprawnością fizyczną. Dzięki dobrej ocenie sytuacji, wiedzy taktycznej, wyobraźni i umiejętności twórczego myślenia potrafił zaplanować i przeprowadzić liczne ataki na jednostki nieprzyjaciela, oddziały partyzanckie i nieprzyjacielskie instalacje naziemne przy minimalnych stratach własnych. Podporucznik Janson ma niezwykle zdolności reagowania na szybko zmieniającą się sytuację taktyczną i adaptowania się do najtrudniejszych warunków polowych. Jako oficer wykazuje wrodzone talenty dowódcze: nie tylko domaga się szacunku od podwładnych, ale w sposób naturalny szacunek ten wymusza.

Porucznik Herold Brady, oficer oceniający

Podporucznik Paul Elie Janson jest oficerem o najwyższym potencjale dowódczym: jego umiejętności i zdolność do improwizowania w niesprzyjających warunkach bojowych są wprost niezwykłe. Osobiście dopilnuję, żeby jego talent został w pełni wykorzystany.

Komandor porucznik XXXXXXXXX, oficer zatwierdzający

- Takich raportów jest mnóstwo. Janson zalicza jeden okres służby po drugim. Walczy na pierwszej linii ognia i nie wykazuje najmniejszych oznak załamania psychicznego. Potem w aktach jest duża dziura. Trudno zbierać pochwały, będąc w niewoli. Schwytyany w 1972, przesiedział półtora roku w koszmarnych warunkach...

- To znaczy? - wtrąciła Charlotte Ainsley.

- Wielokrotnie go torturowano. Głodzono. Siedział w klatce. Nie w celi, tylko w klatce, w takiej jak dla ptaków: miała półtora metra wysokości, nie mógł się w niej poruszyć. Kiedy go znaleźliśmy, ważył pięćdziesiąt cztery kilo. Schudł do tego stopnia, że pewnego dnia kajdany zsunęły mu się z nóg. Trzykrotnie próbował uciec. Za trzecim razem mu się udało.

- Czy tego rodzaju traktowanie więźniów było typowe?

- Nie - odrzekł podsekretarz. - Ale uporczywe próby ucieczki też należały do rzadkości. Wietnamczycy wiedzieli, że Janson jest z wywiadu, dlatego mocno go przydusili. Nic im nie chciał powiedzieć i nie bardzo wiedzieli, co z nim zrobić. Miał szczęście, że w ogóle przeżył. Cholerne szczęście.

- I pecha, że go schwytano - zauważyła doradca.

- Tu się sprawa komplikuje - odparł Collins. - Janson uważał, że ktoś go wystawił, że ktoś uprzedził Wietnamczyków i celowo wprowadził go w zasadzkę.

- Ktoś? - spytała ostro Charlotte Ainsley. - To znaczy kto?

- Jego dowódcę.

- Który zmienił również zdanie na temat swego ukochanego protegowanego. - Doradca prezydenta wyjęła z akt ostatni raport i przeczytała:

Chociaż podporucznik Janson nadal wykazuje najwyższy i godny podziwu profesjonalizm na polu walki, coraz częściej miewa trudności z kształtowaniem własnych koncepcji dowódczych: stał się mniej wymagający w stosunku do podwładnych i przymyka oko na oczywiste braki w ich wyszkoleniu zarówno podczas ćwiczeń, jak i podczas służby. Bardziej obchodzi go ich dobro niż skuteczność działania i cel misji. Lojalność w stosunku do podwładnych jest dla niego ważniejsza niż rozkazy przełożonych.

- W tym raporcie jest więcej, niż widać - powiedział Collins. - Ochłodzenie stosunków było nieuniknione.

- Dlaczego?

- Janson zagroził, że złoży na niego doniesienie. Że oskarży go o zbrodnie wojenne.

- Przepraszam, może powinnam o tym wiedzieć, ale nie wiem. Ale

oco tu tak naprawdę chodzi? Cudownemu żołnierzowi odbiło?

- Nie. Jego oskarżenia były słuszne. Gdy wrócił do kraju i wyszedł ze szpitala, narobił wokół tego smrodu, wojskowymi kanałami oczywiście. Zażądał, żeby jego dowódcę postawiono przed sądem polowym.

- I postawiono?

Podsekretarz spojrział na nią i uniósł brwi.

- Naprawdę nie wiesz?

- Przestań. Masz coś do powiedzenia, to powiedz.

- Nie wiesz, kto był jego dowódcą?

Charlotte Ainsley pokręciła głową. Patrzyła na niego badawczo i w skupieniu.

- Alan Demarest - odrzekł podsekretarz stanu. - A raczej komandor porucznik Demarest.

- Rozumiem... - Ilekroć była mocno zdenerwowana, mówiła z silnym południowym akcentem.

- Potem nasz Janson dostaje stypendium, wyjeżdża na studia do Cambridge i wraca na pokład jako agent Konsularnego Wydziału Operacyjnego. - Collins powiedział to oschle i urzędowo.

- Przeszedł pod twoje dowództwo - zauważyła doradca.

- Powiedzmy. - Ton głosu podsekretarza stanu mówił więcej niż słowa i wszyscy go zrozumieli: Janson nie należał do najbardziej subordynowanych podwładnych.

- Chwileczkę - powiedziała Charlotte Ainsley. - Niewola w Wietnamie musiała pozostawić po sobie głębokie piętno psychiczne. Może po prostu nie był w stanie z tego wyjść?

- Fizycznie jest w lepszej formie niż...

- Nie mówię o formie fizycznej. Tego rodzaju przeżycia pozostawiają blizny w psychice. Blizny, rysy, pęknięcia, jak na porcelanowej misie. Nie widać ich, dopóki ponownie coś się nie zdarzy. Wtedy człowiek pęka, rozsypuje się, przestaje być sobą. Z dobrego staje się zły.

Podsekretarz stanu sceptycznie uniósł brew.

- Jestem w stanie zaakceptować jedynie to - kontynuowała niezrażona doradca - że są to tylko domysły. Ale czy stać nas na błąd? Zgoda, wielu rzeczy nie wiemy. Ale w tym miejscu poparłabym Douglasa. Wszystko sprowadza się do jednego: czy Janson jest z nami czy przeciwko nam? Tak, jedno wiemy na pewno: z nami to on nie jest.

- To prawda - odrzekł Collins - ale...

- Nie ma czasu na „ale”, Derek - przerwała mu Ainsley. - Nie teraz.

- Ten człowiek jest jak zmienna, na którą nie mamy wpływu - wtrącił Albright. - Zmienna w zagmatwanym wzorze matematycznym. Najlepiej byłoby ją wymazać.

- Tak się przypadkiem składa - odparował Collins - że ta „zmienna” poświęciła ojczyźnie trzydzieści lat życia. W naszej branży obowiązuje prześmieszna zasada: im wynioślejszy język, tym podlejszy czyn.

- Przestań, Derek. Nikt nie ma brudniejszych rąk niż ty. Może z wyjątkiem Jansona, tej twojej maszyny do zabijania. - Wicedyrektor Agencji Wywiadowczej Obrony przeszył go wzrokiem. - Musi teraz sprawdzić, jak smakuje jego własne lekarstwo. Czy wyrażam się jasno?

Podsekretarz, stanu poprawił okulary i wytrzymał jego wrogie spojrzenie. Stało się oczywiste, z której strony wieje wiatr.

- Trudno go będzie zdjąć - powiedział przedstawiciel wydziału operacyjnego CIA, który nie doszedł jeszcze do siebie po porażce w Atenach. - W walce na bliską odległość to najgorszy przeciwnik, jakiego znam. Może zadać nam duże straty.

- Wszyscy słyszeliśmy nie potwierdzone plotki o wydarzeniach na Anurze - rzekł Collins. - Oznacza to, że musimy zaangażować wszystkich agentów, twoich i moich. - Zerknął na Ackerleya i przeniósł wzrok na Albrighta. - A twoi kowboje? Zostaną w zagrodzie?

- Derek, znasz zasady - wtrąciła Charlotte Ainsley. - Każdy sprząta po sobie. Nie chcę drugich Aten. Nikt nie zna go lepiej niż ludzie, którzy go wyszkolili. No? Twoi specje musieli już opracować jakiś plan.

- Tak, oczywiście - odparł Collins. - Ale nie mają pojęcia, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi.

- A myślisz, że my mamy?

- Rozumiem. - Koniec deliberowania: nadeszła pora podjąć konkretną decyzję. - Plan zakłada zmobilizowanie grupy dobrze wyszkolonych snajperów. Potrafią załatwić to cicho i dyskretnie. Ich osiągi wykraczają poza wszelkie limity. Nikt nie miałby z nimi szans. - Zamrugał szybko, wspominając nieprzerwane pasmo ich sukcesów i cicho dodał: - I jak dotąd nie miał.

- Otrzymali już rozkaz likwidacji?

- Nie. Mieli go tylko namierzyć, obserwować i czekać.

- W takim razie niech go zdejmą- powiedziała doradca. - To nasza wspólna decyzja. Paul Janson jest nie do uratowania. Masz zielone światło. Od zaraz.

- Nie wyrażam sprzeciwu, chcę się tylko upewnić, czy zdajecie sobie sprawę z ryzyka - nie ustępował Collins.

- Nie pieprz nam tu o ryzyku - odparł Albright. - To twoja wina.

- Spokojnie - łagodził Hildreth. - Wszyscy jesteśmy bardzo zestresowani...

Douglas Albright założył ręce na piersi i ponownie przeszył wzrokiem podsekretarza stanu.

- Ty go stworzyłeś - powiedział. - Dla dobra nas wszystkich, lepiej go teraz zniszcz.

Rozdział 14

Chodniki Jermyn Street roily się od tych, którzy mieli za mało czasu, i od tych, którzy mieli go aż za dużo. Wicedyrektor banku szedł na tyle szybko, na ile pozwalała mu godność. Śpieszył się na lunch z wicedyrektorem pewnego trustu powierniczego i był już spóźniony. Tak, nie powinien był odbierać ostatniego telefonu: za niepunktualność mógł zapłacić stołkiem... Muskularny handlowiec z Whitehall-Robins szedł na spotkanie z kobietą, którą poznał poprzedniego dnia w winiarni U Odetty. Nastawiał się na to, że się rozczaruje, gdyż w świetle dnia kobiety wyglądały zwykle dziesięć lat starzej niż wieczorem, zwłaszcza w ciemnej, zadymionej sali bankietowej, Ale cóż, trzeba to jakoś sprawdzić. Może powinien wpaść na chwilę do agencji prasowej? Jeśli przyjdzie na spotkanie punktualnie, tamta pomyśli, że mu zależy... Zanedbana żona amerykańskiego pracocholika szła, dźwigając trzy torby wypełnione kosztownymi, chociaż brzydkimi ubraniami, których w Stanach nigdy pewnie nie włoży; to, że zapłaciła za nie kartą kredytową męża - Platinum American Express - pozwoliło jej dać upust złości, że ją tu z sobą przy włókł. Miała do zabicia siedem godzin, zanim po raz trzeci obejrzy z nim *Pułapką na myszy*... Kierownik wydziału roszczeń finansowych urzędu skarbowego przebijał się przez tłum, nieustannie zerkając na zegarek: te nadęte dupki z Lloydsa nie lubiły spóźniałskich; wszyscy tak mówili.

Idąc szybko chodnikiem, Janson ginął w tłumie oglądających wystawy sklepowe, urzędników i biznesmenów. W granatowym garniturze, koszuli i krawacie w kropki robił wrażenie zmęczonego i zagonionego, lecz nie zdenerwowanego. Bardzo do tego miejsca pasował; świadczył

o tym wyraz jego twarzy i ruchy ciała.

Napisy na sterzających nad głową tablicach - owalnych i prostokątnych - rejestrował tylko podświadomie. Stare nazwy starych, znanych sklepów - Floris, Hilditch & Key, Irwin - mieszały się z nazwami sklepów nowo otwartych, takich jak Ermenegildo Zegna. Ruch uliczny był spory, powolny. Wszędzie widać było wysokie, czerwone autobusy, niskie, pudełkowate taksówki i samochody dostawcze, wszystkie upstrzone napisami i reklamami. INTEGRON: GLOBALNE PROBLEMY, GLOBALNE ROZWIĄZANIA. VODAFONE: WITAJ W ŚWIECIE TELEFONII KOMÓRKOWEJ. Janson skręcił w St. James Street, minął Brooksa i White'a i skręcił w Pall Mall. Zamiast jednak wejść tam, dokąd miał wejść, poszedł dalej, wypatrując wszelkich niepokojących anomalii. Znajome widoki: Army and Navy Club, zwany czule Szmata, Klub Reformatorski, Królewski Klub Samochodowy. Na Waterloo Square wciąż stały te same brązowe pomniki. Pomnik Edwarda VII na koniu; wokół piedestału parkowały samochody, niezamierzony komentarz na temat zmieniających się upodobań w dziedzinie środków transportu. Pomnik Johna Lorda Lawrence'a wicekróla Indii z czasów wiktoriańskich: wicekról stał dumnie wyprostowany jak ktoś, kto wie, że jest dobrze znany tym nielicznym, którzy go znają. I siedzący Sir John Fox Burgoyne, marszałek polowy, bohater wojny krymskiej. „Ta wojna jest niewiarygodnie popularna” - powiedziała kiedyś królowa Wiktoria i słowa te stały się dewizą usprawiedliwiająca bezsensowne cierpienie. Być bohaterem wojny krymskiej - też coś. Doprowadziła do niej nie kompetencja dyplomatów, a w trakcie jej trwania swej niekompetencji dowiedli wojskowi.

Paul spojrzął na róg Waterloo Place. Klub Ateński. Tam zmierzał. Beżowo-kremowy, wysoki, ozdobiony kolumnowym portykiem i fryzami wzorowanymi na tych z Partenonu, był typowym przykładem neoklasycyzmu z początków dziewiętnastego stulecia. Z narożnika sterzało ramię zakapturzonej kamery wewnętrznego systemu bezpieczeństwa. Nad kolumnadą stał złocisty posąg Ateny, bogini mądrości, tego jedyne go towaru, którego wszystkim bra-

kowało. Janson zawrócił. Minał czerwoną furgonetkę Poczty Królewskiej, konsulatu Papui Nowej Gwineji i jakiś biurowiec. W oddali, nad niewidocznym placem budowy, strzelał w niebo czerwono-pomarańczowy żuraw.

Paul wciąż myślał o tym, co zaszło w Trinity College: musiał się tam niechcący na coś natknąć. Było bardziej prawdopodobne, że obserwowano Fieldinga, nie jego. Mimo to zarówno wielkość siatki, jak i szybkość, z jaką zareagowała, była imponująca. Nie mógł już dłużej zakładać, że wszystko jest proste i oczywiste.

Był tu jak na widelcu, więc musiał zwracać uwagę na rzeczy, które zwykle nie rzucają się w oczy. Na furgonetki parkujące tam, gdzie parkować nie powinny. Na samochody, które jechały zbyt wolno lub zbyt szybko. Na ludzi, którzy zatrzymywali na nim wzrok lub zbyt gwałtownie wzrok odwracali. Na sprzęt budowlany w miejscu, gdzie niczego nie budowano. Musiał widzieć wszystko i wszystkich.

Był bezpieczny? Tego nie wiedział na pewno. Nie wiedział nawet, czy furgonetka pocztowa jest na pewno pocztową furgonetką. Ale instynkt podszeptował mu, że może wejść do klubu niezauważenie. On sam nigdy by takiego miejsca nie wybrał, ale wiedział, że dla różnych celów dobrze będzie spotkać się z Grigorijem Bermanem na jego warunkach. Poza tym, jeśli się zastanowić, klub wcale nie był takim złym miejscem. Parki dawały możliwość ruchu - dlatego tak często się w nich spotykano - lecz możliwość tę mogli również wykorzystać obserwatorzy. Natomiast w staromodnym klubie trudno jest pozostać anonimowym. On miał być gościem jednego z członków. Wątpił, czy ten, kto go obserwował - jeśli w ogóle ktoś go obserwował - będzie w stanie załatwić sobie wejście na podobnych zasadach.

Podał swoje nazwisko umundurowanemu strażnikowi w budce przy frontowych drzwiach i wszedł do foyer. Wypolerowane na błysk marmurowe podłogi, korynckie kolumny - po prawej stronie była palarnia z małymi stolikami i nisko wiszącymi żyrandolami, po lewej zaś wielka jadalnia. Hen, daleko, za morzem czerwieni i złota, były szerokie marmurowe schody, które prowadziły do biblioteki, gdzie serwowano kawę i gdzie na długim stole leżały sterty czasopism z całego świata. Paul usiadł na skórzanej ławie przy jednej z kolumn, pod portretem Matthew Arnolda i sir Humphrya Davy'ego.

Klub Ateński. Miejsce spotkań elity kulturalnej i politycznej.

Miejsce zupełnie nie pasujące do człowieka, na którego czekał.

Grigorij Berman należał do ludzi, którzy skinąwszy moralności głową na powitanie, wolą nie utrzymywać z nią bliższych kontaktów. Kiedyś pracował jako księgowy w Związku Radzieckim i dorobił się fortuny, oddając liczne przysługi rosyjskiej mafii i zakładając dla niej skomplikowaną sieć pralni, w których prano brudne pieniądze. Z biegiem czasu założył kilkanaście międzynarodowych korporacji - w podobnym celu. Przed kilku laty Janson celowo pozwolił mu wymknąć się z pułapki zastawionej przez Wydział Operacji Konsularnych. Zatrzymano wtedy kilkunastu międzynarodowych przestępców, ale on, ku wściekłości kolegów, wypuścił ich księgowego.

Podjął tę decyzję z rozsądku, nie pod wpływem słabości. Berman wiedział, kto go wypuścił, wiedział też, że ma u tego kogoś dług i z przeciwnika przedzierzgnął się w sojusznika. A znajomość z kimś, kto zna i rozumie wszystkie zawiłości tej międzynarodowej branży jest bardzo cenna. Co więcej, Rosjanin był w swych działaniach niezwykle sprytny i władze miałyby sporo trudności, żeby postawić go przed sądem. Skoro więc istniało duże prawdopodobieństwo, że i tak by się z tego wywinął, dlaczego nie pozwolić mu odejść z długiem, o który kiedyś będzie można się upomnieć?

Było coś jeszcze. Janson, który przeczytał setki dokumentów, w tym zapisów przechwyconych rozmów telefonicznych, dobrze poznał budowę i podstawowe zasady działania jego skomplikowanej siatki. Poznał przy okazji wiele faktów, krwawych, okrutnych i zło-wieszczych. Berman celowo takich rzeczy unikał. Był radośnie amoralny, ale nie był zły.

Chętnie oszukiwał ludzi, oskubując ich z majątku, lecz potrafił być hojny. I tak się jakoś złożyło, że z biegiem czasu Janson polubił tego żyjącego jak krezus łotra.

- Paulie! - zadudnił gromkim głosem niedźwiedziowaty mężczyzna, szeroko otwierając ramiona. Janson pozwolił mu się objąć i wyściskać. Berman nie był typowym liczykrupą: jako człowiek niezwykle jowialny i wylewny, potrafił kochać i pieniądze, i życie.

- Obejmuję cię i całuję - powiedział, cmokając go w oba policzki. Cały Berman: bez względu na okoliczności, zamiast czujności człowieka zestresowanego, zawsze demonstrował pewność siebie i przesadną zawadiackość *bon vivanta*.

Był w garniturze w jodełkę - kaszmir, podobny w dotyku do filcu - i delikatnie pachniał wodą kolońską Geo. F. Trumpera, której używał ponoć sam książę Walii. Na swój karykaturalny sposób próbował wyglądać jak angielski dżentelmen w każdym calu, a cali tych miał niemało. Mówił mieszaniną anglicyzmów i czegoś, co Paul nazywał bermanizmami. To absurdalne, ale nie mógł tego człowieka nie lubić. Grigorij podbił go swymi sprzecznościami, tym, że potrafił być jednocześnie i krętacki, i pomysłowy, zawsze wypatrywał sposobności do kolejnej machlojki i z radością o tym opowiadał.

- Jesteś szczuplutki i... doskonale odżywiony, Grigorij - powiedział Janson.

Berman poklepał się po obfitym brzuchu.

- Ale kiszki mi marsza grają - odrzekł. - Chodź, zjemy coś. Mniam, mniam. - Objął go i poszli do jadalni.

Na widok tryskającego energią Rosjanina kelnerzy w porannych uniformach uśmiechnęli się, ukłonili i natychmiast zaprowadzili ich do stolika. Chociaż regulamin klubu zabraniał dawania napiwków, skwapliwość, z jaką się nimi zajęli, mówiła, że Berman musiał znaleźć inny sposób na demonstrowanie swojej hojności.

- Ich łosoś na zimno: mówię ci, najlepszy na świecie - powiedział, sadowiąc się na miękkim krześle; uwielbiał mówić samymi superlatywami, dlatego rzeczy najlepszych na świecie było według niego mnóstwo. - Ale weź homara *a la nage*. Przepyszny. I polecam pieczoną kuropatwę. Najlepiej weź i to, i to. Jesteś za chudy. Jak Violetta w trzecim akcie *Traviaty*. Muszę cię trochę podtuczyć.

Spojrzeniem przywołał kelnera.

- Freddy - rzucił. - Macie jeszcze to puligny-montrachet? Piłem je wczoraj. Przynieś mi nam butelczynę? - Zerknął na Jansona. - Zobaczysz, jest przewyborne.

- Muszę przyznać, że mnie zadziwiasz, Grigorij - powiedział Paul. - Ty tutaj? W samym sercu brytyjskiego establishmentu?

- Że niby taki łotr, a go tu przyjęli? - Berman ryknął śmiechem; zatrząsł mu się ukryty pod obrusem brzuch.

- Ale wiesz, to niesamowita historia. Jakies dwa lata temu zaprosili mnie na przyjęcie do lorda Sherwyna i tak się przypadkiem złożyło, że zagraliśmy w bilard... - Berman lubił pomagać ludziom w kłopotach, pożyczając im pieniądze. Specjalizował się w rozpustnych potomkach powszechnie szanowanych baronów i baronetów, gdyż uważał, że mają wpływ na losy tego świata. Była to według niego wielce korzystna inwestycja,

- Opowiesz mi to innym razem - przerwał mu Janson łagodnie, lecz znacząco, z trudem powstrzymując się od tego, żeby nie zabębnić palca mi w stół.

Ale Bermana trudno było czymś zrazić.

T- Za dużo wypił i wygrał ode mnie duże, bardzo duże pieniądze, więc zaproponowałem, żebyśmy podwoili stawkę...

Janson kiwnął głową. Scenariusz był do przewidzenia. Mocno, a może bardziej niż mocno podpity angielski dżentelmen wygrywa olbrzymie pieniądze od pozornie w sztok zalanego Rosjanina, dysponującego najwyraźniej nieograniczonymi funduszami. Przez cały wieczór Rosjanin gra fatalnie i jest tak wstawiony, że nie odróżnia jednego końca kija od drugiego. Ostatnia partia: Anglik wygrał już tak dużo, że może mówić o prawdziwej fortunie. Myśli

o kupnie nowego mieszkania w Kensington, może nawet o wykupieniu domu na wsi, który wraz z rodziną od tak dawna wynajmuje. Nie wierzy własnemu szczęściu, ale cóż, ze szczęściem nigdy nic nie wiadomo. Dzięki zaproszeniu, które niechętnie przyjął - nie cieszy się zbyt dobrą opinią, ale jego rodowe nazwisko wciąż otwiera wszystkie drzwi - w sposób śmiesznie łatwy zdobywa olbrzymie pieniądze.

Rozgrywają ostatnią, decydującą partię. Rosjanin nagle trzeźwieje: chwyta kij i posługując się nim z maestrią skrzypka prowadzącego smyczek, nie daje Anglikowi żadnych szans. Marzenia o łatwo zdobytej fortunie pierzchają i naiwnemu dżentelmenowi grozi ruina finansowa.

- Ale Paul, czy ty wiesz, z kim wtedy grałem? Z Baskertonem. - Guy Baskerton był znanym prawnikiem, królewskim doradcą i przewodniczącym komisji do spraw sztuki, założonej przez szefów Whitehallu. Zadufany w sobie, z cienkim wąsikiem a la David Niven, o pogardliwym spojrzeniu, którym obdarzał mniej świadomych przedstawicieli swojej klasy, stanowił dla Grigorij nieodpartą pokusę.

- Chyba zaczynam rozumieć - odrzekł z pozorną swobodą Paul. Był spięty, ale musiał prosić go o przysługę. Nie mógł na niego ani napadać, ani go błagać, gdyż Berman natychmiast by to wykorzystał, obracając dług w kredyt. - Niech no zgadnę: Baskerton jest członkiem komitetu rekrutacyjnego Klubu Ateńskiego.

- Lepiej. Jest samym prezesem!

- Tak więc pan prezes nagle stwierdza, że jest ci winny sto tysięcy funtów - wpadł mu w słowo Paul, chcąc tę opowieść maksymalnie skrócić. - To dług honorowy, a on nie może go spłacić, ale to nic nie szkodzi, bo ty wspaniałomyślnie mu go darowujesz. Baskerton jest tak wdzięczny, że nie wie, co zrobić. Tak się przypadkiem składa, że nazajutrz spotykasz go u Sheekeya... - Mówiąc, nieustannie zerkał na kelnerów i na siedzących przy sąsiednich stolikach gości, wypatrując potencjalnego zagrożenia.

- Grigorij nie chodzi do Sheekeya. Grigorij nie jada ryb. Grigorij pije jak ryba! Spotkałiśmy się w Ivy. Uwierzysz? Cóż za przypadek!

- Jasne, oczywiście. Przecież nie przekupiłbyś *maitre d hotel*, żeby dostać się na bankiet. Tak samo jak nie namówiłbyś swego utytułowanego go przyjaciela, żeby zaprosił na przyjęcie królewskiego doradcę.

Berman podniósł obie ręce i zetknął je nadgarstkami, jakby czekał, aż Paul założy mu kajdanki.

- Tu mnie pan ma, panie władzo! - Uśmiechnął się szeroko, bo lubił, gdy chwalono go za wyrafinowaną pokrętność i przebiegłość, a Paul potrafił te cechy docenić.

- Grigorij - rzucił wesoło Janson. - Przychodzę do ciebie z ciekawym problemem. Z problemem, który powinien cię zaintrygować.

Berman spojrzał na niego z ożywieniem i wyczekiwaniem.

- Grigorij słucha - odrzekł, pakując sobie do ust obfitą porcję kurczęcia z morelami.

Paul naszkicował mu obraz sytuacji: szesnaście milionów dolarów trafia na konto bez jego wiedzy, opatrzone elektronicznym podpisem, który znać powinien on i tylko on. Sprytne, prawda? Ale czy nie ma w tym jakiejś wskazówki? Jakiegoś klucza? Czy możliwe jest, żeby wśród tysięcy liczb i znaków ktoś zostawił swój cyfrowy ślad, ślad, którego on nie zdołał odnaleźć?

Zdawało się, że Rosjanin jest całkowicie pochłonięty jedzeniem. Jego sporadyczne uwagi dotyczyły wyłącznie kulinariów: risotto jest najlepsze w świecie, tartinki z melasą przepyszne. Spróbuj, sam się przekonasz. Jak można mówić, że Anglicy nie umieją gotować?

Mimo to, Paul widział, że Grigorij intensywnie myśli.

W końcu Berman odłożył widelec.

- Co Grigorij wie o praniu brudnych pieniędzy? - spytał z miną urażonego niewiniątka i posłał mu promienny uśmiech. - Spytaj raczej, czego Grigorij nie wie! Ha! Tym, co wiem,

można by zapełnić całą bibliotekę. Wy, Amerykanie, myślicie, że dużo wiecie. Wy nic nie wiecie. Życie w wielkich domach, ale fundamenty tych domów przeżarły termyty. Jak mawiamy w Moskwie: sytuacja rozpaczliwa, ale nie beznadziejna. Wiesz, ile brudnych pieniędzy wpływa do Stanów i wypływa z nich co roku? Trzysta miliardów dolarów. Trzysta miliardów. To więcej niż produkt narodowy niejednego kraju. Elektroniczne transakcje bankowe, tak? Wiesz, ile wpływa codziennie do waszych banków, a ile z nich wypływa?

- Nie, ale na pewno mi powiesz,

- Dwa biliony dolarów! Jeszcze trochę i zaczniemy mówić o prawdziwych pieniądzach, co? - Śmiejąc się wesoło, trzasnął dłońmi w stół. - Same przekazy. Gdzie ukryjesz ziarnko piasku, żeby nikt go nie znalazł? Na plaży. Dziesięć lat temu zgarnęliście moich przyjaciół. Nie ronię po nich łez, bo wszyscy byli bardzo niekulturalni, ale czy myślisz, że aresztując ich, coś zmieniliście? Coś powstrzymaliście? Grigorij Berman założył więcej firm niż ten wasz przedsiębiorca, jak mu tam... Niż Jim Clark!

- Lewych firm, Grigorij, lewych. Takich, które istniały tylko na papierze.

- Ale teraz istnieją naprawdę. Wykupują inne firmy. Towarzystwa ubezpieczeniowe w Austrii, banki w Rosji, spółki przewozowe w Chile. Gotówka wpływa i wypływa, kto zgadnie skąd i dokąd? Kto ich powstrzyma? Wasz rząd? Wasze ministerstwo? Wasze ministerstwo założyło Sieć do Walki z Przestępstwami Finansowymi. Ma siedzibę przy ulicy z lokalami ze striptizem w Wirginii! - Ponownie zatrząśł mu się wielki brzuch. - Wiesz, jak nazywają ten budynek? Muszłą klozetową! Bo kto by ich poważnie traktował? Słyszałeś o Sun Mingu? Na pewno słyszałeś. Przyjeżdża do Ameryki, mówi, że jest drwalem. Pożycza sto sześćdziesiąt milionów z chińskiego banku. Łatwiej kichnąć, nie? Siada do komputera i drukuje parędziesiąt lewych kontraktów, zatwierdzeń, specyfikacji, wniosków importowych, i tak dalej. I co? I autoryzują mu wszystkie przelewy. I co? I przelewa pieniądze do kilku banków. I co? I jednemu bankierowi mówi: „Gram na giełdzie w Hong Kongu!” Drugiemu: „Sprzedaję filtry papierosowe”. Trzeciemu: „Robię we włókiennictwie!” Ciach, ciach, ciach. Z Chin do Ameryki i do Australii. Najważniejsze to wtopić się w szary tłum, wtedy nikt cię nie zauważy, bo jesteś jak ziarnko piasku na plaży, tak? Amerykanie go nie złapali. Ci z muszli klozetowej mają pilnować pieniędzy, ale nikt im tych pieniędzy nie daje! Sekretarz skarbu nie chce zdestabilizować systemu bankowego! Wiesz, ile przelewów robi się codziennie w waszych bankach? Czteryście tysięcy, licząc tylko elektroniczne. Czteryście tysięcy poleceń, z komputera na komputer. Amerykanie nie złapali Sun Minga. Australijczycy go złapali.

- Bo mają mniejszą plażę?

- Nie, lepsze komputery. Szukali wzoru we wzorze. Zauważyli coś zabawnego. I wyszło sztydło z worka.

- Zauważyli coś zabawnego czy dziwnego?

- A jest różnica? - spytał Berman, pochłaniając kolejną porcję tartinek i jęcząc z kulinarnej rozkoszy. - Wiesz, w zeszłym tygodniu byłem w Canary Wharf Tower. Byłeś? Pięćdziesiąt pięter, najwyższy budynek w Londynie. Bracia Reichman prawie zbankrutowali, ale co tam, to nie pieniądze Grigorija. No więc poszedłem tam na spotkanie z moją rosyjską przyjaciółką Ludmiłą. Spodobałaby ci się. Ma balony jak kopuła bazyliki Świętego Piotra. Siedzimy sobie na czterdziestym którymś piętrze, patrzę w okno na prze piękny widok i nagle widzę, że za oknem coś fruwa. Zgadnij co.

- Banknot?

- Motyl. Dlaczego motyl? Co robi motyl na wysokości czterdziestego piętra w środku miasta? Zdumiewające. Żaden motyl nie lata na czterdzieste piętro, bo nie ma tam co robić. A on wziął i przyleciał. - Berman podniósł palec, żeby to podkreślić.

- Wielkie dzięki, Grigorij. Wiedziałem, że wszystko mi wyjaśnisz.

- Zawsze trzeba szukać motyla. Pośrodku niczego, na pustyni. Zawsze trzeba szukać czegoś, co nie pasuje. Zadaj sobie pytanie: czy w powodzi cyfr może być motyl? Tak, może. I

zawsze jest. Zamacha skrzydełkami i odleci, wtedy go zobaczysz. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie patrzeć.

- Rozumiem. I powiesz mi gdzie?

Berman spojrział ze smutkiem na resztki tartinek i nagle twarz mu pojaśniała.

- Zagrasz ze mną w bilard? To tu, niedaleko.

- *Niet.*

- Dlaczego?

- Bo oszukujesz.

Berman wesoło wzruszył ramionami.

- Grigorij uważa, że ciekawiej się wtedy gra. Bilard wymaga umiejętności, oszukiwanie też, w takim razie dlaczego oszukiwanie jest oszukiwaniem? - Kwintesencja logiki, jak to u niego. Widząc, że Janson po smutniał, Rosjanin szybko uniósł obie ręce. - Dobrze, już dobrze. Zabiorę cię do domu, *da?* Mam tam superkomputer, RS/6000 SP. I poszukamy motyla.

- I znajdziemy motyla - poprawił go Paul łagodnie, ale z wyraźnym naciskiem. Berman prowadził w Londynie wystawne życie, bo zbił fortunę, o której jego dawni towarzysze mogli tylko marzyć. Ale nie doszłoby do tego, gdyby Janson nie pozwolił mu kiedyś uciec. Paul nie musiał stukać palcem w księgę: Berman dobrze wiedział, co w tej księdze jest. Nikt nie miał bardziej wykształconego poczucia wdzięczności niż ten tryskający energią były księgowy.

Ford Meade Maryland

Sanford Hildreth był już spóźniony, ale czy on się kiedykolwiek gdzieś nie spóźnił? Danny Callahan pracował u niego od trzech lat i zdziwiłby się, gdyby szef zjawił się o czasie.

Callahan należał do małej grupy szoferów przydzielonych najwyższemu urzędnikom amerykańskich służb wywiadowczych. Każdego z nich regularnie poddawano surowym próbom i testom. Żaden z nich nie miał ani żony, ani dzieci, każdy przeszedł zaawansowany kurs walki wręcz i dywersji. Rozkazy były stanowcze i wyraźne: bronić pasażera do ostatniej kropli krwi. Ludzie ci przechowywali w głowie największe tajemnice państwowe, od ich przeżycia zależało dobro kraju.

Długie, czarne limuzyny, którymi ich wożono, były opancerzone; boki miały wzmocnione stalowymi płytami, przyciemniane szyby mogły wytrzymać uderzenie pocisku kalibru czterdzieści pięć, wystrzelonego z bliskiej odległości, a koła zaopatrzone w samonadmuchujące się dętki i samouszczelniające opony. Ale bezpieczeństwo pasażera zależało nie od samochodu, tylko od kierowcy i jego umiejętności.

Callahan był jednym z trzech szoferów przydzielonych wicedyrektorowi Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, ale Sanford „Sandy” Hildreth nigdy nie ukrywał, że najbardziej lubi właśnie jego, Danny’ego. Danny znał wszystkie skróty. Danny wiedział, kiedy można przekroczyć prędkość. Danny potrafił zawieźć go do domu o dziesięć, piętnaście minut szybciej niż inni. Nie bez wpływu na jego decyzję pozostawało i to, że Callahan zasłużył się podczas wojny w zatoce. Wicedyrektor nigdy nie brał bezpośredniego udziału w walce, ale lubił takich, którzy brali. Niewiele ze sobą rozmawiali - zwykle dzieliło ich matowe, dźwiękoszczelne przepierzenie - ale raz, przed rokiem, Hildreth się nudił, a może szukał rozrywki, tak czy inaczej, trochę z nim pogadał. Danny opowiedział mu wtedy o tym, jak to grał w futbol w ogólniaku, jak jego drużyna zdobyła mistrzostwo Indiany i wyraźnie widział, że Hildrethowi bardzo się to spodobało. „Obrońca? - rzucił szef. - Widać, że wciąż jesteś w formie. Kiedyś musisz mi powiedzieć, jak to robisz”.

Hildreth był drobny i niski, ale lubił otaczać się wysokimi i atletycznie zbudowanymi. Może bawiło go to, że on, taki mały człowieczek, może rozkazywać olbrzymom, że ludzie ci są na jego posługi. A może po prostu dobrze się wśród nich czuł.

Danny Callahan zerknął na zegarek na desce rozdzielczej. Hildreth powiedział, że chce wyjechać o wpół do siódmej, a było już piętnaście po. Nic nowego. Szef potrafił spóźnić się czterdzieści pięć minut, a nawet godzinę.

W słuchawkach usłyszał głos dyspozytora:

- Koziorożec już schodzi. - Nareszcie.

Callahan zajechał przed boczne wejście wielkiego, szklanego gmachu w kształcie podkowy, w którym mieściła się Agencja Bezpieczeństwa Narodowego. Spadły pierwsze krople deszczu. Callahan zaczekał, aż Hildreth wyjdzie, wysiadł i otworzył drzwiczki.

- Jak się masz, Danny. - W świetle halogenowych reflektorów załśniło jego wysokie czoło i ptasia twarz, ściągnięta w zdawkowym uśmiechu.

- Dobry wieczór, panie doktorze - powiedział Callahan. Przeczytał kiedyś w „Washington Post”, że Hildreth ma doktorat ze stosunków międzynarodowych. Od tamtej pory zwracał się do niego „panie doktorze” i zauważył, że szef bardzo to lubi. Hildreth wsiadł. Drzwiczki zatrzasnęły się z miękkim młasknięciem.

Lunęło. Padało gęstymi, skośnymi, rozwiewanymi przez wiatr strugami, które dziwnie zniekształcały światła nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów. Do Mason Falls było czterdzieści osiem kilometrów, ale Danny potrafił dojechać tam z zamkniętymi oczami: z Savage Road na szosę numer dwieście dziewięćdziesiąt pięć, szybkie zawinięcie i skręt na szosę numer trzysta dziewięćdziesiąt pięć, na drugi brzeg Potomacu, a potem skręt w Arlington Boulevard.

Kwadrańs później w tylnym lusterku zobaczył migające światła policyjnego radiowozu. Przez chwilę myślał, że gliniarze wyprzedzą go i pojedą dalej, ale nie, wyglądało na to, że próbują go zatrzymać.

Niemożliwe. Ale - o ile dobrze widział w rześistym deszczu - w zasięgu wzroku nie było żadnego innego samochodu. Co jest, do diabła?

Owszem jechał dwadzieścia kilometrów za szybko, ale w takich przypadkach policjanci zerkali zwykle na rządową tablicę rejestracyjną i odjeżdżali. Ktoś nowy i nadgorliwy? Callahan z przyjemnością pokazałby mu, gdzie raki zimują, ale z Hildrethem nigdy nic nie wiadomo: mógłby się zezłościć, wytknąć mu, że przekroczył dozwoloną prędkość, chociaż z drugiej strony nigdy nie ukrywał, że jest mu wdzięczny za szybką jazdę. *Chapeau bas!* - powiedział kiedyś. Dosłownie. Danny sprawdził to potem w słowniku: „Kapelusz z głowy”. No i proszę. Ale nikt nie lubi, kiedy go zatrzymuje policja. Co będzie, jeśli Hildreth powie, że to wina kierowcy i zepsuje mu opinię?

Zjechał na pobocze. Radiowóz zatrzymał się tuż za nim.

Gdy podszedł do niego policjant w granatowej pelerynie, Danny otworzył okno.

- Wie pan, z jaką prędkością pan jechał?

Callahan pokazał mu dwa zalaminowane dokumenty.

- Proszę - rzucił. - Pożałuje pan dnia i godziny.

- O cholera, nie wiedziałem... - Był autentycznie speszony, ale to dziwne, bo nie mógł być nowicjuszem. Miał ze czterdzieści lat, bokserski nos i cienką bliznę na szczęce.

- Następnym razem niech pan spojrzy na tablicę rejestracyjną - odparł znudzonym głosem Danny. - Jeśli zobaczy pan litery SXT, to znaczy, że wóz należy do federalnego transportu samochodowego.

Policjant podał mandat.

- Nigdy mnie tu nie było. Pana też?

- Oczywiście.

- I bez urazy, dobra? - Policjant powiedział to lekko spanikowanym głosem i wyciągnął

do niego rękę. - Bardzo szanuję waszą pracę...

Danny westchnął, ale też wyciągnął rękę, choć dłoń tamtego, co dziwne, minęła się z jego dłonią i dotknęła nadgarstka. Poczuł lekkie ukłucie.

- Cholera jasna!

- Przepraszam, to ten przeklęty sygnet. - Policjant ani drgnął.

- Co to, kurwa, jest? - krzyknął Callahan i raptem ogarnęła go dziwna słabość.

Mężczyzna w pelerynie odblokował od środka zamek drzwi i pociągnął za klamkę.

Danny był zaskoczony i wściekły. Chciał coś powiedzieć, ale... nie mógł. Chciał tamtego odepchnąć, ale... nie mógł podnieść ręki. A gdy otworzyły się drzwiczki, osunął się w fotelu jak worek żwiru i byłby wypadł z samochodu, gdyby policjant go nie podtrzymał. Nie mógł się ruszać!

- Spokojnie, staruszkule - powiedział mężczyzna w granatowej pelerynie, śmiejąc się przyjaźnie. Dźwignął Callahana i przesadził go na miejsce pasażera.

Danny'emu opadła szczeka. Siedział i gapił się beznamiętnie, jak tamten wskakuje za kierownicę.

Rozbłysła niebieska lampka interkomu i z głośnika dobiegł skrzekliwy głos:

- Danny? Co się tam, do diabła, dzieje? - Hildreth zaczynał się denerwować.

Policjant wcisnął przycisk blokujący tylne drzwi, wrzucił jedynekę i płynnie ruszył w kierunku Arlington Memorial Bridge.

- Pewnie myślisz, co to za cholera? - rzucił życzliwie. - Anektyna, brachu, bloker neuro-mięśniowy. Używają jej podczas zabiegów chirurgicznych. Dziwne uczucie, nie? Jesteś w pełni przytomny, ale za chuja nie możesz się poruszyć. Przepona ci chodzi, serce bije, możesz nawet mrugać. Ale nad mięśniami szkieletowymi nie panujesz. Poza tym trudno ją wykryć w organizmie, chyba że wie się, czego szukać.

Policjant wcisnął guzik i lekko uchylił tylne szyby. Głośnik ponownie zapiszczał. Jeden ruch palca i pisk umilkł.

- Twój pasażer nie wie, co jest grane. Po cholere otworzyłeś okna, skoro leje jak z cebra?

Co się tu, do diabła, dzieje? - myślał Callahan. Spróbował skupić całą energię i podnieść palec wskazujący. Wyteżył wszystkie siły, jakby podciągał się na drążku, ważąc trzy razy więcej, niż ważył. Palec leciutko zadrżał, i tyle. Był bezsilny. Zupełnie bezsilny. Widział. Słyszał. Ale nie mógł poruszyć nawet głupim palcem.

Na kilkadziesiąt metrów przed prawie opustoszałym mostem policjant wcisnął gaz do deski. Ryknął trzystukonny silnik i limuzyna wystrzeliła do przodu, przecinając dwa pasy jezdni. Hildreth wściekle załomotał w przepierzenie, ale na próżno. Samochód roztrzaskał barierkę, pozęglował w powietrzu jak wielki ptak i runął do wody.

Uderzenie było silniejsze, niż się Danny spodziewał. Był w pasach, ale szarpnęło nim tak mocno, że poczuł, jak coś mu w środku pęka; pewnie żebro. Ale wóz wyposażono w czteropunktowe pasy, takie, jakich używają w samochodach wyścigowych i widział, że mężczyźni w granatowej pelerynie nic się nie stało. Podczas gdy limuzyna pogrążała się powoli w głębinach Potomacu, napastnik rozpiął pasy i opuścił szybę od strony kierowcy. Potem rozpiął pasy Danny'ego i przeciągnął go na swój fotel.

Danny czuł się jak szmaciana kukła. Był bezwładny i bezsilny. Ale widział. Ale myślał. Dlatego wiedział, po co tamten uchylił tylne szyby.

Policjant - policjant? - otworzył okno, wyslizgnął się na zewnątrz i jak strzała popłynął do góry.

Ani Callahan, ani Hildreth wyslizgnąć się nie mogli: Callahan dlatego, że był sparaliżowany, Hildreth dlatego, że siedział zamknięty w kabinie za przepierzeniem. Szyby też były zablokowane; policjant tylko je uchylił, żeby do środka wtargnęła woda. Ultrabezpieczna limuzyna zmieniła się w mokry grób.

Opadła na dno przodem do góry, pewnie dlatego, że tył był już całkowicie zalany. Woda wlewała się teraz do szoferki, oknem i dziesiątkami niewidocznych szczelin. Jej poziom szybko się podnosił. Już sięgała mu piersi. Szyi. Podbródka. I wyżej.

Oddychał przez nos, ale ile jeszcze sekund mu zostało?

Wszystkie pytania, nad którymi łamał sobie głowę, zlały się w jedno wielkie pytanie: kto to mógł zrobić?

Woda wdarła mu się do nosa, do ust i spłynęła strumyczkami do płuc. Ogarnęło go niesamowite uczucie, prawdopodobnie najintensywniejsze, najpotężniejsze uczucie, jakie może człowieka ogarnąć: uczucie duszenia się. Danny się topił. Nie mógł zaczerpnąć powietrza. Pomyślał o wujku Jimmym, który umarł na odmě. Wujek siedział w fotelu, w przezroczystej masce tlenowej na twarzy: butla z tlenem towarzyszyła mu dosłownie wszędzie, jak kiedyś jego ukochany żółty labrador. Wyobraził sobie, że gwałtownie wierzga, że wyszarpuje się i uwalnia z pułapki, że wypływa na powierzchnię. Potem spróbował wyobrazić sobie, że oddycha czystym, świeżym powietrzem, biegnąc żuźlową bieżnią w ogólniaku w West Lafayette w Indianie, ale zamiast czystego powietrza wciągnął do płuc wodę. Z nosa poleciały bąbelki.

Nie mógł oddychać.

Nacisk na bębenki uszne - samochód spoczywał na dnie, na samym dnie - stawał się nie do zniesienia i jeszcze bardziej pogłębiał potworne uczucie duszenia się. Ale to, że odczuwał ból, coś oznaczało. Oznaczało, że jeszcze żyje, że jeszcze nie umarł. Śmierć nie boli. Bola ostatnie podrygi życia, jego pożegnalne skurcze, rozpaczliwa walka o przetrwanie.

Chciał wierzgnąć, szarpnąć się, machnąć rękami. Po raz kolejny wyobraził sobie, że młóci nimi wodę. Ale tylko to sobie wyobraził: jego kończyny leciutko drgnęły, i tyle.

Przypomniało mu się, co powiedział policjant, i niektóre rzeczy stały się aż nadto oczywiste. „Bronić pasażera do ostatniej kropli krwi”. To już nieaktualne. Gdy wyciągną samochód, nie będą żyli. Obydwaj. Po prostu się utopia. Jego, szofera, znajdą na miejscu kierowcy. Pasażer padł ofiarą wyszukanych środków bezpieczeństwa. Pozostanie tylko pytanie, dlaczego Callahan zjechał z mostu.

Cóż, padało, jezdnia była śliska, a Danny lubił jeździć szybko. Prawda?

Tak jak zwykle zrzucą winę na posłańca.

A więc tak się to miało skończyć. Pomyślał o wszystkim tym, co mu w życiu nie wyszło. Pomyślał o stypendium sportowym, którego nie dostał tylko dlatego, że gdy na meczu pojawił się selekcjoner, on akurat nie grał. Potem miał kontuzję kolana i trener nie chciał wystawić go do rozgrywek regionalnych i stanowych. Pomyślał o mieszkaniu, które chciał kupić z Ireną, gdy okazało się, że nie mają dość forsy na pierwszą ratę. Ojciec nie chciał pomóc - wściekł się, że na niego liczyli - skutkiem czego stracili również zaliczkę, na którą też nie mogli sobie pozwolić. Zaraz potem Irena go zostawiła. Nie mógł jej za to winić, ale oczywiście winił. Pomyślał o tym, jak starał się o pracę, i przypomniały mu się wszystkie te upokarzające odmowy. „Kandydat bez perspektyw na awans”. Tak mówili i chociaż bardzo się starał, nazwa ta przyłgnęła do niego jak nalepka na zderzak, której za nic nie można oderwać. Ludzie patrzyli na niego i natychmiast ją widzieli.

Po chwili stracił nawet ochotę, żeby wyobrazać sobie, że jest gdzie indziej. Był tam, gdzie był.

I było mu zimno. Zimno i mokro. Strach, przerażenie, brak powietrza jego świadomość powoli gasła, zawężając się do kilku podstawowych myśli.

Pomyślał: każdy musi umrzeć. Ale nikt nie powinien umierać tak jak ja.

Pomyślał: to już nie potrwa długo. To nie może trwać długo. Nie może.

I pomyślał: dlaczego?

Rozdział 15

Berthwick House, „skromny domek” Grigorija Bermana, był w rzeczywistości wielkim, dwupiętrowym domiszczem z czerwonej cegły. Stał przy Regens Park i miał pochyły dach z oknami mansardowymi i trzema wysokimi kominami. Środki bezpieczeństwa były dyskretne i jednocześnie rzucające się w oczy. Rezydencję otaczał trzymetrowej wysokości czarny płot z kutego żelaza, najeżony przypominającymi włócznie szpikulcami. Podjazd omiatało oko wysoko zamontowanej kamery pod emaliowanym kapturem. Była też mała budka ze strażnikiem, który widząc malinową limuzynę Bermana, z pełnym szacunku ukłonem machnął ręką i... łaskawie pozwolił im wjechać na teren posiadłości.

W przestronnym, pomalowanym na koralowo holu roiło się od reprodukcji i podróbek. Stały tam krzesła, fotele i stoliki szachowe Sheridana i Chippendale'a, ale wszystkie lśniły od szelaku i miały dziwnie pomarańczowy połysk. Dwa wielkie obrazy przedstawiające sceny z polowania robiły wrażenie dystygowanych osiemnastowiecznych malowideł, ale tylko na pierwszy rzut oka: z bliska widać było, że kupiono je w domu towarowym, że są to zwykłe kopie namalowane pośpiesznie przez jakiegoś studenta.

- No i jak? Podoba ci się? - spytał Grigorij, nadymając się jak paw i zataczając ręką szeroki łuk, żeby pokazać Jansonowi tę beładną mieszaninę anglofilskiej tandety.

- Odebrało mi mowę - odrzekł Paul.

- Jak na planie filmowym, *dal* - Kolejny łuk, jeszcze szerszy niż ten poprzedni.

- *Da*.

- Bo to jest plan filmowy! - wykrzyknął Berman, radośnie klaszcząc w dłonie. - Ostatniego dnia zdjęć Grigorij pojechał do wytwórni, do Merchant Ivory Productions. Pojechał, wypisał czek i dał go kierownikowi produkcji. Kupił wszystko i kazał przewieźć do domu. Teraz mieszka na planie filmowym. Mówią, że Merchant Ivory to najlepsza wytwórnia, a jak coś jest najlepsze, to i dobre dla Grigorija. - Zachichotał z ukontentowaniem.

- Oczywiście - odparł Janson. - Nie spodziewałem się niczego innego. - Teraz sprawa była jasna: wszystkie te rzeczy, te obrazy i meble, miały w sobie coś sztucznego, ponieważ zaprojektowano je i wykonano tak, żeby dały się sfilmować w odpowiednim świetle, odpowiednimi obiektywami i przez odpowiednie filtry.

- Mam i kamerdynera. Ja, Grigorij Berman, biedny moskwianin, który spędził dzieciństwo w kolejkach w GUM-ie, ma własnego kamerdynera.

Człowiek, o którym mówił, stał cicho na końcu foyer. Ubrany w długi, czarny, zapinany na cztery guziki surdut i sztywną, pikowaną koszulę, miał szerokie bary, gęstą czarną brodę i czarne, rzadkie, starannie zaczesane do góry włosy. Różowe policzki świadczyły, że jest to osobnik wylewny i jowialny, co kontrastowało z jego posępnym strojem.

- To jest pan Giles French - przedstawił go Grigorij. - Dżentelmen dżentelmena. Pan French spełnia wszystkie moje zachcianki.

- To jego prawdziwe nazwisko?

- Nie. Prawdziwe to Tony Thwaite. Ale kto to jest Tony Thwaite? Nie podobało mi się. Dałem mu nazwisko z najlepszego amerykańskiego programu telewizyjnego.

Brodaty kamerdyner z powagą skinął głową.

- Do usług, wielmożny panie - powiedział basem.

- Proszę przynieść nam herbaty i... - Berman urwał. Albo się zamyślił, albo rozpaczliwie próbował przypomnieć sobie, co pasuje do herbaty. - Kawioru? - Powiedział to niepewnie, ostrożnie, a gdy kamerdyner dyskretnie pokręcił głową, szybko się poprawił: - Nie, nie, chwileczkę. - Nagle pojaśniała mu twarz. - Kanapki z ogórkiem.

- Służę, wielmożny panie - odrzekł tamten.
- Nie, mam lepszy pomysł. Przyniesź rożki. Te specjalne, te od naszej kucharki. Z kremem i dżemem truskawkowym.

- Znakomicie, wielmożny panie, natychmiast służę.

Grigorij promieniał jak dziecko bawiące się swoją ulubioną gadającą i chodzącą lalką. Ten wielki dom był dla niego jedną wielką zabawką i stworzył w nim dziwaczną parodię angielskiego wnętrza w luksusowym, mile kiczowatym stylu.

- Powiedz, co o tym myślisz, ale tak szczerze - poprosił Berman, po raz kolejny zataczając ręką łuk.

- Brak mi słów.

- Zabrakło ci słów? - Berman uszczypnął się w policzek. - Naprawdę? Nie mówisz tego ot tak? O rety! Przedstawię cię za to Ludmile. Ludmiła zabierze cię w podróż dookoła świata bez wychodzenia z łóżka!

Mijając mały pokój na końcu holu, Paul przystanął przed potężną, błyszczącą maszyną z wbudowanym w ścianę monitorem, klawiaturą i dwoma czarnymi głośnikami z boków.

- To jest RS/6000? - spytał z należnym szacunkiem.

- To? - odrzekł Grigorij. - To zestaw do karaoke. Komputer jest na dole. - Krętymi schodami zeszli do wyłożonego wykładziną i pozbawionego okien pomieszczenia, gdzie stało kilka komputerów; wytwarzały tyle ciepła, że trudno tam było oddychać. W kącie wirowały dwa małe wentylatory. Kamerdyner przyniósł herbatę i rożki na fajansowych talerzykach. Postawił je na stoliku wraz z dwiema miseczkami z dżemem truskawkowym i cicho wyszedł.

Zerknąwszy łakomie na rożki, Grigorij usiadł do komputera i zastukał w klawiaturę, uruchamiając serię programów penetrujących zabezpieczenia uniemożliwiające dostęp sieci zewnętrznych do wewnętrznych. Przez kilka minut przyglądał się wynikom, wreszcie spojrzął na Jansona.

- A teraz, tak między nami, powiedz mi, gdzie mam szukać.

Paul milczał przez chwilę, zastanawiając się gorączkowo, co może mu zdradzić. Wiedział, że ludzie gadatliwi, tacy jak Berman, potrafią być czasem bardzo dyskretni, że wszystko zależy od motywacji. Wyjawiał mu tylko najniezbędniejsze szczegóły. Berman wysłuchał go bez słowa i bez żadnej widocznej reakcji, po czym wzruszył ramionami i wystukał na klawiaturze serię poleceń.

Minęła minuta.

- Grigorij niezadowolony - mruknął. - Ale niech te programy sobie popracują. Kto wie, z czasem może będą wyniki.

- Z czasem? - spytał Janson. - To znaczy za ile?

- Puść maszynę w ruch, odczekaj dwadzieścia cztery godziny, skoordynuj ją z globalną siecią równoległą innych komputerów, a wtedy może... - Berman podniósł wzrok. - Za osiem miesięcy? Nie, raczej za dziewięć. Jak z ciążą u kobiety.

- Żartujesz.

- Chcesz, żeby Grigorij zrobił coś, czego inni nie potrafią? To musisz dać mu liczby, których inni nie mają. Masz cyfrowy klucz, *da?* Ten publiczny. Jeżeli go wykorzystamy, będziemy mieli przewagę. Jeśli nie, będziemy rodzić, ale dopiero za dziewięć miesięcy.

Janson podał mu klucz do swego konta, cyfrowy kod, transmitowany przy odbiorze informacji. Niechętnie, ale podał. Był to tak zwany klucz publiczny: znał go on i dyrektor banku na Kajmanach.

Dziesięć sekund później na ekranie monitora wykwitły długie kolumny liczb, które przesuwały się do góry jak napisy w czołówce filmu.

- Bezsensowne znaczki i robaczki- powiedział Grigorij. - Teraz musimy poszukać wzoru. Poszukać motyla.

- Znaleźć motyla - poprawił go z naciskiem Janson.

- Ba! Ty, *moj dorogoj*, jesteś jak lody na gorąco: słodkie i miękkie na zewnątrz, twarde i zimne w środku. Brrr! Brrr! - Objął się wpół, udając, że zlodowaciał. Potem spojrzął na ekran monitora i nie pamiętając o bożym świecie, przez dobre pięć minut uważnie studiował sekwencje liczb.

- Motyl jest tu - powiedział w końcu. - 5467-001-0087. To jest motyl.

- Te liczby nic mi nie mówią.

- Ale mnie mówią wszystko - odrzekł Grigorij. - Te liczby to piękne kobiety, brudne kanały, brązowa kawa, haszysz i jeszcze więcej kobiet, tych ze wschodniej Europy, takich co to siedzą w oknach wystawowych jak manekiny w samych majtkach.

Janson szybko zamrugał.

- Szukasz kodu przekazów z Amsterdamu?

- *Da!* Kody z Amsterdamu. Za często się tu powtarzają, to nie przypadek. Twoja dobra wróżka wysłała pieniądze właśnie stamtąd.

- Wiesz, z którego banku?

- Jesteś jak lody na gorąco - powtórzył Grigorij z naganą w głosie. - Daję ci palec, a ty chwytasz całą rękę. Nie znajdę tu numeru banku, chyba że... *Niet*, to niemożliwe.

- Chyba że co?

- Chyba że podasz mi swój... prywatny kod dostępu. - Berman skulił się i skurczył, jakby myślał, że Paul zaraz mu przyłoży. - Tamten to kod publiczny, bo znasz go ty i dyrektor banku. Mnie potrzebny jest prywatny. Ten kod jest jak klucz do otwierania konserw. Wystarczy nim trochę pokręcić, i już. Potężne narzędzie. - Przelewanie pieniędzy z konta na konto wymagało zastosowania klucza prywatnego, autoryzowanej sekwencji cyfr znanych jedynie posiadaczowi konta. To dodatkowe, super pewne zabezpieczenie chroniło zarówno klienta banku, jak i sam bank.

- Naprawdę myślisz, że podam ci kod?

Grigorij wzruszył ramionami.

- *Niet*.

- Mogę ci zaufać? Na pewno?

Berman wybuchnął śmiechem.

- *Niet!* Za kogo ty mnie masz? Za harcerzyka? Prywatny kod dostępu musi pozostać prywatny: nikomu się go nie udostępnia, stąd nazwa. Wszyscy jesteśmy zwykłymi śmiertelnikami, a Grigorij jest jeszcze większym śmiertelnikiem niż inni. - Spojrzął mu prosto w oczy. - Nie, lepiej mi go nie podawaj... - Zabrzmiało to jak prośba.

Janson intensywnie myślał. Berman zwykł mawiać, że potrafi oprzeć się wszystkiemu z wyjątkiem pokusy, a tajny kod dostępu do tajnego konta był nie lada pokusą: Grigorij mógłby oczyścić je kilkoma uderzeniami w klawisze. Tylko czy by mu się to opłacało? Żył w Anglii jak pasza i uwielbiał tu żyć. Wiedział, że gdyby Janson obrócił się przeciwko niemu, straciłby wszystko, co miał, przestałby być tym, kim był. Paul nie musiał mu nawet grozić, Grigorij doskonale zdawał sobie sprawę z ewentualnego ryzyka. Czy nie dlatego tak niechętnie prosił go o kod? Po prostu nie chciał ulec pokusie, ale nie chciał też obudzić się nazajutrz rano i stwierdzić, że, jak ostatni głupiec, zostawił na stoliku kupę forsy.

Paul podał mu piętnastocyfrowy kod i Grigorij wystukał go na klawiaturze. Twarz miał bladą i napiętą: najwyraźniej toczył ze sobą wewnętrzną walkę. Ale już chwilę później udało mu się połączyć z kilkunastoma instytucjami finansowymi, które dokonywały przelewów za pośrednictwem Mont Verde na Kajmanach, i wygrzebać z bankowego komputera cyfrowe sygnatury, identyfikujące każdą przeprowadzoną transakcję.

Przez kilka minut w pomieszczeniu panowała cisza, przerywana jedynie szumem wentylatorów i mlaskaniem klawiatury. Potem Berman wstał.

- *Da!* - powiedział. - ING. International Netherlands Group Bank, międzynarodowa grupa banków. Pewnie znasz ich pod inną nazwą. Nederlandsche Middenstandsbank.

- Co o nich wiesz?

- Piękny, nowiuiteńki gmach w centrum Amsterdamu. Pracują tam tak wydajnie, że nikt nie chce tam pracować. Drugi pod względem wielkości bank w Holandii. I te amsterdamskie kobiety. Najpiękniejsze kobiety na świecie!

- Grigorij...

- Musisz poznać Gretchen. Koniecznie. I zabawić się z nią w podróż dookoła świata. Wylatasz tyle kilometrów, że u tych z linii lotniczych zasłużysz na darmowy bilet. W dodatku cały czas będziesz leżał na plecach, ty albo ona! Gretchen jest przyjaciółką Grigorija. Towarzystką wszystkich znużonych podróżników. Powiesz jej, że jesteś przyjacielem Grigorija. Dam ci jej numer. Łatwiej go zapamiętać niż te wszystkie kody.

- Myślisz, że natrafiliśmy na mur? Jeśli zidentyfikowałeś grupę, może uda ci się zidentyfikować bank, który dokonał przelewu?

- Bardzo trudne. - Berman odgryzł kawałek rożka, ale zrobił to tak ostrożnie, jakby rożek też mógłby go ugryźć. - To nie kucharka je robi - wyznał z zakłopotaniem. - Mówi, że robi, ale nie robi. Kupuje je w sklepie. Widziałem plastikowe torebki w koszu na śmieci. Ale nic nie powiedziałem. Każdy musi czuć, że wygrywa, bo inaczej będzie nieszczęśliwy.

- Ja też chcę wygrać, Grigorij. Powiedziałeś, że namierzenie właściciela rachunku, który dokonał przelewu, będzie trudne. Trudne nie znaczy niemożliwe. A może polecisz mi kogoś, kto potrafi to zrobić?

Berman przybrał urażoną minę.

- Dla Grigorij nic nie jest niemożliwe. - Rozejrzał się czujnie, szybko nabrał łyżką dżemu, włożył go do herbaty i zamieszał. - Tylko nie mów kamerdynerowi - szepnął. - To rosyjski sposób, ale pan French by tego nie zrozumiał. Byłby zaszokowany.

Paul przewrócił oczami. Biedny Grigorij, niewolnik własnej służby.

- Boję się, że czas mi się kończy...

Berman wstał i z miną winowajcy ponownie usiadł do komputera.

- To nudne - powiedział jak duże dziecko, które oderwano od ulubionych zabawek i zmuszono do odrabiania lekcji. Podczas gdy on pracował, Paul wyjął notatnik elektroniczny i połączył się z bankiem na Kajmanach.

Kwadrans później skupiony i zlany potem Grigorij nagle podniósł wzrok.

- Załatwione - powiedział i dopiero wtedy zobaczył notatnik w ręku Jansona. - Zmieniłeś kod?

W tej samej chwili Paul wcisnął guzik.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknął Berman i szybko wstał. - Inaczej bym nie wytrzymał i zrobiłbym coś złego, coś bardzo, bardzo złego. Dzisiaj, jutro, za miesiąc, w środku nocy, nawet przez sen! Kto to może wiedzieć? Znać kod i nie wykorzystać go to jak... - Poprawił spodnie.

- Wiem, Grigorij, domyślam się - przerwał mu łagodnie Paul. - A teraz mów. Znalazłeś?

- Tak, ale to chyba jakiś dowcip - odrzekł z uśmiechem Berman.

- Jak dowcip? - powtórzył zaniepokojony Janson.

- Namierzyłem numer rachunku, z którego dokonano przelewu. To bardzo trudne, nawet za pomocą naszego klucza do konserw. Musiałem zastosować kody jednokrotnego użytku i wejść tam tylnymi drzwiami, niszcząc po drodze mnóstwo cennych danych. Ale cóż. Jak w tej amerykańskiej piosence: „To, co zrobiłem, zrobiłem z miłości”, *dal* - Zanucił kilka taktów, ale Janson przeszył go spojrzeniem. - Odwrócony algorytm asymetryczny. Program upolował odpowiedni wzór i poszukał jego źródła. To bardzo trudne...

- Grigorij, mój przyjacielu. Nie recytuj mi tu *Wojny i pokoju*, tylko od razu przejdź do rzeczy.

Lekko urażony Berman wzruszył ramionami.

- Potężny program komputerowy liczy i liczy, ciężko pracuje. To cyfrowy odpowiednik triathlonu na poziomie olimpijskim, i to bez enerdownskich sterydów. Pracował, pracował, aż znalazł numer konta.

Janson zacisnął pięści. Serce zabiło mu szybciej.

- Jesteś geniuszem, Grigorij.

- Ale to brzmi jak żart, jak jakiś dowcip - powtórzył Berman.

- To znaczy?

Grigorij rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

- To znaczy, że za zabicie Petera Novaka zapłacił ci Peter Novak.

Po przybyciu wraz z małym konwojem do obozu szkoleniowego, Ahmad Tabari poczuł lekką ulgę. Od dawna wiedział, że podróżowanie jest przereklamowane. Wiele godzin spędził w medytacyjnym transie, mimo to wyprawa była długa i męcząca. Najpierw pojechał do Asmary w Erytrei; jego, przywódcy Frontu Wyzwolenia Ludu Kagama, nikt by tam nigdy nie szukał. Potem popłynął szybką motorówką wzdłuż wybrzeża Morza Czerwonego na północ, by wylądować na Pustyni Nubijskiej w północnym Sudanie. Kilka godzin później sudańscy przewodnicy powieźli go długimi, wyboistymi traktami do obozu na granicy z Erytreą. Ledwie kilkaset kilometrów na północ była Mekka, kilkaset kilometrów dalej leżała Medyna. Ubolewał, że choć jest tak blisko tych świętych miejsc, nie może pojechać tam, gdzie Prorok - błogosławione imię Jego - pozostawił ślad swoich stóp. Jak zwykle z pokorą przyjął swój los, czerpiąc siłę ze słuszności sprawy, o którą toczyli bój. Mimo chwilowych komplikacji w Kennie, nadal był przywódcą ruchu walczącego z korupcją Zachodu, z brutalnym, siłą narzucanym porządkiem, który Ameryka nazywała porządkiem naturalnym. Modlił się o to, żeby każdą decyzją, każdym czynem przyspieszać nadejście dnia, gdy jego lud dołączy do *ummah*, do wyznawców islamu, gdy on, Kalif, zostanie przywódcą nie tylko z nazwy.

Gdy w obozie powitali go smagli chłopcy bez zarostu i mężczyźni z siwymi brodami, poczuł, jak silne, jak potężne łączy ich braterstwo. Ciemnobrązowa, wyjałowiona ziemia bardzo różniła się od porośniętej tropikalną roślinnością ziemi na Anurze, mimo to pustynni bracia byli równie czujni, żarliwi i oddani sprawie jak wielu Kagama. Ziemia była tu może nieurodzajną lecz na pewno kwitła na niej sprawiedliwość Najwyższego i Jedynego. Pustynni bracia prowadzili swoje własne wojny, w Czeczenii, Kazachstanie, w Algierii i na Filipinach, ale dobrze wiedzieli, że wojny te są jedynie potyczkami, bitwami w wojnie wojen. Właśnie dlatego wiedział, że mu pomogą, tak jak on pomagał im kiedyś. Z pomocą bożą, współpracując ze sobą, pewnego dnia odzyskają dla Allaha cały świat.

Ale najpierw gospodarze musieli mu zaimponować tym, co robili w obozie, a on musiał ich za to pochwalić. Tak, dużo o tym miejscu słyszał. Był to słynny uniwersytet terroru i słyszał o nim każdy przywódca światowego bractwa walki. Przy cichym wsparciu rządu w Chartumie jego towarzysze uczyli się tu nowych sposobów prowadzenia wojny. W wyżłobionych w skale bunkrach stały komputery, w których przechowywano plany elektrowni, rafinerii naftowych, lotnisk, linii kolejowych oraz instalacji wojskowych w kilkunastu krajach świata. Codziennie przeszukiwano światową sieć i codziennie odkrywano kolejne, powszechnie dostępne tajemnice, które Zachód tak nieostrożnie im udostępniał. Tu, na modelu typowego amerykańskiego miasta, uczyli się metod walki ulicznej, sposobów blokowania ulic i szturmowania budynków. Tu poznawali wymagającą cierpliwości sztukę obserwacji, różne sposoby zabijania, tu uczono ich wreszcie stu sposobów sporządzania środków wybuchowych z materiałów dostępnych w każdym amerykańskim domu towarowym. Przechodząc z pomieszczenia do pomieszczenia, Kalif uśmiechał się smutno. Traktowali go jak dygnitarza; podobnie musieli traktować prezydenta Sudanu, gdy składał im tajną wizytę. Wiedzieli, tak samo jak on, że kiedyś zostanie władcą swego kraju. Że to tylko kwestia czasu.

Tak, był zmęczony, ale nie mógł sobie pozwolić na odpoczynek. Wieczorna modlitwa dobiegła końca. Nadeszła pora na spotkanie.

Usiedli w namiocie, na płaskich poduszkach i sięgnęli po proste gliniane kubki z herbatą. Rozmowa była serdeczna, lecz ogólnikowa. Wszyscy słyszeli o jego niepewnej sytuacji, o jego zdumiewających osiągnięciach i o tym, że ostatnio atakują ich nieustannie siły Republiki Anury. Że ponieśli kilka poniżających klęsk. Że nadal je będą ponosić, jeśli ktoś nie udzieli im wsparcia. Wielokrotne próby uzyskania pomocy od Pośłańca coraz bardziej Kalifa frustrowały. Poślaniec nie tylko nie chciał im pomóc, ale i żądał, żeby zaprzestali wywierania zemsty! Och, jakże wielka jest perfidia niewiernych! Próby ponownego nawiązania kontaktu - Kalif pragnął przekonać go o swej niezłomnej woli w dążeniu do sprawiedliwości - zawiodły całkowicie i nie wiadomo, dlaczego. Dlatego przywódca Frontu Wyzwolenia Ludu Kagama przyjechał tutaj.

W końcu usłyszeli warkot silników wojskowego śmigłowca i poczuli podmuch bijący z jego wirnika. Przywódcy obozu popatrzyli po sobie i spojrzeli na Kalifa.

Na tego gościa czekali. Czekali na Al-Mustashara. Na Doradcę.

Pułkownik Ibrahim Maghur był człowiekiem światowym, dlatego spotykał się z rebeliantami w ścisłej tajemnicy. Ostatecznie zajmował wysokie stanowisko w libijskim wywiadzie, a Trypolis oficjalnie wyparł się związków z terrorystami. Jednocześnie wielu potężnych członków reżimu żywiło głęboką sympatię dla swych braci w walce z zachodnim imperializmem i robiło co w ich mocy, żeby im dyskretnie pomóc. Jednym z tych ludzi był właśnie Ibrahim Maghur. W trakcie swych potajemnych wizyt przekazywał rebeliantom bardzo cenne informacje wywiadowcze. Wskazywał dokładne pozycje wroga, a nawet sugerował, w jaki sposób należy go niszczyć. Przywoził bezcenne mapy terenowe i szczegółowe zdjęcia satelitarne, dzięki którym bojownicy o wolność mogli osiągnąć znaczną przewagę strategiczną. Dostarczał im również broni ręcznej. W przeciwieństwie do wielu zniewieściałych i dekadentkich członków libijskiej elity Ibrahim Maghur szczerze wierzył w słuszność sprawy. Dawał im sposobność do czerpania śmiertelnej satysfakcji w przeszłości, da ją i teraz.

Pułkownik wychynął ze sztucznej piaskowej burzy, rozpetanej przez wirnik śmigłowca, i skłonił się przed przywódcami islamskiego dżihadu, którzy wyszli go powitać.

Popatrzył na Ahmada Tabariego i gdy spotkali się wzrokiem, skłonił się ponownie.

- To prawdziwy zaszczyt, że mogę cię poznać - powiedział.
- Prorok uśmiecha się do nas i cieszy się, że się wreszcie spotykamy - odrzekł Tabari.
- Twoje sukcesy militarne są tak zdumiewające i błyskotliwe, że powinno pisać się o nich w podręcznikach. Wiedz, że jestem pilnym studentem historii.
- Podobnie jak ja - odrzekł przywódca rebeliantów Kagama: W przy tłumionym świetle pustynnego wieczoru jego ciemna twarz była niemal czarna. - Historia nauczyła mnie, że tereny stracone można łatwo i szybko odbić. A czego nauczyła ciebie?
- Że tworzą ją wielcy ludzie. A ty masz w sobie coś, co czyni cię jednym z nich, co sprawia, że jesteś prawdziwym Kalifem.
- Prorok jest hojny - odparł Tabari, który nie lubił tracić czasu na fałszywą skromność.
- Ale wielcy tego świata mają wielkich wrogów - zauważył Libijczyk. - Musisz być bardzo, ale to bardzo ostrożny. Zagrażasz siłom, które nie powstrzymają się przed niczym, żeby cię zniszczyć.
- Ostrożność bywa zgubna.
- To prawda, ale zgubna dla maluczkich. Twoja wielkość wypływa z odwagi, z tego, że tak nieugięcie wierzysz w słuszność sprawy, że tak nieustępliwie dążysz do jej ostatecznego zwycięstwa. Założysz swój kalifat. Ale wszystko zależy od zgrania w czasie i odpowiedniego doboru celów. - Powiódł wzrokiem po skupionych twarzach pięciu najstarszych przywódców islamskiego dżihadu i ponownie spojrzął na słynnego przywódcę Frontu Wyzwolenia Ludu Kagama. - Chodź - rzucił. - Przejdźmy się. Tylko ty i ja.

- Rady Al-Mustashara są bezcenne - powiedział jeden z gospodarzy Ahmada Tabariego.
- Idź z nim.

Gdy wyszli na obozowy plac, dmuchnął chłodny wiatr, który rozwiął długie szaty Kalifa.

- Zapewniam cię, że niepowodzenia są tylko chwilowe – powiedział cicho pułkownik.
- Pomogę ci. Pomogą ci nasi sojusznicy z Islamskiej Republiki Mansuru. Wszystko pójdzie jak z płatka.

- A ów płatek? - spytał przywódca Kagama z lekkim, lecz coraz szerszym uśmiechem.
- Jakiego będzie koloru?

- To oczywiste - odrzekł z całą powagą Ibrahim Maghur. – Będzie koloru krwi. Krwi niewiernych.

- Krwi niewiernych... - powtórzył jak echo Kalif. Słowa te dodawały otuchy i podnosiły na duchu.

- Skąd wiesz? - spytał Janson. - Skąd, u diabła, taki wniosek?
- Tabulacje krzyżowe przekazów - odrzekł Berman, wkładając do herbaty kolejną porcję dżemu i szybko mieszając. - Kodów źródłowych nie da się podrobić.

- To znaczy?
- Szesnaście milionów dolarów przelano z konta Petera Novaka.
- Ale jak? Skąd?
- Z konta Petera Novaka - powtórzył Grigorij. - Z Amsterdamu. Z międzynarodowej grupy banków International Netherlands Group. Gdzie jest siedziba Fundacji Wolność?

- W Amsterdamie.
- Sam widzisz. Żadna niespodzianka.
- Chcesz powiedzieć, że siedząc w lochu na Anurze, Novak zatwierdził przelew szesnastu milionów dolarów na moje tajne konto? Kompletny bezsens!

- Mógł go zatwierdzić przedtem. To możliwe. Ale potem już nie.

- Nie żartuj. To jakiś obłąd.

- Przed chwilą podałem ci kod źródłowy.

- Czy ktoś mógł dostać się do jego konta i zrobić to za niego?

Berman wzruszył ramionami.

- Kod źródłowy mówi tylko, kto jest właścicielem konta. Dostęp do konta może mieć wielu upoważnionych. Ale kto? Tego Grigorij ci nie powie, bo nie wie. Takie informacje nie idą przez komputer. Takie informacje znają jedynie ci, którzy te upoważnienia wystawiają. Bank spełnia polecenia klienta. Kod mówi tylko tyle, że jest to rachunek fundacji. Reszta jest w papierach, a papiery są w fundacji i w banku. - „Papiery”. Grigorij wypowiedział to słowo z pogardą, jaką żywił do wszystkiego, czego nie można było sprowadzić do ciągu zer i jedynek.

- To absurd.

- Absurd? - rzucił wesoło Berman. - Nie absurd, tylko dolary! Gdyby ktoś przelał szesnaście milionów dolarów na konto Grigorija, Grigorij nie należałby na dentystyczne badanie zębów darowanego konia. - Rozłożył ręce. - Chciałbym powiedzieć ci więcej, ale już nic nie wiem.

Novak... Czyżby zdradził go ktoś z jego najbliższego otoczenia? Ktoś, komu całkowicie ufał? Jeśli tak, to kto? Wysoki urzędnik fundacji? Marta Lang? Mówiła o nim z prawdziwym szacunkiem i miłością. Ale czego to dowodziło oprócz tego, że mogła być znakomitą aktorką? Pewne było teraz jedynie to, że ten, kto zdradził Novaka, musiał zdobyć jego całkowite zaufanie. To z kolei oznaczało, że był to oszust nad oszustami, prawdziwy mistrz, wirtuoz przebiegłości, cierpliwości i podstęp. Tylko po co to zrobić?

- Chodź- powiedział Grigorij. - Pokażę ci dom. - Objął go i poprowadził schodami na górę. Przestronne korytarze, duża, widna kuchnia. Berman przytknął palec do ust. - Ciii... Pan French nie lubi, kiedy tu wchodzę. Ale dla Rosjan sercem każdego domu jest kuchnia.

Podszedł do lśniącego zlewu z nierdzewnej stali pod oknem wychodzącym na pięknie utrzymany różany ogród. Za ogrodem rozciągał się Regent's Park.

- Spójrz. Dwa tysiące czterysta akrów w samym środku Londynu, na moim prywatnym podwórku. - Chwycił dyszę małego prysznica do spryskiwania zlewu i podniósł go do ust jak mikrofon. - Ktoś zostawił rożki na deszczu - zaśpiewał dźwięcznym basem. - Chyba tego nie zniosę... - Przyciągnął bliżej Paula, chcąc zaśpiewać z nim w duecie i, jak śpiewak w operze, gwałtownym gestem podniósł do góry rękę.

Cichy brzęk szkła. Grigorij urwał w pół słowa i głośno sapnął. Chwilę później osunął się bezwładnie na podłogę.

Na zewnętrznej stronie jego dłoni wykwitła mała czerwona plamka. W lewej górnej części koszuli widniała druga, nieco większa.

- Jezu Chryste! - krzyknął Janson.

Czas zwolnił bieg.

Paul popatrzył na oszołomionego Grigorija, który leżał bez ruchu na wykładanej terakotą podłodze, potem spojrział w okno. Nie zobaczył nic. Popołudniowe słońce muskało róże, ich białe, szybko rozwijające się paczki. Po błękitnym niebie żeglowało kilka białych, pierzastych obłoczków. I tyle.

Zdawało się, że to niemożliwe, a jednak. Janson gorączkowo myślał, próbował doszukać się w tym jakiegoś sensu i oderwał wzrok od okna dopiero wtedy, gdy usłyszał kroki zaalarmowanego jego krzykiem kamerdynera. French natychmiast odciągnął leżącego na wznak Bermana od zlewu. Zareagował szybko i prawidłowo. On też zerknął w okno i w jego rękę błysnął pistolet. Amator pewnie by wystrzelił, ot tak, na pokaz, ale on tego nie zrobił. Za oknem zobaczył to samo co Janson. Zaskoczeni wymienili spojrzenia. Kilka sekund później przeszli do holu, z dala od okna. Berman wydawał mokre, chrapliwe odgłosy - powietrze z trudem przeciskało się przez uszkodzone drogi oddechowe - grzebiąc palcem w ranie na pierśsi.

- A to skurwysyn - wychrypiał zdławionym głosem. - *Job twoju mat'...*

Palcami prawej, zdrowej ręki uparcie, z zadziwiającą determinacją grzebał w ranie. Szukał kuli i wreszcie, z gardłowym sapnięciem, wyciągnął z piersi spłaszczoną grudę mosiądzu i ołowiu.

- Proszę posłuchać - powiedział Janson do kamerdynera. - Wiem, że przeżywa pan wstrząs, ale musi pan zachować spokój. Panie French...

- Thwaite. Wstrząs? Piętnaście lat służyłem w SAS. To nie z ogrodu. Obaj dobrze o tym wiemy. To coś innego.

- W SAS?

- Może Berman jest wariatem, ale na pewno nie głupcem. Tacy jak on mają wielu wrogów. Przedsięwzięliśmy rutynowe środki ostrożności. Ale ten strzał padł Bóg wie skąd. Nie potrafię tego wyjaśnić.

Bóg wie skąd?

Janson oczyścił umysł z wszelkich myśli, po czym wypełnił go skomplikowanymi elipsami i kątami. Potworną scenę, której przed chwilą był świadkiem, sprowadził do zmieniających się wzorów geometrycznych i matematycznych.

Potrzebował wszystkich dostępnych faktów. Najpierw połączył linią prostą ranę w wyciągniętej ręce Bermana z raną w piersi. Kąt? Trzydzieści, trzydzieści pięć stopni. Sęk w tym, że w najbliższej okolicy nie było żadnego miejsca, z którego można by pod tym kątem wystrzelić.

Ergo: strzał oddano z daleka.

Splaszczona gruda, którą wygrzebał z rany Berman, dowodziła, że rozumowanie jest słuszne. To musiał być strzał z dużej odległości, sama końcówka trajektorii. Gdyby strzelano z odległości mniejszej niż sto metrów, pocisk przebiłby ciało na wylot. Stopień splaszczczenia i wielkość: najważniejsze informacje tkwiły właśnie tu, w pocisku.

Janson podniósł go i dokładnie obejrzał. Co to było? Pocisk ośmio- czy dziesięciogramowy? Wbił się na jakieś pięć centymetrów w głąb ciała. Gdyby trafił w głowę, Grigorij zginąłby na miejscu. Teraz też mógł umrzeć, bo krew zalewała mu płuca. Siła uderzenia? Pięćset kilogramów na metr kwadratowy? Tysiąc?

Ze względu na opór powietrza, siła uderzenia malała wraz ze wzrostem odległości. Ale im większa prędkość pocisku, tym większy opór, a więc nie było tu prostej zależności liniowej. Wyznaczenie dokładnego stosunku prędkości do odległości wymagało zastosowania równań różniczkowych pierwszego stopnia i liczby Reynoldsa - porucznik Alan Demarest rozwiązywał je w głowie, Berman pewnie też - ale polegając na wyćwiczonej intuicji, Janson oszacował, że strzał musiał paść z odległości około tysiąca dwustu metrów.

Tysiąc dwieście metrów. Co tam jest? Palladiańskie dachy Hanower Terrace, okrągła kopuła Central Londyn Mosque... i minaret, smukła, wysoka wieża z małym balkonem dla wzywającego do modlitwy muezina. Nie była to budowla zabytkowa i pewnie jej nie pilnowano - zawodowiec bez trudu by tam wszedł. I jeśli prowizoryczne obliczenia Jansona były poprawne, na pewno wszedł.

Niesamowite. Wprost diaboliczne. Snajper na balkonie minaretu: z tej odległości to niewidoczny pyłek. Wdrapał się na górę i nie zważając na upływające godziny, czekał, aż cel ukaże się w oknie kuchni. Miał mnóstwo czasu, żeby wyliczyć odpowiedni kąt i trajektorię. Ilu ludzi było w stanie tego dokonać? Na całym świecie może za czterdziestu. Dwóch Rosjan. Norweg, który zdobył mistrzostwo świata w Moskwie w minionym roku. Dwóch snajperów z Izraela; mieli świetną broń, karabiny typu Galii kalibru siedem sześćdziesiąt dwa. I kilku Amerykanów.

Prawdziwy mistrz musiał mieć nie tylko niezwykle umiejętności, ale i niezwykłą cierpliwość. Musiał błyskawicznie reagować na zmieniające się warunki atmosferyczne, bo nawet leciutki powiew wiatru mógł zmienić trajektorię pocisku. Natomiast cel mógł się nagle poruszyć: Berman podniósł rękę już po wystrzale. Snajper musiał to wszystko uwzględnić i przewidzieć. I musiał być dużo bardziej cierpliwy niż ten, do kogo strzelał.

Cel. Kto był celem?

Kamerdyner założył, że pan domu, Berman. To założenie naturalne. I niebezpieczne. Przypomniało mu się, jak Grigorij objął go za ramię i przyciągnął bliżej. Jego głowa znajdowała się niecałe czterdzieści centymetrów od miejsca, gdzie uderzył pocisk.

Niecałe czterdzieści centymetrów. Biorąc pod uwagę fakt, że strzelano z odległości tysiąca dwustu metrów, to minimalne i jak najbardziej dopuszczalne odchylenie. Obojętne, czy strzelec spudłował czy trafił, strzał był wprost nieprawdopodobnie celny. Jednak logika podszeptowała mu, że snajper polował na niego, na Jansona. Dlaczego? Dlatego, że Janson był tu jedynym nowym elementem.

Z oddali dobiegło go zawodzenie karetki pogotowia wezwanej przez Thwaite'a. Poczuli, że ktoś szarpie go za nogawkę spodni. To Grigorij. Próbował zwrócić na siebie jego uwagę.

- Janson....- Mówił tak, jakby w ustach miał pełno wody.

Jego nalana twarz bardzo zbladła. Z kącików ust sączyły mu się cieniutkie strużki krwi. Zdrową ręką uciskał pierś - przez dziurę w ciele ze świstem uciekało powietrze. Podniósł zakrwawioną rękę i pogroził mu palcem.

- Tylko mów prawdę: koszula zmarnowana? - I zamiast się jak zwykle roześmiać, mokrą zakaszłał. Co najmniej jedno płuco miał zalane krwią i płat mógł się w każdej chwili paść.

- Przedtem wyglądała ładniej - odrzekł łagodnie Paul w przypiływie naglej czułości dla

tego żywiołowego ekscentryka.

- Zniszczył mi koszulę - szepnął Grigorij. - Dorwiesz sukinsyna, *da!*
- *Da* - odrzekł chrapliwie Paul.

Rozdział 16

Thwaite odciągnął go na bok i szeptając: - Nie wiem, kim pan jest, ale Berman panu zaufał, inaczej by tu pana nie wpuścił. A teraz niech pan już lepiej idzie. - Posłał mu kpiarskie spojrzenie. - Szybcieutko. Tup, tup, tup.

Janson puścił się pędem po dębowym parkiecie, śmigając pod ścianami wyłożonymi boazerią, którą przed dziesiątkami lat zakupiła spadkobierczyni Woolwortha, i tylnym wyjściem wybiegł na dwór. Kilka chwil później wdrapał się na żelazne ogrodzenie, zeskoczył po drugiej stronie i wpadł do Regent's Park. „Spójrz. Dwa tysiące czterysta akrów w samym środku Londynu, na moim prywatnym podwórku”. Tak powiedział Berman.

Tylko czy było tu bezpiecznie?

Nie miał na to żadnej gwarancji, ale nie śmiał też uciec nigdzie indziej, bo czatujący na minarecie snajper mógł łatwo zdjąć każdego, kto wychodził frontowymi drzwiami. Ale mógł też namierzyć stamtąd praktycznie wszystkie cele w parku.

Pocieszał go jedynie fakt, że dobrze to miejsce znał. Jego przyjaciel mieszkał w okolicy Marylebone i gdy studiowali razem w Cambridge, często chodzili tu na długie spacerunki. Park był olbrzymi, trzy razy większy od nowojorskiego Central Parku i graniczył ze wspaniałym, neoklasycystycznym Hanover Terrace, wielkim, kremowym gmachem o szlachetnym, gregoriańskim frontonie, ozdobionym białymi i niebieskimi fryzami. Był światem samym w sobie. Na jego licznych kanałach i stawach mieszkaly stada łabędzi i dzikiego ptactwa; niektóre kanały miały obetonowane brzegi, inne zaś były bagniste i porośnięte wysoką trzcina. Na biegnących wzdłuż nich betonowych ścieżkach gołębie walczyły z łabędziami o okruchy chleba. Nieco dalej ciągnęła się gęsta ściana równo przystrzyżonego bukszpanu. Na szczycie małej drewnianej budki stał czerwony kogucik.

Regent's Park to olbrzymie skupisko drzew, krzewów, boisk i kortów tenisowych, zawsze był dla niego azylem. Jezioro, z licznymi o tej porze łodziami, rozciągało się jak wielka, rozczapierzona ameba, by w jednym końcu przejść w rzeczkę przepływającą pod mostem Yorka w południowej części parku. A dokładnie pośrodku był Queen Mary's Garden, ogród królowej Marii: schronienie dla egzotycznych kwiatów, rzadkiego ptactwa i dla słabych, samotnych ludzi. Park, spuścizna królewskiego architekta Johna Nasha, miał być arkadyjską wizją Anglii, która chyba nigdy nie istniała, sielską oazą w samym sercu wielkiej metropolii, oazą po mistrzowsku ukształtowaną i bardzo zadbaną.

Janson biegł między drzewami w kierunku jeziora, próbując doszukać się sensu w tym nagłym i szokującym ataku. Nerwy miał napięte jak postronki. Biegąc, nieustannie lustrował wzrokiem otoczenie.

Czy było tu bezpiecznie?

Miał do czynienia z jednym snajperem czy z kilkoma? Raczej z kilkoma. Musieli rozstawić się w taki sposób, żeby mieć dom jak na widelcu, żeby widzieć go ze wszystkich stron. Thwaite mówił, że przedsięwzięli rutynowe środki ostrożności i pewnie tak było, ale ci tutaj strzelali z daleka, a przed takim strzałem trudno jest się zabezpieczyć.

Skoro czyhało ich kilku, gdzie się ukryli?

I kim byli?

Sam fakt, że do tej sielskiej oazy ciszy i spokoju wdarło się zło, napawał go odrazą. Zwolnił i popatrzył na wielką wierzbę płaczącą, która kapala swe liście w wodach jeziora. Musiała mieć co najmniej sto lat; gdy bywał tu ćwierć wieku temu, na pewno ją widział. Przeżyła Lloyda George'a i Margaret Thatcher, przeżyła wojnę i erę kartek na mięso, erę strachu i burzliwego junakierstwa.

Gdy podszedł bliżej, na jej grubym pniu pojawiła się nagle wystrzępiona biała wyrwa. Usłyszał miękkie młaśnięcie: taki odgłos wydaje ołowiana kula wbijająca się w pomarszczoną korę.

Chybiła ledwie o kilkanaście centymetrów. Znowu. Miał do czynienia z prawdziwym mistrzem.

Rozejrzał się na wszystkie strony, ale nic nie zobaczył. Usłyszał tylko, jak pocisk uderza w drzewo: nie towarzyszył temu odgłos wystrzału. Tamten miał tłumik. Na pewno. Ale nawet jeśli tak, kula wylatująca z lufy z ponaddźwiękową prędkością wytwarza charakterystyczny dźwięk, dźwięk niezbyt donośny, lecz słyszalny: przypomina trzask bata. Znał ten odgłos aż za dobrze. To, że go teraz nie usłyszał, sugerowało coś jeszcze: strzelano do niego z daleka, jak przedtem. Gdyby strzelec czatował w odległości stu metrów, trzask zginąłby wśród liściastych drzew i okolicznych odgłosów. Wniosek: ścigał go niezwykle utalentowany snajper.

Albo cała grupa snajperów.

Dokąd mógł uciec? Gdzie było bezpiecznie? Tego nie wiedział. Poczuł w brzuchu twardą gulę lęku.

Krok dalej wytrysnęła fontanna ziemi. Kolejne pudło. Tamten strzelał z bardzo daleka, a cel był w ruchu: nawet gdyby spudłował o dziesięć metrów, wykazałby się imponującą techniką i wprawą. Tymczasem on chybił ledwie o kilkadziesiąt centymetrów. Zdumiewające. I przerażające.

Nie przystawaj. Biegnij. W konfrontacji z niewidzialnym przeciwnikiem mógł tylko biec, utrudnić mu zadanie. Ale sam bieg nie wystarczy. Musiał to przyśpieszać, to zwalniać, bo dobrze wyszkolony snajper potrafi wziąć odpowiednią poprawkę. To stosunkowo proste, niemal rutynowe ćwiczenie: zakładając, że cel porusza się ze stałą prędkością, trzeba „wyprzedzić” go w lunecie i posłać kulę tam, gdzie będzie za chwilę, a nie gdzie jest teraz.

Poza tym ważna była również sama siatka celownicza. Ruch w poziomie - prędkość poprzeczna - to jedno. Ruch w głąb, który oddalał ofiarę od strzelającego lub przybliżał ją do niego to drugie. Ale ten ruch był niemal zupełnie nieistotny, gdyż bez względu na odległość kula i tak dosięgnęłaby celu.

Nie zdołał ustalić, ilu snajperów na niego poluje ani gdzie oni są. Ponieważ tego nie wiedział, nie wiedział również, które ruchy są ruchami w poziomie, a które nie. Zasady otaczania i oskrzydlenia sugerowałyby rozstawienie osiowe; tak dobrzy snajperzy na pewno zdawali sobie sprawę, czym grozi „przestrzelenie”: mogło być śmiertelnie niebezpieczne dla kolegów czatujących naprzeciwko i dla przypadkowych przechodniów.

Gdzie, do diabła, byli? Ostatnie dwa strzały padły z południowego zachodu, a tam, kilkaset metrów dalej, widział jedynie kępę dębów.

Biegł, rozglądając się wokoło. Najbardziej niesamowity, a raczej najkoszmarniejszy był panujący wokoło spokój, cisza i ta zwyczajność, ta normalność. Ludzi nie było dużo, ale i nie mało; Niedaleko przechodził młody chłopak, podrygując rytmicznie w rytm piosenki z walkmana. Jakaś kobieta pchała dziecienny wózek, rozmawiając z koleżanką, najpewniej bliską przyjaciółką. Słyszał wesoły krzyk dzieci pływających łódkami po płytkim, cieniastym, specjalnie w tym celu ogrodzonym stawie. Trzymając się za ręce, między dębami, wierzbami i brzoźami jak zwykle przechadzali się zakochani. Wszyscy oni żyli w swoim świecie. On żył w swoim. Stąpali po tej samej ziemi, błogo nieświadomi, że coś jest nie tak. Coś było nie tak? Niemożliwe.

Na tym polegała genialność całej operacji. Wszystko odbywało się w śmiertelnej ciszy. Cichutki trzask odłupywanej przez pocisk kory usłyszałby jedynie ten, kto stał krok od drzewa.

Regent's Park - ta idylliczna oaza - zmienił się w krainę śmierci i nikt tego nie zauważył.

Poza ofiarą, oczywiście.

Gdzie było bezpiecznie? Pytanie to dręczyło go z boleśnie zgrzytliwą intensywnością.

Miał przewagę akcji nad reakcją: tylko on wiedział, co za chwilę zrobi, i tamci musieli się do niego dostosować. Ale gdyby udało im się ten układ odwrócić, gdyby w jakiś sposób zdołali ograniczyć jego ruchy, cała przewaga momentalnie by znikła.

Biegł zyzakami, skacząc to w lewo, to w prawo, żeby snajper nie mógł skrzyżować na nim nici celownika.

- Ćwicz pan zwody? - rzucił z rozbawieniem starszy mężczyzna o siwych, starannie zaczesanych włosach a la Cezar. - Całkiem nieźle, całkiem nieźle. Jeszcze trochę i zagra pan w Manchester United! - Uwaga zarezerwowana dla kogoś niespełna rozumu. Ale jak inaczej mógł zareagować na te pozornie bezsensowne skoki i nagłe zwroty? Janson zachowywał się jak koliber z przetrąconym skrzydłem.

Gwałtownie przyśpieszył i wpadł w tłum przechodniów na moście Yorka. Czuł, że znajdująca się tam estrada da mu schronienie przed kulami.

Pędząc brzegiem jeziora, minął staruszkę karmiącą gołębie. Gdy między nie wpadł, olbrzymie stado wzbilo się w powietrze jak eksplodująca kula pierza. Jeden z gołębi, trzepoczący skrzydłami zaledwie dwa kroki dalej, runął jak kamień na ziemię. Na piersi miał krwawą smużkę: trafiła go zbłąkana kula - zbłąkana, ale przeznaczona dla niego.

I nikt nic nie zauważył. Dla wszystkich oprócz niego był to kolejny miły dzień w parku.

Suchy trzask i z drewnianej barierki mostu- biegła na wysokości jego pasa - posypały się ostre drzazgi. Tamci strzelali naprawdę po mistrzowsku. Jeszcze sekunda, jeszcze dwie i złapią go w nici celownika.

Popełnił błąd, wbiegając na most: dowodem tego były dwa ostatnie strzały. Z punktu widzenia snajperów oznaczało to tylko tyle, że cel powiększył dzielącą ich odległość, nie zmieniając przy tym kąta, a na kąt trudniej jest wziąć poprawkę. Kolejna informacja, którą musiał wykorzystać, jeśli chciał wyjść z tego cało.

Wbiegł między dwa korty tenisowe ogrodzone gęstą, wysoką siatką i kilkadziesiąt metrów dalej zobaczył ośmiokątną altanę ze sztucznie postarzanych płyt wiórowych. Dobra kryjówka, ale kryjówka ryzykowna. Na miejscu snajpera założyłby, że ofiara poszuka tam schronienia, i posłałby w to miejsce kilka kul. Dlatego nie mógł tam teraz pobiec. Nie, broń Boże. Pędził przed siebie, oddalając się od altany, lecz gdy ją minął, gwałtownie skręcił i skrył się w jej cieniu. Mógł tam przez chwilę pozostać, bo oddzielała go od kępy drzew, gdzie czatowali snajperzy.

Wtem... Fontanna ziemi o metr od jego lewej stopy. Niemożliwe!

Nie, aż nazbyt możliwe. Popełnił błąd, bo założył, że tamci czyhają tylko wśród drzew za jeziorem. Miejsce było dobre, gdyż każdy profesjonalista woli mieć słońce za plecami, częściowo po to, żeby lepiej widzieć cel, częściowo po to, żeby cel nie dostrzegł refleksów światła odbijającego się w soczewce lunetki. Kula, która wyrwała grudę ziemi metr od niego, nadleciała z tego samego kierunku co poprzednie. Ale przecież osłaniała go altana. Zlustrował wzrokiem horyzont.

Hen, daleko, prawdopodobnie aż na Rossmore Road, strzelał w niebo wysoki na trzydzieści pięter dźwig. Odległość? Tysiąc dwieście metrów.

Jezu Chryste! Czy to w ogóle możliwe?

Popatrzył jeszcze raz. Linia prosta: dysponujący odpowiednim sprzętem strzelec - strzelec światowej klasy - miał go tu jak na widelcu.

Szybko skrył się w altanie, dobrze wiedząc, że jest to schronienie tymczasowe. Tamci już go namierzili. Wszyscy. Im dłużej tu będzie siedział, tym lepiej skoordynowany i skuteczniejszy przeprowadzą atak w chwili, gdy spróbuje wyjść. Mogli go przeczekać. Wystarczy, że wezwą przez radio wsparcie tak zwanego „przechodnia”. „Przechodzień” w tweedowej marynarce ze zwykłym pistoletem wyposażonym w tłumik mógłby go bez trudu zdjąć,

ukryć broń i przez nikogo nie zauważony, spokojnie odejść. Poczucie bezpieczeństwa było złudne. Każda spędzona tu chwila zwiększała ryzyko i zmniejszała szanse ucieczki.

Myśleć! Musiał myśleć i działać. Wezbrało w nim coś w rodzaju gniewu czy irytacji: cholera jasna, robił za tarczę strzelniczą i miał tego dość! Mniejsze ryzyko teraz to większe ryzyko za pięć minut. Nie zamierzał umierać w głupiej altanie, kuląc się ze strachu i czekając, aż ktoś przyjdzie i go zastrzeli.

Ten, na którego polowano, musiał zapolować na myśliwego: ofiara musiała zmienić się w drapieżnika, w przeciwnym razie groziła jej śmierć.

Fakty podpowiadały, że snajperzy są mistrzami w swoim fachu. Ale rozstawiono ich w taki sposób, że musieli poddać swe umiejętności ciężkiej próbie. Strzelali z daleka i bez względu na to, czy byli mistrzami, czy nie, istniało mnóstwo czynników - leciutki powiew wiatru, nawet cieniutka gałązka drzewa - które mogły zmienić trajektorię pocisku. Przy tych odległościach znaczenia nabierał każdy drobiazg. Poza tym nie strzelali na oślep: widać było, że nie chcą przypadkowych ofiar. Grigorij? Najwyraźniej uznali, że jest jego współnikiem, że jego śmierć będzie korzystna dla misji.

Ale dlaczego rozstawiono ich w tak dużej odległości? Najbardziej z równowagi wyprowadzało go to, że ich nie widział. Cały czas pozostawali poza zasięgiem wzroku. Dlaczego?

Dlatego, że zarówno oni, jak i ci, którzy ich na niego nasłali, chcieli uniknąć ryzyka. Dlatego, że się go... bali!

Jezu Chryste. Tak, na pewno. Rozkazano im, żeby za wszelką cenę unikali bliskiego kontaktu. W walce bezpośredniej cel jest nieobliczalny i niebezpieczny. Dlatego trzeba go zniszczyć z daleka.

Nasuwał się nieunikniony wniosek, pozornie sprzeczny z tym, co podszeptował mu instynkt: taktyka uników - próba powiększenia odległości między nim i snajperami - była złą taktyką.

Musiał zrobić coś dokładnie odwrotnego, musiał ruszyć w ich stronę, pójść prosto na nich. Czy istniał sposób, żeby zaatakować ich i przeżyć?

Koło Inner Circle, kamiennej ścieżki biegnącej wokół Queen Mary's Garden, stała krępa kobieta w dzinsowej spódnicy. Właśnie podawała lornetkę małej dziewczynce, pewnie córce. Była blada, lecz twarz miała w czerwonych plamach. Uwodzącym ją przed laty podrywaczom mogło się to podobać, ale z czasem plamy stały się bardziej widoczne, intensywniejsze i trwalsze.

- Widzisz tego z niebieskim na skrzydle? To drozd.

Dziewczynka - mogła mieć najwyżej siedem lat - przytknęła lornetkę do oczu. Lornetka była prawdziwa; podobnie jak wielu Anglików, kobieta musiała być zagorzałą miłośniczką ptaków, cierpliwą obserwatorką, i chciała pokazać córce wszystkie cuda ptasiego świata.

- Mamusiu, ja nic nie widzę! - zapiszczała gniewnie dziewczynka. Matka - miała grube, kłocowate nogi - nachyliła się i wyregulowała rozstawienie okularów.

- Spróbuj teraz.

- Mamusiu, gdzie ten ptaszek?

Pojawił się kolejny sprzyjający czynnik: powiał lekki wiatr, zaszeleściły liście drzew. Każdy strzelający z dużej odległości snajper zwraca baczną uwagę na wiatr, zwłaszcza na jego nieregularne porywy, dobrze wiedząc, że mogą zakłócić trajektorię pocisku. Jeśli już musiał strzelać w tak niesprzyjających warunkach, stosował określone zasady. Siłę wiatru oceniał na chłopski rozum: wiatr wiejący z prędkością sześciu kilometrów na godzinę to wiatr, który lekko muska twarz. Wiatr wiejący z prędkością od ośmiu do trzynastu kilometrów na godzinę porusza liście drzew. Na wietrze wiejącym z prędkością dziewiętnastu, dwudziestu kilometrów na godzinę kołyszą się małe drzewa. Snajper musiał też ustalić jego kierunek. Stałe wiatry boczne należały do rzadkości; przeważały zmienne, to znaczy takie, które wciąż zmieniały kąt względem linii strzału. Co więcej, w miejscu, gdzie przebywał cel, często wiały

wiatry inne od tych wiejących na stanowisku snajpera. Wyliczenie tych wszystkich poprawek, zanim wiatr ponownie zmieni kierunek, było praktycznie niewykonalne, a to pociągało za sobą mniejszą celność strzału. Dlatego mając wybór, snajper zwykle czekał, aż wiatr ustanie.

Z mocno bijącym sercem Janson podszedł do matki i córki. Chociaż był świadom, że otacza go śmiertelna aureola, musiał zaufać zawodowej ostrożności snajperów: strzelcy tej klasy co oni szcycili się precyzją i każda przypadkowa ofiara była dla nich oznaką karygodnego amatorstwa. A wiatr wciąż wiał.

- Bardzo panią przepraszam - powiedział. - Czy mógłbym pożyczyć na chwilę lornetki?
- Puść oko do dziewczynki.

Ta natychmiast wybuchła płaczem.

- Nie! - wrzasnęła. - Mamusiu, to moja lornetka, moja!

- Nawet na chwilę? - Paul uśmiechnął się do niej, z trudem ukrywając rozpacz i desperację. Zegar wciąż tykał. Mijały sekundy.

- Nie płacz, kochanie - powiedziała matka, głaszcząc ją po czerwonej jak róża twarzy. - Mamusia kupi ci lizaczka. Chcesz? - Popatrzyła na Jansona. - Viola jest bardzo wrażliwa - rzuciła zimno. - Zdenerwował ją pan.

- Przepraszam...

- W takim razie proszę nas nie niepokoić.

- Nawet jeśli to sprawa życia i śmierci? - spytał Paul, próbując podbić ją uśmiechem.

- Boże, wy, jankesi, myślicie, że należy do was cały świat. Nie rozumie pan słowa „nie”?

Upłynęło za dużo sekund. Wiatr zaczynał słabnąć. Janson zerknął w stronę drzew. Był gdzieś tam. Ukryty za ścianą liści, przyczajony na grubej, mocnej gałęzi lub na teleskopowym wysięgniku, który dzięki hydraulicznemu wspomaganiu prawie wcale się nie chwia. Bez względu na to, gdzie czekał, jego najskuteczniejszym kamuflażem był sam bezruch.

Janson dobrze znał tę straszną jasność, tę czystość umysłu na chwilę przed wystrzałem. W Little Creek przeszedł solidne szkolenie snajperskie i musiał zaliczyć wiele ćwiczeń praktycznych w terenie. Dobrze pamiętał te wszystkie popołudnia z remingtonem 700 wspartym na dwóch workach z piaskiem, z lufą spoczywającą na poduszce z powietrza, z lunetką celownika, w której miał pojawić się cel. I głos Demaresta, pouczający, perswadujący i dodający otuchy. „Wyczujesz go, zanim wyjdzie. Wyczuź go. Odpreź się i spróbuj go wyczuć”. Jaki był zdziwiony, gdy trafił za pierwszym razem. Nie miał tej klasy co ci, którzy go ścigali, alej nieźle sobie radził, bo po prostu musiał. A to, że był kiedyś po drugiej stronie celownika, sprawiało, że czuł się teraz jeszcze paskudniej.

Wiedział, co tamci widzą. Wiedział, co myślą.

Świat snajpera ograniczał się w tej chwili do małego, okrągłego obrazu, do zależności między pozycją jego ciała i nitkami celownika. Strzelał pewnie z remingtona 700, z galila 7.62 albo z M40A1. Najpierw przytuli do policzka kolbę i wtedy karabin stanie się przedłużeniem jego ciała. Potem nabierze powietrza i powoli je wypuści. Po chwili nabierze powietrza jeszcze raz i wypuści je tylko w połowie. Laserowy odległościomierz poda mu dokładną odległość, a celownik automatycznie weźmie poprawkę na kąt rzutu. Gdy nitki celownika przetną się na korpusie ofiary, snajper ponownie wypuści trochę powietrza, wstrzyma oddech i jego palec delikatnie muśnie spust.

Janson ukucnął przy zapłakanej dziewczynce.

- Nie płacz - powiedział. - Wszystko będzie dobrze.

- Nie lubimy cię - wychlipała. Dlaczego? Bo był Amerykaninem? Któż zgłębi tajniki umysłu siedmiolatki.

Łagodnym ruchem zdjął jej z szyi lornetkę i szybko odszedł.

- Mamusiu! - Ni to krzyk, ni piskliwe zawodzenie.

- Co pan, do diabła, sobie myśli? - ryknęła matka, jeszcze bardziej czerwieniejąc na

twarży.

Ściskając w rękę lornetkę, Janson pędził w kierunku drewnianego stanowiska dla orkiestry, dwieście metrów dalej. Ilekroć gwałtownie zmieniał pozycję, snajperzy musieli od nowa regulować celowniki. Kobieta pędziła za nim zasapana, lecz zdeterminowana. Zostawiła córkę i ścigała go, trzymając w ręku sprej, który wyjęła z torebki.

Pieprz. Miała pieprz w aerozolu. I szarżowała na niego niczym jakaś zwariowana Mary Poppins.

- Złodziej! - wrzeszczała z furją i naganą w głosie. - Łotr! Kanalia! - Takich Angielek i Anglików było mnóstwo: potężne łydy, na łydach kalosze, bezdenna torba, a w torbie podręcznik obserwatora ptaków. Wszyscy zbierali sznurek, jedli ekstrakt z drożdży z witaminą B i pachnieli ciepłymi grzankami.

Odwrocił głowę w chwili, gdy z wykrzywioną gniewnie twarzą wyciągnęła przed siebie rękę, żeby spryskać go pieprzem.

Ale nim zdążyła to zrobić - dosłownie na ułamek sekundy przedtem - rozległ się dziwny, metaliczny dźwięk i buteleczka pękła w chmurze czarnego pyłu.

Kobieta nie wierzyła własnym oczom: nigdy nie widziała, co się dzieje, gdy pocisk przebija pojemnik pod ciśnieniem. Chmura pieprzu osiadła na jej głowie.

- Pewnie wadliwy - rzucił Janson.

Zalana łzami, kobieta odwróciła się na pięcie i kaszląc, rżąc i ze świstem łapiąc oddech, wskoczyła do jeziora z nadzieją, że chłodna woda przyniesie jej ulgę.

Suchy trzask. Kula trafiła w drewnianą bandę stanowiska dla orkiestry. Snajper używający precyzyjnego karabinu musi go ręcznie przeładować, co zmniejsza częstotliwość strzałów. Janson runął na ziemię i wtoczył się pod drewnianą platformę, przed którą stały rzędy plastikowych krzeseł przygotowanych na wieczorny koncert.

Wiedział, że kratowana platforma nie uchroni go od kul, ale wiedział też, że trudniej go tu będzie wypatrzeć. Zyskać trochę czasu, a czasu potrzebował teraz najbardziej.

Przytknął lornetkę do oczu, wyregulował ostrość i przesunął ją po brzegu jeziora, unikając oślepiającego słońca.

Koszmar. Wysięgnik żurawia płonął w nim jak zapalka, a wszystkie drzewa miały świetlistą otoczkę.

Drzewa, drzewa... Dęby, brzozy, kasztanowce, jesiony. Nieregularne gałęzie, nieregularne korony. I było ich tak dużo: sto, może nawet dwieście. Które jest najwyższe, najbardziej rozłożyste? Po szybkich oględzinach nieuzbrojonym okiem wybrał dwa. Potem skierował na nie lornetkę.

Liście. Gałęzie. Konary. I...

Wiał wiatr, więc się poruszały, to normalne. Trzepotały liście, cieńsze gałązki lekko się chwiały. Ale musiał zaufać podszeptom instynktu. Jeden z konarów był gruby, stanowczo za gruby, żeby poruszył nim lekki wiatr. Mimo to się poruszył. Dlaczego? Siedziało na nim jakieś zwierzę? Może wiewiórka? Albo... człowiek.

W ostrym świetle trudno było rozróżnić szczegóły i chociaż kilka razy poprawiał ostrość, detale wciąż się rozmywały. Dopasowywał do nich różne obrazy, stosując starą technikę, której nauczył się u Demaresta. Konar, gałęzie i liście? Możliwe, ale niekoniecznie. Może to karabin, do którego lufy przyczepiono pęk małych gałązek? Gdy wyobraził sobie, że widzi karabin, wszystkie nieregularności przestały być nagle nieregularnościami. Nie ma to jak *gestalt*.

Powodem, dla którego gałąź wydawała się nienaturalnie prosta, było to, że wcale nie była gałęzią. Była karabinem owiniętym siatką maskującą z przymocowanymi do niej gałązkami. Natomiast maleńki, czarny punkt dokładnie pośrodku nie był zalany smolą sękiem, tylko otworem lufy.

Pięćset metrów dalej wypatrywał go przez lunetkę snajper z mocnym postanowieniem wysłania go na tamten świat.

Idę do ciebie, pomyślał Janson. Nie zobaczysz mnie, ale cię znajdę. Znajdę cię na pewno.

Na boisko zmierzała grupa piłkarzy, więc przyłączył się do nich, wiedząc, że z dużej odległości trudno go będzie wypatrzeć wśród wysokich, atletycznie zbudowanych mężczyzn.

Jeziorko przeszło w rzeczkę i gdy weszli na drewniany most, szybko stoczył się do wody. Gzy snajperzy to widzieli? Istniało duże prawdopodobieństwo, że nie. Powoli wypuszczając powietrze, płynął w ciemnej, mętnej wodzie tuż przy dnie. Jeśli wybieg się powiodł, tamci wciąż szukali go w tłumie piłkarzy. Silne lunetki mają mocno zawężone pole widzenia, dlatego nie mogli śledzić piłkarzy i jednocześnie obserwować okolicy. Ile zostało mu czasu? Kiedy zdadzą sobie sprawę, że nie ma go tam, gdzie go szukają?

Dopłynął do południowego brzegu, wciągnął się na betonowy wał i śmignął między buki. Jeśli w ogóle zniknął tamtym z oczu, to tylko na chwilę i jeden błąd mógł go ponownie narażać na śmiertelne niebezpieczeństwo. Była to najgęściej zadrzewiona część Regent's Park i gdy tamtędy biegł, przypominały mu się ćwiczenia pod Thon Doc Kinh.

Przyjrzał się rosnącym w oddali drzewom i wybrał najwyższe. Mapę ogólną musiał teraz zastąpić mapą szczegółową, odpowiadającą najbliższej okolicy, terenowi, w którym się znajdował.

O tej godzinie park zwykle pustoszał. Miało to swoje plusy i minusy, ale dla niego wszystko musiało być plusem: nie miał innego wyboru. Nakazem dnia był wymuszony optymizm. Trzeźwa kalkulacja szans mogła prowadzić do paraliżu, powiększając szanse tamtych.

Przystanął pod drzewem i popędził do następnego. Czuł mrowienie w brzuchu. Czy zachowywał się cicho? Czy nie rzucał się w oczy?

Jeśli nie myliło go przeczucie, stał teraz pod drzewem, na którym siedział co najmniej jeden ze snajperów.

Z doświadczenia wiedział, że strzelectwo wymaga niezwyklej koncentracji, a koncentracja całkowitego odcięcia się od otaczającego świata. Oznaczało to nie tylko zawężenie pola widzenia, ale i intensywne skupienie. Musiał to wykorzystać.

Piłkarze przeszli już przez most i właśnie mijali ceglany gmach Regent's College. Na miejscu snajpera natychmiast wzmógłby czujność, zwłaszcza że do tej pory na pewno odkryłby już, że celu nie ma wśród sportowców, którzy szli teraz w znacznie większych odstępach. Istniała zatem możliwość, że jakimś cudem zdołał schronić się w budynku college'u. Ale na pewno by się tym nie przejął: mógł przecież spokojnie poczekać, aż cel stamtąd wyjdzie.

Tamci przeczesywali teraz każdy centymetr kwadratowy ziemi w okolicy mostu. Nie przeczesywali jednak ziemi u swych stóp. Mieli też słuchawkę w uchu, żeby utrzymywać stałą łączność z koordynatorem i dowódcą grupy. Słuchawka - choć brzmi to paradoksalnie - zagłuszała naturalne odgłosy otoczenia. I właśnie to działało teraz na jego korzyść.

Najciszej jak tylko mógł, zaczął się wspinać na drzewo. Wspinał się powoli, lecz bez przerwy, w równym tempie. Gdy wszedł na wysokość około trzech metrów, ze zdumienia wytrzeszczył oczy. Snajper był znakomicie zakamuflowany, ale to jeszcze nic: wszystkie gałęzie, na których leżał, były sztuczne. Do złudzenia przypominały prawdziwe - musiała je zrobić druga Madame Tussaud - lecz będąc ledwie metr niżej, widział, że cała konstrukcja jest przymocowana do pnia metalowymi trzpieniami, stalowymi linami, obejmami, śrubami i ryglami, że wszystko to jest pomalowane sprejem na szaro-buro. Takim sprzętem nie dysponował żaden strzelec działający na własną rękę. Takim sprzętem dysponowało niewiele agencji. Jedną z nich był na pewno Konsularny Wydział Operacyjny.

Wyciągnął rękę i jednym szarpnięciem odblokował środkowy rygiel. Stalowe liny puściły i sztuczne gniazdo zaczęło zsuwać się w dół.

Usłyszał stłumione przekleństwo. Łamiąc po drodze gałęzie, platforma runęła na ziemię.

Janson zobaczył wreszcie sylwetkę snajpera w maskującej panterce. Był szczupły, młody - pewnie jakieś cudowne dziecko - i chwilowo oszołomiony siłą upadku. Paul zeskokczył z drzewa, wylądował, biorąc go między nogi i wyszarpnął mu karabin.

- Szlag by to... - Cichy szept. I wysoki, młodzieńczy głos.

Karabin - M40A1, ręcznie wykonany i zmodyfikowany przez specjalistów z Korpusu Rusznikarskiego Amerykańskiej Piechoty Morskiej - miał ponad metr długości i trudno nim było manipulować, zwłaszcza na tak niewielką odległość.

- Sytuacja się zmieniała - powiedział cicho Janson. Nachylił się i zerwał mu z szyi kabel radionadajnika. Snajper wciąż leżał na brzuchu. Miał krótkie, sterczące włosy, szczupłe ramiona i nogi: na pierwszy rzut oka niezbyt okazały mężczyzna. Paul szybko przeszukał go i znalazł za paskiem berettę kaliber trzydzieści dwa.

- Zabieraj te śmierdzące łapska - syknął tamten. Przewrócił się na plecy i spojrzał na niego z nienawiścią w oczach.

- Jezu Chryste - szepnął Paul. - Ty jesteś...

- To co? Nie podoba się?

Janson tylko pokręcił głową. W tej samej chwili tamten wygiął się jak sprężyna, próbując wstać, lecz Paul błyskawicznie przygniótł go do ziemi. Spotkali się wzrokiem.

Snajper był szczupły, zwinny i zadziwiająco silny. Był... kobietą.

Rozdział 17

Jak dzikie zwierzę, szarpnęła się ponownie, rozpaczliwie próbując odzyskać broń. Paul cofnął się zwinnie o krok i znacząco trzasnął skrzydełkiem bezpiecznika.

Dziewczyna nie odrywała wzroku od pistoletu.

- Nie masz szans, Janson - powiedziała. - Tym razem nie ma tu tych tłustych dupków z ambasady. Tym razem się postarali i wysłali najlepszych. - Lekko zaciągała. Akcent mieszkańców Appalachów. Chociaż starała się mówić swobodnie, widać było, że jest spięta.

Zgrywała chojraka przed nim czy przed samą sobą? Chciała go nastraszyć czy dodać sobie odwagi? Posłał jej słaby uśmiech.

- Złożę ci bardzo rozsądną propozycję: dogadajmy się albo cię zabiję.

Dziewczyna pogardliwie prychnęła.

- Myślisz, że mnie odhaczysz? Jako numer czterdzieści siedem? Chyba we śnie, starszku, we śnie.

- Jaki numer? O czym ty mówisz?

- Byłabym czterdziesta siódma, nie? - Nie odpowiedział, więc mówiła dalej: - Zabiłeś czterdziestu sześciu ludzi, tak? Czterdziestu sześciu.

Twarz mu stężała. Liczba ofiar - którą nigdy się nie szczycił, i która była dla niego źródłem narastającego cierpienia - była dokładna i prawidłowa. Rzecz w tym, że znało ją bardzo niewielu ludzi.

- Wszystko po kolei - odparł. - Dla kogo pracujesz?

- A jak myślisz?

- Mów. - Dźgnął ją w przepoń lufą pistoletu.

Dziewczyna zakaszłała.

- Dla tych samych, dla których ty pracowałeś kiedyś.

- KWO?

- Tak.

Zważył w rękach karabin. Ponad metr długości, sześć i pół, siedem kilogramów - był dość nieporęczny, zwłaszcza jeśli strzelec musiał często zmieniać pozycję. Nie, skonstruowano go dla snajpera, dla kogoś, kto spokojnie czeka na ofiarę.

- W takim razie jesteś z grupy Lambda.

Dziewczyna kiwnęła głową.

- A Lambda nigdy nie zawodzi.

Fakt, nie przesadzała. A to oznaczało jedno: uznano, że nie można się z nim dogadać i Konsularny Wydział Operacyjny wydał rozkaz elitarnej grupie specjalistów: zabić. Wyeliminować cel z zachowaniem maksymalnych środków ostrożności.

Karabin, swoiste dzieło sztuki, był świetnie utrzymany. Magazynek mieścił pięć naboji. Janson trzasnął zamkiem, wyjął jeden z nich i cicho zagwizdał.

Tajemnica się wyjaśniła. Był to nabój 458 Whisper, Szept, wyprodukowany przez SSK Industries. Pocisk - standardowy pocisk typu Winchester Magnum - ważył dziewięć gramów i cechował go duży opór aerodynamiczny: w czasie lotu powoli wytracał prędkość, zachowując olbrzymią energię nawet przy odległościach rzędu dwóch tysięcy metrów. Ale najciekawsze i najbardziej fascynujące było to, że wylatując z lufy, nie przekraczał bariery dźwięku, co eliminowało ów charakterystyczny trzask. Dzięki niewielkiej ilości prochu w łusce, detonacja w komorze naboju była stosunkowo cicha, stąd nazwa: Szept. Wystarczyło założyć tłumik i ktoś stojący kilka metrów dalej nie usłyszałby wystrzału.

- Dobra - rzucił Janson; choć się do tego nie przyznawał, imponowało mu jej opanowanie. - Powiesz mi teraz, gdzie są pozostali. I nie wciskaj mi kitu. - Kilkoma wprawnymi ru-

chami wyjął magazynek i wrzucił karabin na drzewo. Utknąwszy między gałęziami, stał się jeszcze jedną gałęzią, zupełnie niewidoczną dla przypadkowego przechodnia. Potem wycelował z beretty w jej głowę.

Przez długą chwilę przeszywała go wzrokiem. Paul patrzył jej prosto w oczy z całkowitą obojętnością, jak ktoś, kto gotów jest zabić bez chwili wahania i bez wyrzutów sumienia: miała fart, że jeszcze tego nie zrobił.

- Jest nas tylko dwoje... - zaczęła dziewczyna.

Janson otaksował ją wzrokiem. Była jego przeciwniczką, ale przy odrobinie szczęścia mogła zostać sojuszniczką, tarczą i źródłem informacji. Wiedziała, gdzie są pozostałe gniazda, gdzie czyhają na niego inni snajperzy.

I umiała kłamać. Tak, kłamała gładko i przekonująco.

Błyskawicznie wyciągnął rękę i grzmotnął ją kolbą w skroń.

- Nie zaczynajmy znajomości od kłamstw, skarbie. Dla mnie jesteś zwykłą zabójczynią. O mało mnie nie zastrzeliłaś, narażając przy tym życie niewinnych ludzi.

- Gówno prawda - warknęła. - Cały czas pilnowałam marginesu bezpieczeństwa. Metr dwadzieścia w każdą stronę, licząc od środka korpusu. Ani jeden strzał nie wykroczył poza margines, a linia strzału za każdym razem była czysta. Nikomu nic nie groziło. Nikomu z wyjątkiem ciebie.

Tym razem nie łgała, sam to zauważył. Żeby osiągnąć tak mały rozrzut, strzelając z odległości ponad pięćset metrów, trzeba było być fantastycznym strzelcem, prawdziwym fenomenem.

- Dobra. A więc formacja osiowa. Nie marnujecie ludzi, więc następny siedzi co najmniej pięćdziesiąt metrów stąd. Wiem, że jest ich co najmniej trzech. Nie wspominając o rym na dźwigu... I o dwóch, którzy tak samo jak ty uwili sobie gniazdko na drzewie.

- Skoro tak mówisz...

- Podziwiam twoją dyskrecję, ale widzę, że nie przydasz mi się żywa, cóż... Nie będziemy się cackać, nie mogę sobie na to pozwolić. - Odbezpieczył berettę i zakrzywił palec na spuście, badając jego opór.

- Dobra już, dobra - wybełkotała dziewczyna. - Dogadajmy się.

Za szybko. Za szybko się zgodziła.

- Daruj sobie, nie ufam ci. - Ponownie trzasnął skrzydełkiem bezpiecznika i lekko zaciśnął palec na twardym spuście. - Gotowa na spotkanie z tym na górze?

- Nie, zaczekaj. - Cała brawura nagle wyparowała; - Powiem ci. Jeśli skłamię, możesz mnie zabić.

- Moja gra, moje zasady. Podasz mi namiary najbliższego snajpera. Pójdziemy tam. Jeśli nikogo tam nie będzie, oberwiesz kulkę. Jeśli snajper zmienił pozycję, nie powiadamiając o tym reszty, masz pecha. Zginiesz. Jeśli mnie zdradzisz, też zginiesz. Pamiętaj: znam ten system. Znam wszystkie procedury, bo połowę z nich sam ustaliłem.

Dziewczyna niepewnie wstała.

- Dobra. Twoja gra, twoje zasady. Zaczniemy od tego, że ze względu na kamuflaż, pracujemy w pojedynkę, bez partnera. Po drugie, mamy kogoś na dachu Hanover Terrace.

Przed oczyma stanął mu majestatyczny, neoklasycystyczny gmach naprzeciwko parku, gdzie mieszkało wielu ważnych Anglików. Białoniebieskie fryzy na ościeżnicach. Białe kolumny i kremowe ściany. Snajper musiałby zająć stanowisko za balustradą. Prawda? Nie, kolejne kłamstwo. Gdyby tak było, już by nie żył.

- Źle kombinujesz, złotko - powiedział. - Ten z Hanover Terrace już dawno by mnie zdjął. Poza tym zobaczyliby go robotnicy naprawiający dach Cumberland Terrace. Chcielibyście tam kogoś wysłać, ale zrezygnowaliście. - Uderzył ją w skroń jeszcze raz. Dziewczyna zatoczyła się i zachwiała. - Dwa spalone. Spalisz po raz trzeci i cię zabiję.

Spuściła głowę.

- Jestem kobietą- szepnęła. - Dziwisz się, że próbowałam?
- Park Road. Macie tam kogoś?

Chwilę zwleką. Wiedziała już, że Janson wie i kłamstwo na nic by się nie zdało.

- Ehrenhalta. Na minarecie.

Paul kiwnął głową.

- Kto siedzi po twojej lewej?

- Weź lornetkę - odparła. - Nie ufasz mi, to sam sprawdź. Snajper B: trzysta metrów na pomocny zachód stąd. - Trzysta metrów: niska ceglana budka ze sprzętem telekomunikacyjnym. - Jest na dachu. Nisko, dlatego nie oddał jeszcze ani jednego strzału. Ale gdybyś spróbował wyjść przez Jubilee Gate, byłoby po tobie. Na Baker Street, Gloucester Road i York Terrace Way czekają przechodnie. Dwóch snajperów obstawia Regent's Canal. Trzeci jest na dachu Regenfs College. Mieliśmy nadzieję, że tam pójdziesz. Jesteśmy dobrzy. Najlepsi. Z odległości dwustu metrów każdy z nas trafia człowieka w głowę.

„Mieliśmy nadzieję, że tam pójdziesz”. Janson omal nie poszedł.

Szybko rozrysował w myśli plan sytuacyjny. Wszystko się zgadzało. Na ich miejscu zorganizowałyby to tak samo.

Z pistoletem w jednym ręku, drugą przytknął do oczu silną lornetkę marki Swarovski 12x50. Snajper B: ceglano-betonowy bunkier. Należał do budowli, które są dosłownie wszędzie, i których się po prostu nie widzi. Dobra pozycja. Czy ktoś tam w ogóle był? Budka ginęła za zasłoną liści i widział tylko jej niewielki fragment. Co to jest? Człowiek? Jeszcze bardziej powiększył obraz. Rękawica? Część buta? Nie, nie sposób odgadnąć.

- Pójdziesz ze mną- rzucił nagle, chwytając ją za rękę. Mijały sekundy i tamci pewnie już główkowali: skoro cel wyszedł poza oś, trzeba się przegrupować, a gdyby się przegrupowali, zmianie uległyby wszystkie reguły gry.

- Rozumiem - powiedziała dziewczyna. - Zrobiłeś tak samo w obozie Hamasu w Qael-Gita w Syrii. Wzięłeś zakładnika, wyciągnąłeś z niego namiary najbliższego wartownika, poszedłeś tam, zdobyłeś namiary kolejnego i tym sposobem w ciągu niecałych dwudziestu minut rozbroiłeś wszystkich.

- Z kim ty, do diabła, gadałaś? - spytał zaskoczony. Tego rodzaju szczegóły operacyjne znało zaledwie kilka osób ze ścisłego kierownictwa wydziału.

- Byłbyś zdziwiony, ile o tobie wiem - odparła.

Szedł przez trawnik, ciągnąc ją za sobą. On szedł cicho, ona celowo powłóczyła nogami.

- Cicho - rzucił. - Albo zacznę podejrzewać, że nie chcesz współpracować.

Dotarło. Szła teraz ostrożnie, unikając szeleszczących liści i trzeszczących gałązek. Musieli ją przeszkolić, jak każdego członka Lambdy.

Zbliżali się do skraju parku; doszedł ich uliczny hałas i zapach spalin. Byli w samym sercu Londynu, w zielonej oazie założonej przed niemal dwustu laty i od tamtej pory pięknie utrzymywanej i starannie pielęgnowanej. Czy ta zadbana, równo przystrzyżona trawa miała teraz spłynąć krwią?

Gdy podeszli do ceglano-betonowego bunkra, Janson przyłożył palec do ust.

- Ani mru-mru - szepnął. W lekko zaciśniętej ręce wciąż trzymał berettę.

Przykucnął i kazał jej zrobić to samo. Na dachu budki, podpierając karabin lewą ręką, leżał snajper. Żaden strzelec wyborowy nie oprze lufy o podpórkę; podpórka zniekształca rezonans, a to ma wpływ na celność strzału. Z okiem przy lunecie, wykorzystując łokieć lewej ręki jako ruchomy statyw, był uosobieniem całkowitego skupienia. Ramiona miał wyprostowane, kolbę przyciśniętą do policzka. Karabin podtrzymywał wewnętrzną stroną lewej dłoni, tak że drewniana osłona lufy spoczywała w zagłębieniu między kciukiem i palcem wskazującym. Pozycja doskonała.

- Victor! - krzyknęła nagle dziewczyna.

Snajper szarpnął się, jednym płynnym ruchem odwrócił karabin i nie mierząc, wypalił. Janson skoczył w bok, pociągając za sobą dziewczynę. Potem runął w stronę budki, błyskawicznie chwycił karabin za lufę i wyszarpnął go tamtemu. Snajper sięgnął do pasa po pistolet, lecz w tej samej chwili Paul wziął zamach i jak wielkim kijem baseballowym, grzmotnął go kolbą w głowę. Mężczyzna zwiotczał. Wciąż leżał na brzuchu, tyle tylko, że teraz był nieprzytomny.

Dziewczyna rzuciła się na uzbrojoną rękę Jansona. Chciała odzyskać berettę, beretta wszystko by odmieniła. W ułamku sekundy Paul zrobił zwód, tak że zamiast na broni, zaciśnęła rękę na pole jego mokrej marynarki. Zaciśnęła i nie czekając, kopnęła go w krocze. Gdy broniąc się przed ciosem, odchylił do tyłu biodra, uderzyła go kantem dłoni w nadgarstek i pistolet dostał skrzydeł.

Cofnęli się. Oboje.

Dziewczyna przyjęła klasyczną pozycję walki: lewa ręka zgięta w łokciu na wysokości twarzy. Ostrze noża przecięłoby tylko skórę i ześlizgnęłoby się na kości; główne mięśnie, żyły i arterie znajdowały się po wewnętrznej stronie i były dobrze chronione. Prawą rękę miała opuszczoną i ścisnęła w niej mały nóż; kiedy zdążyła wyjąć go z buta, tego nie wiedział. Była dobra. Bardzo dobra. Szybka i zwinniejsza od niego.

Gdyby teraz zaatakował, natychmiast by skontrowała i poharatała mu rękę. Skuteczna obrona, prosto z podręcznika walki wręcz.

Była świetnie wyszkolona i - co dziwne - to go uspokoiło. Wyobraził sobie, co może zrobić w ciągu najbliższych dziesięciu sekund i przygotował się do kontrataku. Dobre wykształcenie było jej słabością. Potrafił przewidzieć jej ruchy, bo wiedział, czego ją uczono. Sam uczył tego innych. Ale po dwudziestu pięciu latach w terenie miał o wiele większy repertuar ciosów, większe doświadczenie i refleks.

Runął do przodu, chwytając ją za wyciągniętą rękę. Zgodnie z przewidywaniami, błyskawicznie ją podniosła, a wówczas zadał jej miazdzący cios w nadgarstek. Mniej więcej dwa i pół centymetra poniżej dłoni przebiega nerw środkowy i dobrze wymierzone uderzenie chwilowo go paraliżuje: zaciśnięte palce wyprostowały się, nóż upadł w trawę.

Natychmiast go podniósł, ale w tej samej chwili dziewczyna chwyciła go lewą ręką za ramię i wbiła kciuk głęboko w mięsień, uciskając biegnące pod nim nerwy i paraliżując całą rękę. Przeszył go ostry ból. Umiała walczyć, trzymała fason jak mało kto: triumf wykształcenia nad instynktem. Kopnęła ją w prawe kolano. Straciła równowagę, zatoczyła się do tyłu i upadła na wznak, a on, źle postawiwszy nogę, upadł na nią.

Wiła się pod nim i szarpała jak wytrawna zapaśniczka. Czuł jej gorące, spocone ciało, czuł, jak napina mięśnie. Przygniótł jej nogi swymi nogami, ale ręce wciąż miała wolne i mogła mu zrobić poważną krzywdę. Uderzyła go w splot ramienny, wiązkę nerwów przebiegających od ramienia do kręgów szyjnych. Szybko zgiął łokcie i wykorzystując masę swego ciała i większą siłę, przygniótł jej ręce do ziemi.

Jej wykrzywiona twarz - z wściekłości i odrazy, że musi mu ulec - była ledwie kilka centymetrów od jego twarzy.

Zobaczył, że napręży mięśnie szyi, że zamierza złamać mu nos uderzeniem głową, więc szybko przytknął czoło do jej czoła i mocno przycisnął. Miała ciepły oddech. Czuł go na ustach.

- Ty naprawdę chcesz mnie zabić - powiedział niemal z rozbawieniem. I nie było to wcale pytanie.

- Co ty - rzuciła ironicznie. - To tylko gra wstępna. - Szarpnęła się tak mocno, że z trudem ją przytrzymał.

- Co ci o mnie powiedzieli?

Przez kilka sekund ciężko łapała oddech.

- Że jesteś ostatnia szuja - odrzekła wreszcie. - Że zdradziłeś wszystko, co w życiu

najważniejsze, że zabiłeś dla pieniędzy. Że jesteś śmieciem, że nie ma gorszego od ciebie.

- Gówno prawda.

- Gówno to jesteś ty. Oszukałeś wszystkich. Sprzedałeś agencję, sprzedałeś swój własny kraj. Zginęli przez ciebie nasi ludzie.

- Tak? A powiedzieli ci, dlaczego was sprzedałem?

- Bo ci, kurwa, odbiło, bo dostałeś zajoba, a może zawsze byłeś pojebany. Wszystko jedno. Każdy dzień twojego życia zagraża życiu innych.

- Tak ci powiedzieli?

- To prawda! - Ponownie szarpnęła się pod nim, chcąc go z siebie zrzucić, wreszcie znieruchomiała. - Szlag by to... - sapnęła. - Przynajmniej nie śmierdzi ci z gęby. Pewnie powinnam się z tego cieszyć. No więc? Jaki masz plan? Zabijesz mnie czy zerznieś przez ubranie?

- Nie pochlebiaj sobie. Jesteś bystra. Uwierzyłaś we wszystko, co ci powiedzieli? - Głucho chrząknął. - Nic dziwnego. Ja też kiedyś im wierzyłem. - Wciąż stykali się głowami, nos w nos, usta w usta; dziwna i niepokojąca intymność między walczącymi na śmierć i życie przeciwnikami.

Jej oczy zwięzły się do szparek.

- Bo co? Chcesz mnie przekonać, że było inaczej? Mów. Słucham. Nie mogę zrobić nic innego. - Mimo to znowu się szarpnęła.

- Tak? To słuchaj. Wrobiono mnie. Pracowałem dla nich przez ponad dwadzieścia lat. Widzę, że dużo o mnie wiesz. Zadaj sobie pytanie: czy to, co ci nagadali, na pewno do mnie pasuje?

Przez chwilę milczała.

- Dowody. Jeśli tego wszystkiego nie zrobiłeś, przekonaj mnie, że mówisz prawdę. Wiem, że nie mogę z tobą negocjować. Po prostu chcę wiedzieć.

Po raz pierwszy przemówiła bez wrogości i ironii. Może coś w jego głosie dało jej do myślenia? Może zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę jest aż takim łajdakiem?

Wziął głęboki oddech i jego pierś naparła na jej piersi. Dziwna, niechciana intymność. Poczuł, że dziewczyna rozluźnia mięśnie.

- Dobra - powiedziała. - Złaż ze mnie. Nie będę się stawiała i nie ucieknę. Tam jest broń. Wiem, że byłbyś pierwszy. Po prostu wstanę i wy słucham cię.

Upewnił się, że dziewczyna jest całkowicie rozluźniona, a potem -najważniejsza decyzja, sekunda zaufania podczas śmiertelnej walki - szybko się z niej stoczył. Myślał tylko o jednym: o leżącym pod jesionem pistolecie. Chwycił go i wetknął za pasek spodni.

Wstała, chwiejnie i niepewnie. Spojrzała na niego i posłała mu zimny uśmiech.

- To pistolet ci tak sterczy czy...

- Nie pochlebiaj sobie - powtórzył. - Powiem ci coś. Kiedyś byłem taki sam jak ty. Byłem bronią. Bronią, którą nabijał, i z której strzelał ktoś inny. Wydawało mi się, że myślę, że podejmuję świadome decyzje. Ale było inaczej. Byłem narzędziem w ręku innych.

- Gadaj zdrów - odparła. - Bełkoczesz. Mnie interesują konkrety.

- Świetnie. - Głęboko odetchnął, sięgając do starych Wspomnień. - W Sztokholmie ktoś zdradził...

Mężczyzna. Szczera, pulchna twarz, brzuszek, praca za biurkiem. Mężczyzna wystraszony, śmiertelnie przerażony. Miał mocno podkrążone oczy, z niewyspania i wyczerpania. Przez lunetkę celownika wyglądał jak kłębek nerwów. I nieustannie cmokał ustami - absurdalny, nerwowy tik. Dlaczego tak bardzo się bał, skoro to tylko rutynowy kontakt? On, Janson, widział ich mnóstwo. Widział, jak ten czy inny po raz dwudziesty w roku zostawia wiadomość w martwej skrzynce kontaktowej, widział ich obojętną, nawet znudzoną twarz. Ale ta twarz była inna: bił z niej strach i pogarda dla samego siebie. A gdy spojrzał na Rosjanina, na domniemanego informatora, nie wyczytał z niej chciwości czy radości, tylko czystą odrazę.

- Sztokholm - powiedziała dziewczyna. - Maj 1983. Widziałeś, jak nasz człowiek nawiązuje kontakt z agentem KGB i go zdjęłeś. Strzelałeś z dachu do celu siedzącego na ławce w parku dwie ulice dalej. Jak na amatora, całkiem nieźle.

- Zatrzymaj taśmę. - Denerwowało go, że tyle o nim wie. - Dokładnie tak samo opisałem to w raporcie. Ale skąd pewność, że facet zdradził? Powiedziano mi, że zdradził, ale czy na pewno? A ten z KGB? Tak, znałem jego twarz, ale wszystkie dane, wszystkie informacje pochodziły od nich, z centrali. A jeśli się mylili?

- To co? On nie był z KGB?

- Nie, był. Nazywał się Kuźmin, Siergiej Kuźmin. Ale ten Szwed... Ten Szwed był przerażony. Szantażowano go, zmuszono do spotkania. Nie miał zamiaru dostarczać KGB informacji. Chciał przekonać Rosjanina, że nic nie wie, że jest dyplomatą niskiego szczebla, że nie ma dostępu do cennych materiałów. Chciał go po prostu spławić, bez względu na konsekwencje.

- Skąd wiesz?

- Rozmawiałem z jego żoną. Ale to nie należało już do zadania.

- Naiwniak. Skąd wiesz, że mówiła prawdę?

- Bo wiem. - Wzruszył ramionami. Doświadczony agent terenowy nie zadałby takiego pytania. - Nazwij to intuicją. Nie można polegać na niej w stu procentach, ale czasami wystarczy dziewięćdziesiąt.

- Czemu nie napisałeś o tym w raporcie?

- Bo ci, którzy mi to zlecili, dobrze o tym wiedzieli. Grali w zupełnie inną grę. Mieli dwa cele. Po pierwsze, dać do zrozumienia pozostałym członkom korpusu dyplomatycznego, że za kontakty z wrogiem można zapłacić bardzo wysoka cenę. Ja miałem pokazać, jaka to cena.

- A drugi cel? Mówiłeś, że mieli dwa.

- Ten młody Szwed zdążył już przekazać Rosjanom pewne informacje. Zabijając go, ostrzeżliśmy KGB, że traktujemy sprawę poważnie, że znamy wartość tego, co im dał. Prawda jest taka, że dokumenty spreparowano, że była to zwykła podpucha, celowa, starannie zaplanowana akcja dezinformacyjna. Zweryfikowałem ją krwią i KGB to kupiło.

- A więc jednak wygraliście.

- O włos. Zresztą zależy, jak na to patrzeć. Kuźmin dostał awans. Za tę sprawę. Ale cofnij taśmę jeszcze raz i zadaj sobie pytanie: czy miało to jakieś znaczenie? Jasne, nabiliśmy Roskich w butelkę, ale czy wpłynęło to na ostateczny rezultat tej pieprzonej walki? Czy warto było płacić za to czymś życiem? Ten Szwed miał żonę. Gdyby żył, mieliby dzieci, a teraz pewnie już wnuki. Przeżyliby razem kilkadziesiąt świąt Bożego Narodzenia, jeździliby na narty... - Janson urwał. - Przepraszam. Nie chciałem popadać w sentymentalizm. I tak tego nie zrozumiesz, bo jesteś za młoda. Ale wiedz, że rozkazy bywają kłamliwe, że są jak pajęcza sieć. I że człowiek, który te rozkazy wydaje, doskonale o tym wie. Myślę, że tak właśnie jest ze mną.

- O rety - szepnęła. - Nie, nie, chyba cię rozumiem. Ten facet; ten Szwed... Chcesz powiedzieć, że kazali ci go zdjąć, zatajając prawdziwe powody misji, tak?

- To była klasyczna manipulacja. A jednym z ludzi, którymi manipulowano, byłem ja. To, co rozkaz mówi, i to, co rozkaz znaczy, to dwie różne rzeczy.

- Kurczę, ale mętnik. Kręci mi się we łbie bardziej niż po twoim ciosie.

- Nie chciałem cię zdezorientować. Chciałem, żebyś zrozumiała.

- Wszystko jedno - odrzekła z nutką goryczy w głosie. - Ale dlaczego? Dlaczego wydali na ciebie wyrok?

- Myślisz, że mnie to nie dręczy?

- Byłeś legendą, zwłaszcza wśród nas, wśród młodszych. Nawet nie wiesz, nie masz pojęcia, jaki przeżyliśmy wstrząs, kiedy powiedzieli nam, że zdradziłeś. Przecież nie zrobiliby

tego ot tak sobie, dla picu.

- Dla picu? Nie, to działa inaczej. Większość ludzi kłamie, żeby się ratować albo wypaść lepiej w oczach innych. Przypisują sobie tę czy inną zasługę, zrzucają winę na kolegów. Albo po prostu mają fart, ale twierdzą, że zrobili coś dzięki swoim umiejętnościom. Tego rodzaju kłamstwa mnie nie niepokoją. Niepokoją mnie kłamstwa „szlachetne”. Kłamstwa pod przykrywką wyższych idei. Poświęcanie maluczkich wielkim celom. - I z goryczą dodał: - Niepokoją mnie kłamcy, którzy łąą w imię dobrą, a raczej tego, co uważają za dobro.

- Cholera... - Cicho zagwizdała, przeczesując ręką krótko ostrzyżone włosy. - Zaczynam się w tym gubić. Skoro chcą zrobić z ciebie ko zła ofiarnego, muszą mieć ku temu dobry powód.

- Powód, który oni uważają za dobry. Powód, który będzie wygodny administracyjnie.

- Wspomniałeś o swoim profilu. Tak się składa, że sporo na ten temat wiem. Tak, masz rację, coś tu nie gra. Albo nie byłeś tak dobry, jak mówią, albo nie jesteś tak zły. - Podeszła krok bliżej.

- Powiedz, czy Whitehall to zatwierdził?

- Nie było czasu na dyplomatyczne zabawy. To działalność eksterytorialna.

- Rozumiem. W takim razie musisz podjąć decyzję. - Opuścił rękę.

Pistolet celował teraz w ziemię.

- Ale nasze rozkazy...

- To twoje życie. Ja mam w tym swój interes. Ale ty też powinnaś. Wierz mi, dostałem dobrą nauczkę.

Dziewczyna wyglądała na zdezorientowaną.

- Dobra - rzuciła po chwili wahania. - Weź lornetkę. Snajper C jest na tym wysokim drzewie przy Primrose Hill Gate.

Gdy przykładał do oczu lornetkę, w uszach ponownie zabrzmiały mu słowa Angusa Fieldinga. „Czy jesteś całkowicie pewny rządu swego własnego kraju?” Trzeba przyznać, że była w tym swoista logika. Bo co, jeśli za zabójstwo Novaka odpowiadali ci z Konsularnego Wydziału Operacyjnego, umieściwszy w jego otoczeniu agenta? Czy nie wyjaśniałoby to faktu, że Stany Zjednoczone nie chciały się oficjalnie angażować w sprawę? Ale z drugiej strony, kto zrobił go, przelewając na Kajmany szesnaście milionów dolarów? I jeśli za śmiercią Novaka stała amerykańska agencja rządowa, to dlaczego? Dlaczego widzieli w nim aż takie zagrożenie? Wiedział, że jest to najważniejsza część układanki - układanki, którą musiał ułożyć nie tylko przez wzgląd na sprawiedliwość, ale i po to, żeby przeżyć.

Z zamyślenia wyrwało go potężne uderzenie w skroń. Zatoczył się, zaskoczony i oszłomiony.

To dziewczyna. Ścisnęła w rękach metalowy pręt, taki do zbrojenia betonu. Jeden koniec pręta był uwalany jego krwią. Wyszarpnęła go ze sterty materiałów budowlanych za budką.

- Wszystko może być bronią, jeśli wie się, jak tego użyć, mawiają damy. - I kolejny cios, tym razem tuż nad uchem. Pręt odbił się od głowy z głuchym, obrzydliwym trzaskiem. Świat zawirował.

- Ostrzegali nas przed tobą - warknęła dziewczyna. - Przed tobą i twoimi kłamstwami. - Janson patrzył jak przez krwawą mgłę, mimo to dostrzegł na jej twarzy wyraz czystej nienawiści.

Cholera jasna! Zamiast zachować czujność, dał się zwieść jej kłamstewkom, jej udawanemu współczuciu. A ona grała na czas, czekała na okazję. I zrobiła z niego durnia.

Leżąc na ziemi, słyszał, że krew dudni mu w głowie jak silnik parowy. Nieprzytomnie sięgnął po pistolet, ale było już za późno. Dziewczyna uciekała. Nie oglądając się, pędziła przed siebie.

Wiedział, że ma lekkie wstrząśnienie mózgu - co najmniej lekkie -i że minie kilka minut, zanim zdoła wstać. A wtedy jej już nie będzie. Przeciwniczkę i potencjalną sojuszniczkę szlag trafił.

Czuł narastające mdłości, ogarniało go też poczucie wewnętrznej pustki. Komu zaufać? Kto jest przeciwko niemu?

Po czyjej stronie był on sam?

Na razie mógł tylko powiedzieć, że po swojej. Sojusznicy? Czy w ogóle zasługiwał na sojuszników? Snajperka uważała, że zdradził. Czy na jej miejscu pomyślałby inaczej?

Zerknął na zegarek, spróbował wstać i stracił przytomność.

- Próba łączności.

- Próba łączności, próba łączności. Jest łączność. Odbiór.

W Wietnamie rzadko kiedy było cicho. Strefę walki zalewały kaskady odgłosów i widoków. W oddali grzmiała artyleria, świszczące flary rozświetlały niebo jak sto reflektorów. Mrok rozcinały ślady pocisków smugowych. Łump, łump, łump - dudniły śmigłowce, mrugały światełka odrzutowców. Po pewnym czasie wszystko to zlewało się ze sobą w bezsensowny szum, jak beczenie klaksonów i warkot silników zlewa się w jedno w godzinach szczytu. Dowódca nauczył ich rozpoznawać to, co do tego szumu nie pasuje.

Próbując regulować ostrość - przeszkadzała mu wysoka trawa i palmy - Janson zobaczył wreszcie polanę z dwiema chatami. Przed jedną z nich płonęło ognisko, a przy ognisku kucąco dwóch Wietnamczyków. Przeciągnęli druty czy nie? Przed trzema dniami Mendez zaczepił o taki drut nogą i w ciągu kilku sekund automatycznie odpaliła flara, głośno świszcząca flara magnezowa, która opadała powoli na małym spadochronie, zalewając ich upiornym, jaśkrawym światłem. Nie mogli sobie pozwolić na taki błąd, nie teraz.

Wywołał Demaresta. Co najmniej dwóch żółtków na polanie trzysta metrów stąd. Czekam na rozkazy.

Czekam na rozkazy.

Czekam na rozkazy.

Szum, trzask w słuchawkach i wreszcie głos Demaresta:

- Uwaga. Przesyłka delikatna i wrażliwa na wstrząsy. Przenieście ją dwa kilometry na północ od bazy jak cenny kryształ. Żadnych skaleczeń, siniaków czy zadrapań. Dasz sobie radę?

- Nie rozumiem, panie poruczniku.

- Schwytać i potraktować bardzo łagodnie. Nie rozumiesz po angielsku? Wobec tego mogę to powtórzyć w siedmiu innych językach.

- Nie, nie trzeba, panie poruczniku. Nie wiem tylko, czy...

- Na pewno znajdziesz jakiś sposób, Janson.

- Dzięki za zaufanie, ale...

- Nie ma za co. Bo widzisz ja znalazłbym sposób. A coś mi mówi, że jesteśmy do siebie bardzo podobni.

Pomacał palcami ziemię. Trawa. Równo przycięta, nie taka jak w dżungli. Siłą rozwarł powieki. Drzewa, rozległy zielony trawnik. Zegarek. Ścieło go na dwie minuty. Wiedział, że wielkim wysiłkiem będzie samo zachowanie przytomności, ale zachować ją musiał.

Wszystkie gorączkowe myśli wyparła myśl inna, ta najpilniejsza: czas. Miał coraz mniej czasu.

Snajperka nie zameldowała się przez radio i tamci na pewno odkryli już, że oś pękła. Lada chwila na teren wkroczą inni. Widząc jak przez mgłę, z bolącą, koszmarnie pulsującą głową, długo przebiegał się przez gąszcz stożkowatych tuj i wreszcie dotarł do Hanover Gate.

Z czarnej taksówki wysiadało dwoje starszków. Byli Amerykanami i poruszali się straszliwie wolno.

- Nie - mówiła rozdęta, najwyraźniej cierpiąca na niestrawność kobieta. - Nie musisz dawać napiwku. Jesteśmy w Anglii. W Anglii nie daje się napiwków. - Usta miała wyszminowane czerwono pomarańczową szminką, która podkreślała starcze zmarszczki biegnące pionowo pod i nad nimi.

- Nieprawda- burknął jej mąż. - Co ty wiesz? Nic nie wiesz. Ale zawsze masz swoje zdanie. - Szponiastymi palcami przerzucał angielskie banknoty z ostrożnością i powolnością archeologa rozwijającego bezcenny egipski papirus. - Sylwio, masz dziesięć funtów?

Kobieta otworzyła torebkę i zajrzała do niej z agonálną wprost ospałością.

Innych taksówek na ulicy nie było i Janson obserwował ich z narastającą frustracją.

- Przepraszam - rzucił. - Pozwolą państwo, że ja zapłacę.

Amerykanie popatrzyli na niego z nieukrywaną podejrzliwością.

- Poważnie. - To rozmywali mu się przed oczyma, to widział ich wyraźnie. - Nie ma sprawy. Jestem dzisiaj hojny. Tylko prosiłbym o... pośpiech.

Mąż i żona wymienili spojrzenia.

- Sylwio, ten pan powiedział, że zapłaci...

- Słyszałam - przerwała mu poirytowanym głosem żona. - Podziękuj panu.

- To jakiś kruczek? - spytał mąż, na wpół gniewnie ściągając usta. - Co pan będzie z tego miał?

- To, że wreszcie państwo wysiądą.

Wyleźli z taksówki i szybko mrugając, stanęli na chodniku. Paul wsiadł.

- Chwileczkę! - wykrzyknęła kobieta. - Nasze torby. Tam są dwie torby... - Mówiła powoli i z rozdrażnieniem.

Janson chwycił reklamówki - Marks & Spencer - otworzył drzwiczki i cisnął je im pod nogi.

- Dokąd? - spytał kierowca. Zerknął w górne lustro i się skrzywił. - Rozwalił pan sobie głowę.

- Nie jest źle, tylko tak wygląda - wymamrotał Janson.

- Tylko niech pan nie zabrudzi tapicerki.

Paul wyjął stufuntowy banknot i wetknął go pod plastikowe przepierzenie.

- Nie ma sprawy. - Taksówkarz momentalnie zmienił ton. - Pan tu rządzi. Gdzie rozkażemy, tam pojedziemy. - Uśmiechnął się, zadowolony z tej taksówkarskiej rymowanki.

Paul podał mu kurs.

- Już się robi.

W głowie łupało mu z regularnością i siłą młota pneumatycznego. Przewiązał ją sobie chustką, żeby zatamować krwawienie.

- Możemy już jechać? - Obejrzał się za siebie i w tej samej chwili w lewym dolnym rogu tylnej szyby wykwitła pajęczna sieć pęknięć. W szkle tkwił pocisk.

- Jezu Chryste! - krzyknął taksjarsz.

- Gaz do dechy - rzucił Janson, kuląc się na siedzeniu.

Ryknął silnik.

- Co się, kurwa, dzieje?

Paul podał mu przez przepierzenie kolejny stufuntowy banknot.

- Nic.

- Będę miał przez to kłopoty? - spytał taksówkarz, podejrzliwie zerkając na pieniądze. Byli już na Marylebone Road, wśród innych, szybko jadących samochodów.

- Żadnych - odparł ponuro Janson. - Niech pan mi zaufa. Wszystko będzie dobrze. Jak na spacerze w parku.

Patrzyła na niego. Nie, to nie wyobraźnia.

Kazuo Onishi spojrział na drugą stronę zadymionego baru i przeniósł wzrok na resztkę piwa w kuflu. Była oszałamiająca: długie blond włosy, zadarty nos, psotny uśmiezek na ustach. Co tu robiła, w dodatku sama?

- Kaz, czy ta lala przy barze na ciebie leci?

A więc to jednak prawda. Zauważył to nawet jego kumpel Dexter.

- A co? Dziwisz się? - odrzekł z kpiącym uśmiechem. - Kobiety potrafią rozpoznać prawdziwego ogiera.

- I pewnie dlatego ilekroć tu jesteśmy, zawsze wracasz do domu sam. - Dexter Fillmore był Murzynem. Nosił okulary i też nie miał szczęścia do dziewczyn. Znali się jeszcze ze studiów. Nigdy nie rozmawiali o pracy - obydwaj pracowali w tajnych programach, dlatego temat po prostu nie istniał - ale jeśli chodzi o sprawy sercowe, nie mieli przed sobą tajemnic. „Dobrze zarabiam i jestem do wzięcia - narzekał nieustannie Onishi. Kobiety powinny ustawić się do mnie w kolejce”. „Numerek irracjonalny czy imaginacyjny?” - szydził wówczas Fillmore.

Ale teraz wyglądało na to, że Kazuo Onishi ma szansę na coś aż nadto prawdziwego.

Blondynka spojrzała na niego trzeci raz i było to spojrzenie znaczące.

- Wezwać sędziego - powiedział. - Zaraz nastąpi nokaut.

- Daj spokój - zaprotestował żartobliwie Dexter. - Zawsze mówiłeś, że najważniejsza jest osobowość. Jak poznasz jej osobowość z drugiego końca baru?

- Ona ją ma - odparł Kazuo. - To widać.

- Jasne. Założę się, że najbardziej podoba ci się to, jak jej osobowość wypełnia ten obcisły sweterek.

No i proszę. Kobieta ruszyła w ich stronę z koktajlem w ręku. Nareszcie uśmiechnęło się do niego szczęście.

- Wolne? - Usiadła, postawiła kieliszek obok jego kufla i poprosiła barmana o dolewkę. - Zwykle tego nie robię, ale czekałam na mojego byłego chłopaka, który wciąż ma do mnie jakieś pretensje. Nie mogłam tam wytrzymać, bo barman zaczął mnie zaczepiać.

- Więc gdzie ten chłopak? - zapytał niewinnie Onishi.

- Były chłopak - poprawiła wymownie. - Przed chwilą zadzwonił na komórkę i powiedział, że coś mu wypadło w pracy. Nieważne. I tak nie miałam ochoty z nim gadać. Musi znaleźć sobie nową dziewczynę, inaczej nie da mi spokoju. - Posłała mu oszałamiający uśmiech. - Albo ja muszę znaleźć sobie nowego chłopaka.

Dexter dopił piwo i odkaslnął.

- Idę po fajki. Przynieść wam coś?

- Kup mi camele - odrzekł Onishi.

Gdy Dexter odszedł, kobieta zrobiła rozczarowaną minę.

- Palisz camele?

- Nie lubisz palących facetów?

- Nie, nie o to chodzi, ale camele? Mam tu coś lepszego, przynajmniej nie z automatu. Paliłeś balkan sobranie? To są dopiero papierosy.

- Balkan... co? - nie zrozumiał Onishi.

Blondynka otworzyła torebkę i wyjęła metalowe pudełko. W pudełku leżał rząd czarnych papierosów bez filtra ze złotymi ustnikami.

- Prosto z poczty dyplomatycznej - powiedziała. - Spróbuj. - W jej ręce zmateriałizowała się zapalniczka.

Ma zwinne ręce, pomyślał Onishi, głęboko zaciągając się dymem. Ulżyło mu, bo jak dotąd nie zapytała, gdzie pracuje. Zawsze odpowiadał, że jest administratorem rządowych systemów komputerowych i zwykle od razu przestawali pytać. Gdy mimo to drażyli dalej, wspominał o iterkompatybilności platformowej w departamencie rolnictwa i transportu. Tekst był tak ogłupiający, że natychmiast przestawali się tym interesować. Szczerze mówiąc, cieszył się, że nie spytała go o pracę, dlatego że nie chciał o pracy myśleć. O swojej prawdziwej pracy. Ostatnio tak go stresowała, że gdy tylko wchodził do biura, zaczynały go boleć ramiona. No i ten pech. Pieprzony pech. Tyle wysiłku, tyle potu, tyle lat, a tu masz. Groziła im katastrofa. Musiało, po prostu musiało pofarcić mu się gdzie indziej. Cholera, czy na to nie zasługiwał?

Blondynka nie odrywała wzroku od jego twarzy. Wyraźnie coś ją w nim fascynowało. Puścili nową piosenkę, tę ze ścieżki dźwiękowej nowego filmu o II wojnie światowej. Onishi ją uwielbiał. Przez chwilę czuł się tak, jakby miał odfrunąć ze szczęścia.

Zakaszła.

- Mocny.

- I taki powinien być papieros. - Mówiła z lekkim akcentem, ale nie wiedział, z jakim. - Bądź mężczyzną. Zaciągnij się porządnie.

I Onishi się zaciągnął.

- Super, nie? - rzuciła.

- Mocny - powtórzył.

- Ale przynajmniej ma jakiś smak. Te nasze smakują jak papier maszynowy.

Onishi kiwnął głową. Właśnie, głowa. To dziwne, ale coraz bardziej kręciło mu się w głowie. Pewnie od tego papierosa.

- Och, biedactwo ty moje - powiedziała blondynka. - Co ci jest? Może wyjdziemy na świeże powietrze?

- Dobry pomysł - zgodził się Onishi.

- Chodź, przejdziemy się. - Onishi chciał wyjąć portfel, ale blondynka położyła już na ladzie dwadzieścia dolarów, ale on był zbyt osłabiony, żeby zaprotestować. Dexter będzie się zastanawiał, gdzie przepadli, ale wyjaśni mu wszystko potem.

Na dworze było chłodniej, mimo to zawroty głowy nie ustały.

Blondynka ścisnęła go za rękę; pewnie chciała dodać mu otuchy. W świetle ulicznych latarni wyglądała jeszcze piękniej, chyba że był to efekt tego, co działo się w jego głowie.

- Boże, ty ledwo stoisz.

- Chyba tak. - Wiedział, że ma na twarzy głupkowaty uśmiech, ale nic nie mógł na to poradzić.

Blondynka zacmokała.

- Taki wielkolud i powalił go zwykły papieros? - rzuciła z żartobliwą naganą w głosie.

Wielkolud? To brzmiało zachęcająco. Pierwszy pozytywny zwrot w zawilej gmatwaniu, jakim było jego życie seksualne. Onishi uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Jednocześnie stwierdził, że płaczą mu się myśli, lecz stwierdził też, że ma to gdzieś.

- Przejedźmy się. Mam tu samochód. - Jej głos dochodził z bardzo daleka i chociaż cichutki szept w jego głowie ostrzegał, że to chyba nie jest dobry pomysł, Onishi się zgodził.

Pojedzie z tą piękną nieznajomą. I robi, co mu każe. Będzie należał do niej.

Płynnie zmieniając biegi, blondynka prowadziła niebieski samochód jak ktoś, kto dobrze wie, co robi, kto ma konkretny plan i ściśle się go trzyma. Ale on prawie tego nie zauważył.

- Przeżyjesz najwspanialsze chwile swego życia, Kazuo - powiedziała, muskając mu ręką krocze i blokując zamek drzwi od jego strony.

W głowie rozbłysła mu niejasna myśl: nie mówiłem jej, jak mi na imię. Po niej druga: coś jest ze mną nie tak. A potem już wszystkie myśli zniknęły w czarnej otchłani, która wypełniła jego umysł.

Część 2

Rozdział 18

Nerwowo ściskając zniszczoną dyplomatkę i szurając nogami jak starzec, chasyd podszedł do relingu na górnym przednim pokładzie promu. W jego oczach był lęk, lecz zdawało się, że lęk ów jest po prostu cechą jego osobowości i nie ma związku z podróżą Stena Line HSS. Odległość z Harwich do Hoek van Holland gigantyczny prom pokonywał w cztery godziny, a w Hoek van Holland czekały już specjalne pociągi, żeby przewieźć pasażerów na amsterdamską Centraal Station. Obsługa tego wielkiego, szybkiego okrętu robiła, co mogła, żeby zadbać o ich wygodę: na pokładzie było kilka barów, dwie restauracje, kilkanaście sklepów, a nawet kino. Ale chasyd nie wyglądał na człowieka, którego pociągowały rozrywki. Takich jak on rozpoznawano natychmiast: handlarz brylantami - czy można było mieć co do tego jakieś wątpliwości? - ktoś, kogo nie interesują luksusowe błyskotki, które sprzedaje, ktoś w rodzaju abstynenta w gorzelni. Pasażerowie zerkali na niego i odwracali wzrok. Nie wypadało się gapić. Chasyd mógłby coś sobie pomyśleć.

Słona bryza szarpała jego długą, białą brodę, pejsy, czarny chałat i czarne spodnie. W czarnym, okrągłym kapeluszu tkwiącym mocno na głowie chasyd spoglądał na ołowiane niebo i szarozielone morze. Widok nie był inspirujący, lecz on znajdował w nim chyba ukojenie.

Janson wiedział, że taka postać jest niewidzialną właśnie dzięki temu, że rzuca się w oczy. Bo nawet jeśli swędziały go plastikowo-gumowe policzki, nawet jeśli było mu gorąco w grubym, wełnianym chałacie, oznaki lekkiego zdenerwowania jak najbardziej pasowały do roli, którą na ten dzień wybrał. Wiatr chłodził go i osuszał pot. Nikt nie miał powodu podawać w wątpliwość tego, co mówił jego paszport; Paul od czasu do czasu wyjmował z kieszeni oprawione w plastik zdjęcie nieżyjącego już cadyka Schneersona, którego wielu chasydów uważało za mesjasza, i z uwielbieniem mu się przyglądał. Grał, wczuwał się w rolę, i takie drobiazgi miały duże znaczenie.

Odwrócił się powoli, słysząc czyjeś kroki i ścisnęło go w żołądku. Czarny, okrągły kapelusz, surowy, czarny chałat. Chasyd. Tyle że prawdziwy. Twój kolega, upominał siebie gorączkowo. Twój współwynawca. Jesteś tym, kogo udajesz: tak brzmiała najważniejsza zasada. Ale inna mówiła, że nie można robić z siebie kompletnego idioty.

Chasyd był niższy od niego. Miał czterdzieści kilka lat, rudawe włosy i nosił plastikowe okulary na receptę z publicznej służby zdrowia.

- *Voos hurst zich?* - spytał, lekko pochylając głowę. Pod pachą miał małą skórzaną aktówkę.

Kurczowo ściskając dyplomatkę, Janson też pochylił głowę i posłał mu przyjacielski uśmiech, może trochę niepewny, bo przeszkadzał mu plastik na twarzy. Jak zareagować? Niektórzy mieli wybitny talent lingwistyczny i mówili płynnie kilkoma językami, choćby Alan Demarest. Ale Janson, który znał dobrze tylko niemiecki i francuski - od matki nauczył się też trochę czeskiego - do nich nie należał. Dlatego teraz gorączkowo myślał, próbując przypomnieć sobie chociaż kilka słów w jidysz. Powinien był to przewidzieć. Nie, zamiast odpowiadać kokieteryjnym „Szalom”, lepiej będzie zniechęcić go do rozmowy. Przeszło mu przez myśl, żeby wyrzucić kłopotliwego intruza za burtę, ale była to tylko ulotna fantazja. Wskazał na gardło i pokręcił głową.

- Zapalenie krtani - szepnął z akcentem z londyńskiego East Endu.

- *Ir filt zich besser?* - spytał tamten z uprzejmym zainteresowaniem. Widać był samotny i bardzo chciał nawiązać kontakt z kimś, kogo brał za bratnią duszę.

Janson gwałtownie zakaszłał.

- Przepraszam - szepnął. - Bardzo zaraźliwe.

Chasyd cofnął się kilka kroków. Ponownie pochylił głowę i złożył ręce jak do modlitwy.

- *Szolem aleichem*. Niech Bóg cię błogosławi, pozostań w pokoju. - W pożegnalnym geście podniósł do góry drżącą rękę i odszedł grzecznie, ale szybko.

Janson ponownie wystawił twarz do chłodnego wiatru. „Wiemy więcej, niż wiemy”, mawiał Demarest. Paul uznał, że w tym wypadku rzeczywiście tak jest, gdyż jedynym sposobem na ruszenie z miejsca było posegregowanie i odpowiednie zinterpretowanie faktów, które już znał.

Wiedział, że tajna amerykańska agencja rządowa wydała na niego wyrok. Że dzięki skomplikowanej elektronicznej manipulacji na jego konto wpłynęła gigantyczna suma pieniędzy. Że tym sposobem ktoś chciał zrobić go w zabójstwo Petera Novaka.

Czy mógł te pieniądze jakoś wykorzystać? Wewnętrzny głos mówił „nie” - jeszcze nie teraz. Najpierw musiał sprawdzić, skąd pochodzą. Mogły stanowić najważniejszy dowód w sprawie. Mogły też być - myśl ta nie dawała mu spokoju - swoistą pułapką i gdyby je podjął, zdradziłby przeciwnikowi swoje zamiary. I tak wrócił do podstawowego pytania o to, kim ten przeciwnik jest.

Po czyjej jest pani stronie, Marto Lang? Zanim odbili z Harwich, ponownie próbował się do niej dodzwonić, ale na próżno. Czy należała do tego morderczego spisku? A może uprowadzono ją, a nawet zabito? Może była uboczną ofiarą intrygi, mającej na celu zgładzenie Novaka? Zadzwoił do starego przyjaciela z Manhattanu - kiedyś służył w wywiadzie, ale już się wycofał - i poprosił go, żeby miał oko na nowojorską siedzibę Fundacji Wolność, gdzie Marta Lang ponoć pracowała. Siedziba mieściła się w gmachu przy Czterdziestej ulicy, ale jak dotąd Lang tam nie wróciła. Musiała gdzieś być, ale gdzie?

Wiadomość o śmierci Novaka nie dotarła jeszcze do mediów i, podobnie jak Fielding, on też uważał, że to bardzo dziwne. Było tak, jakby nikt nie wiedział, że uprowadzono go i zamordowano. Czyżby na coś się zanosilo? Czyżby z sobie tylko wiadomych powodów ci z fundacji doszli do wniosku, że lepiej będzie upublicznić tę tragiczną wiadomość nieco później? Ale jak długo mogli to ukrywać? Krążyły pogłoski, że wiadomość o śmierci Deng Xiaopinga utrzymywano w tajemnicy przez ponad osiem dni, żeby spokojnie wybrać jego następcę: reżim uznał, że nawet krótki okres niepewnego bezkrólewia może być ryzykowny. Czy podobnie rozumowali ci od Marty Lang? Olbrzymia prywatna fortuna Novaka, a na pewno większa jej część, była ściśle, powiązana z kapitałem fundacji i jego śmierć mogła zachwiać ich finansami. Jednocześnie Grigorij Berman zapewniał go, że szesnaście milionów dolarów wysłano z Amsterdamu, a konkretnie ze służbowego konta Petera Novaka. Kto mógł wykręcić taki numer?

Novak miał potężną władzę, więc na pewno miał też potężnych wrogów. Paul musiał założyć, że ludzie ci są i jego wrogami. Że - to najbardziej diaboliczna część tego diabolicznego równania - może to być każdy. Że może być wszędzie. Mówił o tym Fielding. „Oligarchowie” skorumpowanych plutokratycznych reżimów ze wschodniej Europy mogli na przykład dojść do porozumienia ze spiskowcami ze Stanów, którzy spoglądali na Novaka z zawiścią i niepokojem. „Czy potrafisz zadać sobie pytanie, dlaczego tak bardzo was nie lubią, czy cię to przerasta?” - spytał go Andros. Skomplikowana sprawa. Było wielu takich, w których polityka Ameryki wywoływała ostry sprzeciw, którzy czuli się nią urażeni, poniżeni i wyeliminowani. Nie, Stany Zjednoczone nie były niewinnym, bezzębnym niemowlakiem i poczynania Waszyngtonu, zmierzające do zapewnienia sobie dominacji w świecie, rzeczywiście bywały bezwzględne. Członkowie establishmentu, zwłaszcza ci odpowiedzialni za kształtowanie polityki zagranicznej, mogli poczuć się zagrożeni działaniami Novaka choćby tylko dlatego, że nie mieli na niego żadnego wpływu. „Wszyscy wiedzą, że odtrącił wasze zaloty, że rozżłościł wasz establishment, a zwłaszcza Departament Stanu, idąc własną, przez siebie obraną drogą. Jego jedyną gwiazdą przewodnią było sumienie”, mówił Fielding. Któż mógł

przewidzieć, jak bardzo wściekną się ci z Waszyngtonu, ci krótkowzroczni unilateraliści, zaślepieni żądzą władzy, którą mylnie brali za patriotyzm? Nie było to najpiękniejsze oblicze Ameryki. Czystą naiwnością byłoby udawać, że establishment wzdragałby się przed takimi czynami. Komandor porucznik Alan Demarest uważał się za prawdziwego Amerykanina - Janson już dawno temu uznał, że był to tylko szkodliwy wytwór bujnej wyobraźni, że Demarest się oszukiwał. Ale jeśli pozostali Demarestowie tego świata mieli rację? Jeśli nie reprezentowali Ameryki, lecz jej wersję, odmianę, jej mutację, Amerykę, którą mieszkańcy targanych niepokojami krajów widywali najczęściej? Paul zamknął oczy, lecz nie mógł odpędzić od siebie wciąż żywych wspomnień, które gnębiły go i prześladowały nawet tu i teraz.

- Nie, nie przywoź ich - powiedział porucznik. W dobotych, sponiewieranych słuchawkach słycać było dźwięki chorału. - Przyjadę tam.

- Nie ma potrzeby, panie poruczniku - odrzekł Janson. - Zgodnie z rozkazem, są cali, zdrowi i skutecznie unieruchomieni.

- Co na pewno kosztowało cię trochę wysiłku. Ale nie zaskoczyłeś mnie. Wiedziałem, że sobie poradzisz.

- Transport nie przedstawiał żadnych trudności, panie poruczniku.

- Wiesz co? Zawieź ich do Candle Bog.

Candle Bog. Tak Amerykanie nazwali polanę w dżungli, cztery kilometry na północ od bazy. Miesiąc wcześniej doszło w tym miejscu do potyczki z nieprzyjacielem. Zwiadowcy natknęli się tam na dwie chaty i trzech Wietnamczyków, których uznano za łączników Wietkongu. Podczas wymiany ognia jeden Amerykanin został ranny; Wietnamczyków zabito. Ranny żołnierz przekreślił oryginalną nazwę polany - Quan Ho Bok - i od tamtej pory zwano ją Candle Bog, Trzęsawiskiem Świec.

Transport jeńców trwał dwie godziny. Gdy przybyli na miejsce, Demarest już na nich czekał. Przyjechał dżipem, za którego kierownicą siedział jego zastępca, Tom Bewick.

Jeńcom chciało się pić. Ponieważ ręce mieli przywiązane do boków, Paul przytknął im do ust manierkę. Mimo przerażenia i niepewności, przyjęli poczęstunek z wyraźną wdzięcznością. Janson kazał im usiąść na ziemi, między dwiema chatami.

- Dobra robota - pochwalił go Demarest.

- Humanitarne traktowanie jeńców, panie poruczniku, zgodnie z konwencją genewską - odrzekł Janson. - Gdyby tylko Wietnamczycy tak samo traktowali naszych.

Demarest zachichotał.

- Jesteś zabawny, chłopcze. - Spojrzał na Bewicka. - Tom, mógłbyś pełnić honory gospodarza domu?

Twarz Bewicka była jak wyrzeźbiona z drewna, z wąskimi szparkami zamiast oczu i ust. Miał mały, wąski, niemal ostry nos i był opalony, ale tak jakoś dziwnie, w wąskie żyłki przypominające słoje drewna. Ruchy miał szybkie, lecz nie było w nich gracji.

Podszedł do pierwszego jeńca, wyciągnął duży nóż i zaczął przecinać sznury.

- Będzie im wygodniej - wyjaśnił Demarest.

Wkrótce okazało się, że nie o wygodę im chodzi. Bewick wziął nylonową linę, przywiązał ją mocno do rąk i nóg jeńców, a jej końce przerzucił przez główne belki stojących obok siebie chat i naciągnął. Wietnamczycy leżeli teraz rozkrzyżowani, z napiętymi przez linę kończynami. Byli całkowicie bezbronni i dobrze o tym wiedzieli. Poczucie bezbronności miało mieć efekt psychologiczny.

Jansona zmroziło.

- Panie poruczniku...

- Nic nie mów - przerwał mu Demarest. - Tylko patrz. Patrz i ucz się. Stara zasada: zobacz, przećwicz, naucz kogoś innego.

Podszedł do leżącego najbliżej więźnia. Pogłaskał go czule po policzku i powiedział:

- *Tói men bon.* - Poklepał się po sercu. - Lubię was.

Jeńcy byli oszołomieni.

- Mówicie po angielsku? Zresztą to wszystko jedno, bo ja mówię po wietnamsku.
- Tak - odezwał się wreszcie spiętym głosem ten pierwszy.

Demarest nagroził go uśmiechem.

- Tak myślałem. - Przesunął palcem po jego czole, po nosie i zatrzymał się na ustach. -

Podobacie mi się. Jesteście moim natchnieniem.

Bo naprawdę wam na czymś zależy. To dla mnie ważne. Macie swoje ideały i walczy-
cie o nie do gorzkiego końca. Jak myślisz, ilu *nguoi My* zabiłeś? Ilu Amerykanów?

- My nie zabijają! - wybuchnął jeńiec.
- Nie zabijacie, bo jesteście zwykłymi rolnikami, tak? - spytał Demarest słodkim jak miód głosem.
- My uprawiamy ziemia.
- I nie jesteście z Wietkongu, prawda? Jesteście szczerymi, uczciwymi, ciężko pracującymi rybakami? Tak?
- *Dung.* Tak.
- Rybakami czy rolnikami?

Tamci spojrzeli na niego skonsternowani.

- My nie Wietkong - odrzekł błagalnie ten pierwszy.
- On nie jest twoim kolegą z wojska? - spytał Demarest, wskazując tego drugiego.
- Nie, on przyjaciel.
- Ach rozumiem, przyjaciel...
- Tak.
- I pewnie cię lubi. Pomagacie sobie nawzajem.
- Tak, nawzajem.
- Dużo wycierpieliście, prawda?
- Dużo cierpieć, bardzo dużo.
- Jak nasz zbawiciel Jezus Chrystus. Wiecie, że umarł za nasze grzechy? Chcecie wiedzieć, jak umarł? Tak? To dlaczego nic nie mówicie? Opowiem wam. Nie, mam lepszy pomysł. Zaraz wam pokażę.
- Prosimy...

Demarest zerknął na Bewicka.

- Bewick, gdzie twoje maniery? Ci biedacy leżą na ziemi!

Bewick kiwnął głową i pozwolił sobie na leciutki uśmiech. A potem, obracając krótkim kijem, zaczął napinać liny. Jeńcy powoli unieśli się do góry i rozkrzyżowani, zawiśli w powietrzu. Ogarnięci paniką, zaczęli krzyczeć.

- *Xin loi* - powiedział łagodnie Demarest. - Przepraszam.

Musiąco ich potwornie boleć. Mieli maksymalnie napięte kończyny, ramiona wychodziły im ze stawów. W tej pozycji każdy oddech był potwornym wysiłkiem, wysiłkiem, który jeszcze bardziej napinał mięśnie klatki piersiowej i brzucha. Janson poczerwieniał.

- Panie poruczniku - rzucił ostro. - Czy możemy porozmawiać na osobności?

Demarest podszedł bliżej.

- Wiem, trzeba do tego przywyknąć - powiedział cicho. - Ale nie pozwolę, żebyś wtrącał się do naszych tajnych ćwiczeń.
- Pan ich torturuje - odparł Janson ze ściągniętą twarzą.
- Myślisz, że to jest torturowanie? - Demarest z niesmakiem pokręcił głową. - Poruczniku Bewick, porucznik Janson jest zdenerwowany. Ze względu na jego własne dobro rozkażę wam go przypilnować i w razie konieczności obezwładnić. Pytania?
- Żadnych, panie poruczniku. - Bewick wymierzył z pistoletu w głowę Jansona.

Demarest podszedł do dżipa i włączył przenośny magnetofon kasetowy. Z maleńkiego głośnika popłynął znajomy chorał.

- Hildegarda von Bingen - powiedział do wszystkich i do nikogo. - XII wiek. Prawie całe życie spędziła w założonym przez siebie klasztorze. Pewnego dnia, gdy miała czterdzieści dwa lata, ukazał jej się Bóg i została największą kompozytorką tamtych czasów. Miewała ataki niewysłowionego bólu. Mówiła, że to bicz boży, i tworzyła, gdy ból doprowadzał ją do halucynacji. Antyfony, pieśni i traktaty religijne. Ból był jej natchnieniem. W bólu śpiewała...
- Popatrzył na zlanego potem jeńca. Wietnamczyk oddychał głośno i szczepliwie, jak zdychające zwierzę. - Pomyślałem sobie, że to was trochę odpręży - rzucił porucznik i zasłuchany, pogrążył się w zadumie.

*Sanctus es unguendo
periculose fractos:
sanctus es tergendō
fetida vulnera.*

Stanął nad najbliższym więźniem.

- Spójrz mi w oczy - powiedział. Wyjął z pochwy krótki nóż i zrobił mu na brzuchu małe nacięcie. Mocno napięta skóra natychmiast się rozstąpiła. - Ty też będziesz śpiewał.

Wietnamczyk przeraźliwie krzyknął.

- Tortury są dopiero teraz! - zawołał Demarest do Jansona. - Co mam powiedzieć? Że boli mnie to tak samo jak jego? - Popatrzył na wyjącego jak zwierzę jeńca. - Myślisz, że milcząc, zostaniesz bohaterem? Bzdura. Zapewniam cię, że jeśli jesteś bohaterem, nikt się o tym nigdy nie dowie. I całe bohaterstwo pójdzie na marne. Widzisz, jestem bardzo złym człowiekiem. Myślicie, że Amerykanie są miękczy. Myślicie, że możecie wziąć nas na przeczekanie. Myślicie, że na waszych oczach zapłaczą się w głupie, biurokratyczne przepisy, jak olbrzym w przydługie sznurowadła. Ale myślicie tak, bo jeszcze nigdy nie spotkaliście Alana Demaresta. Ze wszystkich sztuczek przebiegłego, podstępnego szatana największą było to, że potrafił wmówić człowiekowi, że nie istnieje. Spójrz mi w oczy, przyjacielu rybaku, bo ja istnieję. I jestem rybakiem, tak jak ty. Rybakiem ludzkich dusz.

Demarest oszalał. Nie, gorzej. Był zbyt zdrowy psychicznie i aż za dobrze panował nad swymi czynami i ich konsekwencjami. Jednocześnie nie miał ani krzty sumienia. Był potworem. Błyskotliwym, charyzmatycznym potworem.

- Spójrz mi w oczy - mówił, nachylając się nad rozciągniętym jeńcem, który musiał przeżywać agonálny ból, ból, którego nie dało się opisać słowami. - Kogo macie w Armii Republiki Wietnamu? Z kim się kontaktujecie?

- Ja rolnik! - wycharczał Wietnamczyk, nie mogąc złapać tchu. - Ja nie z Wietkongu!

Demarest ściągnął mu spodnie, odsłaniając genitalia.

- Wykręcanie się od odpowiedzi będzie ukarane - powiedział znudzonym głosem. - Pora na kabelki.

Janson poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Nachylił się szarpany gwałtownymi torsjami.

- Nie ma się czego wstydić, synu - rzekł łagodnie Demarest. - To tak jak z operacjami chirurgicznymi. Za pierwszym razem trochę człowiekiem rzuca, ale z czasem można się przyzwyczaić. Przypomnij sobie Emersona. Człowiek naprawdę wielki, „zmuszony do działania, torturowany i pokonany, ma okazję, żeby nauczyć się czegoś o sobie”. - Bewick. Idę odpalić silnik, a ty sprawdź napięcie. Damy mu okazję do rozmowy. A jeśli nie zechce gadać, umrze najboleśniejszym rodzajem śmierci, jaki tylko zdołamy wymyślić.

Spojrzał na pobladłą i skurczoną twarz Jansona.

- Ale nie martw się - powiedział. - Jego towarzysz będzie żył. Widzisz, ważne jest, żeby ktoś ocalał i przekazał wiadomość kolegom z Wietkongu: oto co was spotka, jeśli zadrzecie z *nguoi My*.

Paul z przerażeniem spostrzegł, że Demarest puszcza do niego oko, jakby zapraszał go do uczestnictwa w tej krwawej jatce. Ilu żołnierzy, wypalonych i otepliałych zbyt długim czasem spędzonym w strefie wojennej, to zaproszenie przyjęło, wstępując do klubu tych zwyrodniałych gorliwców i zaprzędając przy okazji duszę diabłu? Gdzieś w zakamarkach jego umysłu rozbrzmiewał echem refren starej piosenki: „Co robisz? Wariuję. Chcesz zwariować ze mną?”

Chcesz zwariować ze mną?

Prinsengracht, ta chyba najpiękniejsza uliczka amsterdamskiej starówki, powstała na początku XVII wieku. Na pierwszy rzut oka stojące tam domy są do siebie podobne jak łańcuch laleczek, wyciętych ze złożonego w harmonijkę papieru. Ale jeśli przyjrzeć im się z bliska, widać, że architekci zadali sobie trudu, żeby każdy z wąskich, wysokich budynków różnił się od sąsiedniego. Wszystkie starannie zaprojektowane dachy albo pną się schodkami do góry, żeby przejść na końcu w płaski szczyt, albo są wcięte i szyjkowato przewężone, albo dziobkowate. Ponieważ domy mają wąskie i strome klatki schodowe, w ścianach większości z nich zamontowano na zewnątrz półki, żeby łatwiej było wciągać meble na górne piętra. Wiele ma strychy, ale takie na niby, z fantazyjnym belkowaniem. Girlandy festonów zwisają tu ze zwykłych cegieł, a za domami dyskretnie ukrywają się *hofjes*, wewnętrzne podwórka. Gdy Amsterdam przeżywał swój złoty wiek, jego mieszkańcy chlubili się prostotą i rzeczywiście, była to prostota rzucająca się w oczy.

Janson był w lekkiej, zapinanej na zamek błyskawiczny kurtce i solidnych półbutach, jak większość przechodniów. Ręce trzymał w kieszeni i uważnie obserwował okolicę, lecz z doświadczenia wiedział, że jeśli tamci odkryją, że tu jest, zmobilizują się w okamgnieniu. „Zawsze miej plan awaryjny” - mawiał Demarest i chociaż rada pochodziła z odrażającego źródła, wielokrotnie z niej korzystał. Jest równie skuteczna jak wojenne sekrety Dżyngis-chana, pomyślał z goryczą.

Kilka ulic od tak zwanego Złotego Zakrętu zobaczył rząd barek mieszkalnych, cumujących na rdzawomulistych wodach kanału. Stały tam w latach pięćdziesiątych, gdyż w Amsterdamie brakowało wtedy mieszkań; kilkadziesiąt lat później władze miasta próbowały je usunąć, ale ponieważ barki zdążyły już wrosnąć w krajobraz, pozwolono im zostać pod warunkiem, że właściciele będą regularnie płacić roczny czynsz.

Idąc, Janson uważnie im się przyglądał. Najbliższa była podobna do długiego, krytego brązową dachówką bungalowu z małymi szybami wentylatorów na dachu z czerwonej od rdzy blachy. Inna przypominała wysoki pływający dom z długimi, podłużnymi oknami, które zasłonięte firankami, żeby zapewnić sobie trochę prywatności. Obok niej stała barka z misterną kratką wokół płaskiego dachu. Z czegoś, co wyglądało jak kamienny karmnik dla ptaków, zwisały dwie latarnie. Skrzynki z geranium mówiły dużo o jej dumnym dzikim lokatorze.

W końcu zobaczył znajomą niebieskąabinę, opuszczoną i zaniedbaną. Skrzynki na kwiaty były puste, okna małe i brudne. Na pokładzie stała srebrzysta ze starości drewniana ławka. Deski długiego, szerokiego pokładu były asymetryczne i zwichrowane. Barka cumowała przy małym parkingu i gdy Janson tam podszedł, serce zabiło mu szybciej. Minęło wiele lat, odkąd był tu ostatni raz. Czy łódź zmieniła właściciela? Poczul wyraźny, żywiczny zapach marihuany i wiedział już, że nie. Wszedł na pokład i stanął w drzwiach kabiny. Były otwarte, tak jak przypuszczał.

W kącie zalanej słońcem kajuty, nad dużym arkuszem papieru welinowego kucał mężczyzna o długich, szarobrudnych włosach. W obu rękach trzymał pastele i przesuwając nimi po papierze tak szybko, że ich ruchy zlewały się ze sobą jak ruchy skrzydeł lecącego kolibra. Obok czerwonej pastylki leżał palący się skręt.

- Ani kroku, skurwielu - rzucił cicho Paul.

Barry Cooper zachichotał - pewnie opowiadał sobie jakiś dowcip -i powoli się odwrócił, ale rozpoznał swego gościa, nieco spoważniał.

- Hej, jest spoko, bracie, nie? Obaj jesteście spoko, tak? Wciąż miał na twarzy głupkowaty uśmiech, lecz widać było, że jest zdenerwowany.

- Tak, Barry, jest spoko.

Wyrażnie mu ulżyło. Szeroko rozłożył uwalane pastelami ręce.

- Kocham cię, bracie, a ty kochaj mnie. Ile to już lat?

Mówił dziwnym hippisowskim językiem, a fakt, że prawie od ćwierć wieku mieszkał za granicą, tylko ten język utrwalił.

- Za dużo - odparł Janson. - A może za mało. Jak myślisz? - Łączyła ich skomplikowana przeszłość; Paul nie do końca rozumiał jego, on nie do końca rozumiał Paula, co wcale nie znaczyło, że nie rozumieli się na tyle, żeby kiedyś ze sobą nie współpracować.

- Mogę zrobić ci kawy - powiedział Cooper.

- Chętnie, dzięki. - Janson usiadł na zapadniętej brązowej sofie i rozejrzał się.

Niewiele się tu zmieniło. Cooper się postarzał, ale tak, jak miał się postarzeć. Zmierzwiona czupryna była teraz zupełnie siwa. Wokół oczu miał kurze łapki, a linie między kącikami ust i nosem były poprzecinane drobnymi zmarszczkami; miał też pionowe zmarszczki między brwiami i poziome na czole. Ale wciąż był to ten sam Barry Cooper, może trochę przerażający i zwariowany, ale na pewno nie tak jak kiedyś. Kiedyś był zupełnie inny. Na początku lat siedemdziesiątych przeszedł z teoretycznego studenckiego radykalizmu do radykalizmu praktycznego, twardego i bezwzględego, żeby z czasem zostać członkiem ugrupowania Weather Underground. „Obalić system!” W tamtych czasach hasło to służyło za zwykłe powitanie. Studiując w Madison w stanie Wisconsin, przystał do innych, bystrzejszych i bardziej przekonujących od niego, a ci przemienili jego niejasną niechęć do władzy w krystalicznie czystą nienawiść.

Niewinne żarty, które miały irytować policję, zmieniły się w akty gwałtówne i drastyczne.

Pewnego dnia był w swoim domu w nowojorskiej Greenwich Village, gdy przedwcześnie eksplodowała bomba, którą skonstruował jeden z członków ugrupowania. Cooper właśnie brał prysznic, a chwilę później, poparzony, okopcony i półprzytomny, łaził po ulicy, dopóki go nie aresztowano. Gdy wyszedł za kaucją, policja ustaliła, że jego odciski palców pasują do tych znalezionych na miejscu zamachu bombowego w uniwersyteckim laboratorium w Evanstone. Bomba wybuchła nocą, nie było żadnych ofiar, ale tylko dzięki łutowi szczęścia, bo mógł się tam napatoczyć choćby nocny stróż. Postawiono mu zarzut próby zabójstwa oraz przynależności do antypaństwowego spisku i natychmiast cofnięto kaucję. Ale Coopera nie było już w kraju: zdążył czmychnąć do Kanady, a stamtąd do Europy.

W Europie rozpoczął kolejny rozdział kariery. Wyolbrzymione doniesienia o jego wyczynach, rozpowszechnione przez amerykańską policję, zachwyciły radykalne ugrupowania rewolucyjnej lewicy, zwłaszcza te blisko związane z Andreasem Baaderem i Ulrike Meinhof, znane oficjalnie jako Rote Armee Fraktion, a nieoficjalnie jako banda Baader-Meinhof; sami nazywali swoją zwartą organizację Ruchem 2 Czerwca, a we Włoszech Czerwonymi Brygadami. Odurzeni romantycznością miejskich powstań, ludzie ci brali tego kudłatego Amerykanina za współczesnego Jesse Jamesa, swobodnego jeźdźca rewolucji. Powitali go w swoich kręgach i swarliwych frakcjach, prosząc o rady z dziedziny taktyki i techniki działania. Cooperowi bardzo to zainteresowanie schlebiało, ale jego wizyty były też stresujące. Wiedział dużo na temat odmian marihuany - potrafił odróżnić świetną trawkę z Maui na Hawajach od czerwonej trawki z Acapulco - lecz na temat rewolucji nie wiedział prawie nic, bo zupełnie go nie interesowała. W przeciwieństwie do tego, co mówili o nim przemądrzały doradcy z Interpolu, był zwyczajnym obibokiem, który załapał się na darmowe prochy i seks. Był zbyt nawa-

lony, żeby zrozumieć żarliwość swoich nowych towarzyszy - zbyt nawalony, by pojąć, że to, co on uważał za studenckie żarty, oni uważali za wstęp do burzliwej rewolucji, która miała obalić istniejący porządek rzeczy. Gdy go zapraszali, głównie milczał, a jeśli już coś mówił, to półgębkiem i niechętnie. Jego wstrząsliwość i wyraźny brak zainteresowania ich działalnością bardzo nimi wstrząsnęły: było oczywiste, że on, słynny amerykański terrorysta, im nie ufa, że nie traktuje ich poważnie, że nie widzi w nich żołnierzy rewolucyjnej awangardy. Żeby go do siebie przekonać, zdradzali mu swoje najambitniejsze plany, próbowali mu zaimponować bogactwem środków i zasobów: domem kryjówką w Berlinie Wschodnim, fasadową organizacją w Monachium, która wspierała ich finansowo, oficerem z zachodnioniemieckiej gwardii narodowej, który dostarczał broni i amunicji swemu radykalnemu kochankowi.

W miarę upływu czasu Barry Cooper zaczynał czuć się coraz bardziej nieswojo, i to wcale nie dlatego, że cała ta maskarada go zmęczyła: po prostu fizycznie nie trawił aktów przemocy, zwłaszcza tak plastycznie opisywanych. Pewnego dnia, po zamachu bombowym w Stuttgarcie, zobaczył w gazecie listę ofiar. Udając dziennikarza, odwiedził matkę jednego z zabitych przechodniów. To doświadczenie - bezpośredni kontakt z ludzkim wymiarem tej wspaniałej, rewolucyjnej przemocy - wstrząsnęło nim i nappełniło odrazą.

Janson złożył mu wizytę niedługo potem. Próbując znaleźć dojście do mrocznego świata organizacji terrorystycznych, szukał ludzi, których więzy z cywilizacją jeszcze nie zerodowały, którzy zachowali w sobie resztki tak zwanej burżuazyjnej moralności. Fakt, że Barry utrzymywał kontakty z ekstremistami, zawsze go zadziwiał. Dobrze znał jego akta i wiedział, że Cooper jest w gruncie rzeczy zwykłym żartownisiem, kawalarzem, klaunem, a nie mordercą. Towarzyskim facetem, który znalazł sobie bardzo złe towarzystwo.

Cooper mieszkał już wtedy w Amsterdamie, na tej właśnie barce, i zarabiał, sprzedając turystom kolorowe szkice starego miasta, szkice kiczowate, lecz kiczowate uczciwie. Zachowywał się jak ktoś, kto za długo palił trawkę, bo nawet gdy nie palił, był lekko zdekoncentrowany i wesoło prostoduszny. Nie od razu przypadli sobie do serca: trudno o dwa bardziej różniące się od siebie charaktery. Mimo to Cooper w końcu docenił fakt, że przedstawiciel amerykańskiej agencji rządowej nie próbuje mu schlebiać ani grozić. Wyglądał jak duppek, lecz dupkiem nie był. Dziwnie powściągliwy, grał z nim otwarcie i uczciwie. Gdy Copper skierował rozmowę na panującą na Zachodzie nierówność i niesprawiedliwość społeczną, Janson, politolog i znawca światowej gospodarki, chętnie podjął rzuconą rękawicę. Ale zamiast wyszydzić jego przekonania, skwapliwie zgodził się, że zachodnie demokracje mają wiele wad, jednocześnie stanowczo odrzucił dehumanizujące uproszczenia tak popularne wśród terrorystów. „Nasze społeczeństwo - mówił twardym, dosadnym językiem - zdradza ludzkie ideały, ilekroć ideały te nie dorastają do jego ideałów. A świat, który chcą stworzyć twoi przyjaciele? Ten świat zdradza ludzkie ideały, ilekroć ideały te do tego świata dorastają”. Czy to naprawdę taki trudny wybór?

„Głębokie - odrzekł szczerze Barry. - Bardzo głębokie”. - Klasyczna replika ludzi płytkich. Ale nawet jeśli Cooper był płytki, płytkość ta ustrzegła go przed najgorszymi pokusami rewolucyjnej lewicy. A dzięki jego informacjom zlikwidowano dziesiątki organizacyjnych komórek. Pozamykano domy kryjówki, osadzono w areszcie przywódców, rozpracowano i rozwiązano instytucje finansujące. A pomógł w tym on, Barry Cooper, mieszkający na zapuszczonej łodzi ćpun. Pod tym względem ten pozujący na bezwzględny rzecznik rewolucyjnej awangardy miał zupełną rację: człowiek maluczki bywa czasami olbrzymem.

W zamian za tę przysługę Departament Stanu po cichu wycofał wniosek o ekstradycję.

Janson wypił łyk kawy z ubrudzonego akrylową farbą kubka.

- Wiem, że wpadłeś tu ot tak sobie - powiedział Cooper. - Że niczego ode mnie nie chcesz. - Żartował. Dobrze pamiętał ich pierwsze spotkania sprzed ćwierć wieku.

- Posłuchaj, mógłbym u ciebie trochę pomieszkać?

- *Mi casa es su casa, amigo* - odrzekł Barry, sięgając po skręta; Janson nie wiedział, i

wtedy, i teraz, czy trawka wciąż na niego działa czy pomaga mu tylko powrócić do stanu uznawanego za względnie normalny. Od palenia miał chrapliwy głos. - Szczerze mówiąc, przydałoby mi się towarzystwo. Doris odeszła. Mówiłem ci?

- Nie mówiłeś nawet, że przyszła - odparł Janson. - Nie wiem, o kim mówisz.

- Ach... - szepnął Cooper i we wściekłym skupieniu zmarszczył czoło. Gorączkowo szukał logicznej kontynuacji, ciągu dalszego przed chwilą rozpoczętej myśli. „I dlatego... I dlatego... I dlatego...” Tłoki pracowały, lecz silnik nie zaskakiwał. W końcu Barry podniósł palec. - Nieważne. - Najwyraźniej doszedł do wniosku, że kogoś, kogo nie widział od ośmiu lat, może mało obchodzić zakończenie półtoramiesięcznej znajomości. Był tak zadowolony, że udało mu się *znaleźć* stosowną odpowiedź, że usiadł i uśmiechnął się szeroko. - Naprawdę się cieszę, że cię widzę. - Uderzył go lekko w ramię. - Współwspaczu. Fajnie. Będziemy współwspaczami.

Janson lekko się skrzywił. Nadwerężone podczas bójki w Regent's Park ramię wciąż dawało mu się we znaki.

- Co ci jest? - spytał z z troskaniem w oczach Cooper. - Żle się czujesz?

- Nie, nie. Ale tym razem nie mówmy nikomu o mojej małej wizycie. *Comprende?*

- *Comprendo mio maximo* - odrzekł Cooper w swoim ulubionym sztucznym języku, mieszaninie hiszpańskiego, włoskiego i szkolnej łaciny z niekonsekwentnymi trybami, aspektami i czasami. On jest jak postać z książek Huntera S. Thompsona, pomyślał kiedyś Janson. Pod pewnymi względami bardzo się zmienił, pod innymi pozostał taki sam.

- Chodźmy się przejść - rzucił.

- Dobra - odrzekł Cooper.

Jaskrawe światło ulicznych latarni odpędzało wieczorny mrok. Szli Złotym Zakrętem. Przed trzystu laty, w okresie złotego wieku, mieszkali tu najbogatsi i najlepiej prosperujący kupcy i budowniczowie okrętów. Dzisiaj większość domów należała do banków, muzeów, wydawnictw i konsulatów. W wybielającym świetle rtęciówek siedemnastowieczne domy lśniły swoistym przepychem i jeszcze bardziej się od siebie różniły. W jednym widać było wyraźne wpływy francuskie, gdyż jego kamienna fasada była ozdobiona liśćmi akantu i ślimacznicami, inny zbudowano z surowej cegły i ozdobiono jedynie przewężonym szczytem. Zaokrąglone gzymsy, modyliony, kwiatony, ozdobne wsporniki i wole oka: kącików i zakamarków było tu mnóstwo, a w każdym mógł się ktoś czaić. Dla Jansona nawet sterczące belki wyciągów, głęboko wpuszczone w obelkowanie dachów, wyglądały teraz złowieszczo.

- A więc widzisz te ulice na co dzień... - zagadnął Janson.

- Dzień w dzień, brachu - odrzekł Cooper. - Są moim natchnieniem. Rysuję to, co widzę. Tylko trochę inaczej. Scenki uliczne, czasami jakiś dom. Albo kościół. Turyści lubią kościoły.

- Mogę zamówić u ciebie rysunek?

Cooper spojrzał na niego wzruszony.

- Poważnie?

- Przy Prinsengracht, na rogu Leidsestraat jest pewien dom. Wiesz który?

- Masz dobry gust. To prawdziwa perełka.

Dom powstał z trzech sąsiadujących ze sobą budynków, ale fasadę przebudowano w taki sposób, że tworzyła teraz całość. Pod frontonem stało osiem korynckich kolumn, na ulicę wychodziło siedem wykuszowych okien. Pasma czerwonego tynku przeplatały się z ozdobnym kamieniem. Każda cegła budynku, w którym mieściła się światowa siedziba Fundacji Wolność, miała swoją historię.

- To co? Narysowałbyś go? Z jak największą liczbą szczegółów. - Śmignął koło nich rowerzysta jadący pod prąd jednokierunkową ulicą; omal na nich nie wpadł.

- Kurde, nie wiedziałem, że moje szkice ci się podobają. Zawsze mówiłeś o nich jakby z rezerwą. Myślałem, że może się na tym nie znasz.

- Jak najwięcej szczegółów, Barry - podkreślił Janson. - I od tyłu też, z Lange Leidsedwardsstraat.

- Otworzę nowe pudełko pasteli - odrzekł Cooper. - Specjalnie dla ciebie.

Rowerzyści i uliczni artyści: dwie grupy ludzi, na których tu, na amsterdamskiej starówce, nie zwracano najmniejszej uwagi. Cooper mógłby usiąść na chodniku dokładnie naprzeciwko siedziby fundacji i nikt by na niego nie spojrział. Robił to od dziesiątków lat. Ginał w krajobrazie, bo był jego częścią.

Godzinę później, już na łodzi, Paul obejrzał szkice. Nie podniosły go na duchu. Owszem, znalazł kilka miejsc, którymi dałoby się tam wejść, ale wszystkie były na widoku. Istniało też duże prawdopodobieństwo, że cały budynek naszpikowano detektorami ruchu. A ponieważ jego tył wychodził na Lange Leidsedwardsstraat, tamtędy też nie dałoby się wejść niepostrzeżenie.

Są dwa sposoby skutecznej ochrony tego czy innego obiektu. Najbardziej znanym jest izolacja: zamek na górskim zboczu, podziemny skarbiec. Drugi sposób to powszechna dostępność miejsca: budynek na miejskim skwerze, gdzie każda próba wtargnięcia jest natychmiast zauważona. Dyrekcja Fundacji Wolność wybrała ten drugi sposób i zamiast całkowicie polegać na wyrafinowanych środkach bezpieczeństwa, skutecznie wykorzystywała setki ludzi - tych pracujących w budynku i zwykłych przechodniów - jako czujnych strażników. Budynek był dobrze strzeżony dzięki temu, że był na widoku.

Janson wkurzył się na siebie: myślał szablonowo i cały czas przychodziły mu do głowy rozwiązania dobre na kiedyś, ale nie na teraz, nie na tę sytuację. Musiał myśleć inaczej.

Przypomniały mu się słowa Demaresta, słowa niczym echo sprzed stu lat: „Nie widzisz wyjścia? Powoli, spokojnie, naucz się patrzeć inaczej. Zamiast jednego czarnego łabędzia, zobacz dwa białe. Naucz się widzieć kawałek tortu, zamiast tortu, w którym brakuje kawałka. Rzucaj kośćmi od siebie, zamiast do siebie. Nie ma to jak *gestalt*, słonko, nie ma to jak *gestalt*. Naucz się tego, a będziesz wolny”.

Na kilka sekund zamknął oczy. Musiał myśleć tak jak oni. Uważali, że najlepszym kamuflażem jest powszechna dostępność budynku i musiał to wykorzystać. Spodziewali się, że jeśli ktoś będzie próbował tam wejść, spróbuje wejść ukradkiem i byli na to dobrze przygotowani. Dlatego nie wejdzie tam ukradkiem. Musiał wejść oficjalnie, rzucając się w oczy, głównym wejściem. Ta operacja wymagała nie tajności, tylko bezczelności.

Popatrzył na zwinięte w kulkę papiery walające się na podłodze.

- Masz gazetę?

Cooper potruchtał w kąt kajuty i wrócił z najświeższym numerem „De Volksrant”. Pierwsza strona była pomazana farbami i pastelami.

- Nie masz niczego po angielsku?

- Holenderskie gazety są po niderlandzku - wychrypiął przepalonym głosem Cooper. - Dlatego są takie popieprzone.

- Rozumiem. - Janson powiódł wzrokiem po nagłówkach, porównując odpowiedniki słów angielskich i niemieckich z holenderskimi. Jego uwagę przykuła niewielka wzmianka na drugiej stronie.

- To - powiedział, stukając palcem w gazetę. - Możesz mi to przetłumaczyć?

- Nie ma sprawy. - Cooper podniósł głowę, mobilizując się i koncentrując. - Ja bym wybrał co innego... Zaraz. Mówiłeś kiedyś, że twoja matka jest Czeszką?

- Była. Już nie żyje.

- Kurde, znowu palnąłem gafę. Straszne. Umarła nagle?

- Zmarła, kiedy miałem piętnaście lat, Barry. Zdążyłem się z tym pogodzić.

Cooper zmarszczył czoło, trawiąc to w milczeniu.

- Spoko - powiedział w końcu. - Moja zmarła w zeszłym roku. Nie mogłem nawet pojechać na pogrzeb. Strasznie się tym gryzłem, ale gdybym pojechał, od razu założyliby mi obciążki, więc po co? Bardzo to przeżyłem.

- Przykro mi - powiedział Janson.

Cooper zaczął pracowicie tłumaczyć artykuł na angielski. Artykuł jak artykuł, na pierwszy rzut oka nic szczególnego. Czeski minister spraw zagranicznych, który składał oficjalną wizytę w Hadze, przyjechał do Amsterdamu. Miał spotkać się tu z kierownictwem giełdy i najważniejszymi przedstawicielami świata finansowego, żeby omówić możliwości współpracy holendersko-czeskiej. Kolejna bezcelowa podróż człowieka, którego zadaniem było podróżowanie z nadzieją na zwiększenie zagranicznych inwestycji w kraju tych inwestycji potrzebującym. Holandia była bogata, Czechy biedne. Do podobnej podróży mogło dojść przed stu laty, przed dwustu albo trzystu, i nieraz prawdopodobnie doszło. Łatwo było przewidzieć, że Czechy niewiele na niej skorzystają. Ale mógł skorzystać na niej Janson.

- Chodźmy na zakupy - powiedział, wstając.

Cooper nie zdziwił się nagłą zmianą tematu. Jego marihuanowy świat był równie przygodkowy jak rzut kośćmi.

- Spoko - odrzekł. - Idziemy po żarcie?

- Nie, po garnitur. Drogi. Najmodniejszy.

- Aha - mruknął rozczarowany Cooper. - Jest taki sklep. Nigdy tam nie byłem, ale wiem, że jest drogi. Na Nieuwezijds Voorburgwal. To nie daleko, kilka ulic stąd.

- Świetnie. Pójdiesz ze mną? Przyda mi się tłumacz. - Tłumacz tłumaczem, ale Janson chciał przede wszystkim umknąć ewentualnym obserwatorom, którzy spodziewali się zapewne, że będzie sam.

- Chętnie - odparł Cooper. - Ale kartę kredytową każdy tu zrozumie.

Gmach, w którym mieściła się Magna Plaza, wzniesiono przed stu laty. Wtedy była tu poczta, chociaż zdawało się, że te wszystkie kamienne ozdoby, łukowate sklepienia, pilastry, galerie i małe, niszowate galeryjki zupełnie do poczty nie pasują. Dopiero gdy w gmachu urządzono centrum handlowe, przeładowane ozdobami wewnątrz nabrało odpowiedniego smaku. Teraz mieściło się tu czterdzieści sklepów. W jednym z luksusowych salonów z odzieżą męską Janson przymierzył garnitur rozmiaru pięćdziesiąt trzy. Był to garnitur od Ungaro i według przywieszki kosztował odpowiednik dwóch tysięcy dolarów. Paul był regularnie zbudowany i większość ubrań pasowała na niego jak ulał. Garnitur od Ungaro też.

Natychmiast przytruchtał do nich sprzedawca o wyzełowanych, zaczesanych do góry włosach. Przytruchtał i przylgnął do Jansona jak pijawka.

- Leży idealnie, jeśli wolno mi zauważyć. - Był lizusowsko uprzejmy i na pewno zawsze krążył wokół ubrań o czterocyfrowej cenie. - Ten materiał wygląda na panu wspaniale. Bardzo elegancki garnitur. Szykowny, lecz stonowany. - Tak jak wielu Holendrów, mówił po angielsku z ledwo słyszalnym akcentem.

Janson spojrzał na Coopera. Jego oczy, nabiegłe krwią i rozkojarzone, wskazywały na to, że otumaniająca go mentalna mgła nie całkiem opadła.

- Powiedział, że ci w tym dobrze.

- Barry, kiedy ktoś mówi po angielsku, nie musisz tłumaczyć - odrzekł Janson i przeniósł wzrok na sprzedawcę. - Rozumiem, że przyjmują państwo gotówkę. Jeśli skróćcie rękawy, kupię go. Jeśli nie, poszukam czego innego.

- Mamy krawca, ale nie tutaj. Mógłbym podesłać garnitur jutro rano, przez posłańca...

- Przykro mi, ale nic z tego. - Janson odwrócił się, żeby odejść.

- Chwileczkę - zatrzymał go tamten, widząc, jak wyparowuje jego pro wizja. - Jakoś to załatwimy. Proszę dać mi dziesięć minut, porozmawiam z nim. Ma warsztat po drugiej stronie ulicy. Pójdę tam i osobiście wszystkie go dopilnuję. Bo, jak mówicie w Stanach, klient ma zawsze rację.

- Słowa miłe uchu każdego Amerykanina - powiedział Janson.
- Wiem - odrzekł ostrożnie sprzedawca. - Wszyscy o tym wiedzą.

Waszyngton

Rosły mężczyzna w garniturze zatrzymał taksówkę na rogu Osiemnastej i M, koło baru z grillem, w którego oknach mrugał neon reklamujący gazowany napój. Taksówkarz miał na głowie turban i lubił słuchać radia publicznego. Jego nowy pasażer był dobrze ubrany, choć trochę za szeroki w pasie i w biodrach. Pewnie mógł wycisnąć sto czterdzieści kilo, ale lubił też piwo i wołowinę i nie widział powodu, żeby zmieniać swoje przyzwyczajenia. Był dobry w swoim fachu i nikt na niego nie narzekał, poza tym nie robił przecież za modela.

- Do Cleveland Park - rzucił. - Macomb Street czterysta trzydzieści.

Hindus powtórzył adres, następnie zapisał go i ruszyli. Gdy dojechali na miejsce, okazało się, że numer czterysta trzydzieści to zamknięty supermarket, ciemny, opustoszały i zabity deskami.

- To na pewno tu? - spytał taksówkarz.

- Tak - odrzekł mężczyzna. - Może pan zajechać od tyłu? Mam tam coś do zabrania.

- Oczywiście. - Gdy jechali powoli wzdłuż niskiego, przeszklonego budynku, pasażerowi mocniej zabiło serce. Nie mógł tu naświnić. Każdy głupi to potrafił. Ale on umiał to zrobić czysto i porządnie.

- Świetnie - powiedział. Nachylił się do przodu, błyskawicznie zarzucił garotę na szyję kierowcy i mocno ją zacisnął. Hindus sapnął cicho i chrapliwie. Oczy wyszły mu na wierzch, język wysunął się z ust. Pasażer wiedział, że jego ofiara szybko straci przytomność, ale nie mógł na tym poprzestać. Jeszcze dziesięć sekund maksymalnego ucisku i dojdzie do trwałego bezdechu.

Po chwili schował garotę do kieszeni na piersi i wywlókł zwłoki z samochodu. Otworzył bagażnik i wcisnął je między zapasowe koło i kable do akumulatora. Dobrze, że załatwił to tak szybko. Z doświadczenia wiedział, że człowiek ginący nagłą, gwałtowną śmiercią nie kontroluje czynności fizjologicznych i ten tu mógł zabrudzić siedzenie. Nie miał ochoty tego sprawdzać, zwłaszcza teraz.

W kieszeni na piersi zamruczał elektroniczny notes. Przysyłali mu zaktualizowane namiary celu.

Zerknął na zegarek. Zostało mu mało czasu.

Ale cel miał go jeszcze mniej.

Jechał w kierunku Dupont Circle, a sączący się z maleńkiej słuchawki głos w regularnych odstępach podawał mu dokładne współrzędne celu. Jeśli miało mu się udać, koniecznie musiał zdążyć.

Tłum przed sklepem towarowym był niewielki. Cel miał na sobie granatową dwurzędową kurtkę o marynarskim kroju, złotą jedwabną chustkę luźno zawiązaną na szyi i trzymał w ręku reklamówkę z eleganckim znakiem firmowym luksusowego sklepu.

Kierowca widział jedynie ją, Murzynkę, która zaczęła rosnać mu w oczach, gdy wcisnąwszy gaz do deski, raptownie skręcił w prawo.

Gdy taksówka wjechała na chodnik, zewsząd rozległ się krzyk, który brzmiał niemal jak chorał.

I ta dziwna intymność: jej przerażona twarz, coraz większa i większa, jak twarz kochanki nachylającej się nad kochankiem. Gdy uderzył ją przednim zderzakiem -jechał z prędkością prawie osiemdziesięciu kilometrów na godzinę -jej tors roztrzaskał się o maskę i dopiero gdy samochód zahamował, jej ciało pofrunęło w powietrzu i wylądowało na środku ruchliwego skrzyżowania, gdzie z piskiem hamulców przejechała ją jakaś furgonetka.

Taksówkę znaleziono jeszcze tego samego dnia, porzuconą w zaułku w południowo-zachodnim Waszyngtonie. W zaułku tym zawsze wałały wystrzępione odłamki brązowego szkła z rozbitych butelek po piwie, zaokrąglone fragmenty szklanych fiolek po cracku i przezroczyste plastikowe strzykawki. Miejscowa młodzież potraktowała taksówkę jak kolejne znalezisko. Gdy przybyła tam policja, samochód nie miał już tablic rejestracyjnych i radia. Tylko zwłoki w bagażniku pozostały nietknięte.

Rozdział 19

Dom stał nad kanałem - takie domy nazywano tu *voorhuis* -dokładnie naprzeciwko siedziby Fundacji Wolność i nie licząc tego faktu, nie różnił się niczym od innych domów. Ratko Pavic powiódł okiem po meblach. W mieszkaniu unosił się słaby, lecz przykry kuchenny zapach -grochówka? Pewnie zdążyło się tu już trochę wywietrzyć, mimo to zapach pozostał. Ratko z odrazą skrzywił nos. Trudno, bywa. Ale nic już tu nie ugotują. Pomyślał o zwłokach w wannie na górze, o spływającej do otworu ściekowego krwi. Myśląc, nie odczuwał niczego szczególnego: starszkwowie zatrudnieni do pilnowania domu na czas wyjazdu właścicieli na Korfu po prostu mu przeszkadzali. Na pewno byli bardzo przyzwoici, ale musiał się ich pozbyć. Poza tym zrobił to dla dobra sprawy: siedząc przy małym, kwadratowym oknie zaciemnionego pokoju, miał znakomity widok na dom naprzeciwko, a dzięki dwóm parabolicznym mikrofonom mógł w miarę wyraźnie słyszeć rozmowy prowadzone w pomieszczeniach od ulicy.

Mimo to rano był bardzo nużący. Dyrektorzy i urzędnicy przyszli między ósmą trzydzieści i dziewiątą. Potem zaczęli przybywać umówieni goście: starszy urzędnik z holenderskiego ministerstwa spraw zagranicznych, holenderski wiceminister edukacji, kultury i nauki, wysoki komisarz ONZ do spraw uchodźców, ważny dyrektor z Międzynarodowego Stowarzyszenia Rozwoju, egzaltowany biurokrata z Komisji do spraw Europy. Jego ludzie też mieli znakomity widok. Jeden z nich, Simic, siedział dokładnie nad nim, na dachu, trzy piętra wyżej. Jak dotąd nie dostrzegli ani śladu Paula Jansona. Nic dziwnego. Infiltracja za dnia nie miała sensu, chociaż Janson słynał z tego, że robił rzeczy nieoczekiwane tylko dlatego, że nikt się ich nie spodziewał.

Nie dość, że się nudził, to musiał jeszcze pracować w całkowitym ukryciu, ale to mu odpowiadało, bo był naznaczony. Przez tę lśniąca, wystrzępioną bliznę - szramę, która czerwieniła, gdy wpadał w gniew -nie mógł wziąć żadnej normalnej roboty, bo łatwo by go zapamiętano. Naznaczył mnie: pomyślał tak w chwili, gdy tamten chlasnął go nożem do patroszenia ryb. Koszmarne go bolało, ale jeszcze większą karą była świadomość, że już nigdy nie będzie mógł pracować w terenie, między ludźmi. Jako snajper był oczywiście niewidzialny, podobnie jak jego zaopatrzone w tłumik karabin, w każdej chwili gotowy do użytku. W miarę upływu godzin miał jednak coraz większe wątpliwości, czy moment ten w ogóle nadejdzie.

Żeby się rozerwać, co jakiś czas patrzył przez lunetkę na drobną, rudą recepcjonistkę, na jej zadek, gdy się pochylała. Czuł, że robi mu się ciepło w brzuchu i w kroczu. Miał coś dla niej, o tak. Pamiętał Bośniaczki, które gwałcił z kolegami przed kilkoma laty. Pamiętał ich wykrzywione nienawiścią twarze, pamiętał, jak bardzo przypominały twarze wykrzywione grymasem rozkoszy. Wystarczyło tylko trochę wyobraźni. Gdy je gwałcił, najbardziej podniecało go to, że są całkowicie bezbronne. Nigdy przedtem czegoś takiego nie przeżył, z żadną kobietą. Nie miało znaczenia, że zalaływało mu z gęby, że cały śmierdział, bo nie mogły po prostu nic zrobić. Wiedziały, że muszą ulec, całkowicie i poddańczo, w przeciwnym razie kazaliby im patrzeć, jak strzelają w głowy ich rodzicom, mężom i dzieciom, by potem zabić także je same. Regulując ostrość, wyobrażał sobie, że przywiązuje rudowłosą do łóżka, wyobrażał sobie jej wywrócone oczy, jej białe, miękkie ciało ulegające naporowi twardego serbskiego ciała.

Nie potrzebował lunetki, żeby zobaczyć kawalkadę trzech czarnych mercedesów, które skręciły z Stadhouderskade, wjechały dostojnie w Leidsestraat i zatrzymały się przed siedzibą Fundacji Wolność. Umundurowany szofer obszedł długą limuzynę i otworzył tylne drzwiczki. Z samochodu wysiadł ubrany na ciemno mężczyzna w rogowych okularach i fil-

cowym kapeluszu i wysiadłszy, postąpił chwilę przy mercedesie, podziwiając majestatyczną zabudowę południowej części Prinsengracht. Potem ten w uniformie - pewnie jego człowiek do wszystkiego - wcisnął guzik dzwonka w głęboko rzeźbionych frontowych drzwiach. Kilka sekund później drzwi się otworzyły i stanęła w nich recepcjonistka.

- Madame - powiedział ten w uniformie. - Pan minister Republiki Czech, Jan Kubelik. - Głos przekazywany przez dwa mikrofony był chropowaty, lecz wyraźny.

Minister rzucił kilka słów po czesku i odprawił go gestem ręki. Szofer odszedł w stronę limuzyny.

- Wygląda na to, że nikt mnie tu nie oczekuje - powiedział minister w eleganckim, ciemnym garniturze.

Recepcjonistka wytrzeszczyła oczy.

- Ależ nie, panie ministrze. Bardzo nam miło, że zechciał pan nas odwiedzić.

Ratko uśmiechnął się do siebie, wspominając falę paniki, która ogarnęła urzędników, gdy pół godziny temu odebrali telefon z wiadomością, że nowo wybrany minister spraw zagranicznych przybędzie na spotkanie z dyrektorem wykonawczym fundacji. Kilku podenerwowanych sekretarzy i sekretarek gorączkowo porównało swoje zapiski, ponieważ nikt o tym spotkaniu nie wiedział. Nikt też nie chciał przyznać się do błędu w harmonogramie wizyt, choć było oczywiste, że ktoś ten błąd popełnił. Ratko wyregulował ostrość, obserwując skonsternowaną recepcjonistkę. „Dwa tygodnie temu na tę samą godzinę wyznaczyłaś spotkanie szwedzkiego ministra spraw zagranicznych i przedstawiciela programu rozbrojeniowego ONZ” - powiedziała, łajając tępą młodszą sekretarkę z góry. Ta zaprotestowała, mówiąc, że to nie jej wina, lecz zrobiła to z wahaniem, co postawiło kropkę nad i. Przyszła jej z pomocą inna sekretarka, twierdząc, że wina leży najpewniej po stronie czeskich urzędników, ale broń Boże nie mogli im tego powiedzieć, gdyż byłoby to ewidentnym naruszeniem protokołu dyplomatycznego.

Ratko patrzył, jak rudowłosa wprowadza ministra do eleganckiego holu. Zaczęła siadać wizja i fonia. Serb wzmocnił jasność obiektywu i przełączył mikrofony na specjalny tryb działania, zwiększając ich czułość i filtrując szumy.

- Pan dyrektor zaraz do pana zejdzie - mówiła rudowłosa recepcjonistka, gdy powrócił sygnał.

- Cieszę się - odrzekł dyplomata, zdejmując kapelusz. - Piękny dom. Czy miałyby pani coś przeciwko temu, gdybym się tu rozejrzał?

- Będziemy zaszczyceni, panie ministrze - wyrecytowała rudowłosa.

Głupi urzędnik - chciał podpatrzeć, jak się tam urządzili, żeby żona mogła ich małpować. Potem wróci do swego ponurego prezydenckiego pałacu w Pradze i opowie kumplom, w jakich to luksusach pławi się Peter Novak w swojej amsterdamskiej siedzibie.

Służąc w jugosłowiańskiej armii, na długo przed tym, gdy Jugosławia rozpadła się na niezależne republiki, Ratko był na ćwiczeniach z czeskimi żołnierzami i zawsze uważał, że Czesi mają o sobie wysokie mniemanie. On tego zdania nie podzielał.

Jego uwagę przykuł mężczyzna idący powoli przed domem. Janson? Byłby aż tak odważny? Mężczyzna, najwyraźniej turysta, oparł się o barierkę nad kanałem. I niespiesznie wyjął plan miasta.

Ratko skierował na niego lunetkę i chociaż kątem oka był za ostry, wyraźnie widział, że tamten jest bardzo szczupły i drobny, że ma krótkie włosy. Pomyłka. Janson mógł się sobie przebierać, jak chciał, ale na pewno nie dałby rady przebrać się za dwudziestokilkuletnią kobietę.

Ratko znowu poczuł, że brzuch zalewa mu fala miłego ciepła.

Janson ogarnął wzrokiem pięknie urządzone hol. W złoconych wnękach, z obsesyjną wprost dbałością o symetrię rozwieszono obrazy mistrzów holenderskiego renesansu. Komi-

nek był z misternie rzeźbionego marmuru, poprzecinanego błękitnymi żyłkami. To dla Holendrów typowe: z dala od wścibskich oczu osławiony ideał nordyckiej prostoty i umiarkowania natychmiast przestawał istnieć.

Jak dotąd nieźle, pomyślał. Cooper umył się i ogarnął, a w tym głupim uniformie zachowywał się całkiem do rzeczy, choć cały czas balansował na pograniczu parodii. Ruchy miał sztywne i oficjalne, minę służalczo-pompatyczną, krótko mówiąc, wyglądał jak oddany sługa ważnej osobistości. Janson zakładał, że żaden z urzędników jeszcze nie widział nowego ministra. Ostatecznie Czech objął stanowisko ledwie przed dwoma tygodniami. Poza tym w jego kraju nie działo się nic takiego, czym fundacja mogłaby się zainteresować.

Najlepszym przebraniem jest brak przebrania: odrobiną żelu we włosach, staromodne okulary tak modne w Europie Wschodniej, ubranie, jakie nosili dyplomaci na całym kontynencie... oraz styl bycia, na przemian przyjazny i władczy. To, że jego matka była Czeszką, też mu się przydało, głównie dla wzbogacenia angielszczyzny o przekonujący czeski akcent. A fakt, że czeski dyplomata mówi dobrze po angielsku, był w tym kraju czymś oczywistym.

Spojrzał znad okularów na rudowłosą recepcjonistkę.

- A Peter Novak? - spytał. - Jest tu?

Kobieta uśmiechnęła się marzycielsko.

- O nie, panie ministrze. Pan Novak większość czasu spędza w podróży, w samolocie, latając z miejsca na miejsce. Czasami nie widzimy go przez wiele tygodni.

Przyjeżdżając tu, Janson nie wiedział, czy fundacja będzie pogrążona w smutku czy nie. Okazało się jednak, że Agger mówił prawdę: najwyraźniej nie wiedzieli, że ich uwielbianemu przywódcy coś się przydarzyło.

- Cóż - odrzekł. - Ostatecznie ma na głowie cały świat, prawda?

- Można tak powiedzieć, panie ministrze. Ale jest tu dzisiaj jego żona, Susanna Novak. Pomaga nam prowadzić pozarządowy program rozwojowy.

Janson kiwnął głową. Bojąc się uprowadzenia, Novak trzymał rodzinę z dala od wścibskich dziennikarzy. Jego publiczny status był niezbędny i pomagał mu w pracy, dlatego godził się - choć niechętnie - na upublicznienie swej działalności. Ale on nie był hollywoodzkim gwiazdorem, a jego rodzina zwierzyłą, na którą można polować: od lat dawał to wszystkim do zrozumienia i z biegiem czasu prasa zaczęła tej zasady przestrzegać. To, że główną siedzibę miał w Amsterdamie, znacznie ułatwiało mu zadanie: drobnomieszczańska wrażliwość tego miasta była tarczą jego prywatności.

Ukryty na widoku.

- A tam? - spytał, wskazując drzwi po lewej stronie holu. - Co tam jest?

- Gabinet dyrektora - odrzekła recepcjonistka. - Gdzie na pewno by się panowie spotkali, gdyby tu był. Bardzo by na to spotkanie nalegał. - Otworzyła drzwi i wskazała obraz na przeciwległej ścianie. - Van Dyck. Niezwykły, prawda? - Był to portret siedemnastowiecznego szlachcica w palecie brązów i błękitów, matowych i przytłumionych, mimo to dziwnie jaskrawych i żywych.

Paul zapalił światło i podszedł bliżej.

- Tak, rzeczywiście - powiedział. - To jeden z moich ulubionych malarzy. Artystyczna spuścizna naszego kraju jest przebogata, ale mówiąc między nami, nie mamy w Pradze czegoś takiego jak to.

Włożył rękę do kieszeni, wymacał boczny przycisk na telefonie komórkowym i wbrewszy uprzednio zaprogramowany numer, zadzwonił do recepcji.

- Przepraszam na chwilę - powiedziała rudowłosa, słysząc dzwonek.

- Bardzo proszę. - Gdy odeszła, spojrzał na sterty starannie poukładanych dokumentów na biurku i na kredensie. Pochodziły z przeróżnych instytucji, tych powszechnie znanych i tych mniej znanych, lecz zdecydowanie przeważały wśród nich dokumenty z holenderskich ministerstw. Jego uwagę przykuł jeden z listów, nadruk na firmowej kopercie. Unitech Ltd.

Dawne, mgliste wspomnienia, jak frachtowiec znikający we mgle. Unitach Ltd. Nazwa ta coś mu mówiła, ale czy mówiła coś Paulowi Jansonowi konsultantowi do spraw bezpieczeństwa czy Paulowi Jansonowi agentowi Konsularnego Wydziału Operacyjnego? Nie był tego pewien.

- Pan minister Kubelik? - odezwał się głos jakiejś kobiety.

- Tak? - Podniósł wzrok. Uśmiechała się do niego wysoka blondynka.

- Jestem żoną Petera Novaka i chciałabym powitać pana w jego imieniu. Nasz dyrektor wykonawczy nie skończył jeszcze rozmowy z ambasadorem Holandii przy ONZ, ale niebawem do nas dołączy. - Mówiła z neutralnym amerykańskim akcentem.

I była piękna, podobna do Grace Kelly, ponętna i patrycjuszowska zarazem. Jej perłowa, wilgotna szminka, może trochę zbyt wieczorowa jak na tę porę dnia, bardzo do niej pasowała, podobnie jak zielonożółty żakiet, który podkreślał jej kształty trochę bardziej, niż to było konieczne.

Nie, to nie była kobieta w żałobie. Nie mogła nic wiedzieć. Nie wiedziała. Jak to możliwe?

Janson podszedł do niej i lekko skłonił głowę. Czy czeski dyplomata pocałowałby ją w rękę? Uznał, że wystarczy uścisk dłoni. Ale nie mógł oderwać od niej wzroku. Było w niej coś znajomego. I nie dawało mu to spokoju. Te morskie, niebieskozielone oczy, te długie, eleganckie palce...

Widział ją ostatnio? Wyteżył pamięć. Ale gdzie? W Grecji? W Anglii? Może tylko mignęła mu przed oczami, a on podświadomie ją zapamiętał? Obłąd.

- Jest pani Amerykanką?

Wzruszyła ramionami.

- Pochodzę z wielu miejsc - odrzekła. - Podobnie jak Peter.

- A jak się miewa nasz wielki człowiek? - rzucił na rybkę.

- Jak zwykle - odparła. - Dziękuję, że pan pyta, panie doktorze. - Patrzyła na niego figlarnie, mógłby przysiąc, że niemal zalotnie. Pewnie nauczono ją, że tak należy rozmawiać z zagranicznymi dostojnikami.

Kiwnął głową.

- Czesi mawiają, że lepszy jest zastój niż zmiana na gorsze. Myślę, że powiedzenie to zawiera dozę zdrowego, chłopskiego realizmu.

- Proszę - powiedziała. - Zaprowadzę pana do sali konferencyjnej.

Pierwsze piętro urządzono skromniej, bardziej intymnie. Pomieszczenia miały trzy, zamiast czterech i pół metra wysokości, ozdoby były bardziej ascetyczne. Okna sali konferencyjnej wychodziły na kanał i wpadające przez nie promienie słońca rysowały złote równoległoboki na długim stole z drewna tekowego. Gdy weszli, powitał go mężczyzna średniego wzrostu o starannie uczesanych siwych włosach.

- Doktor Tilsen. Nazywają mnie tu dyrektorem wykonawczym do spraw europejskich. Zwodniczy tytuł, prawda? - Roześmiał się oschłym, wystudiowanym śmiechem. - Do spraw programu europejskiego, tak byłoby lepiej.

- Zostawiam pana pod opieką naszego dyrektora - powiedziała Susanna Novak. - Będzie pan z nim bezpieczny. O wiele bezpieczniejszy niż ze mną - dodała i nie czekając, aż zinterpretuje te słowa, wyszła.

Janson usiadł naprzeciwko bladoliczego Tilsena. Chryste, o czym miał z nim rozmawiać?

- Przypuszczam, że domyśla się pan, dlaczego chciałem się z państwem spotkać - zaczął.

- Tak, chyba tak - odrzekł Tilsen. - Czechy od wielu lat popierają nasze programy, jedne bardziej, inne mniej. Nasza działalność nie zawsze jest na rękę rządowi tego czy innego kraju, doskonale to rozumiemy.

- Właśnie. Właśnie... Widzi pan, zastanawiam się, czy moi poprzednicy nie byli zbyt pochopni w swoich osądach. Niewykluczone, że moglibyśmy nawiązać bardziej harmonijną współpracę.

- Byłoby nam bardzo miło - odrzekł Tilsen.

- Gdyby zechciał mi pan przedstawić *tour d'horizon* waszego czeskiego programu, dostałbym do ręki argumenty, które skuteczniej pozwoliłyby mi przekonać moich kolegów i współpracowników. Tak naprawdę przyjechałem tu, żeby je zdobyć.

- W takim razie służę, panie ministrze, postaram się je panu przedstawić. - Tilsen uśmiechnął się niepewnie. Mówienie było jego profesją) przez następne pół godziny robił, co mógł, żeby zapoznać Jansona z inicjatywami, programami i projektami fundacji. Już po kilku minutach słowa zlały się w coś w rodzaju werbalnej kurtyny, utkanej z mglistych sloganów, tak lubianych przez zawodowych idealistów. „Organizacje pozarządowe... ożywienie działalności instytucjonalnej w demokracji sterowanej... intensywne promowanie wartości, instytucji oraz działalności otwartego, demokratycznego społeczeństwa". Jego sprawozdanie było dokładne i szczegółowe i wkrótce Janson poczuł, że zaczyna odpływać myślami w dal. Od czasu do czasu potakiwał mu ze sztucznym, spiętym uśmiechem, myśląc zupełnie o czym innym. Czy żona Novaka należała do spiskowców? Czy to ona wyreżyserowała śmierć męża? Pozornie nieprawdopodobne, ale w takim razie jak wytłumaczyć jej zachowanie?

A doktor Tilsen? Robił wrażenie poważnego, pozbawionego wyobraźni, życzliwego i zadufanego w sobie. Czy taki człowiek mógłby maczać palce w nikczemnym spisku mającym na celu zgładzenie najważniejszego orędownika postępu na tym słabym, kruchym świecie? Patrzył na niego. Widział jego uśmiech, jego małe, starte, brązowe od kawy zęby, jego zadowoloną z siebie minę, widział, jak kiwa głową, aprobując swoje własne słowa. Czy miał przed sobą wcielenie zła? Trudno w to było uwierzyć.

Ktoś zapukał do drzwi. Rudowłosa recepcjonistka z dołu.

- Bardzo przepraszam, panie doktorze. Telefon z gabinetu premiera.

- Zechce mi pan wybaczyć, panie ministrze. - Tilsen wstał.

- Ależ oczywiście.

Janson uważnie przyjrzał się skąpemu umeblowaniu sali, po czym podszedł do okna wychodzącego na ruchliwy kanał.

I raptem... Przeszedł go zimny dreszcz, jakby ktoś przesunął mu po plecach ostrym kawałkiem lodu.

Ale dlaczego? Co go tak poruszyło? Coś, co dostrzegł podświadomie, kątem oka, jakaś anomalia, na którą zareagował zanim zdążył ją racjonalnie przeanalizować.

Anomalia, ale jaka?

O Chryste. Za dzwonołatym szczytem domu naprzeciwko dostrzegł cień człowieka kucającego na ciasno zachodzących na siebie dachówkach. Częsty błąd: słońce zmieniło położenie i cień ukazał się tam, gdzie przedtem go nie było, zdradzając ukrytego obserwatora - albo snajpera. A więc? Obserwatora czy snajpera? Tego nie wiedział. Odblask słońca igrający w obiektywie lornetki, a może lunetki, nie stanowił konkretnego dowodu.

Zlustrował wzrokiem okap i okna strychu. Tam. Mały fragment brudnej szyby dużego, podwójnego okna. Ktoś go wyczyścił, żeby lepiej widzieć.

I belka wyciągu dokładnie naprzeciwko: coś z nią było nie tak. Chwilę później zrozumiał, dlaczego. To nie była belka - to była lufa karabinu.

A może to tylko gra jego mocno pobudzonej wyobraźni? Może to wyobraźnia ożywiła mroczne strachy, jak wyobraźnia dzieci, które patrząc na gałęzie drzewa, widzą szpony potwora? Siniak na skroni wciąż boleśnie pulsował. Czyżby bał się duchów?

Nagle jedna z małych, kwadratowych szyb rozprysła się na kawałki i dobiegł go suchy trzask pękającego drewna. Kula. Utkwiła w parkiecie. Ułamek sekundy później kolejny brzęk,

zaraz potem jeszcze jeden. W powietrzu fruwały odłamki szkła, zaścielając konferencyjny stół.

W tynku na przeciwległej ścianie pojawiły się wystrzępione Szpary. Rozprysła się kolejna szyba, kolejna kula utkwiała w ścianie tuż nad jego głową. Janson upadł na podłogę i potoczył się w stronę drzwi.

Kule bez wystrzałów, a więc tłumiki. Powinien już do tego przywyknąć.

I raptem głośny huk gdzieś z dołu, dziwnie kontrastujący z bezgłośnymi wystrzałami, które padały dotychczas. I jeszcze coś: przenikliwy pisk opon, trzask otwieranych i zamykanych drzwiczek.

Z głębi domu dobiegł paniczny krzyk.

Obłąd. Czysty obłąd.

Wybuchła strzelanina. Kule ze świstem przecinały powietrze, tłukąc szyby, przelatując przez te już wybite. Wbijały się w ściany, sufit i podłogę. Odbijały się z brzękiem od mosiężnych żyrandoli, rykoszetując na wszystkie strony.

Głowa rozbolała go tak bardzo, że z trudem mógł skupić wzrok.

Myśleć! Musiał myśleć! Coś się zmieniło. Tylko co? Ktoś strzelał, strzelał z broni wyposażonej w tłumik i z broni bez tłumika. To znaczy, że...

Że atakują dwie grupy. Dwie nieskoordynowane grupy.

Susanna Novak. To ona dała im znać. Tak, teraz był już tego pewien. Cały czas go podpuszczała, cały czas grała, stąd te zalotne spojrzenia. Susanna Novak była w zмовie z „tamtymi”.

Bezpieczne schronienie zapewniały jedynie pomieszczenia w głębi domu, ale tamci wiedzieli, że on wie, dlatego pomieszczenia te były teraz najniebezpieczniejszymi z możliwych.

Zadzwoił do Coopera.

Barry był zdenerwowany. To dziwne, bo rzadko kiedy puszczały mu nerwy.

- Jezu, Paul! Co się tu, do diabła, dzieje? Druga bitwa o Midway, czy co?

- Możesz ich namierzyć?

- Znaczą się, zobaczyć? Widzę ich, kiedy wystawiają głowy. Dwóch w wojskowych panterkach. Wyglądają paskudnie. *Make love, not war!* Paul, oni o tym jeszcze nie słyszeli.

- Posłuchaj. Mercedes, który wynajęliśmy, ma kuloodporne szyby. Wskakuj do środka, tam będzie najbezpieczniej. Ale kiedy dam ci znać, bierz dupę w garść, i chodu, jasne?

Janson dopadł drzwi i zbiegł schodami na parter. Gdy był na półpiętrze, zobaczył strażnika, który z dobytą bronią podchodził do okna. Nagle pistolet zaklekotał na podłodze.

Strażnik rozdziawił usta, a nad jego lewym okiem pojawiła się okrągła czerwona plamka. Z plamki trysnęła krew, zalewając nieruchomą powiekę i oko. Przez cały ten czas strażnik stał wyprostowany, jakby zmienił się w posąg. Wreszcie powoli, jak w danse macabre, ugięły się pod nim nogi i runął na starożytny chiński dywan. Paul podbiegł do niego i chwycił pistolet.

- Panie ministrze! - krzyknęła rudowłosa recepcjonistka. - Kazano nam przejść do tylnego aneksu. Nie wiem, co się dzieje, ale... - Urwała. Widok wysokiego dostojnika państwowego, który toczył się po podłodze z glockiem w ręku, musiał ją mocno zaskoczyć.

Paul przetoczył się przez hol i oparł o frontowe drzwi. Mógł się tam doczołgać, ale tak było szybciej, a szybkość odgrywała teraz decydującą rolę.

- Proszę mi rzucić kapelusz.

- Co?

- Kapelusz! - wrzasnął. - Rzuć mi kapelusz! - I łagodniej dodał: - Jest metr od pani, po lewej stronie. Proszę mi go rzucić.

Przerażona recepcjonistka posłuchała go, jak słucha się niebezpiecznego szaleńca, i natychmiast uciekła na tyły domu.

Mały, czysty fragment szyby podwójnego okna na górze: tam czał się snajper.

Paul musiał wykorzystać drzwi jako ruchomą tarczę. Szybko wstał, przekręcił klamkę i lekko je uchylił.

Głuchy stukot, jeden i drugi: kule utknęły w grubym drewnie. Kule, które przeszłyby jego, gdyby wyszedł na ulicę.

Szpara w drzwiach miała czterdzieści pięć centymetrów szerokości, ale dla dobrego strzelca to powinno wystarczyć. Mały, lśniący czystością fragment szyby - przy odrobinie szczęścia mógłby trafić stamtąd ze zwykłego pistoletu.

Tamci mieli lunetki, on miał tylko glocka. Ale żadna lunetka nie jest doskonała, bo im większe zbliżenie, tym mniejsze pole widzenia, a gdy cel gwałtownie zmienia położenie, ponowna regulacja i dostrojenie przyrządów trwa dziesięć, czasem nawet dwadzieścia sekund.

Podczołgał się do strażnika leżącego na ciemniejącym od krwi bladoniebieskim dywanie i zawlókł go do holu, wiedząc, że za grubą na metr dwadzieścia ścianą pod oknem jest całkowicie bezpieczny. Wyjął chustkę do nosa i pośpiesznie starł krew z twarzy martwego mężczyzny. Zdjął marynarkę, narzucił mu ją na ramiona i włożył mu na głowę filcowy kapełusz. Chwycił go mocno za opadające na kark włosy i szybkim pchnięciem wysunął jego głowę zza uchylonych drzwi, naśladując ruchy człowieka, który ostrożnie wyciąga szyję, żeby lepiej widzieć.

Wiedział, że tamci zobaczą go tylko z profilu, w dodatku z daleka.

Dwa obrzydliwe młaśnięcia potwierdziły jego najgorsze przypuszczenia. W głowie strażnika utkwiły dwa ciężkie pociski wystrzelone z dwóch różnych kierunków.

Snajperzy musieli teraz przeładować broń. Janson błyskawicznie wstał. Wiedział, że lunetki są wciąż wycelowane w miejsce, gdzie ukazała się głowa strażnika, podczas gdy jego głowa znajdowała się teraz znacznie wyżej. Musiał namierzyć snajpera i w tej samej sekundzie oddać strzał.

Czas płynął teraz jak gęsty syrop.

Wyrzwał, odnalazł wzrokiem mały, błyszczący fragment szyby i trzykrotnie pociągnął za spust. Przy odrobinie szczęścia mógł chociaż zniszczyć tamtemu sprzęt. Glock szarpnął mu się w dłoni, bluzgając ogniem i Paul szybko wrócił za drzwi. Zza roztrzaskanego okna dobiegło go kilka zdławionych przekleństw. A jednak trafił, w kogoś lub w coś.

Jeden z głowy. Ale ilu jeszcze pozostało? Przyjrzał się ranom na czole i policzku strażnika. Jeden strzał musiał paść z góry, najwyraźniej z domu naprzeciwko, ponieważ pocisk miał bardzo stromą trajektorię. Drugi z ostrego kąta, co wskazywało, że snajper strzelał z boku, z prawej strony.

Mógłby kazać Cooperowi zajechać pod drzwi limuzyną, ale nie chciał ryzykować. Musiałby zrobić krok, dwa kroki od progu do drzwiczek i to by wystarczyło. Co najmniej jeden z nich cały czas trzymał to miejsce na muszce.

Dźwignął strażnika i przeszedł z nim przez hol, czekając na reakcję tamtych.

Huk wystrzału, brzęk szkła, a zaraz potem kilka wytłumionych pufnięć, cichych, lecz śmiertelnie niebezpiecznych. Ilu ich było? Ilu celowało w dom? Ilu snajperów czekało na czysty strzał? Co najmniej pięciu, ale mogło być ich znacznie więcej.

Boże święty. Otwarty atak na siedzibę fundacji Petera Novaka. Czy to on go sprowokował? Niewiarygodne. Ale teraz nic już nie było wiarygodne.

Był pewien tylko jednego, tego, że musi się stąd wydostać i że nie może wyjść drzwiami. Wbiegł na schody, węższe, bardziej strome. Drugie piętro, zamknięte drzwi. Czas. Ile zostało mu czasu? Musiał tam zajrzeć, musiał ten czas wyprzedzić. Klamka - ani drgnęła. Jedno kopnięcie i był w środku.

Biurko. Kredens zawalony przesyłkami super bezpiecznej, superszybkiej i super drogiej firmy kurierskiej Caslon Couriers. Obok kredensu czarna, metalowa szafka na akta. Też zamknięta, ale łatwa do sforsowania. W środku raporty i sprawozdania: organizacje pozarządo-

we, biblioteki na Słowenii i w Rumunii i... listy z Unitech Ltd. Skądś tę nazwę znał, ale nie miał teraz czasu na myślenie. Jego jedynym celem było przetrwanie i musiał skupić się tylko na tym. Minęło trzydzieści sekund, pół minuty: chwilę później pędził już schodami na górę. Kolejne dwa piętra, prymitywna drewniana drabina, strych. Strych niski i ciasny, ale musiało tam być jakieś wyjście, okno na dach po drugiej stronie. To była jego jedyna szansa. Sześćdziesiąt sekund później znalazł je i wyszedł na dach. Był bardziej stromy, niż się spodziewał, więc przywarł do komina jak do pnia wielkiego, bezpiecznego drzewa w dżungli. Powiół wzrokiem po dachach sąsiednich domów, wypatrując snajperów.

Dzięki temu, że dotarł tak wysoko, znalazł się poza zasięgiem ognia tych, którzy zajmowali stałą pozycję.

Ale nie, niezupełnie.

Na nieco wyższym dachu, na skos po prawej stronie, dostrzegł śmiertelnie niebezpieczną brunetkę z londyńskiego Regent's Park. Tam strzelała do niego z olbrzymiej odległości i spudłowała. Teraz była ledwie trzydzieści metrów dalej. Nie mogła spudłować. Nie spudłowała, strzelając do upiornej kukły, którą zrobił z martwego strażnika, bo wiedział już, że to ona strzelała.

Odwrócił głowę i ku swemu przerażeniu zobaczył, że na dachu po lewej stronie, dziesięć metrów dalej czyha drugi snajper.

Musiał usłyszeć chrzęst dachówek i właśnie do niego mierzył.

Widząc to, brunetka uniosła karabin. Janson poczuł, że dłużej nie wytrzyma. Ból rozsadzał mu głowę.

Utknął w pułapce między dwoma strzelcami wyborowymi i miał do obrony tylko pistolet. Widział, jak kobieta przytyka lunetkę do oka, widział czarny otwór lufy. Patrzył na swoją śmierć.

Bo brunetka nie mogła, po prostu nie mogła chybić.

Rozdział 20

Zmusił się do spojrzenia w jej stronę. Postanowił, że umrze, patrząc śmierci w oczy. Spojrzał i zobaczył, że skonsternowana dziewczyna przesuwając karabin o kilka stopni w lewo i pociągając za spust.

Snajper wygiął się w łuk i stoczył z dachu.

Co się tu, do diabła, dzieje?

Gdzieś w pobliżu natychmiast zaszczekały pistolety maszynowe. Ale tamci celowali nie w niego, tylko w nią! Kawałek ozdobnego gzymsu, za którym się kryła, eksplodował w chmurze wapiennego pyłu.

Czy ktoś chciał go uratować, ocalić go przed zabójczynią z Regent's Park?

Spróbował rozwiązać tę skomplikowaną zagadkę. Atakowały dwie grupy. Jedna, wyposażona w amerykański sprzęt, to na pewno grupa z Konsularnego Wydziału Operacyjnego. A druga? Byli uzbrojeni niestandardowo, w różnorodną broń. Najemnicy. Sądząc po ubraniu i po sprzęcie, z Europy Wschodniej.

Ale kto ich zaangażował?

Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. Jeśli tak, miał tu gdzieś przyjaciół. Tylko czy aby na pewno?

Zza parapetu wychynął mężczyzna z rosyjskim AKS-74, próbując ustawić się pod lepszym kątem i zdjąć z dachu brunetkę.

- Hej! - krzyknął Janson.

Mężczyzna - był na tyle blisko, że Paul widział jego grupę ciosane rysy, wąsko osadzone oczy i jednodniowy zarost - uśmiechnął się i odwrócił w jego stronę... prując z kałasznikowa.

Gdy pierwsze pociski rozorały dach, Janson stoczył się w dół. Zaświstały odłamki kamienia, kule uderzyły w miejsce, gdzie przed chwilą stał. Otarł sobie czoło, poharatał dłoń, lecz w końcu grzmotnął w balustradę. Uderzenie było potwornie silne, ścinające z nóg, lecz alternatywa była jeszcze gorsza: upadek z wysokiego dachu na chodnik.

Usłyszał czyjś krzyk. Jego oszołomiony uderzeniem mózg z trudem próbował przetworzyć odgłosy, które rozbrzmiewały, odbijały się echem i cichły.

Co się stało? Brunetka miała go na muszce. Miała go jak na widelcu.

Dlaczego nie zastrzeliła?

A tamci, ci drudzy - kim byli? Angus Fielding wspominał o wrogach, których Novak narobił sobie wśród skorumpowanych oligarchów w Europie Wschodniej. Nasłali na niego swoją prywatną bojówkę? Wszystko zdawało się na to wskazywać.

Był ich celem. Ale celem ich była również grupa snajperów z Konsularnego Wydziału Operacyjnego. Jak to możliwe?

Nie, nie miał czasu na myślenie. Wetknął lufę między ozdobne balasy i oddał dwa strzały. Mężczyzna z AKS-74 zatoczył się do tyłu, charcząc i gulgocząc; jedna z kul przebiła mu gardło, z którego trysnęła fontanna jasnoczerwonej krwi. Runął na dach, on i pistolet maszynowy na nylonowym pasie.

Pistolet ten mógł być jego ratunkiem - pod warunkiem, że zdoła do niego dotrzeć.

Stanął na balustradzie i przeskoczył na dach sąsiedniego domu. Miał teraz cel: AKS-74, prymitywną, lecz potężną broń. Wylądował źle i poczuł się tak, jakby ktoś podłączył kable do jego lewej kostki o poraził ją prądem. Tuż nad głową świsnęła kula, więc rozpląszczył się na dachu kilkadziesiąt centymetrów od mężczyzny, którego zastrzelił. Wyczuł aż nadto znajomy

zapach krwi. Wyciągnął przed siebie ręce, przeciął scyzorykiem pas, wyszarpnął tamtemu broń i nie zmieniając pozycji, rozejrzał się wokoło, żeby ocenić sytuację.

Wiedział, że geometria dachów jest złudna. Szczyt łączył się ze szczytem niby pod kątem prostym, lecz z bliska okazywało się, że to tylko pozory. Parapety, które robiły wrażenie równoległych, nie były równoległe. Okapy, które robiły wrażenie równych, nie były równe. Gzysy i balustrady, przez stulecia dobudowywane i przebudowywane, podnosiły się, opadały i przesuwaly w sposób nieuchwytny dla ludzkiego oka. Oko ma tendencję do wychwytywania regularności, jest pod tym względem bardzo ekonomiczne. Ale dla pocisku, dla jego trajektorii, nawet minimalna nieregularność sprawiała gigantyczną różnicę. Żaden kąt nie był taki, na jaki wyglądał. Intuicję musiały zastąpić twarde fakty, lornetka albo luneta.

Obmacał martwego mężczyznę i znalazł mały przyrząd z dwoma zamontowanymi pod kątem lusterkami, przytwierdzonymi do teleskopowanego trzpienia, przypominającego wysuwana antenę radiową. Było to standardowe wyposażenie komandosów biorących udział w walkach ulicznych. Starannie ustawił lusterka i rozciągnął trzpień. Wysunawszy górne lusterko nad gzys, mógł bezpiecznie rozejrzeć się po okolicy.

Broń, która spoczywała w zgięciu jego łokcia, nie była bronią precyzyjną - była węzem strażackim, nie laserem.

Nie zobaczył niczego zachęcającego. Brunetka wciąż stała na dachu i chociaż teraz chroniła go płatanina gzysów, szczytów i ozdobnych frontonów, zauważyłaby każdy ruch, dlatego nie mógł zmienić pozycji.

W komin uderzyła kula, odłupując kawał kilkusetletniej cegły. Paul obrócił peryskop, żeby sprawdzić, kto strzelał. Na sąsiednim dachu, z wycelowanym karabinem wyborowym M40 przy ramieniu, stał jego dawny kolega z wydziału. Dobrze pamiętał ten szeroki nos i małe, rozbiegane oczka: specjalista ze starej, dobrej szkoły, snajper Stephen Holmes.

Janson ostrożnie popęzł przed siebie i nie wystawiając głowy zza wystającego ceglano-gzysu, wślizgnął się do biegnącego tuż pod dachem zagłębienia. Następny ruch musiał być wykonany szybko i precyzyjnie, w przeciwnym razie groziła mu śmierć. Nie podnosząc głowy, wysunął lufę pistoletu maszynowego nad linię dachu. Polegał tylko na pamięci, na ulotnym obrazie z peryskopu: usztywnił ręce i pociągnął za spust. Celował w długą lufę snajperki i trafił, bo odpowiedział mu metaliczny klekot kul uderzający w twardą kompozytowa okładzinę.

Szybko wystawił głowę nad gzys i posłał drugą serię, tym razem starannie mierzoną. Trafił w zielono-czarną kolbę karabinu. Pociski rozorały ją i rozłupały.

Holmes był teraz zupełnie bezbronny i gdy spotkali się wzrokiem, w jego spojrzeniu była rezygnacja, niemal znużenie człowieka, który wie, że zaraz umrze.

Janson z niesmakiem pokręcił głową. Holmes nie był jego wrogiem, chociaż myślał, że nim jest. Paul rozejrzał się jeszcze raz i spoglądając przez otwór w ozdobnym, półokrągłym frontonie, dostrzegł brunetkę na sąsiednim dachu. Zdejmie go jednym ze swoich precyzyjnych podwójnych strzałów? Widziała, co się stało, wiedziała, że jej kolega wypadł z gry, że będzie musiała pokryć teraz znacznie większy teren. Zaczeka, aż Janson wyjdzie zza szczytu? Otwór we frontonie był za wąski i za głęboki na udany strzał po przekątnej. Tak więc zaczeka. Czas jest najlepszym przyjacielem snajpera - i jego śmiertelnym wrogiem.

Paul zmrużył oczy. Dziewczyna nie stała już w pozycji strzeleckiej: oderwała kolbę od policzka i niepewnie spoglądała na swego kolegę. Chwilę później Janson dostrzegł jakiś ruch tuż za nią: z gwałtownie otwartych drzwi strychu wypadł na dach olbrzym, prawdziwy wielkolud. Wypadł i uderzył ją w głowę czymś, co wyglądało jak kolba karabinu czy strzelby. Nieprzytomna brunetka osunęła się bezwładnie na gzys. Wielkolud chwycił jej karabin i błyskawicznie oddał jeden, dwa, trzy strzały w prawą stronę. Zdławiony krzyk powiedział Paulowi, że przynajmniej jedna kula dosięgła celu.

Zaryzykował szybkie spojrzenie i to, co zobaczył, przyprawiło go o mdłości. Wielkolud strzelał pozornie na oślep, lecz strzały były celne. Ciężkie pociski urwały Holmesowi dolną szczękę. Ze straszliwie okaleczonej twarzy buchała krew. Z jego gardła dobył się ostatni oddech, ni to kaszel, ni to zduszony krzyk. Po chwili Holmes upadł i stoczył się ze stromego dachu, uderzając w kamienną balustradę na dole. Zza ozdobnych balasów spoglądały na Paula jego martwe brązowe oczy.

Janson wiedział tylko tyle, że wielkolud nie zamierza mu pomagać. Posłał w jego stronę krótką serię - wiedział, że zmusi go tym chociaż do przykucnięcia - i przytrzymując się kamiennych ozdób, szybko zszedł na dół, poza zasięg strzału. Najciszej, jak tylko umiał, zeskończył na chodnik cienistego zaułka, przywarł za dwoma metalowymi kubłami na śmieci i cierpliwie czekał.

Wielkolud był szybki i, jak na swoją tuszę, zadziwiająco zwinny. Wypadł na ulicę frontowymi drzwiami, niosąc nieprzytomną brunetkę jak worek zboża. Miał małe, świńskie, lecz czujne oczka i szkaradną, pomarszczoną bliznę na policzku, koszmarną pamiątkę po burzliwej przeszłości.

Podbiegł do niego drugi, podobnie ubrany mężczyzna i zamienili ze sobą kilka słów. Janson nie znał tego języka, ale... Wyteńczywszy słuch, sporo usłyszał. Tamci rozmawiali w języku słowiańskim, po serbsko-chorwacku. Serbsko-chorwacki jest podobny do czeskiego i skupiwszy się, Paul był w stanie wyłowić z rozmowy kilka szczegółów.

Podjechał do nich mały sedan z potężnym silnikiem i obydwaj mężczyźni rzuciwszy kilka szczekliwych rozkazów, wskoczyli na tylne siedzenie. W oddali zawyły policyjne syreny.

Uciekali, bo nadjeżdżała policja. Pozostali również ubrani na brązowo zabójcy wsiedli do wozu terenowego i też odjechali.

Poobijany i zakrwawiony Janson wyszedł chwiejnie na ulicę. Barry Cooper wciąż siedział w opancerzonym mercedesie. Miał wytrzeszczone oczy, był spocony i wstrząśnięty.

- Musisz do szpitala - powiedział.

Janson milczał. Mocno zacisnął powieki i skupiwszy się, jeszcze raz przeanalizował to, co przed chwilą usłyszał. *Korte Prinsengracht... Centraal Station... Westerdok... Oosterdok...*

- Jedź na Centraal Station - rzucił.

- Będziemy mieli na ogonie połowę amsterdamskiej policji. - Zaczęło mżyć i Cooper włączył wycieraczki.

- Jedź. Gaz do dechy.

Barry kiwnął głową i, piszcząc oponami po mokrym asfalcie, ruszyli na północ. Gdy dojechali do mostu nad Brouwersgracht, okazało się, że policja ich nie ściga. Ale czy nie ścigał ich nikt inny?

- Serbowie - wymruczał Paul. - Dzisiaj to głównie najemnicy. Ale czyi?

- Serbscy najemnicy? Wytrącasz mnie z równowagi, stary. Udam, że tego nie słyszałem.

Westerdok, gdzie jest mnóstwo starych, opustoszałych magazynów, i Korte Prinsengracht są oddzielone sztuczną wyspą, na której zbudowano Centraal Station. Ale wielkolud i jego kumple bynajmniej tam nie jechali. Jechali do warsztatów na południe od dworca, budynków dobrze ukrytych przed wzrokiem postronnego obserwatora. Nocą zbierali się tam narkomani, żeby dać sobie w żyłę. Za dnia prawie nikogo tam nie było. Janson drgnął.

- Prosto! - krzyknął. - Jedź prosto!

- Mówiłeś, że na Centraal Station...

- Po prawej stronie są warsztaty, pięćset metrów stąd. Naprzeciwko nabrzeża Oosterdok. Szybciej.

Limuzyna śmignęła obok parkingu przed dworcem i wpadli na dziurawą nawierzchnię ruchliwego przed laty nabrzeża. Port handlowy przeniósł się do północnego Amsterdamu, a tu pozostały jedynie widmowe budynki z cegły, betonu i zardzewiałej stali.

Wyrosło przed nimi wysokie ogrodzenie. Cooper zatrzymał samochód i Janson wysiadł. Ogrodzenie było stare, przeżarte rdzą. Ale klamka, wystająca z dużej metalowej płyty osadzonej w bramie, błyszczała nowością.

Z oddali dobiegł go czyjś krzyk.

Gorączkowo poszperał w kieszeni, wyjął mały klucz i wziął się do roboty. Wsunął klucz do dziurki, po czym nagłym, lecz płynnym ruchem pchnął go w dół, jednocześnie przekręcając w prawo. Szybkość była tu najważniejsza: musiał przekręcić klucz, zanim zaskoczy górny trzpień.

Czubkami palców wyczuwał, że trzpień wyszedł poza wewnętrzną krawędź zamka, że przekręcając klucz w prawo, wykorzystał ten jeden, jedyny moment, w którym bolce zeszyły z osi. Brama była otwarta.

Dał Cooperowi znak i kazał mu zaparkować sto metrów dalej, za rdzewiejącym w zapomnieniu wagonem kolejowym.

Tymczasem on podbiegł do ściany wielkiego, metalowego baraku, przywarł do niej plecami i powoli ruszył w stronę, skąd doszedł go krzyk.

W końcu zajrzał do środka, a to, co zobaczył w słabym, rozmytym świetle, przyprawiło go o mdłości.

Snajperka z Konsularnego Wydziału Operacyjnego, w strzępach brutalnie porozrywanego ubrania, była przywiązana grubym sznurem do betonowego słupa.

- Starzejesz się, kutasie - warknęła z mieszaniną niechęci i strachu.

Stał przed nią wielkolud ze szklistą, ohydnie pomarszczoną blizną na policzku. Chlasnął ją ręką w twarz i dziewczyna uderzyła głową w słup. Serb wyjął nóż i kilkoma cięciami pozbawił ją bielizny.

- Nie dotykaj mnie, skurwysynu! - krzyknęła.

- Bo co? Co mi zrobisz? - spytał chrapliwym, gardłowym głosem.

Roześmiał się i rozpiął pas.

- Na twoim miejscu bym go nie denerwował- powiedział jego towarzysz; w rękę trzymał długi nóż, którego ostrze lśniło nawet w półmroku. - Woli żywe, ale nie jest za bardzo wybredny.

Przeraźliwy krzyk dziewczyny ściał Jansonowi krew w żyłach. Krzyczała tak ze zwierzęcego strachu? Podejrzewał, że nie tylko: mimo beznadziejności położenia, wciąż miała nadzieję, że ktoś ją usłyszy.

Ale wiatr pomieszany z odległym hurkotem portowych barek zagłuszał wszystkie dźwięki.

W mroku połyskiwał samochód, którym tu przyjechali. Cichutko tykał stygnący silnik.

Serb uderzył dziewczynę ponownie, i jeszcze raz, i jeszcze. Bił ją w twarz powoli i rytmicznie. Nie, on jej nie przesłuchiwał. Przerażony Janson zdał sobie sprawę, że jest to część seksualnego rytuału. Serb spuścił spodnie i w półmroku zarysował się jego sterczący członek: ten potwór chciał najpierw upodlić dziewczynę, a potem ją zabić.

Paul zamarł, słysząc cichy głos z tyłu:

- Rzuć broń. - Mężczyzna. Mówił po angielsku z silnym słowiańskim akcentem.

Janson odwrócił się na pięcie i stanął oko w oko ze szczupłym Serbem w okularach w złotej oprawce na orlim nosie. W starannie wyprasowanych brązowych spodniach i białej koszuli. Jednym płynnym ruchem przytknął mu lufę pistoletu do czoła.

Pułapka. To była pułapka!

- Rzuć to - powtórzył.

Paul upuścił pistolet. Stały, pewny nacisk lufy na czoło wykluczał jakiegokolwiek negocjacje. Powietrze przeszył kolejny krzyk, tym razem krzyk śmiertelnego przerażenia lub graniczącego z wściekłością gniewu.

Mężczyzna w złotych okularach wykrzywił usta w lekkim uśmiechu.

- Amerykańska suka śpiewa - powiedział. - Ratko gwałci je, a potem zabija, tak lubi. Ale boję się, że ciebie czeka coś o wiele mniej przyjemnego. Sam zobaczysz. Ratko zaraz skończy. Z nią też. I z tobą, jeśli będziesz miał trochę szczęścia.

- Ale dlaczego? Na miłość boską, dlaczego? - spytał Janson cichym, zrozpaczonym głosem.

- Typowo amerykańskie pytanie - odrzekł Serb. Był bardziej wyrobiony niż jego kumpel wielkolud, lecz równie beznamiętny. Najprawdopodobniej dowodził całą operacją. - Ale to my będziemy zadawać pytania. I jeśli nie odpowiesz na nie wyczerpująco, umrzesz niewymownie bolesną śmiercią, a twoje ciało zniknie w wodach Oosterdock.

- A jeśli zrobię co każecie?

- Umrzesz szybko i bezboleśnie. Och, przepraszam. Czyżbyś spodziewał się innej odpowiedzi? - Serb pogardliwie wykrzywił usta. - Wy, amerykanie, zawsze chcecie czegoś, czego nie ma, prawda? Jesteście wybredni i nienasyceń. Rzecz w tym, że nie jestem Amerykaninem. Dlatego daję ci wybór: śmierć powolna i bolesna lub szybka i bezbolesna. - Jego ciche, spokojne słowa mroziły jak lodowaty wiatr.

Brunetka ponownie zaniósł się przeraźliwym krzykiem i na twarzy Jansona zagościł wyraz przerażenia.

- Proszę - wyszlochał. - Zrobię wszystko... - Sięgnąwszy w głąb siebie, zatrząsł się ze strachu.

Mężczyzna w złotych okularach uśmiechnął się z sadystycznym zadowoleniem.

W tym samym momencie pod Paulem ugięły się nogi. Sztywno wyprostowany, lekko przykucnął, a jego prawa ręka wystrzeliła do przodu i chwyciła tamtego za nadgarstek.

Serb przestał się uśmiechać: Janson pociągnął go za ramię w dół i założywszy potężną dźwignię, gwałtownie wykręcił mu rękę, zginając ją jednocześnie pod kątem prostym. Musiał naderwać mu ścięgna, bo Serb ryknął z bólu, lecz Paul jeszcze nie skończył: zrobił długi krok do tyłu, powalił go na ziemię i jednym silnym szarpnięciem wyrwał mu ramię ze stawu. Serb ryknął jeszcze głośniejszym, z potwornego bólu i niedowierzania. Janson runął na niego całym ciężarem ciała i wbił mu kolano w żebra. Żebra pękły, co najmniej dwa. Serb głośno wciągnął powietrze i z oczu popłynęły mu łzy. Dla człowieka, który ma połamane żebra, każdy oddech jest prawdziwą męką.

Słyszając kroki kolegów, Serb próbował uwolnić rękę, w której wciąż ścisnął pistolet, lecz Paul przygniótł mu ją kolanem do piersi, rozczapierzył palce, chwycił go za szyję, dźwignął mu głowę i kilka razy uderzył nią o beton. Nieprzytomny najemnik zwiotczał. Janson zerwał się na równe nogi i...

Szybko oddał dwa strzały: jeden do biegnącego ku niemu mężczyzny z automatycznym pistoletem w rękę, drugi do brodacza, który wyrósł za nim z karabinem u boku. Obaj osunęli się na betonową posadzkę.

Paul ruszył w stronę dziewczyny i wielkoluda imieniem Ratko, lecz zatrzymał go grad kul z AKS-74, które ryły ziemię, wzniesając iskry i siekąc wokoło odłamkami betonu. Strzelał krępy mężczyzna stojący na pomoście nad Ratkiem, tymczasem sam Ratko szybko podciągnął spodnie i wymierzył do niego z pistoletu. Wielka czterdziestka piątka dosłownie ginęła w jego olbrzymiej dłoni.

Janson ukrył się za betonowym wspornikiem. Tak jak się tego spodziewał, ten z AKS-74 zmienił pozycję, żeby go namierzyć, ale zmieniając pozycję, musiał wyjść z cienia. Paul ostrożnie wyjrzał zza wspornika i zobaczył jego okrągłą jak księżyc twarz i pistolet maszynowy z kolbą przy policzku. Krótka seria i wspornik zadygotał. Janson wystawił rękę i pocią-

gnął za spust. Strzelał na oślep i donośny, metaliczny brzęk powiedział mu, że trafił w poręcz żelaznej barierki. Gwałtowny tupot nóg pozwolił mu zlokalizować nową pozycję strzelca i gdy kroki ucichły, oddał jeszcze dwa strzały.

I dwa razy chybił. Szlag by to. Ale czego się spodziewał? Nie mógł, po prostu nie mógł wymacać tamtego, nie wystawiając się na kule.

W baraku rozbrzmiał odgłos szybkich kroków - ktoś ku niemu biegł.

I kolejna seria z AKS-74, ale tym razem tamten strzelał nie do niego, tylko do kogoś, kto właśnie nadchodził.

- Cholera jasna! - Głos Barry'ego Coopera.

Paul nie mógł w to uwierzyć: Barry tu wszedł!

- Co ty tu, do diabła, robisz?

- Sam nie wiem. Usłyszałem strzały, przestraszyłem się i uciekłem do baraku. Głupio, nie?

- Szczerze? Głupio.

Ponownie zagrzechotały kule, ponownie buchnęły iskry. Janson cofnął się o krok, żeby ocenić sytuację. Cooper kucnął za wielkim stalowym bębniem, a ten z AKS-74 po raz kolejny zmieniał pozycję.

- Nie wiem, co robić - jęknął Cooper.

- Zrób to, co zrobiłbym ja.

- Tak? Dobra.

Huknął strzał i krępy mężczyzna na pomoście nagle zeszywniał.

- Tak jest, stary! - wrzasnął Cooper. - *Make love, not war*, skurwysynu! - Wychynął zza bębna i wpakował w Serba wszystkie pozostałe pociski.

Janson mógł teraz wyjść zza wspornika. Wyszedł i natychmiast wypalił, celując w mężczyznę, który kręcił się z nożem w pobliżu brunetki.

- *Sranje!* Cholera! - krzyknął tamten, oberwawszy w ramię. Upuścił nóż osunął się z jękiem na kolana.

Dziewczyna wysunęła do przodu prawą stopę, przysunęła nóż bliżej, ścisnęła go piętami i drżąc z wysiłku, powoli powolutku zaczęła go podnosić.

Zdawało się, że Ratko nie wie, co robić. Strzelać do Jansona czy do Coopera?

- Rzuć broń! - krzyknął Paul.

- *Job twoju mat!* - krzyknął pogardliwie Serb i wystrzelił: do Coopera.

- Cholera jasna! - zawył Barry. Kula przebiła mu rękę i utkwiała poniżej piersi. Wypuściwszy pistolet, skrzęcając się z bólu, ruszył chwiejnie w stronę metalowych bębnow przy bocznym wyjściu.

- Barry, żyjesz? - Janson ukrył się za najbliższym wspornikiem.

Cooper długo nie odpowiadał.

- Boli jak jasna cholera - odrzekł wreszcie. - Czuję się tak, jakbym wypadł z wagonu pełnego ghandyjskich pacyfistów. Będę musiał zostać weganinem, inaczej nici z mojej kariery.

- Za to dobrze strzelasz. Gdzie się tego nauczyłeś? W Weather Underground?

- Nie, na obozie młodzieży katolickiej. Strzelaliśmy z wiatrówki.

- Dasz radę prowadzić?

- W Indy 500 nie wystartuję, ale z mercem jakoś sobie poradzę.

- Nie panikuj i posłuchaj. Wsiądziesz do samochodu i pojedziesz do szpitala. Teraz.

Natychmiast!

- A ty?

- O mnie się nie martw. Bierz dupę w troki, i już cię tu nie ma.

W stalowym wnętrzu huknął wystrzał z czterdziestki piątki. U stóp Paula wylądował kawał betonu.

A więc czekał ich pojedynek jeden na jednego.

Pojedynek dwóch ludzi, którzy do stracenia mieli tylko życie.

Janson nie chciał strzelać na oślep, bojąc się, że może niechcący ranić dziewczynę. Cofnął się kilka kroków, aż zobaczył Ratka Na lekko ugiętych nogach, ściskając pistolet obiema rękami, olbrzym stał tyłem do niej. Błysnęła stal. Dziewczyna nie była tak bezbronna, jak się zdawało.

Jedną rękę miała wolną, nieskrępowaną. Wyciągnęła ją w dół, najdalej jak tylko mogła, i czubkami palców chwyciła rękojeść noża. Wyginając się z nieprawdopodobną gibkością, zdołała podnieść go na wysokość pasa. Obróciła na płask, żeby nie utknął między żebrami, wzięła zamach i...

Wbiła go Ratkowi w plecy.

Zaszokowany Serb jeszcze bardziej wykrzywił potwornie oszpeconą twarz i gdy Janson wyszedł zza wspornika, wystrzelił, lecz kula poszła górą. Paul miał w magazynku tylko jeden nabój i nie mógł teraz spudłować.

Przyjął klasyczną pozycję strzelecką, wycelował w serce i pociągnął za spust.

- *Job twoju mat'* - wychrypiał Ratko i runął jak kłoda na ziemię.

Janson podszedł do dziewczyny; Popatrzył na jej podarte ubranie, na posiniaczone ciało, na czerwone ślady rąk, które je macały i ugniatały jak plastelinę, i załała go fala wściekłości i odrazy.

Bez słowa wyrwał nóż z pleców Serba i przeciął krepujące ją sznury.

Wciąż oparta o słup, dziewczyna osunęła się na posadzkę, najwyraźniej nie mogąc ustać. Kurczowo objęła się za kolana, podciągnęła je jeszcze wyżej i oparła się o nie czołem.

Paul odszedł i po chwili wrócił z białą koszulą i brązowymi spodniami mężczyzny w złotych okularach.

- Masz - rzucił. - Włóż to.

Gdy w końcu podniosła głowę, zobaczył, że ma w oczach łzy.

- Nie rozumiem - szepnęła apatycznie.

- Przy Museumplein dziewiętnaście jest nasz konsul. Idź tam. Zajmą się tobą.

- Uratowałeś mnie - wychrypiała dziwnym, głuchym głosem. - Przyszedłeś po mnie.

Dlaczego, do diabła, po mnie przyszedłeś?

- Nie przyszedłem po ciebie - warknął. - Przyszedłem po nich.

- Nie kłam. Proszę cię, nie kłam. - Drżał jej głos. Była na granicy załamania, mimo to zaczęła mówić, mówić przez łzy, rozpaczliwie próbując zachować resztki zawodowej trzeźwości i opanowania. - Gdybyś chciał z którymś z nich pogadać, wziąłbyś go żywcem i uciekł. Nie uciekłeś. Nie uciekłeś, bo gdybyś uciekł, już bym nie żyła.

- Idź do konsulatu - powtórzył. - I napisz raport. Znasz regulamin.

- Odpowiedz, do ciężkiej cholery! - Otarła dłońmi łzy, rozpaczliwie, desperacko. Chociaż wciąż była w szoku, wstydziła się swej słabości i bezbronności. Spróbowała wstać, ale mięśnie nóg odmówiły posłuszeństwa i ponownie osunęła się na ziemię.

- Dlaczego nie zjąłeś Holmesa? - Oddychała głośno i ciężko. - Wszystko widziałam. Mogłeś go zjąć. Powinieneś go zjąć. To standardowa procedura: strzelasz, i już. Ale ty go tylko rozbroiłeś. Po co? Dlaczego? - Odkasznęła i spróbowała się uśmiechnąć, lecz zamiast bohaterskiego uśmiechu, na jej ustach zagościł bolesny grymas. - Podczas ostrej wymiany ognia nikt nie bawi się w Robin Hooda!

- Może chybiłem. Może zabrakło mi amunicji.

Powoli pokręciła głową. Miała mocno zaczerwienioną twarz.

- Myślisz, że nie zniosę prawdy? Nie wiem, może i nie zniosę. Wiem tylko tyle, że nie chcę już słuchać kłamstw.

- Museumplein dziewiętnaście - powtórzył Janson.

- Nie zostawiaj mnie tu - poprosiła przerażona i zdumiona. - Tak, boję się. To chciałeś

usłyszeć? Te kutasy pojawiły się Bóg wie skąd. Nie wiem, kim są i czego chcą. Wiem tylko, że potrzebuję pomocy.

- Pomogą ci w konsulacie. - Paul ruszył do wyjścia.

- Nie odwracaj się do mnie tyłem, Janson! Trzy razy omal cię nie zabiłam. Możesz mi przynajmniej to wszystko wyjaśnić.

- Zgłoś się do konsulatu - odparł. - Wracaj do pracy. Dadzą ci nowe zadanie.

- Nie mogę! Czy ty nic nie rozumiesz? - Nagle ochrypla. Dziewczyna, która chciała go zabić, dławiła się łzami. - Moje zadanie... Ja mam cię zabić, rozumiesz? A teraz nie mogę. Nie mogę wypełnić zadania! - Roześmiała się z goryczą.

Powoli, bardzo powoli wstała, przytrzymując się słupa.

- Posłuchaj. W Regent's Park poznałam Amerykanina, który próbował wcisnąć mi kit, że my, snajperzy z KWO, daliśmy się wciągnąć w jakąś wielką chryję. Że facet, którego mieliśmy zdjąć, nie jest wcale taki zły. Puściłam to mimo uszu, bo gdyby to była prawda, góra byłaby dołem, a dół górą. Rozumiesz? Jeśli nie wierzysz ludziom, którzy wydają ci rozkazy, to jaki to wszystko ma sens? Potem napisałam raport o tym spotkaniu, no wiesz, pro forma. Napisałam, a tu dzwoni do mnie nie mój szef, tylko szef mojego szefa. Dzwoni i nawija, że Paul Janson to genialny łgarz i czy przypadkiem nie dałam mu się przekabacić? Dlatego teraz stoję w tym pieprzonym blaszaku, trzęsę się ze strachu i myślę, że jeśli w ogóle mam dowiedzieć się prawdy, na pewno nie dowiem się jej od moich szefów. Że jedynym facetem, który może powiedzieć mi, która godzina, jesteś ty. - Drżąc, zaczęła się powoli ubierać. - Facet, którego od czterdziestu ośmiu godzin próbuję zabić.

- Przeżyłaś silny wstrząs. Nie jesteś sobą. To wszystko.

- Jeszcze nie skończyłam! - Oblizwała spękane wargi. Jej posiniaczone policzki zaczynały już puchnąć.

- Czego ty ode mnie chcesz?

- Pomocy. Muszę... Muszę wiedzieć, co się tu dzieje. Muszę wiedzieć, co jest kłamstwem, a co nim nie jest. - Oczy znowu wezbrały jej łzami i, zawstydzona, szybko je otarła. - I chcę stąd wyjść. Tu jest niebezpiecznie.

Janson szybko zamrugał.

- Szukasz bezpiecznego schronienia? To trzymaj się ode mnie z daleka. Ja i niebezpieczeństwo to jedno. Tylko tego jestem pewien. Jasne? Odwieźć cię do szpitala?

Łypnęła na niego spode łba.

- W szpitalu mnie dopadną. Znajdą mnie i wykończą.

Paul wzruszył ramionami. Poczul się nieswojo. Dziewczyna miała rację.

- Powiedz, co to wszystko znaczy. - Zrobiła chwiejny krok w jego stronę.

- Właśnie próbuję się tego dowiedzieć.

- Mogę ci pomóc. Ty nie wiesz, nie masz pojęcia... Znam plany, znam twarze ludzi, wiem, kogo na ciebie nasłali...

- Nie pogarszaj swojej sytuacji - przerwał jej łagodnie Paul.

- Proszę. - Popatrzyła na niego żałośnie. Wyglądała jak ktoś, kto nigdy dotąd nie zwątpił w słuszność tego, co robi, jak ktoś, kto nabrał wątpliwości i nie wie, jak sobie z tym poradzić.

- Nie - odparł. - Za chwilę ukradnę samochód. To przestępstwo i ten, kto ze mną będzie, może zostać oskarżony o współudział. Rozumiesz?

- Chcesz, to ukradnę go za ciebie - odrzekła chrapliwym głosem. - Posłuchaj. Nie wiem, dokąd idziesz. Wszystko jedno, nieważne. Ale jeśli teraz odejdziesz, nigdy nie poznam prawdy. A ja muszę ją poznać. Muszę wiedzieć, co jest prawdą, a co kłamstwem.

- Nie - powtórzył Janson.

- Proszę.

Znowu rozbolała go głowa. Zabrać ją z sobą? Czyste szaleństwo. Ale niewykluczone, że w szaleństwie tym była jakaś metoda.

- Jezu Chryste! - Clayton Ackerley z wydziału operacyjnego CIA dosłownie zawodził, a to, że rozmawiali na „czystej” linii, bynajmniej nie zmniejszało jego przerażenia. - Oni nas, kurwa, pozabijają!

- Co ty bredzisz? - spytał Douglas Albright głosem zadzierzystym, ale i lekko zaniepokojonym.

- Ty nic nie wiesz?

- Tak, słyszałem o Charlotte. To straszne. Straszny wypadek i straszny cios...

- Ty nic nie wiesz!

- Opanuj się i powiedz to po angielsku.

- Sandy Hildreth.

- Nie!

- Wyciągnęli jego wóz. Opancerzoną limuzynę, cholera. Z Potomacu. Siedział z tyłu. I się, kurwa, utopił!

Zapadła długa cisza.

- Boże świąty. To niemożliwe.

- Mam przed sobą policyjny raport.

- Może to zwykły wypadek? Straszny, potworny zbieg okoliczności?

- Wypadek? Jasne, tak tu piszą. Kierowca jechał za szybko, świadkowie widzieli, jak samochód wpadł w poślizg i wpadł do rzeki. Tak samo jak z Charlotte. Taksówkarz traci panowanie nad kierownicą, potrąca przechodnia i daje nogę. A teraz jeszcze Onishi!

- Co takiego?

- Znaleźli go dziś rano.

- Boże.

- Na rogu Czwartej i L.

- Co on tam, u diabła, robił?

- Koroner twierdzi, że znalazł we krwi fencyklidynę. PCP, anielski pył. I mnóstwo innych świństw. Według raportu, Onishi przedawkował na rogu ulicy, przed jakąś speluną z crakiem. „Normalka, codzienność”. Tak powiedział jeden z policjantów.

- Ale Kaz? To idiotyzm!

- Oczywiście, że idiotyzm. Ale tak to załatwili. Fakt pozostaje faktem: w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin zginęło trzech członków naszego programu.

- Chryste, to prawda. Zdejmują nas po kolei, jednego po drugim. Kto będzie teraz? Ja? Ty? Derek? Sekretarz stanu? Sam POTUS?

- Rozmawiałem z nimi przez telefon. Próbują zachować spokój, ale nie bardzo im to wychodzi. Jedno wiemy na pewno: jesteśmy naznaczeni. Wciągnęli nas na listę zagrożonych gatunków.

- Ale to nie ma sensu! - wybuchnął Albright. - Nikt nie wie, kim jesteśmy. Przecież nic nas oficjalnie nie łączy! Nic oprócz najpilniej strzeżonej tajemnicy rządu Stanów Zjednoczonych!

- Bądźmy trochę dokładniejsi. Nawet jeśli nie wie o tym nikt z nas, to wie o tym on.

- Zaraz, chwila...

- Wiesz, o kim mówię.

- Chryste. Jezu, co myśmy zrobili? Co myśmy zrobili?

- On nie tylko przecina sznurki. On zabija wszystkich tych, którzy za te sznurki pociągali.

Rozdział 21

Promienie słońca sączyły się między sosnami i gęstymi morwami, których gałęzie osłaniały domek niczym zielona tarcza. To zdumiewające, jak dobrze wtapia się w otoczenie, pomyślał z satysfakcją Janson, wchodząc do środka. Właśnie wrócił ze spaceru do maleńkiej wioski na zboczu góry, gdzie kupił coś do jedzenia i plik gazet: „Il Piccolo”, „Corriere della Alpi” i „LA Repubblica”. Surowe, kamienne ściany domku kontrastowały z jego wnętrzem, z błyszczącą boazerią i ciepłą terakotą na podłodze; freski i malunki na suficie zdawały się przynależć do innego stulecia i zupełnie innego stylu życia.

Wszedł do sypialni, gdzie spała dziewczyna, i przygotował zimny kompres. Gorączka spadała, czas i antybiotyk zrobiły swoje. Czas ukoił też jego rany. Podróż do Lombardii trwała całą noc. Prawie całą drogę dziewczyna spała i obudziła się, gdy do pokonania zostało zaledwie kilka kilometrów. Otaczał ich włoski krajobraz, krajobraz sielski, jak z obrazka: żółte pola suchych kukurydzianych łodyg, kępy kasztanowców i topól, stare kościoły z nowoczesnymi wieżycami, winnice, lombardzkie zamki na skalnych graniach. A za nimi szaroniebieskie Alpy, jak wysoki mur na horyzoncie. Jeszcze zanim dojechali na miejsce, stało się oczywiste, że dziewczyna mocno to wszystko przeżyła - mocniej, niż przypuszczała.

Obserwował ją, gdy spała. Rzuciła się, przewracała z boku na bok, śniąc sny przykre i niepokojące. Czasami łkała. Czasami gwałtownie wymachiwała rękami.

Przyłożył jej do czoła zimny kompres. Dziewczyna drgnęła, szarpnęła się i zaprotestowała cichym jękiem. Chwilę później zakaszła i otworzyła oczy. Janson szybko sięgnął po szklankę i dzbanek ze stolika nocnego i dał jej pić. Przedtem raz piła, lecz wypiwszy, natychmiast zapadła w głęboki sen. Tym razem nie zamknęła oczu. Patrzyła przed siebie, nic nie widząc.

- Jeszcze - szepnęła.

Nalał jej drugą szklankę i wypila sama, bez podtrzymywania i pomocy. Powoli, stopniowo odzyskiwała siły. Skupiła na nim wzrok.

- Gdzie... ? - To jedno słowo kosztowało ją niemało wysiłku.

- Jesteśmy w domu mojego przyjaciela - odrzekł. - W Lombardii, w Brianza. Szesnaście kilometrów na północ stąd jest Lago di Como. To bardzo odosobnione i odludne miejsce. - Jej siniaki wyglądały jeszcze gorzej niż przedtem. Znak, że zaczynała dochodzić do siebie. Ale nawet opuchlizna nie mogła ukryć jej prostego, bezpretensjonalnego piękna.

- Jak... długo?

- Trzeci dzień.

W jej oczach zagościło niedowierzanie, niepokój i strach. Potem twarz jej złagodniała i dziewczyna ponownie zapadła w sen.

Kilka godzin później wrócił, żeby po prostu na nią popatrzeć. Zastanawia się, gdzie jest. Zastanawia się, dlaczego. On zadawał sobie te same pytania. Dlaczego ją ze sobą zabrał? Była to decyzja bardzo trudna i bolesna: przetrwanie gwarantowała mu dotychczas twarda, zimna kalkulacja. Nie miał wątpliwości, że dziewczyna może mu się przydać. Ale ta sama twarda, zimna kalkulacja mówiła, że może przynieść mu zgubę, że zabierając ją, kierował się przede wszystkim emocjami. Emocjami, które mogły go kosztować życie. Bo co go obchodziło, że w Amsterdamie ktoś by na nią polował? Przecież kilka razy chciała go zabić. Powiedziała: „Muszę wiedzieć, co jest kłamstwem, a co nim nie jest”. Wiedział jedno: że wypowiadając te słowa, nie kłamała.

Przeżyła potworny wstrząs, tym większy, że do tej pory uważała się za niepokonaną. Wiedział, jakie to uczucie, z pierwszej ręki. Zbeczeszczono nie tyle jej ciało, co poczucie tego, kim była.

Zmienił jej kompres i po chwili ponownie się poruszyła.

Tym razem przesunęła palcami po twarzy i wyczuła opuchliznę. W oczach miała wstyd.

- Chyba niewiele pamiętasz - powiedział. - Przeżyłaś silny wstrząs, to typowe. Tu może pomóc tylko czas. - Podał jej szklankę wody.

- Czuję się jak szmata. - Mówiła tak, jakby w ustach miała kłębek waty.

Łapczywie wypła wodę.

- Widywałem ludzi w gorszym stanie.

Zasłoniła rękami twarz i przewróciła się na bok, jakby się go krępowała.

- Przyjechaliśmy tu tym mercedesem?

- Nie. Został w Amsterdamie. Nie pamiętasz?

- Pod zderzakiem jest lokalizator. Chłopcy zamontowali. - Potoczyła wzrokiem po suficie, po barokowym malowidle przedstawiającym tańczące w chmurkach pyzate aniołki.

- Tak myślałem.

- Nie chcę, żeby nas znaleźli - szepnęła.

Janson delikatnie musnął ręką jej policzek.

- Przypomnij mi, dlaczego.

Długo milczała, wreszcie powoli usiadła. Na jej posiniaczonej twarzy zagościł wyraz gniewu.

- Okłamali mnie - powiedziała cicho. - Okłamali - powtórzyła twardym jak stal głosem.

- Ludzie kłamali i zawsze będą kłamać - odrzekł Paul.

- Te sukinsyny mnie wrobiły - powiedziała głosem drżącym bardziej z wściekłości niż z zimna.

- Nie, to raczej mnie wrobiono - rzucił obojętnie Janson.

Nalał jej wody. Przytknęła szklankę do spierzchniętych warg i wypła wszystko jednym haustem,

- Wszystko jedno - powiedziała apatycznie. - Kiedy wrabiają cię ludzie z twego własnego zespołu, jest na to tylko jedno określenie. Zdrada.

- A więc czujesz się zdradzona.

Ukryła twarz w dłoniach. Mówiła szybko i gwałtownie.

- Podpuścili mnie, kazali mi cię zabić, ale nie czuję się winna, nie wiem czemu. Czuję się... Jestem wkurzona. Zła. - Załamał jej się głos. - I koszmarnie mi wstyd. Myślę o tym, co wiem, i zaczynam się zastanawiać, co jest prawdą, a co nie. Wiesz jak to jest?

- Wiem - odrzekł krótko Paul.

Milczała przez chwilę. W końcu powiedziała:

- Patrzysz na mnie jak na ranne zwierzę.

- Może oboje czujemy się jak ranne zwierzęta - odparł. - Ale pamiętaj, że ranne zwierzęta są śmiertelnie niebezpieczne.

Gdy zasnęła, zszedł do pokoju, w którym właściciel domu Alasdair Swift urządził gabinet. Na biurku leżała sterta artykułów ściągniętych z Internetu, z witryn i baz danych gazet i czasopism. Setki opowieści, a wszystkie mówiły o życiu i czasach Petera Novaka.

Studiował je obsesyjnie, dobrze wiedząc, że szuka czegoś, co prawdopodobnie nie istnieje: klucza, podpowiedzi, przypadkowej informacji o szerszym znaczeniu. Czegoś - cokolwiek - co wyjaśniłoby, dlaczego Novak zginął. Czegoś, co zawęziłoby krąg podejrzanych. Szukał „rymu”, szczegółu dla większości ludzi bez znaczenia, który pasowałby do czegoś, co kiedyś zarejestrowała jego podświadomość. „Wiemy więcej niż wiemy”, mawiał Demarest:

nasz umysł przechowuje fakty, których nie jesteśmy w stanie świadomie odzyskać. Dlatego Paul starał się czytać recepcyjnie: nie próbował rozwiązać problemu, tylko chłonał to, co było do wchłonięcia, bez żadnych konkretnych założeń czy oczekiwań. Może natknął się na mglistą aluzję na temat jakiegoś rozgoryczonego rywala? Na Wzmiankę o zakamuflowanych animozjach w świecie międzynarodowej finansjery? Na konflikt, w którym palce maczali jego przodkowie? Albo jakiś inny nieprzyjaciel, na razie nieznany i nieoczekiwany?

Wrogowie Novaka - czy nie schlebiali sobie, myśląc w ten sposób? -byli także jego wrogami. Jeśli tak, co jeszcze mogli mieć ze sobą wspólnego? „Wiemy więcej niż wiemy”. Czytał nieustannie i z tak wielką uwagą, że rozbolewały go oczy, mimo to czuł, że wie coraz mniej. Od czasu do czasu podkreślał jakieś słowo czy zdanie, choć niemal we wszystkich artykułach pisano o tym samym. Były to po prostu niezliczone wersje finansowych dokonań Novaka, niezliczone odnośniki do jego dzieciństwa spędzonego na rozdartych wojną Węgrzech, niezliczone hołdy jego humanitarnej pasji. W „Far Eastern Economic Review” przeczytał:

W grudniu 1992 ogłosił nowy ambitny program, przekazując sto milionów dolarów na pomoc dla naukowców z dawnego Związku Radzieckiego. Program miał na celu spowolnienie drenażu mózgow i zapobieżenie sytuacji, w której większość radzieckich naukowców zaczęłaby szukać bardziej lukratywnej pracy w krajach takich jak Irak, Syria czy Libia. Podczas gdy Europa i Stany Zjednoczone załamywały ręce, martwiąc się gwałtownym odpływem naukowych talentów z dawnego supermocarstwa, Novak po prostu wziął się do roboty.

„Szczерze mówiąc, łatwiej jest mi zarabiać pieniądze, niż je wydawać” -mówi z szerokim uśmiechem. Gustuje w rzeczach prostych i nie wyrafinowanych. Dzień rozpoczyna skromnym śniadaniem, na które składa się miska kaszy i filiżanka czarnej kawy. Ostentacyjnie unika luksusowych kurortów i światowego życia, tak uwielbianego przez plutokratów.

Nawet jego małe dziwactwa -jak choćby to, że codziennie jadał kaszę na śniadanie - były uporczywie cytowane i omawiane, tworząc coś w rodzaju osobistej „faktury” czy „osadu” na dnie wielkiej dziennikarskiej rzeki. Od czasu do czasu pojawiały się wzmianki na temat śledztwa, które przeprowadzono w Anglii po słynnej Czarnej Środzie. Często cytowano też słowa szefa MI-6: „Jedynym prawem, które złamał ten pan, jest prawo przeciętności”. W innym często powtarzanym cytacie żartobliwie wyjaśniał swoją powściągliwość względem prasy: „Rozmowa z dziennikarzem jest jak taniec z dobermanem. Nigdy nie wiadomo, czy polize cię po twarzy, czy rozszarpie ci gardło”. Niemal w każdym artykule pojawiały się też opinie starszych, doświadczonych mężów stanu na temat roli, jaką odegrał w odbudowywaniu obywatelskiego społeczeństwa i w promowaniu pokojowego rozwiązywania konfliktów. Niebawem wszystkie wzmianki zlały się w jedno, cytaty też, jakby istniał gdzieś jakiś szablon. Choćby passus z londyńskiego „Guardiana”:

Kiedyś można było Novaka lekceważyć - mówi Walter Horowitz, były ambasador Stanów Zjednoczonych w Związku Radzieckim. -Teraz jest kimś, z kim trzeba się liczyć. I jest człowiekiem niezależnym. Po prostu robi swoje, nie bacząc na opinię rządu tego czy innego państwa. Jest jedynym prywatnym obywatelem, który ma swoją własną politykę zagraniczną i który potrafi skutecznie ją realizować”. Słowa Horowitza są wyrazem coraz powszechniejszej tendencji w dzisiejszej polityce zagranicznej wielu państw: rządy tychże państw nie mają już ani możliwości, ani woli, żeby występować z określonymi inicjatywami, i próżnię tę wypełniają potentaci z sektora prywatnego, ludzie tacy jak Peter Novak.

Jaako Torvalds, zastępca sekretarza generalnego ONZ do spraw politycznych i Rady Bezpieczeństwa, mówi: „Pracuje się z nim jak z przyjazną, niezależną, pokojowo nastawioną instytucją - by nie powiedzieć z rządem.

W Organizacji Narodów Zjednoczonych próbujemy rozwiązywać problemy w najbardziej zapalnych punktach świata, koordynując nasze wysiłki z wysiłkami Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii, Rosji - i Petera Novaka.

W „Newsweeku” Janson znalazł podobny hymn pochwalny:

Co wyróżnia tego węgierskiego krezusa? Trzeba by zacząć od wielkiej pewności siebie, od całkowitego przekonania o słuszności swoich poczynań, które widać zarówno w jego zachowaniu, jak i w tym, co mówi. „Nie zajmuję się sprawami państwowymi dla dreszczyku emocji” - powiada Novak, który nawet w kosztownych, nie-nagannie leżących garniturach tryska energią i żywotnością. Wielokrotnie ryzykował na największych rynkach i giełdach światowych i wygrywał tak często, że gra przestała być dla niego wyzwaniem. Jednakże wyzwaniem - nawet dla niego - w dalszym ciągu pozostaje problem odbudowy społecznej w najbardziej niestabilnych rejonach świata, takich jak Bośnia czy Azja Środkowa.

Kilka godzin później usłyszał cichy szmer bosych stóp na wykładanej terakotą podłodze. Dziewczyna. Zeszła na dół. Janson wstał. W głowie kręciło mu się od nazwisk, dat i mglistych faktów, z których nic nie wynikało.

- Niezła chata.

Ucieszył się, że mu przerwała.

- Trzysta lat temu stał tu klasztor. Z biegiem czasu uległ całkowite mu zniszczeniu i porósł lasem. Mój przyjaciel kupił tę działkę i włożył mnóstwo pieniędzy, żeby na jego gruzach wybudować dom.

Podobał mu się nie tyle sam dom, ile jego lokalizacja, sielska okolica i odosobnienie. Z frontowych okien widać było wystrzępione szczyty gór wyrastających z pobliskiego lasu. Zieleń była poprzetykana pasmami nagiej, szarej skały - drzewa wyglądały z oddali jak mech - a wszystko to na tle lazurowego nieba, po którym krążyły małe, czarne ptaki, nurkując i wirując, z pozoru chaotycznie, acz z harmonijną gracją. Obok wiekowej kampanili, jednej z nielicznych pozostałości po starym klasztorze, stała żelazna pergola porośnięta dzikim winem.

- Tam, skąd pochodzę, nazwaliby to pałacem - odrzekła.

- Podczas renowacji odkrył mnóstwo fresków. Ściągnął tu też wiele malowideł z innych willi. Fakt, z sufitami trochę przesadził.

- Przekłete nietoperze. Wiesz, że mi się śniły?

- To miały być aniołki. Wyobraź sobie, że to małe cherubinki. To bardziej kojące.

- A ten przyjaciel to kto?

- Biznesmen z Montrealu. „Przyjaciel” to przesada. Gdyby był moim przyjacielem, unikałbym tego miejsca jak ognia; za duże ryzyko. Oddałem mu kiedyś kilka przysług. Zawsze mnie do siebie zapraszał. Spędza tu kilka tygodni w lipcu, a przez resztę roku dom stoi pusty. Tym lepiej dla nas. Jest tu też sporo niezłego sprzętu telekomunikacyjnego. Antena satelitarna na dachu, szerokopasmowe łącze internetowe. Wszystko, cze go potrzebuje współczesny biznesmen.

- Wszystko oprócz kawy.

- Nie, kawa jest w kuchni. Zaparzysz?

- To nie jest dobry pomysł.

- Nie jestem wybredny.

Spojrzała na niego posepnie.

- Nie gotuję i nie robię kawy. Pewnie myślisz, że jestem feministką. Nie, po prostu nie umiem. Mam jakiś uraz. Może dlatego, że moja mama umarła, kiedy byłam mała.

- I mała dziewczynka nie nauczyła się gotować?

- Nie znasz mojego taty. Nie lubił, kiedy kręciłam się w kuchni. Może uważał, że okazuję w ten sposób brak szacunku dla pamięci matki. Nauczył mnie odgrzewać mrożonki w mikrofalówce i zeszkrobywać je z folii na talerz.

Janson wzruszył ramionami.

- Gorąca woda. Kawa. Pomyśl. Na pewno coś wymyślisz.

- Za to jestem obłędnie dobra w strzelaniu - powiedziała z zaróżowionymi policzkami.

- Taktyka, inwigilacja, infiltracja, obserwacja; masz przed sobą prawdziwą mistrzynię. Gdybyś tylko chciał, mógłbyś wykorzystać mnie do czegoś pożytecznego, ale ty zachowujesz się tak, jakbyś miał w głowie piasek i trociny.

Paul wybuchnął śmiechem. Tego nie oczekiwała.

- Tata tak mówił - wyjaśniła nieśmiało. - Ale naprawdę. Nie doceniasz mnie. Mogę ci się przydać. Dobrze o tym wiesz.

- Nie wiem nawet, kim jesteś. - Objął wzrokiem jej regularną sylwetkę, popatrzył na jej ładnie zarysowane policzki i pełne wargi. Prawie przestał zauważać obrzmienie i siniaki.

- Jessica Kincaid - powiedziała, wyciągając do niego rękę. - Zrób kawę i pogadamy jak trzeba.

Gdy kawa trafiła do kubków, a z kubków do brzuchów - wraz z jajecznicą i wiejskim chlebem z wielkiego, okrągłego bochna - dowiedział się wreszcie kilku rzeczy o swojej niedoszłej zabójczyni. Dorastała w Red Creek w Kentucky, w małej wiosce w górach Cumberland. Jej ojciec, właściciel jedynej w okolicy stacji benzynowej, wydawał prawie wszystkie pieniądze w miejscowym sklepie myśliwskim.

- Zawsze chciał, żebym była chłopcem - mówiła - i chwilami zapominałam, że nim nie jestem. Pierwszy raz zabrał mnie na polowanie, kiedy miałam pięć, sześć lat. Uważał, że powinnam umieć naprawiać samochody i trafiać kaczkę w locie kulą, a nie śrutem.

- Jak mała Annie Oakley.

- Właśnie, tak nazywali mnie chłopcy w ogólniaku. Chyba się mnie trochę bali.

- Rozumiem. Psuje się samochód, chłopak biegnie do telefonu, żeby sprowadzić pomoc drogową, tymczasem ty już rozkręcasz gaźnik. Kilka minut później silnik odpala.

- Coś w tym stylu - odrzekła, uśmiechając się.

- Mam nadzieję, że się nie obrazisz, jeśli powiem, że nie wyglądasz na typową agentkę KWO.

- Już w Red Creek byłam nietypowa. Skończyłam ogólniak, mając szesnaście lat. Naza jutrz po rozdaniu dyplomów poszłam na stację benzynową, zgarnęłam forszę z kasy, wsiadłam do autobusu i pojechałam. Plecak miałam wypchany tanimi powieściami o agentach FBI, rozumiesz. Dojechałam aż do Lexington. Nie uwierzysz, ale nigdy tam przedtem nie byłam. W ogóle nigdzie nie jeździłam, tata nie pozwalał. Większego miasta w życiu nie widziałam. Przyjeżdżam i walę prosto do FBI.

W recepcji siedzi sekretarka, taka wielka, gruba baba. Zagaduję ją słodziutko, mówię, że chcę u nich pracować, a ona daje mi formularz. Zaczynam wypełniać ten formularz, a tu wchodzi młody agent. Trzepoczę rękami jak wariatka, a on pyta: „Ty co? Na przesłuchanie?” Ja na to: „Tak, niech mnie pan przesłucha i jeśli przyjmie mnie pan do pracy, będzie to najlepsza decyzja, jaką kiedykolwiek pan podjął”. - Zaczerwieniła się na to wspomnienie. - Wiesz, byłam młoda. Nie wiedziałam nawet, że bez studiów do FBI nie przyjmują. Ale wtedy... Dzień jest nudny, nic się nie dzieje, więc ten młody i jeszcze jeden, taki w granatowym garniturze, gadają ze mną i żartują. Chwalę się, że świetnie strzelam, więc ten w garniturze prowadzi mnie do piwnicy, gdzie mają strzelnicę. Mówią, że blefuję, że w życiu nie widzia-

łam strzelby, wygłupiają się, i tak dalej. No więc jesteśmy na tej strzelnicy, a oni, no wiesz, nałóż gogle, nauszники, na pewno wiesz, jak się z tego strzela?

- Niech zgadnę. Trafiłaś w dziesiątkę.

- Jasne! Co strzał, to dziesiątka. Cztery strzały, cztery dziesiątki.

Prawie bez rozrzutu. Tamci od razu się zamknęli i zaczęli zmieniać tarcze.

A ja walę i za każdym razem trafiam bez pudła. Przeszliśmy na większą odległość, dali mi strzelbę i dopiero wtedy pokazałam im, co potrafię.

- I tak snajperka dostała pracę.

- Niezupełnie. Najpierw skierowali mnie na praktykę. Musiałam pójść na studia wieczorowe. Miałam od cholery nauki, ale nie było tak źle.

- Nie dla bystrej dziewczyny z samochodowym smarem pod paznokciami i kordytem we włosach.

- W Quantico też poszło jak po maśle. Po linie wspinałam się najszybciej z całego roku. Wspinaczka bez pomocy nóg, wejścia na piętro, płoty, przeszkody, co tylko chcesz. Ci napakowani futboliści nie mogli za mną nadążyć. Złożyłam podanie o pracę w Wydziale Bezpieczeństwa Narodowego FBI i mnie przyjęli. Kilka lat później, podczas pewnej akcji, wpadłam w oko tym z Konsularnego Wydziału Operacyjnego, i tak się to zaczęło.

- Jak z Laną Turner. Odkryto ją, gdy piła wodę w drogerii u Schwaba. Tylko dlaczego mam wrażenie, że opuściłaś najciekawszy fragment powieści?

- Masz rację. To były jaja! Chicago. Zasadzka. Czekam na pozycji. Zabawna sprawa. Chodzi o szpiegostwo przemysłowe, z tym że facet pracuje dla Chińskiej Republiki Ludowej. Mają go zdjąć ci z KWO, FBI udziela im tylko wsparcia. Mnie kazali tylko obserwować, nic więcej, ale sytuacja zaczyna się komplikować. Facet robi tamtych na szaro i wymyka się z sieci. Wiemy, że kieszenie ma wypchane mikrofilmami, więc nie chcemy, żeby zwiął. Udaje mu się przejść przez kordon w holu. Wypada na ulicę i zasuwa do wozu. Jeśli wsiądzie i odjedzie, będzie po herbacie, bo nie mamy wsparcia samochodowego; nikt się nie spodziewał, że facet da radę zejść aż na parking. Proszę o pozwolenie na otwarcie ognia i odstrzelenie klamki. Żeby go zatrzymać, a przynajmniej spowolnić. Szef operacyjny mówi „nie”: to zbyt niebezpieczne, mogą trafić podejrzanego, dojdzie do międzynarodowego skandalu, i tak dalej. Gówno prawda, chodziło mu o własny tyłek. A ja wiem, że trafię. Zerowe ryzyko. Szef mnie nie zna, nie wie na co mnie stać, i powtarza: „Nie strzelać! Nie strzelać! Czerwone światło. Przerwać akcję”.

- Ale ty i tak wystrześliłaś.

- Odstrześliłam mu tę klamkę. Więc facet nie może wsiąść i sra w gacie ze strachu. Dostłownie zamiera i modli się do wielkiego Mao. Nasi dopadają go i zwijają. Ma przy sobie mikrofilmy, schematy wszystkich urządzeń telekomunikacyjnych, o jakich tylko marzysz.

- Uratowałaś sytuację.

- I oberwałam za to jak jasna cholera. „Niesubordynacja, odmowa wypełnienia rozkazu” i takie tam bzdety. Komisja dyscyplinarna zawiesiła mnie na dwa miesiące. Tylko, że ci z KWO przychodzą do mnie, mówią, że mam styl, i pytają, jak mi się podoba życie pełne przygód i podróży.

- Jasne, rozumiem. - Jako były oficer werbunkowy, Janson z własnego doświadczenia wiedział, że ci z Konsularnego Wydziału Operacyjnego najpierw przejrzeni jej akta. Musiała mieć imponujące osiągnięcia, bo agenci KWO nie mają wysokiego mniemania o agentach FBI. Uznali, że trafił im się prawdziwy talent, ktoś z szefostwa pociągnął za odpowiednie sznurki i Jessica dostała dyscyplinarkę - tylko po to, żeby łatwiej ją było przenieść. Chcieli ją mieć u siebie i rozegrali to tak, żeby skwapliwie przyjęła propozycję. Scenariusz ten był bardzo prawdopodobny, lecz niekompletny.

- To nie wszystko - dodała nieco wstydliwie. - W KWO przesłam ostre szkolenie i w trakcie tego szkolenia musieliśmy napisać esej historyczny...

- A tak, te ich szpiegowskie eseje. Kogo wybrałaś? Matę Hari?
- Nie. Legendarnego agenta nazwiskiem Paul Janson. Przeprowadziłam dokładną analizę jego taktyki i techniki działania.
- Żartujesz. - Janson ułożył polana w kominku, przetykając je zmietymi włoskimi gazetami. Polana szybko się zajęty i płonęły równym ogniem.
- Cóż mogę powiedzieć, zaimponowałeś mi, i tyle. Ale wykryłam też, że zdarza ci się popełniać błędy. Że masz swoje... słabe punkty. - Oczy miała wesołe, głos poważny.
- Janson wypił łyk mocnej, gorącej kawy.
- Na krótko przed meczem Ricka Frazierera z Michaelem Spinksem w 1986 trener Frazierera oznajmił, że wykrył słabe punkty w obronie przeciwnika. Było mnóstwo dyskusji i spekulacji. Wreszcie Rick Frazier wyszedł na ring i już w drugiej rundzie Spinks go znokautował. - Posłał jej lekki uśmiech. - Więc jak to było z tymi słabymi punktami?
- Kąciki jej ust powędrowały w dół.
- Dlatego mnie wybrali. No wiesz, do tej akcji.
- Wybrali cię, bo przestudiowałaś mój życiorys zawodowy. Bo znałaś mnie lepiej niż inni. Tak, to logiczne. Twój szef myślał pewnie, że jest bardzo sprytny, przydzielając ci to zadanie.
- Jasne. Obstawienie domu Grigorija Bermiana to mój pomysł. I byłam pewna, że pojedziesz do Amsterdamu. Kumple twierdzili, że spróbujesz zwać do Stanów, a ja na to, że na pewno nie.
- Nic dziwnego. Masz dyplom z jansonologii stosowanej.
- Umilkła, patrząc na fusy na dnie kubka.
- Chciałam cię o coś spytać.
- To pytaj.
- Bardzo mnie to zastanawia. W 1999 miałaś zdjąć Jamala Nadu, słynnego przywódcę terrorystów. Na podstawie wiarygodnych danych, dostarczonych przez informatorów, których sam prowadziłaś, namierzyłaś jego kryjówkę w Ammanie i jego samochód. Do samochodu podchodzi obszarpany żebrak. Prosi o jałmużnę, ale go przepędzają. Żebrak pada na kolana i zaczyna przeproszać za śmiałość. Tylko że żebrakiem tym jest nie kto inny tylko Paul Janson, który klęcząc, podkłada bombę pod samochód.
- Janson patrzył na nią bez wyrazu.
- Godzinę później do samochodu wsiada Jamal Nadu. Ale wraz z nim wsiadają cztery panie, luksusowe jordańskie prostytutki. Powiadamasz kontrolę, że sytuacja uległa zmianie, ale tamci każą ci kontynuować akcję. Potem w meldunku piszesz, że próbowałeś odpalić ładunek, ale nie mogłeś, bo zawiódł detonator. Operację szlag trafia z przyczyn techniczno-mechanicznych.
- To się zdarza.
- Ale nie tobie. Właśnie dlatego w to nie wierzę. Zawsze byłeś perfekcjonistą: zapalnik zrobiłaś sam. Dwa dni później Jamal Nadu wraca ze spotkania z grupą Libijczyków i mógg wycieka mu nagle na kołnierzyk, bo ktoś jednym strzałem odstrzelił mu tył głowy. W raporcie napisałaś, że to pewnie konkurencja, bojówkarze z Hamasu.
- Wniosek?
- Można by przypuszczać, że oczywisty. Cztery kobiety w samochodzie: agent nie chciał ich zabić. Może nie rozumiał, dlaczego to konieczne. Może uznał, że lepiej jest znaleźć inny sposób, sposób bez strat ubocznych. A może ci KWO zaplanowali to inaczej. Może chcieli wysadzić Jamala w powietrze, nie oglądając się na zwykłe dziwki. Ale ty i tak przeprowadziłaś to po swojemu.
- W dalszym ciągu nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz.
- Widzisz, najciekawsze w tym wszystkim jest to, że w naszym świecie zlikwidowanie kogoś takiego jak Jamal Nadu gwarantuje każdemu karierę. A ty zdyłałaś go, mówiąc, że to

ktoś inny. Kto by tak zrobił?

- Ty mi powiedz.

- Może ktoś, kto nie chciał, żeby szef operacyjny przypisał sobie zasługę za zneutralizowanie słynnego terrorysty.

- Skoro tyle o mnie wiesz, to powiedz mi, kto był wtedy moim szefem operacyjnym?

- Nasz dyrektor, Derek Collins. Kierował sektorem bliskowschodnim.

- A więc jeśli masz jakieś pytania na ten temat, idź z nimi prosto do niego.

Skrzyżowała palce u rąk.

- Nieważne - odrzekła trochę chyba obrażona. - Tak czy inaczej, trudno mi było cię namierzyć.

- Coś ty.

- Między innymi dlatego, że dalej nie rozumiem tej zagrywki z Jamalem Nadu. Nie wiedziałam, czym się kierujesz. Nie potrafiłam pogodzić tego, co zobaczyłam, z tym, co słyszałam. Bo chórzystą to ty nie jesteś. Poza tym te krwawe opowieści o tym, co robiłeś w Wietnamie...

- To stek bzdur - powiedział gniewnie i sam się temu zdziwił.

- Powtarzam tylko to, co słyszałam. Podobno paskudnie tam narozrabiałeś...

- Ludzie wymyślają niestworzone rzeczy. - Próbował mówić spokojnie, ale nie mógł. I nie rozumiał dlaczego.

Spojrzała na niego tak jakoś dziwnie.

- Dobra, wierzę, ci. Ostatecznie ty wiesz najlepiej jak było, nie?

Janson dźgnął pogrzebaczem polana, które zatrzeszczały i zasyczały. W pokoju zapachniało żywicą. Słońce chowało się już za górami.

- Mam nadzieję, że nie obrazisz się, jeśli spytam ile masz lat, panno Kincaid - rzucił, obserwując jej twarz w blasku ognia.

- Mów mi Jessie. Za rok dobieję trzydziestki.

- Mogłabyś być moją córką.

- Co ty. Człowiek ma tyle lat, na ile się czuje.

- To ja jestem już matuzalemem.

- Wiek to tylko liczba.

- W twoim wypadku bardzo mała. - Poruszył pogrzebaczem żarzące się węgielki i patrząc, jak zajmują się żółtym ogniem, odpląnął myślą do Amsterdamu. - Mam pytanie. Słyszałaś kiedyś o spółce Unitech?

- Jasne. Jedna z naszych firm. Oficjalnie niezależna korporacja.

- Fasada.

- Tak niezależna jak psia noga - mruknęła przeczesując ręką krótkie, sterczące włosy.

- Albo jak kocia łapa... - Zaczynał coś sobie przypominać; przez wiele lat Unitech pomagał im w mniej ważnych operacjach. Organizował przykrywkę dla tego czy innego agenta, dając mu lewe zatrudnienie, przelewał pieniądze na zwerbowanie ludzi, którzy mieli odegrać małą rolę w dużej operacji. - Ktoś z Unitechu prowadzi korespondencję z dyrektorem wykonawczym Fundacji Wolność, proponując mu wsparcie logistyczne dla europejskich programów edukacyjnych. Dlaczego?

- Tu mnie masz.

- Wyobraźmy sobie, że ktoś, jakaś grupa, szukał sposobności, żeby zbliżyć się do Petera Novaka. Że chciał go namierzyć, poznać jego plany, dowiedzieć się, gdzie jest.

- Ktoś? Chcesz powiedzieć, że zlikwidowali go nasi ludzie? Moi chlebodawcy?

- Nie, że to zorganizowali. A dokładniej mówiąc, wyreżyserowali.

- Ale dlaczego? Dlaczego? To nie ma sensu.

Fakt, sensu w tym było niewiele. Czy Konsularny Wydział Operacyjny naprawdę zaranżował śmierć Novaka? I dlaczego nie mówiono o tym w mediach? Z dnia na dzień sytu-

acja robiła się coraz dziwniejsza: ludzie, którzy byli ponoć jego najbliższymi współpracownikami, zdawali się nic o niczym nie wiedzieć.

- Co czytasz? - spytała, wskazując papiery.

Pokazał jej plik wydruków.

- I myślisz, że znajdziesz coś wartościowego w publicznie dostępnych materiałach?

- Nie przeceniaj „informacji wywiadowczych”. Połowę tego, co agenci piszą w raportach na temat sytuacji międzynarodowej, można znaleźć w miejscowej prasie.

- Wiem. Ale masz tylko dwoje oczu...

- Powiedziała kobieta, która chciała mi wyborować w czole trzecie.

Puściła to mimo uszu.

- Nie dasz rady przeczytać wszystkiego naraz. Daj mi trochę. Przejrzę. Zawsze to dodatkowa para oczu.

Czytali razem, aż poczuł, że dłużej już nie wytrzyma: potrzebował snu, nie mógł skupić wzroku na gęsto zadrukowanych kartkach. Wstał i się przeciągnął.

- Idę spać.

- W nocy bywa zimno. Nie przyda ci się termofor? - Powiedziała to wesoło i żartobliwie, choć jej oczy były poważne. Wyciągnęła do niego rękę.

Uniósł brew.

- Termofor tych kości nie ogrzeje - odrzekł lekko. - Chyba jednak zrezygnuję.

- No cóż, trudno. - W jej głosie zabrzmiała nutka rozczarowania. - Posiedzę jeszcze trochę i poczytam.

- Grzeczna dziewczynka. - Puścił do niej oko i powlókł się na górę. Był zmęczony, koszmarnie zmęczony. Wiedział, że zaśnie łatwo, ale że nie będzie to dobry sen.

W dżungli była baza. W bazie biuro. W biurze stół. Przy stole siedział żołnierz.

Jego dowódca. Człowiek, który wszystkiego go nauczył.

Człowiek, któremu miał teraz stawić czoło.

Z małych głośników ośmiościeżkowego magnetofonu sączył się średniowieczny chorał. Święta Hildegarda.

- Co cię do mnie sprowadza, synu? - Jego mięsista twarz nie wyrażała niczego poza absolutnym spokojem. Demarest wyglądał tak, jakby naprawdę nie wiedział, o co chodzi.

- Melduję, że chcę złożyć raport, panie poruczniku.

- Oczywiście, jak po każdej operacji.

- Nie, panie poruczniku. Raport na pana. Artykuł pięćdziesiąty trzeci: niewłaściwe traktowanie jeńców wojennych.

- Ach to. Rozumiem. - Demarest milczał chwilę. - Uważasz, że trochę za ostro ich potraktowałem, tak?.

- Za ostro, panie poruczniku? - Janson podniósł głos. Nie wierzył własnym uszom.

- I nie domyślasz się, dlaczego... Cóż, chcesz pisać raport, to pisz. Mam na głowie mnóstwo spraw. Widzisz, ty będziesz smarował raport, a ja muszę tu myśleć jak uratować sześciu ludzi, którzy wpadli w ręce wroga. Sześciu żołnierzy, których dobrze znasz, bo tak się przypadkowo składa, że nimi dowodzisz. A raczej dowodziłeś.

- Melduję, że nie wiem, o czym pan mówi, panie poruczniku.

- Mówię o tym, że sześciu żołnierzy z twojego oddziału dostało się do niewoli pod Lon Duc Than. Byli na rozpoznaniu z oddziałem sił specjalnych marynarki wojennej. Wszystko pasuje. Mamy tu jedno wielkie sito.

- Dlaczego mnie o tym nie uprzedzono, panie poruczniku?

- Bo przez całe popołudnie nie mogliśmy cię nigdzie znaleźć. Podpadasz pod artykuł piętnasty, Janson. Czas na nikogo nie czeka. A teraz przychodzisz do mnie i zavracasz mi

głowę dyrdymałami.

- Proszę o pozwolenie na rozmowę prywatną, panie poruczniku.

- Odmawiam - warknął Demarest. - Rób sobie, co chcesz. Ale ponieważ schwytano ludzi, którzy powierzyli ci swoje życie, twoich ludzi, jesteś najodpowiedniejszym kandydatem na stanowisko dowódcy oddziału, który ich odbije. A raczej byłbyś, gdyby ci na nich choć trochę zależało. Uważasz, że byłem dla tych żółtków nieludzki. Ale nie zrobiłem tego bez powodu, do cholery! Przez te kurewskie przecieki straciłem mnóstwo ludzi. Co się zdarzyło w Noc Lo? Zasadzka, mówisz. Ktoś nas wystawił, mówisz. Pewnie, że tak! Operacja została zatwierdzona przez tych z MACY i gdzieś po drodze pracujące tam żółtki skumały się ze swoimi krewniakami z Wietkongu. A ilekroć się skumają, giną nasi. Widziałeś, jak zabili Hardawaya, tak? Umarł na twoich rękach, bo tamci wypruli mu flaki. Za kilka dni miał wracać do domu. Te skurwysyny rozpruły mu brzuch, a ty przy tym byłeś. Skoro tak, to powiedz mi, żołnierzu, jak się wtedy czułeś? Wzruszyłeś się i rozczuliłeś? Czy może się wkurwiłeś? Masz jaja, czy zgubiłeś je, grając w futbol w Michigan? Może umknęło to twojej uwadze, ale służymy w wywiadzie, Janson, dlatego nie pozwolę, żeby łącznicy Wietkongu, którzy przekształcili MACV w rozgłośnię radiową Hanoi, robili w chuja moich ludzi! - Demarest ani razu nie podniósł głosu, ale jego słowa miały swoją wagę. - Nadrzędnym zadaniem oficera dowodzącego jest dbanie o dobro podwładnych. Dlatego, kiedy chodzi o życie moich ludzi, zrobię wszystko, żeby ich chronić i bronić. Mam gdzieś, co tam na mnie wysmarujesz. Ale jeśli jesteś żołnierzem, jeśli jesteś mężczyzną, najpierw uratujesz swoich ludzi: to twój obowiązek. A potem możesz ulżyć swemu małemu, biurokratycznemu sercu i pisać, ile dusza zapragnie. - Skrzyżował ręce na piersi. - No więc?

- Poproszę o współrzędne, panie poruczniku.

Demarest z powagą skinął głową i podał mu niebieską kartkę ze starannie wypisanymi współrzędnymi.

- Śmigłowiec czeka z pełnymi zbiornikami. - Zerknął na duży, okrągły zegar na przeciwległej ścianie. - Odlatuje za piętnaście minut. Mam nadzieję, że z tobą na pokładzie.

Głosy.

Nie. Głos.

Cichy głos. Głos człowieka, który nie chce, żeby ktoś go podsłuchał. Ale spółgłoski, zwłaszcza te najbardziej syczące, niosą się daleko.

Otworzył oczy. Sypialnia tonęła w srebrzystej poświacie lombardzkiego księżycy. Ogarnął go niepokój.

Mieli gości? W konsulacie generalnym Stanów Zjednoczonych przy Via Principe Amedeo w Mediolanie była placówka KWO - to ledwie pięćdziesiąt minut jazdy samochodem. Czyżby Jessie się z nimi skontaktowała? Ale jak? Wstał i obmacał kieszenie marynarki. Telefon zniknął.

Wzięła go, gdy spał? Może zostawił go na dole? Włożył szlafrok, wziął pistolet spod poduszki i cichutko ruszył na dół, kierując się w stronę głosu.

Głosu Jessie.

W połowie kamiennych schodów przystanął. W gabinecie paliła się lampa i dzięki mocno kontrastującemu oświetleniu - jaskrawe światło w środku, cienisty mrok w holu - mógł się dobrze ukryć. Jeszcze kilka kroków. Jessie stała tyłem do niego, z jego telefonem komórkowym przy uchu. Mówiła cicho.

Ścisnęło go w żołądku. Stało się to, czego się najbardziej bał. Wyteżył słuch. Rozmawiała z kolegą z Konsularnego Wydziału Operacyjnego w Waszyngtonie. Podszedł jeszcze bliżej, żeby lepiej słyszeć.

- A więc wciąż nie do odzyskania, tak? - powtórzyła. - Zlikwidować przy pierwszym kontakcie.

Sprawdzała, czy wyrok śmierci, jaki na niego wydano, wciąż obowiązuje.

Przeszedł go zimny dreszcz. Nie miał wyboru i musiał zrobić to, co powinien był zrobić już dawno temu. Zabić albo dać się zabić. Jessie była zawodową zabójczynią; nieważne, że on zajmował się kiedyś tym samym. Że zajmowali się tym jej chlebodawcy. Nie miał wyboru, musiał ją zlikwidować; jego sentymenty i jej kłamstwa zamydliły mu oczy.

Powiał lekki nocny wiatr i zza otwartego okna dobiegło granie cykad. Przełożył pistolet do prawej ręki i wycelował, wodząc za nią lufą. Nagła pewność tego, co musi zrobić, napęłniała go odrazą. Ale nie było innego wyjścia. Zabić albo dać się zabić: hasło, które chciał raz na zawsze porzucić. Hasło, które nie łagodziło prawdy szerszej, ostatecznej prawdy towarzyszącej całej jego karierze: zabić albo dać się zabić.

- A meldunki z terenu? - pytała Jessie. - Macie coś? Nie mów mi tylko, że pracujecie na ślepo!

Janson patrzył na tę drobną kobietę, podziwiając krągłość jej bioder i piersi, zgrabną sylwetkę jej dobrze umięśnionego ciała. Była naprawdę piękna. Wiedział też, do czego jest zdolna. Widział, jak celnie strzela, na własnej skórze odczuł jej niezwykłą siłę, zwinność, bystrość i przebiegłość. Jej ciało było stworzone do zabijania. Tak, zabije go. Nic jej nie powstrzyma.

- Chłopcy na stanowiskach czy ciągle na dupie? - Mówiła cicho, lecz gorączkowo, niemal napastliwie. - Jezu! To niewybaczalne. Wiesz, jak będziemy wyglądać? Kurczę, a więc to jednak prawda: jeśli chcesz coś zrobić dobrze, zrób to sam. Tak się teraz czuję. Co wam jest? Gdzie wasz wigor i wydajność?

Kolejny kawał zimnej, bezdusznej stali roztrzaska kolejną czaszkę. Kolejne życie dobiegnie końca. Zostanie zniszczone, wymazane, zredukowane do garści cuchnącej materii, z której powstało. To nie był postęp. To było jego przeciwieństwo. Pomyślał o Theo i o pozostałych. Wszyscy zginęli. W imię czego? Wściekłość, która go ogarnęła, była po części wściekłością na samego siebie. Ale co z tego? Jessie musiała umrzeć - umrzeć w górskiej rezydencji za pięć milionów dolarów, w okolicy, w której nigdy w życiu nie była. Z jego ręki. Miała to być ich jedyna prawdziwie intymna chwila.

- Gdzie jest? Nie wiesz, gdzie jest? Akurat to mogę ci powiedzieć - rzuciła do telefonu po krótkiej przerwie. - Kretyni. Naprawdę jeszcze na to nie wpadliście? W Monako, człowieku, w Monako! Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Novak ma tam dom... Nie, Janson był oszczędniejszy w słowach, ale słyszałam jak w rozmowie ze swoją małą przyjaciółką mówił o grze w bakarata. Resztę sobie dośpiewaj. Podobno służycie w cholernym wywiadzie. Może byście tak coś wreszcie wymyślili?

Kłamała. Okłamywała ich.

Okłamywała ich dla niego.

Schował pistolet do kabury i z ulgi zakręciło mu się w głowie. Intensywność tego uczucia zaskoczyła go i zastanowiła. Pytali ją, dokąd wyjechał, a ona skłamała, żeby go chronić. Opowiedziała się po jego stronie.

- Nie - mówiła. - Nie mów nikomu, że dzwoniłam. Ucieliśmy sobie prywatną pogawędkę, zgoda? Tylko ty i ja Misiu. Nie, nie, możesz powiedzieć, że to ty na to wpadłeś, nie mam nic przeciwko temu. Powiedz im... Nie wiem, że jestem w szpitalu, że zapadłam w śpiączkę albo co, i że Holendrzy bulą za mnie jak za zboże, bo nie miałam przy sobie papierów. Założę się, że szefostwo nie ma ochoty ściągać mnie tak szybko do Stanów...

Kilka sekund później wyłączyła telefon, odwróciła się i zaskoczona zobaczyła w drzwiach Jansona, który znudzonym głosem rzucił:

- Kto to jest Misiu?

- Niech cię szlag! - wybuchła. - Szpiegujesz mnie? Słynny Paul Janson małym podglą-

daczem?

- Chciałem napić się mleka.

- Niech cię szlag - powtórzyła, ale po chwili już nieco łagodniej dodała: - Misio to Misio, grubodupy urzędas z Biura Wywiadu i Badań Departamentu Stanu. Ale słodki jest. Chyba mnie lubi, bo jak mnie widzi, wywala jęzor, jakby oglądał Michaela Jordana w akcji pod koszem. Dziwne, nie? Ale jeszcze dziwniejsze jest to, co powiedział mi o Pumie.

- O Pumie?

- To kryptonim Novaka. Uprzedzę twoje pytanie: twój kryptonim to Sokół. Tak, powiedział mi o Pumie. A wiesz co? Że ich zdaniem on żyje.

- Aha i czekają pewnie na oficjalny nekrolog w „New York Timesie”?

- Podobno wzięłeś forszę i miałeś go zdjąć. Ale ci nie wyszło.

- Widziałem jak zginął. - Janson ze smutkiem pokręcił głową. - Boże, oby to była prawda. Nie wiesz, jak bardzo bym tego chciał.

- Co ty właściwie robisz? Wmawiasz wszystkim, że go zabiłeś?

- Boję się, że twój Misio albo cię nabiera, albo nic nie wie. Bardziej prawdopodobne jest to drugie. - Janson przewrócił oczami. - Ostatecznie pracuje za pieniądze podatników.

- Wspomniał, że pokazywali go w CNN. Mamy tu CNN? Może puszcza powtórkę.

Podeszła do wielkiego telewizora, włączyła go i znalazła CNN. Potem włożyła do magnetowidu czystą kasetę i wcisnęła przycisk nagrywania.

Raport specjalny na temat spadku wpływów Banku Rezerw Federalnych. Ponowne napięcia między Koreą Północną i Południową. Najnowsze szaleństwo japońskiej młodzieży. Protesty przeciwko genetycznie zmodyfikowanej żywności w Wielkiej Brytanii. Jak dotąd nagrali czterdzieści minut programu. Potem puszczonego trzyminutowy reportaż o Hindusce, która prowadziła w Kalkucie szpital dla chorych na AIDS, ktoś nazwał ją drugą Matką Teresą. Reportaż, a po reportażu - specjalnie z tej okazji - uroczysta ceremonia dla uczczenia jej dokonań. Dystyngowany mężczyzna wręczał jej nagrodę. Człowiek, który pomógł sfinansować budowę szpitala.

Peter Novak.

Zmarły Peter Novak.

Oszłomiony Janson wpatrywał się w ekran. Czuł, że kręci mu się w głowie. Albo to jakiś trik, albo - co bardziej prawdopodobne - materiał nagrano znacznie wcześniej.

Gdy obejrzą reportaż jeszcze raz, na pewno wszystko się wyjaśni.

Przewinęli taśmę. Tak, nie było wątpliwości, to był Peter Novak. Ta sama twarz, ta sama sylwetka... Uśmiechał się do kamer i mówił: „Jest takie węgierskie powiedzenie. Często je powtarzam, bo bardzo je lubię. *Sok kicsi sokra megy. Z rzeczy małych powstają wielkie.* To dla mnie zaszczyt, że mogę uhonorować tę niezwykłą kobietę, która poprzez niezliczone małe gesty dobroci i współczucia dała światu coś naprawdę wielkiego...”

Musiło istnieć jakieś wytłumaczenie. Po prostu musiało.

Obejrzelik reportaż jeszcze raz, klatka po klatce. A potem jeszcze raz, od początku.

- Zatrzymaj - powiedziała w pewnej chwili Jessie. Wskazała ledwo widoczny fragment czasopisma leżącego na zasłanym papierami stole, przy którym Novak udzielał wywiadu. Pobiegnęła do kuchni i wróciła z czasopismem, które Paul kupił rano we wsi.

- „The Economist” - powiedziała. - To samo.

Fakt, na pierwszej stronie widniało to samo zdjęcie. I ta sama data. To nie było stare nagranie. Wywiad sfilmowano - musiano go sfilmować - po katastrofie na Anurze.

Ale jeśli Peter Novak żył, to kto zginął tam, nad oceanem?

A jeśli Peter Novak nie żył, to kogo właśnie oglądali?

Paulowi zawirowało w głowie.

Szaleństwo. Obłąd.

Kogo przed chwilą widzieli? Brata bliźniaka? Oszusta?

Czy Novaka zamordowano i... zastąpiono sobowtórem? To niemal niewyobrażalne. Kto mógłby coś takiego zrobić?

I kto jeszcze o tym wiedział? Paul wziął telefon i zatelefonował do przedstawicielstw fundacji w Nowym Jorku i Amsterdamie. Pilna wiadomość dla Petera Novaka. Dotyczy jego bezpieczeństwa osobistego.

Wykorzystał wszystkie dostępne chwyt - ponownie bez rezultatu. Odpowiadały mu jak zwykle znudzone, flegmatyczne, leniwie spokojne głosy. Tak, wiadomość zostanie przekazana. Nie, nie możemy obiecać, że ktoś oddzwoni. Nie, nie wiemy, gdzie teraz przebywa. Marta Lang -jeśli tak się naprawdę nazywała - pozostawała równie nieuchwytna.

Paul próbował uporządkować rozedrgane myśli. Co przydarzyło się Novakowi? Co przydarzyło się jemu, Jansonowi? Gdy podniósł wzrok, zobaczył Jessie. Patrzyła na niego z urazą w oczach.

- Proszę cię tylko o jedno - powiedziała. - Wiem, że dużo wymagam, ale... nie okłamuj mnie. Słyszałam za dużo kłamstw. Cholera, sama łągałam jak najęta. Co do tej Anury, to mam na to twoje słowo. Twoje, rozumiesz? Powiedz mi, w co mam uwierzyć. - Zawilgotniały jej oczy i szybko zamrugała. - I komu.

- Wiem, co widziałem - odrzekł cicho i łagodnie.

- Ja też. - Ruchem głowy wskazała telewizor.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że mi nie wierzysz?

- Chcę ci uwierzyć. - Wzięła głęboki oddech. - Chcę uwierzyć... komukolwiek.

Janson milczał przez chwilę.

- Dobrze - westchnął. - Nie dziwię ci się. Posłuchaj, wezwę taksówkę. Pojedziesz do Mediolanu i zameldujesz się w KWO. Takiego strzelca jak ty przyjmą z powrotem z otwartymi ramionami. Zanim ściągniesz tu swoich, będę już daleko.

- Zaraz, powoli...

- Tak będzie najlepiej.

- Dla kogo?

- Dla nas obojga.

- Nie mówisz w naszym imieniu. Mówisz w imieniu Paula Jansona. - Umilkła i zaczęła krążyć nerwowo po pokoju. - Dobra, ty sukinsynu - warknęła. - Widziałeś to, co widziałeś, zgoda. Wiesz, jak to nazywam? Kompletnym pojebaniem.

Paul siedział, pogrążony w chaotycznych myślach. Peter Novak: kim była ta żywa legenda, człowiek, który wychynął znikąd, żeby zapłonąć na nieboskłonie jak świetlisty meteor? Miał tysiące pytań, lecz były to pytania bez odpowiedzi. Wziął zamach i roztrzaskał kubek o kamienny komin. Poczuli się lepiej, ale tylko przez chwilę.

Usiadł w głębokim fotelu: zniszczona, zryta bliznami skóra, na zniszczonej, zrytej bliznami skórze. Jessie stanęła za nim i zaczęła rozmasowywać mu zbolały kark i ramiona.

- Nie chcę cię denerwować - powiedziała - ale jeśli mamy zrozumieć, co się dzieje, musimy stąd wyjechać. Jak myślisz, kiedy KWO nas wytropi? Mają sprzęt, dane satelitarne: wierz mi, ich technicy będą siedzieć dzień i noc, żeby namierzyć twój wóz, motor czy rower. Mój tłusty Miś mówił, że jak dotąd nie mają nic konkretnego; kilka fałszywych doniesień i tyle. Ale sytuacja może się w każdej chwili zmienić. Postawią na nogi wszystkich informatorów w Europie, pójdą każdym, nawet najmniej obiecującym tropem, przejrzą taśmy z autostrad i przejść granicznych, całe to cybergówno. I prędzej czy później ktoś ich na nas naprowadzi.

Miała rację. Przypomniało mu się ulubione powiedzenie Novaka: *Sok kicsi sokra megy*. Czy ich małe, nieudolne próby zaowocują czymś większym? Przypomniały mu się słowa Fieldinga: „Najwyraźniej słabo znasz Węgry. Właśnie tam znajdziesz jego największych zwolenników i najzagorzalszych wrogów”. I słowa Mary Lang: „Jest tym, kim jest, tylko dzięki Węgom, swoim rodakom. Nie należy do ludzi, którzy zapominają o długach”.

„Jest tym, kim jest, tylko dzięki Węgom...”

Ale kim właściwie jest? A może był?

„Dzięki Węgrom, swoim rodakom...” Węgry. Tam musiał jechać.

Istniała szansa, że znajdzie tam jego najzagorzalszych wrogów, ludzi, którzy znali go najdłużej i niewykluczone, że najlepiej.

- Wyglądasz tak, jakbyś podjął jakąś decyzję - zauważyła Jessie z dziwną nieśmiałością w głosie.

Paul kiwnął głową.

- A ty?

- Co to za pytanie?

- Zwyczajne. Zastanawiam się, co robić. Ty też? Jedziesz do Mediolanu?

- A jak myślisz?

- Nie wiem.

- To ci powiem. Jeśli pojedę do Mediolanu i zgłoszę się do KWO, odsuną mnie od działań w terenie co najmniej na rok, może na zawsze. I będą mnie przesłuchiwać; długo i dokładnie. Wiem, jak to wszystko działa. Ale to jeszcze nic, to jeszcze betka. Mam większy problem: jak mam powrócić, nie wiedząc, w co wierzyć. To tak, jakbym wiedziała za dużo i jednocześnie za mało, i właśnie dlatego nie mogę wrócić. Mogę tylko iść naprzód. Inaczej nie potrafiłabym ze sobą żyć.

- Nie potrafiłabyś ze sobą żyć? Ze mną masz jeszcze mniejsze szanse. Dobrze o tym wiesz. Uprzedzałem cię.

- Posłuchaj, wszystko ma swoją cenę - odrzekła cicho i spokojnie. - Jeśli mi pozwolisz, pójdę z tobą. Jeśli nie, będę cię śledziła.

- Nie wiesz nawet, dokąd jadę.

- Misiu, a jakie to ma znaczenie? - Jessie przeciągnęła się. Miała szczupłe, sprężyste ciało. - A dokąd jedziesz?

- Na Węgry - odrzekł po krótkim wahaniu. - Tam, gdzie się to wszystko zaczęło.

- Gdzie się to wszystko zaczęło - powtórzyła cicho Jessie.

Janson wstał.

- Chcesz ze mną jechać, to jedź. Ale pamiętaj, spróbujesz nawiązać kontakt z KWO, i będzie po tobie. To nie ja wyłączę cię z gry. Chcesz się ze mną zabrać, musisz przestrzegać pewnych reguł. Te reguły ustalają ja. W przeciwnym razie...

- Jasne, rozumiem. Możesz przestać drążyć, bo dowierciłeś się do ropy.

Popatrzył na nią chłodno, oceniając ją jako żołnierza i agentkę. Fakt, potrzebował wsparcia. Nie wiedział, co ich czeka. Ale gdyby pomagając mu, była chociaż w połowie tak dobra jak wtedy, gdy na niego polowała, miałby do dyspozycji śmiertelnie niebezpieczną broń.

Przed pójściem spać musiał wykonać kilkanaście telefonów. Musiał przetrzeć ścieżkę.

Nie miał pojęcia, dokąd ich ona zaprowadzi. Ale jaki miał wybór? Bez względu na ryzyko był to jedyne rozwiązanie tajemnicy Petera Novaka.

Rozdział 22

Zastawiał pułapkę, Myśl ta wcale go nie uspokajała, bo wiedział, jak często w pułapki wpadają ci, którzy je sami zastawiają. W tej fazie operacji jego główną bronią miał być spokój. Dlatego nie mógł ani się denerwować, ani też być zbyt pewnym siebie. Nerwy prowadziły do całkowitego paraliżu, zbytnia pewność siebie do głupoty.

Mimo to, jeśli w ogóle miał zastawić pułapkę, nie mógłby sobie wymarzyć lepszej scenarii. 3517 Miskolc-Lillafured, Erzsebet setany 1, stał kilka kilometrów na zachód od Miskolca i był jedynym godnym uwagi gmachem w okolicach kurortu Lillafured. Hotel Pałacowy, jak go teraz nazywano, wznosił się nad lesistymi brzegami jeziora Hamori, na pięknej polanie będącej odległym wspomnieniem epoki feudalizmu, Europy parków i pałaców. Miejsce to wywoływało dziwną nostalgię. Na pomysł wybudowania pałacyku myśliwskiego wpadli w latach dwudziestych notable reżimu admirała Horthy'ego, chcąc w ten sposób uczcić historyczne zwycięstwa Węgrów. Restaurację nazwano imieniem króla Matthiasa, piętnastowiecznego władcy i wojownika, który doprowadził naród do wielkości - wielkości spływającej krwią wrogów. W erze postkomunistycznej pałac odnowiono, przywracając mu dawną świetność. Teraz przyciągał urlopowiczów i biznesmenów z całego kraju. Gmach, który powstał z imperialnej próżności, przeszedł we władanie jeszcze potężniejszego zwierzchnika, czyli komercjalizacji.

Przeciawszy wytwornie urządzony hol, Janson zszedł do podziemnej restauracji. Żołądek skurczył mu się z napięcia; jedzenie było ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę. Jednakże każda, najmniejsza nawet oznaka zdenerwowania mogła go zdradzić.

- Adam Kurzweil - powiedział, starannie modulując głos. Mówił szkolną, dobrze wyćwiczoną angielszczyzną, którą posługiwali się zarówno wykształceni mieszkańcy Brytyjskiej Wspólnoty Narodów - Zimbabwe, Kenia, Afryka Południowa, Indie - jak i zamożni Europejczycy, którzy uczyli się jej od młodości. „Kurzweil” - elegancki garnitur w cienkie, białe paski i purpurowy krawat - nosił się z arogancją i wyniosłością biznesmena nawykłego do szacunku i posłuszeństwa.

Ubrany we frak *maitre d'hotel* - miał złane brylantyną czarne, falujące włosy - obrzucił go ostrym, taksującym spojrzeniem i rozciągnął usta w zawodowym uśmiechu.

- Pański gość już czeka - powiedział i zerknął na stojącą obok młodą kobietę. - Ta pani zaprowadzi pana do stolika.

Janson beznamiętnie skinął głową.

- Dziękuję.

Stolik - pewnie na życzenie Lakatosa - stał w dyskretnym kącie sali. Sandor Lakatos był człowiekiem przedsiębiorczym i ostrożnym, w przeciwnym razie nie utrzymałby się tak długo w tej branży.

Idąc za kobietą, Patii próbował wczuć się w rolę do tego stopnia, żeby stać się tym, kogo odgrywał. Pierwsze wrażenie miało olbrzymie znaczenie. Lakatos był podejrzliwy. Dlatego on jako Kurzweil musiał być jeszcze bardziej podejrzliwy. Wiedział, że to najlepsza broń.

Okazało się, że Lakatos jest niski, drobny i przygarbiony; górna część jego kręgosłupa musiała być mocno zakrzywiona do przodu, bo miał ciągle pochyloną głowę. Pochyloną głowę, wydatne policzki, kartoflowaty nos i pomarszczoną szyję w jednej linii z dolną szczęką, co nadawało głowie groszkowaty kształt. Wyglądał dziwnie.

Był również jednym z największych handlarzy bronią w Europie Środkowej. Swoją olbrzymią fortunę zgromadził w czasach, gdy obłożona embargiem Serbia zaczęła szukać nielegalnych dostawców tego, czego nie mogła już zdobyć legalnie. Rozpoczął karierę jako

właściciel samochodowej firmy przewozowej, dlatego przerzucając się na handel bronią nie musiał modyfikować ani modelu, ani infrastruktury swego dobrze rozwiniętego przedsiębiorstwa. To, że w ogóle zechciał spotkać się z Adamem Kurzweilem, było pochodną jednej z cech stojących za jego sukcesem: czystej, niczym nienasyconej chciwości.

Wykorzystując dawno nieużywaną legendę - występował jako szef jednej z kanadyjskich firm ochroniarskich, a właściwie prywatnej milicji - Janson zadzwonił do kilkunastu biznesmenów, którzy wycofali się już z branży. Każdemu przekazał identyczną wiadomość. Niejaki Adam Kurzweil, reprezentujący anonimowego klienta, szukał dostawcy, z którym chciał przeprowadzić wielką, niezwykle lukratywną transakcję. Kanadyjczyka - Paul stworzył tę legendę bez wiedzy Konsularnego Wydziału Operacyjnego - wspominało bardzo mile. Szanowano go za to, że zawsze trzymał się w cieniu i za to, że często znikał bez śladu, zaprzestając działalności. Mimo to ludzie, do których dzwonił, wprawdzie niechętnie, ale odmawiali współpracy. Wszyscy byli niezwykle ostrożni: dorobili się wielkich pieniędzy i żyli teraz innym życiem. Ale nie miało to żadnego znaczenia. Janson wiedział, że w świecie handlarzy bronią wiadomość o pojawieniu się poważnego kupca szybko się rozniesie; ten, kto doprowadziłby do zawarcia transakcji, otrzymałby pokaźną prowizję. Zamiast skontaktować się bezpośrednio z Lakatosem, Paul nawiązał kontakt z otaczającymi go ludźmi. Ody jeden z biznesmenów, mieszkaniec Bratysławy, któremu dzięki dobrym koneksjom z rządem nie groziło policyjne śledztwo, spytał go, dlaczego Adam Kurzweil nie spróbuje pogadać z Lakatosem, w odpowiedzi usłyszał, że Kurzweil, człowiek bardzo podejrzliwy i nieufny, nie podejmuje rozmowy z kimś, za kogo nikt osobiście nie zareczył. Że po prostu Lakatosowi nie ufa. Że on i jego klient nie chcą niepotrzebnie ryzykować. Poza tym, czy ten Lakatos nie jest przypadkiem za „cienki”, żeby przeprowadzić tak wielką transakcję?

Zgodnie z oczekiwaniami, plotki o jego butnych i obraźliwych wątpliwościach dotarły do Lakatosa, który obruszył się, że ktoś śmie go tak traktować. Jemu nie można ufać? Jemu? On za „cienki”? On nieodpowiednim partnerem dla Kurzweila, tego tajemniczego pośrednika? Najpierw się wściekł, a potem zaczął pragmatycznie kalkulować. Kurzweil psuł mu reputację, a on nie mógł sobie na to pozwolić - interesy przede wszystkim. Istniał zatem tylko jeden sposób na odparcie tych oszczerczych zarzutów: musiał zawrzeć tę lukratywną transakcję.

Tylko kim był ten cały Kurzweil? Kanadyjski inwestor niechętnie o nim mówił. „Mogę jedynie powiedzieć, że jest bardzo dobrym klientem”. Telefon Jansona rozdzwonił się już kilka godzin później. Lakatos musiał poruszyć niebo i ziemię, prosząc znajomych o przysługę, bo wszyscy bardzo go wychwalali i rekomendowali. Cóż, Kanadyjczyk wreszcie uległ. Pan Kurzweil będzie przejeżdżał przez Miszkolc. Lakatos mieszka niedaleko, więc może uda się zorganizować spotkanie. Z tym że proszę zrozumieć jedno: pan Kurzweil jest bardzo nieufny. Jeśli odmówi, Lakatos nie powinien się na niego obrażać.

Mimo pozornej obojętności, a nawet niechęci, nie było człowieka, z którym Janson nie chciałby się bardziej spotkać. Zdawał sobie sprawę, że tylko dzięki koneksjom węgierskiego handlarza śmiercią będzie mógł dotrzeć do odwiecznych, dobrze zakamuflowanych wrogów Petera Novaka.

Siedząc w wysokim, skórzanym fotelu w holu, widział jak Lakatos wchodzi do restauracji i celowo odczekał dziesięć minut, zanim do niego dołączył. Do stolika podchodził z miłą i jednocześnie lekko zblazowaną miną. Węgier zaskoczył go, wstając i serdecznie go obejmując.

- Nareszcie się spotykamy! - wykrzyknął. - Tak mi miło... - Przywarł do niego górną połową ciała i spoconymi dłońmi poklepał go po plecach, a potem w okolicy pasa. Tym niezbyt subtelnym sposobem chciał go po prostu obszukać i gdyby Janson miał pod marynarką kaburę - pod pachą lub z tyłu - natychmiast by ją wyczuł.

Gdy usiedli, obrzucił go spojrzeniem, w którym chciwość mieszała się z podejrzliwością. Wiedział, że niektóre okazje są zbyt dobre, żeby były prawdziwe: trzeba umieć odróżnić owoc, który sam wpada w ręce, od owocu zatrutego.

- *Libamaj roston*, gęsie wątróbki z grilla, są znakomite. Podobnie jak *brassói aprepecsenye*, rodzaj duszonej wieprzowiny. - Mówił głosem chrapliwym i lekko zasapanym.

- Osobiście wolę *bakanyi serteshus* - odrzekł Janson.

Węgier znieruchomiał.

- A więc zna pan ten lokal. Uprzedzano mnie, że światowy z pana człowiek.

- Jeśli w ogóle coś panu o mnie mówiono, na pewno powiedziano za dużo. - Mimo uśmiechu, w głosie Paula pobrzmiwała twarda, znacząca nutka.

- Proszę o wybaczenie - odrzekł Lakatos. - Jak sam pan wie, podstawą naszej działalności jest wzajemne zaufanie. Uścisk ręki i reputacja zamiast kontraktów i papierków. Tak jak za dawnych czasów. Mój ojciec był dostawcą produktów mlecznych. Jego małe, białe furgonetki widywało się tu przez dziesiątki lat. Zaczynał w latach trzydziestych i gdy do władzy doszli komuniści, szybko stwierdzili, że lepiej będzie przekazać tę małą firmę komuś, kto zna okolicę i rozumie mieszkających tu ludzi. Widzi pan, jako nastolatek ojciec sam był kierowcą. Więc kiedy któryś z podwładnych skarżył się, że siadło mu koło czy pękła chłodnica, że będzie miał przez to pół dnia opóźnienia, on tylko kręcił głową. Po prostu wiedział jak długo potrwa naprawa, bo kiedyś sam musiał takie rzeczy naprawiać. Ludzie w końcu to zrozumieli. Nie mogli go oszukać, ale nie wzbudzało to ich niechęci, tylko szacunek. Myślę, że jestem taki sam jak on.

- Często próbują pana oszukać?

Lakatos uśmiechnął się, odsłaniając rząd porcelanowych zębów, zaskakująco białych i równych.

- Niewielu jest aż tak głupich - odparł. - Wiedzą, jak by za to zapłacili, - W jego głosie zabrzmiała groźba i znacząca nutka szacunku dla samego siebie.

- Ci, którzy nie doceniali Węgrów, nigdy dobrze na tym nie wyszli - rzekł poważnie Paul. - Ale z drugiej strony, niewielu z nas może twierdzić, że rozumie wasz język i kulturę.

- Węgierska hermetyczność. Pomogła naszemu krajowi, gdy próbowano go zniewolić. Bywało też, że nam nie służyła. Ale myślę, że ci, którzy muszą działać ostrożnie, dobrze poznali jej wartość.

Kelner napełnił szklanki wodą.

- Butelkę margaux dziewięćdziesiąt osiem - powiedział Kalatos i spojrzał na Kurzweila. - To młode wino, ale bardzo orzeźwiająca. Chyba że chciałby pan spróbować miejscowego specjału, wina z rodzaju bycza krew. Takich trunków się nie zapomina.

- Tak, chętnie.

Lakatos skinął grubym palcem na kelnera.

- Zamiast margaux, poproszę butelkę egri bikaver rocznik osiemdziesiąt dwa. Jak podobają się panu Węgry? - zwrócił się do Paula.

- Niezwykły kraj, który dał światu wielu niezwykłych ludzi. Tylu noblistów, reżyserów filmowych, matematyków, fizyków, kompozytorów, dyrygentów, pisarzy... Ale wśród tych szlachetnych i utytułowanych jest ktoś, kto bardzo niepokoi moich klientów.

Lakatos ponownie znieruchomiał.

- Intryguje mnie pan.

- Wolność jednego jest zniewoleniem drugiego, jak powiadają. Podstawa wolności może być również podstawą tyranii. - Zawiesił głos, żeby Lakatos zrozumiał wagę tych słów.

- Fascynujące. - Węgier głośno przełknął ślinę i sięgnął po szklankę.

Janson stłumił udawane ziewnięcie.

- Przepraszam - wymamrotał. - Lot z Kuala Lumpur, choć wygodny, jest bardzo długi. - Upiorna jazda z Mediolanu do Egeru wyładowaną mięsem ciężarówką była bardzo uciążliwa:

trwała siedem godzin, co wystarczyło, by zszargał sobie nerwy. Podczas gdy on jadł kolację z handlarzem bronią, Jessie Kincaid opracowywała już plan dalszej podróży. Wypożyczył też samochód na fałszywy paszport i kartę kredytową. Paul miał nadzieję, że dziewczyna zdąży choć trochę odpocząć. - Ale cóż - dodał wyniośle. - Podróżowanie jest moim życiem.

- Wyobrażam sobie - odrzekł Lakatos z błyszczącymi oczami.

Kelner w czarnym krawacie przyniósł wino. Obwiązana białą ściereczką butelka nie miała naklejki: nazwę winnicy wytłoczono w szkłe. Wino było ciemnoczerwone, w kryształowych kieliszkach niemal czarne, i niezwykle aromatyczne. Lakatos wypił duży łyk, przepłukał usta, przełknął i oznajmił, że jest świetne.

- Eger słynie ze swoich winnic. - Podniósł kieliszek. - Jest nieprzezroczyste, ale zapewniam pana, że warte każdego pieniądza. Znakomity wybór.

- Dziękuję- odrzekł Janson.- Tak, rzeczywiście jest znakomite. I równie tajemnicze jak Węgrzy.

W tej samej chwili do ich stolika podszedł mężczyzna w jasnoniebieskim garniturze. Amerykański turysta, w dodatku pijany. Janson podniósł wzrok i w głowie rozdzwoniły mu się wszystkie dzwonki alarmowe.

- Kopę lat - powiedział tamten, po pijacku przeciągając głoski i kładąc włochatą rękę na białym obrusie tuż przy koszyku z pieczywem. - Wiedziałem, że to ty. Paul Janson we własnej osobie. - Głośno prychnął i odszedł. - Mówiłem, że to on - rzucił do kobiety siedzącej przy stoliku po drugiej stronie sali.

Niech to szlag! To, co się właśnie zdarzyło, mogło się teoretycznie zdarzyć, ale Paul miał jak dotąd szczęście. Kiedyś w Uzbekistanie, wy-" stępując jako wysłannik znanej korporacji petrochemicznej, był na spotkaniu w ministerstwie zasobów naturalnych. Przez biuro przeszedł pewien Amerykanin, cywil, handlowiec, który znał go pod innym nazwiskiem - poznali się w Azerbejdżanie, w zupełnie innych okolicznościach. Spotkali się wzrokiem. Amerykanin skinął mu głową i poszedł dalej. Z jemu tylko wiadomych powodów widok Jansona zdenerwował go równie mocno, jak jego widok zdenerwował Jansona. Chociaż nie zamienili ze sobą ani słowa, Paul wiedział, że nic mu nie grozi. Ale to, co zdarzyło się teraz, było o wiele gorsze i bardziej niebezpieczne.

Odczekał, aż przestanie walić mu serce i z obojętną miną spojrzał na Lakatosa.

- Pański przyjaciel? - spytał. Nie było jasne, do kogo zwracał się Amerykanin, i „Adam Kurzweil” założył, że do Lakatosa.

- Mój? - odparł oszołomiony Węgier. - Ja go nie znam.

- Czyżby - rzucił łagodnie Paul, odsuwając od siebie podejrzenia i zmuszając go do defensywy. -Nieważne. W tym świetle i po takim winie mógłby wziąć pana za samego Nikitę Chruszczowa!

- Na Węgrzech zawsze roiło się od duchów - zripostował Lakatos.

- Niektóre stworzyliście sami.

Lakatos odstawił kieliszek, puszczając tę uwagę mimo uszu.

- Proszę mi wybaczyć ciekawość. Jak pan zapewne wie, mam wielu znajomych. Ale pańskie nazwisko było mi jak dotąd obce.

- I bardzo się z tego cieszę. - Paul pociągnął długi łyk wina. - A może schlebiam tylko mojej dyskrecji? Prawie całe życie spędziłem na południu Afryki, gdzie pańskie nazwisko też nie jest za bardzo znane.

Lakatos kiwnął głową, to znaczy, jeszcze głębiej wbił podbródek w tłustą poduszkę szyi.

- Dojrzały rynek - odrzekł. - Nie twierdzę, że jest tam wielkie zapotrzebowanie na moje usługi, ale owszem, miałem do czynienia z biznesmenami stamtąd i muszę powiedzieć, że są wzorowymi partnerami w interesach. Wiedzą, czego chcą i płacą dobrą cenę za dobry towar.

- Zaufanie za zaufanie. Uczciwość za uczciwość. Moi klienci potrafią być hojni, ale nie są rozrzutni. Chcą mieć to, za co zapłacili. Dobra cena za dobry towar, jak pan to ujął. Ale będę z panem szczerzy. Nie chodzi im tylko o towar, o rzeczy materialne. Interesuje ich również to, czego nie można kupić na skrzynki czy palety. Szukają sojuszników. Ludzkiego kapitału.

- Nie chciałbym pana źle zrozumieć - odparł z kamienną twarzą Lakatos.

- Nieważnej jakimi ujmie się to słowami: moi klienci wiedzą, że są ludzie, którzy podzielają ich zdanie. I pragną zdobyć ich wsparcie.

- Zdobycie ich wsparcie... - powtórzył ostrożnie Lakatos.

- A oni odwdzięczą się tym samym.

Lakatos wypił duży łyk wina.

- Zakładając, że ludzie ci tego potrzebują.

- Każdy potrzebuje dodatkowego wsparcia. - Janson uśmiechnął się swobodnie. - Na tym świecie jest niewiele pewników. To jeden z nich.

Lakatos wyciągnął rękę i poklepał go z uśmiechem po nadgarstku.

- Podoba mi się pan - powiedział. - Jest pan myślicielem i dżentelmenem. Nie to co te szwabskie gbury, z którymi tak często mam do czynienia.

Kelner nałożył im wątróbki - „poczęstunek od szefa kuchni” - i Węgier zachłannie wbił w nią widelec.

- Ale rozumie pan, o co mi chodzi, prawda? - spytał Janson. Wrócił Amerykanin w jasnoniebieskim garniturze. Widać postanowił wyjaśnić sprawę do końca.

- Nie pamiętasz mnie? - rzucił wojowniczo. Tym razem Paul nie mógł udąć, że nie wie, do kogo intruz się zwraca.

Popatrzył na Lakatosa.

- Przebawne. Zdaje się, że jestem winien panu przeprosiny. - Z obojętną, pozbawioną zainteresowania twarzą spojrzął na zadziornego Amerykanina. - Chyba bierze mnie pan za kogoś innego – powiedział nienaganną angielszczyzną.

- Akurat. I czemu tak śmiesznie gadasz? Próbujesz się przede mną ukryć? O to chodzi? Unikasz mnie? W sumie to ci się nie dziwię.

Paul spojrzął na Lakatosa i beznamiętnie wrzucił ramionami, słysząc, jak wali mu serce.

- Czasami mi się to zdarza. Mam już taką twarz. W zeszłym roku byłem w Bazylei i jakaś kobieta w hotelowym barze dawała głowę, że spotkaliśmy się w Gstaad. - Uśmiechnął się i zasłonił ręką usta, jakby wspomnienie to go żenowało. - Co więcej, podobno mieliśmy romans.

- Ona i pan? - spytał bez uśmiechu Lakatos.

- Ona i ten, za którego mnie wzięła. Było dość ciemno. Kusilo mnie, żeby zaprosić ją do pokoju i dokończyć rzecz, którą ów dżentelmen rozpoczął. Żałuję, że tego nie zrobiłem, choć myślę, że prędzej czy później zrozumiałaby swoją pomyłkę. - Roześmiał się głośno i swobodnie, lecz podniósłszy wzrok, stwierdził, że pijany Amerykanin wciąż stoi nad nim z szyderczym wyrazem twarzy.

- Więc nie masz mi nic do powiedzenia? - warknął.

Kobieta, z którą siedział przy stoliku - niemal na pewno jego żona - podeszła do nich i pociągnęła go za rękę. Miała lekką nadwagę i była w letniej sukience, zupełnie nie pasującej do pogody ani do pory dnia.

- Donny - powiedziała. - Przeszkadzasz temu miłemu panu. Pewnie jest na urlopie, tak jak my.

- Miłemu panu? Przez tego kutasa wyleciałem z pracy! - Donny miał mocno zaczerwienioną twarz i minę, która mówiła, że lada moment trafi go szlag. - Tak, tak, przez ciebie. Szef ściągnął cię, żebyś odwalił za niego brudną robotę, co? Wielki Paul Janson, konsultant do

spraw bezpieczeństwa. Przyjeżdża, parę dni później wręcza naczelnemu raport o niedopatrznościach w polityce kadrowej i o kradzieżach w firmie. I co? I naczelny bierze mnie za dupę, bo jak to się stało, że do tego dopuściłem? Poświęciłem tej firmie dwadzieścia lat życia. Mówili ci o tym? Byłem dobrym pracownikiem! Byłem dobrym pracownikiem... - Z gniewu i żalu ściągnęła mu się twarz.

Kobieta obrzuciła Paula wrogim spojrzeniem. Chociaż zachowanie męża ją krępowało, jej wąskie jak szparki oczy mówiły, że dużo słyszała o człowieku, który wyrzucił biednego Donny'ego z pracy.

- Kiedy pan wytrzeźwieje i zechce mnie przeprosić - odparł zimno Janson - proszę zaoszczędzić sobie kłopotu. Przyjmuję pańskie przeprosiny już teraz. Takie pomyłki się zdarzają.

Cóż jeszcze mógł powiedzieć? Jak zareagowałby na jego miejscu Kurzweil? Konsternacją, rozbawieniem, a potem gniewem.

Oczywiście nie było żadnej pomyłki. Janson dobrze pamiętał Donalda Weldona, wicedyrektora do spraw bezpieczeństwa, zadowolonego z siebie karierowicza, który zatrudniał na wysokich stanowiskach swoich kuzynów, siostrzeńców i przyjaciół, traktując firmę jak źródło ubocznych dochodów. Dopóki nie doszło do jakiejś większej katastrofy, któż mógłby zarzucić mu niekompetencję i wezwać na dywanik? Z biegiem czasu kradzieże i pensje dla fikcyjnie zatrudnionych pracowników zaczęły wywierać wpływ na budżet operacyjny firmy, a jeden z wicedyrektorów regularnie pobierał drugą pensję, sprzedając poufne informacje konkurencji. Janson z doświadczenia wiedział, że ludzie tacy jak on zamiast uczciwie przyznać, że zwolniono ich z pracy nie bez powodu, zawsze obarczają winą tych, którzy wywlekli ich niecne uczynki na światło dzienne. Właściwie Donald Weldon powinien był mu podziękować, że na wyrzuceniu z pracy się skończyło. Z raportu jasno wynikało, że osobiście zatrudniał ludzi ha lewo: zebrane dowody pozwoliłyby wszcząć dochodzenie, postawić go przed sądem i skazać na karę więzienia. Jednak Janson zasugerował, żeby go jedynie zwolnić, co uchroniło firmę przed blamażem i zapobiegło ujawnieniu kompromitujących materiałów przed procesem i w czasie jego trwania. Dzięki mnie jesteś wolny, ty przekupny sukinsynu, pomyślał.

Amerikanin pogroził mu podetkniętym pod nos palcem.

- Zobaczysz, ty parszywy skurwysynu - wycharczał. - Kiedyś oberwiesz za swoje. - Żona pociągnęła go za sobą i odszedł chwiejnie, pijany winem i gniewem.

Janson spojrzał wesoło na Lakatosa i ogarnęło go przerażenie. Węgier miał zimną, wyrachowaną twarz. Nie był głupcem i nie mógł automatycznie wykluczyć, że coś tu jest nie tak. Jego oczy świeciły jak dwie małe, czarne kulki.

- Nie pije pan wina- powiedział, wskazując widelcem kieliszek.. I uśmiechnął się lodowatym uśmiechem kata.

Paul znał sposób myślenia ludzi jego pokroju: Lakatos rozważał teraz, co jest bardziej prawdopodobne, lecz ostrożność podszeptowała mu same złe rzeczy. Janson wiedział też, że zapewnienia i protesty na nic by się nie zdały. Był spalony. Amerikanin udowodnił, że on, Adam Kurzweil, nie jest tym, za kogo się podaje, a ludzie tacy jak Sandor Lakatos najbardziej bali się oszustwa. Kurzweil był teraz symbolem nie złotej okazji, lecz niebezpieczeństwa. I bez względu na to, co nim kierowało, musiał zostać wyeliminowany.

Ręka Lakatosa znikła w wewnętrznej kieszeni wypchanej wełnianej marynarki. Na pewno nie ukrywał tam broni - to by po prostu nie uchodziło. Ale długo jej nie wyjmował, jakby włączał czy wyłączał jakieś urządzenie, automatyczny pejdżer czy innego rodzaju nadjajnik.

A potem zerknął na drugą stronę sali, gdzie czuwał *maitre d' hotel*. Paul poszedł za jego wzrokiem: dwaj ubrani w ciemne garnitury mężczyźni, którzy, nie rzucając się w oczy, stali przy cynkowanej ladzie baru, lekko zeszywnieli. Dlaczego nie zauważył ich wcześniej?

Ochroniarze. Oczywiście. Żaden handlarz bronią nie spotkałby się z nowym klientem, nie podejmując choćby podstawowych środków ostrożności.

Krótką wymiana spojrzeń sugerowała, że ci przy barze otrzymali właśnie nowe zadanie. Nie byli już tylko zwykłymi ochroniarzami. Teraz byli katami. Luźne rozpięte marynarki zwiślały im ciężko z ramion: postronny obserwator pomyślałby, że lekkie wybrzuszenie na wysokości butonierki to paczka papierosów czy telefon komórkowy, ale on dobrze wiedział, co to jest. Krew ścięła mu się w żyłach.

Tak, tamci nie pozwolą, żeby Adam Kurzweil wyszedł z hotelu żywy. Paul znał ten scenariusz na pamięć, Szybko skończą jeść, a potem przejdą przez hol w towarzystwie ochroniarzy. Z dala od ludzi strzelą mu z pistoletu z tłumikiem w tył głowy, a ciało wrzucą do jeziora lub do bagażnika samochodu.

Musiał coś zrobić. I to natychmiast.

Sięgając po kieliszek, strącił łokciem widelec ze stołu i przepaszając wzruszywszy ramionami, schylił się, żeby go podnieść. Podwinął nogawkę spodni, rozpiął pasek i wyjął z kabury małego Glocka M26, który kupił rano w Egerze. Zaciśnął palce na wyżłobieniach w rękojeści i położył broń na kolanach. Jego szanse lekko wzrosły.

- Był pan już nad jeziorem? - spytał Lakatos. - O tej porze roku jest przepiękne. - I kolejny uśmiech odsłaniający rząd porcelanowych zębów.

- Tak, rzeczywiście - zgodził się z nim Paul.

- Może pozwoliliby się pan zaprosić na krótką przechadzkę po kolacji.

- Nie jest za ciemno?

- Och, czyja wiem... Przynajmniej będziemy sami. I lepiej się poznamy. - Oczy błyszczały mu jak dwa węgle.

- Dobrze, chętnie. Zechce pan wybaczyć, ale muszę pana na chwilę opuścić.

- Ależ oczywiście. - Lakatos ponownie zerknął na ochroniarzy przy barze.

Janson wetknął pistolet za pasek, wstał i ruszył do toalety w krótkim korytarzu po drugiej stronie sali. Dochodząc do drzwi, poczuł się jak po zastrzyku adrenaliny: wyrósł przed nim kolejny mężczyzna w ciemnym garniturze. Postury tych przy barze, na pewno nie był ani gościem, ani pracownikiem restauracji. Był ochroniarzem Lakatosa, którego ten wysłał tu, przewidując taką ewentualność. Paul wszedł do wyłożonej marmurem toalety, a mężczyzna - wysoki, barczysty, z wyrazem zawodowego znudzenia na twarzy - wszedł za nim. Wszedł i zamknął drzwi na klucz, co oznaczało, że są sami. Paul gorączkowo myślał. Nie wytłumiony strzał zaalarmowałby tamtych, a tamci też mieli broń. Glock wcale nie zwiększył jego szans. Coś za coś: konieczność ukrycia broni przez wzrokiem obserwatora wykluczała jej pożądaną skuteczność; pistolet z tłumikiem w kaburze na kostce u nogi za bardzo rzucałby się w oczy. Paul podszedł do pisuaru. W wypolerowanej na błysk nierdzewnej stali widział zniekształcone odbicie przysadzistego ochroniarza. Widział też długi, cylindryczny kształt jego broni. Pistoletu z tłumikiem.

Uznali, że nie ma potrzeby czekać, aż wyjdzie z hotelu. Postanowili załatwić go już tu, teraz, na miejscu.

- Ile Lakatos ci płaci? - spytał, nie odwracając głowy. - Dam dwa razy więcej.

Ochroniarz milczał.

- Nie mówisz po angielsku? Ale pewnie wiesz, jak wyglądają dolary?

Tamten nie zmienił wyrazu twarzy, lecz schował broń. Bezbronność

Jansona sugerowała lepszy sposób ataku: wyjął z kieszeni sześćdziesięciocentymetrowej długości strunę z małymi plastikowymi uchwyty na końcach.

Paul musiał wyteżyc słuch, żeby spośród szmerów otoczenia wyłowić cichutki niby szept szelest materiału, gdy mężczyzna wyprostowywał ręce, żeby zarzucić garotę. Był zawodowcem i podjął dobrą decyzję. Garota zapewniała śmierć nie tylko cichą, ale i bezkrwawą. Po czymś takim łatwo mogli go potem „wyprowadzić”, niby pijanego. Ochroniarz objąłby go

potężnym ramieniem, ustawił w miarę prosto i powlókłby go tak z pełnym zażenowania uśmiechem - mijani po drodze goście pomyśleliby pewnie, że ot, facet za dużo wypił.

Janson dotknął czołem wyłożonej marmurem ściany i odwrócił się niepewnie, udając wstawionego. Nagle i gwałtownie rzucił się w prawo i do góry, a gdy zaskoczony ochroniarz zatoczył się do tyłu, grzmotnął go kolaniem w krocze. Ochroniarz jęknął i zaatakował, zarzucając mu garotę na ramiona i gorączkowo próbując przesunąć ją wyżej, na odsłoniętą szyję. Struna wbiła się głęboko w ciało i Janson poczuł przeszywający ból, jakby na ramieniu zaciśnięła mu się gorąca obręcz. Do tyłu? Nie, tylko do przodu. Zamiast się cofnąć, natarł na napastnika, uderzając go podbródkiem w pierś. Jednocześnie sięgnął mu za pazuchę i wyszarpnął z kabury długi, opatrzony tłumikiem pistolet: ochroniarz nie mógł uwolnić rąk, nie odrzucając garoty. Musiał wybierać. Wypuścił garotę, uderzył go od dołu w nadgarstek i pistolet zaklekotał na marmurowej podłodze.

W tym samym momencie Janson zaprawił go bykiem w twarz. Trafił w szczękę i dobiegł go trzask zębów uderzających o zęby. Jednocześnie owinał prawą nogę wokół jego nogi, mocno pociągnął ją do siebie i ochroniarz runął na plecy. Upadł, lecz musiał przejść solidne przeszkolenie, bo natychmiast kopnął Paula w stopę, powalając go tuż obok siebie. Pomimo bolącego kręgosłupa Janson błyskawicznie wstał, zrobił krok do przodu, ponownie kopnął go w krocze i wbił nogę między jego uda. Prawą ręką chwycił jego lewą nogę, a lewą zgiął prawą nogę w kolanie tak mocno, że kostka dotknęła drugiego kolana. Ochroniarz był wściekły i przerażony. Rzucił się na wszystkie strony i okładał go pięściami: dobrze wiedział, co mu grozi i gotów był zrobić wszystko, żeby temu zapobiec. Ale Janson nie dał się zastraszyć. Instynkt podsuwał mu uproszczone sposoby walki -zwarcie i ucieczka- lecz on z zimnym wyrachowaniem trzymał się konkretnej metody: podniósł do góry jego wyprostowaną nogę, przełożył ją przez kolano i ze wszystkich sił nacisnął. Trzasnęła kość. Noga jest dobrze umięśniona, dlatego odgłos ten nie przypominał trzasku pękającego drewna. Był cichy, przytłumiony, i towarzyszyły mu silne wrażenia dotykowe: nagłe zwiotczenie mięśni, gdy zerwały się ścięgna i pękł staw.

Ochroniarz otworzył usta jak do krzyku. Musiało go potwornie boleć, w dodatku zdał sobie sprawę, że już do końca życia pozostanie kaleką, że kolano już nigdy nie będzie funkcjonowało poprawnie. Rany odniesione podczas walki najbardziej bolą po walce: wcześniej ból jest neutralizowany działaniem hormonów. Jednakże dźwignia „czwórkowa” zrobiła swoje. Towarzyszący takiemu złamaniu ból często prowadził do utraty przytomności. Ale ochroniarz nie należał do przeciętniaków i chociaż musiał potwornie cierpieć, zadawał mu ciosy rękami. Paul pochylił się do przodu i całym ciężarem runął na niego, celując kolanami w twarz. Było to cios zwany kowadłem. Ochroniarz głośno sapnął i stracił przytomność.

Janson podniósł pistolet - CZ-75, czeski, bardzo skuteczny - i wetknął go niezdarnie do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Ktoś zapukał do drzwi - Paul dopiero teraz zdał sobie sprawę, że słyszał pukanie już przedtem, lecz wtedy koncentrował się na walce -ktoś powiedział coś po węgiersku: goście, którzy przyszli tu za potrzebą. Janson zawlókł nieprzytomnego ochroniarza do kabiny, posadził go na muszli klozetowej i ściągnął mu spodnie do kolan. Górna połowa ciała mężczyzny opierała się o ścianę, lecz z dołu widać było jedynie nogi. Zatrzasnął zasuwkę, wyczołgał się na zewnątrz pod drzwiami, otworzył drzwi główne i przepaszająco wzruszywszy ramionami, minął czterech rumianych mężczyzn, nie zważając na ich wojownicze spojrzenia.

Pistolet uciskał go w pierś; marynarkę miał zapiętą tylko na dolny guzik. Na końcu korytarza zobaczył dwóch ochroniarzy, tych z baru. Po ich minach - zdumienie, które momentalnie przeszło w nienawiść - poznał, że spodziewali się ujrzeć swego kolegę, któremu mieli pomóc wyprowadzić „pijanego” Jansona z restauracji. Jeden z nich, ten wyższy, zaszedł mu drogę.

- Proszę zachować dużą ostrożność. - Mówił po angielsku z silnym obcym akcentem. Twarz miał spokojną i zupełnie bez wyrazu. - Mój kolega celuje do pana z pistoletu. To broń bardzo dużego kalibru. Broń bardzo cicha. Wskaźnik umieralności na zawał serca jest w tym kraju niezwykle wysoki, ale jeśli umrze pan tutaj, na pewno zwróci to czyjaś uwagę. Wolałbym tego uniknąć. Są elegantsze sposoby. Ale cóż, jeśli będzie pan utrudniał sprawę, nie zawahamy się ani sekundy. ,

Z głównej sali jadalnej dochodził wesoły gwar i dźwięki melodii, która w ciągu ostatniego stulecia stała się melodią uniwersalną: *Happy Birthday to You. Boldog születesnapot!* Po węgiersku też dobrze brzmi, pomyślał Janson, przypominając sobie duży stół, kilkunastu biesiadników i cztery oszronione butelki szampana na stok.

Z wyrazem przerażenia na twarzy, w teatralnym geście nagłej trwogi, położył sobie ręce na piersi. Jednocześnie szybkim ruchem ukrył prawą dłoń pod lewą i ukradkiem przesunął ją w stronę rękojęści pistoletu.

Zaczekał na odgłos powszechnie łączony z wesołym świętowaniem, na Węgrzech i we wszystkich innych krajach świata: na strzał korka. Pierwszy strzelił już chwilę później. Słyszając strzał drugi, Paul nacisnął spust Ciche puf! zginęło w wesołej wrzawie i w tym samym momencie twarz ochroniarza wykrzywił potworny grymas. W marynarce Jansona widniała maleńka, ledwo widoczna wystrzępiona dziurka. Mężczyzna upadł. Był zawodowcem i gdyby oberwał tylko w brzuch, na pewno wytrzymałby dłużej. To, że upadł natychmiast, mogło oznaczać tylko jedno: kula przebiła górną część jamy brzusznej i utkwiała w kręgosłupie, w rezultacie czego doszło do przerwania rdzenia kręgowego i paraliżu mięśni dolnej połowy ciała. Paul znał objawy całkowitej katalepsji i z doświadczenia wiedział, jak wyjątkowym przeżyciem jest ona dla żołnierzy, nawet dla tych najtwardszych. Ludzie ci po prostu płakali. Opłakiwali swoje nieodwracalne kalectwo, czasami nawet zapominając o tym, że jeszcze żyją, że warto coś zrobić, żeby to życie zachować.

- Wyjmij rękę z kieszeni albo będziesz następny - powiedział chrapliwym szeptem do drugiego ochroniarza.

Jego najskuteczniejszą bronią był teraz władczy, zdecydowany głos, nie pistolet. Teoretycznie rzecz biorąc, doszło między nimi do klasycznego meksykańskiego pojedynku: dwóch przeciwników, obydwaj z palcem na czułym spuście broni. Ochroniarz nie miał żadnego logicznego powodu, żeby się poddawać. Jednakże Paul wiedział, że się podda. Zaskoczył go tym, co przed chwilą zrobił i swoją pewnością siebie. Kryło się za nią zbyt wiele niewiadomych, których tamten nie mógł w tak krótkim czasie przeanalizować: czy Kurzweil jest w stanie oddać strzał szybciej od niego? Może ma na sobie kamizelkę kuloodporną? Dwie sekundy to za mało, żeby to rozważyć. A rezultat kary za błędną odpowiedź był aż nadto widoczny. Ochroniarz zerknął na znieruchomiałego, bladego jak ściana kolegę ... i na rozlewającą się wokół niego kałużę. To, że ranny nie trzymał moczu, wskazywało na przerwanie nerwów krzyżowych spowodowane uszkodzeniem środkowej lub dolnej części kręgosłupa.

Mężczyzna wyciągnął przed siebie ręce. Był przerażony i poniżony. Czuł do siebie odrazę,

„Jeśli przeciwnik ma dobry pomysł, ukradnij go” - mawiał komandor porucznik Alan Demarest, ilekroć rozmawiali o wyrafinowanych pułapkach, zastawianych przez żołnierzy Wietkongu. „Jeśli za długo spoglądasz w otchłań, otchłań spojrzysz na ciebie”. Coś dla niego szykowali, więc teraz on przyszykuje to samo dla nich. I nie zawaha się użyć przy tym niepożądanego CZ-75.

- Nie stój tak - szepnął ochroniarzowi do ucha. - Nasz przyjaciel miał atak serca. Mówił, że to u was częste. Podniesiesz go, a gdy się na tobie oprze, wyjdziemy razem z restauracji. - Mówiąc, zapiął rannemu marynarkę, żeby ukryć plamę krwi na koszuli. - A jeśli choć na chwilę stracę z oczu twoje ręce, przekonasz się, że zawał bywa zaraźliwy. Zresztą nie wiem,

może stwierdzą, że zatruliście się jedzeniem. I obydwaj będziecie mogli kupić sobie wózki inwalidzkie. Oczywiście zakładając, że przeżyjecie.

To, co nastąpiło potem, było nieco zenujące, lecz skuteczne: kolega podtrzymujący niedysponowanego kolegę szybko ruszył korytarzem w stronę głównej sali. Gdy tam weszli, Janson zobaczył, że Lakatos zniknął. Niebezpieczeństwo!

Paul gwałtownie się cofnął i przez podwójne drzwi wpadł do kuchni. W środku było zaskakująco głośno i upiornie gorąco. Skwierczało smażące się na oleju mięso, bulgotały płyny, stukotały noże siekające pomidory i cebulę, dudniły tłuczki do mięsa, którymi rozbijano kotlety cielece, pobrzękiwały zmywane naczynia. Biegając przed siebie, nie zwracał uwagi na ubranych w białe fartuchy mężczyzn i kobiety. Wiedział, że musi tam być jakieś wyjście - było nie do pomyślenia, żeby produkty żywnościowe dostarczano do kuchni przez wyłożony kosztownymi dywanami hol.

Na końcu pomieszczenia zobaczył zardzewiałe metalowe schody, wąskie i strome. Prowadziły do otwartych stalowych drzwi. Paul pchnął je i wypadł na rzeźkie, wieczorne powietrze, tym chłodniejsze, że w kuchni było parno i gorąco.

Zamknął je najciszej jak umiał i rozejrzał się wokoło. Był po prawej stronie budynku, niedaleko parkingu. Gdy oczy przywykły do mroku, stwierdził, że dwadzieścia metrów dalej są rozłożyste drzewa i trawa: kryjówka, lecz nie schronienie.

Wtem jakiś dźwięk. Chrobot. Szelest. Ktoś szedł, ocierając się plecami o ścianę. Szedł w jego stronę! Wiedział, że Paul jest uzbrojony i robił to bardzo ostrożnie.

Mały gejzer kłujących odprysków cegły i tynku uderzył go w twarz, zanim jeszcze usłyszał stłumione kasznięcie wystrzału. Tamten go widział, miał go jak na widelcu! Janson rzucał się na ziemię, wyteżając słuch. Napastnik stał trzydzieści metrów dalej - teraz najważniejsza była celność i Szybkość. Obliczył, że ma cztery sekundy na zajęcie pozycji. Cztery sekundy.

Ukląkł, pochylił się do przodu, opadł na lewą rękę, a prawą, tę uzbrojoną, oparł na ziemi, jednocześnie turlając się w bok. Kostkę lewej nogi docisnął do kolana prawej i znieruchomiał. Mógł teraz ująć pistolet obiema rękami, opierając je mocno o ziemię: twardo ubity żwir stanowił dobrą podpórkę. Włożył palec w osłonę spustu. Czeski CZ-75 był długi i nieporęczny, ale nadrabiał to celnością, siłą obalającą i rozrzutem znacznie mniejszym niż rozrzut pocisków maleńkiego glocka.

Zidentyfikował cel - ochroniarza, którego przed chwilą zostawił w restauracji - i oddał dwa strzały. Były ciche, lecz odrzut broni wyraźnie mówił, jak potężną mają moc. Pierwsza kula chybiła. Druga trafiła w szyję i ochroniarz upadł, bryzgając krwią.

Stłumiony wybuch. Gdzieś tam, z tyłu. Janson zeszywniał, lecz prawie natychmiast zdał sobie sprawę, że to opona stojącego trzy metry dalej samochodu terenowego pękła, przebita kulą. Polował na niego ktoś jeszcze i na podstawie kierunku, z którego padł strzał, oraz na podstawie geometrii budynku Paul szybko ustalił jego przybliżoną pozycję.

Wciąż leżąc, obrócił się o trzydzieści stopni w prawo i zobaczył Sandora Lakatosa we własnej osobie. Węgier ścisnął w rękę błyszczącego glocka. Elegant, cholera, pomyślał Janson. W niklowanej powierzchni pistoletu odbijało się światło halogenowych latarni parkingu, co ułatwiało celowanie. Muszka, okrągławy tors Lakatosa, spust i silny odrzut broni. Jeden i drugi.

Węgier odpowiedział spazmatycznym ogniem. Jaskrawe rozbłyski chwilami Paula oślepiły, lecz słyszał dobrze: jedna z kul rozorała żwir ledwie kilka centymetrów od jego prawej nogi. A jednak: Lakatos okazał się śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem. Dwa strzały i nic? Spudłował? A może Lakatos był w kamizelce kuloodpornej?

I wtedy dobiegł go jego ciężki oddech. Węgier powoli osunął się na Ziemię. Kula przebiła mu płuca, które szybko wypełniały się krwią. Handlarz śmiercią nie był głupi i dobrze wiedział, co się z nim dzieje: topił się we własnej krwi.

Rozdział 23

Niech cię szlag, Janson - powiedziała Jessie Kincaid. Jechali wynajętym samochodem, nie przekraczając dozwolonej prędkości. On siedział za kierownicą, ona robiła za pilotkę. Chcieli dotrzeć do Budapesztu, do Archiwum Narodowego, lecz dotrzeć tam okrężną trasą, bocznymi drogami. - Czemu nie pozwoliłeś mi pójść? Powinam była tam być.

Wysłuchawszy jego szczegółowej relacji z wydarzeń poprzedniego wieczoru, kipiała gniewem i nieustannie robiła mu wyrzuty.

- Nigdy nie wiadomo, czym taki człowiek może cię zaskoczyć - tłumaczył cierpliwie Janson, regularnie zerkając w lusterko i wypatrując niepożądanego towarzystwa. - Poza tym spotkaliśmy się w podziemnej restauracji, więc jak byś mnie ubezpieczała? Położyłabyś karabin na barowej ladzie czy oddałabyś go do szatni?

- W środku może bym ci nie pomogła. Ale przed hotelem to co innego. Pełno tam drzew, różnych kryjówek. Dobrze wiesz, że to gra przypadków. Powinieneś był się zabezpieczyć, a ty tego nie zrobiłeś.

- Nie chciałem niepotrzebnie ryzykować.

- Jasne.

- Ze względu na ciebie. Nie było powodu narażać cię na niebezpieczeństwo.

- I dlatego narażałeś się sam. To nieprofesjonalne. Wykorzystaj mnie. Traktuj mnie jak partnerkę.

- Jak partnerkę? Wróćmy do rzeczywistości. Masz dwadzieścia dziewięć lat. Ile z tego przepracowałaś w terenie? Nie zrozum mnie źle, ale...

- Nie mówię, że jesteśmy sobie równi. Mówię tylko: ucz mnie. Będę najlepszą uczennicą, jaką kiedykolwiek miałeś.

- Chcesz być moją *protege*?

- Uwielbiam, kiedy mówisz po francusku.

- Powiem ci coś. Swego czasu miałem paru uczniów. Coś ich ze sobą łączy.

- Niech zgadnę. Wszyscy są facetami.

Janson posepnie pokręcił głową.

- Nie. Wszyscy nie żyją. - Wśród widniejących w oddali wież dziewiętnastowiecznych kościołów strzelały w niebo wieżowce ery komunistycznej, symbole aspiracji, które przetrwały dłużej niż same aspiracje.

- Aha, rozumiem. Postanowiłeś trzymać mnie z daleka, żeby nic mi się nie stało. - Odwróciła się w fotelu i spojrzała mu prosto w oczy. - Nic z tego.

- Oni wszyscy nie żyją, Jessie. Oto mój wkład w rozwój ich kariery zawodowej. Byli dobrzy. Byli niezwykli. Utalentowani. Theo Katsaris mógł być lepszy ode mnie. Tyle tylko, że im jesteś lepszy, tym o wyższe grasz stawki. Nie szanowałem życia. Nie tylko mojego. Innych też.

- „Każda potencjalnie korzystna operacja jest również operacją potencjalnie ryzykowną. Sztuka planowania powinna skupić się na odpowiednim wyważeniu tych dwóch stref niepewności”. Napisałeś tak kiedyś w raporcie.

- Miło mi, że tak dokładnie przestudiowałaś moje życie. Ale opuściłaś kilka rozdziałów. Wszyscy uczniowie Paula Jansona mają paskudny nawyk przedwczesnego umierania.

Archiwum Narodowe mieściło się w długim na pół ulicy neogotyckim gmachu o małych, witrażowych oknach, przypominających okna

katedry, które mocno ograniczały ilość wpadającego do środka światła. Jessie Kincaid wzięła sobie do serca pomysł Jansona i rozpoczęła śledztwo tam, gdzie się wszystko zaczęło.

Miała listę brakujących informacji, które mogły pomóc im rozwikłać tajemnicę węgierskiego filantropa. Ojciec Petera Novaka, hrabia Ferenczi-Novak, obsesyjnie bał się o bezpieczeństwo syna. Fielding twierdził, że miał wrogów i był przekonany, że wrogowie ci zechcą się na nim zemścić. Czyżby czekali na okazję aż pół wieku? Słowa dziekana Cambridge cięły jak ostry nóż: „Może i był paranoikiem, ale nawet paranoicy mają wrogów”. Jessie chciała prześledzić losy hrabiego w tych pamiętnych latach, gdy Węgry ogarnął krwawy chaos. Czy zachowały się dokumenty, na których podstawie można by ustalić, dokąd podróżował z synem lub sam? Jednakże najważniejsze były informacje genealogiczne: powiadano, że Peter Novak bardzo troszczy się o członków swojej rodziny - to typowe dla kogoś, kto dużo w młodości wycierpiał. Ale kim ci ludzie byli? Miał kuzynów, z którymi utrzymywał kontakt? Historię rodziny hrabiego Ferenczi-Novaka spowijały mroczne tajemnice, lecz czy ich rozwiązanie nie spoczywało w przepastnych magazynach węgierskiego Archiwum Narodowego? Gdyby zdobyli nazwiska tych nieznanymi krewnych, mogliby ich odszukać i być może otrzymaliby odpowiedź na pytanie, które nie dawało im spokoju: czy Peter Novak żyje, czy nie?

Paul podrzucił ją na miejsce i odjechał - miał do załatwienia inne sprawy. Lata spędzone w terenie wykształciły w nim szósty zmysł, który podpowiadał mu, gdzie można kupić fałszywe dokumenty oraz inne przydatne podczas akcji przybory. Powiedział jej, że może nie mieć szczęścia, ale że warto spróbować.

Jessie - miała na sobie zwykłe dżinsy i ciemnozielone polo - przystanęła w holu i przestudiowała spis zasobów archiwum, wiszący obok zastraszająco długiej listy wydziałów.

Archiwa Kanclerstwa Węgierskiego (1414-1848) I „B”
Zbiory rządowe (1867-1945) II „L”
Zbiory rządowe Węgierskiej Republiki Rad (1919) II „M”
Zbiory Węgierskiej Partii Pracujących (MDP) i Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej (MSZMP) VII „N”
Archivum Regnicolaris (1222-1988) I „O”
Archiwa sądowe (XIII w. -1869) I „P”. Archiwa rodzinne, przemysłowe, instytucjonalne (1527-XX w.)

Lista nie miała końca.

Jessie weszła do dużej sali zastawionej katalogami i stołami. Przy ścianach było kilkanaście stanowisk informacyjnych. Za ladą każdego siedział urzędnik, którego zadaniem było rozpatrywanie próśb zarówno naukowców badaczy, jak i osób prywatnych. Nad jednym ze stanowisk wisiała tabliczka z napisem, że jest to punkt informacyjny dla osób mówiących po angielsku. Jessie stanęła w krótkiej kolejce. Obserwowała znudzonego urzędnika o grubo ciosanych rysach. Szybko stwierdziła, że „informacje”, których udzielał, sprowadzają się do wyjaśnień, dlaczego ten czy inny dokument nie może być udostępniony.

- A więc pani pradziadek urodził się w Szekesfehervarze w 1870 - mówił do Angielki w kratkowanym wełnianym żakiecie. - To miło z jego strony. Niestety, w tamtych czasach w Szekesfehervarze było ponad sto pięćdziesiąt parafii. Ma pani za mało danych, żeby odszukać go w archiwum.

Angielka ciężko westchnęła i odeszła.

- Urodzony w Tata w latach osiemdziesiątych lub dziewięćdziesiątych XIX wieku? - powtórzył urzędnik z gadzim uśmiechem na ustach. - Chciałaby pani, żebyśmy przeszukali wszystkie zapisy od roku 1880 do 1889? - Zgryźliwość ustąpiła miejsca urazie. - To po prostu niemożliwe. Irracjonalne. Nie może pani tego od nas oczekiwać. Czy zdaje pani sobie sprawę,

ile kilometrów akt tu mamy? Nie jesteśmy w stanie znaleźć tego bez bardziej szczegółowych wskazówek.

Gdy nadeszła jej kolej, Jessie po prostu podała mu kartkę ze starannie wypisanymi nazwiskami, adresami i datami.

- Powie pan pewnie, że tego nie da się znaleźć, prawda? – Posłała mu zabójczy uśmiech.

- Wygląda na to, że wszystkie niezbędne dane tu są... - odrzekł, nie odrywając wzroku od kartki. - Zaraz zadzwonię i sprawdzę.

Zniknął w aneksie za ladą i wrócił kilka minut później.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Te materiały są niedostępne.

- Jak to niedostępne? - zaprotestowała Jessie.

- Są pewne... luki w zbiorach. Pod koniec II wojny światowej wiele akt straciliśmy, głównie w pożarach. Żeby chronić pozostałe, część zasobów przeniesiono do podziemi katedry Świętego Stefana. Uważano, że to bezpieczne miejsce i dużo akt leżało tam przez dziesiątki lat. Niestety, podziemia są wilgotne i zniszczył je grzyb. Woda i ogień. Niby przeciwnieństwa, ale jedno groźniejsze od drugiego. - Teatralnym gestem rozłożył ręce. - Akta hrabiego Ferenczi-Novaka uległy zniszczeniu.

Jessie nie ustępowała.

- Na pewno? Mógłby pan to sprawdzić jeszcze raz? - Zapisała na karteczce numer swego telefonu komórkowego i energicznie go podkreśliła. - Gdyby pan jednak coś znalazł, byłabym wdzięczna. - Kolejny oszałamiający uśmiech. - Bardzo wdzięczna.

Urzędnik pochylił głowę. Widać było, że zaczyna mięknąć. Najwyraźniej nieczęsto uwodziły go młode kobiety.

- Oczywiście - odrzekł. - Ale nie mam wielkich nadziei. Na pani miejscu nie liczyłbym na zbyt wiele.

Zadzwonił trzy godziny później. Jego obawy, powiedział, były przedwczesne. Wyczuwając, że sprawa jest dla niej bardzo ważna, ponownie sprawdził, czy akta hrabiego Ferenczi-Novaka rzeczywiście uległy zniszczeniu. Zważywszy na ogrom nagromadzonych w archiwum materiałów, ktoś mógł je po prostu źle skatalogować, to nieuniknione.

Jessie słuchała go z narastającym podnieceniem.

- To znaczy, że je pan znalazł? Że można je obejrzeć?

- Niezupełnie. Ciekawa rzecz. Z jakichś powodów przeniesiono je do specjalnego działu. Do działu zamkniętego. Boję się, że dostęp do nich jest ściśle ograniczony i kontrolowany. Osoba prywatna? Wykluczone. Musiałaby mieć dokumenty, pozwolenie z ministerstwa...

- Przecież to głupie.

- Rozumiem panią doskonale. Interesuje panią genealogia, dlatego fakt, że tego rodzaju akta traktuje się jak tajne dokumenty państwowe, wydaje się pani absurdalne. Ale osobiście przypuszczam, że to tylko kolejny przykład błędnego skatalogowania.

- Załamałabym się, przeleciałam pół świata. Nie wyobraża pan sobie, jak bardzo byłabym wdzięczna, gdyby mi pan pomógł. - W słowie „wdzięczna” brzmiała obietnica.

- Chyba mam za miękkie serce. - Urzędnik westchnął. – Wszyscy tak mówią. To mój słaby punkt.

- Właśnie widzę - odrzekła słodziutko Jessie.

- Samotna Amerykanka w obcym mieście. To chyba przykre.

- Gdyby ktoś zechciał mnie oprowadzić, pokazać najciekawsze miejsca. Ktoś stąd, z Budapesztu. Prawdziwy Węgier.

- Pomaganie innym to nie tylko moja praca - odrzekł ciepłym głosem. - To moje powołanie.

- Dostrzegłam je w panu, gdy tylko pana zobaczyłam.
- Proszę mi mówić Istvan. Cóż, jak by to załatwić. Najprościej by było, gdyby... Ma pani samochód?
- Oczywiście.
- Gdzie pani zaparkowała?
- Naprzeciwko archiwum - zełgała Jessie. Czteropiętrowy parking mieścił się w masywnym budynku z szarego betonu, tym brzydszym, że stał o krok od wspaniałego gmachu archiwum.
- Na którym poziomie?
- Na czwartym.
- Spotkamy się tam za godzinę. W teczce będę miał kopie akt. Jeśli pani zechce, moglibyśmy pojechać potem na przejażdżkę. Budapeszt to wyjątkowe miasto. Sama się pani przekona.
- To pan jest wyjątkowy - odrzekła Jessie.

Drzwi windy otworzyły się na piętrze w dwóch trzecich zastawionym samochodami. Jednym z nich był żółty fiat, którego zaparkowała tam przed godziną. Przyszła przed czasem i nikogo w pobliżu nie zauważyła.

Tylko czy aby na pewno.

I gdzie ten nieszczęsny samochód? Tym razem wjechała inną windą, po drugiej stronie parkingu. Rozglądając się, kątem oka zauważyła jakiś ruch: ktoś szybko schował głowę. Szybko, lecz ułamek sekundy za późno. Fatalny błąd, brak profesjonalizmu: dać się zauważyć, próbując być niewidocznym. A może to pochopny wniosek? Może to zwykły złodziej, który chce ukraść radio? Tego rodzaju kradzieże są w Budapeszcie nagminne.

Ale nie. Ryzyko wzrasta tym bardziej, im bardziej się je lekceważy. Musiała się stąd wydostać, i to szybko. Tylko jak? Istniało duże prawdopodobieństwo, że ktoś obserwuje windy. Musiała wyjechać samochodem, ale nie tym, którym tu przyjechała.

Swobodnym krokiem weszła między rzędy samochodów i nagle runęła na betonową posadzkę, amortyzując upadek rękami. Rozpłaszczyła się, przeczołgała między samochodami do sąsiedniego przejścia, wstała i chyłkiem pobiegła tam, gdzie widziała ukrywającego się mężczyznę.

Była teraz za nim i ostrożnie podszedłszy bliżej, zobaczyła jego szczupłą sylwetkę. Urzędnik z archiwum? Nie. Ktoś, kogo urzędnik przysłał tu w zastępstwie. Mężczyzna stał prosto. Skonsternowany rozglądał się lękliwie. Patrzył to na wyjścia, to na drzwi windy. Zmrużył oczy, próbując zobaczyć coś przez szybę żółtego fiata.

Już wiedział, że dał się podejść. Wiedział też, że jeśli nie odzyska przewagi, będzie musiał stawić czoło konsekwencjom.

Runęła na niego od tyłu, powaliła go na ziemię i założyła mu dźwignię na szyję. Grzmotnął szczęką w beton tak mocno, że aż zachrząściło.

- Kto jeszcze na mnie czeka? - syknęła.
- Tylko ja. - Jessie przeszedł zimny dreszcz.

Facet był Amerykaninem.

Przewróciła go na plecy i wbiła mu lufę pistoletu w oko.

- Kto jeszcze? - powtórzyła.
- Dwaj na ulicy, naprzeciwko. Przestań! Proszę! Wyklujesz mi oko!
- Nie, jeszcze nie teraz. Ale na pewno poczujesz, kiedy ci je wykluję. Jak wyglądają? - Nie odpowiedział, więc dźgnęła go lufą jeszcze mocniej.

- Jeden ma krótkie, jasne włosy. Taki duży. Drugi... ma brązowe, ostrzyżone na jeża. I kwadratowy podbródek.

Zwolniła nacisk. Na zewnątrz czekała grupa przechwytyjąca. Prosty schemat. Chudzielec miał tu samochód: gdyby wyjechała, w dyskretnej odległości pojechałby za nią.

- Dlaczego? - spytała. - Dlaczego to robicie?

Posłał jej wyzywające spojrzenie.

- Janson wie dlaczego. Wie, co zrobił. Mesa Grande. Nie zapomnieliśmy.

- O Chryste. Coś mi mówi, że nie mamy czasu w tym grzebać. Nie teraz. Powiem ci, co zrobimy. Wsiądziemy do samochodu i wywieziesz mnie stąd.

- Do jakiego samochodu?

- Nie masz bryczki? To po cholere ci oczy? - I ponownie dźgnęła go w powiekę.

- Niebieski renault - sapnął tamten. - Proszę, przestań!

On usiadł za kierownicą, ona z tyłu. Nisko pochyliła głowę, ale cały czas celowała w niego z beretty: wiedział, że jeśli jej nie posłucha, pocisk bez trudu przebije oparcie siedzenia i będzie po nim. Kręty zjazd, przeszklona budka i pomarańczowy szlaban.

- Staranuj go! Rób, co mówię!

Samochód roztrzaskał cienki szlaban i z rykiem silnika wypadł na ulicę. Zerknęła w lusterko...

I zobaczyła biegnącego mężczyznę. Kwadratowy podbródek, jeź na głowie - wszystko się zgadzało. Czekał po drugiej stronie ulicy. Gdy skręcali, szybko zagadał do mikrofonu nadajnika.

Na przedniej szybie wykwitła nagle pajęczyna pęknięć i wóz wpadł w poślizg. Jessie wyjrzała ostrożnie zza fotela i kilkanaście metrów w lewo zobaczyła potężnie zbudowanego blondyna z pistoletem o długiej lufie. Strzelał do nich.

Amerykanin za kierownicą nie żył; widziała krew sączącą się z rany wylotowej w jego potylicy. Musieli stwierdzić, że coś poszło nie tak, że wzięła zakładnika, i uciekli się do drastyczniejszych kroków.

Samochód wtoczył się na ruchliwe skrzyżowanie, zmieniając pasy, jadąc pod prąd. Roztrąbiły się klaksony, zapisały hamulce.

Olbrzymia dwunastokołówka, rycząc klaksonem jak okręt, minęła ich dosłownie o metr.

Jessie wiedziała, że jeśli pozostanie między fotelami, żeby uniknąć kul, grozi jej zderzenie. Gdyby natomiast spróbowała zapanować nad samochodem, mogliby ją postrzelić.

Kilka sekund później wóz zwolnił. Przetoczył się przez skrzyżowanie i przeciąwszy cztery pasy ruchu, łagodnie uderzył w parkujący na poboczu samochód. Szarpnęło. Siła uderzenia rzuciła ją do przodu, ale przyjęła to niemal z ulgą, bo wreszcie się zatrzymali. Otworzyła drzwiczki, wyskoczyła na chodnik i wmieszała się w tłum przechodniów.

Minął kwadrans zanim zyskała absolutną pewność, że ją zgubili. Jednocześnie wymogi przetrwania wzięły górę nad wymogami śledztwa. Tak, zgubili ją, lecz ze ściśniętym sercem zdała sobie sprawę, że i ona zgubiła ich.

Spotkali się w urządzonym po spartańsku pokoiku w Gryfie, dawnym hotelu robotniczym przy ulicy Beli Bartoka.

Jessie miała książkę, którą kupiła gdzieś po drodze. Kolejny hymn pochwalny na temat Novaka i chociaż książka była po węgiersku, nie miało to żadnego znaczenia, bo zawierała prawie same zdjęcia.

Janson przejrzał ją i wzruszył ramionami.

- Dla zagorzałych fanów - powiedział. - Albo na stolik do kawy. Czego dowiedziałas się w archiwum?

- Niczego. Ślepy zaułek.

Przyjrzał się jej uważnie i dostrzegł niepokój na jej twarzy;

- Mów.

Zacinając się, opowiedziała mu o spotkaniu na parkingu i o ucieczce. Było oczywiste, że urzędnik z archiwum musiał działać na zlecenie tych, którzy mu płacili, że wszczął alarm i próbował wciągnąć ją w zasadzkę.

Paul słuchał jej z narastającym przerażeniem, graniczącym w wściekłością.

- Nie powinnaś była robić tego sama - powiedział, z trudem zachowując spokój. - Takie spotkanie... Przecież musiałaś wiedzieć, czyni to pachnie. Nie możesz działać na własną rękę. To nierozważne... - Urwał, ciężko dysząc;

Jessie pociągnęła się za koniuszek ucha.

- Co to? Czyżbym słyszała echo?

Janson westchnął.

- Rozumiem, dotarło.

- No więc? - spytała po chwili. - Co to jest Mesa Grande?

- Mesa Grande - powtórzył i w głowie zawirowało mu od obrazów, których nie potrafił zatrzeć nawet czas.

Mesa Grande: więzienie wojskowe o zaostrowym rygorze u stóp Inland Empire w Kalifornii. Małe, długie baraki z brązowej cegły i białe turnie gór San Bernardino na horyzoncie. Granatowe kombinezony więźniów, białe płócienne koła przyczepione rzepami do piersi. Specjalne krzesło z rynną na krew i pasami, którymi unieruchamiano skazańcowi głowę. Worki z piaskiem do wychwytywania kul, tych zbłąkanych i tych celnych. Demarest stał twarzą do oddalonej o sześć metrów ściany - ściany z otworami strzelniczymi dla sześciu członków plutonu egzekucyjnego. Sześciu żołnierzy z karabinami. Właśnie przeciwko tej ścianie najbardziej protestował. Chciał, żeby go rozstrzelano, i tę prośbę spełniono. Ale chciał też widzieć twarze żołnierzy, lecz mu odmówiono.

Janson wziął głęboki oddech.

- Mesa Grande to miejsce, gdzie złych ludzi spotyka zły koniec.

Koniec zły i odważny, bo Demarest patrzył na ścianę bezczelnie i wyzywająco - nie, w jego wzroku było coś więcej: gniewne oburzenie -dopóki nie zagrzmiała salwa i białe koło na jego piersi nie zabarwiło się na jaskrawoczerwono.

Paul chciał być świadkiem egzekucji z powodów, których sam do końca nie rozumiał, i jego prośba została niechętnie spełniona. Do dziś nie wiedział, czy podjął wówczas dobrą decyzję. Ale nie miało to już żadnego znaczenia: Mesa Grande była jego częścią. Częścią człowieka, którym się stał. Chwilą zemsty. Chwilą, w której sprawiedliwość zatriumfowała nad niesprawiedliwością. Wyglądało na to, że dla innych chwila ta była zupełnie czym innym.

Mesa Grande.

Czyżby zagorzali zwolennicy tego potwora postanowili pomścić jego śmierć? Po tylu latach? Absurdalne. Co wcale nie znaczy, że niemożliwe. Niestety. Diabły Demaresta: może byli wśród nich najemnicy zwerbowani przez wrogów Novaka? Kto pokona diabła szybciej niż inny diabeł?

Szaleństwo.

Wiedział, że Jessie chciałaby usłyszeć więcej, ale nie mógł się przełamać. Powiedział tylko:

- Musimy jutro wcześniej wstać. Idź się przespać. - A gdy położyła mu rękę na ramieniu, szybko odszedł.

Gdy zasypiał, znowu nawiedziły go mroczne duchy, których nie mógł odpędzić, chociaż bardzo chciał.

Za życia Demarest odebrał mu przeszłość: czy po śmierci odbierze mu przyszłość?

Rozdział 24

Działo się to przed trzydziestoma laty, czyli teraz. W odległej dżungli, czyli tutaj.

Te odgłosy. Zawsze te odgłosy: stukot móżdżierzy, odległy i przytłumiony bardziej niż kiedykolwiek, bo zawędrowali wiele kilometrów za granicę oficjalnych stref walki. I te ostro zakończone bambusowe kije, które ci z Wietkongu wbijali w dno małych, dobrze zamaskowanych dziur, czekających na nieostrożnego żołnierza.

Ponownie zerknął na kompas, żeby sprawdzić, czy idą w dobrym kierunku. W dżungli panował wieczny półmrok nawet wtedy, gdy świeciło słońce. Sześciu ludzi. Szli trzema parami, daleko od siebie, żeby uniknąć niebezpiecznego zagęszczenia na terytorium wroga. Tylko on szedł sam.

- Maguire - powiedział cicho do mikrofonu.

Nie doczekał się odpowiedzi. Usłyszał za to wystrzały, terkot kilkunastu rosyjskich automatycznych pistoletów maszynowych.

Zaraz potem dobiegł go przeraźliwy krzyk żołnierzy -jego żołnierzy - i szczekliwe rozkazy po wietnamsku. Właśnie sięgał po karabin, gdy oberwał w głowę. Potem nie czuł już nic.

Był na dnie czarnego, głębokiego jeziora. Dryfował tuż nad mułem jak karp i mógłby zostać tam na zawsze, rozkoszując się błotnistą czernią, chłodem i bezruchem, lecz coś zaczęło ciągnąć go ku powierzchni, wrywać go z tego kojącego, milczącego podwodnego świata. I to światło: raziło go w oczy, paliło skórę i chociaż stawiał opór, chociaż nie chciał wypłynąć, tajemnicza moc była nieugięta: woda wypychała go, podrywała, jakby miotła się na haczyku, i wreszcie otworzył oczy, żeby zobaczyć inne, przeszywające go wzrokiem oczy. Już wiedział, że podwodny świat wydał go światu, którym rządzi ból.

Chciał usiąść, ale nie dał rady - pomyślał, że to z osłabienia. Spróbował jeszcze raz i zdał sobie sprawę, że jest przywiązany do noszy, szorstkiego płótna rozciągniętego między dwoma kijami. Nie miał na sobie spodni ani kurtki. Wirowało mu w głowie i nie mógł skupić wzroku.

Wiedział, że ma wstrząśnienie mózgu, wiedział też, że nic nie może na to poradzić.

Rozmowa. Szybka wymiana słów po wietnamsku. Oczy należały do jakiegoś oficera, zapewne z Wietkongu. Schwymano go: to było jasne. Z oddali dochodziło potrzaskiwanie krótkofalówki. Brzmiało jak sekcja rozstrojonych instrumentów smyczkowych, raz głośniejsze, raz ciszej i po chwili dotarło do niego, że to on sam: to traci przytomność, to ją odzyskuje. Ubrany na czarno żołnierz przyniósł ryż i zaczął karmić go łyżką. To absurdalne, ale był mu wdzięczny. Jednocześnie uświadomił sobie, że jest dla nich kimś cennym, że jest potencjalnym źródłem informacji. Oni mieli je z niego wyciągnąć, on miał temu zapobiec i przeżyć. Poza tym wiedział, że przesłuchując, amatorzy często zdradzają więcej niż zdobywają. Powiedział sobie, że musi wykorzystać siłę koncentracji... kiedy ją tylko odzyska. Zakładając, że w ogóle odzyska.

W gardle utknęła mu gula ryżu. Nie, nie ryżu. To był żuk, który wpadł do rozgotowanej papki. Żołnierz uśmiechnął się leciutko. Karmienie Amerykanina było dla niego poniżające, ale rekompensował to sobie w ten sposób, że żywił go strasznym świństwem. Jansonowi było wszystko jedno.

- *Xin loi* - powiedział. Jedno z nielicznych wyrażen, które Paul dobrze znał: Przykro mi *Xin loi*. Przykro mi: to byk wojna w białych rękawiczkach. Przykro mi, że zburzyliśmy wieś, żeby ją wyzwolić. Przykro mi, że spaliliśmy ci napalmem rodzinę. Przykro mi, że tortu-

rowaliśmy jeńców. Przykro mi. Wyrażenie na każdą okazję. Wyrażenie zupełnie puste, nie znaczące. Świat byłby lepszy, gdyby te słowa naprawdę coś znaczyły.

Gdzie był? Chyba w jakiejś chacie. Nagle obwiązano mu głowę tustą szmatą, rozwiązano ręce i powleczono go w dół, powleczono na... Nie, nie na dno jeziora, jak we śnie, tylko do tunelu wykopanego wokół i pod korzeniami rosnącego w dżungli drzewa. Ciągnięto go tak szybko, że zaczął pełznąć, żeby nie poharatać się o ziemię i kamienie. Tunel skręcał to w jedną, to w drugą stronę, piał się w górę, opadał w dół, przecinał inne tunele. Przytłumione głosy ludzi dochodziły to z bliska, to z daleka. Zapach smoły, nafty i zgnilizny mieszał się ze smrodem niemytych ciał.

Gdy ponownie usłyszał owadzią symfonię - bo to właśnie owady powiedziały mu, że wyszli z labiryntu tuneli - rzucono go i posadzono na krześle. Szmatę zdjęto i odetchnął głębokim powietrzem. Sznur był szorstki, konopny, taki, jakim przywiązywano dżonki do bambusowych pomostów na rzece, i wrzynał mu się w nadgarstki i kostki u nóg. Malutkie owady krążyły nad zadrapaniami i otarciami na odsłoniętym ciele. Podkoszulek i szorty - miał na sobie tylko to - były uwalane ziemią z tunelu.

Podszedł do niego grubokościsty mężczyzna o małych oczach, które niemal ginęły za okularami w stalowej oprawce.

- Gdzie... reszta? - wybełkotał Janson. Zaszło mu w ustach.
- Członków twego szwadronu śmierci? Nie żyją. Ocalałeś tylko ty.
- Wietkong?

- To nie jest dobre określenie. Reprezentujemy Komitet Centralny Narodowego Frontu Wyzwolenia Wietnamu Południowego.

- Narodowego Frontu Wyzwolenia Wietnamu... - Paul miał spierzchnięte wargi i powtórzył to z wielkim trudem.

- Dlaczego nie masz nieśmiertelnika?

Janson wrzucił ramionami i natychmiast oberwał w kark bambusowym kijem.

- Pewnie zgubiłem.

Po lewej i prawej stronie nachmurzonego oficera stali dwaj strażnicy. Każdy miał AK-47, pas z amunicją i rosyjskiego makarewa nisko pod pasem. Ten po lewej miał też piętnastocentymetrowej długości nóż komandosów amerykańskiej piechoty morskiej. Paul rozpoznał zadrapania na rękojeści. To był jego nóż.

- Kłamiesz! - warknął śledczy. Zerknął na stojącego za nim żołnierza - Janson nie widział go, lecz wiedział, że jest, bo czuł gorąco jego ciała nawet tu, w skwarnej, wilgotnej dżungli - a ten natychmiast grzmotnął Paula w bok. Kolba, pomyślał Janson. Kolba karabinu. Przeszył go potworny ból.

Musiał się skoncentrować - nie na śledczym, na czymś innym. Przez bambusowe rozporoki chaty widział wielkie, płaskie liście ociekające wodą. Był liściem. I spadały na niego tylko krople wody, nic więcej.

- Słyszeliśmy, że jesteście specjalnymi żołnierzami, którzy nie noszą nieśmiertelników.

- Specjalnymi żołnierzami? - Paul pokręcił głową. - Nie. Zgubiłem go. Zaczepiłem o coś w tunelu.

Śledczy robił wrażenie rozdrażnionego. Przysunął krzesło bliżej i nachylił się do przodu. Poklepał go po lewej ręce, potem po prawej.

- Możesz wybrać - powiedział. - Która?
- Co która? - spytał nieprzytomnie Janson.

- Brak decyzji też jest decyzją - rzucił posepnie tamten. Spojrzał na strażnika i powiedział coś po wietnamsku. - Złamiemy ci prawą - wyjaśnił niemal z czułością.

Cios miał siłę kowalskiego młota. Lufą. Wykręcili lufę z karabinu maszynowego i uderzyli go lufą. Ręce i łokcie wystawały za bambusowe podłokietniki i kość pękła jak sucha ga-

łąż. Pękła na pewno: poznał to po suchym trzasku, który poczuł, zamiast usłyszeć. I po strasliwym bólu, który przeszył rękę, pozbawiając go tchu.

Poruszył palcami, żeby sprawdzić, czy go posłuchają. Posłuchały. Nerwy miał nienaruszone. Ale ręka była teraz do niczego.

Drgnął, słysząc odgłos, jaki wydaje metal trący o metal. Przez obejmy ciężkich kajdan na nogach przesunięto grubą na pięć centymetrów żelazną sztabę. Niewidoczny oprawca przywiązał do sztaby sznur, po czym zarzucił mu pętlę na ramiona i mocno pociągnął, tak że jego głowa znalazła się nagle między kolanami, podczas gdy obie ręce miał wciąż przywiązane do krzesła. Naprężenie ramion stale rosło i towarzyszący temu ból dorównywał intensywnością pulsującemu bólowi złamanej ręki.

Czekał na kolejne pytanie. Ale mijały minuty i wciąż panowała cisza. Zmrok przeszedł w ciemność. Prawie nie mógł oddychać, ponieważ zgięte w pół ciało napierało na przeponę, a sznur na ramionach zaciskał się powoli jak imadło. Tracił i odzyskiwał przytomność tylko po to, żeby odczuwać coraz większy ból. Na dworze zrobiło się jasno - już ranek? Południe? Mimo to wciąż nikt do niego nie przychodził. Był półprzytomny, gdy poluzowano mu więzy i wiano mu do ust bambusowy kleik. Ktoś rozciął mu szorty i podstawił pod krzesło zardzewiałą kubę. Potem znowu zaciśnięto sznur, a gdy głowa znalazła się między kolanami, poczuł się tak, jakby powoli wrywano mu ramiona ze stawów. Cały czas powtarzał sobie jedno: Twardy jak lód, czysty jak źródłana woda. Ręce bolały go i paliły, a on wspominał letnie wakacje, które jako mały chłopiec spędził na Alasce, łowiąc ryby pod lodem. Myślał o szmaragdowych kroplach wody na wielkich, płaskich liściach, o tym, jak z nich skapują, nie pozostawiając po sobie ani śladu. Jakiś czas później włożono mu rękę w prowizoryczne łupki.

Z najgłębszych zakamarków umysłu powróciły słowa Emersona, które tak lubił cytować Demarest. „Siedząc na miękkich poduszkach korzyści i przywilejów, szybko usypia. Ale zmuszony do działania, torturowany i pokonany ma okazję, żeby nauczyć się czegoś o sobie”.

I minął kolejny dzień. I kolejny. I jeszcze jeden.

Skręcało mu kiszki: karmiono go zarobaczonym ryżem i dostał dyzenterii. Rozpaczliwie próbował się załatwić z nadzieją, że ból, który targał wnętrznościami, wreszcie minie - próbował, lecz nie mógł. Jelita zachłannie strzegły każdej sekundy bólu. Mój wewnętrzny wróg, myślał zgryźliwie Janson.

Był albo wieczór, albo poranek, gdy ponownie usłyszał czyjś głos. Poluzowano sznur i znowu mógł usiąść prosto, chociaż zakończenia nerwów zareagowały na tę nagłą zmianę pozycji gwałtownym protestem.

- Teraz lepiej? Zaraz będzie lepiej.

Ktoś nowy. Janson nigdy go dotąd nie widział. Niski, drobny, o bystrych, inteligentnych oczach. Mówił po angielsku płynnie, z obcym akcentem, lecz głoski wymawiał dokładnie i wyraźnie. Ktoś wykształcony.

- Wiemy, że nie jesteś imperialistycznym agresorem - mówił. - Wiemy, że jesteś tylko naiwną marionetką w rękach imperialistycznych agresorów. - Mężczyzna podszedł bliżej, stanął tuż przed nim. Paul wiedział, że musi straszliwie cuchnąć - zapach był tak odrażający, że jemu samemu robiło się niedobrze - mimo to tamten nie zareagował. Dotknął jego porośniętego szczecina policzka i łagodnie dodał: - Ale okazujesz nam brak szacunku, traktując jak naiwniaków nas, Wietnamczyków. Rozumiesz? - Tak, nie ulegało wątpliwości, że jest wykształcony i że on, Janson, jest dla niego kimś wyjątkowym: celem specjalnego projektu. Ta nagła zmiana sytuacji go zaniepokoiła. Oznaczało to, że dowiedzieli się, iż nie jest zwykłym żołnierzem.

Przesunął językiem po zębach. Zęby. Niby jego, ale jakby nie jego. Był na nich jakiś osad, jakby wystrugano je z drewna. Mruknął, że tak, że rozumie.

- Zadaj sobie pytanie: dlaczego cię schwytano?

Wietnamczyk chodził przed nim w tę i z powrotem jak nauczyciel przed tablicą.

- Na swój sposób jesteśmy do siebie bardzo podobni. Obydwaj jesteśmy oficerami wywiadu. Służyłeś swojej sprawie wiernie i odważnie. Mam nadzieję, że ja też.

Janson kiwnął głową. I błysnęła mu ulotna myśl: jaki szaleniec uznał, że torturowanie bezbronnych jeńców świadczy o odwadze? Szybko ją od siebie odpędził. Nic by mu nie pomogła. Wytrąciłaby go tylko z równowagi, zdradziła jego buntowniczą postawę. Twardy jak lód, czysty jak źródłana woda.

- Nazywam się Phan Nguyen i myślę, że spotkanie to jest dla nas obu zaszczytem. A ty? Jak się nazywałeś?

- Szeregowy Kevin Jones. - W przeblyskach świadomości stworzył dla Jonesa całe życie. Żołnierz piechoty z Nebraski: drobne kłopoty z prawem po szkole średniej, dziewczyna w ciąży, oddział, który zabłądził i zboczył z trasy. Uznał, że postać jest dość prawdziwa, chociaż ulepił ją z wątków tanich powieści, filmów, artykułów w czasopiśmie i z fragmentów programów telewizyjnych. Z tysiąca amerykańskich opowieści mógł ułożyć opowieść prawdziwszą niż wszystkie pozostałe. - Piechota...

Wietnamczyk poczerwieniał i uderzył go w skroń tak mocno, że Jansonowi zadzwoniło w uchu.

- Podporucznik Paul Janson. Dobrze pracowałeś, nie przekreślaj swoich osiągnięć.

Skąd znali jego prawdziwe nazwisko i stopień?

- Powiedziałeś nam to - mówił tamten. - Powiedziałeś wszystko. Miałeś delirium, nie pamiętasz? Być może. Być może. To się często zdarza.

Czy to możliwe? Janson popatrzył mu w oczy i w tej samej chwili obydwoj potwierdzili swoje podejrzenia. Obydwaj wiedzieli, że kłamią. Że Paul niczego im nie zdradził - do teraz. Bo z jego reakcji - nie ze strachu czy zdumienia, lecz z wściekłości - Nguyen mógł wyczytać, że podporucznik Janson to jego prawdziwy stopień i nazwisko.

Paul nie miał nic do stracenia.

- Kłamiesz.

Chlast! Ostre, piekące uderzenie w kark. Cienki bambusowy kij. Ale było to uderzenie delikatne, takie na pokaz. Nauczył się już wychwytywać te subtelne różnice.

- Praktycznie rzecz biorąc, jesteśmy kolegami, ty i ja. Czy to dobre słowo? Kolegami? Chyba tak. Chyba tak. - „Chyba tak”. „Chyba nie”. Jak się później okazało, Phan Nguyen lubił te wyrażenia i powtarzał je cichutko, niemal bezgłośnie. Używał ich, zadając pytania nie wymagając odpowiedzi. - Porozmawiamy szczerze, jak kolega z kolegą. Przystaniesz kłamać, bo znowu cię będzie bolało. Wiem, że jesteś dzielny. Wiem, że potrafisz dużo znieść. Może chcesz zademonstrować nam, jak dużo? Może trochę poeksperymentujemy?

Janson pokręcił głową. Znowu ścisnęło go w brzuchu. Nagle pochylił się do przodu i zwymiotował na twardą, ubitą ziemię. Wymiociny wyglądały jak fusy z kawy. Znak, że miał wewnętrzny krwotok.

- Nie? Na razie nie będę cię o nic pytał. Ale chcę, żebyś zapytał o coś sam siebie. - Nguyen usiadł, patrząc na niego swymi inteligentnymi, ciekawymi oczami. - Chcę, żebyś zadał sobie pytanie, jak to się stało, że cię schwytaliśmy. Wiedzieliśmy, gdzie was szukać. Pewnie bardzo cię to zdziwiło, co? Bo to nie była spontaniczna, chaotyczna reakcja zaskoczonych żołnierzy, prawda? Dobrze wiesz, o czym mówię.

Jansona ogarnęła kolejna fala mdłości. Wietnamczyk nie zmyślał, nie kłamał. Może chciał go podpuścić, ale prawdą pozostawała prawda, niestrawną jak twardy kamień.

- Mówisz, że nie zdradziłeś mi swojego nazwiska i stopnia. Ale jeśli nie, musisz odpowiedzieć sobie na bardzo trudne pytanie. Skoro nie ty, to kto? Jak to się stało, że zaskoczyliśmy twój oddział i schwytaliśmy żołnierza kontrwywiadu amerykańskiej piechoty morskiej, oficera legendarnych Fok? Jak?

Właśnie, jak? Istniała tylko jedna odpowiedź. Komandor porucznik Alan Demarest przekazał informację tym z Wietkongu. Był zbyt ostrożny, żeby do przecieku doszło niechcąc.

cy. Jak? To bardzo proste. Wiadomość „przypadkowo” dotarła do oficera Armii Republiki Wietnamu, do kogoś, kto utrzymywał bliskie kontakty z wrogiem; Demarest mógł „ukryć” ją wśród dokumentów „przypadkowo” pozostawionych na jakimś leśnym przyczółku, który ewakuowano pośpiesznie pod nieprzyjacielskim ostrzałem. Mógł ją zakodować i przekazać przez radio na znanej Wietnamczykom częstotliwości. Chciał usunąć go z drogi. Musiał usunąć go z drogi. I załatwił to po swojemu, tak jak tylko on potrafił. Ich wyprawa była jedną wielką podpułą, podstępem mistrza podstępu.

Demarest mu to zrobił!

Teraz siedział pewnie przy biurku i słuchał swojej Hildegardy von Bingen, a on był przywiązany do krzesła w bazie Wietkongu i widział, jak z otwartych ran w miejscach gdzie wrzynały mu się sznury wypływa cuchnąca ropa. Miał pogruchotane kości i półprzytomny wciąż nie mógł dojść do siebie, zwłaszcza że zdawał sobie sprawę, iż jego męka dopiero się rozpoczyna.

- Cóż - mówił Phan Nguyen. - Musisz przyznać, że nasz wywiad jest świetny. Wiemy o waszych operacjach tak dużo, że twoje milczenie byłoby zupełnie bezsensowne. To tak, jakbyś próbował odebrać morzu kroplę wody. Chyba tak. Chyba tak. - Wyszedł z chaty, rozmawiając cicho z innym oficerem, wrócił i usiadł na krześle.

Wzrok Jansona padł na jego stopy, które nie dotykały ziemi, na wielkie amerykańskie adidasy, na jego dziecięce łydki.

- Musisz przywyknąć do myśli, że już nigdy nie wrócisz do Stanów Zjednoczonych. Niedługo zacznę cię uczyć naszej historii, poczynając od Trung Trac i Trung Nhi, królowych, które panując wspólnie, wyparty z Wietnamu Chińczyków w trzydziestym dziewiątym roku naszej ery. Tak, aż tak dawno temu! Bo przed Ho były siostry Trung. A gdzie była wtedy Ameryka? Zrozumiesz próżność wysiłków waszego rządu, który chce stłumić słuszne aspiracje narodowe mojego ludu. Musisz nauczyć się wielu rzeczy, a wtedy będziesz uczony. Ale ty też musisz nam coś powiedzieć. Zgoda?

Janson nie odpowiedział.

Wystarczyło krótkie spojrzenie na strażnika i kolba karabinu grzmotnęła go w bok. Kolejny paroksyzm bólu.

- Może zaczniemy od czegoś łatwiejszego i stopniowo będziemy przechodzili do trudniejszych tematów. Porozmawiamy o tobie. O twoich rodzicach, o ich roli w systemie kapitalistycznym. O twoim dzieciństwie. O amerykańskiej kulturze masowej.

Paul drgnął, słysząc zgrzyt metalu o metal. *Żelazna sztaba*. Znowu mu ją wkładali.

- Nie - powiedział. - Nie! - I zaczął mówić. Opowiadał o tym, co pokazywano w telewizji i w kinach; Phan Nguyena szczególnie interesowało, jakie zakończenia filmów uważa się w Stanach za szczęśliwe, a jakie są w ogóle dozwolone. Opowiadał o swoim dzieciństwie w Connecticut, o swoim ojcu, który pracował w firmie ubezpieczeniowej. Koncepcja ubezpieczeń społecznych bardzo Nguyena zaintrygowała: odezwał się w nim duch badacza i niemal z konfucjańską delikatnością zaczął wypytywać go o takie pojęcia, jak „ryzyko cywilne” czy „odpowiedzialność”. Janson czuł się tak, jakby siedział przed zafascynowanym antropologiem i opowiadał mu o rytuale obrzezania wśród dzikich plemion wyspiarskich.

- I on żył dobrze? Twój ojciec. Żył po amerykańsku?

- Tak uważał. Nieźle zarabiał. Miał ładny dom, ładny samochód. Mógł sobie kupić to, co chciał.

Phan Nguyen odchylił się na krześle, zainteresowany i zadziwiony.

- I to nadaje sens waszemu życiu? - spytał. Skrzyżował na piersi swoje dziecinne ręce i przekrzywił głowę. - Hm? To nadaje sens wasze mu życiu?

Przesłuchanie ciągnęło się w nieskończoność - Nguyen nie lubił, kiedy nazywano go śledczym; mówił, że jest nauczycielem - i każdego dnia Paulowi pozwalano na coraz więcej ruchu. Mógł spacerować wokół chaty, chociaż zawsze towarzyszył mu czujny strażnik. Pew-

nego dnia, po niemal wesołej dyskusji na temat amerykańskiego sportu (Nguyen zasugerował, jakby było to oczywiste, że walka klas w społeczeństwie kapitalistycznym przybiera umowną formę rywalizacji na boisku) dano mu do podpisania dokument. Dokument stwierdzał, że Janson ma dobrą opiekę medyczną i że przedstawiciele Narodowego Frontu Wyzwolenia Wietnamu Południowego, których określano mianem bojowników o wolność, pokój i demokrację, dobrze go traktują. Wzywał też amerykańskich imperialistów i agresorów do wycofania się z wszystkich wojen. Do ręki wciśnięto mu wieczne pióro, piękne, francuskie, najpewniej spadek po którymś z dawnych kolonialistów. Gdy powiedział, że niczego nie podpisze, zbito go do utraty przytomności.

Ocknął się w mocnej bambusowej klatce, na metr osiemdziesiąt wysokiej i metr dwadzieścia szerokiej. Był skuty łańcuchem. Nie mógł stać, nie mógł siedzieć, nie mógł się poruszać. I nie miał nic do roboty. Strażnik o kamiennej twarzy postawił u jego stóp kubek ze słoną wodą, pełną martwych owadów i jakichś włosów. Paul był jak ptak w klatce, który czeka tylko na jedno: na to, żeby go nakarmiono.

Nie wiedzieć czemu czuł, że będzie czekał bardzo długo. - *Xin loi* - powiedział strażnik. Przykro mi.

Rozdział 25

Molnar. Wieś, którą historia starła z powierzchni ziemi. Molnar. Gdzie to wszystko się zaczęło.

Teraz był ich ostatnią nadzieją na odnalezienie jakiegokolwiek śladu prowadzącego do przeszłości Petera Novaka. Ostatnią nadzieją na rozerwanie pajęczyny kłamstw, która ich oplatała.

Ale co będzie, jeśli czegoś z tych kłamstw nie da się rozwikłać?

Droga, którą wybrali następnego dnia rano, omijała główne miasta i autostrady. Lancia trzeszczała i podskakiwała, gdy jechali przez wzgórza Bukk w północno-zachodnich Węgrzech. Jessie wydawała się przez cały czas czymś zaabsorbowana.

- Z tymi ludźmi, wczoraj, było coś nie tak - powiedziała wreszcie. - Coś w sposobie, w jaki to urządzili.

- Konfiguracja trójkątna? - zapytał Janson. - Standardowa sprawa. To właśnie się robi, gdy ma się do dyspozycji trzech ludzi. Inwigilacja i blokowanie. Prosto z podręcznika.

- I to mnie niepokoi - powiedziała. - To jest wprost z naszego podręcznika.

Janson nie odzywał się przez chwilę.

- Mają za sobą trening w Konsularnym Wydziale Operacyjnym - powiedział.

- To samo pomyślałam. Właśnie to. A kiedy zobaczyłam tego blondyna, jak strzelał..

- Jakby przewidział twój manewr i próbował mu przeciwdziałać?

- Tak.

- Z taktycznego punktu widzenia postąpił bardzo rozsądnie. Bez względu na to, co nim powodowało, musiał wyeliminować ciebie albo zakładnika. Mało brakowało, a udałoby mu się zrobić obie rzeczy naraz. Strzelanie do kolegi znaczyło, że zakładnik był jedyną rzeczą, której nie mógł narazić.

- To mnie przerasta - powiedziała Jessie. - Całe te tajne operacje. Mam wrażenie, jakby wszystko sprzyścięło się przeciwko nam. Albo to jest znacznie bardziej skomplikowane, niż myślę. Może to wszystko dlatego, że ta gnida w archiwach opowiedziała nam, jak zniszczono akta. Z tym jest jak z ogniem i wodą. Stanowią przeciwieństwo, ale jednocześnie oba są wrogiem.

Okolica robiła się coraz bardziej pagórkowata; kiedy wieże strażnicze z czasów sowieckich znikły za horyzontem, wiedzieli, że zbliżają się do miejsca przeznaczenia. Wieś Molnar leżała w pobliżu rzeki Tisza, między Miskolcem a Nyiregyhaza. Dziewięćdziesiąt kilometrów dalej na północ była Słowacja; dziewięćdziesiąt kilometrów na wschód Ukraina, a tuż obok Rumunia. W różnych chwilach dziejowych wszystkie te kraje wyrastały do roli zaborczych potęg - geopolitycznych drapieżników. Góry określały bieg rzeki; wyznaczały też trasę marszu armii, które chciały wedrzeć się od wschodniego pogranicza w głąb Węgier. Pagórkowaty krajobraz był zwodniczo piękny. Pogórze przechodziło w niskie góry niebieszcące się w oddali. Tu i ówdzie jakieś wzgórze wyrastało do nieco większych rozmiarów. Na niższe partie jego zboczy tarasami wspinały się winnice, wyższe partie oddając we władanie kamuflującej pokrywie lasu. Ale krajobraz pokryty był też bliznami; widocznymi i ukrytymi.

Teraz przejeżdżali przez mostek na Tiszy, który niegdyś łączył dwie części Molnaru.

- Nie do wiary - powiedziała Jessie. - Wieś zniknęła. Jak za do tknięciem czarodziej-skiej różdżki.

- To się odbyło znacznie mniej łagodnie - powiedział Janson. Czytał niedawno o tym, jak pewnego zimowego dnia 1945 roku Armia Czerwona zeszła z gór, a jedna z hitlerowskich dywizji usiłowała wpędzić ją w zasadzkę. Jednostki artylerii jechały drogą, a Niemcy wraz z

oddziałami strzałokrzyżowców próbowali je powstrzymać. Nie udało im się, ale podczas walki zabili wielu żołnierzy Armii Czerwonej. Sowieci uznali, że mieszkańcy Molnaru wiedzieli o zasadzce. Postanowili dać nauczkę okolicznym węgierskim chłopom. Wieś została podpalona, razem z mieszkańcami.

Zajechali do przydrożnego baru. Wewnątrz, przy długim, pokrytym miedzią barze siedziało dwóch mężczyzn. Patrzyli w stojące przed nimi kufle z pilznerem. Ubrani byli jak na wieśniaków przystało: w postrzępione, brudne koszule, a pod spodem niebieskie podkoszulki, albo jakieś stare sowieckie wersje wojskowej bielizny. Żaden nie podniósł wzroku na widok Amerykanów. Barman bez słowa wodził oczami za nowymi gośćmi. Nosił biały fartuch i zajęty był wycieraniem plam z piwa szarym ręcznikiem. O jego wieku świadczyła cofnięta linia włosów i ciemne sińce pod oczami.

Janson uśmiechnął się.

- Mówi pan po angielsku? - zapytał barmana.

Tamten przytaknął.

- Widzi pan, razem z żoną zwiedzamy okolicę. Ale zarazem jest to swego rodzaju powrót do korzeni, rozumie pan?

- Pańska rodzina pochodzi z Węgier? - angielski barmana, choć z wyraźnym obcym akcentem, był płynny.

- Rodzina mojej żony - odparł Janson.

Jessie uśmiechnęła się i wtrąciła:

- W prostej linii.

- Rozumiem.

- Według tradycji rodzinnej, jej dziadkowie urodzili się we wsi Molnar.

- Już jej nie ma - powiedział barman. Janson teraz dopiero zauważył, że ten mężczyzna jest młodszy niż na początku mu się wydawało. - A jak brzmi nazwisko rodowe?

- Kis - odparł Janson.

- Kis na Węgrzech jest jak Jones w Ameryce. Obawiam się, że to niezbyt zawężi pole państwa poszukiwań.

Mówił chłodnym, uprzejmym, powściągliwym tonem. Janson pomyślał, że tak nie zachowuje się typowy wiejski oberżysta. Kiedy mężczyzna odsunął się od baru, na fartuchu można było dostrzec ciemny poziomy pasek w miejscu, w którym wielkim brzuchem ocierał się o skraj blatu.

- Ciekawe, czy ktokolwiek tutaj pamięta tamte dawne dni - powiedziała Jessie.

- Może? - pytanie było uprzejmym wyzwaniem.

- Może... któryś z tych panów?

Barman wskazał jednego z nich podbródkiem.

- On nawet nie jest Węgrem, to Paloc - powiedział. - Mówi bardzo starym dialektem, ledwie go rozumiem. Po węgiersku zna słowo pieniądze, a ja rozumiem, kiedy zamawia piwo, więc jakoś się dogadujemy. Nie radzę z nim gadać. - Rzucił okiem w stronę drugiego mężczyzny. - To Rusin - wzruszył ramionami. - Nic nie mówię. Jego forinty są równie dobre jak każde inne. - Podtekst tej demokratycznej wypowiedzi był zupełnie niedemokratyczny.

- Rozumiem - powiedział Janson zastanawiając się, czy go tu napuszczają na miejscowe animozje, czy też celowo zniechęcają; - I nie ma nikogo, kto mieszka w okolicy i pamięta dawne czasy?

Mężczyzna za barem wytarł szarą szmatą jeszcze jedną plamę, zostawiając na blacie kilka włókienek.

- Dawne czasy? Przed 1989? Przed 1956? Przed 1920? Według mnie to są dawne czasy. Mówią teraz o nowej epoce, ale ja myślę, że ona nie jest taka nowa.

- No popatrz pan tylko! - powiedział Janson zgrywając się na równego gościa.
- Jesteście turystami z Ameryki? W Budapeszcie jest dużo pięknych muzeów. A dalej na zachód są skanseny. Bardzo malownicze. Zbudowane specjalnie dla ludzi takich jak wy, dla amerykańskich turystów. We dług mnie tutaj nie ma czego zwiedzać. Nie mam dla was pocztówek. Podobno Amerykanie nie lubią miejsc, w których nie ma pocztówek.

- Nie wszyscy Amerykanie - powiedział Janson.

- Wszyscy Amerykanie lubią myśleć, że są inni niż są - powiedział kwaśno barman. - I to jeszcze jedna z wielu rzeczy, które sprawiają, że są tacy sami.

- To bardzo węgierska uwaga - odparł Janson.

Mężczyzna uśmiechnął się półgębkiem i kiwnął głową.

- Trafiony. Ale tutejsi za wiele wycierpieli, żeby byli towarzyscy. Taka jest prawda. Nawet w swoim gronie nie jesteśmy towarzyscy. Kiedyś ludzie spędzali zimę, gapiąc się w kominki. Teraz mają telewizory i w nie się gapią.

- Elektroniczne kominki.

- Właśnie. Możemy tu nawet ściągnąć CNN i MTV. Wy, Amerykanie, narzekacie na handlarzy narkotyków z Azji, a tymczasem sami zalewacie świat elektronicznymi narkotykami. Nasze dzieci znają nazwiska waszych raperów i gwiazd filmowych, a nic nie wiedzą o naszych bohaterach narodowych. Nadąsał się i potrząsnął głową. - To niewidzialny podbój za pomocą satelitów i stacji przekaźnikowych zamiast artylerii. A teraz wy tu przyjeżdżacie - i po co? Bo znudziła was trywialność waszego życia? Przyjechaliście w poszukiwaniu korzeni, bo chcecie być egzotyczni. Ale gdziekolwiek się ruszycie, znajdziecie własne nasienie. Śluz węża pokrywa wszystko.

- Proszę pana - zapytała Jessie. - Czy pan jest pijany?

- Ukończyłem anglistykę na uniwersytecie w Debreczynie - powiedział barman. - Na to samo wychodzi.

Uśmiechnął się gorzko.

- Jesteście zaskoczeni? Syn oberżysty kończy uniwersytet? Chwała komunizmowi. Człowiek ze stopniem uniwersyteckim nie może znaleźć pracy? Chwała kapitalizmowi. Syn pracuje za ojca? Chwałą węgierskiej rodzinie.

Jessie odwróciła się do Jansona i wyszeptwała:

- Mój ojciec zwykł mawiać, że jeśli po dziesięciu minutach nie zorientujesz się, kto przy stole się upił, to znaczy, że to ty się upiłeś.

Janson nie zmieniał wyrazu twarzy.

- Ten bar należał do pańskiego taty? - zapytał brzuchatego.

- Nadal należy - odparł barman z rezerwą.

- Ciekawe, czy wspomina...

- Och, stary pomarszczony Węgier, co trąbi brandy i pokazuje rysunki w sepia jak w dawnych fotoplastykonach. Mój ojciec nie jest lokalną atrakcją turystyczną, żeby miał go wytaczać dla waszej rozrywki.

- Wie pan co? - wtrąciła Jessie. - Kiedyś byłam barmanką. W moim kraju uważa się, że gościnność należy do atrybutów tego zawodu. - W jej głosie słychać było złość. - Jakże mi przykro, że pański wytworny tytuł akademicki nie otworzył panu drogi do równie wytwornej pracy i po prostu na łzy mi się zbiera, że pańskie dzieci wolą MTV od narodowych świętości, którymi pan je raczy, ale...

- Kochanie - Janson przerwał jej ostrzegawczym tonem. - Lepiej ruszajmy w drogę, robi się późno.

Mocno schwycił ją za łokieć i wyprowadził za drzwi. Kiedy wyszli, zobaczyli na werandzie starego człowieka, siedzącego na składanym płóciennym krzeselku. Patrzył na nich z rozbawieniem. Czy był tutaj, kiedy przyjechali? Chyba tak; coś w nim było takiego, że wtapiał się w tło jak pospolity mebel.

Starzec pukał się teraz w skroń, gestem wskazującym wariata. Oczy mu się uśmiechały.

- Mój syn jest frustratem - powiedział łagodnie. - Chce mnie do prowadzić do ruiny. Widzieli państwo tych klientów? Jeden Rusin. Jeden Paloc Oni i tak nie rozumieją, co on gada. A żaden Węgier już tu nie przyjdzie. Po co ma płacić i wysłuchiwać jego gorzkich żalów?

Miał porcelanową, nie tkniętą przez zmarszczki cerę, jaką miewają czasem starzy ludzie. Ich skóra z wiekiem staje się cieńsza i robi się dziwnie delikatna. Jego wielką głowę otaczał wianuszek siwych włosów, oczy miał błękitne jak niebo. Łagodnie kołysał się w krzesle i cały czas się uśmiechał.

- Ale Gyorgy ma rację co do jednego. Miejscowi wycierpieli zbyt wiele, żeby mieli być uprzejmi.

- Nie licząc pana - powiedziała Jessie.

- Lubię Amerykanów - odparł stary człowiek.

- To miłe z pana strony - zrewanżowała się Jessie.

- To Słowacy i Rumuni mogą się powiesić. Niemcy i Rosjanie też.

- Domyślam się, że nie miał pan łatwego życia - powiedziała Jessie

- Kiedy prowadziłem bar, żaden Rusin do mnie nie przyszedł - zmarszczył nos. - Nie lubię ich - dodał łagodnie. - Są leniwi i bezczelni. Nic, tylko przez cały dzień narzekają. Szkoda, że pan nie słyszał, co o panu mówią - powiedziała, nachylając się do niego.

- Co proszę?

- Idę o zakład, że bar był wypełniony po brzegi, kiedy pan go prowadził. A na pewno tłoczyły się tam panie.

- A dlaczego pani tak sądzi?

- Taki przystojny mężczyzna jak pan? Czy muszę koniecznie to mówić? Idę o zakład, że do tej pory ma pan przez kobiety mnóstwo problemów.

Jessie pochyliła się do starego człowieka. Uśmiechnął się szerzej; należy się delektować bliskością pięknej kobiety.

- Naprawdę lubię Amerykanów - powiedział stary. - I to coraz bardziej.

- A Amerykanie lubią pana - powiedziała Jessie, biorąc go za rękę i ściskając ją łagodnie. - Przynajmniej jedna Amerykanka pana lubi.

Zaczerpnął tchu, wdychając jej perfumy.

- Moja droga, pani pachnie jak cesarski tokaj.

- Pan na pewno mówi to wszystkim dziewczynom - powiedziała, wydymając wargi.

Na chwilę spoważniał.

- Oczywiście, że nie - zaprzeczył. I znów się uśmiechnął. - Tylko pięknym dziewczynom.

- Idę o zakład, że znał pan kiedyś piękne dziewczyny z Molnaru - powiedziała.

Pokręcił głową.

- Wyrastałem wyżej nad Tiszą. Bliżej Sarospatak. Tutaj przeprowadziłem się dopiero w latach pięćdziesiątych. Wtedy już nie było Molnaru. Tylko skały, kamienie i drzewa. Widzi pani, mój syn należy do pokolenia rozczarowanych. „Csalodottak”. Ładnie tacy jak ja, którzy przeżyli Belę Kuna, Miklósa Horthy'ego, Ferenca Szalasięgo i Matyasa Rakosiego, wiedzą, kiedy okazać wdzięczność. Nigdy nie żywiliśmy wielkich nadziei. Więc nie możemy być bardzo rozczarowani. Mam syna, który przez cały dzień nalewa piwo Rusinom, ale czy widzi pani, żebym narzekał?

- Naprawdę musimy już jechać - wtrącił Janson.

Jessie nie spuszczała oczu ze starego.

- Cóż, kiedyś wszystko było zupełnie inne, wiem o tym. Czy z tych stron nie pochodził pewien baron, pewien stary węgierski szlachcic?

- Dobra ziemskie hrabiego Ferenczi-Novaka rozciągały się do tych gór - pokazał gestem.

- To musiał być widok! Zamek, i w ogóle?
 - Kiedyś - powiedział z roztargnieniem. Nie chciał, żeby odeszła. - Zamek, i w ogóle.
 - Ciekawe, czy żyje jeszcze ktoś, kto znałby tego hrabiego. Ferenczi-Novak, tak się nazywał, prawda?
 - Stary milczał przez chwilę. Rozluźnione rysy jego twarzy były niemal azjatyckie.
 - No cóż - powiedział. - Jest pewna stara kobieta. Babcia Gitta. Gitta Bekesi. Ona też mówi po angielsku. Mówią, że nauczyła się jako dziewczyna, kiedy pracowała na zamku. Wie pani, jak to jest - rosyjska szlachta koniecznie chciała, żeby mówiono po francusku, węgierska zawsze kładła nacisk na angielski. Każdy zawsze chciał wyglądać na kogoś innego...
 - Bekesi, mówi pan.
 - Może to nie jest dobry pomysł. Ludzie mówią, że ona żyje przeszłością. Nie mogę obiecać, że ma stuprocentowy kontakt z rzeczywistością. Ale jest stuprocentową Węgierką. Nie o każdym da się to powiedzieć. - Roześmiał się śmiechem przypominającym kaszel. - Żyje w starej chałupie, druga przecznica na lewo, potem jeszcze raz na lewo, a potem zakręt.
 - Możemy się na pana powołać?
 - Lepiej nie- powiedział. - Nie chcę, bo będzie na mnie zła. Nie bardzo lubi obcych.
 - Wie pan, jak mówimy w Ameryce - odrzekła Jessie, obdarzając go pełnym wyrazu spojrzeniem. - Nie ma obcych, są tylko przyjaciele, których jeszcze nie spotkaliśmy.
- Syn w fartuchu opasującym okrągły brzuch wyszedł na werandę. Oczy błyszczały mu nienawiścią.
- To jeszcze jedna z waszych amerykańskich cech - powiedział szyderczo. - Posiadacie nieograniczoną zdolność do samookłamywania się.

Stary, piętrowy wiejski dom stał w połowie łagodnego zbocza. Wyglądał jak tysiące innych tutejszych wiejskich domów. Mógł mieć sto, dwieście albo trzysta lat. Kiedyś mógł w nim mieszkać zamożny rolnik z rodziną. Ale gdy się podeszło bliżej, widać było, że czas nie oszczędził się z nim łagodnie; Dach zastąpiono arkuszami zardzewiałej blachy falistej. Wokół rosły zdziczałe drzewa i winorośle, zasłaniając większość okien. Małe okna strychu; tuż pod dachem, były zamglone jakby kataraktą; dawno temu szyby zastąpiono tu folią, która zaczęła się już rozkładać na słońcu. Od fundamentów do połowy frontowej ściany bieгло kilka pęknięć. Okiennice pokryte były łuszczącą się farbą. Trudno było uwierzyć, że ktoś tu w ogóle mieszkał. Janson przypomniał sobie rozbawioną minę starego, śmiech w jego oczach i zastanawiał się, czy nie padli ofiarą jakiegoś węgierskiego psikusa.

- Zdaje mi się, że to właśnie nazywa się spławianiem gości - powiedziała Jessie.

Zjechali na pobocze drogi, która ledwie zasługiwała na to miano. Jej od dawna nienaprawiana nawierzchnia była pokruszona i usiana dziurami. Ruszyli ścieżką. Kiedyś musiały nią chodzić krowy, a teraz była prawie całkiem zarośnięta jeżynami. Z odległości dom wyglądał jak istna ruina.

Gdy podeszli do wejścia, Janson usłyszał jakiś hałas. Niesamowite, niskie dudnienie. Po chwili rozpoznał szczekanie psa. Potem usłyszeli gardłowe warczenie.

Przez wąskie okienko w drzwiach dojrzel niecierpliwie podskakującą białą sylwetkę. Był to kuwacz, stara węgierska rasa, używany do obrony od tysiąca lat. Ta rasa słabo była rozpowszechniona na Zachodzie, ale Janson znał ją aż za dobrze. Wiele lat temu miał spotkanie z jednym z takich psów. Jak wszystkie psy obronne - mastiffy, pitbulle, owczarki alzackie, dobermany - są opiekuńcze wobec swoich panów i agresywne dla obcych. Mówi się, że pewien panujący w XV wieku węgierski król ufał tylko psom kuwaczom, a nie ludziom. Psy tej rasy miały szlachetny kształt, wysuniętą klatkę piersiową, potężną muskulaturę, długi pysk i gęstą białą sierść. Ale Janson widział już taką sierść poplamioną ludzką krwią. Wiedział, do czego zdolny był rozwścieczony kuwacz, gdy przystępował do działania. Miał ostre siekacze,

potężne szczęki i w każdej chwili z lekkiego, zwinnego zwierzęcia mógł przemienić się w najeżoną zębami kulę mięsaka.

Zwierzę aż kipiało pełną wrogości energią. Niewiele stworzeń jest równie niebezpiecznych jak rozwścieczony kuwaz.

- Pani Bekesi? - zawołał Janson.

- Odejdźcie - odpowiedział drżący głos.

- To kuwaz, prawda? - powiedział Janson. - Piękne zwierzę! Żadna inna rasa nie może się z nimi równać.

- To piękne zwierzę z chęcią zacisnęłoby swoje szczęki na twoim gardle - odparła stara kobieta. Jej głos nabierał zdecydowania. Dochodził przez otwarte okno; ona sama pozostawała w cieniu.

Widzi pani, mój dziadek pochodzi z wioski, która nazywała się Mol-nar - powiedziała Jessie. - Ludzie mówią, że jest pani jedyną osobą, która mogłaby nam coś o niej opowiedzieć.

Nastąpiła długa przerwa. Było cicho, nie licząc chrypliwego warczenia rozwścieczonego psa.

Jessie spojrzała na Jansona i wyszeptała:

- Ten pies naprawdę cię wystraszył, co?

- Poproś mnie kiedyś, żebym ci opowiedział o Ankarze - odparł spokojnie Janson.

- Wiem o Ankarze.

- Zapewniam cię, że nie wiesz.

Wreszcie kobieta przerwała milczenie.

- Twój dziadek - powiedziała. - Jak on się nazywał?

- Rodzina nosiła nazwisko Kis - powiedziała, z rozmysłem powtarzając popularne nazwisko. - Ale mnie przede wszystkim interesuje atmosfera miejsca, świat, w którym dorastał. Niekoniecznie on sam.

- Kłamiesz - powiedziała stara. - Kłamiesz! - krzyczała zawodzącym głosem. - Obcy przychodzą z kłamstwami. Powinniście się wstydić. A teraz idźcie! Idźcie, albo dam wam pamiątkę. Usłyszeli charakterystyczny dźwięk ładowanej śrutówki.

- O cholera - wyszeptała Jessie. - Co teraz?

Janson wzruszył ramionami.

- Kiedy wszystko inne zawodzi, pozostaje prawda.

- Proszę pani - powiedziała Jessie. - Słyszała pani kiedy o hrabim Janosu Ferenczi-Novaku?

Nastąpiła długa cisza. Kobieta zapytała głosem jak papier ścierny:

- Kim jesteście?

Ahmad Tabari był pod wrażeniem szybkości, z jaką pracował szef wywiadu. Było to ich trzecie spotkanie, a już Al-Mustashar zaczął wyczyniać swoje sztuczki.

- Prowadzimy działania krok za krokiem - powiedział Libijczyk. - Ładunek broni jest właśnie w drodze do twojego człowieka w Nepurze. - Mówił o porcie w najdalej na północny wschód wysuniętym krańcu Kenny. - Zaaranżowanie tego nie było łatwe dla pośrednika. Mam nadzieję, że nie będzie trudności z przyjęciem ładunku. Kanonierki Anurańczyków sprawiły pewien kłopot twoim ludziom, prawdą?

Wojownik Kagama odpowiedział ostrożnie.

- Robi się krok do tyłu, żeby zrobić krok do przodu. Nawet walki Proroka nie zawsze przebiegały gładko. Pamiętaj o rozejmie z Hudaybiyah.

Odniósł się do paktu zawartego przez Mahometa z mieszkańcami Khaybar w okolicach Medyny. Ibrahim Maghur pokiwał głową.

- Dopiero gdy wojska Proroka wzmocniły się dostatecznie, złamał ten pakt, obalił

władców Khaybar i wygnał niewiernych z Arabii. – Oczy mu zabłyśły. - Czy twoje wojska są dość silne?

- Z twoją i Allaha pomocą, będą.
- Doprawdy, zasłużyłeś na miano Kalifa - powiedział pułkownik Maghur.
- Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziałeś mi, że historię tworzą wielcy ludzie - powiedział po chwili Kalif.
- Tak uważam.
- Tymczasem jest tak, że wielcy ludzie hamują historię. Ludzie silni i znaczący, których imperialne ambicje zamaskowane są humanitarnym współczuciem. Ludzie, którzy złamią słuszny opór swoimi kazaniami o pokoju. Oni zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby zdławić przemoc, której wymaga ostateczna sprawiedliwość.

Maghur pokiwał powoli głową.

- Twoja umiejętność rozróżniania pomiędzy dobrem a złem i twój geniusz taktyczny zapewnią ci miejsce w podręcznikach historii i ostateczny triumf walki, którą prowadzisz w imię ostatecznego *ummah*. Zro zumiałem, o kim mówisz. To prawdziwy wróg rewolucji. Niestety, nasze próby uderzenia w niego, jak do tej pory, były daremne.

- Nie mogę zapomnieć, że był już moim więźniem.
- A jednak wyslizgnął się z twojego uścisku. Jest śliski jak wąż w ogrodzie.

Twarz Ahmada Tabariego steżała na to wspomnienie. Wszystkie jego porażki miały źródło w tym upokarzającym ciosie. Klejnot jego korony został wykradzony nocą przez złodzieja. Aż do tamtej chwili nic nie mąciło spokojnej pewności: jego zwolennicy wierzyli, że Allah osobiście pobłogosławił każde posunięcie Kalifa, ale zaledwie o dzień drogi od Id ul-Kebir dokonano zdradzieckiej napaści na nowo obraną przez Kalifa twierdzę. Odbito legendarnego więźnia. Od tej pory nic już nie szło gładko.

- Węża trzeba wytropić i zabić- powiedział Maghur.

Tabari miał nieobecne spojrzenie, ale jego umysł pracował bez przerwy. Ruch, któremu przewodził, musiał opierać się na wierze, że ostateczne zwycięstwo jest nieuchronne: tamto wydarzenie zachwiało poczucie nieuchronności. Topniejące morale wykorzystywane było przez oddziały Armii Republiki Anury, najeżdżające jego domenę, a każdy ich zwycięski rajd jeszcze bardziej pogłębiał niepewność szerzącą się pośród zwolenników Kalifa. To był zaklęty krąg. Żeby się z niego wyrwać, niezbędny był jakiś śmiały akt. Ten Libijczyk to rozumiał. Tabari spojrzał teraz na niego uważnie:

- A ty zapewnisz wsparcie?
- Moja pozycja w rządzie sprawia, że muszę działać spoza wielu zasłon. Trypolis nie może być wiązany z twoimi działaniami. Są jednak inni, których gościnność może być wykorzystana z korzyścią dla ciebie.

- Znów odnosisz się do Islamskiej Republiki Mansuru - powiedział, świdrując go oczami. Mansur powstał z secesyjnego ruchu działającego w granicach Jemenu. Przewodził mu charyzmatyczny mułła. Ale rozłam nie był ostro zwalczany przez jemeńską armię, gdyż nic cennego nie zostało utracone. Mansur, leżący głównie na ruchomych piaskach pustyni Rub' al Khali, był bardzo biednym krajem. Eksportował marne wyroby rzemieślnicze. Rząd miał obywatelom niewiele do zaoferowania, poza szyicką odmianą szariatu: dobroczynnością w średniowiecznym wydaniu. Lecz chociaż eksport dóbr materialnych odbywał się na niewielką skalę, kraj zdobył sobie sławę jako eksporter radykalnego islamu i rewolucyjnego za- pału.

Ibrahim Maghur uśmiechnął się.

- Święty człowiek z Mansuru kilkakrotnie rozmawiał ze mną o ich problemach w dziedzinie bezpieczeństwa państwa. Pozwoliłem sobie napomknąć, mu, że znalazłem kogoś, kto jest w równym stopniu oddany Allahowi, co zorientowany w sprawach bezpieczeństwa. Jedź ze mną do Chartumu; załatwiłem dla ciebie specjalny transport lotniczy. Zostaniesz

przyjęty w pustynnym mieście, które oni nazywają stolicą i jestem przekonany, że znajdziesz w nim gościnnych gospodarzy. Od tej chwili będziesz mógł działać na własną rękę.

- A oni pomogą mi odszukać węża?

Maghur pokręcił głową.

- Ja ci pomogę odszukać węża. Pozostaniemy w ścisłym kontakcie. Mansur da ci tylko oficjalną tożsamość i mobilność, której będziesz potrzebować. Krótko mówiąc, Mansur stanie się wierzchowcem, na którym będziesz jeździć.

Pustynny wiatr rozwiewał ich obszernie szaty.

- Mówią, że jeśli wydałeś wojnę królowi, to musisz go zabić - powiedział Kalif.

- Twoi wrogowie wkrótce poznają tę prawdę - odparł Libijczyk. - Peter Novak wypowiedział ci wojnę za pośrednictwem swoich najmitów - ale nie udało mu się ciebie zabić. Teraz ty uderzysz na niego...

- I zabiję go - te słowa zabrzmiały jak stwierdzenie prostego faktu.

- Prawdę rzekłeś. Wymaga tego sprawiedliwość, której szafarzem jest sam Allah. Ale czasu jest coraz mniej, gdyż pragnienie zwolenników rewolucji jest wielkie.

- A co zaspokoi to pragnienie?

- Krew niewiernych - powiedział Maghar. - Popłynie jak sok z najśłodsze owocu granatu i sprawi, że zwyciężysz.

- Krew niewiernych - powtórzył Kalif.

- Tylko komu możesz zaufać. Kto ma tę krew przelać.

- Zaufać? - Kalif zamrugął ze zdziwienia.

- Kogo do tego odkomenderujesz?

- Odkomenderuję? - wojownik ludu Kagam wydawał się z lekka urażony. - Tego nie można nikomu zlecić. Czy zapomniałeś, że Prorok sam poprowadził wojska na Khaybarów?

Oczy Libijczyka rozszerzyły się. Poczul jeszcze większy szacunek dla wodza rewolucjonistów.

- Krew niewiernych zaprawdę popłynie - powiedział Kalif i wyciągnął ręce. - Te dłonie będą ociekały krwią Petera Novaka.

- Zaś Allah je pobłogosławi. - Libijczyk skłonił się. - Pójdź teraz ze mną. Trzeba osiodłać wierzchowca. Mansur cię oczekuje, Kalifie.

Rozdział 26

Gitta Bekesi, chociaż niechętnie, pozwoliła im wreszcie wejść do rozpadającego się wiejskiego domu, w którym mieszkała razem ze swoim zdziczałym psem. Niechęć psa byk jeszcze większa: chociaż posłusznie stał z tyłu, z jego sztywnej postawy i zjeżonej sierści można było wyczytać, że na najmniejszy znak ze strony swojej pani rzuci się na gości z furją.

Właścicielka byk równie zniszczona jak jej dom. Skóra na czaszce wydawała się za luźna; blada wyschnięta łysina przeświecała między rzadkimi pasmami włosów; oczy miała głębokoboko zapadnięte, połyskujące twardo spoza przypominających węzową skórę fałd. Jeśli wiek zmiękczył to, co w niej było twarde, to utwardził wszystko, co było miękkie. Sprawił, że jej policzki zapadły się i obwisły, a usta przybrały kształt zaciśniętej szczeliny.

Była to twarz rozbitka.

Z artykułów, które przeczytał Janson, wynikało, że w 1945 roku, gdy wojna zniszczyła wioskę Molnar, Peter Novak miał osiem lat. Molnar był niewielki - na początku lat czterdziestych mieszkało tam nie więcej niż tysiąc ludzi. Zginęli prawie wszyscy.

Weszli do sporej izby. Na kominku płonął ogień. Na drewnianej półce nad kominkiem stara fotografia w zmatowiałej srebrnej ramce ukazywała piękną, młodą kobietę. Gittę Bekesi taką, jaką ongiś była: krzepką wiejską dziewczyną.

Jessie podeszła do fotografii.

- Jaka pani była piękna - powiedziała zwyczajnie.

- Piękno może być przekleństwem - odparła stara. - Na szczęście jest ono ulotne.

Mlasnęła, a pies przyszedł i usiadł obok niej. Sięgnęła w dół i pogłaskała go szponiastą ręką po łbie.

- O ile wiem, pracowała pani kiedyś u hrabiego - powiedział Janson. - U hrabiego Ferenczi-Novaka.

- Nie rozmawiam o tych sprawach - odparła szorstko. Siedziała w starym wiklinowym fotelu bujanym. Za nią, oparta o ścianę jak laska, stała śrutówka. - Mieszkam sama i nie chcę niczego, poza tym, żeby zostawiono mnie samą. Traciecie czas. Wpuściłam was. Teraz będziecie mogli mówić, że siedzieliście ze starą kobietą i zadawaliście jej pytania. Teraz będziecie mogli powiedzieć komu trzeba, że Gitta Bekesi nie odpowiedziała wam na żadne pytanie. Aha, jedno mogę wam powiedzieć: w Molnarze nie było rodziny o nazwisku Kis.

- Chwileczkę - „komu trzeba”? A komu niby trzeba?

Stara milczała, patrząc prosto przed siebie,

- Czy to kasztany? - zapytała Jessie, spoglądając na misę stojącą na małym stoliku obok fotela.

Bekesi pokiwała głową.

- Mogę się jednym poczęstować? Widzę, że pani je dopiero co upiekła, bo w całym mieszkaniu pachnie, aż mi ślinka leci.

Bekesi spojrzała na misę i skinęła głową.

- Nadal są gorące - powiedziała.

- Przywodzą mi na myśl moją babcie - przychodziliśmy do niej do domu, a ona piekła nam kasztany... - Rozpromieniła się na to wspomnienie. - I wtedy każdy dzień był jak Boże Narodzenie. - Jessie obrała kasztana i zjadła go z apetytem. - Są doskonałe. Po prostu doskonałe. One same warte były czterech godzin drogi.

Stara kobieta pokiwała głową, widać było, że nie jest już tak wyniosła.

- Robią się za suche, jeśli się je za długo piecze.

- Za to są za twarde, jeśli za krótko - wtrąciła Jessie. - Ale pani zrobiła to tak jak trze-

ba.

Niewyraźny uśmiezek zadowolenia zagościł na twarzy starej.

- Pewnie wszyscy goście błagają panią o kasztany? - drażyła temat Jessie.
- Ja nie miewam gości.
- W ogóle? Trudno w to uwierzyć.
- Bardzo niewiele. Bardzo, bardzo niewiele.

Jessie pokiwała głową.

- A jak pani traktuje wścibskich?
- Kilka lat temu przyjechał tu młody dziennikarz z Anglii - powiedziała stara, patrząc w bok. - Miał tyle pytań. Pisał coś o Węgrzech podczas wojny i po wojnie.
- Naprawdę? - zapytał Janson z wyrazem skupienia w oczach. - Chętnie przeczytałbym to, co on napisał.

Starucha parsknęła.

- Nic nie napisał. Za ledwie parę dni po wizycie zginął w wypadku, w Budapeszcie. Tam jest strasznie dużo wypadków, wszyscy tak mówią.

W pokoju zrobiło się jakby zimniej.

- Ale ja zawsze się temu dziwię - dodała.
- Czy on też pytał o hrabiego? - zapytała Jessie.
- Niech się pani poczęstuje jeszcze jednym kasztanem - odparła stara.
- Naprawdę mogę?

Stara kiwnęła głową, zadowolona. Po chwili powiedziała:

- To był nasz hrabia. Nie można było mieszkać w Molnarze i nie znać hrabiego. Ziemia, na której się pracowało, była jego ziemią. Pochodził z jednego z bardzo starych rodów - swój rodowód wywodził z czasów, gdy w roku tysięcznym z siedmiu plemion powstał naród węgierski. Tu były jego dobre rodowe, chociaż wiele czasu spędzał w stolicy; - Uniosła małe, czarne oczy. - Mówią, że jestem starą kobietą, która żyje przeszłością. Może i tak. Mieszkamy na niespokojnej ziemi. Ferenczi-Novak rozumiał to lepiej niż inni.

- Naprawdę? - zapytała Jessie
- Może pani napije się ze mną szklaneczkę palinki?
- Nie, dziękuję.

Gitta Bekesi patrzyła kamiennym wzrokiem przed siebie i nic nie mówiła. Widać było, że jest obrażona.

Jessie spojrzała na Jansona i znów przeniosła wzrok na starą.

- To znaczy, napiję się, jeśli pani też się napije.

Stara powoli podniosła się i podeszła do kredensu ze szklanymi drzwiczkami. Uniosła wielki dzban wypełniony bezbarwnym płynem i naląła troszeczkę do dwóch szklaneczek.

Jessie wzięła jedną z nich. Stara znów usiadła w fotelu i patrzyła. Jessie skwapliwie upiła łyk i jeszcze szybciej go wypłuła. Był to odruch równie niezależny od woli jak kichnięcie.

- Och, przepraszam! - wydusiła z siebie.

Stara uśmiechnęła się figlarnie. Jessie nadal walczyła o oddech.

- Co za... - wyrzuciła z siebie. Oczy jej łzawiły.
- Tutaj robimy to sami - powiedziała stara. - Siedemdziesiąt pięć procent alkoholu.

Trochę za mocne dla pani?

- Troszeczkę - wychrypiała Jessie.

Stara przełknęła resztę trunku. Wyglądała teraz na odprężoną.

- To się zaczęło od traktatu w Trianon w 1920 roku, od straconych terytoriów. Musieliśmy oddać prawie trzy czwarte naszej ziemi Rumunom i Jugosłowianom. Może pani sobie wyobrazić, co to było za uczucie?

- Jak amputacja - podpowiedziała Jessie.
- Właśnie - było to tak, jakby trochę się było, a trochę nie było. *Nem, nem soha!* Nie,

nikdy! Taka była dewiza narodowa. Sprawiedliwości dla Węgier! Tak brzmiała odpowiedź na pytanie. Ale nikt w świecie nie brał tego poważnie. Cóż za szaleństwo - jak ujeżdżanie tygrysa. Rząd w Budapeszcie zaprzyjaźnił się z tym człowiekiem. Wkrótce znaleźli się w brzuchu bestii. To był błąd, za który krajowi przyszło tak drogo zapłacić. Ale nikt nie cierpiał bardziej niż my.

- A była pani w pobliżu, gdy.

- Wszystkie domy podpalono. Ludzi, którzy w nich mieszkali - ich przodkowie żyli tam od niepamiętnych czasów - wypędzono z łóżek, z pól, od stołów zastawionych śniadaniem. Zapędzono ich karabinami na zamrożone wody Tiszy i gnano tak długo, aż lód się zalał i potonęli. Całe rodziny szły ręką w rękę, by kilka minut później zamarznąć w lodowatej wodzie. Mówi się, że trzaskanie lodu słychać było aż do winnic. W tym czasie byłam w zamku, który ostrzeliwano z armat. Myślałam, że ściany zawalą się na nas. Rzeczywiście, niewiele przetrwało ostrzał. Ale w piwnicy było bezpiecznie. Dzień później wojsko poszło dalej, a ja wróciłam do mojej rodzinnej wioski, do jedyne go domu, który znałam;

Jej głos przeszedł w szept

- I - nic. Tylko ruiny i zniszczenie. Okopcone ruiny, zwęglone drewno. Jakiś dom na górze przypadkiem uniknął zniszczenia. Ale wioska Molnar, która przetrwała Rzymian, Tatarów i Turków, nie istniała. Nie istniała. A w rzece pływały ciała, jak kra na wiosnę. A wśród nich nagie, opuchnięte ciała moich rodziców - Uniosła rękę do czoła. - Kiedy się widzi, co człowiek może zrobić z człowiekiem, to... wstyd, że się jest człowiekiem.

Dwoje Amerykanów milczało przez moment.

- Jak znalazła się pani w zamku? - zapytał po chwili Janson.

Stara uśmiechnęła się do wspomnień.

- Janos Ferenczi-Novak - cudowny człowiek i jego Illana, równie cudowna. Służba u nich była przywilejem, nigdy tego nie zapomnę. Widzi pan, moi rodzice, moi dziadkowie i pradziadkowie pracowali na roli. Byli parobkami, ale z czasem hrabia dał im małe działki. Sadzili ziemniaki, winogrona wszelkich gatunków. Myślę, że żywili wobec mnie pewne nadzieje. Byłam śliczną małą dziewczynką. To prawda. Uważali, że jeśli pójdę służyć do zamku, to nauczę się tego i owego. Może hrabia zabierze mnie z sobą do Budapesztu, a tam spotkam kogoś szczególnego. To były marzenia mojej matki. Znała pewną kobietę, która pomagała w prowadzeniu gospodarstwa domowego hrabiego i przyprowadziła mnie do niej. Wkrótce osobiście spotkałam się z tym wielkim człowiekiem, hrabią Ferenczi-Novakiem i jego piękną, niebieskooką żoną Illaną. Hrabia coraz więcej czasu spędzał w Budapeszcie, w kręgach rządowych zbliżonych do regenta Horthy'ego. Był blisko Miklósa Kallaya, który miał zostać premierem. Sądzę, że hrabia sam był kimś w rodzaju wysoko usytuowanego ministra w rządzie Kallaya. Był wykształconym człowiekiem. Rząd potrzebował takich ludzi, a on miał silne poczucie służby publicznej. Ale nawet wtedy, co jakiś czas, przyjeżdżał na kilka tygodni do swoich wiejskich włości w Molnarze. Małe wioska. Jeden oberżysta. Jeden sklepikarz, Żyd z Hodmezovasarhely. Reszta to rolnicy i drwale. Prosty naród, z trudem wiążący koniec z końcem nad brzegiem rzeki Tiszy. Potem nadszedł dzień, kiedy matka zabrała mnie do zamku na wzgórzu - zamku, który dzieci wyobrażały sobie jako część góry.

- Pewnie słabo się pamięta coś, co wydarzyło się tyle lat temu - wtrąciła Jessie.

Stara potrząsnęła głową.

- Dzień wczorajszy tonie we mgle niepamięci, to, co zdarzyło się sześćdziesiąt lat temu, widzę, jakby działo się teraz. Długa, bardzo długa ścieżka obok stajni. Kamienne słupki bramy z podniszczonymi rzeźbieniami. A potem, w środku - spiralna klatka schodowa, wytarte stopnie. Odebrało mi oddech. Ludzie mówili, że pijani goście potykali się i spadali z tych schodów. Później, gdy dołączyłam do służby, podsłuchiłam hrabinę Illanę, jak o tym mówiła - była taką zabawną i tak lekko do tego podchodziła. Nie podobały się jej jelenie głowy z porożami wiszące na ścianach - pytała, czy nie ma zamku, który byłby od tego wolny. Obrazy.

Teniers, Teniers Młodszy. „Jak w każdym zamku w Europie Środkowej”, usłyszałam raz, jak hrabina mówiła do kogoś. Meble. „Bardzo późny Franciszek Józef, mawiała. I jak ciemno było w głównym holu. Nie chciano robić dziur we freskach, żeby założyć elektryczne oświetlenie. Więc wszystko błyszczało w świetle świec. Pamiętam, że stał tam wielki fortepian z różanego drewna. Na wierzchu miał narzutę z delikatnych koronek. I stały tam srebrne kandelabry, które starannie polerowano co sobotę. Na zewnątrz było równie pięknie. Byłam oszołomiona z podniecenia, gdy po raz pierwszy szłam przez ogród angielski na tyłach zamku. Rosły tam wielkie drzewa o powyginanych konarach, rozsiewające wokół swoje strączki, były akacje i orzechowce. Hrabina była bardzo dumna ze swego *jardin anglais*. Uczyla nas właściwych nazw wszystkich roślin, po angielsku. Tak, po angielsku. Pewien człowiek ze służby uczył mnie tego języka. Illana lubiła zwracać się do ludzi po angielsku, jakby mieszkała w angielskim dworze na wsi, więc uczyliśmy się. - Stara wyglądała dziwnie pogodnie. - Ten angielski ogród. Zapach świeżo skoszonej trawy, aromat róż i siana - to było dla mnie jak raj. Wiem, ludzie mówią, że żyją przeszłością, ale to jest przeszłość, w której warto żyć.

Janson przypomniał sobie ruiny, które widział wyżej, na wzgórzu: z wielkiego dworu pozostały wyszczerbione ściany wznoszące się zaledwie na metr nad poziomem ziemi, prawie niewidoczne zza wysokiej trawy. Skruszałe kupy cegieł, tam gdzie niegdyś wznosiły się wspaniałe kominy, wystawały z krzaków jak kikuty drzew. Z zamku, który stał tam dumnie przez stulecia, pozostały gruzy -jak jakiś skalny ogród. Zaginiony świat. Stara weszła kiedyś do zaczarowanego ogrodu. Teraz mieszkała w cieniu jego szczątków.

Drewno w kominku syczało i trzaskało z cicha. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

- A co z tupaniem małych nóżek? - zapytała wreszcie Jessie.

- Mieli tylko jedno dziecko, Petera. Chce pani jeszcze kropelkę palinki?

- Pani jest naprawdę bardzo uprzejma - odparła Jessie. - Ale mnie już wystarczy.

- Peter, mówi pani - powtórzył Janson, z rozmysłem obojętnie. - Kiedy się urodził?

- W pierwszą sobotę października 1937 roku. Taki piękny chłopczyk. Piękny i mądry.

Można było się domyślić, że wyrośnie na kogoś znaczącego.

- I wyrósł, prawda?

- Nadal go widzę jak chodził po długim, wykładanym lustrami korytarzu w kołnierzyku Piotrusia Pana i marynarskiej czapeczce. Uwielbiał przyglądać się swoim odbiciom, coraz odleglejszym, ciągnącym się w nie skończoność, między dwoma stojącymi naprzeciwko lustrami. - Uśmiech pogłębił siatkę zmarszczek na jej twarzy. - A rodzice tak go kochali. To rozumiałe. Był ich jedynym dzieckiem. Poród był trudny i hrabina wyszła z niego bezpłodna. - Stara znajdowała się w innym miejscu, w innym świecie: był to zaginiony świat, który jednak dla niej nigdy nie zagał.

- Pewnego dnia, tuż po obiedzie, jak mały niegrzeczny chłopczyk, zjadł trochę ciastek, które kucharka przygotowała do herbaty. Kucharka zbeształa go. Przypadkiem usłyszała to hrabina Illana. „Nigdy więcej nie zwracaj się tak do naszego dziecka”, powiedziała jej. Ale jak to powiedziała! - Z każdego słowa zwisały sople lodu. Bettina, ta kucharka, zaczerwieniła się i nic nie powiedziała. Zrozumiała. Wszyscy zrozumieliśmy. On był... inny niż wszyscy chłopcy. Ale nie zepsuty, rozumcie. Promienny jak pierwszy lipca, jak to się u nas, na Węgrzech mówi. Kiedy był z czegoś zadowolony, uśmiechał się od ucha do ucha, aż miało się wrażenie, że twarz mu pęknie. To było błogosławione dziecko. Niezwykłe. Mógł zostać kimś. Kimś wielkim.

- Peter musiał być dla nich wszystkim - powiedziała Jessie.

Stara znów pogłaskała rytmicznie psa.

- Taki wspaniały chłopczyk.

Oczy się jej rozjaśniły, jakby zobaczyła go przed sobą, w jego ubranku i marynarskiej czapeczce, patrzącego w lustro wiszące po obu stronach korytarza na swoje odbicie ciągnące się w nieskończoność.

Starucha zamrugnęła powiekami i zacisnęła je mocno, żeby zatrzymać w umyśle ten obraz.

- Ta gorączka była straszna, Był rozgrzany jak piec. Rzucił się w łóżku i wymiotował. Wiecie, to była epidemia cholery. Był gorący w dotyku. A potem taki zimny. Rozumiecie, byłam jedną z osób, które się nim zajmowały, gdy leżał chory w łóżku. - Położyła obie ręce na pysku psa, szukając pocieszenia w niezachwianej sile zwierzęcia. - Nigdy nie zapomnę tego poranka, gdy znalazłam jego ciało, takie zimne, wargi takie blade, policzki jak z wosku. Miałam złamane serce. Miał tylko pięć lat. Czy może być coś smutniejszego? Umarł, zanim na dobre zaczął żyć.

Janson poczuł zawroty głowy, zawładnęło nim poczucie dezorientacji. Peter Novak zmarł w dzieciństwie? Jak to możliwe? To jakaś pomyłka - może ta kobieta mówi o innej rodzinie, o innym Peterze?

A jednak, wszystkie zapisy o życiu filantropa podawały zgodnie, że Peter Novak, umiłowany jedyny syn Janosa Ferenczi-Novaka, urodził się w październiku tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku i wychował się w zniszczonej przez wojenną zawieruchę wsi Molnar. Tyle można było znaleźć w oficjalnych życiorysach.

Ale co z resztą?

Nie było wątpliwości, że stara mówi prawdę, tak jak ją zapamiętała. Ale co to oznacza? Peter Novak, człowiek, którego nigdy nie było.

Janson był coraz bardziej zaniepokojony. Przez jego myśli przelatywały coraz to nowe przypuszczenia, jakby przewracał karty jakiejś książki.

Jessie wyjęła z torby album ze zdjęciami Petera Novaka i otworzyła go na kolorowym zdjęciu przedstawiającym zbliżenie wielkiego człowieka. Pokazała je Gitcie Bekesi.

- Widzi pani tego człowieka? Nazywa się Peter Novak.

Stara spojrzała na zdjęcie, popatrzyła na Jessie i wzruszyła ramionami.

- Nie oglądałam wiadomości. Nie mam telewizora, nie kupuję gazet. Ale faktycznie chyba o nim słyszałam.

- To samo nazwisko, co u syna hrabiego. Czy to nie może być ten sam człowiek?

- Peter Novak - popularne imię i popularne nazwisko w naszym kraju - powiedziała stara, wzruszając ramionami. - Oczywiście, to nie jest syn Ferenczi-Novaka. Tamten zmarł w roku 1942. Już pani mówiłam. - Znów popatrzyła na fotografię. - Poza tym, ten człowiek ma brązowe oczy. - Ta sprawa wydała się jej zbyt oczywista, by się nad nią rozwodzić, ale dodała: - Mały Peter miał błękitne oczy jak wody Balatonu. Błękitne jak oczy jego matki.

Zaszokowani szli w stronę samochodu. Kiedy dom zniknął za zaroślami, zaczęli rozmawiać, powoli, niepewnie, starając się zrozumieć to, co przed chwilą usłyszeli.

- A jeśli było jeszcze jedno dziecko? - zapytała Jessie. - Jeszcze jedno, o którym nikt nie wiedział, które przybrało imię brata. Może ukryty bliźniak,

- Stara była pewna, że był tylko jeden syn, Niełatwo byłoby ukryć drugiego przed służbą. Oczywiście, jeśli hrabia Ferenczi-Novak był typem paranoicznym, jak się o nim mówiło, można sobie wyobrazić, że używał jakichś podstępów.

- Ale dlaczego? Nie był szalony.

- Szalony nie, ale bardzo się bał o swoje dziecko - powiedział Janson - Sytuacja polityczna Węgier była wtedy bardzo napięta. Przypomnij sobie, co czytałaś. W marcu 1919 Bela Kun objął władzę. Rządził przez sto trzydzieści trzy dni. To były rządy terroru. Gdy tylko został obalony, nastąpiła jeszcze straszniejsza masakra ludzi, którzy pomogli mu zdobyć władzę. Mordowano całe rodziny - był to tak zwany biały terror admirała Horthy'ego. Odwet i kontroldwet stanowiły wtedy po prostu sposób na życie. Hrabia mógł uznać, że to, co było, może wrócić. Że jego związki z premierem Kallayem mogą być wyrokiem śmierci nie tylko

dla niego, ale dla całej jego rodziny.

- Bał się komunistów?

- Faszystów i komunistów. Pod koniec 1944 i na początku 1945, kiedy strzałokrzyżowcy przejęli władzę, zabito setki tysięcy ludzi. Pamiętaj, dla nich Horthy był zbyt liberalny! Prawdziwi, domorośli węgierscy naziści. Kiedy Armia Czerwona przejęła kontrolę nad krajem, zaczęły się kolejne czystki. Znowu zabito setki tysięcy ludzi. Wrogów rewolucji. Ludzie tacy jak Ferenczi-Novak znaleźli się między młotem a kowadłem. Ileż to razy przewalały się tu ideologiczne zawieruchy - kraj przechodził spod rządów skrajnej lewicy pod rządy skrajnej prawicy i znowu skrajnej lewicy.

- Wiec wracamy do starego pytania: jak wychować dziecko w takim świecie. Może ci ludzie sądzili, że to niemożliwe. Że ich dziecko musi żyć w ukryciu.

- Mojżesz w koszyku z trzciny - zamyślił się Janson. - Ale to wywołuje następne pytania. Novak twierdził publicznie, że to byli jego rodzice. Dlaczego?

- Bo to prawda?

- Nie bardzo. Takie dziecko byłoby wychowane w atmosferze strachu przed prawdą. Uważałoby prawdę za rzecz niebezpieczną- może nawet nie znało prawdy. Tak to jest z dziećmi: nie można im powiedzieć tego, z czym nie dadzą sobie rady. W hitlerowskich Niemczech, kiedy chrześcijańska rodzina ukrywała żydowskie dziecko, to nie mówiła mu prawdy. Bo prawdy nie wolno mu było powiedzieć. Ryzyko było za duże: dziecko mogło powiedzieć coś niewłaściwego kolegom, nauczycielowi. Jedynym sposobem, żeby ochronić je przed konsekwencjami potencjalnie śmiertelnej prawdy było wychowywanie go w niewiedzy o tej prawdzie. Dopiero później, gdy dziecko dorosło, można mu było powiedzieć. Ponadto, gdyby rodzice Novaka byli tymi, których podawał za swoich rodziców, to ta Gitta Bekesi wiedziałaby o tym. Jestem tego pewien. Nie sądzę, żeby mieli inne dziecko. Myślę, że powiedziała nam prawdę: Peter Novak, jedyny syn hrabiego umarł w dzieciństwie.

Gdy słońce zaczęło zachodzić za odległe szczyty, cienie wydłużyły się i przybrały formę, wąskich pasków. Kilka minut później złote polany zamieniły się w szare plamy. W górach zachód słońca nadchodzi szybko i prawie bez ostrzeżenia.

- To wygląda jak jakiś cholerny salon luster, o jakim opowiadała babcia Gitta. Wczoraj zastanawialiśmy się, czy jakiś oszust przybrał tożsamość Novaka. Teraz wygląda na to, że sam Novak przywłaszczył sobie czyjąś tożsamość. Martwe dziecko, starta z powierzchni ziemi wioska -to dla kogoś świetna okazja.

- Kradzież tożsamości - powiedział Janson. - Koronkowa robota.

- To genialne, jeśli się nad tym zastanowić. Wybrał wioskę całkowicie zniszczoną podczas wojny - tak że praktycznie nie pozostał nikt, kto pamiętałby cokolwiek z jego dzieciństwa. Wszystkie dokumenty, świadectwa urodzin i śmierci przepadły, gdy wieś podpalono.

- Zrobienie z siebie syna arystokraty było dobrym posunięciem - powiedział Janson. - Pomogło w uporaniu się z wieloma znakami zapytania w kwestii jego pochodzenia. Nikt się nie dziwi, że jest tak świetnie wykształconym światowcem, a nie zachowały się żadne świadectwa poświadczające, że uczył się do szkół.

- Właśnie. Gdzie chodził do szkoły? Uczyli go prywatni nauczyciele - to przecież dziecko hrabiego, prawda? Dlaczego nie ma go na ekranie radaru? Bo ten arystokrata, ten Ferenczi-Novak, miał wielu wrogów i dobre powody, żeby stać się paranoicznym typem. Wszystko pasuje do siebie doskonale.

- Idealnie. Trochę za dobrze. Następną rzecz, którą o nim wiemy, to to, że jest wielkim finansistą.

- Człowiek bez przeszłości.

- Och, on ma przeszłość, jak najbardziej. Po prostu nikt tej przeszłości nie zna.

Przypomniał sobie samolot filantropa i biały napis wykonany kursywą na emalii: *Sok kicsi sokra megy*. Wiele małych rzeczy składa się na jedną dużą. Mogło to oznaczać zarówno

dobroczynność, jak i oszustwo. W potoku myśli wróciły do niego słowa Marty Lang: „Novak ciągle udowadnia, kim jest naprawdę. Człowiekiem na wszystkie pory roku, człowiekiem dla wszystkich”.

Więc kim jest naprawdę?

Jessie bez trudu przeskoczyła wielki konar przegradzający ścieżkę.

- Ciągłe wraca, pytanie „dlaczego”? Dlaczego oszukuje? Wszyscy go kochają. Taki cholerny bohater naszych czasów.

- Nawet święci miewają coś do ukrycia - odparł Janson, ostrożnie stawiając kroki. - A jeśli pochodzi z rodziny uwikłanej w zabójstwa strzałokrzyżowców? Wyobraź sobie kraj, gdzie ludzie mają długą pamięć, gdzie odwet jest normą, gdzie całe rodziny, włączając w to dzieci i wnuki były mordowane albo deportowane, bo znalazły się po niewłaściwej stronie. Cykliczna zemsta stała się lejtmotyww dwudziestowiecznej historii Węgier. Jeśli w twojej przeszłości kryłoby się takie zło, chciałabyś pewnie przed nim uciec wszelkimi sposobami. Niejedna babcia Gitta żyje w tej okolicy przeszłością. Pomyśl o tym. Powiedzmy, że ten człowiek pochodzi z rodziny strzałokrzyżowców. Bez względu na to co zrobi, będzie to powracało raz po raz - w każdym wywiadzie, w każdej rozmowie, w każdej dyskusji. Jessie po kiwała głową.

- „Ojcowie jedli cierpkie jagody, a synom zdętwiały zęby” - rzekła. - Księga Jeremia-sza, rozdział trzydziesty pierwszy, wers dwudziesty dziewiąty.

- To może być rzeczywiście taka prosta motywacja – powiedział Janson. Ale rozumiał, że w tym wszystkim nie ma niczego prostego. Coś dziwnego - nie pomyśl, ale za ledwie jego przecucie - drażyło mu umysł. Było poza zasięgiem, ale ostro dawało znać o swojej obecności. Nikłe, prawie nieuchwytnie, a jednak obecne.

Gdyby tylko potrafił się skoncentrować. Wyłączyć wszystko inne i skoncentrować się.

Minęło dobrych parę minut, zanim rozpoznał dźwięk płynący z dołu. On też był nikły i prawie nieuchwytny, a jednak, gdy nastawił się na odbiór wrażeń słuchowych, rozpoznał źródło i serce zaczęło mu walić.

Był to krzyk kobiety.

Rozdział 27

O Chryste, nie! Gałęzie smagały i kłuły Jansona, gdy pędził wijącą się ścieżką w dół zbocza. Pamiętał tylko, żeby się nie przewrócić, gdy przeskakiwał przez gałęzie i przedzierał się przez krzaki; wystarczyło źle stąpnąć i mogło się to skończyć skręceniem nogi albo czymś jeszcze gorszym. Kazał Jessie jak najszybciej wracać do lancii; byłaby to katastrofa gdyby ich wrogowie dotarli tam wcześniej.

Kilka minut później Janson, zdyszany, dotarł do rozwalającego się domu starej. Krzyki urwały się, zastąpiło je coś znacznie bardziej złowieszczonego całkowita cisza.

Drzwi stały otwarte na oścież. Janson wiedział, że w środku zastanie scenę, która na całe życie wryje mu się w pamięć. Szlachetny kuwacz leżał na boku. Był zmasakrowany. Wnętrznosci wylewały się z brzucha. Lekko parowały w chłodnym powietrzu. Na stojącym obok bujanym fotelu leżało ciało Gitty Bekesi, kobiety, która przetrwała czerwony i biały terror, dwie potworne wojny, czołgi w 1956 roku, plagi zsyłane zarówno przez człowieka, jak i przez naturę. Twarz miała przykrytą własną sukienką z surowego muślinu. Zadarto ją i zakryto nią głowę, odsłaniając zwiotczały tors i ślady po nieopisanych męczarniach, którym go poddano. Małe, otoczone czerwonymi obwódkami rany - Janson wiedział, że powstały od ukłuć bagnetem - przebiegały wzdłuż i w szerz po jej srebrzystej skórze układając się w groteskowy wzór. Napastnicy wbili ostrza kilkanaście razy. Na obnażonych ramionach i nogach dostrzegł sińce. Kobiętę przytrzymało i zamęczono bagnetem. Czy chcieli uzyskać od niej informacje? A może tylko karali ją sadystycznie za to, że przekazała informacje Jansonowi?

Jakie potwory dopuściły się takiego czynu?

Janson stał odrętwiały. Rozejrzał się, zobaczył ślady krwi zmarłej na podłodze i na ścianach. Zabójstwo miało miejsce zaledwie kilka minut temu. Jej goście byli równie szybcy jak dzicy.

Gdzie podzieli się teraz? Nie mogli odejść daleko. Czy Paul miał się stać ich następną ofiarą?

Serce biło Jansonowi silnie, w powolnym rytmie. Perspektywa konfrontacji nie spełniała go obawą, lecz dziwnym uczuciem przypominającym euforię. Stara była łatwą ofiarą, ale ten, kto ją zabił, dowie się, że z Jansonem jest inaczej. Zadrzał z wściekłości. Wściekłość znajdzie sobie wkrótce ujście.

Wróciły do niego na pół drwiące słowa Dereka Collinsa: „Mówisz, że zabijanie zaczęło budzić w tobie wstręt. Powiem ci teraz coś, co pewnego dnia sam odkryjesz: gdyby nie zabijanie, nie czułbyś, że żyjesz”.

Teraz potwierdzała się prawdziwość tych słów. Przez całe lata uciekał przed swoją właściwą naturą. Dziś przed nią nie ucieknie. Gdy przyglądał się okaleczonym zwłokom, przez głowę przeszła mu myśl ostra jak brzytwa. Ci, którzy zadali to cierpienie, sami będą cierpieć.

Gdzie oni są?

Blisko, bardzo blisko. Bo to o niego im szło. Powinni być wyżej, na wzgórzu. Czy Jessie zdąży przed nimi do lancii?

Janson musiał się na coś wspiąć, żeby dobrze się przyjrzeć polu działania. Wiejski dom zbudowany był, jak nakazywała tradycja, w kształcie litery L, oskrzydlając podwórze. Pomieszczenia mieszkalne i gospodarcze znajdowały się pod jednym dachem. Do domu przylegał pod kątem prostym budynek ze stodołą i stajniami. Wybiegł na podwórko; wspiął się na strych, otworzył drzwi na zawiasach w dachu z nieheblowanych desek i wszedł na kalenicę.

Około czterystu metrów w górę zbocza zobaczył grupkę uzbrojonych mężczyzn zdążających w stronę Jessie Kincaid. W półmroku trudno było rozpoznać ich sylwetki, ale połama-

ne gałęzie i zdeptana trawa znaczyły ich szlak. Potem Janson zobaczył i usłyszał stadko czarnych ptaków wylatujących z hałaśliwym krakaniem z pobliskich krzaków. Coś je spłoszyło. Chwilę później spostrzegł jakiś ruch w zaroślach otaczających dom. Zrozumiał, co to znaczy.

To on wpadł w pułapkę!

Ci ludzie liczyli na to, że usłyszy krzyki starej. Próbowali zwabić go z powrotem do domu.

Znalazł się dokładnie tam, gdzie chcieli - zrobił dokładnie to, czego chcieli! Poczł przyływ adrenaliny, napełnił go lodowaty spokój.

Dom był ogrodzony, ale uzbrojeni mężczyźni otoczyli go z wszystkich stron, a teraz opuścili ukrycie. Wychodzili z krzaków zmierzając w stronę podwórza. Musieli widzieć jak wchodzi i prawdopodobnie czekali na niego, żeby zaatakować. Janson nie mógł stąd wyjść niezauważony. Kincaid zostanie złapana po drodze do samochodu, a jego zabiją albo złapią w ogrodzonym gospodarstwie, które teraz stało się jego więzieniem.

Latarki, które nieśli, oświetlały dom starej ze wszystkich stron; w ich świetle widział, że mają karabiny. Zaczną strzelać do ofiary przy pierwszej nadarzającej się okazji. W tej chwili Janson był rzeczywiście łatwym celem - jeszcze chwila i snopy światła ich latarek przeniosą się na przygórek i oświetlą go jak tarczę na strzelnicy.

Janson zszedł z dachu najszybciej i najciszej, jak tylko potrafił. Jeśli napastnicy nie wpadli za nim do budynku, to tylko dlatego, że nie wiedzieli, czy jest uzbrojony. Poczekają na właściwy moment, będą postępować ostrożnie i zabiją go tak, żeby nie zdążył zabrać ze sobą któregoś z nich na drugą stronę.

Przebiegł pędem przez podwórze do salonu starej. Migotliwe płomienie kominka rzucały koszmarną poświatę na ślady jatki. Ale nie miał wyboru, musiał tu wrócić. Stara przecież miała śrutówkę, prawda?

Śrutówki nie było. Oczywiście, że nie było. Nie uszłaby ich uwagi. Rozbrojenie osiemdziesięciolatki nie było trudne. Ale skoro kobieta miała śrutówkę, to musiała też mieć gdzieś schowany zapas naboji.

Błądzący snop żółtego światła wpadł przez okno do salonu. Szukał ruchu - szukał jego, Janson błyskawicznie rzucił się na ziemię. Chcieli go zlokalizować, stopniowo zacieśniając krąg. Gdy już będą z całą pewnością wiedzieli, w którym jest budynku, sforsują bramę na podwórze i okrażą ten właśnie budynek.

Janson poczołgał się w stronę kuchni. Naboję do śrutówki - gdzie też stara mogła je trzymać? Same nie będą mogły służyć jako broń przeciwko jego prześladowcom. Ale może ich użyć w inny sposób. Żył jeszcze tylko dlatego, że nie byli pewni, gdzie się znajduje. Musi to wykorzystać. Musi wprowadzić ich w błąd.

Sprawdził kilka szuflad w kuchni. W jednej znalazł sztucce, w drugiej butelki z przyprawami. Obok kuchni była mała spiżarnia. Tam wreszcie znalazł, czego szukał. Było tego więcej niż się spodziewał. Dziesięć pudełek. W każdym po dwadzieścia sztuk. Wyciągnął dwa pudełka i poczołgał się z powrotem do salonu.

Z zewnątrz słyszał krzyki w języku, którego nie był w stanie rozpoznać. Był jednak pewien, że ludzi jest coraz więcej.

Janson położył garść długich naboji w żelaznej patelni nad kominkiem, w której stara wcześniej piekła kasztany. Naboję składały się z brązowej plastikowej rurki łączącej mosiężne miseczki umocowane po obu jej końcach. Wewnątrz był ołowiany śrut i proch strzelniczy i chociaż w założeniu detonację spowodować miała iglica śrutówki, to odpowiednia ilość ciepła powinna wywołać podobny efekt.

Ogień dogasał, a patelnia stała kilka centymetrów nad nim. Czy to wystarczy?

Janson dorzucił do ognia i wrócił do kuchni. Na starym piecyku elektrycznym postawił patelnię z lanego żelaza i wrzucił na nią następną garść naboji. Ustawił piecyk na średni stopień. Rozgrzanie dna patelni powinno zająć nie więcej niż minutę.

Teraz włączył główny piec i umieścił tam pozostałe naboje. Nastawił temperaturę na najwyższy stopień. Ten piec na pewno będzie się rozgrzewał najdłużej. Wiedział, że są to w najlepszym razie szacunkowe kalkulacje. Ale nie miał wyboru.

Przepełznął przez podwórze obok stajni i znów wspiął się po drabinie.

Czekał.

Przez jakiś czas słyszał zbliżające się głosy mężczyzn. Zajmowali pozycje z dala od okien, porozumiewali się lakonicznymi komendami i błyskami latarek. Nagie ciszą wstrząsnął wystrzał. Za nim nastąpiły, jeden za drugim, następne cztery wystrzały. Mężczyźni założyli logicznie, że wystrzały dochodzące z salonu skierowane są w nich. Mieli to, o co im chodziło - dokładną lokalizację.

Ostre okrzyki wezwały pozostałych mężczyzn, żeby przyłączyli się do tego, co wyglądało na wymianę ognia przed domem.

Seria wybuchów powiedziała Jansonowi, że naboje na patelni nad piecykiem elektrycznym rozgrzały się do temperatury zapłonu. To miało przekonać napastników, że ich ofiara wycofała się do kuchni. Przez szparę w deskach stodoły zobaczył, że jeden z bandytów uzbrojony w karabin został z tyłu; jego towarzysze popędzili na drugą stronę zabudowań.

Janson wyciągnął małą berettę i przez tę samą szczelinę wycelował w krzepkiego, ubranego w oliwkowy strój maskujący człowieka. Ale nie mógł jeszcze strzelać - nie chciał ryzykować, że inni usłyszą wystrzał, bo wtedy odkryliby podstęp. Usłyszał tupot buciorów biegnących od strony domu: inni bandyci zasypywali dom kulami usiłując zlokalizować kryjówkę swojej ofiary. Janson czekał, aż usłyszy głośny huk pięćdziesięciu naboju eksplodujących na piecu. Kiedy wreszcie to się stało, pociągnął za spust. Wybuch i towarzyszące mu zamieszanie całkowicie stłumiły wystrzał.

Trafił w cel.

Krzepki mężczyzna upadł twarzą do przodu. Jego ciało legło w liściach prawie bez hałasu.

To miejsce było teraz niestrzeżone: Janson otworzył drzwi i podszedł do leżącego. Wiedział, że nikt go nie zobaczy. Przez chwilę myślał, żeby może schować się w gęstych krzakach na zbocz; zazwyczaj w podobnym terenie tak właśnie czynił. Był pewien, że umknie swoim prześladowcom i za dzień, dwa będzie znów mógł się pojawić w którejś z wiosek na wzgórzach.

Ale wtedy przypomniał sobie zabitą kobietę, jej brutalnie pokaleczone ciało i zrezygnował z myśli o ucieczce. Serce biło mu mocno. Przewrócił ciało bandyty i stwierdził, że jego kula trafiła w głowę tuż nad linią włosów; tylko strumyczek krwi spływający na czoło potwierdzał jej śmiertelne działanie. Zdjął z trupa automat i dostosował długość paska do swojego ramienia. Nie było czasu do stracenia.

Grupa napastników była teraz w domu, biegali, tupiąc głośno, i strzelali na oślep. Wiedział, że ich kule dziurawią kredensy, szafy ścienne i wszystkie inne miejsca, w których można by się schować. Otulone stały pociski rozłupywały drewno, szukając ludzkiego ciała.

Ale to oni byli teraz w pułapce.

Po cichu okrążył dom i podszedł do niego od frontu, ciągnąc za sobą trupa. W świetle dostrzegł twarz, potem drugą i trzecią. Zmroziło go. To były twarde twarze, okrutne twarze. Twarze mężczyzn, z którymi wiele lat pracował w Konsularnym Wydziale Operacyjnym. Nawet wtedy ich nie lubił. Byli to ludzie, dla których brutalną siłą nie była ostatecznością, lecz podstawowym środkiem działania, których cynizm nie wynikał z tego, że zawiodły ich ideały, lecz był ich główną dewizą. Nie powinni służyć rządowi; w oczach Jansona samą swoją obecnością zmniejszali jego moralną wiarygodność. Ich wysokie umiejętności techniczne przyćmione były brakiem sumienia, brakiem zdolności pojmowania uzasadnień etycznych tłumaczących stosowanie wątpliwych niekiedy środków.

Włożył swoją kurtkę na trupa i posadził go za rozłożystym kasztanowcem; sznurowa-
dłem przywiązał mu latarkę do martwej ręki. Odłupał kilka drzazg z uschniętego konaru i
włożył je między powieki trupa, który teraz patrzył szeroko otwartymi szklistymi oczami.
Tymi prymitywnymi środkami przekształcił martwego człowieka we własnego sobowtóra. W
ciemności na pierwszy rzut oka ta maskarada może odnieść skutek. Teraz Janson oddał serię
przez rozbite już wcześniej okna salonu. Trzech bandytów zaczęło podrygiwać, gdy kule
dziurawiły ich przepony, jelita, aorty, płuca. Jednocześnie nadbiegli inni, zaalarmowani nie-
oczekiwanymi seriami.

Janson przetoczył się do wąskiego pnia kasztanowca, włączył latarkę przywiązaną do
przedramienia trupa i po cichu pognął do głazu oddalonego o trzy metry. Zapadł tam i czekał
w mroku.

- Tam! - krzyknął jeden z zabójców. Sobowtór Jansona na kilka sekund przyciągnął ich
uwagę. Widzieli tylko blask latarki oświetlającej kurtkę i być może, wpatrzone w mrok oczy
przykucniętego człowieka. Wniosek był natychmiastowy: oto źródło śmiercionośnej strzela-
niny.

Odpowiedź była taka, jak się można się było spodziewać: czterej komandosi wycelowa-
li automaty w przykucniętą sylwetkę. Salwa z szybkostrzelnej broni nastawionej na strzelanie
seriami była nieomal ogłuszająca. Wpompowali setki kul w swojego byłego towarzysza.

Hałas wywołany wściekłym ostrzałem działał na korzyść Jansona: dokładnie wycelował
i czterokrotnie, raz za razem, wystrzelił ze swojej beretty. Odległość wynosiła niecałe dziesięć
metrów, więc strzały były celne. Mężczyźni runęli martwi na ziemię, a ich automaty nagle
zamilkły.

Został jeden; Janson widział jego profil na tle zasłony w oknie na piętrze. Był wysoki,
włosy miał krótko przycięte, ale kędzierzawe, trzymał się prosto. Była to jedna z twarzy, które
Janson rozpoznał. Teraz mógł go zidentyfikować także po sposobie chodzenia, po sztyw-
nych i zdecydowanych ruchach. To był ich przywódca, ich oficer.

Z pamięci wyłoniło się nazwisko: Simon Czerny. Agent specjalizujący się w tajnych
akcjach zbrojnych. Ich drogi skrzyżowały się niejednokrotnie w Salwadorze, w połowie lat
osiemdziesiątych. Już wtedy Janson uznał go za człowieka niebezpiecznego, lekkomyślnie
szastającego życiem cywilów.

Janson nie chciał go jednak zabić, zanim z nim nie porozmawia.

Ale czy tamten przyjmie warunki Jansona? Był bystrzejszy od innych. Przejrzał podstęp
szybciej niż jego podwładni jako pierwszy zwęszył pułapkę i krzyknął ostrzegawczo do swo-
ich ludzi. Jego zmysł taktyczny był wyostrzony jak brzytwa. Taki człowiek nie naraża się
niepotrzebnie na niebezpieczeństwo, ale czeka na właściwy moment.

Teraz dowódca grupy był niewidoczny; poza zasięgiem ognia. Janson pobiegł w stronę
zrujnowanego salonu. Wszędzie leżało potłuczone szkło, wokół kominka rozsypana była sa-
dza i stalowe kulki z naboju do śrutówki, kredens ze szklanymi drzwiczkami był rozbity.

Janson skierował wzrok na dzban z palinką. Na ścianie naczynia biegnęło pęknięcie gru-
bości włosa, ale dzban nie był stłuczony. Janson już wiedział, co robić. Przeszukał kombine-
zon jednego z zabitych bandytów i wyciągnął z jego kieszeni zapalniczkę. Potem rozlał moc-
ny trunek po pokoju, aż po korytarz prowadzący do kuchni, i podpalił. W ciągu kilku sekund
strumyk błękitnego ognia przeciął pokój; po chwili do niebieskich płomieni dołączyły żółte -
zapaliły się zasłony, gazety i krzesła z trzciny. Wkrótce zapalą się cięższe meble, a wraz z
nimi deski podłogi, sufit i piętro.

Janson poczekał, aż ogień zyska na sile. Płomienie zataczały łuki, kłęby dymu buchały
na wąską klatkę schodową.

Dowódca, Simon Czerny, będzie musiał dokonać wyboru - tylko że tak naprawdę nie
miał wyboru. Gdyby został tam, gdzie był, pochłonęłoby go ogniste piekło. Nie mógł też wy-

skoczyć z tyłu, na podwórze, bo trafiłby na ścianę ognia Jansona. Pozostawała droga schodami w dół, do drzwi frontowych.

Ale Czerny był wytrawnym fachowcem; wiedział, że Janson na niego czeka. Podejście odpowiednio środki ostrożności.

Janson usłyszał ciężkie kroki wcześniej, niż się spodziewał. Czerny, ledwie stanął w progu, puścił serię obracając się prawie o sto osiemdziesiąt stopni. Każdy, kto czekałby na niego na zewnątrz, zostałby ugodzony pociskiem ze szczekającego zajadła automatu. Janson podziwiał sprawność i umiejętność przewidywania komandos, gdy obserwował jego obracający się tors. Stał z tyłu.

Teraz wyłonił się z kryjówki przy schodach. Był niebezpiecznie blisko rozprzestrzeniającego się pożaru - w jedynym miejscu, w którym bandyta się go nie spodziewał.

Czerny wypuścił jeszcze jedną serię na podwórko. Wtedy Janson skoczył, złapał go od tyłu ramieniem za szyję, a palce włożył w kabłąk spustu, wyszarpując bron z ręki Czernego. Bandyta szarpnął się gwałtownie, ale wściekłość dodała Jansonowi sił. Wbił prawe kolano w nerki Czernego i zaciągnął go na kamienną werandę. Tam ścisnął go w talii nogami i wygiął szyję do tyłu w bolesny łuk,

- Trochę sobie pogawędzimy - powiedział zbliżając wargi do ucha Czernego.

Z niemal nadnaturalną siłą, Czerny uniósł się i strząsnął z siebie Jansona. Wybiegł na podwórko, byle dalej od płonącego domu. Janson pobiegł za nim, obalił go na kamienistą ziemię i założył potężny blok. Czerny jęknął, gdy Janson ostro wykręcił mu ramię do tyłu, jednocześnie przewracając go na plecy. Umocnił chwyt na karku bandyty i pochylił się nisko.

- Na czym to stanąłem? Aha, jeśli nie powiesz mi tego, co chcę usłyszeć, w ogóle już nic nie powiesz. - Janson wyszarpnął nóż szturmowy zza pasa Czernego. - Zedrę ci skórę z twarzy. Własna matka cię nie pozna. Postawmy sprawę jasno - już nie służysz w Konsularnym, gadaj?

Czerny roześmiał się ironicznie.

- Cholerne, wyrosnięte harcerzyki - tacy właśnie byli.

- A ty się do czegoś teraz nadajesz?

- Powiedz mi coś. Jak ty, kurwa, sam siebie znosisz? Jesteś gnojkiem i zawsze nim byłeś. Mówię o tym, co zrobiłeś. O tym świństwie - ty cholerny zdrajco. Ktoś kiedyś próbował ci pomóc. To był prawdziwy bohater, a ty jak mu odpłaciłeś? Wydałeś go, sprzedałeś, wepchnąłeś przed pluton egzekucyjny. To ty powinieneś tam być, skurwysynu - to powinieneś być ty!

- Ty obmierzły draniu - ryknął Janson. Przycisnął mu do twarzy jego własny nóż. - Bawisz się w odwet za Da Nang?

- Chyba żartujesz.

- Dla kogo pracujesz? - zapytał Janson. - Cholera jasna! Dla kogo pracujesz!

- A ty, dla kogo pracujesz? - bandyta zakaszłał. - Nawet tego nie wiesz. Zaprogramowali cię, jak jakiegoś cholernego laptopa.

- Czas porozmawiać twarzą w twarz, ty dupku - powiedział Janson niskim, stalowym głosem. - Albo nie będziesz miał twarzy.

- Tak ci namieszałi w głowie, Janson, że nie wiesz, na czym stoisz. I nigdy się nie dowiesz.

- Nie ruszać się! - ten nagle wypowiedziany rozkaz dobiegł sponad niego: Janson spojrzął do góry i zobaczył brzuchatego oberżystę, z którym rano rozmawiał.

Już nie nosił białego fartucha. W wielkich, czerwonych łapskach trzymał dwururkę.

- Czy to nie tak mówią w waszych gównianych, amerykańskich kryminałach? Mówiłem, że nie jesteście tu mile widzianymi gośćmi - powiedział. - A teraz pokażę ci, jak bardzo źle tu jesteś widziany.

Janson usłyszał, jak ktoś biegnie przeskakując przez gałęzie i gałęzie. Nawet z oddali był w stanie rozpoznać tę gibką postać. Kilka sekund później ukazała się Jessie Kincaid z karabinem snajperskim na plecach.

- Rzuć ten cholerny zabytek! - krzyknęła. W rękę trzymała pistolet.

Węgier nawet nie spojrział w jej stronę. Ostrożnie odbezpieczył śrutówkę pamiętającą czasy II wojny światowej.

Jessie strzeliła mu w głowę. Brzuchaty oberżysta runął do tyłu jak powalone drzewo.

Teraz Janson schwycił śrutówkę i podniósł się.

- Czerny, cierpliwość mi się skończyła. A tobie zabrakło sprzymierzeńców.

- Nie rozumiem - wydusił z siebie Czerny.

Kincaid potrząsnęła głową.

- Dałam popalić czterem gnojkom tam, na górze - przykucnęła obok Czernego. - To twoi chłopcy, prawda? Tak myślałam. Nie podobało mi się ich zachowanie.

W oczach Czernego pojawił się strach.

- I zobaczyłam tego tłustego barmana.

- Ładny strzał - powiedział Janson, rzucając jej śrutówkę. Jessie wzruszyła ramionami.

- Harcerzyki - powiedział Czerny. - Zbieracie odznaki za sprawności, a świat wokół was płonie.

- Pytam jeszcze raz: dla kogo pracujesz? - powiedział Janson.

- Dla tej samej osoby, co wy.

- Nie odpowiadaj zagadkami.

- Teraz wszyscy dla niego pracują. Ale tylko niektórzy z nas o tym wiedzą. - Roześmiał się kraczącym, nieprzyjemnym rechotem. - Wydaje ci się, że masz przewagę, prawda?

- Wypróbuj mnie - powiedział Janson. Postawił nogę na szyi Czernego, ale jeszcze nie naciskał. Dał tylko do zrozumienia, że może zmiażdżyć jego tchawicę w każdej chwili.

- Ty durniu! On ma na kiwnięcie palcem cały rząd Stanów. On teraz rozdaje karty. Jesteś za głupi, żeby to zrozumieć.

- Co ty, u diabła, próbujesz mi wcisnąć?

- Wiesz, jak na ciebie mówili? Maszyna. Jakbyś nie był człowiekiem. Ale chodziło o coś innego. Maszyna robi to, do czego została zaprogramowana.

Janson kopnął go mocno w zębra.

- Postawmy sprawę jasno. Nie gramy w „Milionerów”. Gramy w „Prawda albo konsekwencje”.

- Jesteś jak ci japońscy żołnierze w filipińskich jaskiniach, którzy nie wiedzieli, że wojna się skończyła i że przegrali - powiedział Czerny. - To koniec, rozumiesz? Przegrałeś.

Janson pochylił się i przycisnął czubek noża do twarzy Czernego. Przeciągnął go zyg-zakiem pod jego lewym policzkiem.

- Dla. Kogo. Pracujesz.

Czerny zamrugał, z oczu pociekły mu łzy bólu. Wiedział, że nikt go już nie uratuje.

- Wcześniej czy później nam powiesz - rzekł Janson. Tylko od ciebie zależy czy... stracisz przy tym twarz.

Czerny zamknął oczy, a na jego twarzy pojawił się wyraz zdecydowania. Nagłym ruchem sięgnął do rękojeści noża i jednym silnym szarpnięciem wyrwał go z ręki Jansona. Janson cofnął się poza zasięg ostrza, a Jessie zbliżyła się z pistoletem, ale żadne z nich nie przewidziało następnego ruchu bandyty.

Wbił sobie ostrze w roztrzęsione mięśnie i pociągnął, głęboko przecinając szyję. W okamgnieniu przekroił arterie. Krew trysnęła fontanną, która po chwili opadła, gdyż wstrząs zatrzymał serce.

Czerny wolał się zabić, poderżnąć sobie gardło, niż narazić się na przesłuchanie.

Twarda kula gniewu, która od pół godziny dławiła Jansona, ustąpiła. Na jej miejsce pojawiło się przerażenie i niedowierzanie. Zrozumiał znaczenie spektaklu, który się przed nim rozegrał. Czerny uznał śmierć za lepsze wyjście niż to, co mogło go spotkać, gdyby się załamał. To wskazywało, jak straszliwej dyscyplinie poddani zostali ci bandyci: ich przywódcy rządzą za pomocą terroru.

Miliony na kontach bankowych na Kajmanach. Nie podlegające prawnym ograniczeniom rozkazy z Konsularnego Wydziału Operacyjnego. Peter Novak, który nigdy nie istniał, który umarł i powrócił z martwych. Jak jakaś groteskowa parodia Mesjasza. Jak jakiś węgierski Chrystus.

Albo Antychryst

I ci ludzie, którzy kiedyś służyli w Wydziale. Janson znał ich tylko pobieżnie, ale coś dręczyło jego pamięć. Kim byli ci ludzie? Czy rzeczywiście byli agentami? A może nadal byli w służbie czynnej?

Rozdział 28

Droga do Sarospatak zajęła tylko dwie godziny, ale były to dwie godziny pełne napięcia. Janson uważnie sprawdzał, czy ktoś ich nie śledzi. Gdy byli już w mieście, przejechali obok wielkiego gimnazjum Arpadów, stanowiącego część miejscowej szkoły wyższej, gmachu o pięknie zdobionej fasadzie. Wreszcie zajechali pod luksusowy hotel, który kiedyś był siedzibą miejscowego ziemiaństwa.

Recepcjonista - mężczyzna w średnim wieku z zapadniętą klatką piersiową i krzywym zgryzem - prawie nie spojrział na ich dokumenty.

- Mamy jeden wolny pokój - powiedział. - Czy to mają być dwa łóżka?

- Tak - odparł Janson.

Recepcjonista wręczył im staromodny klucz z przyczepionym numerem w gumowej otoczce.

- Śniadanie podawane jest do siódmej do dziewiątej - powiedział. - Życzę miłej zabawy w Sarospatak.

- Pański kraj jest taki piękny - powiedziała Jessie.

- Też tak myślimy - odparł recepcjonista, uśmiechając się ostrożnie, żeby nie pokazać zębów. - Na długo państwo zostają?

- Tylko na jedną noc - odparł Janson.

- Będzie pani zapewne chciała zwiedzić zamek w Sarospatak, pani Pimsleur - powiedział recepcjonista, jakby dopiero teraz ją zauważył. - Fortyfikacje są imponujące.

- Zauważyliśmy to, gdy tu jechaliśmy - powiedział Janson.

- Z bliska wygląda inaczej - odparł recepcjonista.

- Wiele rzeczy z bliska wygląda inaczej - stwierdził Janson.

Gdy znaleźli się już w oszczędnie umeblowanym pokoju, Jessie wyjęła telefon komórkowy i wykręciła numer. Trzymała kartkę, na której Janson wypisał nazwiska czterech byłych agentów Konsularnego Wydziału Operacyjnego, których zdołał zidentyfikować. Kiedy się rozłączyła wreszcie, wyglądała na mocno zaniepokojoną.

- I co? - zapytał Janson. - Co ci powiedział twój chłopak o ich statusie: w stanie spoczynku czy aktywni?

- Chłopak? Gdybyś go zobaczył, nie byłbyś zazdrosny.

- Zazdrosny? Nie pochlebiaj sobie.

- Słuchaj - powiedziała Jessie. - Sprawa wygląda tak. Nie są w służbie czynnej.

- W stanie spoczynku?

- Też nie.

- Jak to?

- Według oficjalnych danych nie żyją prawie od dziesięciu lat.

- Nie żyją? Tak ci powiedzieli?

- Pamiętasz eksplozję w Qadal, w Omanie? - W Qadal mieściły się obiekty militarne marines i placówka amerykańskiego wywiadu na Zatokę Perską. W połowie lat dziewięćdziesiątych terroryści spowodowali wybuch, który kosztował życie czterdziestu trzech amerykańskich żołnierzy. Kilkunastu „analityków” z Departamentu Stanu także tam było i zginęło na miejscu.

- Jedna z tych „nierozwiązanych tragicznych zagadek” - powiedział Janson obojętnym tonem.

- Cóż, według moich informacji, faceci, których wymieniłeś, zginęli w tym wybuchu.

Janson zmarszczył czoło, starając się zrozumieć to, co usłyszał. Incydent w Omanie musiał być przykrywką. Umożliwił wygodne zniknięcie całej grupie agentów - po to, żeby pojawili się ponownie, być może w służbie innego mocarstwa. Ale jakiego? Dla kogo oni pracowali? Jaka tajemnica mogła skłonić tak twardego faceta jak Czerny, żeby poderżnął sobie gardło? Czy to był wynik strachu, czy przekonań?

Jessie chodziła po pokoju.

- Są martwi i nie są martwi, zgadza się? Czy to możliwe - czy to w ogóle możliwe - że Peter Novak, którego widzieliśmy w CNN, to nie ten sam Peter Novak, którego znamy? Mniejsza o to, jakie nosił nazwisko przy urodzeniu. A może... może nie było go w samolocie, gdy nastąpił wybuch. Wszedł na pokład, a potem udało mu się jakoś wyslizgnąć tuż przed startem?

- Byłem tam, wszystko dokładnie widziałem... naprawdę nie wiem, jak mógłby to zrobić. - Janson powoli pokręcił głową. - Bez przerwy to sobie przypominam i nie mogę sobie tego wyobrazić.

- Niewyobrażalne nie musi oznaczać niemożliwe. Musi być jakiś sposób, żeby dowieść, że to ten sam człowiek,

Jessie rozłożyła na wykładanym drewnym stoliku stos fotografii Novaka wykonanych przed rokiem. Ściągnęła je z Internetu, w lombardzkiej chacie Alasdaira Swifta. Jedno ze zdjęć pochodziło ze strony CNN i ukazywało filantropa podczas uroczystości wręczenia nagrody pewnej kobiecie z Kalkuty. Widzieli tę uroczystość w telewizji. Wyjęła lupę i linijkę, które kupiła, żeby analizować mapy rejonu wzgórz Bukk i zaczęła się przyglądać fotografiom.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytał Janson.

- Wiem, że wierzysz w to, co widziałeś. Ale może uda mi się udowodnić ci, że mamy do czynienia z tą samą osobą. Chirurgia plastyczna może uczynić cuda.

Dziesięć minut później przerwała ciszę.

- Rety! - powiedziała półgłosem.

Spojrzała na niego, miała pobladłą twarz.

- Teraz trzeba będzie brać pod uwagę takie sprawy jak zniekształcenia soczewek - powiedziała. - Z początku myślałam, że widzę to, co widzę. Ale tu jest jeszcze coś. W zależności od fotografii facet trochę różni się wzrostem. Maleńka różnica - chyba nawet mniej niż dwa centymetry.

Tutaj stoi obok szefa Banku Światowego. A tu, przy innej okazji, znów stoi obok tego samego człowieka. Wygląda na to, że obaj noszą te same buty na obu zdjęciach. Może to obcas, prawda? Ale - ta bardzo, bardzo, bardzo maleńka różnica w długości przedramion. I stosunek przedramienia do kości udowej... - Postukała palcem w jedną z fotografii ukazujących go w towarzystwie premiera Słowenii. Przez szare spodnie widać było zarys jego kolana i zarys miejsca, w którym udo przechodzi w biodro. Pokazała podobną konfigurację na innej fotografii.

- Te same stawy, inne proporcje - powiedziała. - Ktoś tu nas robi na szaro.

- Co takiego?

Zaczęła kartkować książkę z fotografiami, którą kupiła w Budapeszcie, i znów wzięła się do roboty z linijką. Wreszcie się odezwała.

- Stosunek długości palca wskazującego do długości palca serdecznego. Jest różny za każdym razem.

Janson podszedł do rozłożonych fotografii. Postukał w nie palcem.

- Stosunek kości czworobocznej większej do długości śródreżca. To kolejny wskaźnik. Sprawdź to. Powierzchnia brzucha do łopatki - widać pod koszulą. Spójrzmy i na te proporcje.

Z lupą i linijką w ręku szukała i odnajdowała maleńkie różnice anatomiczne. Relacja długości palca wskazującego do środkowego, dokładna długość obu ramion; dokładna odległość między podbródkiem a jabłkiem Adama. Sceptycyzm zniknął, w miarę jak przybywało dowodów. - Pytanie brzmi: kim jest ten człowiek? - ponuro pokręciła głową.

- Chyba miałaś na myśli: kim są ci ludzie?

Przycisnęła opuszki palców do skroni.

- Dobra, spróbujmy. Powiedzmy, że chcesz zabrać wszystko, co posiada ten facet. Zabijasz go i zajmujesz jego miejsce, bo jakoś udało ci się pod niego podszyć. Teraz jego życie jest twoim życiem. To, GO było jego, jest twoje. To geniusz. A żeby się upewnić, że dasz sobie radę, idziesz na kilka publicznych spotkań i udajesz, że jesteś nim. To coś jak próba generalna.

- Ale czy prawdziwy Peter Novak nie dowiedziałby się o tym?

- Może tak, a może nie. Ale powiedzmy, że masz na niego haka, znasz jakąś tajemnicę, którą on wolałby zachować dla siebie... więc możesz go szantażować. Czy to brzmi sensownie?

- Jeśli nie ma się dobrych wytłumaczeń, te złe brzmią coraz lepiej.

- Też tak sędzę - westchnęła Jessie.

- Wypróbujmy inny sposób. Nie mogę się dostać do Petera Novaka, czy kogoś, kto się tak nazwał. Kogo jeszcze znamy, kto mógłby wiedzieć?

- Chyba nie ci ludzie, którzy próbują cię powstrzymać, ale ten, kto wydaje im rozkazy.

- Właśnie. Domyślam się, kto to jest.

- Mówisz o Dereku Collinsie - powiedziała. - Dyrektorze Konsularnego Wydziału Operacyjnego.

- Bez jego zgody nie można wysłać zespołu Lambda - stwierdził. - Ani innych grup, które widzieliśmy. Myślę, że nadszedł czas, żebym zło żył temu panu wizytę.

- Posłuchaj mnie - powiedziała gwałtownie. - Musisz trzymać się na bezpieczną odległość od niego. Jeśli Collins będzie chciał twojej śmierci, to nie licz na to, że wyjdiesz od niego żywy.

- Znam faceta - powiedział Janson. - Wiem, co robię.

- Ja też. Mówisz o włożeniu własnej głowy w paszczę lwa. Nie rozumiesz, że to szaleństwo?

- Nie mam wyboru - powiedział Janson.

Zapytała poważnym głosem:

- Kiedy wyruszamy?

- Nie ma żadnego „my”. Jadę sam.

- Myślisz, że nie jestem dość dobra?

- Wiesz, że nie o to chodzi - odparł Janson. - Szukasz potwierdzenia? Jesteś dobra, Jessie. Towar z najwyższej półki. Czy to chciałaś usłyszeć? To prawda. Jesteś kuta na cztery kopyta, szybko biegasz, umiesz się dostosować do sytuacji, masz głowę na karku i prawdopodobnie jesteś najlepszym strzelcem wyborowym, jakiego spotkałem. Ale to niczego nie zmienia: to, co mam do zrobienia, muszę zrobić sam. Nie możesz jechać ze mną. Nie musisz podejmować tego ryzyka.

- To ty nie musisz podejmować tego ryzyka. Wchodzisz do jaskini lwa z cyrkowym biczem w ręku.

- Wierz mi, to będzie bułka z masłem - powiedział Janson, prawie się uśmiechając.

- Powiedz, nie masz już żalu o Londyn. Bo...

- Jessie, wierz mi, potrzebuję cię w Amsterdamie, żebyś przeprowadziła dla mnie rekonosans w biurach Fundacji Wolność. Wkrótce tam do ciebie dołączę. Nie możemy zignorować prawdopodobieństwa, że ktoś, albo coś, tam wypłynie. A jeśli chodzi o Dereka Collinsa, to będę na siebie uważał. Wszystko będzie dobrze.

- A ja myślę, że ty boisz się wystawiać mnie na ryzyko - powiedziała Jessie - nazwałabym to uchybieniem zasadom zawodowym. Co ty na to?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Do diabła, może masz rację. - Przez moment milczała, wzrok miała odwrócony. - Może nie jestem gotowa. - Nagle dostrzegła plamkę krwi na wierzchu dłoni. Przyjrzała się jej dokładnie i jej twarz nabrała wyrazu obrzydzenia.

- Co ja dziś zrobiłam. Na tych wzgórzach...

- Zrobiłaś, co trzeba. To odbyło się według prawa zabij, bo ciebie zabiją.

- Wiem - powiedziała pustym głosem.

- Nikt nie wymaga, żebyś to lubiła. Nie wstydz się swoich uczuć. Odebrać człowiekowi życie to najwyższy stopień odpowiedzialności. Odpowiedzialności, od której przez ostatnie pięć lat uciekałem. Ale jest inna prawda, o której powinnaś pamiętać. Czasem tylko śmiertelnością można pokonać inną śmiertelnością i chociaż fanatycy i pomyłki naginają tę zasadę do swoich wypaczonych celów, to pozostaje ona aktualna. Zrobiłaś to, co należało, Jessie. Uratowałaś ten dzień. Uratowałaś mnie. - Uśmiechnął się do niej pokrzepiająco.

Usiłowała się odwzajemnić.

- Nie do twarzy ci z wdzięcznością. Uratowaliśmy się nawzajem. Może być? Rachunki wyrównane.

- Kim ty jesteś, snajperem czy licencjonowaną księgową?

Roześmiała się smutno, ale powróciła wzrokiem do plamki na dłoni.

Przez chwilę milczała.

- To dlatego, że przyszło mi na myśl, że ci faceci mieli też mamy i ojców.

- Nauczysz się o tym nie myśleć.

- I tak będzie dobrze?

- Czasem tak jest dobrze - Janson przełknął z trudnością ślinę. - Czasem to niezbędne.

Jessie zniknęła w łazience. Janson przez dłuższy czas słyszał szum prysznica.

Kiedy wróciła, wokół jej szczupłego, kształtnego ciała owinięty był włochaty ręcznik. Podeszła do łóżka przy oknie. Janson był niemal zaskoczony, jak delikatny i kobiecy był kolega agent.

- Więc rano mnie opuszczasz - powiedziała po chwili.

- Wolałbym tego tak nie nazywać - odparł Janson.

- Ciekawe, jakie są szanse, że cię kiedykolwiek zobaczę - powiedziała.

- Daj spokój, Jessie. Nie myśl tak.

- Można było lepiej wykorzystać ten dzień. - Pozostała nam jeszcze noc. Mam naprawdę dobry wzrok. Wiesz przecież. Ale nie potrzebna mi luneta snajpera, żeby zobaczyć to, co stoi przede mną.

- A co to jest?

- Widzę, w jaki sposób na mnie patrzysz.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Och, daj spokój, wykonaj swój ruch, żołnierzu. Powiedz mi wreszcie, jak bardzo przypominam ci twoją zmarłą żonę.

- Właściwie to bardziej nie mogłabyś być do niej podobna.

Zamilkła.

- Czujesz się przy mnie skrepowany. Nie zaprzeczaj.

- Nie wydaje mi się.

- Przetrwaleś półtora roku tortur i przesłuchań w Wietnamie, ale sztywniejesz, kiedy stoję za blisko.

- Nie - powiedział, ale usta miał suche.

Wstała i podeszła do niego.

- A oczy robią ci się szerokie, a twarz ci się czerwieni, a serce zaczyna szybciej bić. - Wyciągnęła rękę, wzięła jego dłoń i przycisnęła ją do swojej szyi. - Tak samo jest ze mną. Czujesz?

- Agent nie powinien robić takich rzeczy - powiedział Janson, ale wyczuł jej tętno pod ciepłą jedwabistą skórą. Biło ono w rytm jego tętna.

- Pamiętam, co kiedyś napisałeś o międzynarodowej współpracy agenturalnej. „Żeby powiodło się sojusznicze współdziałanie istotne jest, aby wszelkie napięcia rozładowywano za pomocą swobodnej i otwartej wymiany zdań”. - Jej oczy wyraźnie się uśmiechały. Było w nich łagodne ciepło. - A teraz zamknij oczy i pomyśl o ojczyźnie.

Stała bliżej i zsunęła ręcznik. Jej piersi były jak dwie doskonałe w kształcie kule, sutki miała napięte. Oparła się o niego i wzięła jego twarz w dłonie. Patrzyła przymilnie, ale bawczo.

- Jestem gotowa na przyjęcie twojej misji dyplomatycznej.

Gdy zaczął zdejmować koszulę odezwał się:

-W księdze regulaminowej jest zapis zabraniający fraternizacji. Przycisnęła swoje wargi do jego warg, tłumiąc ostatni, wypowiedziany bez przekonania objaw oporu.

- To nazywasz fraternizacją? No chodź, wszyscy wiedzą, jaki z ciebie agent głębokiej penetracji.

Poczuł delikatny zapach jej ciała. Wargi miała miękkie, nabrzmiące i wilgotne. Jej palce łagodnie gładziły jego policzki, szczękę i uszy. Czuł jej piersi, miękkie, ale mocne i nogi napierające na jego nogi.

Wtedy, nagle zaczęła drżeć, z jej gardła wydobyło się konwulsyjne szlochanie, ścisnęła go jeszcze gwałtowniej. Łagodnie odchylił jej głowę. Zobaczył, że policzki lśnią jej od łez. W oczach zobaczył ból, ból pogłębiony strachem i upokorzeniem, że on to widzi.

- Jessie - powiedział łagodnie. - Jessie.

Pokręciła bezradnie głową i położyła ją na jego muskularnej klatce.

- Nigdy nie czułam się tak samotna - powiedziała. - Tak wystraszona.

- Nie jesteś samotna- powiedział Janson. - A strach trzyma nas przy życiu.

- Ty nie wiesz, co to znaczy się bać.

Pocałował ją czule w czoło.

- Mylisz się. Ja zawsze się boję. Dlatego jeszcze jestem. Dlatego jesteśmy razem.

Przyciągnęła go do siebie z dziką namiętnością.

- Kochaj się ze mną- powiedziała. - Chcę czuć to, co ty czujesz. Chcę to poczuć teraz.

Dwa splecione ciała runęły na jedno z hotelowych łóżek.

- Nie jesteś samotna, kochanie - mruzczał Janson. - Żadne z nas nie jest. Już nigdy nie będzie.

Oradea, w najbardziej na zachód wysuniętym punkcie Rumunii, znajdowała się o trzy godziny drogi z Sarospatak i, jak w wypadku wielu wschodnioeuropejskich miast, jej piękno było paradoksalnym efektem powojennej nędzy. Wspaniałe dziewiętnastowieczne budynki uzdrowiskowe i aleje widokowe obsiane lawendą zachowały się tylko dlatego, że nie było funduszy, żeby je zburzyć i zastąpić tym, co woleliby komuniści kochający nowoczesne blokowiska.

Wystarczyło popatrzeć na bezduszny styl lotniska, żeby to zrozumieć.

Dla bieżących celów było ono jednak w sam raz.

Właśnie tam, w piątym terminalu, człowiek w żółto-niebieskim mundurze przyciskał do piersi podkładkę do pisania, żeby przypięte do niej papiery nie łopotały na wietrze. Samolot dostawczy DHL - przerobiony boeing 727 - przygotowywał się do bezpośredniego lotu do Dulles, a inspektor odprowadzał pilota do maszyny.

Lista spraw była długa: Czy nakrętki na zbiornikach są dokręcone. Czy w przedziale silnikowym na łopatkach turbiny nie ma ciał obcych. Czy przetyczki w kołach są właściwie ustawione, a ciśnienie w oponach wystarczające. Czy lotki, klapy i zawiasy steru ogonowego są we właściwym porządku.

Wreszcie zakończono inspekcję przedziału ładunkowego. Inni członkowie załogi naziemnej wrócili, żeby zająć się obsługą krótkodystansowego samolotu śmigłowego używanego do przewożenia paczek na liniach krajowych. Gdy pilot otrzymał zezwolenie na start, nikt nie zauważył, że mężczyzna w żółto-niebieskim mundurze został na pokładzie.

Janson zdjął podszytą filcem nylonową kurtkę inspektora i przygotował się na długi lot, dopiero gdy samolot wszedł na stałą wysokość. Kapitan, siedzący w kokpicie obok niego, włączył automatycznego pilota i odwrócił się do starego przyjaciela. Mijało już dwadzieścia lat od czasów, gdy Nick Milesu służył jako pilot amerykańskiego myśliwca, ale okoliczności, w których poznał Jansona, sprawiły, że powstały między nimi silne i trwałe więzy lojalności. Janson nie tłumaczył powodów, dla których musi uciec się do podstępu, a Milesu nie pytał. Wyświadczenie Jansonowi przysługi było przywilejem. Nie umniejszało długu wdzięczności, ale było lepsze niż nic.

Żaden z nich nie zauważył - nie mógł zauważyć - mężczyzny o szerokiej twarzy stojącego beczynnie pod jedną z ramp przeładunkowych. Jego twarde, czujne spojrzenie niezupełnie pasowało do postawy człowieka, który się nudzi. Nie mogli też słyszeć, jak mężczyzna mówił coś szybko do telefonu komórkowego, gdy samolot chował podwozie i wznosił się w niebo. „Identyfikacja wizualna: potwierdzona. Plan lotu: włączony do dokumentacji i zatwierdzony. Przeznaczenie: zweryfikowane”.

- Jeśli chciałbyś się zdrzemnąć, to jest tutaj łóżko - powiedział Milesu do Jansona. - Kiedy latam z drugim pilotem, to czasem z niego korzystamy. Do Dulles jest dziesięć godzin lotu.

Za to z Dulles do Dereka Collinsa jazda będzie bardzo krótka. Może Jessie miała rację i Janson nie przeżyje tego spotkania? Było to ryzyko, które musiał podjąć.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby trochę się przespać - przyznał Janson.
- Jestem tutaj tylko ja, ty i parę tysięcy przesyłek służbowych. Nie zapowiadano burzy, więc nic nie zakłóci ci snu. - Milesu uśmiechnął się do starego przyjaciela.

Janson odważemnił uśmiech. Pilot nie mógł wiedzieć, jak bardzo się myli.

Strażnik Wietkongu pomyślał, że amerykański jeńiec już nie żyje.

Jansona rzucono na ziemię. Głowa zwisała mu pod dziwnym kątem. Muchy gromadziły się wokół nosa i ust, nie wywołując cienia reakcji ze strony wychudzonego jeńca. Oczy miał lekko otwarte, jak to często widzi się u trupów. Czy złe żywienie i choroba dokończyły wreszcie swego powolnego dzieła?

Strażnik otworzył klatkę i butem mocno szturchnął jeńca. Brak reakcji. Strażnik schylił się i przyłożył rękę do jego szyi.

Jakże przerażony i zszokowany miał wyraz twarzy, gdy wymizerowany jeńiec nagle rzucił mu nogi na talię jak lubieżny kochanek, wyszarpnął mu pistolet z kabury i rąbnął go ręką w głowę. Martwy ożył. Jeszcze raz, silniej, trzasnął go w czaszkę. Tym razem strażnik bezwładnie opadł. Janson odpełzł do dżungli; wyliczył sobie, że ma kwadrans przewagi zanim podniesiony zostanie alarm i spuszczone zostaną psy. Może gęsta dżungla okaże się dla psów nie do przebycia; nieomal taka okazała się dla niego, gdy automatycznymi ruchami przedzierał się przez gęste poszycie. Nie wiedział, jak to się działo, że posuwał się naprzód, że nie zemdłał. Po prostu jego umysł odmówił przyjęcia do wiadomości informacji, że ciało jest osłabione.

Jedna stopa do przodu, potem druga.

Wiedział, że obóz Wietkongu znajduje się gdzieś w rejonie Tri Thien, w Wietnamie Południowym. Dolina na południe od obozu roiała się od partyzantów. Z drugiej strony jednak, kraj był w tym miejscu bardzo wąski. Odległość od granicy z Laosem na zachodzie i od morza na wschodzie wynosiła nie więcej niż czterdzieści kilometrów. Musiał dobrnąć do wybrzeża. Jeśli tam dotrze, jeśli dotrze do Morza Południowochińskiego, to znajdzie drogę do swoich.

Wróci.

Że daleko? To nie ma znaczenia. Nikt po niego nie przyjdzie. Wiedział o tym. Nikt go nie uratuje, tylko on sam.

Droga przed nim wznosiła się i opadała. Następnego dnia znalazł się na brzegu szerokiej rzeki. Jedna stopa do przodu, potem druga. Zaczął brodzić w brązowej ciepłej wodzie i stwierdził, że stopami ciągle dotyka dna, nawet w najgłębszym miejscu. Gdy był prawie w połowie drogi, na drugim brzegu zobaczył małego Wietnamczyka. Zamknął oczy, był zmęczony, gdy je otworzył, chłopca już nie było.

Halucynacja? Tak, to musiały być zwidy. Pewnie sobie tego chłopca wyobraził. Co jeszcze sobie wyobraził? Czy naprawdę uciekł, czy może śni, a jego umysł rozpada się wraz z ciałem w tej nieszczęsnej klatce z bambusa? A jeśli śni, to czy chce się z tego snu obudzić? Może ten sen jest jego jedyną ucieczką - więc po co go przerywać?

Osa usiadła mu na ramieniu i ukąsiła go. Było to bolesne, zaskakująco bolesne, a jednak przyniosło dziwną ulgę - bo jeśli czuje ból, to na pewno nie śpi. Znów zamknął oczy i otworzył je. Popatrzył na brzeg rzeki przed sobą i zobaczył dwóch, nie, trzech mężczyzn uzbrojonych w kałasznikowy. Mulista woda przed nim pokryła się pęcherzykami ostrzegawczej serii.

Wyczerpanie ogarnęło go jak fala przyływu. Powoli uniósł ręce do góry. W oczach uzbrojonych mężczyzn nie było litości - i nic dziwnego.

Jessie Kincaid siedziała na pokładzie łodzi linii Museumboot. Nie odróżniała się od innych turystów, a przynajmniej taką miała nadzieję. Łódź o szklanym dachu wypełniona była turystami, gadającymi, gapiącymi się, kręcącymi filmy małymi kamerami wideo. Łódź płynęła spokojnie po mulistych kanałach Amsterdamu. Jessie trzymała kolorową broszurę Museumboot. „Zawieziemy cię do najwspanialszych muzeów, na ulice handlowe i do centrów wypoczynkowych w śródmieściu Amsterdamu” - chwaliła się linia turystyczna. Kincaid nie była specjalnie zainteresowana zakupami ani zwiedzaniem muzeów, ale stwierdziła, że trasa łodzi obejmuje Prinsengracht. Jak lepiej zakamuflować tajną inwigilację, jeśli nie wśród ludzi zajmujących się całkiem jawną inwigilacją?

Teraz łódź skręciła i w polu widzenia pojawiła się rezydencja: budynek z siedmioma oknami wykuszowymi - kwatera główna Fundacji Wolność. Wyglądała tak niewinnie. A jednak była szkodliwa jak ścieki przemysłowe zatruwające ziemię.

Co jakiś czas podnosiła do oczu instrument wyglądający jak zwyczajna kamera zaopatrzona w wypukłe soczewki dla wygody amatora entuzjasty. To było pierwsze podejście. Musiała się zorientować, jak podejść bliżej i nie zostać wykrytą. Na razie musiała trzymać się z dala.

Za nią siedziała para swawolnych nastolatków i od czasu do czasu ją potrącała. Były to dzieci pary Koreańczyków. Matka miała torbę na zakupy w słoneczniki. Znajdowały się w niej łupy ze sklepu pamiątkarskiego przy muzeum van Gogha. Jej mąż, mężczyzna o zaczerwienionych oczach, miał na uszach słuchawki, z pewnością nastawione na kanał z językiem koreańskim, i słuchał nagranego wcześniej głosu przewodnika: „Po lewej stronie...”, „po prawej stronie...”. Nastolatki, dziewczyna i chłopak, zajęci byli, jak to między rodzeństwem bywa, przepychanką, która była zarówno sportem, jak i formą sprzeczki. Co chwila wpadali na nią, a ich chichotliwe przeprosiny były w najlepszym wypadku zdawkowe. Rodzice wydawali

się zbyt zmęczeni, żeby czuć zażenowanie. Tymczasem dzieciaki spokojnie unikały jej spojrzeń.

Zastanawiała się, czy nie powinna przesiąść się na linię dla zakochanych, której pasażerom obiecywano „niezapomniany wieczór i wspaniałe, pięciodaniowe menu”. Mogłoby to jednak być nieroztropne z punktu widzenia samodzielnie podróżującej kobiety: mając do wyboru szturchańce ze strony obcych dzieci albo zaczepki ze strony obcych mężczyzn, zdecydowała się, że pozostanie przy tym pierwszym. Ponownie zmusiła się do koncentracji.

Nie widziała, że jakiś człowiek zsunął się ze stanowiska obserwacyjnego na wysokim dachu górującym nad ruchliwymi ulicami Prinsengracht. Czekał długo, trudno było to wytrzymać, ale teraz widział, że nie stracił czasu. Tak - jest tam, stoi w oszklonej łodzi. To ona. Precyzyjnie nastawił snajperską lunetę. Nie było wątpliwości.

Twarz Amerykanki znajdowała się teraz w centrum soczewki, widział jej brązowe włosy, wysokie kości policzkowe i zmysłowe wargi. Zrobił wydech do połowy i wstrzymał resztę powietrza. Skrzyżowane linie naszły na górną część tułowia kobiety.

Był całkowicie skoncentrowany, gdy jego palec dotknął spustu.

Rozdział 29

Niecałe pół godziny jazdy od Dulles Janson wjechał na kręte drogi biegnące przez spokojne okolice Wschodniego Wybrzeża. Ten spokój był zwodniczy. Przypomnił sobie ostrzeżenia Jessie: „Jeśli Collins będzie chciał twojej śmierci, to nie licz na to, że wyjdiesz od niego żywy”. Jessie uważała, że podejmuje ogromne ryzyko, spotykając się ze śmiertelnie groźnym przeciwnikiem twarzą w twarz. Ale Jansonem powodowała wściekłość. Ponadto Derek Collins lubił wydawać rozkazy, ale nie lubił ich wykonywać. Jego rąk nie splami krew, dopóki są inni, którzy wykonają za niego mokrą robotę.

Zatoka Chesapeake rozciągała się na ponad trzy tysiące kilometrów, a jeśli wliczyć w to dopływy z zatoczkami i strumykami, to obejmowała znacznie większy obszar. Była płytka, jej głębokość wahała się od trzech do dziesięciu metrów. Janson wiedział, że mieszkają tu wszelkie stworzenia: pizniki, nutrie, łabędzie, gęsi, kaczki, nawet rybołowy. Obfitość dzikiej zwierzyny przyciągała myśliwych.

Janson też przyjechał tu na polowanie.

Przejechał nad rzeką Choptank na wysokości Cambridge, drogą numer 13. Dalej na południe przekroczył jeszcze jeden most. Wreszcie dotarł do długiego przylądka zwanego Phipps Island. Jechał wąską drogą, ze swojej wynajętej toyoty widział wodę połyskującą wśród bagiennej trawy. Słońce odbijało się w jej powierzchni. Wzdłuż zatoki powoli płynęły rybackie słupy ciągnąc za sobą sieci pełne krabów i ryb.

Po chwili wjechał na właściwą Phipps Island. Zrozumiał, dlaczego Derek Collins wybrał to miejsce na budowę letniego domku, w którym mógłby odpocząć po trudach waszyngtońskiej egzystencji. Chociaż miejsce było położone względnie blisko Waszyngtonu, było zarazem odizolowane od świata i spokojne; dzięki ukształtowaniu terenu było też bezpieczne. Samochód Jansona, zbliżając się do chaty podsekretarza stanu, nie był niczym osłonięty. Miejsce połączone było z główną częścią półwyspu długim, cienkim pasemkiem lądu, co sprawiało, że potajemne podejście od strony lądu byłoby nie lada sztuką. Podejście od strony wody utrudniały płycizny, większa ich część powstała niedawno, w wyniku nieustannej erozji powodowanej przez fale. Drewniane przystanie dla łodzi wysunięte były daleko w morze, gdzie woda była dość głęboka, żeby można było bezpiecznie żeglować. Długość pomostów także wystawiała potencjalnych przeciwników na niebezpieczeństwo, nie gwarantując im żadnej osłony. Collins nie musiał się opierać na zawodnej elektronice, wybrał miejsce, w którym sama natura dawała mu łatwy nadzór nad okolicą i bezpieczeństwo.

„Nie licz na to, że wyjdiesz od niego żywy”. Dyrektor Konsularnego Wydziału Operacyjnego był człowiekiem stanowczym i śmiertelnie niebezpiecznym; Janson wiedział o tym z doświadczenia. A zatem było ich dwóch.

Opony wzbijały tumany kurzu - piasek plaży i wyschniętą sól - z jasnoszarej nawierzchni drogi wyciągniętej jak rzucona na ziemię skóra węża. Czy Collins będzie próbował go zabić, zanim porozmawiają? Zrobiłby tak, gdyby uważał, że Janson stanowi niebezpieczeństwo dla jego życia. Bardziej prawdopodobne, że wezwie posiłki - posterunek morskiego lotnictwa wojskowego w Oceana przy Virginia Beach może przysłać na Phipps Island w ciągu kwadransa dwa helikoptery H-3 Sea King; eskadra F-18 Hornet może tu być nawet wcześniej.

Należało jednak brać pod uwagę charakter, a nie technologię. Derek Collins był planistą. Janson miał wyrobione zdanie na temat takich ludzi: to ci, którzy siedzą w klimatyzowanych biurach i wysyłają innych w misje z góry skazane na klęskę, a wszystko w imię rozgrywki szachowej, którą nazywają strategią. Pionek przeszedł na następne pole, pionka zbito.

Z perspektywy facetów takich jak Collins były to „aktywa ludzkie”, a nie ludzie. Ale teraz Janson miał na rękach krew pięciu byłych agentów i był zdecydowany stanąć przed człowiekiem, który ich zwerbował, wyszkolił, prowadził ich, kierował nimi - przed człowiekiem, który usiłował kontrolować także los Jansona, jakby był on kawałkiem rzeźbionego drewna na szachownicy.

Tak, Collins był człowiekiem stanowczym. Ale Janson też był taki i nienawidził tamtego mocno i bezinteresownie. To przede wszystkim ze względu na Collinsa wycofał się z Wydziału. Ten sztywny, zimnokrwisty sukinsyn, Derek Collins miał jeden wielki atut: dobrze znał Jansona. Co do siebie, żywił jednak kilka złudzeń. Był mistrzem biurokratycznej polityki i draniem, jeśli chodzi o wyłudzenie kredytów. Tacy ludzie zawsze przetrwają w marmurowej dżungli stolicy. Ale tym Janson się nie przejmował: traktował to nieomal jak coś ucłowieczającego Collinsa. To, co go wściekało, to pewność siebie, z jaką tamten stosował zasadę, że cel uświęca środki. Janson widział już, do czego to prowadzi - czasem dostrzegał to w sobie - i napawało go to obrzydzeniem.

Zjechał na skraj drogi, by zaparkować samochód. Ostatni odcinek przejdzie na piechotę. Jeśli informator Jessie przekazał jej dokładne wiadomości, Collins powinien być w chacie, i to bez towarzystwa. Collins, jako wdowiec, miał skłonność do samotnego spędzania czasu; to uwidoczniło jeszcze jedną jego cechę - był wyjątkowym odludkiem, co jednak nie umniejszało jego umiejętności zjednywania sobie ludzi.

Janson zszedł na brzeg, pełen wyszczerbionych skał, piasku i potrzaskanych muszli. Mimo że nosił buty na grubej podeszwie, stąpał lekko po mokrym gruncie, nie robiąc wiele hałasu. Domek Collinsa był niski, co sprawiało, że stanowił trochę trudniejszy cel dla każdego, kto przybyłby tu w nieprzyjaznych zamiarach. Ale z tego samego powodu nie było z niego widać Jansona, dopóki ten pozostawał na brzegu.

Słońce paliło go w kark, a jego jasna, bawełniana koszula nasiąknięta była potem i słoną mgiełką nawiewaną od zatoki. Co jakiś czas, gdy fala łagodnie obniżała poziom morza, przy brzegu wyłaniał się skomplikowany wzór na wodzie: zrozumiał, że jest to sieć rozciągnięta od brzegu w stronę morza. Na powierzchni utrzymywały ją małe boje. Środki bezpieczeństwa były dyskretne, ale nie należało ich lekceważyć, bo sieć naszpikowana była bez wątpienia czujnikami. Od strony morza nie dało się wysadzić desantu bez alarmu.

Usłyszał odgłos butów na wykładanym deskami chodniku oddalonym zaledwie o kilka metrów, w miejscu, gdzie teren podnosił się i tworzył zwieńczenie niemal u szczytu plaży. Był to młody mężczyzna w zielono-czarnym mundurze polowym, spodniach na szelkach, ciężkich buciorach i z pasem na broń: standardowe umundurowanie Gwardii Narodowej. Jego krok - bębnienie twardej gumy o drewno - wybijał na chodniku regularny rytm. Był to strażnik na rutynowym obchodzie, a nie ktoś zaalarmowany obecnością intruza.

Janson po cichu szedł dalej po mokrym piasku na brzegu.

- Ej, ty! - młody wartownik zauważył go i szedł w jego kierunku. - Widzisz znaki? Nie wolno wchodzić. Żadnego wędkowania, żadnego zbierania muszli, i w ogóle nic.

Mężczyzna miał zaczerwienioną od słońca twarz i to nie była ładna opalenizna; najwyraźniej postawiono go tutaj niedawno i nie zdążył się dostosować do długiego przebywania na słońcu.

Janson odwrócił się do niego, z lekka się przygarbił. Chciał wyglądać na starszego i słabszego. Przesiąknięty solą człowiek morza, tutejszy. Jak zareagowałby tutejszy? Przypomniał sobie rozmowę, którą przed laty przeprowadził z takim człowiekiem, kolegą wędkarzem.

- Wiesz, kim jestem, młody człowieku? - Rozluźnił mięśnie twarzy i mówił trzęsącym się głosem. Samogłoski akcentował tak, jak to się robi w lokalnym dialekcie Wschodniego Wybrzeża. - Ja i moja rodzina mieszkaliśmy tutaj, jak ty jeszcze jadłeś kaszkę z mleczkiem. Byliśmy tutaj, kiedy świat był jeszcze młody i wszystko się dobrze układało, byliśmy,

kiedy wszystko szło źle. Wybrzeże jest własnością publiczną. Moja synowa od pięciu lat pracuje w Komisji Historycznej Wschodniego Wybrzeża. Tobie się zdaje, że możesz mi zabronić tu być, a prawo mówi, że mogę robić, co chcę. Znam swoje prawa.

Strażnik nachmurzył się, choć był też trochę rozbawiony paplaniną starego ramola i wcale nie był zły, że ktoś mu przerwał nudną rutynę służby.

- Fakt jest faktem: to teren zamknięty i wisi tu z tuzin znaków, że tak jest.

- To wiedz, że moi przodkowie mieszkali tu, kiedy oddziały unii stacjonowały w Salisbury i...

- Słuchaj, tatuśku - powiedział strażnik, pocierając zaczerwienioną i łuszczącą się skórę na nosie. - Jak będzie trzeba, to pod pistoletem każę ci żabkami doskakać do aresztu federalnego, Koniec rozmowy.- Stał dokładnie na wprost Jansona. - Chcesz się poskarżyć, napisz do swojego kongresmana. - Wypiął pierś i położył rękę na kaburze z pistoletem.

- No nie, patrzcie go, taki smarkacz - Janson machnął ręką w geście rezygnacji. - Wy, gajowi, nie potraficie nawet odróżnić piżmaka od wiewiórki.

- Gajowi! Myślisz, że jestem gajowym? - strażnik uśmiechnął się szyderczo potrząsając głową.

Tego, co się stało, nie spodziewał się ani trochę.

Janson skoczył na niego, prawą ręką zatkał mu usta, a lewą ścisnął kark. Upadli. Piasek stłumił hałas. Ciche chrupnięcie utonęło w krzyku mew i szeleście nadmorskiej trawy. Zanim upadli, Janson sięgnął ręką niżej i schwycił schowany w kaburze pistolet.

- Nikt nie lubi waśniaków - powiedział cicho, już bez akcentu, dźgając lufą tchawicę strażnika. - Masz nowe rozkazy i lepiej będzie, jeśli je wykonasz: jedno słowo i jesteś martwy, żółtodziobie.

Szybkimi ruchami Janson odpiął pas strażnika i przywiązał nim jego ręce do kostek. Potem oderwał wąskie paski materiału z jego munduru polowego i wepchnął mu je w usta. Zabezpieczył knebel sznurowadłami strażnika. Włożył do kieszeni pistolet i ręczny nadajnik, podniósł związanego jak ciężki plecak i schował go w wysokiej, gęstej trawie.

Poszedł dalej. Plaża się skończyła, więc przedzierał się przez wysoka trawę. Powinien być jeszcze co najmniej jeden strażnik na patrolu - domek weekendowy podsekretarza został uznany za obiekt federalny -ale była szansa, że nadajnik ostrzeże go przed nim.

Po pięciu minutach szybkiego marszu Janson znalazł się na południowym stoku z rzadka porośniętym roślinnością. Chata była już całkiem niedaleko. Zwolnił kroku, buty zapadały mu się w miazgi piach.

Obejrzał się jeszcze raz i zobaczył spokojne wody zatoki Chesapeake - zwoiniczo spokojne, bo roiło się w nich od niewidocznego życia. W oddali majaczyła wyspa Tangier, położona kilka kilometrów na południe. Teraz szczyła się ona, że jest światową stolicą ślimaków; ale w roku 1812, podczas jedynej wojny, kiedy to obce wojska stanęły na amerykańskiej ziemi, stanowiła bazę dla Brytyjczyków. W pobliżu były stocznie St. Michaels; statki łamiące blokadę wchodziły do portu i wychodziły zeń. Jansonowi przypomniał się skrawek historii wojskowej: to w St. Michaels mieszkańcy wybrzeża posłużyli się klasycznym podstępem z arsenału dziewiętnastowiecznych wojen. Gdy usłyszeli o zbliżającym się natarciu brytyjskim, wygasili w mieście latarnie. Potem wywindowali je wysoko na drzewa i ponownie zapalili. Brytyjczycy zaczęli ostrzelać miasta, ale zmyleni nowym ustawieniem latarni, celowali za wysoko, a ich pociski spadały bezużytecznie między drzewami.

Takie było Wschodnie Wybrzeże: krew ukryta pod płaszczem spokoju. Trzy stulecia amerykańskich waśni i amerykańskiego szczęścia. Było całkowicie na miejscu, że Derek Collins tu właśnie postanowił zbudować swoją prywatną redutę.

- Moja żona Janice uwielbiała to miejsce. - Znajomy głos odezwał się bez ostrzeżenia. Janson odwrócił się na pięcie i zobaczył Dereka Collinsa. Niepewnie dotykał spustu pistoletu trzymanego w kieszeni kurtki, sprawdzał, czy łatwo chodzi i patrzył na przeciwnika.

Jedyną niezwykłą rzeczą był jego ubiór: zawsze widywał tego biurokratę w czarnych lub granatowych garniturach. Teraz Collins ubrany był w khaki i koszulę z madrasu.

- Ustawiała sztalugi właśnie tutaj, gdzie stoisz, wyjmowała akwarele i próbowała uchwycić światło. Zawsze tak mówiła: że próbuje uchwycić światło. - Jego oczy miały mroczny wyraz, jego zwykłą gorliwość błyskotliwego pianisty zastąpił posepny, pełen troski nastrój.

- Wiesz, cierpiała na chorobę szpiku kostnego. A może nie wiesz. Jej ciało produkowało zbyt wiele ciałek krwi. Janice była moją drugą żoną, myślę, że o tym słyszałeś. Chciałem zacząć wszystko od nowa, i w ogóle. Parę lat po tym, jak się pobraliśmy, zaczęła odczuwać swędzenie po gorących kąpielach i okazało się, że to pierwszy objaw. Śmieszne, prawda? Choroba robiła powolne postępy, ale w końcu przysłyły bóle głowy, zawroty i to uczucie wyczerpania. Wreszcie nadeszła diagnoza. Pod koniec życia większość czasu spędzała na wyspie. Przyjeżdżałem, a ona tu była, siedziała przy sztaludze i próbowała dobrać farby tak, żeby oddać kolor zachodu słońca. Walczyła z kolorami. Mówiła, że zbyt często wyglądają jak krew. Jakby w niej coś siedziało i dawało znaki, żeby chce wyjść na zewnątrz. - Collins stał tylko trzy metry od Jansona, ale jego głos dobiegał z dali. Trzymał ręce w kieszeniach i patrzył na powoli ciemniejącą zatokę. - Uwielbiała też obserwować ptaki. Nie sądziła, że umiałaby je namalować, ale lubiła na nie patrzeć. Widzisz tamtego, niedaleko drzewka pomarańczowego? Perłowszary, białe boki, czarna maska wokół oczu jak u szopa pracza?

Ptak był mniej więcej wielkości drozda, przeskakiwał z gałązki na gałązkę.

- To *lanius ludovicianus* - powiedział Collins. Jeden z miejscowych gatunków. Uważała, że jest śliczny.

- Lepiej znany pod nazwą ptaka rzeźnika - powiedział Janson. Serce mocno mu biło.

Ptak zaświergotał.

- Niesamowite - powiedział Collins. - To niezwykle, bo on żywi się innymi ptakami. Pomyśl tylko. Nie ma szponów. To wspaniałe. Wykorzystuje środowisko. Nabija swoją ofiarę na kolec albo drut kolczasty zanim ją rozszarpie. Pazury nie są mu potrzebne. Wie, że świat pełen jest zastępczych pazurów. Korzysta z tego, co ma wokół siebie. - Ptak wydał ostry krzyk i odleciał.

Collins odwrócił się i spojrzał na Jansona. - Nie wejdiesz?

- Nie masz zamiaru mnie przeszukać? - zapytał Janson obojętnym tonem. Był zdziwiony spokojem Collinsa, chciał zrozumieć ten spokój. - Nie sprawdzisz, czy jestem czysty?

Collins roześmiał się i jego ponury nastrój na chwilę uleciał.

- Janson, ty sam jesteś bronią - powiedział. - Co mam zrobić? Amputować ci kończyny i oprawić cię w ramki? - Pokręcił głową. - Zapomniałeś, że dobrze cię znam. Poza tym, patrzę na kogoś, kto trzyma ręce pod kurtką, a to wyrzucenie to prawdopodobnie pistolet wycelowany we mnie. Domyślam się, że zabrałeś go Ambrosemu. Młody chłopak, nieźle wytrenowany, ale nie jest najostrzejszym nożem w szufladzie.

Janson nic nie powiedział, ale nie zdjął palca ze spustu. Broń bez trudu przestrzelił materiał kurtki: Collins był o drgnienie palca od śmierci i wiedział o tym.

- Chodź - powiedział Collins. - Pójdziemy razem. Będzie to dwu osobowa demonstracja prawdziwego zadowolenia, jakie może przynieść równowaga strachu.

Janson nic nie powiedział. Collins nie był agentem polowym; był nie mniej niebezpieczny na swój sposób, ale posługiwał się bardziej pośrednimi metodami. Razem powlekli się nadmorską promenadą ze srebrzystego, zniszczonego drewna cedrowego do domu Collinsa. Była to klasyczna nadmorska chałupa, prawdopodobnie z początku XX wieku: podniszczone gonty, małe mansardy na piętrze. Nic, co przyciągałoby uwagę, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

- Twój domek weekendowy został uznany za budynek federalny - powiedział Janson. - Nieźle.

- Jest bezpieczny. Kategoria A-cztery - całkowicie według instrukcji. Po klęsce Johna Deutcha nikt nie chce, żeby go przyłapano, jak bierze robotę do domu i kładzie tajne teczki na pececie w sypialni. Znalazłem wyjście: zamieniłem dom w biuro. Placówka wydzielona.

- I stąd strażnik z Gwardii Narodowej.

- Paru chłopaków patroluje ten teren. Dziś po południu to Ambrowe i Bamford. Pilnują, żeby nikt nie łowił ryb tam, gdzie nie powinien, tym się zajmują przez większość czasu.

- Jesteś tu sam?

Collins błado się uśmiechnął.

- Podejrzliwy umysł weszłyby w tym pytaniu niebezpieczeństwo. - Przeszedł do kuchni błyszczącej od pokrytych nierdzewną stalą blatów i nowoczesnych urządzeń. - Ale tak, przyzwyczaiłem się do tego. Mam więcej czasu na myślenie.

- Z mojego doświadczenia wynika, że im więcej tacy jak ty myślą, tym więcej robią kłopotów - powiedział Janson ze spokojną zjadliwością. W rękę nadal trzymał beretę, chwyt pistoletu opierał o blat. Kiedy Collins przeszedł za okap pieca, Janson nieznacznie zmienił pozycję. W żadnym miejscu Collins nie powinien znaleźć osłony przed pistoletem w rękę Jansona.

Collins postawił kubki z kawą przed Jansonem. Jego ruchy też były wykalkulowane. Kubek z gorącym płynem mógł stać się bronią, toteż przesuwając go po blacie bardzo ostrożnie. Nie chciał, żeby Jansonowi przyszło na myśl, że może mu tym chlusnąć w twarz. Wtedy podjęłyby środki zaradcze. Był to sposób na okazanie gościowi szacunku i sposób na uniknięcie kulki w łeb - przynajmniej na razie. Collins od dziesięcioleci użerał się ze śmietanką funkcyjnarijuszy wywiadu i nawet włos mu nie spadł z głowy; najwyraźniej nie chciał żeby tym razem było inaczej.

- Kiedy Janice urządziła to wszystko - Collins zatoczył ręką krąg, pokazując wyposażenie i meble - nazwała to „zakątkiem”. Zakątek obiadowy albo śniadaniowy, albo jakoś tak.

Siedzieli teraz na wysokich stołkach ze stali i skóry przy blacie z polerowanego czarnego granitu. Collins wypił łyk kawy.

- To automatyczna supermaszyna do kawy, którą kupiła Janice. Ustrojstwo waży ponad trzydzieści kilo i jest z nierdzewnej stali. I ma więcej elektroniki niż statek kosmiczny, a wszystko po to, żeby zrobić jeden albo dwa kubki kawy. Brzmi tak, jakby wymyślił to Pentagon, prawda? Jego szare oczy wyglądały na zadowolone i rozbawione. Jak to ludzie zazwyczaj mówią w podobnych sytuacjach? „Opuść broń i porozmawiajmy” - jakoś tak.

- Zawsze chciałeś być najmądrzejszy w całej wsi, co? - Janson patrzył twardym wzrokiem, popijając kawę. Collins bardzo uważał, żeby nalać mu kawy na jego oczach, żeby Janson widział, że napój nie. Jest zaprawiony narkotykiem ani trucizną. Z tego samego powodu, gdy postawił kubki na blacie, pozwolił Jansonowi, żeby wybrał jeden z nich, Janson nie mógł nie podziwiać, jak ten biurokrata dba o konwenanse i przewiduje wszelkie paranoiczne myśli swojego byłego podwładnego.

Collins zignorował szyderstwo.

- Tak naprawdę to wolę, żebyś trzymał pistolet wycelowany we mnie, bo to wpływa łagodząco na twoje zszargane nerwy. Jestem pewien, że bardziej cię to uspokaja niż cokolwiek, co mógłbym ci powiedzieć. A co za rym idzie, jesteś mniej skłonny do pochopnego działania. - Wzruszył ramionami. - Zrozum, ja po prostu przedstawiam ci tok mojego rozumowania. Im szczerzej będziemy rozmawiać, tym będziesz spokojniejszy.

- Interesujące założenie - warknął Janson. Podsekretarz stanu najwyraźniej uznał, że łatwiej mu będzie uniknąć poważnych obrażeń cielesnych, jeśli jasno i niedwuznacznie stwierdzi, że jego życie jest w rękach agenta polowego. „Jeśli możesz mnie zabić, nie będziesz chciał mnie zranić” - tak przebiegał tok rozumowania Collinsa.

- Żeby uczcić sobotę, naleję sobie szkockiej - powiedział Collins, sięgnął po butelkę i nalął sobie trochę do kubka. - Chcesz? - Janson nachmurzył się, a Collins rzekł: -Nie sądziłem, że się zgodzisz. Jesteś na służbie, prawda? - Dolał sobie też trochę śmietanki.

- W twojej obecności? Zawsze.

Zrezygnowany półuśmiech.

- Ten ptak, którego widzieliśmy -to jastrząb, któremu się wydaje, że jest ptakiem śpiewającym. Myślę, że obaj pamiętamy naszą wcześniejszą rozmowę na ten temat. Jedną z naszych „rozmów na do widzenia”. Powiedziałem ci, że jesteś jastrzębiem. Nie chciałeś tego słuchać. Myślę, że chciałeś być ptakiem śpiewającym. Ale nie byłeś i nie będziesz. Jesteś jastrzębiem, Janson, bo taka jest twoja natura. Tak samo jak tamten ptak. – Jeszcze jeden łyk kawy po irlandzku. - Któregoś dnia poszedłem tam, gdy Janice siedziała przy sztaludze i próbowała malować. Płakała. Szlochała. Pomyślałem, że może... nie wiem, co pomyślałem. Okazało się, że widziała, jak ten ptak śpiewający, za którego ona go uważała, nabił jakiegoś małego ptaszka na krzak głogu i zwyczajnie go tak zostawił. Jakiś czas później wrócił i zaczął go rozdzierać na sztuki swoim zakrzywionym dziobem. Ptak rzeźnika robił to, co do niego należało, a czerwone, błyszczące wnętrze tamtego ptaka skapywały mu z dziobu. Dla niej to było straszne, po prostu straszne. Zdrada. Jakoś nigdy nie udało się jej pojąć tej krwawej nauczki. Inaczej widziała świat. Jak z powieści dla dziewcząt z dobrych domów. I co miałem jej powiedzieć? Że śpiewający jastrząb nadal jest jastrzębiem?

- Może jest i tym, i tamtym, Derek. Nie ptak śpiewający, który udaje jastrzębia, ale taki, który jest również jastrzębiem. Ptak śpiewający, który zamienia się w jastrzębia, kiedy musi. Po co mamy wybierać?

- Bo mamy wybór - mocno postawił kubek na granitowym blacie, a stuknięcie grubej gliny o kamień podkreśliło zmianę tonu. - I ty musisz wybrać. Po czyjej stronie jesteś?

- Po czyjej stronie ty jesteś?

- Nigdy nie zmieniałem stron - odparł Collins.

- Próbowałeś mnie zabić.

Collins nachylił głowę.

- Cóż, i tak, i nie - odparł, a jego nonszalancja zdziwiła Jansona bardziej, niż byłoby to w stanie zrobić jakiegokolwiek pełne emfazy, gorące zaprzeczenie. Nie było usztywnienia, postawy obronnej; z równym powodzeniem Collins mógłby w taki sposób omawiać przyczyny erozji morskiego brzegu.

- Cieszę się, że tak spokojnie do tego podchodzisz - powiedział Janson lodowatym tonem. - Pięciu twoich zbirów, którzy zakończyli karierę w dolinie Tiszy, było mniej filozoficznie nastawionych do świata.

- Nie moich - powiedział Collins. - Słuchaj, to naprawdę niezręczna sytuacja.

- Nie chciałbym, żebyś pomyślał, że winien mi jesteś wyjaśnienia - Janson mówił głosem pełnym zimnej furii. - Co do Petera Novaka. Co do mnie. Co do tego, dlaczego chciałeś mnie zabić.

- Słuchaj, wysłanie zespołu Lambda było pomyłką. Czujemy się okropnie w związku z tymi rozkazami. To był błąd, błąd, błąd. Ale cokolwiek złego stało się na Węgrzech - to nie za naszą sprawą. Może raz, ale tylko raz. To wszystko, co mogę ci powiedzieć.

- A więc wszystko jest już dobrze - odparł Janson sarkastycznie.

Collins zdjął okulary i zamrugał.

- Nie zrozum mnie źle. Jestem pewien, że zrobilibyśmy to ponownie. Ja nie wydałem rozkazów, ja się im tylko nie sprzeciwiłem. Wszyscy - nie wspominając aktywnych agentów z CIA i innych sklepików - myśleli, że zrobił się z ciebie łobuz, że wzięłeś szesnaście milionów dolarów łapówki, i tak dalej. Widzisz, dowody były równie oczywiste jak to, że jutro też będzie dzień. Przez jakiś czas ja też tak myślałem.

- Potem się dowiedziałeś, że jest inaczej.

- Tyle że nie mogłem odwołać rozkazu bez wyjaśnienia. Inaczej ludzie pomyśleliby, że się pogubiłem, albo że sam jestem w to zamieszany. To po prostu było niewykonalne. A rzeczy tak się miały, że nie mogłem przedstawić wyjaśnień. Bo wtedy wydałbym bardzo ważną tajemnicę. Jedyną tajemnicę, której nie można wydać. Ty na to nie możesz patrzeć obiektywnie, bo mówimy o twoim życiu. Ale moja praca polega na za chowaniu priorytetów, a zachowanie priorytetów wymaga ofiar.

- Ofiary? - przerwał Janson. Głos przepojony miał szyderstwem. – Mówisz o ofierze uczynionej ze mnie. To ja byłem tą cholerną ofiarą.

Pochylił się bliżej. Twarz miał odrętwiałą z wściekłości.

- Czy myślisz, że to ja zabiłem Petera Novaka?

- Wiem, że to nie ty.

- Pozwól, że zadani ci proste pytanie - powiedział Janson. – Czy Peter Novak nie żyje? Collins westchnął.

- Cóż, moja odpowiedź znów brzmi: i tak, i nie.

- Cholera! - wybuchnął Janson. - Odpowiadaj.

- Ujmijmy to inaczej: pytaj.

- Zacznijmy od pewnego niepokojącego odkrycia którego dokonałem. Przystudiowałem bardzo dokładnie wiele zdjęć Petera Novaka. Nie będę interpretował danych, tylko je przedstawię. Są różnice, minimalne, ale dające się zmierzyć, pewnych stałych cech fizycznych. Stosunek palca wskazującego do serdecznego. Powierzchni brzucha do łopatki. Długość przedramienia. I to wszystko na dwóch fotografiach zrobionych w ciągu kilku dni.

- Wniosek: nie są to zdjęcia jednego człowieka - Collins mówił stanowczym głosem.

- Pojechałem do miejsca jego urodzenia. Był Peter Novak, który narodził się ze związku Janosa i Illany Ferenczi-Novak. Umarł pięć lat po urodzeniu, w 1942 roku.

Collins pokiwał głową i znów jego brak reakcji bardziej mroził krew w żyłach niż jakakolwiek reakcja.

- Doskonała robota, Janson.

- Powiedz prawdę - rzekł Janson. - Nie zwariowałem. Widziałem, jak ten człowiek zginął.

- I tak jest - powiedział Collins.

- A to nie byle kto. Mówimy o Peterze Novaku - żywej legendzie.

- Trafiony - Collins mlasnął językiem. - Sam to powiedziałeś. Żywa legenda.

Janson poczuł, jak żołądek mu się kurczy. Żywa legenda. Twórcy specjalistów od wywiadu.

Peter Novak był legendą agencji.

Rozdział 30

Collins zsunął się ze stołka.

- Chcę ci coś pokazać.

Przeszedł do swojego gabinetu, wielkiego pokoju wychodzącego na zatokę. Na drewnianych półkach stały rzędy egzemplarzy „Studiów Wywiadowczych”, czasopisma amerykańskich tajnych służb. Monografie dotyczące konfliktów międzynarodowych przetykane były popularnymi powieściami i zniszczonymi tomami „Spraw Zagranicznych”. Mikrokomputer podłączony był do rzędu serwerów.

- Pamiętasz *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*? Idę o zakład, że pytali cię o to, gdy byłeś jeńcem wojennym. Myślę, że ci północnowietnamscy śledczy mieli obsesję na punkcie amerykańskiej kultury masowej.

- Nie chwytam - odparł szorstko Janson.

- Hm, pewnie byłeś za wielkim twardzielem, żeby wyjawić im zakończenie bajki. Nie chciałeś narażać na szwank bezpieczeństwa narodowego... przepraszam. To było nie na miejscu. Jedno nas dzieli: cokolwiek by się działo, ty zawsze będziesz cholernym bohaterem wojennym, a ja zawsze cholernym cywilnym gryziopórkiem zza biurka. W oczach niektórych ludzi to czyni cię lepszym. Ironia polega na tym, że sam się zaliczam do tych „niektórych”. Jestem zazdrosny. Jestem jednym z tych facetów, którzy chcieliby cierpieć, nie cierpiąc. To jest tak, jakby się chciało napisać książkę w ogóle, a nie jakąś konkretną książkę.

- Możemy wrócić do tematu?

- Widzisz, zawsze uważałem, że w pewnym momencie tracimy niewinność. Gdzieś tam jest wielki i potężny Oz, a za zasłoną, na dole, siedzi jakiś palant. Ale nie tylko on, tam jest całe cholerne ustrojstwo, maszyny, miechy, dźwignie, dysze z parą, silnik diesla, czy co tam chcesz. Myślisz, że łatwo było to zmontować? A kiedy to już jest, kiedy się to puści w ruch, nie ma wielkiej różnicy, kto siedzi za zasłoną, a przynajmniej tak się nam wydaje. To maszyna się liczy, a nie człowiek, który w niej siedzi.

Dyrektor Collins za dużo gadał. Niepokój, którego starał się nie ujawniać, sprawił, że zrobił się bardzo wylewny.

- Nadużywasz mojej cierpliwości - powiedział Janson. - Oto dobra rada. Nigdy nie nadużywaj cierpliwości człowieka trzymającego broń.

- Właśnie zbliżamy się do wielkiego momentu, nie chcę, żebyś go stracił. - Collins wskazał na łagodnie mruczący system komputerowy. - Jesteś gotów? Bo właśnie przechodzimy na niebezpieczny grunt, kiedy się zwykło mówić: „Będę musiał cię zabić, bo za dużo wiesz”.

Janson wycelował pistolet tak, że lufa mierzyła dokładnie między oczy Collinsa. Dyrektor szybko dodał:

- Nie dosłownie. Przeszliśmy już dalej. Teraz rozgrywamy inną grę. Oto ona.

- Mów z sensem - powiedział Janson, zgrzytając zębami.

- Wszystko tam jest, uporządkowane - Collins znów wskazał komputer. - Można by rzec, że to jest Peter Novak. Tu i w kilkuset innych doskonale zabezpieczonych komputerach. Peter Novak jest w rzeczywistości kompozycją bitów i bajtów. Peter Novak nigdy nie istniał jako osoba. Jako legenda, owszem. I przez długi czas była to doskonała legenda.

Umysł Jansona pokrył się mgłą, jakby ogarnęła go niespodziewana burza piaskowa, a później, równie niespodziewanie, znów stał się całkowicie klarowny.

- To było szaleństwo - szaleństwo niesamowicie sensowne.

- Proszę - powiedział łagodnie. - Mów dalej.

- Najlepiej będzie, jak usiądziemy gdzie indziej - powiedział Collins. Tutaj jest tyle elektronicznych zabezpieczeń i pułapek, że system gotów skasować programy jak zrobisz za mocny wydech. Kiedyś w okno uderzyła ćma i straciłem całe godziny pracy. Przenieśli się do salonu. Meble pokryte były grubym, wzorzystym perkalem, typowym dla mody z wakacyjnych domków nadmorskich.

- Słuchaj, to był genialny pomysł. Tak genialny, że przez dłuższy czas ludziska sprzeciali się, kto wpadł na ten pomysł jako pierwszy. Bardzo niewiele w ogóle wiedziało o tym pomysle. Tak musiało być. Oczywiście, że mój poprzednik, Daniel Congdon, miał z tym wiele wspólnego. Podobnie Doug Albright, protegowany Davida Abbotta.

- O Albrighcie słyszałem. Kto to jest Abbott?

- Facet, który obmyślił gambit „Kain” pod koniec lat siedemdziesiątych, żeby wykurzyć Carlosa. Ten sam sposób strategicznego myślenia co u Moebiusa. Asymetryczne konflikty rzucają państwa przeciwko pojedynczym aktorom. Kompletny brak proporcji, ale nie tak, jak to sobie wyobrażasz. Pomyśl o słoniu i moskicie. Jeśli moskit przenosi zapalenie mózgu, to mamy o jednego słonia mniej i słoń nic na to nie może poradzić. Problem aktorów jest podobny. Nie można zmobilizować czegoś tak nieruchawego jak państwo przeciwko tego rodzaju draństwu: trzeba to skontrolować odpowiednio dobranym fortelem: stworzyć pojedynczych aktorów, którzy w ramach szerokich uprawnień, korzystają z dużej autonomii.

- Moebius?

Program Moebiusa. W zasadzie mówisz o czymś, co zapoczątkowała mała grupka ludzi przy Departamencie Stanu. Wkrótce rozrosło się to poza granice urzędu, bo żeby zacząć działać, musiało przybrać formę interdyscyplinarną, łączącą różne departamenty. W Hudson Institute był pewien grubas kierujący wydziałem operacyjnym Departamentu Spraw Zagranicznych - tymi chłopakami „skazanymi na doskonałość”. Po jego śmierci sprawy przejął jego dubler - to był Doug. Geniusz komputerowy z CIA. Łącznik Gabinetu Ovalnego z Agencją Bezpieczeństwa Narodowego. Ale siedemnaście lat temu była to jeszcze mała grupka przy Departamencie Stanu. Kipieli od pomysłów i jakoś wpadli na ten scenariusz. A co będzie, jeśli zbierze się mały, tajny zespół analityków i ekspertów, żeby stworzyć wirtualnego zagranicznego miliardera? Im bardziej przyglądali się temu pomyslowi, tym bardziej im się podobał. A im bardziej im się podobał, tym bardziej wydawał się realny. Byli w stanie to zrobić. A kiedy zaczęli myśleć, co mogą dzięki temu osiągnąć, pokusa stała się nieodparta. Mogli czynić dobro. Mogli promować interesy Ameryki w sposób, na jaki sama Ameryka nie mogła sobie pozwolić. Mogli uczynić świat lepszym. Całkowita wygrana bez skutków ubocznych. Tak oto narodził się program Moebiusa.

- Moebius- rzekł Janson - to pętla, której wewnątrz jest jednocześnie wierzchem.

- W tym wypadku wierzch był w środku. Miliarder stał się dla świata niezależną postacią, niezwiązaną ze Stanami Zjednoczonymi. Nasi przeciwnicy nie byli jego przeciwnikami. Mogli stać się sprzymierzeńcami. Był w stanie wywierać wpływy tam, gdzie my nie mieliśmy dostępu. Nie mniej, najpierw należało „go” stworzyć i stworzyć mu zaplecze. Pierwszym wyzwaniem była ogólna ochrona. Na miejsce urodzenia programiści wybrali maleńką węgierską wioskę, całkowicie zniszczoną podczas wojny.

- Wszystkie archiwalia zostały zniszczone, a prawie wszyscy mieszkańcy zabici.

- Molnar był jak dar bogów patronujących narodowemu bezpieczeństwu. Rozumiem, że ta masakra była straszną sprawą, ale dla celów programu nadawało się to świetnie, szczególnie jeśli dodać do tego krótką i nie szczęśliwą karierę hrabiego Ferenczi-Novaka. To sprawiało, że mgliste dzieciństwo naszego chłopca nabierało sensu. Wszyscy jego rówieśnicy nie żyli, a jego ojciec bał się, że wrogowie zabiorą mu dziecko. Więc ukrył je i kazał nauczać prywatnie. Może to i ekscentryczne, ale wygodne.

- Musiały się jakoś znaleźć dane na temat jego pracy - powiedział Janson - ale to było pewnie łatwe. Ograniczyliście jego „kariere” do kilku pozorowanych organizacji, które byli-

ście w stanie kontrolować.

- Jeśli ktoś chciałby przeprowadzić śledztwo, to zawsze znalazłby się jakiś siwowłosy szef departamentu, może emerytowany, który by powiedział: „O tak, pamiętam młodego Petera. Miał trochę przykrótkie portki, ale był genialnym analitykiem finansowym. Pracował tak świetnie, że nie miałem mu za złe, iż wolał to robić w domu. Miał lekką agorafobię, ale po tak traumatycznych przejściach trudno mu to mieć za złe”. I tak dalej.

Tym ludziom, Janson wiedział o tym dobrze, szczerze rekompensowano kłamstwa, którymi mieli raczyć wścibskich reporterów. Robili to z rzadka, a czasem nie było nawet takiej potrzeby. Nie byli świadomi, co jeszcze niosła ze sobą taka umowa: całodobowy monitoring ich kontaktów, dożywotni nadzór - ale skoro i tak o niczym nie mieli pojęcia.

- A ten spektakularny wzlot? Co z nim?

- Cóż, tutaj sprawy trochę się skomplikowały. Ale, jak mówiłem, do programu Moebiusa przydzielono zespół genialnych ekspertów. Oni - my, mogę tak powiedzieć, chociaż wszedłem w jego skład zaledwie siedem lat temu - znaleźli kilka sposobów. I, voila!, mamy człowieka, który stoi na czele własnego imperium. Człowieka, który jest w stanie manipulować wydarzeniami o zasięgu światowym, tak jak nikt z nas.

- Manipulować... ? Co to znaczy? - zapytał Janson.

- Myślę, że wiesz, o co chodzi. Fundacja Wolność. Cały program rozwiązywania konfliktów. Demokracja sterowana. Te sprawy.

- Więc ten wielki, humanitarny finansista, ten „rozjemca”...

- Tak go ochrzciła audycja „60 minut” i tak już zostało. Rozjemca założył fundację, która miała biura prawie w każdej stolicy regionu, na całym świecie.

- A ta jego niewiarygodna pomoc humanitarna?

- Czyż nie żyjemy w najlepszym z krajów? I czyż to nie draństwo, że bez względu na to, ile dobra byśmy učinili, tak wielu zaciekle nas nienawidzi? Owszem, to znaczyło lanie kojącego balsamu na światowe miejsca konfliktów. Zrozum, Bank Światowy jest pożyczkodawcą ostatniej szansy. Ten facet był pożyczkodawcą pierwszej szansy. To sprawiało, że miał ogromny wpływ na rządy na całym świecie. Peter Novak: wędrowny ambasador pokoju i stabilności.

- Oliwa na wzburzone fale.

- Kosztowna oliwa, żebyś nie miał wątpliwości. Ale „Novak” mógł prowadzić mediacje, rozwiązywać konflikty, do których my - jawnie - nie mogliśmy się zbliżyć. Był w stanie skutecznie i konfidencko paktować z reżimami, które uznawały nas za Wielkiego Szatana. Był jednoosobowym ministerstwem spraw zagranicznych. A to, co sprawiało, że był tak cholernie efektywny, to właśnie fakt, że pozornie nic go z nami nie łączyło.

Umysł Jansona wirował, szumiało mu w głowie, napływały echa głosów - poufnych, ostrzegawczych, wypełnionych groźbą. Nikos Andros: „Wy, Amerykanie, nigdy nie byliście w stanie pojąć antyamerykanizmu. Tak bardzo pragniecie być kochani, że nie możecie zrozumieć, dlaczego ludzie tak mało was kochają. Człowiek w wielkich butach dziwi się, dlaczego mrówki na ziemi boją się go i nienawidzą”. Angus Fielding: „Jedyna rzecz, której wy, Amerykanie, w pełni nie pojęliście to to, jak głęboko zakorzeniony jest antyamerykanizm...” Serb w okularach w złotej oprawce: „Wy, Amerykanie, zawsze pragniecie tego, czego nie ma w jądłospisie, prawda? Zawsze mówicie, że macie niewielki wybór”. Węgierski barman o zabójczym hobby: „Wy, Amerykanie, narzekacie na handlarzy narkotyków z Azji, a tymczasem sami zalewacie świat elektro-nicznymi narkotykami... Ale gdziekolwiek pójdziecie, znajdziecie własne nasienie. Śluz węża pokrywa wszystko”.

Z kakofonii powstał monotony refren, rodzaj śpiewanki.

„Wy, Amerykanie.

Wy, Amerykanie.

Wy, Amerykanie.

Wy, Amerykanie".

Janson stłumił dreszcz.

- Ale kim jest - był - Peter Novak? - zapytał.

- Był „człowiekiem wartym sześć milionów dolarów” - „Panowie, możemy go odtworzyć, posiadamy technologię. Możemy go stworzyć lepszym, niż był. Lepszym. Silniejszym. Szybszym”. - Przerwał. - Cóż, w każdym razie na pewno bogatszym. Do tej roli wyznaczono trzech agentów. Zaczniemy od tego, że byli do siebie podobni, mieli zbliżony wzrost i budowę. A potem chirurgia uczyniła ich prawie identycznymi. Użyto skomputeryzowanych mikrometrów - wyczerpująca procedura. Ale musieliśmy mieć do dyspozycji repliki: jeśli wziąć pod uwagę zaangażowane środki, nie mogliśmy sobie pozwolić, żeby nasz facet wpadł pod autobus albo żeby dostał udaru. Trzech dawało większe szanse.

Janson dziwnie popatrzył na Collinsa.

- Kto by się zgodził, żeby z nim zrobić coś takiego? Kto by pozwolił, żeby wymazać całą jego tożsamość, żeby uczynić z niego trupa dla wszystkich, których znał, żeby całkowicie zmienić jego oblicze...

- Ktoś, kto nie miał wyboru - odparł zagadkowo Collins.

Janson poczuł przyływ gniewu. Wiedział, że zimna krew Collinsa to tylko pozory, ale bezdusność rozumowania tego człowieka stanowiła podsumowanie wszystkiego: przekłetej arogancji planistów. Te przekłete elity strategów ze ślicznie przyciętymi skórkami przy paznokciach i z tą beztróską pewnością, że to, co sprawdza się na papierze, sprawdzi się również w życiu; Widzieli kulę ziemską jak szachownicę, zapominali, że są tam ludzie z krwi i kości, którzy będą musieli cierpieć konsekwencje ich wspaniałych planów. Ledwie mógł wytrzymać na widok tego biurokraty siedzącego przed nim. Jego wzrok wędrował ku błyszczącej zatoce, ku łodzi rybackiej, która pojawiała się w polu widzenia, daleko za strefą bezpieczeństwa zaczynającą się pół mili od brzegu, zaznaczoną ostrzegawczymi bojami.

- Ktoś, kto nie miał wyboru! - Potrząsnął głową. - Tak jak ja, gdy założyłeś, że trzeba mnie zabić.

- Znów to samo - Collins wzruszył ramionami. - Już mówiłem, że CIA dostało raport, że Novak został zabity i że ty miałeś z tyra coś wspólnego. Wydział Operacji Konsularnych miał te same informacje. To byłaby ostatnia rzecz, której pragnąłby ktokolwiek z nas w Moebiusie, ale ty rozgrywałeś karty, które sam rozdałeś. Wtedy zrobiłem to, co uznałem za najwłaściwsze.

To były tylko słowa. Nie wyrażały smutku ani sadyzmu. Jansonowi pociemniało przed oczami: co byłoby większą obelgą, zastanawiał się - zostać zabitym jako zdrajca, czy poświęconym jako pionek?

Łódź rybacka ponownie przykuła jego uwagę, ale tym razem widokowi towarzyszyło przecucie niebezpieczeństwa. Łódź była za mała, żeby można było z niej łowić kraby i pływała zbyt blisko brzegu.

A gruby pał wystający spod trzepoczącego brezentu na rufie nie był kijem od wędki.

Janson widział, jak usta urzędnika poruszają się, ale już go nie słyszał, gdyż całą uwagę skierował na niebezpieczeństwo - bezpośrednie i śmiertelne. Tak, bungalow Collinsa stał na wąskim, trzykilometrowym pasku lądu, ale Janson zrozumiał teraz, że poczucie bezpieczeństwa, które dawała izolacja, było złudne.

Ta iluzja przysła teraz, gdy pierwszy pocisk artyleryjski wybuchł w salonie Collinsa.

Strumień adrenaliny sprawił, że świadomość Jansona zogniskowała się na jednym punkcie, jak promień lasera. Pocisk wpadł przez okno i uderzył w przeciwległą ścianę, zasy-

pując pokój drzazgami, kawałkami tynku i odłamkami szkła; wybuch był tak mocny, że bębni w uszach zarejestrowały go nie w postaci dźwięku, ale bólu. Pojawiły się kłęby czarnego dymu, a Janson zrozumiał, jakim cudem udało im się przeżyć. Pamiętał, że pocisk z haubicy wiruje z szybkością trzystu obrotów na sekundę. Zanim wybuchł, wbił się głęboko w tynk i drewno, z którego zbudowany był domek. To uchroniło ich przed śmiertelnie ostrymi odłamkami. Janson zrozumiał też, że człowiek, który strzelał, poświęcił kilka pierwszych pocisków, żeby wstrzelić się w cel. Drugi pocisk nie przeleci już trzech metrów nad ich głowami. Drugi pocisk, jeśli zostaną tam, gdzie są, nie pozwoli im już zastanawiać się nad spinem, szybkością i czasem wybuchu.

Stary, drewniany dom nie dawał im żadnej osłony.

Janson zeskoczył z kanapy i pognął w stronę przylegającego do domku garażu. W tym była jedyna nadzieja. Drzwi były otwarte, Janson zbiegł po schodkach na betonowy podjazd, na którym stał mały kabriolet. Była to żółta corvetta.

- Poczekaj! - wydyszał Collins. Twarz miał całą w popiele i ledwie łapał powietrze, biegnąc za Jansonem.

- To mój wóz. Tu są kluczyki - znacząco wyciągnął rękę, w której je trzymał, jakby podkreślał wagę własności.

Janson wyrwał mu je z dłoni i wskoczył na miejsce kierowcy.

- Przyjaciele nie pozwalają przyjaciółom prowadzić po pijanemu - powiedział do zaskoczonego podsekretarza stanu, odsuwając go z drogi. - Możesz jechać ze mną albo zostać.

Collins nacisnął klawisz urządzenia otwierającego drzwi garażu i wszedł do wozu obok Jansona, który rozgrzewał silnik na wstecznym. Wóz wystrzelił z garażu przemykając zaledwie milimetr pod powolnie otwierającymi się drzwiami.

- Mało brakowało, prawda? - zapytał Collins. Twarz miał teraz zroszoną potem.

Janson nie odpowiedział.

Ze zręcznością kierowcy rajdowego, błyskawicznie użył po kolei: najpierw hamulca ręcznego, potem kierownicy, wreszcie pedału gazu i wymusił na samochodzie gwałtowny skręt, potem ruszył na pełnym gazie przed siebie.

- Nie sądzę, żeby to było rozsądne posunięcie - powiedział Collins. - Jesteśmy teraz całkowicie odkryci.

- Te płasko położone sieci - one rozciągają się wokół całego krańca wyspy, prawda?

- Tak, na jakieś osiemset metrów.

- Więc rusz głową. Zapłacz się w nie każda łódź, która próbowałaby się przez nie przebić. Zatem, jeśli kanonierka będzie chciała znaleźć nową pozycję, żeby znów nas ostrzelać, będzie musiała zatoczyć bardzo szerokie koło. To powolna łódź - po prostu nie starczy jej czasu. Tymczasem dom między nią a nami posłuży jako osłona.

- Punkt dla ciebie - powiedział Collins. - Ale teraz chciałbym, żebyś skrzył tam, na prawo. Jak tam dotrzemy, znajdziemy się poza zasięgiem wzroku. Poza tym, będziemy mogli wziąć z przystani motorówkę i popłynąć do lądu, jeśli będziemy musieli. - Głos miał opanowany i władczy. - Skręcaj - już.

Janson minął przystań.

- Janson, do cholery! - ryknął Collins. - To była nasza szansa.

- Szansa, żeby nas rozerwało na kawałki. Myślisz, że tego nie przewidzieli? Już dawno podłożyli tam bombę z zapalnikiem czasowym, Myśl tak jak oni!

- Zawracaj! - wrzeszczał Collins. - Cholera, Paul, ja znam to miejsce, ja tu mieszkam i mówił ci...

Reszta słów utonęła w głośniejszej eksplozji. Przystań wyleciała w powietrze.

Janson mocniej nacisnął pedał gazu, jechał wąską drogą szybciej, niż w normalnych warunkach pozwalałyby na to względy bezpieczeństwa. Wysoka trawa i kolczaste krzewy tylko migwały w lusterku wstecznym przy szybkości stu dwudziestu kilometrów na godzinę.

Ryk motoru wzmógł się, jakby odpadł tłumik. Jęzor ładu zwęził się do niecałych dwudziestu metrów. Było tu trochę piasku, trochę niskiej roślinności, środkiem biegła droga do połowy pokryta naniesionym piaskiem. Wydawało się, jakby jechali po wodzie. Janson wiedział, że piasek zmniejsza tarcie jak rozlana ropa, więc lekko zwolnił.

Ryk silnika nie zmniejszył się.

To nie był ryk silnika jego wozu.

Janson odwrócił się w prawo i zobaczył wojskowy poduszkowiec.

Sunął po zatoce, potężny wirnik utrzymywał go kilkadziesiąt centymetrów nad powierzchnią wody i nad płaskimi sieciami rozciągniętymi pod spodem. Nic nie było w stanie go zatrzymać.

Janson poczuł się, jakby połknął kawał lodu. Niziny nad zatoką Chesapeake były stworzone dla poduszkowców. A więc na lądzie także nie znajdą schronienia. Poduszkowiec potrafił się z równą łatwością poruszać nad ziemią i nad wodą. Jego potężny silnik sprawiał, że bez trudu dotrzymywał kroku samochodowi. Był groźniejszy od kanonierki, a teraz zbliżał się do nich! Ryk wentylatora był ogłuszający, a mały kabriolet niebezpiecznie chwiało się w tej mechanicznej wichurze.

Jeszcze raz spojrzawszy ukradkiem na poduszkowiec. Z boku przypominał on trochę jacht z małą, wysuniętą do przodu oszkloną kabiną. Z tyłu zamontowane było wielkie, pionowe śmigło. Grube fartuchy ochronne przymocowane były z przodu pojazdu. Śmigła po spokojnych wodach zatoki. Odnosiło się wrażenie, że czyni to bez wysiłku.

Janson docisnął gaz do dechy, ale zobaczył, z przerażeniem, że poduszkowiec nie tylko dotrzymuje mu kroku, ale że go wyprzedza. Tuż, pod obudową śmigła, po lewej stronie, siedział człowiek w słuchawkach ochronnych na uszach i majstrował przy czymś, co wyglądało jak karabin maszynowy M60.

Janson wystawił jedną rękę z pistoletem i opróżnił magazynek - ale ruch samochodu i celu sprawiał, że dokładne celowanie było niemożliwe. Kule tylko odbijały się od masywnej stali łopaty wirnika.

Amunicja się skończyła.

Karabin maszynowy, lekko chwiejąc się na dwunożnej podstawie, wydał niski, chrząkający dźwięk, a Janson przypomniał sobie, dlaczego w Wietnamie M60 nazywano świnia. Nachylił się za kierownicą tak nisko, jak tylko było można, nie tracąc kontroli nad samochodem, który zatrząsał się w rytm serii, z szybkością dwustu kul na sekundę rozszarpującej stalowy kadłub.

Karabin na chwilę przestał strzelać - zacięła się taśma? Przegrzała się lufa? Zazwyczaj wymieniało się lufę co sto do pięciuset pocisków, żeby uniknąć przegrzania, ale nadgorliwy strzelec mógł nie wziąć pod uwagę, jak szybko te lufy się rozgrzewają. Mała pociecha: pilot poduszkowca wykorzystał przerwę, żeby zmienić kierunek. Szybko znalazł się na plaży, a zaraz potem na wyboistej drodze. Zrównał się z samochodem.

Był już tuż-tuż, a potężne, ssące wirniki zdawały się zwisać nad małym sportowym samochodem, gdy Janson usłyszał inny dźwięk - świszczący, basowy pomruk. To mogło znaczyć tylko jedno: włączony został silnik pomocniczy i dodatkowy wirnik. W lusterku wstecznym Janson z przerażeniem dostrzegł, że plastikowe fartuchy jeszcze bardziej się odchyliły i cały pojazd, który leciał dotąd niewiele ponad metr nad ziemią, nagle wzniósł się znacznie wyżej! Ryk silników mieszał się z wyciem powietrza. Znaleźli się wraz z Collinsem w centrum małej burzy piaskowej.

Coraz trudniej było oddychać. Poduszkowiec był częściowo zasłonięty wirującym piaskiem i żwirem, a jednak Janson mógł zobaczyć za szybą przednią jego kabiny osłoniętą okularami twarz potężnie zbudowanego mężczyzny.

Zobaczył też, że mężczyzna ten się uśmiecha.

Poduszkowiec znów wzbił się o metr w powietrze i nagle stanął dęba. Fartuchy ochronne zaczęły uderzać w tylny zderzak samochodu, a Janson z przerażeniem zdał sobie sprawę, że prześladowcy próbują wspiąć się na samochód.

Spojrzał w prawo. Collins zgiął się w pół, ręce trzymał na uszach, żeby osłonić je od potwornego jazgotu.

Poduszkowiec znów się zakotłosał i podniósł, a świszczące łopaty jego dolnego wirnika ubijały powietrze na twardą masę i wypluwały je jak wodę z armatki wodnej. Janson spostrzegł w lusterku tylnym obracające się łopaty pomocniczego wirnika zamontowanego pod spodem pojazdu. Jeśli ostrzał z karabinu maszynowego okaże się nieskuteczny, to zabójcy mogli spuścić na nich potężne śmigło, jak gigantyczną kosiarkę do trawy, zniszczyć wóz i ściąć głowy jego pasażerom.

Wielki poduszkowiec rzucił się na tył samochodu. Janson skrzył gwałtownie kierownicę w lewo. Samochód zjechał z utwardzonej nawierzchni, koła zaczęły się kręcić w piasku i krzakach, tracąc kontakt z podłożem. Samochód gwałtownie zwolnił.

Poduszkowiec przemknął obok bez wysiłku, jak szorujący po lodzie krążek do hokeja, potem zatrzymał się i, nie skręcając, zmienił kurs o sto osiemdziesiąt stopni.

To był genialny manewr. Człowiek z M60 po raz pierwszy miał na linii ognia zarówno kierowcę, jak i pasażera. Janson patrzył, jak strzelec zakłada nową taśmę do karabinu maszynowego. Jednocześnie usłyszał odgłos silnika kolejnego pojazdu - ślizgacza, skręcającego na złamanie karku w stronę brzegu.

O Chryste, nie!

W ślizgaczu leżała w pozycji strzeleckiej jakaś postać z karabinem. Celowała w nich.

Rozdział 31

Ślizgacz wyposażony był w lotniczą turbinę. Pozwalała mu ona rozwijać szybkość ponad dwustu dwudziestu kilometrów na godzinę. Śmigał po wodzie, zostawiając za sobą wstęgę piany. Mała łódeczka gwałtownie rosła w oczach, hipnotyzowała niesioną na pokładzie śmiercią. Tutaj, przeszło trzy kilometry od domku, nie było już płasko położonej sieci. Nic nie chroniło przed pędzącym w ich kierunku strzelcem. Nic.

Dokąd jechać? Gdzie będzie bezpiecznie.

Janson wjechał z powrotem na drogę, usłyszał, jak podwozie ociera się o grunt, gdy samochód wyskoczył z podmokłej ziemi na utwardzoną nawierzchnię. A może staranować poduszkowiec, docisnąć gaz do dechy i sprawdzić, co wytrzyma: konstrukcja z włókna szklanego czy stalowa klatka auta? Ale szanse, że w ogóle uda mu się dotrzeć do maszyny zanim karabin maszynowy podziurawi silnik i jego, były niewielkie.

Przykucnięty za wirnikiem strzelec uśmiechnął się złośliwie. Taśma tkwiła już w podajniku; strzelanie przełączone było na serie. Za kilka sekund zaleje ich strugą śmiercionośnego ołowiu. Nagle strzelec upadł do przodu, rozluźnił się uderzając czołem o karabin.

Nie żył.

Charakterystyczny dźwięk odbił się echem na wodach Zatoki Chesapeake jak wyskakujący z butelki korek, potem drugi i poduszkowiec nagle opadł na ziemię, o kilka metrów od samochodu, połową karoserii spoczywając na drodze. Tak nie parkuje się poduszkowców...

Podobnie jak w wypadku wielu urządzeń i maszyn wojskowych, jego kontrolki musiały być nastawione na odbieranie ciągłego, aktywnego nacisku - po prostu musiał być odczuwalny nacisk dłoni człowieka na drążek. Inaczej, w sytuacjach bojowych, gdy żołnierz zostałby zabity, maszyna bez kierowcy - jak pojazd bezzałogowy - mogłaby przypadkowo narobić szkód. Teraz poduszkowiec tracił moc, silniki wyłączały się, łopaty wirników obracały się coraz wolniej, płozy stanęły na ziemi. Gdy maszyna opadła, Janson stwierdził, że pilot też leży bezwładnie, oparty o przednią szybę.

Dwa strzały, dwa trupy.

A teraz ten głos z zatoki:

- Paul! Nic ci się nie stało?

Był to głos kobiety, która ich uratowała.

Jessiki Kincaid.

Janson wysiadł z samochodu i pobiegł w stronę wody. Zobaczył Jessie w łodzi, zaledwie o kilka metrów od brzegu. Dalej nie mogła podpłynąć, bo ślizgacz wpadłby na mieliznę.

- Jessie! - krzyknął.

- Powiedz, że dobrze się sprawiłam! - odparł triumfalnym głosem.

- Dwa strzały w głowę - i to z pędzącej łodzi? To się nadaje do jakiejś cholernej księgi rekordów! - powiedział Paul. Nagle poczuł absurdalną lekkość. - U mnie, oczywiście, wszystko pod kontrolą.

- Tak, właśnie widzę - odparła ironicznie.

Zbliżył się Derek Collins. Szedł chwiejnym krokiem; był bez tchu. Na spoconej twarzy miał grubą warstwę pyłu, co sprawiało, że wyglądał jak mumia.

Janson powoli się odwrócił i stanął z nim twarzą w twarz.

- Jak z twoim poczuciem humoru?

- Co?

- Czy te dwa zbiry to też twoi ludzie? A może jest ktoś jeszcze, z tych, co „nie mają z tym nic wspólnego”?

- Cholera, ja z tym nie mam nic wspólnego! Jak możesz myśleć inaczej! Mało mnie nie zabili, na litość Boską! Czy jesteś ślepy, czy za bardzo zapatrzonej w siebie, żeby nie widzieć tego, co masz przed nosem? Oni chcieli zabić nas obu.

Uniósł głos. W jego tonie słychać było strach. Janson pomyślał, że Collins mówi prawdę. Ale jeśli tak było, to kto stał za tym zamachem?

Coś w zachowaniu Collinsa zwróciło uwagę Jansona: przy całej tej szczerości czegoś nie dopowiedział.

- Może i tak jest. Ale zdaje się, że wiesz, kto to był.

Collins odwrócił wzrok.

- Collins, do cholery. Jeśli masz coś do powiedzenia, powiedz to teraz!

Odraza znów wstrząsnęła Jansonem, gdy patrzył na wystraszonego, ale lodowatego biurokrate, człowieka z kalkulatorem zamiast serca. Nie był w stanie zapomnieć, czego się dowiedział: że Collins był przy wydawaniu polecenia egzekucji i że nie obchodziło go, iż poświęca pionka w tej wielkiej grze. Nie chciał mieć do czynienia z tym człowiekiem.

- Przegrałeś - powiedział spokojnie. - Po raz kolejny. Jeśli chcesz mnie zabić, będziesz musiał uderzyć mocniej.

- Mówiłem ci, Janson. Wtedy było wtedy. Teraz jest teraz. Plan gry się zmienił. To dlatego powiedziałem ci o programie - największej i najniebezpieczniejszej tajemnicy Stanów Zjednoczonych. A jest znacznie więcej, tylko że ja nie mam prawa ci o tym powiedzieć.

- Więcej waszych bzdur - warknął Janson.

- Nie, to wszystko prawda. Nie mogę ci o tym powiedzieć, ale musisz się dowiedzieć wielu rzeczy. Na litość Boską, musisz polecieć ze mną do Waszyngtonu, żeby się spotkać z ekipą Moebiusa. Musimy zapoznać cię z programem, dobrze?- położył Jansonowi rękę na ramieniu, ale Janson ją odtrącił.

- Chcesz, żebym „zapoznał się z programem”? Pozwól, że zadam ci najpierw pytanie - i lepiej powiedz prawdę, bo i tak będę wiedział kiedy kłamiesz.

- Mówiłem już. Nie jestem upoważniony, żeby ujawniać...

- To nie jest pytanie o całość sprawy. To pytanie o jej detal. Mówiłeś o zespole chirurgów, który dokonał operacji na trzech agentach. Tak się zastanawiam, gdzie teraz są ci specjaliści od chirurgii?

Collins zamrugnął oczami.

- Do diabła z tobą, Janson. Zadajesz pytanie, na które znasz odpowiedź.

- Chciałem tylko usłyszeć, co ty na ten temat masz do powiedzenia.

- Kwestia bezpieczeństwa była tu najistotniejsza. Ludzi dopuszczonych do tajemnicy można policzyć na palcach obu rąk. Każdy ma prawo dostępu do tajemnic na bardzo wysokim poziomie, każdy został sprawdzony przez zawodowców z wywiadu.

- Ale potrzebna wam była pomoc chirurgów o najwyższych kwalifikacjach.

- Po co w ogóle o tym mówimy? Sam to powiedziałeś: byli potrzebni, żeby program odniósł sukces. Każdy z natury rzeczy, stanowił zagrożenie dla bezpieczeństwa. To, po prostu, było nie do przyjęcia.

- Zatem, program Moebiusa został przeprowadzony według procedur. Wy, planiści, kazaliście ich zabić. Do ostatniego.

Collins milczał z lekko pochyloną głową.

W Jansonie coś się załamało, chociaż Collins tylko potwierdził jego podejrzenia. Prawdopodobnie rok trwało zacieranie śladów. Nietrudno było to zorganizować. Jakiś wypadek samochodowy, przypadkowe utonięcie, śmiertelna kolizja podczas jazdy na nartach - w końcu najlepsi chirurdzy też uprawiają sporty wyczynowe. Nie, to nie mogło być trudne.

Agenci, którzy zaaranżowali ich śmierć, uznali to za wykonanie zadania, jeszcze jedno odfajkowane z listy. Ludzka rzeczywistość - żałoba, pustka i rozpacz - ci, którzy wydali wyroki śmierci, nie brali tego pod uwagę, nie dopuszczali nawet do świadomości. Janson przewiercał Collinsa wzrokiem.

- Małe ofiary dla wielkiej sprawy, prawda? Tak sobie pomyślałem. Nie, Collins, nie zapoznam się z programem. W każdym razie, nie z twoim programem. Wiesz co, Collins? Nie jesteś ptakiem śpiewającym, nie jesteś jastrzębiem. Jesteś padalcem i zawsze nim będziesz.

Janson spojrział ku wodzie, zobaczył Jessie Kincaid w stojącej nieruchomo łodzi, zobaczył, jak wiatr porusza jej krótko obcięte włosy, i niespodziewanie serce skoczyło mu do gardła. Może Collins mówił mu prawdę o roli KWO w ostatnich wypadkach; a może kłamał. Jedyną dającą się potwierdzić prawdą było to, że Janson nie może mu zaufać. „Musisz się dowiedzieć wielu rzeczy... Leć ze mną”. To tylko sposób, w jaki Collins chciał go wprowadzić w śmiertelną pułapkę.

Janson znów spojrział na łagodnie kołyszący się ślizgacz, stojący dwadzieścia metrów od brzegu. Wybór nie był trudny. Nagle pognał przez plażę, nie oglądał się za siebie, najpierw brodził w płytkiej wodzie, a potem zaczął płynąć do łodzi, do Jessie. Woda przeniknęła przez ubranie i chłodziła mu ciało.

Wspiął się na łódź. Jessie wyciągnęła rękę, schwyciła go za dłoń.

- Śmieszne, ale wydawało mi się, że jesteś w Amsterdamie - powiedział Janson.

- Powiedzmy, że znużyły mnie jego uroki. Szczególnie po tym, jak para dzieciaków popchnęła mnie i przypadkowo uratowała mi życie.

- Co znowu?

- To długa historia. Opowiem ci później.

Objął ją, poczuł ciepło jej ciała.

- OK. Pytania mogą poczekać. Pewnie sama masz kilka.

- Zacznę od jednego - powiedziała. - Jesteśmy partnerami? Przycisnął ją do siebie.

- Tak - powiedział. - Jesteśmy partnerami.

Część 4

Rozdział 32

Pan nie rozumie - powiedział kurier, czarnoskóry mężczyzna pod trzydziestkę o purytańskim wyglądzie, w romboidalnych okularach bez oprawek. - Mogę za to stracić pracę. Mogą mnie wsadzić i kazać płacić. - Wskazał naszywkę na swojej marynarskiej kurtce. Widniało na niej charakterystyczne logo spółki: Caslon Couriers. Caslon: niezwykle kosztowna, ekskluzywna, całkowicie bezpieczna służba kurierska, której ważne osobistości i korporacje powierzały wielkiej wagi dokumenty. Nieomal nieskazitelna reputacja w kwestii niezawodności i dyskrecji zyskała spółce lojalność jej klienteli. - Ci chłopcy nie żartują.

Siedział przy stoliku u Strabucka, przy zbiegu Trzydziestej Dziewiątej i Broadwayu, na Manhattanie, a siwowłosy mężczyzna, który się do niego przysiadł był uprzejmie natarczywy. Był, jak wyjaśnił, wyższym urzędnikiem Fundacji Wolność; jego żona była członkiem kierownictwa biura na Manhattanie. To prawda, że sposób, w jaki się do niego zwraca, jest niecodzienny, ale nie ma wyjścia. Otóż ma powody sądzić, że jego żona otrzymuje paczuszki od tajemniczego wielbiciela.

- A ja nawet nie jestem pewien, co to, do cholery, za facet!

Kurier był najwyraźniej skrupowany aż do chwili, gdy Janson zaczął odliczać studolarówki. Po dwudziestej oczy zaczęły mu błyszczeć zza okularów.

- Mnóstwo czasu spędzam w drodze, rozumiem, że mogła zbłądzić - powiedział siwowłosy mężczyzna. - Ale nie mogę walczyć z kimś, kogo nie znam, rozumie pan? A ona do niczego się przecież nie przyzna. Wciąż ma jakieś nowe rzeczy, ale twierdzi, że sama sobie kupuje. Ja wiem, jak jest. To nie są rzeczy, które kupuje się samemu. To są rzeczy, które facet kupuje kobiecie. Wiem, bo sam tak robię. Wcale nie mówię, że jestem doskonały, o nie. Ale musimy z żoną oczyścić trochę atmosferę. Słuchaj pan, ja sam nie wierzę w to, co robię. Nie jestem facetem tego rodzaju, niech mi pan wierzy.

Kurier ze zrozumieniem potrząsnął głową, a potem popatrzył na zegarek.

- Widzi pan, ja mówiłem poważnie o tej odpowiedzialności karnej. Oni wszystko tłumaczą człowiekowi litera po literze, jak się do nich przychodzi. Podpisuje się różne zobowiązania, a jeśli stwierdzą, że się naruszyło przepisy, to dobierają się do zadka.

Bogaty rogiacz był uosobieniem godności i ostrożności.

- Nic panu nie zrobią, a ja nie proszę, żeby pan mi coś dał. Nie proszę o nic niewłaściwego. Proszę tylko o wgląd w kopie faktur. Nie chcę, żeby pan mi je dał, chcę je tylko obejrzeć. A jeśli się czegoś dowiem, jeśli to ten facet, o którym myślę, to nikt się o tym nie dowie. Błagam pana, niech pan da mnie i Marcie szansę. To jedyny sposób.

Kurier energicznie pokiwał głową.

- Muszę iść na obchód. Ale może spotkalibyśmy się w atrium budynku Sony? Pięćdziesiąta Piąta, róg Madison, za cztery godziny?

- Przyjacielu, słusznie postąpiłeś - powiedział mężczyzna. Nie robił aluzji do dwóch tysięcy dolarów „napiwku”, który dał kurierowi; to byłoby poniżej godności ich obu.

Cztery godziny później, w atrium budynku Sony, siedział na metalowym krześle obok fontanny i kartkował faktury. Stwierdził, że był zbyt wielkim optymistą: na dowodach wykonania dostawy nie było adresu nadawcy. Zaznaczono tylko kod wskazujący na pochodzenie, wskazujący ogólnie na miejsce odbioru. Nie ustawał jednak w wysiłkach, szukał wzorca. Były tam tuziny paczek nadsyłanych z wszystkich kierunków, których można było się spodziewać, z miast w których znajdowały się ważniejsze biura Fundacji Wolność. Ale były też pakiety wysłane do Marty Lang z miejsc, które nie wiązały się z niczym. Dlaczego kurierzy Caslona regularnie odbierali pocztę z małej miejsciny w górach Blue Ridge?

- Jest tak, jak myślałem - powiedział zasmucony do kuriera. - Rozejrzał się wokół: miejskie terrarium pełne roślin i ospałych wodospadów rozsianych po oszklonej „przestrzeni publicznej”, którą jakaś lokalna komisja wymogła w zamian za niezgodność wysokości budynku z planami. - Powiedziała mi, że zerwali. I może rzeczywiście zerwali, na jakiś czas. Ale teraz to się znów zaczęło. Cóż, trzeba będzie wrócić do terapii małżeńskiej.

Paul Janson ze smutnym wyrazem twarzy wyciągnął rękę. W dłoni miał kolejny zwitek banknotów o wysokim nominale, a kurier gorąco odwzajemnił uścisk dłoni.

- Serdecznie panu współczuję - powiedział.

Mała kwerenda dodatkowa - kilka godzin w nowojorskiej bibliotece publicznej - nie pozostawiała wątpliwości. Millington w Wirginii okazało się miasteczkiem położonym najbliżej wielkiego rancza zbudowanego przez Johna Vincenta Astora w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku. Według niektórych opisów, jeśli chodzi o elegancję i skrupulatność, z jaką wykonano detale, mogło ono rywalizować ze słynną nieruchomością w Biltmore. W latach pięćdziesiątych nieruchomość przeszła w ręce Maurice'a Hempela, tajemniczego południowoafrykańskiego magnata diamentowego i pozostawała jego własnością do jego śmierci. A teraz? Kto był właścicielem teraz? Kto tam teraz mieszkał?

Narzucił się tylko jeden wniosek: mieszkał tam człowiek, którego świat znał jako Petera Novaka. Czy na pewno? Takie wnioskowanie było dość zasadne. Kontrola wymaga komunikacji: jeśli więc ten ostatni żyjący Novak nadal sprawował władzę nad swoim imperium, to musiał się komunikować ze swoimi najważniejszymi zastępcami. Z ludźmi takimi jak Marta Lang. Plan Jansona polegał na włamaniu się do kanałów komunikacyjnych. Śledząc lekkie drgania pajęczyny, można znaleźć pająka.

Następnego ranka, który spędził w drodze, Janson poczuł niejaki wątpliwości co do swoich przypuszczeń. Czy to nie było zbyt łatwe? Monotonna jazda nie uspokoiła napiętych nerwów. Przez większość czasu utrzymywał niemal stałą szybkość. Skręcił z autostrady na boczne drogi wijące się przez góry Blue Ridge jak sztuczne rzeki. Faliste, zielone pola uprawne ustąpiły miejsca niebiesko-zielonym pasmom wzgórz, ciągnących się aż po horyzont. Obrazy, które mijał, tchnęły banalnym pięknem. Poobijane bariery ochronne ciągnęły się wzdłuż porośniętych mchem szarych, łupkowych skał. Sama droga przykuwała uwagę niekończącą się serią drobnych nieregularności. Pęknięcia w nawierzchni zatkało lśniącym, czarnym wypełniaczem; przerywane białe linie były zatarte przez tysiące ulew.

Kilka kilometrów za wyjazdem z kempingu Janson dostrzegł zakręt ze znakiem wskazującym drogę do Castleton. Wiedział, że Millington jest już niedaleko. UŻYWANE AUTA JEDA SIPPERLY'EGO - KUP TUTAJ SWÓJ NASTĘPNY SAMOCHÓD! głosiła jaskrawa przydrożna reklama. Litery namalowane były białą i niebieską farbą do karoserii na metalowej tablicy przymocowanej wysoko na słupie. Łzawe ślady rdzy spływały z narożnych nitów. Janson zatrzymał się.

Po raz drugi zmieniał samochód w drodze; w Maryland kupił od właściciela najnowszy model altimy. Zmienianie wozów stanowiło standardową procedurę podczas długich podróży. Był pewien, że go nie śledzono, ale zawsze istniała możliwość, że zastosowano „miękki nadzór”: całkowicie pasywny system obserwacji. Agentów poinstruowano, żeby zwracali uwagę czy przejeżdża, ale nie śledzili go. Młoda kobieta w dodge'u, która miała baczenie na wszystko wokół, a jej wzrok przeniósł się na chwilę z gazety na tablicę rejestracyjną; grubas w przegrzanym samochodzie z podniesioną maską silnika, na pozór czekający na pomoc drogową. Prawie na pewno byli to zupełnie przypadkowi ludzie, jednak nie było gwarancji, że tak jest w rzeczywistości. Miękki nadzór, chociaż miał tylko ograniczoną skuteczność, był praktycznie nie do wykrycia. Toteż co jakiś czas Janson zmieniał samochód. Jeśli ktoś chciał go mieć na oku, utrudniało mu to zadanie.

Jakiś wielki pies rzucał się raz po raz na płot, gdy Janson wysiadł z wozu i szedł do niskiego budynku, zapewne biura. Napis w oknie głosił, że przyjmują wszystkie oferty. Wielkie zwierzę - mieszaniec, wśród którego przodków musiał być i pitbull, i doberman, a prawdopodobnie i mastiff- uwiązane było w rogu działki. Pies rzucił się na płot. Nie licząc rozmiarów, kundel stanowił doskonały kontrast wobec szlachetnego, białego kuwasza, należącego do babci Gitty, pomyślał Janson. Ale prawdopodobnie psy różniły się, bo i ich właściciele byli różnymi ludźmi.

Z budynku wyłonił się trzydziestoparoletni mężczyzna z papierosem w kąciku ust. Wyciągnął rękę w stronę Jansona. Gest był trochę zbyt gwałtowny. Przez ułamek sekundy Janson instynktownie gotował się do zadania miażdżącego ciosu w szyję; potem wyciągnął rękę i odwzajemnił uścisk dłoni. Martwiło go, że takie odruchy pojawiają się u niego w całkowicie niewinnych sytuacjach; ale to one uratowały mu życie przy niezliczonych okazjach. Przemoc tak często nie pasowała do okoliczności. Najważniejsze, że Janson kontrolował takie impulsy.

- Jestem Jed Sipperly - powiedział, potrząsając ręką Jansona; ktoś musiał mu podpowiedzieć, że mocny uścisk ręki wzbudza zaufanie. Twarz miał mięsistą, ale jędrną pomimo zmarszczek, głowę porastała strzecha włosów w kolorze słomy.

- Czym mogę służyć? - w oddechu Jeda wyczuwało się piwo, a gdy podszedł bliżej, słońce podkreśliło kurze łapki wokół jego oczu.

Pies ponownie rzucił się na siatkę.

- Niech pan nie zwraca uwagi na Butcha - powiedział sprzedawca. - On to chyba lubi. Pozwoli pan, że na chwilę pana opuszczę? - Jed poszedł do zagrody psa i pochylił się, żeby podnieść małą, szmacianą lalkę. Rzucił ją za ogrodzenie. Okazało się, że o to chodziło olbrzymiemu psu: rzucił się na lalkę i zaczął ją tarmosić wielkimi pazurami. Kilkoma liźnięciami wielkiego różowego języka oczyścił ją z kurzu.

Jed wrócił do klienta, wzruszając przepaszając ramionami.

- Niech pan tylko patrzy, jak ją oślinił - przywiązał się do niej jak wariat - powiedział. - Myślę, że każdy ma coś takiego. To dobry pies obronny, tyle że nie szczeka. Czasem to nawet dobrze. - Wargi rozciągnęły mu się w profesjonalnym uśmiechu, ale oczy pozostały zimne, przyglądały się bystro. - To pański nissan?

- Chciałbym go sprzedać.

Jed wyglądał na lekko urażonego, jak kupiec, od którego wymaga się dobroczynnego datku.

- Mamy mnóstwo takich samochodów. Lubię je. Mam do nich słabość, na moje nie-szczęście. Większość klientów nie interesuje się tymi japońskimi samochodami, szczególnie tu, w okolicy. Ile ma na liczniku?

- Siedemdziesiąt pięć tysięcy - odparł Janson. - No, trochę więcej.

Jeszcze jedno skrzywienie.

- Czas go sprzedać. Bo w tych nissanach przekładnie zaczynają sprawiać kłopot po dziewięćdziesięciu tysiącach. Dobra rada za darmo. Każdy to panu powie.

- Dziękuję za radę - powiedział Janson, podziwiając w myślach zawodowe kłamstwa sprzedawcy używanych samochodów.

- Osobiście je lubię, te problemy z mechaniką i w ogóle. Lubię sobie na to popatrzeć. A naprawy to nie problem, bo mamy tu faceta od tych spraw na telefon. Jeśli jednak szuka pan niezawodności, to mogę panu pokazać jeden czy dwa modele, które zapewne przeżyją nawet pana. - Wskazał na bordowego taurusa. - Widzi pan? Jeden z najlepszych modeli. Prowadzi się świetnie. Jeden z ostatnich modeli naszpikowany dodatkowym wyposażeniem, z którym pan jeszcze nie miał do czynienia. Im więcej bezużytecznych dodatków, tym więcej do naprawiania. Ten jest całkowicie zautomatyzowany, bierze pan swoje radio, papiery i może pan jechać. Zmienia pan olej co pięć tysięcy kilometrów, tankuje zwyczajną bezołowiową i śmieje się pan. Przyjacielu, śmieje się pan.

Janson patrzył, jak sprzedawca próbuje go oskubać. Chciał mu wymienić najnowszą altimę na podstarzałego taurusa i jeszcze wziąć czterysta dolarów.

- Cudowny interes- zapewniał go Jed Sipperly. - Mam po prostu słabość do tej altimy, tak jak Butch do swojej laleczki. To irracjonalne, ale miłość jest ślepa. Przyjeżdżasz czymś takim, a ja ci pozwalam odturlać się najpiękniejszym wozem na całym parkingu. Każdy inny by powiedział: „Jed, oszalałeś. Ten japonec nie jest wart kołpaka od tego taurusa”. No cóż, może to i szaleństwo. - Przesadny grymas: - Róbmy interes, zanim zmienię zdanie. Albo zanim wytrzeźwieję!

- Doceniam twoją szczerość - powiedział Janson.

- Coś ci powiem - sprzedawca zamasyżył podpisał kwit – dodasz mi jeszcze piąta i możesz wziąć też tego cholernego psa! - Długi, cierpiętniczy śmiech: - a może powinienem ci dopłacić, żebyś go ode mnie zabrał.

Janson uśmiechnął się i wszedł w siedmioletniego taurusa. Usłyszał syk zdejmowanego kapsla kolejnego budweisera - tym razem, bez wątpienia, dla uczczenia interesu.

Wątpliwości Jansona wzmocniły się, gdy dojechał do celu. Okolice Millington były zaniedbane, pozbawione wdzięku. Po prostu nie wyglądały na teren, który miliarder wybrałby sobie ma wiejską rezydencję.

Były tu inne miasteczka, miasteczka-muzea, w których pokryte gontami stodoły zapchane były dwukrotnie droższą niż gdzie indziej porcelaną „z czasów kolonialnych” i „regionalnymi” świecami woskowymi. Farmy zamieniono tu w drogie jadłodajnie; córki pracowników leśnych, monterów i rolników - które postanowiły nie wyjeżdżać - ubrane w falbaniaste „kolonialne” stroje recytowały zwroty w stylu: „Na imię mam Linda, dziś wieczór będę waszą kelnerką”. Miejscowi witali gości sztucznym ciepłem i szerokim uśmiechem właściwym skapcom. „Czym możemy służyć?”

Fala turystyki nie dotarła do Millington. Jansonowi niewiele czasu zajęło oszacowanie tego miejsca. Miasteczko było tylko trochę większe od wioski, ale *zarazem* było zbyt rzeczywiste, by być malownicze. Przycupnięte na skalistym zboczu Smith Mountain uważało realny świat za coś oczywistego, a nie za towar, który można zapakować i sprzedać. Było to miasto, w którym po dziesiątej wieczorem robiło się ciemno, a wtedy jedyne światło dochodziło z odległości kilkunastu kilometrów, z doliny, gdzie leżało Montvale, oświetlone jak krzykliwa metropolia. Największym i jedynym zakładem pracy dającym zatrudnienie była niegdysiejsza papiernia, obecnie wytwórnia glazurowanych cegieł. Mniejsza fabryczka, położona trochę dalej, specjalizowała się w produkcji ozdobnych młynków. Śródmiejska tania restauracja przy zbiegu ulic Głównej i Pemberton serwowała przez cały dzień jajka, frytki i kawę, a jeśli zamówiło się wszystkie trzy dania, dostawało się gratis sok pomidorowy albo pomarańczowy, przynoszony w czymś niewiele większym od literatki. Przy stacji benzynowej był sklep spożywczy” z rzędami opakowanych w celofan przekąsek, które można było dostać na wszystkich amerykańskich stacjach benzynowych. Janson lubił takie miejsca.

Ale sprawozdania sprzed lat były dokładne: gdzieś między wzgórzami ukryta była wielka posiadłość ziemska, prywatna rezydencja. Jej właściciel był człowiekiem tajemniczym. Czy to możliwe, żeby ten „No-vak” - widmo, które nosiło to nazwisko - był w pobliżu? Jansonowi cierpła skóra, gdy o tym myślał.

Później, tego samego ranka, Janson wszedł do sklepiku z kawą u zbiegu State i Pemberton i nawiązał rozmowę ze sprzedawcą. Cofnięte czoło, blisko osadzone oczy i wystająca, kwadratowa szczeka nadawały sprzedawcy cokolwiek małpi wygląd, ale gdy przemówił, okazało się, że jest nadspodziewanie inteligentny.

- Więc myśli pan o tym, żeby osiąść w pobliżu? - sprzedawca dolał z dzbanka kawy do kubka Jansona. - Niech zgadnę. Zarobił pan pieniądze w wielkim mieście, a teraz zapragnął

pan ciszy i spokoju na wsi?

- Coś w tym stylu - odparł Janson. Do ściany za kontuarem przybity był napis, biała kurywa na czarnym tle:

KAWA U KENNY'EGO - Tu RZĄDZI JAKOŚĆ I DOBRA OBSŁUGA.

- Z pewnością nie chce się pan przeprowadzić za blisko kogoś z pańskiej sfery? Na Pemberton jest jedna pani od nieruchomości, ale nie sądzę, żeby znalazł pan odpowiedni dla siebie dom w okolicy.

- Myślałem o zbudowaniu domu - powiedział Janson. Kawa była ostra, za długo stała w dzbanku na gorącej podstawie. Patrzył bezmyślnie na pokrytą formiką ladę. Był na niej falisty wzór zbiegający od zużycia pośrodku, gdzie najczęściej kładziono ciężkie talerze i sztuce.

- To śmieszne. Może pan sobie przecież pozwolić na coś ładnego. - Tani, męski płyn po goleniu mieszał się nieprzyjemnie z ciężkim zapachem zjełczałego masła.

- Inaczej nie ma sensu.

- Prawda, nie ma - zgodził się sprzedawca. Mój chłopak, wie pan, wpadł na wariacki pomysł, że się wzbogaci. W sprzedaży za pośrednictwem poczty elektronicznej. Całymi miesiącami mówił o „biznesplanie” i „wartości dodanej”, i „bezproblemowym handlu elektronicznym”, i o podobnych bzdurach. Powiedział, że nowa ekonomia polega na „uśmierceniu odległości”, więc nie ma różnicy, gdzie się jest. A my jesteśmy w sieci i nie ma znaczenia, czy się jest w Millington, czy w Roanoke. Robili to razem z kilkoma kolegami z szkoły średniej. Do grudnia wszystko przepuścili, w styczniu był tu z powrotem i odśnieżał ulice. Moja żona nazywa to pouczającą historią. Mówi, żeby się cieszyć, że syn nie ćpa. A ja jej na to, że nie byłbym taki pewien. Nie wszystkie dragi się pali, niucha albo wstrzykuje. Pieniądze albo żądza pieniędzy też mogą być jak narkotyk.

- Zarabianie pieniędzy to jedno, wydawanie to drugie – powiedział Janson. - Można się tu gdzieś wybudować?

- Ludzie mówią, że i na Księżycu można.

- A co z transportem?

- No cóż, jakoś pan tu dojechał?

- No, niby tak.

- Drogi są w całkiem niezłym stanie. - Sprzedawca oczy miał utkwione w scenę rozgrywającą się po drugiej stronie ulicy. Młoda blondynka myła chodnik przed sklepem z artykułami żelaznymi. Gdy się nachyliła, jej spódniczka podniosła się powyżej ud. Bez wątplenia była to główna atrakcja dnia.

- A lotnisko? - zapytał Janson.

- Najbliższe prawdziwe lotnisko jest prawdopodobnie w Roanoke.

Janson wypił łyk kawy. Była gęsta jak oliwa.

- Prawdziwe? A są jakieś inne w okolicy?

- Hm. Cóż. Było, dawno temu, w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Małe lotnisko zbudowane przez wojsko. Jakies pięć kilometrów w górę drogą na Clangerton. Uczyli pilotów, jak manewrować w górach, żeby bombardowali potem pola naftowe w Rumunii. Tu odbywały się ćwiczenia. Potem używali go ludzie z przemysłu drzewnego, ale przemysł drzewny podupadł. Nie sądzę, żeby zostało coś więcej niż pas startowy. Nikt nie transportuje kamieni samolotem - przewozi się je ciężarówkami.

- Co się stało z tym pasem? Ktoś z niego korzysta?

- Ktoś? Nikt? Nie używam tych słów. - Nie spuszczał z oka blondynki w krótkiej spódniczce zmywającej chodnik po drugiej stronie ulicy.

- Pytam, bo mój stary przyjaciel w interesach, który tu mieszka, nie daleko, coś mi o tym wspominał.

Wyglądało na to, że sprzedawca poczuł się nieswojo. Janson popchnął pusty kubek w jego stronę, ale sprzedawca ociągał się z napełnieniem naczynia.

- Więc niech pan jego o to zapyta- powiedział i wrócił do obserwowania nieosiągalnego raję po drugiej stronie ulicy.

- Coś mi się zdaje - powiedział Janson wpychając kilka banknotów pod podstawkę - że zarówno pan, jak i pański syn jesteście zainteresowani kwestiami zasadniczymi.

Spożywczy był niedaleko przy tej samej ulicy. Janson wszedł i przedstawił się właścicielowi, nijakiemu człowiekowi o jasnobrązowych włosach. Janson powiedział mu to samo, co sprzedawcy w jadłodajni. Kierownik sklepu najwyraźniej uznał perspektywę za dochodową do tego stopnia, że starał się zachęcić przybysza.

- To doskonały pomysł - powiedział. - Te wzgórza, znaczy się. Tu jest naprawdę pięknie. Pojedzie pan w góry, to zaledwie parę kilometrów. Znajdzie pan tam dziewiczą przyrodę. Do tego polowania i wędkowanie i... - stracił wątek, zabrakło mu czegoś trzeciego. Nie był pewien, czy ten klient regularnie będzie uczęszczał do kręgielni albo do pasaży z gramami wideo, który ostatnio zbudował obok swojego lokalu. W wielkich miastach pewnie też to mają.

- A co na co dzień? - zapytał Janson.

- Mamy tu sklep z wideo - pośpieszył z odpowiedzią sprzedawca. - Pralnię automatyczną. I mój sklep. Mogę wykonywać specjalne zamówienia, jeśli będzie pan zainteresowany. Robię to co jakiś czas dla stałych klientów.

- Ma pan takich?

- O tak. Mam ich tu mnóstwo. Jest taki gość - nikt go nie widział, ale co parę dni przysyła tu faceta, żeby odebrał zamówienie. Musi być bardzo bogaty. Jest właścicielem posiadłości gdzieś w górach. Ludzie widzą, jak mały samolot ląduje tam prawie codziennie po południu. Ale ciągle kupuje u nas. Czy to nie jest dobry sposób na życie? Niech kto inny robi za ciebie zakupy!

- A pan wykonuje specjalne zamówienia dla tego faceta?

- Jasne - odparł sklepikarz. - U mnie wszystko jest pewne, wszystko bezpieczne. Może to Howard Hughes i boi się, że ktoś go otruje. - Zachichotał na samą myśl. - Nie ma problemu. Dostaje wszystko, czego zapagnie. Ja zamawiam, ciężarówka przyjeżdża z dostawą, a on wysyła faceta, żeby zabrał towar. Cena nie gra roli.

- Ach tak?

- Może się pan założyć. Byłbym szczęśliwy, gdyby i pan składał takie specjalne zamówienia. Mike Nugent w sklepie wideo też byłby szczęśliwy. Miałby pan tu wspaniałe życie. Nie ma drugiego takiego miejsca. Niektóre dzieciaki trochę chuliganią. Ale zasadniczo to przyjazne miejsce, jak każde, do którego ucieka się z wielkiego miasta. Proszę spróbować, a nie będzie pan chciał stąd wyjeżdżać. Zakład?

Siwowłosa kobieta stojąca przy dziale mrożonek zawołała do niego.

- Keith? Keith, kochany?

Sklepikarz przeprosił i podszedł do niej.

- Sola jest świeża czy mrożona? - zapytała.

- Świeżo mrożona - wyjaśnił Keith.

Gdy prowadzili poważną dyskusję na temat tego, czym się różni świeże od mrożonego, Janson poszedł w drugi koniec sklepu. Drzwi na zaplecze były otwarte. Wszedł niby przypadkiem. Na małym metalowym biurku leżał stosik jasnoniebieskich kartek z zamówieniami dla firmy dostawczej. Zaczął je szybko przeglądać, aż dotarł do kartki opatrzonej stemplem „zamówienie specjalne”. Na końcu długiej listy artykułów żywnościowych, wypisanych drobnym drukiem, zobaczył wielkie litery nabazgrane markerem sklepikarza. Zamawiał hreczkę.

Minęło kilka sekund, zanim zrozumiał. Hreczka to przecież kasza. Janson poczuł podniecenie, tysiące gazetowych kolumn zawirowało mu w głowie. „Dzień zaczyna od spartańskiego śniadania, na które składa się kasza...”

Obok tego skromnego detalu, o którym pisano powszechnie, były niemal obowiązkowe opisy jego „szytych na miarę ubrań”, „arystokratycznej postury”, „władczego wzroku”... Szablonowe frazy. „Dzień zaczyna od spartańskiego śniadania, na które składa się kasza...”

A zatem, to była prawda. Gdzieś tam, w ostępach Smith Mountain, mieszkał człowiek, którego świat znał jako Petera Novaka.

Rozdział 33

W sercu śródmieścia Manhattanu jakaś bezdomna kobieta nachyliła się nad koszem na śmieci ze stalowej siatki stojącym w Bryant Park. Patrzyła badawczo jak listonosz na skrzynkę pocztową. Jej ubranie, jak to u nędzarzy, było podarte, brudne i za ciepłe jak na tę porę roku - musiało być dostatecznie grube, żeby chronić ją przed chłodem podczas nocy spędzanych na ulicy, a ciepłe promienie słońca nie zmusiły jej, widać, do zdjęcia choćby jednej warstwy, bo to ubranie i worek wypełniony butelkami i puszkami stanowiły cały jej majątek. Spod poprutego, zapaskudzonego drelichu wystawała na przegubach i kostkach brudnoszara, ocieplana bielizna. W charakterze obuwia nosiła za duże trampki, których gumowe podeszwy zaczynały już pękać, a sznurowadła były porwane i powiązane na supły. Na czoło miała głęboko nasuniętą baseballową czapeczkę z nylonowej siatki. Kurczowo trzymała niechlujną torbę, jakby był w niej jakiś skarb. Zaciśnięta dłoń wyrażała pierwotne prawo własności: oto, co mam na tym świecie. To jest moje. To jestem ja. Czas dla takich jak ona mierzony był nocami, które udało się przeżyć bez szwanku, puszkami i butelkami, które zebrało się i wymieniło na groszaki, smakołykami, które czasem udało się znaleźć - kanapkami, nadal miękkimi, chronionymi celofanowym opakowaniem, nie tkniętymi przez szczury czy bezdomne koty. Na rękach miała bawełniane rękawiczki, teraz szare i poplamione. Kiedyś zapewne były białe, ale w miarę grzebania wśród plastikowych butelek, ogryzków, skórek bananów i zmiętych ulotek reklamowych stawały się coraz bardziej niechlujne.

W rzeczywistości Jessica Kincaid nie patrzyła na śmieci; oczy skierowane miała na małe lustro, które oparła o kosz. Mogła obserwować drugą stronę ulicy i przyglądać się ludziom wchodzącym do biur Fundacji Wolność i wychodzącym z nich. Po wielu dniach bezowocnego nadzoru wspólnik Jansona, Cornelius Eaves, zadzwonił wreszcie podekscytowany: Marta Lang wreszcie się pokazała.

Jessie wiedziała już, że to nie pomyłka. Kobieta odpowiadająca dokładnemu opisowi, jaki zostawił Janson, Marta Lang, wicedyrektor fundacji, znalazła się pośród osób, które zjawyły się tego ranka: wysiadła z lincolna z przyciemnionymi szybami o ósmej rano. Przez następnych kilka godzin nie było po niej śladu, ale Jessie nie mogła sobie pozwolić na ryzyko i opuścić posterunek. W tym przebraniu nie przyciągała niczyjego wzroku, bo miasto nauczyło się już dawno nie zwracać uwagi na takich nieszczęśników. Kursowała między dwoma innymi koszami na śmieci, ustawionymi tak, że widać było od nich budynki biurowe przy Czterdziestej. Zawsze jednak wracała do tego, który stał najbliżej wejścia. Około południa dwóch pracowników zakładu oczyszczania miasta, ubranych w jaskrawoczerwone kombinezony, próbowało ją przepłoszyć, ale robili to bez entuzjazmu: ich minimalne zarobki sprawiały, że nie przepracowywali się szczególnie. Później jakiś handlarz uliczny usiłował rozłożyć w pobliżu swój kramik z podróbkami roleksów. Dwa razy, niby przypadkiem, potknęła się o jego stoisko i zrzuciła eksponaty na ziemię. Za drugim razem postanowił przenieść swój interes, ale najpierw rzucił pod jej adresem parę wyzwisk w niezrozumiałym języku.

Była prawie szósta, gdy elegancka, siwowłosa kobieta znów się pojawiła w obrotowych drzwiach prowadzących do holu. Jej twarz wyrażała obojętność. Kobieta wsiadła na tylne siedzenie długiego lincolna i pojechała w stronę skrzyżowania z Piątą Aleją. Jessie zapamiętała numer rejestracyjny. Po cichu połączyła się z Comeliusem Eavesem, którego maszyna - żółta taksówka z włączonym światłem „zajęty” - jeździła bez celu między przecznicami.

Eaves nie wiedział, jaki jest cel zadania; wiedział tylko, żeby nie pytać, czy to zadanie służbowe. Jessie udzieliła mu bardzo skąpych wyjaśnień. Czy wraz z Jansonem mają zamiar dokonać prywatnej wendetty?

Czy mają ściśle tajną misję wymagającą rekrutacji ad hoc utalentowanych amatorów? Eaves, który od paru lat był na emeryturze, chętnie podjął się zadania, żeby znaleźć sobie zajęcie, choć nie wiedział, czemu to wszystko służy. Wystarczyła mu jedna prośba Jansona i spojrzenie w twarz tej młodej kobiety: znalazł w niej bezdyskusyjne przekonanie, że robi to, co należy do jej obowiązków.

Jessie zanurkowała na tylne siedzenie taksówki Eavesa, zerwała z głowy czapkę, pozbyła się łachmanów i przebrała się w zwyczajne, miejskie ubranie: luźne, bawełniane spodnie, pastelowy bawełniany sweterek i mokasy. Starła brud z twarzy i wytarła się wilgotnym, papierowym ręcznikiem, wzburzyła energicznie włosy i po paru minutach mogła się już pokazać wśród ludzi, nie wzbudzając podejrzeń.

Dziesięć minut później mieli adres: 1060, Piąta Aleja. Stał tam ładny, przedwojenny budynek o wapiennej fasadzie poszarzałej od miejskiego powietrza. Nad wejściem - nie od ulicy, ale na rogu Osiemdziesiątej - był dyskretny zielony daszek. Jessie popatrzyła na zegarek.

Nagle włosy zjeżyły się jej na głowie. Zegarek! Miała go na ręku, gdy stała na posterunku obserwacyjnym w Bryant Park. Wiedziała, że strażników Fundacji zaalarmuje każda anomalia, każdy szczegół. Nosiła wąski zegarek Hamiltona, który kiedyś należał do jej matki. Czy kloszardka mogłaby mieć taki? Ogarnął ją niepokój. Myślała intensywnie, czy jakiś strażnik wyposażony w lornetkę mógł wycelować soczewki na błyszczący obiekt na jej przegubie. Ona tak by zrobiła na ich miejscu. Musiała uznać, że i oni tak postąpili.

Wyobraziła sobie swoją wyciągniętą rękę grzebiącą w śmieciach, jakby była jakimś zebrającym archeologiem... Ujrzała swoją rękę w rękawiczce i nasunięty na nią postrzępiony mankiet ocieplanego podkoszulka. Tak - podkoszulek był na nią o kilka rozmiarów za duży: zegarek musiał być całkowicie przykryty rękawem. Ściśnięty żołądek lekko się rozluźnił. Nie było szkody, nie było sprawy, jasne? Ale i tak wiedziała, że to właśnie był jeden z tych błędów, na które nie mogła sobie pozwolić.

- Zawieź mnie za róg, Corn - powiedziała. - Powoli.

Janson jechał bordowym taurusem wijącym się górskim szlakiem znanym jako Clanger-ton Road. Znalazł nieoznaczony skręt, o którym wspomniał sklepikarz. Przez chwilę jechał drogą, a potem skręcił pod naturalną osłonę zieleni, między krzewy i młode drzewka. Nie wiedział, czego oczekiwać, ale ostrożność podpowiadała mu, że musi uważać.

Szedł przez las. Pod stopami miał gąbczasty dywan sosnowych igieł i gałązek. Zawrócił w kierunku dróżki, obok której przejeżdżał. W powietrzu unosił się żywiczny aromat starego lasu sosnowego. Kojarzył się z środkami dezynfekcyjnymi i odświeżaczami powietrza, które tak uporczywie go małpowały. Większa część lasu wyglądała na nietkniętą przez człowieka. Przez takie lasy osadnicy z Europy wędrowali przed laty, zakładali siedziby na dziewiczych terytoriach, wydzielali ziemię skałkówką, muszkietem i nożem tubylcom, którzy nie tylko przewyższali ich liczebnie, ale też górowali nad nimi znajomością tej krainy. Takie były początki obecnie największej potęgi na planecie. Te ziemie należały do najpiękniejszych zakątków kraju. Janson pomyślał, że tym tu piękniej, im mniej widać śladów działalności człowieka.

I wtedy znalazł pas startowy.

Nagle w lesie otworzyła się polana, i to niepokojąco dobrze utrzymana: niedawno usunięto jeżyny i krzaki, a długi trawiasty owal był ładnie przystrzyżony. Pas był pusty, nie licząc pojazdu terenowego przykrytego brezentem. Jak pojazd tu się dostał stanowiło tajemnicę, bo nie widać było żadnych dróg.

Sam pas był świetnie ukryty przez gęstwą drzew rosnących wokół niego. Te drzewa właśnie mogły posłużyć Jansonowi do jego własnych celów i osłonić jego jednoosobowy punkt obserwacyjny, który zamierzał tu założyć.

Usadowił się na starej sośnie, zakryty częściowo przez jej pień i gęstwą obrośniętych igłami gałęzi. Oparł lornetkę o małą gałąź i czekał.

Czekał.

Godziny mijały. Jedynymi gośćmi były od czasu do czasu komary.

Ale Janson nie był świadom upływu czasu. Znajdował się w innej rzeczywistości - siedział w snajperskiej zasadzce. Umysłem, jakąś jego częścią, przebywał w sferze półświadomych myśli, mimo że pozostała część znajdowała się w stanie ostrej gotowości.

Był przekonany, że dziś będzie lot. Nie tylko ze względu na to, co powiedział właściciel sklepiku spożywczego, ale również z tej przyczyny, że nie wszystko można było powierzyć elektronicznemu przesyłowi danych. A jeśli się myli i marnuje najcenniejsze z dóbr - czas?

Nie mylił się. Z początku brzmiało to jak brzęczenie owada, ale kiedy odgłos zaczął przybierać na sile, zrozumiał, że to samolot zatacza koła i zwalnia, żeby wylądować. Każdy nerw, każdy mięsień miał napięty, gotów do akcji.

Była to nowa cessna, samolot dwusilnikowy, a pilot, co można było poznać po płynnym lądowaniu, był zawodowcem w każdym calu, a nie jakimś miejscowym, zabawiającym się opylaniem zbiorów. Z kokpitu wyłonił się pilot ubrany w biały kombinezon i rozłożył składane, aluminiowe schodki o sześciu szczeblach. Poblask słońca odbijającego się od kadłuba maszyny przysłał Jansonowi widok. Widział jednak, że drugi pilot, w niebieskim kombinezonie, wyprowadził szybko pasażera i zaprowadził go do pojazdu terenowego. Zerwał z maszyny brezent, odsłonił range-rovera - opancerzonego, jak można się było domyślać po niskim położeniu karoserii nad podwoziem - i otworzył pasażerowi tylne drzwi. Chwilę później wóz ruszył pędem.

- Cholera! Janson wyteżał wzrok, próbując przez lornetkę rozpoznać, kto jest tym pasażerem, ale oślepiające słońce i ciemne wnętrze wozu nie pozwalały mu na to. Kto to był? - pytał sam siebie zdenerwowany. „Peter Novak”? Jeden z jego przybocznych?

I wtedy samochód zniknął.

Gdzie?

Tak jakby rozpląnął się w powietrzu. Janson ześlizgnął się nieco ze swojej grędy i zaczął przyglądać się okolicy przez lornetkę, aż wreszcie zrozumiał, co się stało. W lesie, ukosnie, poprowadzona była ścieżka tak wąska, że pojazd ledwie mógł się zmieścić. Otaczające ją drzewa sprawiały, że była prawie niewidoczna. Było to genialne osiągnięcie inżynierii krajobrazu, choć z założenia miało pozostać nieznanne i niedocenione. Silniki cessny znów zaczęły się rozgrzewać, mały samolot odwrócił się, zajął pozycję startową i wzbił się w powietrze.

Gdy gryzący zapach spalonej benzyny opadł na las, Janson pośpieszył w stronę przecinki. Miała około czterech metrów szerokości, zasłaniały ją gałęzie zwieszające się nad nią na wysokości jakichś trzech metrów - akurat tyle, żeby zmieścić się opancerzony range-rover. Ukryta pod drzewami droga została niedawno wybrukowana - kierowca, który ją znał, mógł rozwinąć niezłą szybkość - ale i tak z powietrza nie można jej było dostrzec.

Będzie to zatem pieszy zwiad.

Zadaniem Jansona było pójść wzdłuż drogi nie wychodząc na nią; szedł równolegle do niej, w pewnej odległości, żeby nie uaktywnić jakiegoś alarmu lub urządzenia obserwacyjnego. Droga była długa i wkrótce okazała się męcząca. Przeskakiwał przez przeszkody z drutu kolczastego, przeciskał się przez zarośla, ześlizgiwał się po stromych, miękkich pochyłościach. Po dwudziestu minutach mięśnie zaczęły odmawiać posłuszeństwa, ale nie pozwolił sobie na zwolnienie tempa. Gdy po raz kolejny chwycił się gałęzi, nadeszło bolesne przypomnienie, że jego dłonie, kiedyś twardsze od wyprawionej skóry, straciły warstwę ochronną: zbyt wiele lat poświęcił klientom z wielkich firm. Żywica sosnowa przylgnęła do jego dłoni

jak klej; drzazgi wbiły się w skórę. Wreszcie od potu i kurzu dostał wysypki. Nie zwracał na to uwagi, skupiony na następnym kroku. Jedna stopa, potem druga: to jedyny sposób, żeby iść do przodu. Jednocześnie starał się zachować ciszę, wybierał raczej skaliste podłoże niż trzeszczącą ściółkę. Samochód, oczywiście, dawno już odjechał, ale Janson wiedział którądy iść - prowadziła go droga. Jedna stopa, potem druga: wkrótce jego ruchy stały się machinalne, a myśli odpływały.

Jedna stopa, potem druga.

Wychudły jak szkielet Amerykanin pochylił głowę, gdy szedł ponownie do niewoli. Informacja o ucieczce jeńca najwyraźniej rozprzestrzeniła się już po okolicy, bo miejscowi górale wiedzieli kim jest i dokąd trzeba go odprowadzić.

Przez dwa dni przedzierał się przez dżunglę, wycęzał wszystkie siły i po co? Tak blisko, a tak daleko. Teraz wszystko zacznie się od nowa, ale będzie gorzej: dla dowódcy obozu ucieczka jeńca oznaczała utratę twarzy. Będzie go okładać gołymi pięściami, aż minie mu wściekłość. Czy Janson przeżyje to spotkanie? To zależało całkowicie od samopoczucia i sił witalnych komendanta. Janson zaczął się poddawać rozpacz, która wciągała go jak potężny rzeczny wir.

Nie! Nie po tym wszystkim, co wycierpiał. Nie, kiedy Demarest nadal żyje. Nie odda mu zwycięstwa.

Dwóch partyzantów z Wietkongu prowadziło Jansona błotnistą ścieżką, przez cały czas trzymając go na muszce. Nie dawali mu szans. Wieśniacy gapili się na niego, dziwiąc się, że ktoś tak zmarnowany, tak wymizerowany, nadal może się ruszać. Sam się temu dziwił. Ale nie pozna granicy swoich możliwości, dopóki jej nie przekroczy.

Może nie zbuntowałby się, gdyby partyzant, który szedł za nim nie zawiązał mu pętli na szyi. To było ostateczne upokorzenie i Janson stracił nad sobą panowanie - pozwolił sobie stracić nad sobą panowanie - wyćwiczone instynkty wzięły górę. Wasze umysły nie mają własnego umysłu, mówił im Demarest podczas treningów. Chodziło mu o to, żeby podkreślić, w jaki sposób mają panować nad świadomością. Po odpowiedniej liczbie ćwiczeń wyuczone odruchy brały górę nad zakorzenionymi instynktami, przejmując nad człowiekiem kontrolę.

Janson odwrócił się, jego stopy ślizgały się po ścieżce jak po lodzie, wystawił biodro nie skręcając prawego ramienia, bo taki ruch mógłby przestrzec wartownika przed tym, co miało się zdarzyć: energiczny cios wyprostowanymi i napiętymi palcami, z kciukiem przylegającym do dłoni. Dłoń jak dzida zagłębiła się w gardło wartownika, miażdżąc mu chrząstki tchawicy i odrzucając jego głowę do tyłu. Wtedy Janson spojrzał przez ramię na drugiego wartownika i zobaczył na jego twarzy strach i przerażenie. To dodało mu sił. Wymierzył potężnego kopniaka w tył, skierowanego w jego krocze. Siła ciosu brała się z szybkości, a ruch strażnika, który próbował podbiec do jeńca sprawił, że kopnięcie było jeszcze skuteczniejsze. Teraz, gdy strażnik idący z przodu zgiął się wpół, Janson wymierzył kolejnego kopniaka, po łuku, mierząc w bok odsłoniętej głowy. Gdy stopa uderzyła w czaszkę, poczuł wibrację. Przez moment zastanawiał się, czy nie złamał sobie jakiejś kości. Prawdę powiedziawszy, było mu wszystko jedno. Schwycił AK-47, który trzymał wartownik idący z tyłu, i użył go jak maczugi. Bił leżącego partyzanta, aż jego ciało stało się zupełnie bezwładne.

- *Xin loi* - wymamrotał. Przykro mi.

Rzucił się między drzewa i pobiegł w stronę najbliższego pagórka. Będzie szedł, dopóki nie dotrze do morza. Nie był teraz sam: miał automat. Jego kolba śliska była od krwi. Wytrwa, jedna stopa, później druga, zabije każdego, kto spróbuje go zatrzymać. Dla wrogów nie ma litości, jest tylko śmierć.

I nie będzie mu ich żal.

Jedna stopa, potem druga.

Minęła kolejna godzina, zanim Janson wdrapał się na skalisty występ i zobaczył posiadłość Smith Mountain. Tego mniej więcej się spodziewał, ale i tak widok zapierał dech w piersiach.

Rozciągało się przed nim rozległe plateau z nieskazitelną trawą jak na polu golfowym. Znów wyjął lornetkę. Za występem, na którym stał Janson, teren trochę się obniżał, a potem wznosił się szeregiem wzgórz aż do kamiennego szczytu góry.

Zobaczył to, co widział Maurice Hempel, zrozumiał, dlaczego okolica była tak nieodparta dla człowieka, który był równie spragniony samotności, co bogaty.

Dobrze ukryty, prawie niewidoczny stał rześcicie oświetlony dwór, mniejszy niż ten w Biltmore, ale równie wspaniały. Respekt Jansona wzbudziły jednak środki bezpieczeństwa. Jakby naturalne przeszkody otaczające to miejsce miały nie wystarczać, zaawansowane technicznie alarmy sprawiały, że domostwo odporne było na wszelkie próby wtargnięcia.

Przed nim rozciągał się wysoki płot z łańcuchów. I nie był to zwyczajny płot. Sama jego obecność wystarczała, żeby odstraszyć turystów. Ale Janson spostrzegł też system wykrywaczy nacisku wbudowany w parkan: to odegnałoby nawet wykwalifikowanego włamywacza. Napięte druty, wplecione w ogniwa, połączone były z szeregiem pudeł. Dwa systemy w jednym: napięte druty wykrywające próby wtargnięcia wzmocnione wykrywaczami wibracji. Przez chwilę Janson czuł się bezradny; płot wyposażony w wykrywacze wibracji przy odrobinie cierpliwości można sforsować, posługując się szczypcami. Ale napięte druty sprawiały, że samo podejście stawało się niemożliwe.

Za tą barykadą ujrzał rząd słupów. Na pierwszy rzut oka były to półtorametrowe pale. Dokładniejsze oględziny ujawniały jednak ich właściwą naturę. Każdy słup odbierał i emitował mikrofałę. Przy mniej skomplikowanym zabezpieczeniu wystarczało przystawić drąg do słupa i po prostu się na niego wspiąć, unikając niewidzialnych promieni. Niestety, tutaj naprzemienne ustawienie sprawiało, że zachodzące na siebie promienie chroniły same słupy. Nie było po prostu sposobu, żeby uniknąć wiązki fal.

A co jest na trawiastej przestrzeni za słupami? Nie widać tam było żadnych przeszkód, ale Janson przyglądał się terenowi dopóki nie spostrzegł skrzyneczki stojącej przy wysypnym żwirem podjeździe. Był na niej znak „Tristar Security”. Tam, zakopana pod ziemią, kryła się najtrudniejsza z przeszkód: czujniki nacisku. Nie można było ich ominąć; nie można było do nich dotrzeć. Jeśli nawet jakoś udałoby się przezwyciężyć inne przeszkody, te czujniki pozostaną niezwyciężone.

Opuścił lornetkę, stoczył się ze skalistego występu i przysiadł na dłuższą chwilę. Opanowała go rezygnacja i rozpacz. Tak blisko, a tak daleko.

Już prawie zmierzchało, gdy odnalazł drogę powrotną do bordowego taurusa. Jechał z powrotem, w stronę Millington, by potem skręcić na południe drogą numer 58. Czujnie spoglądał w lusterko wsteczne.

Zostało mu niewiele czasu, ale parę razy musiał się zatrzymać, żeby kupić niezbędne rzeczy. Na przydrożnym targu kupił elektryczną trzepaczkę do jajek. Zależało mu tylko na jej silniku. W tanim sklepie elektronicznym znalazł telefon komórkowy z kilkoma niedrogimi akcesoriami. W spożywczym w Millington kupił duży, okrągły pojemnik herbatników, bo potrzebna mu była tylko stalowa puszka. Potem był sklep żelazny, gdzie nabył klej, pojemnik ze sproszkowanym węglem drzewnym dla grafików, rolkę taśmy izolacyjnej i wysuwany pręt do zasłon z blokadą.

- Złota rączka z pana, co? - zapytała blondynka w krótkim dzinsie, podliczając należność za zakupy. - Mój typ chłopaka. - Obdarzyła go zachęcającym uśmiechem. Mógł sobie wyobrazić, jak sprzedawca z drugiej strony ulicy patrzy na nich z zazdrością.

Na koniec zatrzymał się przy drodze nr 58. Do parkingu Sipperly'ego dotarł tuż przed zamknięciem. Sądząc po twarzy, handlowiec nie był zadowolony, że go widzi. Wielki kundel nastawił uszu, ale gdy zobaczył kto przybył, wrócił do swojej oślinionej szmacianej lalki.

Sipperly zaciągnął się mocno papierosem i podszedł do Jansona.

Janson wyciągnął banknot pięciodolarowy z portfela.

- Za psa - powiedział.

- Że co, proszę?

- Powiedział pan, że mogę mieć psa za piąta - odparł Janson. - Oto piąta.

Sipperly roześmiał się rżęco, ale po chwili zrozumiał, że Janson mówi poważnie. Skapstwo wypełzło mu na mięsistą twarz.

- No, żarty żartami, ale ja naprawdę jestem bardzo zadowolony z tego psa - wyznał. - Jest naprawdę jedyny w swoim rodzaju. Doskonały pies obronny...

Janson spojrzał na wielkie zwierzę, na jego zabłocone czarno-brązowe futro, krótką, tępą mordę i zagięte kły wystające z zamkniętego pyska jak u buldoga. W najlepszym wypadku piesek domowy.

- Tyle że nie szczeka - zauważył.

- No, zgadza się, w tej dziedzinie jest nieco wstrzemięźliwy. Nie wiem, czy zdołam się z nim rozstać. Sentymentalny ze mnie facet.

- Pięćdziesiąt.

- Sto.

Siedemdziesiąt pięć.

- Sprzedany - powiedział Jed Sipperly, uśmiechając się. - Tak jak jest. Niech pan pamięta. Tak jak jest. I niech pan lepiej weźmie z sobą tę brudną lalkę. Tylko tak zdoła go pan zwać do wozu.

Wielkie psisko kilkakrotnie obwąchało Jansona i straciło zainteresowanie. Rzeczywiście, wsiadło do wozu dopiero wtedy, gdy Janson wrzucił na tylne siedzenie lalkę. Psu było tam ciasno, ale nie narzekał.

- Dziękuję uprzejmie - powiedział Janson. - A, przy okazji, nie wie pan, gdzie mógłbym dostać wykrywacz radarów?

- To pan nie wie, że to nielegalne w stanie Wirginia, co? - powiedział Sipperly z ironią.

Janson wyglądał na speszzonego.

- Ale jeśli jest pan zainteresowany kupnem takiego urządzonego, to mogę powiedzieć, że trafił pan na właściwego faceta. - Sipperly uśmiechał się jak człowiek, który wie, że to jego szczęśliwy dzień.

Był wieczór, zanim Janson dotarł do swojego pokoju w motelu; gdy skończył gromadzić wyposażenie i pakować je do plecaka, słońce zupełnie już zaszło. Gdy wyruszył wciąż z psem, wysoko na niebie świecił już księżyc. Napięcie sprawiało, że tym razem szedł szybciej mimo obciążenia plecakiem.

Zanim dotarli do ostatniego wzniesienia, zdjął psu obrozę. Potem zebrał trochę ziemi i wysmarował nią głowę psa i jego i tak już ubłoconą sierść. Przemiana nie dodała zwierzęciu powabu: brudny i bez obroży pies wyglądał na zdziczałego. Potem wziął szmacianą lalkę i rzucił ją za płot z łańcuchów. Pies pobiegł w ślad za nią, a Janson cofnął się w gęstwiny drzew i patrzył, co się stanie.

Wielkie psisko rzuciło się na płot, odbiło się, znów skoczyło przed siebie, waląc w czujniki wibracji i system napiętych drutów. Zabezpieczenia miały tak ustawiony próg wrażliwości, żeby nie włączały ich podmuch wiatru czy przebiegająca wiewiórka. Siła wielkiego

psa znacznie przekraczała ten próg. Oba systemy, z elektronicznym cykaniem, odnotowały obecność intruza. Zapalił się rząd niebieskich diod zaznaczając fragment płotu.

Janson usłyszał, jak obraca się kamera zamontowana na wysokim palu wewnątrz strzeżonego terenu; filmowała teraz okolicę, gdzie wystąpiły zakłócenia. Lampy umocowane na kamerze zamrugwały i skierowały promień oślepiającego halogenowego światła na odcinek, gdzie Butch atakował raz za razem płot. Janson, mimo że był ukryty za drzewami, widział, że światło jest bardzo ostre, jakby zapaliło się kilka słońc naraz. Czas między pierwszym sygnałem a odpowiedzią kamery: cztery sekundy. Janson nie mógł nie podziwiać tego systemu.

Tymczasem rozszalałe zwierzę nie ustawało, skakało na płot, szarpiąc pazurami ogniwą: dla niego liczyła się tylko szmaciana lalka. Gdy Janson dostosował wzrok do światła, zobaczył, jak wydłuża się obiektyw kamery. Wyglądało na to, że kamera jest zdalnie sterowana z jednego z posterunków straży; gdy już namierzyła intruza, jej operator mógł zogniskować obraz i określić zagrożenie.

Namierzanie nie zajęło wiele czasu. Halogenowe lampy zostały wyłączone, a kamera wróciła do poprzedniej pozycji, odwracając się od płotu w stronę wysypanego żwirem podjazdu, a niebieskie diody na płocie zgasły,

Janson usłyszał odgłos wydany przez psa ponownie rzucającego się na ogrodzenie: Butch nie ustawał w wysiłkach. Czy mu się zdaje, że w ten sposób odzyska laleczkę? Czy na swój psi sposób chciał pokazać, ile ona dla niego znaczy? Psychologia zwierzęcia była nieodgadniona; ale dla Jansona liczyło się to, że jego zachowanie było przewidywalne.

Podobnie jak zachowanie tych, którzy nadzorowali system zabezpieczeń. Wielką zaletą tego wartego miliony dolarów systemu było, że nie wymagał wysyłania straży w tego rodzaju sytuacjach. Zdalnie można było dokonać szczegółowej inspekcji. Tym razem, gdy pies rzucił się na płot, diody się nie włączyły. Segment został dezaktywowany. Janson wiedział, do jakich wniosków doszli ludzie w straźnicy. Zdziczyły pies pewnie ścigał wiewiórkę albo świstaka; wkrótce mu się znudzi.

Teraz, gdy Butch przycupnął, szykując się do kolejnego skoku na parkan, Janson przerzucił plecak na drugą stronę i pobiegł w kierunku przeszkody. Kiedy był kilka metrów od niej, wyskoczył w powietrze tak, jak to robił pies. Przywarł do ogrodzenia, starając się utrzymać pionowo. Czubkiem buta wbił się w ogniwo i złapał się płotu obiema rękami. Przesuwał na zmianę to ręce, to stopy i szybko znalazł się na wierzchołku parkanu najeżonego ostrymi kolcami. Jedynym sposobem, żeby ich uniknąć, było przeskoczenie przez nie, utrzymując środek ciężkości ciała ponad szczytem ogrodzenia zanim będzie się po drugiej stronie: żeby to osiągnąć wyobraził sobie, że płot jest o jakieś pół metra wyższy niż w rzeczywistości, i przerzucił ciało nad tym wyimaginowanym punktem. Manewrując po drugiej stronie do góry nogami, wczepił się w jedno z ogniw. Potem przerzucił ciało nad płotem, wykorzystując ręce jako oś obrotu. Jednym rzutem wyprostował się i pokoziołkował na trawę.

Gdy wylądował, poczuł pod sobą coś miękkiego. Szmaciana lalka. Rzucił ją z powrotem na drugą stronę płotu; pies ostrożnie wziął ją do pyska i odczołgał się gdzieś poza linię drzew.

Kilka chwil później znów usłyszał silniczek kamery zajmującej pozycję. Ponownie rozbrzmiały halogenowe światła.

Czy kamera została wycelowana w niego? Czy przypadkiem uaktywnił jakiś inny system ostrzegawczy?

Janson wiedział, że w odległości dziesięciu metrów od płotu nie można było zastosować podziemnego kabla reagującego na nacisk; kołysanie się tak wielkiego metalowego obiektu wywoływałoby zbyt wielkie zakłócenia w elektronicznym polu nadzoru.

Przywarł do ziemi, serce mu waliło. W ciemnościach czarne ubranie chroniło go, ale w tym jaskrawym świetle mogło uwydatnić jego sylwetkę na tle jasnego żwiru i jasnozielonej trawy. Gdy oczy zaczęły mu się przyzwyczajać do światła zrozumiał, że to nie on jest celem.

Z gry cieniów wynikało jasno, że reflektory wycelowano ponownie na fragment płotu, przez który przed chwilą się przedarł. Strażnicy sprawdzali ponownie integralność zapory przed reaktywowaniem systemu. Cztery sekundy później wyłączono reflektor, wróciła ciemność, a wraz z nią uczucie ulgi. Migające słabym niebieskim światłem diody wskazywały, że czujniki znów zostały aktywowane.

Teraz Janson szedł ku słupom. Przyjrzał się, jak są ustawione, i ponownie poczuł zniechęcenie. Rozpoznał model. Wiedział, że to najnowocześniejszy system ochronny wykorzystujący mikrofałe. Na każdym z mocnych pali, pod aluminiowym kapturem, umieszczony był elektryczny przekaźnik i odbiornik: sygnał o mocy piętnastu gigaherców nastawiony był na jeden z wybranych wzorów modulacji amplitudy. System był w stanie przeanalizować każdy sygnał zakłócający - rozmiar, natężenie i szybkość - i wprowadzić dane do modułów komunikacyjnych centralnej sieci systemu.

Czujniki ułożone były naprzemiennie, co Janson zauważył już wcześniej, żeby promienie mogły się dublować. Nie można było wykorzystać jednego słupa, żeby wspiąć się ponad pole oddziaływania promieni, bo promienie dublowały się właśnie tam, gdzie stały słupy: po przeskoczeniu jednego pola zyskałoby się tyle, że wpadłoby się w drugie.

Janson obejrzał się w stronę płotu. Jeśli uruchomił barierę z mikrofal - a było duże prawdopodobieństwo, że tak - to będzie musiał przejść przez płot, zanim pojawią się strażnicy i rozpocznie się polowanie na niego, kiedy będzie biegł w powodzi halogenowego światła. Urządzenie nie tylko oświetlało jasno intruza, żeby kamera mogła go dokładniej pokazać, ale także oślepiało go i w ten sposób utrudniało poruszanie. Jeśli odwrót stanie się koniecznością, trzeba będzie spróbować: ryzyko będzie wtedy niewiele mniejsze, niż gdyby posuwał się do przodu.

Janson rozpiął plecak i wyjął wykrywacz policyjnych radarów. Był to phantom II, wysokiej klasy model zbudowany z myślą o kierowcach, którzy lubili szybkość, a nie lubili mandatów za jej przekraczanie. Skuteczność urządzenia wynikała z faktu, że był zarazem detektorem i systemem zakłócającym, którego zadaniem było uczynienie samochodu niewidzialnym dla radaru. Działał na zasadzie wykrywania i odbijania sygnału z powrotem w stronę radaru. Janson usunął z niego plastikową obudowę, skrócił antenę i zainstalował dodatkowy wzmacniacz, przesuując w ten sposób jego widmo w stronę częstotliwości mikrofal. Następnie przymocował urządzenie taśmą izolacyjną do teleskopowego stalowego pręta. Jeśli zadziała tak, jak się spodziewał, będzie w stanie wykorzystać zaprogramowany we wszystkich tego typu systemach wzór zabezpieczeń: niezbędną tolerancję uwzględniającą zwierzęta i pogodę. System zabezpieczający byłby nieprzydatny, gdyby regularnie powodował fałszywe alarmy. Systemy mikrofalowe ustawiane na świeżym powietrzu zawsze przetwarzają dane, żeby odróżnić ludzi intruzów od tysięcy innych przyczyn, które mogą wywoływać anomalie w sygnale - od gałęzi poruszanej wiatrem po przebiegające zwierzę.

Nadal był to jednak hazard, który powodował skurcz żołądka. W mniej wymagających okolicznościach najpierw wypróbowałby w praktyce swoje założenia, a dopiero potem powierzyłby im swoje życie.

Ponownie przyjrzał się rozstawieniu słupów. Czujniki mogą być rozstawione nawet w odległości trzystu pięćdziesięciu metrów od siebie. Te były oddalone zaledwie o pięćdziesiąt metrów - nie liczone się z kosztami. Wbrew pozorom bliskość czujników działała na korzyść Jansona. Im dalej byłyby rozstawione, tym szersze byłoby pasmo przebiegające między nimi. Przy dwustu trzydziestu metrach rozdełoby się ono do rozmiarów owalu, który w punkcie środkowym między dwoma czujnikami miałby szerokość prawie czterdziestu metrów. Przy trzydziestu metrach wzór fal byłby ciaśniejszy i wężiej zogniskowany, na pewno nie szerszy niż siedem metrów. Właśnie na to liczył Janson.

Tak jak się spodziewał, pale stojące w drugim rzędzie wysyłały promienie do pali w pierwszym rzędzie i vice versa. Punkt, w którym oba promienie się przecinały stanowił naj-

węższe miejsce pola. Słupy były poustawiane w sposób powtarzalny. Janson w myślach przeprowadził linię łączącą sąsiednie słupy; potem linię łączącą następną parę. Punkt środkowy pomiędzy tymi równoległymi liniami to miejsce, w którym pole jest najwęższe. Janson podszedł ku temu punktowi. Intuicja podpowiadała mu, gdzie go znajdzie. Wysunął stalowy pręt z urządzeniem zakłócającym. System powinien natychmiast wykryć pojawienie się obiektu, ale powinien też natychmiast stwierdzić, że wzór fal nie odpowiada ludzkiemu ciału. Nie zareaguje do chwili, gdy Janson sam nie spróbuje przekroczyć linii. To będzie chwila próby.

Czy phantom II zakłóci sygnał odbiorników, powstrzymując je przed odnotowaniem najścia intruza - Paula Jansona?

Nie był nawet pewien, czy urządzenie jest sprawne. Na wszelki wypadek wyłączył wyświetlacz; nie pojawi się więc czerwone światełko wskazujące, że sygnał został odebrany. Będzie musiał przyjąć to na wiarę. Przesuwał się w stronę słupa, trzymając pręt w górze, w jednym miejscu. Potem odwrócił pręt i zaczął się oddalać od mikrofalowej bariery.

I... był już po drugiej stronie.

Był po drugiej stronie.

Ale to nie było bezpieczne miejsce.

Gdy szedł w stronę łagodnie wznoszącego się podjazdu prowadzącego do siedziby, poczuł, jak jeża mu się włoski na karku. Na jakimś zwierzęcym poziomie świadomości czuł, że największe niebezpieczeństwo jeszcze na niego czeka.

Popatrzył na niewyraźnie oświetlony wyświetlacz woltomierza, który trzymał oburącz. Nie było to urządzenie polowe, ale musiało wystarczyć.

Nic. Żadnej aktywności.

Przeszedł następne trzy metry. Strzałka poszła do góry, zrobił następny krok, strzałka o mało nie wyskoczyła poza skalę.

Zbliżał się do zakopanych pod ziemią czujników nacisku. Chociaż woltomierz wskazywał, że kabel jest jeszcze daleko, Janson wiedział, że promienie elektromagnetyczne czujników wytwarzały pole szerokie na dwa metry.

Tempo, z jakim rosły wskazania woltomierza dowodziło, że zbliżał się do aktywnego pola. Jakies dwadzieścia pięć centymetrów pod darnią leżał kabel z „dziurami” w izolacji, które pozwalały wydobywać się falom elektromagnetycznym odbieranym przez równoległy kabel biegnący w tej samej obudowie. W rezultacie wokół kabli powstawało pole wykrywające wysokie na pół metra, szerokie na dwa metry. Podobnie jak w przypadku pozostałych polowych systemów wykrywania intruzów, mikroprocesory obarczone były zadaniem rozróżniania rodzajów zakłóceń. Małe zwierzę nie wywołałoby alarmu; ale na przykład chłopiec już tak. Szybkość poruszania się intruza także mogła być zmierzona i zinterpretowana. Śnieg, grad, niesione przez wiatr liście, zmiany temperatury -wszystko to mogło wpłynąć na zmianę pola. Ale mózg systemu potrafił przefiltrować takie szумы.

W przeciwieństwie do mikrofali, tego urządzenia nie można było oszukać. Zagrzebane w ziemi kable były niedostępne, a system dysponował ochroną przed próbą manipulacji, toteż każda próba przerwania obwodu zostałaby wykryta i wywołałaby alarm. Był tylko jeden sposób, żeby przejść przez to zabezpieczenie.

Należało przejść ponad nim.

Janson wyciągnął rozkładany teleskopowy pręt, rozłożył go i zablokował. Cofnął się kawałek w stronę pali z nadajnikami i trzymając pręt w wyciągniętych rękach, puścił się pędem w kierunku zagrzebanych w ziemi kabli, wyobrażając sobie niewidoczną, szeroką na dwa metry przeszkodę.

Biegając trzymał pręt, potem zagłębił jego koniec w ziemi tuż nad miejscem, gdzie jak sądził, zagrzebane były kable. A teraz skok. Uniósł prawe kolano i skoczył wypychając biodra. Przez cały czas trzymał się pręta. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, siła rozpędu przeniesie go i wyląduje w bezpiecznej odległości od kabla. To nie musiał być wysoki, lekkoatletyczny

skok o tyczcze, wystarczał skok na odległość; żeby jego ciało przez dwa metry leciało w powietrzu. Detektor odnotuje tylko cienki pręt drgający w ziemi - nic, co przypominałoby rozmiarami człowieka. Kiedy patrzył już na trawę, na której miał nadzieję wylądować, w bezpiecznej odległości od kabla z czujnikami, nagle poczuł, że pręt wygina się pod jego ciężarem.

O Boże, nie!

W połowie łuku pręt się złamał, a Janson upadł ciężko na ziemię, zaledwie o kilka metrów od miejsca, w którym według jego szacunków powinien spoczywać kabel.

Był za blisko!

A może nie? Nie można było stwierdzić tego z całą pewnością, a ta niepewność najmocniej szarpała nerwy.

Zimny pot wystąpił mu na skórę niemal natychmiast, gdy wytoczył się ze strefy zagrożenia. Teraz się dowie, czy wywołał reakcję. Rozbłysną reflektory; kamera zacznie się kręcić. A potem, gdy wzrok zacznie mu się przyzwyczajać do oślepiającego światła, drużyna uzbrojonych po zęby strażników przybiegnie na miejsce. Zapory i systemy alarmowe znajdujące się z każdej strony zmniejszą szanse ucieczki do zera.

Czekał z zapartym tchem, czuł, jak z każdą mijającą sekundą kiełkuje w nim nadzieja. Przeszedł. Wszystkie trzy systemy zabezpieczeń miał za sobą.

Wstał i spojrzął na rezydencję. Z bliska zapierała dech swoją wspaniałością. Po obu stronach głównego gmachu stały wielkie stożkowate wieże; fasada budynku wyłożona była piaskowcem. Wzdłuż dachu biegła balustrada, a na szczycie znajdowała się jeszcze jedna, mniejsza. Gmach był imponującym przykładem pomieszania stylów architektonicznych. Ale czy można nazwać ostentacją coś, czego nikt nie miał zobaczyć?

Okna były ciemne, nie licząc nikłej poświaty, która mogła pochodzić od nocnego oświetlenia; czy mieszkańcy byli w tylnych pokojach? Wydawało się, że jest za wcześnie na sen. Było w tym coś, co zaniepokoiło Jansona, ale nie wiedział co to takiego, a nie było czasu na sprawdzanie.

Podpełzł do budynku z lewej strony, a później dostał się do wąskiego bocznego wejścia.

W kamieniu, obok ciemnych, ozdobnie rzeźbionych drzwi, znajdował się dyskretny elektrostatyczny ekranik dotykowy, podobny do tych, które znajdują się w bankomatach. Jeśli naciśnie się właściwe numery, alarm przy wejściu zostanie dezaktywowany. Janson wyciągnął z plecaka mały rozpylacz na sprężone powietrze i skierował strumień miłkiego węgla drzewnego na ekranik. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, osadzi się na odciskach palców i według ich ułożenia Janson będzie mógł odgadnąć, które cyfry wyłączają alarm; w zależności od tego, gdzie jest największe lub najmniejsze skupienie śladów będzie mógł odgadnąć, w których miejscach ekranik najczęściej był dotykany.

Ślepa uliczka. Nie ukazał się żaden wzór. Tak, jak się obawiał, na ekraniku cyfry wyświetlane były w przypadkowym porządku, nigdy dwa razy w tym samym położeniu.

Oczyścił umysł. Tak blisko, a tak... Nie, to jeszcze nie koniec. Dezaktywacja alarmu bardzo by mu ułatwiła zadanie; ale nie wyczerpał jeszcze planów zapasowych. Drzwi zaopatrzone są w alarm. To pewne. Jeśli jednak system nie wykryje, że zostały otwarte, to alarm się nie uaktywni. Janson obejrzał przy pomocy pióra świetlnego pokryte ciemnymi plamami drzwi i zobaczył małe rysy na ich górnej części: dowód, że tam znajdował się wyłącznik. Styki żelaznych przełączników w ramie drzwi połączone były - a obwód był zamknięty - dzięki magnesowi ukrytemu w szczytowej części drzwi. Dopóki drzwi są zamknięte, magnes trzyma je na miejscu. Janson wyciągnął z plecaka silny magnes i przy pomocy szybko schnącego kleju przymocował go do niższej części drzwi.

Potem zaczął pracować nad zamkiem. Znowu źle: nie było dziurki od klucza. Drzwi otwierano za pomocą karty magnetycznej. Może dałoby się je po prostu wyważyć? Nie: musiał założyć, że za nimi jest ciężka stalowa krata i blokada uniemożliwiająca wyważenie ich.

Takie drzwi trzeba poprosić, żeby się otworzyły. Nie sforsuje się ich, chyba że razem z całą ścianą.

I na tę ewentualność był przygotowany; ale ze swoimi prowizorycznymi narzędziami miał znacznie mniejsze szanse, niż gdyby mógł się posłużyć tym, co zazwyczaj miał do dyspozycji. Jego magnetyczny wytrych, zmajstrowany za pomocą taśmy izolacyjnej i kleju, rzeczywiście nie robił wielkiego wrażenia. Wyjął rdzeń silniczka elektrycznego i zastąpił go stalowym prętem. Na końcu pręta umieścił cienki stalowy prostokąt, który wyciął nożycami z puszek na herbatniki. Część elektroniczna- generator dźwięku- był to zwyczajny obwód tranzystorowy, który Janson wyciągnął z telefonu komórkowego. Gdy podłączył baterie, aparacik zaczął wytwarzać pole magnetyczne: jego zadaniem było wysyłanie impulsów do czujników i aktywowanie ich.

Janson wprowadził metalowy prostokąt w szparę i czekał. Sekundy powoli mijały.

Nic.

Przełknął frustrację, sprawdził czy baterie są odpowiednio podłączone i ponownie włożył metalową kartę. Znowu mijały sekundy - nagle usłyszał pstryknięcie. Zasuwy drzwi przesunęły się.

Powoli wypuścił powietrze z płuc i otworzył drzwi.

Dopóki w domu ktoś jest, wszystkie wewnętrzne alarmy fotoelektryczne powinny być wyłączone. Jeśli się pomylił, to i tak szybko się o tym przekona. Janson cicho zamknął za sobą drzwi i poszedł długim, mrocznym korytarzem.

Po pewnym czasie zobaczył szczelinę wypełnioną światłem. Dochodziło zza wykładanych panelami drzwi po lewej stronie.

Były to zwyczajne drzwi wahadłowe, otwarte i bez alarmu. Co to za pomieszczenie? Biuro? Pokój konferencyjny?

Instynkt wysyłał sygnały ostrzegawcze. Janson poczuł teraz, jak bardzo się boi.

Coś było nie tak.

Ale teraz nie mógł już zawrócić, bez względu na ryzyko. Wyciągnął pistolet z kabury umieszczonej przy pasie pod ubraniem i trzymając go przed sobą, wkroczył do pokoju.

Dla oczu przyzwyczajonych do ciemności pokój był jaskrawo oświetlony przez liczne lampy stojące, biurkowe i wiszące - Janson mimowolnie zmrużył oczy. Opanowało go przejmujące uczucie zgrozy.

Omiótł wzrokiem pokój. Stał pośrodku wspaniałego salonu wykładanego boazerią. W pokoju siedziało ośmioro ludzi i patrzyło na niego.

Janson poczuł, jak krew odpływa mu z głowy.

Oni na niego czekali.

- Cóż, u diabła, zatrzymało pana tak długo, panie Janson? - Pytanie zadane zostało przyjaznym tonem. - Collins powiedział mi, że dotrze pan tu o ósmej. Jest już prawie wpół do dziesiątej.

Janson zamrugnął, ale wzrok go nie mylił.

Patrzył na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Rozdział 34

Prezydent Stanów Zjednoczonych. Dyrektor Konsularnego Wydziału Operacyjnego. A pozostali?

Janson był w szoku. Stał jak wrośnięty w ziemię, a jego umysł zmagał się z samym sobą.

To niemożliwe. A jednak.

Ludzie w garniturach i krawatach czekali na niego w luksusowej rezydencji, a Janson rozpoznawał większość z nich. Był tu sekretarz stanu, czerstwy mężczyzna wyglądający teraz mniej czerstwo niż zazwyczaj. Podsekretarz skarbu Stanów Zjednoczonych do spraw międzynarodowych, pulchny absolwent wydziału ekonomicznego Princeton. Prezes Narodowej Rady Wywiadu o ziemistej twarzy. Zastępca dyrektora Agencji Kontrwywiadu, krzepki mężczyzna o wyglądzie wiecznie zmęczonego. Było też kilku bezbarwnych i zdenerwowanych techników: natychmiast rozpoznał ten typ.

- Spocznij proszę, Paul. - Tak, to był Derek Collins. Jego ciemno szare oczy patrzyły zza grubych okularów w czarnych oprawkach. - Czuj się jak u siebie w domu. - Lekko drwiącym gestem zatoczył wokół siebie krąg. - Jeśli to można nazwać domem.

Pokój był wielki i ozdobny, boazeria i stiuki utrzymane w siedemnastowiecznym angielskim stylu; w świetle kryształowego kandelabru połyskiwały wypolerowane mahoniowe ściany. Parkiet ułożony był w skomplikowany wzór z dwóch rodzajów drewna, dębu i hebanu.

- Przyjmij przeprosiny za ten zaprogramowany podstęp, Paul - kontynuował Collins.

Zaprogramowany podstęp?

- Kurier był na waszej liście płac - powiedział bezbarwnym tonem Janson.

Collins pokiwał głową.

- Pomyśleliśmy to samo, co ty, o dostępie do poczty przychodzącej. Gdy tylko złożył raport z kontaktu z tobą, wiedzieliśmy, że to doskonała okazja. Słuchaj, chyba byś nie odpowiedział na elegancki druk z zaproszeniem. To był jedyny sposób, żeby cię tu sprowadzić.

„Sprowadzić mnie?” Oburzenie sprawiło, że te słowa utkwiły mu w gardle.

Collins wymienił spojrzenia z prezydentem.

- I był to najlepszy sposób, żeby pokazać tym zacnym ludziom, że nadal tyle potrafisz - powiedział. - Że twoje umiejętności dorównują reputacji, którą się cieszysz. Psiakrew, to była fantastyczna infiltracja. I za nim zdążysz się obrazić, lepiej przyjmij do wiadomości, że ludzie zgromadzeni w tym pokoju są jedynymi żyjącymi, którzy znają prawdę na temat Moebiusa. Jesteś teraz jednym z nich, na dobre i na złe. A to zna czy, że mamy tu sytuację z rodzaju „Ojczyzna cię potrzebuje”.

- Do cholery z tobą, Collins! - Włożył pistolet do kabury i oparł ręce na biodrach. Przepęłniała go wściekłość.

Prezydent odchrząknął.

- Panie Janson, nam naprawdę na panu zależy.

- Z całym szacunkiem, sir - odparł Janson. - Mam już dość kłamstw.

- Uważaj, Paul - wtrącił Collins.

- Panie Janson? - Prezydent patrzył mu w oczy tym swoim słynnym spojrzeniem, w którym była mieszanina smutku i rozbawienia. - Kłamstwa to język większości facetów z Waszyngtonu. Nie będę się z panem spierał. Kłamstwa są i - tak - kłamstwa będą używane,

bo dobro naszego kraju tego wymaga. Ale chcę, żeby pan coś zrozumiał. Znajduje się pan w ściśle tajnym, specjalnie zabezpieczonym budynku federalnym. I nikt pana nie nagrywa, nikt nie stenografuje. Co to znaczy? To znaczy, że jesteśmy w miejscu, w którym możemy być szczerzy i tak właśnie mamy zamiar postąpić. To spotkanie nie ma oficjalnego statusu. Nigdy się nie odbyło. Mnie tu nie ma, pana tu nie ma. To jest kłamstwo-przykrywką, kłamstwo, które pozwala nam na szczerłość. Bo teraz powiemy prawdę - panu i sobie. Ale najpierw musimy zapoznać pana z sytuacją, w jakiej znalazł się program Moebiusa.

- Program Moebiusa - rzekł Janson. - Już mnie z nim zapoznano. Największy w świecie filantrop i działacz humanitarny, jednoosobowa wędrowna ambasada, „rozumca” - jest cholerną fikcją, którą przynieśli panu na tacy pańscy waszyngtońscy przyjaciele. Ten święty naszych czasów jest w całości kreaturą... czyją? Specjalnego oddziału planistów.

- Święty? - wtrącił się prezes Narodowej Rady Wywiadu. - W tym nie ma nic z religii. Zawsze starannie tego unikamy.

- Chwalić Pana - odparł Janson lodowatym głosem.

- Dzieje się tu o wiele więcej, niż pan wie - zauważył sekretarz stanu. - A jeśli wziąć pod uwagę fakt, że jest to najbardziej wybuchowa tajemnica w historii naszego państwa, to nie ma się co oburzać, że będziemy mówili o tym dość pobieżnie.

- Podam panu niezbędne informacje - powiedział prezydent. Było jasne, że to on przewodniczy temu zebraniu: człowiek przyzwyczajony do wydawania rozkazów nie robi widowiska ze swojej władzy. - Nasz twór stał się... cóż, to już nie jest nasz twór. Straciliśmy nad nim kontrolę.

- Paul? - odezwał się Collins. - Proszę, usiądź. To zajmie trochę czasu.

Janson usiadł w najbliższym fotelu. Napięcie panujące w pokoju było niemal dotykalne.

Prezydent Berquist przeniósł wzrok na okno wychodzące na ogrody z tyłu posiadłości. W świetle księżyca można było rozpoznać ogród w tradycyjnym włoskim stylu, wyrównany labirynt przyszytych cisów i żywopłotów.

- Zacytuję jednego z moich poprzedników - powiedział. - Uczyniliśmy z niego boga, a on nie ma nieba do dyspozycji. - Spojrzał na Douglasa Albrighta. - Dough, może zaczniesz?

- Rozumiem, że o początkach programu już pana poinformowano. Wie pan zatem, że mieliśmy trzech całkowicie oddanych sprawie agentów, których wyćwiczyliśmy do odegrania roli Petera Novaka. To było niezbędne.

- Jasne, za dużo zainwestowaliście, żeby pozwolić Novakowi wpaść pod autobus - powiedział kwaśno Janson. - Ale co z żoną?

- Kolejna nasza agentka - odparł człowiek od kontrwywiadu. - Ona też poszła pod nóż chirurga, na wypadek, gdyby spotkała kogoś, kto znał ją wcześniej.

- Pamiętasz Nell Pearson? - zapytał cicho Collins.

W Jansona jakby grom strzelił. Nic dziwnego, że w żonie Novaka było coś, co wydawało mu się dziwnie znajome. Romans z Nell Pearson był krótki, ale godny zapamiętania. To było parę lat po tym, jak wstąpił do Wydziału; podobnie jak on, koleżanka po fachu była samotną młodą i niecierpliwą. Razem pracowali w Belfaście, gdzie odgrywali rolę męża i żony. Niewiele im trzeba było, żeby dodać trochę prawdy do tego oszustwa. Ich romans był gorący i wynikał bardziej z potrzeby ciała niż duszy. Dopadł ich jak gorączka i jak gorączka był przelotny. Coś jednak Nell zostało. Te długie, piękne palce: jedyne, czego nie można było zmienić. I oczy.

Jansona przebiegł dreszcz, gdy wyobraził sobie kobietę, którą nieodwracalnie zmieniło zimne stalowe ostrze skalpela.

- Co to znaczy, że straciliście kontrolę? - zapytał.

Zanim odezwał się podsekretarz skarbu, na chwilę zapadła cisza.

- Zacznijmy od problemów operacyjnych: jak zapewnić wsparcie finansowe potrzebne do podtrzymywania złudzenia, że istnieje taki magnat filantrop? To oczywiste, że program

Moebiusa nie mógł po prostu czerpać pieniędzy ze ściśle nadzorowanego budżetu wywiadu amerykańskiego. Pieniądze na rozruch można było znaleźć, ale to wszystko. Toteż program wymagał stworzenia własnego funduszu. Musieliśmy wykorzystać nasz wkład w przechwytywanie sygnałów.

- Jezu Chryste - pan mówi o Echelonie! - powiedział Janson.

Echelon był to skomplikowany system zbierania danych wywiadowczych, na który składała się flota krążących na niskich orbitach satelitów przechwytyjących sygnały: każdy telefon międzynarodowy, każda forma komunikacji satelitarnej - tego było najwięcej - mogła być namierzona i przechwycona przez tę szpiegowską flotyllę. Jej ogromny ładunek był wprowadzany do zespołu urzędów analizujących Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Miała ona możliwość kontrolowania wszelkich form międzynarodowej korespondencji telefonicznej. Agencja raz za razem dementowała pogłoski, że korzystała z przechwyconych sygnałów do celów innych niż bezpieczeństwo narodowe w najściślejszym tego pojęcia znaczeniu. Ale oto przyznano, że nawet najbardziej paranoiczni sceptycy nie wiedzieli nawet połowy tego, co się działo naprawdę.

Pyzaty podsekretarz skarbu pokiwał posępnie głową.

- Echelon i inne programy pozwalały nam na zbieranie istotnych, tajnych danych na temat decyzji banków centralnych na całym świecie.

Czy Bundesbank ma zamiar zdevaluować markę niemiecką? Czy Malezja chce wywinąć swoją walutę? Czy na Downing Street postanowiono, że funt szterling spadnie? Ile jest warta taka wiedza, jeśli uzyska się ją nawet z kilkudniowym wyprzedzeniem? Nasz twór wyposażony był w takie poufne informacje, bo najlepsze owoce naszego wywiadu oddaliśmy do jego dyspozycji. To była dziecinna gra. Za jego pośrednictwem zainwestowaliśmy w kilka bardzo dochodowych operacji finansowych. Z dwudziestu milionów błyskawicznie zrobiło się dwadzieścia miliardów - a potem znacznie, znacznie więcej. Oto czym jest ten legendarny finansista. I nikt nie miał się dowiedzieć, że jego genialna intuicja i instynkt były w rzeczywistości skutkiem...

- Nadużycia przez rząd Stanów Zjednoczonych danych wywiadu - dopowiedział Janson.

- Właśnie - rzekł posępnie prezydent Berquist. - Właśnie. Nie ma co mówić. Ten program był realizowany na długo przed objęciem przeze mnie urzędu. Za pomocą nadzwyczajnych środków program Moebiusa stworzył znanego w świecie miliardera... ale nie uwzględniliśmy czynnika ludzkiego: że dostęp do takiego bogactwa i takiej władzy i sprawowanie nad nimi kontroli mogą się okazać zbyt wielką pokusą dla przynajmniej jednego z naszych agentów.

- Czy do was nic nie trafia? - zapytał gniewnie Janson. - Prawo niezamierzonych skutków - znacie to? To właśnie się stało. - Przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą. - Historia wywiadu amerykańskiego aż się roi od genialnych planów, które sprawiły, że świat jest trochę gorszym miejscem. Teraz mówimy o „czynniku ludzkim”, jakby wcześniej nie było na to miejsca w arkuszach kalkulacyjnych. - Janson zwrócił się do Collinsa. - Pytałem cię podczas poprzedniej naszej rozmowy, kto zgodziłby się odegrać taką rolę - pozwolić, żeby wytarto całą jego osobowość. Jaki człowiek zdecydowałby się na to?

- Tak - odparł Collins. - A ja odpowiedziałem, że to ktoś, kto nie miał wyboru. Ty znasz tego człowieka. To Alan Demarest.

Rozdział 35

Zimny dreszcz przebiegł Jansona, przez chwilę widział przed sobą twarz swojego byłego dowódcy. Alan Demarest. Schwyciły go mdłości. To kłamstwo!

Alan Demarest nie żył. Wyrok wykonano z mocy prawa. Janson był w stanie znieść swoje wspomnienia tylko dlatego, że o tym wiedział.

Kiedy Janson wrócił do społeczeństwa, napisał długi raport, który jak go zapewniano, przyczynił się do wytoczenia oskarżenia przeciwko Demarestowi. Powołano tajny trybunał wojskowy; decyzję w tej sprawie podjęto na najwyższym szczeblu; uznano, że morale narodu byłoby narażone na zbyt wielkie szkody, gdyby pozwolono na nagłośnienie tego, co zrobił Demarest, ale że sprawiedliwość mimo wszystko musi zostać wymierzona. Obszerne, zaprzysiężone zeznania Jansona sprawiły, że wszystko było oczywiste. Demarresta uznano za winnego po kilku zaledwie godzinach obrad i skazano go na śmierć. Stanął przed plutonem egzekucyjnym. A Janson na to patrzył.

Mesa Grande. U podnóża gór Bernardino. Krąg z materiału przyczepiony tam, gdzie było serce Demarresta - najpierw biały, a potem jaskrawoczerwony.

Janson patrzył bez słowa na Collinsa, czuł, jak na czole pulsuje mu żyła.

- Człowiek, który nie miał wyboru - powtórzył zaciekle Collins. - To był genialny, naprawdę genialny człowiek - jego umysł był niezwykłym narzędziem. Miał też, jak zauważyłeś, kilka zdecydowanych wad. Niech tak będzie. Potrzebowaliśmy kogoś o jego zdolnościach, a jego absolutna lojalność wobec kraju nigdy nie była kwestionowana, choć metody tak.

- Nie - powiedział Janson, słowa wyszły z niego jak szept. Potrząsnął powoli głową. - Nie, to niemożliwe.

Collins wzruszył ramionami.

- Ślepe naboje, petardy. Prymitywna sztuczka. Pokazaliśmy ci to, co chciałeś zobaczyć.

Janson usiłował mówić, ale słowa utkwiły mu w gardle.

- Przepraszam, że okłamano cię przez wszystkie te lata. Uważałeś, że Demarest powinien trafić pod sąd wojskowy i zostać stracony za wszystko, co uczynił, więc powiedziano ci, że tak się stało, pokazano, że tak się stało. Twoje pragnienie sprawiedliwości było całkowicie zrozumiałe – ale nie widziałeś całości sprawy, którą rozumieli nasi specje od kontrwywiady. Taki materiał rzadko się trafia w naszej robocie. Więc podjęto decyzję. W końcu, było to proste zadanie z dziedziny zasobów ludzkich.

- Zasobów ludzkich - powtórzył tępo Janson.

- Okłamano cię, bo to był jedyny sposób, żeby cię zatrzymać, Sam jesteś całkiem niezłym materiałem. Jedynym sposobem, żebyś się z tym uporał było utwierdzenie cię w przekonaniu, że Demarest poniósł najwyższą karę. Ty byłeś zadowolony i my byliśmy zadowoleni, bo to znaczyło, że możesz dalej robić to, do czego cię Bóg stworzył. Nie ma przegranych. Gdy planiści przyjrzeni się temu, uznali, że ma to sens. Więc Demarestowi przedstawiono alternatywę. Mógł stanąć przed sądem i dowodami, które dostarczyłeś, i skończyć przed plutonem egzekucyjnym. Miał jednak wybór: mógł oddać swoje życie w nasze ręce. Egzystowałby według uznania swoich kontrolerów, a jego życie stałoby się podarunkiem, który można odebrać. Przyjąłby każde zadanie, którym by go obarczono, bo nie miał wyboru. To sprawiało, że stał się bardzo... swoistym materiałem.

- Demarest żyje. - Musiał się przemóc, żeby wydobyć z siebie te słowa. - Zwerbowaliście go do tej roboty?

- W ten sam sposób, w jaki zwerbowaliście was.

- O czym, u diabła, mówisz?
- Być może „zwerbować” to zbyt łagodne słowo - rzekł Collins.

Odezwał się szef kontrwywiadu.

- Logika tego zadania była nieodparta.

- Niech was szlag! - krzyknął Janson. Teraz wszystko zrozumiał. Demarest był pierwszym z Peterów Novaków. Primus inter pares. Pozo stałych dopasowywano według rozmiarów jego ciała. Był pierwszym ze względu na swoje zdolności językowe, aktorskie i błyskotliwe umiejętności operacyjne. Demarest był najlepszym, jakiego mieli. Czy w ogóle pomyśleli, że obarczanie taką odpowiedzialnością kogoś tak kompletnie pozbawionego sumienia, socjopaty, może być ryzykowne?

Janson zamknął oczy, a jego umysł zalały wspomnienia.

Demarest był nie tylko okrutny, on po prostu miał talent do okrucieństwa. Podchodził do zadawania bólu jak szef kuchni do układania menu. Janson przypominał sobie odór zwęglonego mięsa, kiedy przewody rozruchowe samochodu iskrzyły i trzeszczały w pachwinie wietnamskiego jeńca. Wyraz skrajnego przerażenia w oczach tego człowieka. A Demarest nieomal łagodnie powtarzał, przesłuchując tego rybaka: „Spójrz mi w oczy”.

Oddech jeńca stał się serią zduszonych skowytów, jak u zdychającego zwierzęcia. Demarest słuchał tego jak muzyki. Potem podszedł do drugiego jeńca. „Spójrz mi w oczy” - powiedział. Wyciągnął mały nóż z pochwy u pasa i zrobił niewielkie nacięcie na brzuchu tego człowieka. Skóra i mięśnie pod nią natychmiast się rozwarły. Człowiek zaczął krzyczeć.

Krzyczał. Krzyczał.

Janson słyszał teraz ten krzyk. Odbijał się echem w jego głowie, wzmocniony świadomością, że Demarresta wybrano, aby został najpotężniejszym człowiekiem na ziemi.

Zanim Derek Collins odezwał się, rozejrzał się po pokoju, jakby agitując obecnych.

- Przejdźmy do rzeczy. Demarest jest w stanie przejąć kontrolę nad wszystkimi aktywnościami stworzonymi dla programu Moebiusa. Nie wchodząc w szczegóły, powiem ci, że zmienił wszystkie kody bankowe - i przechytrzył nasze zabezpieczenia przedsięwzięte na taki wypadek. A były one cholernie rozbudowane. W miejscach, które wymagały pozwolenia z centrali Moebiusa, w kwestiach wielkich przemieszczeń walutowych, dysponowaliśmy systemami szyfrującymi o zastrzonych środkach bezpieczeństwa. Kody zmieniano regularnie. Były rozdzielone między trzy osoby, żeby nikt nie mógł uzyskać kontroli nad całością - jedno zabezpieczenie za drugim. Te środki bezpieczeństwa były prawie nie do pokonania.

- Ale on je pokonał.

- Tak. Przejął kontrolę.

Janson potrząsnął głową, to co usłyszał napawało go obrzydzeniem.

- Tłumaczy się to tak: ogromne imperium Fundacji Wolność, wpływy finansowe, wszystko, co się na nią składa - przeszło pod kontrolę niebezpiecznie niestabilnej jednostki. Dalsze tłumaczenie: to nie wy prowadzicie jego - to on prowadzi was.

Wszyscy milczeli.

- A Stany Zjednoczone nie mogą go zdemaskować - powiedział sekretarz stanu. - Bo zdemaskowałyby przy tym siebie.

- Kiedy domyśliliście się, że to się stało? - zapytał Janson.

Dwaj technicy poruszyli się niepewnie w swoich fotelach w stylu Ludwika XIV. Pod ich grubymi ciałami wąskie drewniane ramy aż zatrzęszczały.

- Kilka dni temu - powiedział Collins. Jak ci mówiłem, program Moebiusa miał systemy zabezpieczające - w każdym razie wydawało nam się, że to są systemy zabezpieczające. Trudziły się nad tym najlepsze nasze umysły - nie wyobrażaj sobie, że czegoś nie przewidzieliśmy, bo przewidzieliśmy wszystkie możliwości. Kontrola była całkowita. Dopiero niedawno udało mu się ją obejść.

- A Anura?

- To jego mistrzowskie pociągnięcie - odezwał się prezes Narodowej Rady Wywiadu. - Staliśmy się ofiarami, my wszyscy, jego kunsztownej sztuczki. Kiedy dowiedzieliśmy się, że naszego człowieka tam uwięziono, wpadliśmy w panikę i zrobiliśmy dokładnie to, czego spodziewał się po nas Demarest. Powierzaliśmy mu drugi zestaw kodów, tych, które w normalnej sytuacji miał pod kontrolą człowiek skazany na śmierć przez partyzantów. Wydawało się to konieczne jako środek tymczasowy. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że to Demarest zaaranżował wzięcie zakładnika. Najwyraźniej posłużył się swoim przybocznym o nazwisku Bewick, człowiekiem, którego Kalif znał tylko pod pseudonimem Poślaniec. Wszystko, by tak rzec, bardzo higienicznie przeprowadzone.

- Jezu.

- Nie zdawaliśmy sobie też sprawy z tego, że był także odpowiedzialny za śmierć trzeciego agenta, rok wcześniej. Myśleliśmy, że sznurki, na których uwiązana była nasza mario-netka, są nie do zerwania. Teraz jesteśmy mądrzy po szkodzie.

- Teraz, gdy jest już za późno - powiedział Janson i w napiętych twarzach obecnych wyczytał akceptację dla tej przygany, a zarazem świadomość jej nieistotności. - Pytanie: dla-czego ja mam się zajmować Demarestem?

Collins odpowiedział pierwszy:

- Czy naprawdę musisz pytać? Ten człowiek nienawidzi cię, oskarża, że złamałeś mu karierę, zabrałeś mu wolność, prawie odebrałeś mu życie, wydając go władzom, którym, jak mu się wydaje, służył z niewiarygodnym oddaniem. To nie jest tak, że chce cię widzieć martwego. Chce, żeby cię oskarżono, upokorzono, powieszono, żeby zabił cię twój własny rząd.

- Chce pan powiedzieć „a nie mówiłem” - odezwał się prezydent Berquist. - Ma pan do tego prawo. Pokazano mi egzemplarze pańskich raportów z 1973 roku na temat komandora porucznika Demaresta. Ale musi pan zrozumieć, że sprawy zaszły teraz bardzo daleko. Demarest nie tylko wyeliminował swoje kopie, ale przeszedł też do drugiej, znacznie groźniejszej fazy.

- To znaczy?

- Lalka zabija lalkarza - powiedział Albright. - Wymazuje program. Wymazuje Moebiusa.

- A kto odgrywa w tym główne role? <

- Patrzy pan na nich. Wszyscy są w tym pokoju.

Janson rozejrzał się.

- Tu powinien być ktoś z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego - zaoponował.

- Zabity.

- Kto był twórcą podstawowych założeń systemu?

- Prawdziwy czarodziej z CIA. Zabity.

- A, hm... o Jezu...

- Tak, doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego - powiedział Albright. - Łącznością zajmuje się dziś Charlotte, prawda? Clayton Ackerley już nie - oficjalnie popełnił samobójstwo, znaleziono go w jego samochodzie. Silnik był na chodzie, a drzwi garażu zamknięte.

Och, Demarest nie lubi zostawiać niezafatwionych spraw. Sporządził listę, sprawdził ją dwa razy...

- Do tej chwili większość ludzi, którzy znali prawdę o Peterze Novaku, została wyeliminowana - powiedział sekretarz stanu głosem chropawym ze zdenerwowania.

- Wszyscy... poza nami, w tym pokoju - powiedział Collins.

Janson powoli pokiwał głową. W powietrzu wisiał globalny kataklizm, ale dla obecnych tutaj stanowił znacznie bardziej bezpośrednią groźbę. Dopóki Alan Demarest sprawuje kontrolę nad imperium Novaka, wszyscy obecni w tym pokoju mają prawo obawiać się o życie.

- Wybacz, Paul. Jest za późno, żeby wdawać się w swary - powiedział cicho Collins.

- Chryste, Derek - rzekł Janson, zwracając się do podsekretarza z nie ukrywanym oburzeniem - wiedziałeś przecież, jakim człowiekiem był Demarest!

- Mieliśmy wszelkie podstawy, żeby przypuszczać, że jesteśmy w sta nie go kontrolować!

- Teraz on ma wszelkie podstawy, żeby przypuszczać, że może was kontrolować - odparł Janson.

- Stało się oczywiste, że Demarest planował swój zamach stanu od lat - powiedział sekretarz stanu. Jak ujawniły ostatnie zabójstwa, Demarest zebrał prywatną milicję, zaciągnął do niej dziesiątki swoich byłych kolegów i używa ich jako władzy wykonawczej i ochrony. To agenci, którzy znają kody i procedury stosowane w większości naszych zaawansowanych strategii polowych. A skorumpowani kacykowie dawnych krajów komunistycznych - udając, że są wobec niego w opozycji - sprzymierzili się z facetem. Oddali mu do dyspozycji swoich własnych centurionów.

- Nazwał pan to zamachem stanu - powiedział Janson. - Tego terminu używa się za zwyczaj, gdy mowa jest o obalaniu rządu i zmianie, głowy państwa.

- Na swój sposób Fundacja Wolność jest równie potężna jak państwo - odparł sekretarz. Wkrótce może stać się potężniejsza.

- Sprawa wygląda tak - prezydent od razu przeszedł do sedna. - Demarest jest całkowicie odporny na wszystko, co uczyniliśmy. Może nas szantażować i kazać robić to, czego żąda. Mówię poważnie. - Prezydent ciężko westchnął. - Jeśli świat kiedykolwiek się dowie, że Stany Zjednoczone po kryjomu manipulowały wydarzeniami o skali globalnej - nie wspominając o wykorzystaniu Echelonu do gry finansowej - to będzie niszczący dla nas cios. Kongres, rzecz jasna, oszaleje z wściekłości, ale to najmniejsza ze spraw. Będzie wybuchać rewolucja za rewolucją. Stracimy wszystkich sojuszników. NATO się rozpadnie...

- Żegnaj Pax Americana - mruknął Janson. To była prawda: tajemnica była tak wybuchową materią, że gdyby wyszła na jaw, trzeba byłoby jeszcze raz pisać historię.

Prezydent znów się odezwał:

- Teraz przesłał nam wiadomość, w której domaga się, żebyśmy oddali mu kontrolę nad Echelonem. A to tylko na przystawkę. Z tego, co wiemy, w następnej kolejności będą kody dostępu do pocisków jądrowych.

- Co pan mu powiedział, panie prezydencie?

- Odmówiliśmy, oczywiście. - Wymiana spojrzeń z sekretarzem stanu. - Ja odmówiłem, do cholery. Wbrew zdaniu wszystkich moich doradców. Nie mam ochoty przejść do historii jako człowiek, który oddała Stany Zjednoczone w ręce maniaka!

- Więc teraz dał nam nieprzekraczalny termin wraz z ultimatum - powiedział Collins. - Zegar już tyka.

- I nie możecie go załatwić?

- Och, cóż za świetny pomysł - powiedział drwiąco Collins. - Zebrać paru chłopaków z lutownicami i szczypcami, niech mu zrobią z dupy jesień średniowiecza. No, dlaczegoż o tym nie pomyśleliśmy? Ależ poczekaj - pomyśleliśmy przecież. Do cholery, Janson, gdybyśmy mogli znaleźć tego skurwysyna, byłby już martwy bez względu na całą jego ochronę. Sam podłączyłbym go do kontaktu. Ale nie wiemy, gdzie jest.

- Próbowaliśmy już wszystkiego. Próbowaliśmy go zwabić, zastawić na niego pułapkę, wykurzyć go - ale nic z tego. Jest niewidzialny.

- To nie jest niespodzianka - rzekł Collins. - Demarest stał się mistrzem w odgrywaniu plutokraty samotnika i jest w tej materii bardziej pomysłowy niż my. Ponadto, każdy człowiek, którego wtajemniczymy, zwiększa ryzyko potencjalnego szantażu: nie ma sposobu, żeby rozszerzyć grono wtajemniczonych. Logika tej operacji narzuca się sama. Jest świętością. Rozumiesz. To tylko my.

- I ty - powiedział prezydent. - Nasza największa nadzieja.

- A co z ludźmi, którzy naprawdę są w opozycji do „Petera Novaka”, legendarnego filantropa? Przecież on ma też wrogów. *Nie* ma sposobu, żeby zmobilizować jakiegoś fanatyka, jakąś frakcję...

- Sugerujesz zastosowanie całkiem podstępnej sztuczki – powiedział Collins. - Podoba mi się twój sposób myślenia.

- To miejsce, gdzie mówi się prawdę - prezydent powiedział do Collinsa i ostrzegawczo na niego popatrzył. - Powiedz mu prawdę.

- Prawda jest taka, że i tego próbowaliśmy.

- I...?

I poddaliśmy się, bo, jak mówiłem, nie możemy go zlokalizować. Szalony król terrorystów też nie może. Janson zamrugał.

- Kalif! Jezu.

- Właśnie - odparł Collins.

- Ten człowiek żyje zemstą - powiedział Janson. - Żyje nią, oddycha nią. A fakt, że jego słynny więzień uciekł, jest dla niego największym upokorzeniem. Utratą twarzy wobec wyznawców. A taka utrata twarzy

może doprowadzić do utraty władzy.

- Mogę ci pokazać grubaśny raport analityków, z którego wynika taki sam wniosek - powiedział Collins. - Na razie rozumiemy jednakowo.

- Ale jak wam się w ogóle udało nawiązać kontakt? Według niego każdy człowiek Zachodu jest satanistą. Sekretarz stanu odchrząknął niepewnie.

- Mówimy prawdę - przypomniał prezydent. - Pamiętacie? Nic, co zostanie tu powiedziane, nie opuści tego pokoju.

- Tak jest. - powiedział Derek Collins. - To delikatna sprawa. Wysoko w libijskim wywiadzie wojskowym jest ktoś, kto... pracuje dla nas od czasu do czasu. Ibrahim Maghur. To czarny charakter. Oficjalnie chcemy jego śmierci. Wiadomo, że jest zamieszany w wybuch w dyskotekę w Niemczech, w którym zginęło dwóch amerykańskich żołnierzy. Wiąże się go także z Lockerbie. Jest doradcą i dostawcą zaopatrzenia dla różne go typu organizacji terrorystycznych.

- A mimo wszystko Ameryka *zalicza* go do swoich aktywów - powiedział Janson. - Chryste. Człowiek czuje się dumny, że jest żołnierzem.

- Jak mówiłem, to delikatna sprawa. Podobna do układu, który mieliśmy z Alim Hasanem Salamehem.

Jansonowi przebiegł dreszcz po plecach. Ali Hassan Salameh był mózgiem masakry podczas olimpiady w Monachium w 1972 roku. Był też przez kilka lat głównym kontaktem CIA w Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Było to w czasie, gdy Stany Zjednoczone nie uznawały tej organizacji. Niemniej jednak tajny kontakt umożliwił roztoczenie prawdziwej ochrony nad Amerykanami stacjonującymi w Libanie. Cynk nadchodził, gdy przygotowywano w Bejrucie samochód-bombę albo zabójstwo i w wyniku tego iluś tam Amerykanom uratowano życie. Matematycznie wychodziło się na plus, ale był to prawdziwy pakt z diabłem. Jansonowi przypomniał się werset z II Listu do Koryntian: *Bo cóż za społeczność sprawiedliwości z nieprawością? Albo co za społeczność światłości z ciemnościami?*

- Więc ten Libijczyk - nasz Libijczyk - kierował Kalifem? - Janson przełknął ślinę. - Co za ironia, że jeden z najgorszych terrorystów na ziemi, okazuje się potrójnie manipulowany.

- Wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale trzymaliśmy się słomki - powiedział Collins. - Do diabła, nadal się trzymamy. Jeśli znajdziesz sposób, żeby go wykorzystać, to zrób to. Ale problem pozostaje: Demarest zniknął.

- Podczas gdy - wtrącił niezdrowo błądy analityk - on nas widzi przez cały czas.

- A to znaczy, że pan jest naszą jedyną nadzieją- powtórzył prezydent.

- Byłeś jego pupilem, Paul - powiedział Collins. - Przyjmij to do wiadomości. Przez kilka sezonów pracowałeś z tym facetem, byłeś blisko niego, znasz jego sztuczki, znasz jego dziwactwa. Był twoim mentorem. A w polu, rzecz jasna, nie ma lepszych od ciebie, Janson.

- Pochlebstwo doprowadzi was do nikąd - powiedział Janson przez zaciśnięte zęby.

- Mówię poważnie, Paul. Nie ma lepszych. Nikt nie jest od ciebie bardziej zaradny i pomysłowy.

- Nie licząc... - Dough Atbright chciał wyłuszczyć swoje obawy na głos, ale zmienił zdanie.

- Tak? - nalegał Janson.

Oczy szefa kontrwywiadu były bezlitosne.

- Nie licząc Alana Demaresta.

Rozdział 36

Przystojny mężczyzna z Afryki Zachodniej o elegancko przystrzyżonych srebrnych włosach patrzył w zamyśleniu przez okno swojego biura na trzydziestym ósmym piętrze. Złote spinki u mankietów pobłyskiwały w promieniach zachodzącego słońca. Czekał, aż odezwie się telefon. Był sekretarzem generalnym Narodów Zjednoczonych, był nim od sześciu lat, ale to, co miał zamiar zrobić, będzie wstrząsem dla większości tych, którzy go znali. Był to jednak jedyny sposób, żeby uchronić to, czemu poświęcił całe życie.

- Helga - powiedział Mathieu Zinsou. - Czekam na telefon od Petera Novaka. Nie łącz, proszę, innych rozmów.

- Tak jest - odpowiedziała długoletnia sekretarka, Dunka o nazwisku Helga Lundgren.

O tej porze dnia widział, jak meble jego gabinetu odbijają się w wielkich szybach. Wystrój niewiele się zmienił przez te wszystkie lata; byłoby świętokradztwem zastępowanie czymś innym modernistycznych mebli zaprojektowanych specjalnie dla tego budynku przez fińskiego architekta Eero Saarinen. Zinsou dodał kilka tkanin dekoracyjnych ze swojego kraju rodzinnego - Beninu, żeby z lekka podkreślić swoją osobowość. Poza tym znajdowały się podarunki od rozmaitych poselstw. Inne czekały w schowku i były wystawiane, gdy przybywali z wizytą przedstawiciele krajów, z których pochodziły. Dekoracja jako dyplomacja, zwykła mawiać Helga Lundgren.

Biuro położone było wysoko ponad krzątaniną Manhattanu. Gdy sekretarz generalny patrzył poprzez widmowe odbicia w szybach, widział drugą stronę East River, gdzie znajdowały się postindustrialne nieużytki West Queens: podobne do stodół ceglane fabryki Schwartz Chemical Company z ich czterema wielkimi kominami, najwyraźniej od dawna nie używane. Pozostałości anonimowego magazynu z żółtej cegły. Pasemka mgły przepływały nad Hunter's Point, najbliższą częścią West Queens, gdzie stary neon pepsi-coli nadal świecił, bez przerwy od 1936 roku, gdy umieszczono go na dachu nowej wówczas wytwórni.

Widok nie był piękny, ale czasami Zinsou widział w nim coś hipnotyzującego. W kącie, na drewnianym stojaku, stał stary, mosiężny teleskop, ale sekretarz rzadko z niego korzystał; gołe oko wystarczało, żeby zobaczyć to, co działo się na zewnątrz. Skamieniały las nieczynnych wytwórni. Przemysłowe fosylia. Archeologię nowoczesności na pół zagrzebaną, na pół odkopaną. Zachodzące słońce odbijało się w East River, błyszczało w chromach opuszczonych znaków. Oto były niekochane pozostałości niegdysiejszych imperiów przemysłowych. A co z jego własnym imperium, na brzegach Manhattanu? Czy i ono przeznaczone było na śmietnik historii?

Słońce obniżyło się jeszcze bardziej nad horyzontem, nadając East River różowawy odcień, gdy sekretarka zawiadomiła go, że na linii czeka Peter Novak. Natychmiast podniósł słuchawkę.

- *Mon cher* Mathieu - odezwał się głos. Miał kryształową czystość dźwięku przetworzonego przez telefonię cyfrową - Novak, bez wątplenia, rozmawiał przez najnowszy model telefonu satelitarnego. Sekretarz generalny życzył sobie, żeby rozmowy między nimi odbywały się tylko za pośrednictwem linii kodowanych. Ten dodatkowy środek zapobiegawczy wzmagał zapewne niesamowitą klarowność sygnału. Po wstępnych uprzejmościach. Mathieu Zinsou zaczął napomykać, o co mu chodzi.

Narody Zjednoczone, mówił wielkiemu człowiekowi, są jak wspaniałe frachtowce, któremu brakuje paliwa, czyli pieniędzy.

- Pod wieloma względami nasze zasoby są ogromne - powiedział Zinsou - oddano do naszej dyspozycji setki tysięcy żołnierzy, którzy z dumą noszą błękitne hełmy. W każdej sto-

licy dysponujemy biurami obsadzonymi przez ekspertów cieszących się ambadorskim statusem. Na każdym szczeblu mamy dostęp do tego, co się dzieje w tych krajach. Znamy ich tajemnice wojskowe, ich plany rozwoju, ich założenia gospodarcze. Partnerstwo z Fundacją Wolność to po prostu kwestia zdrowego rozsądku - wspólnota zasobów i kompetencji.

Tak brzmiał wstęp.

- Urzędnicy ONZ działają bez ograniczeń prawie w każdym kraju na kuli ziemskiej - kontynuował Zinsou. - Widzimy cierpienie ludzi spowodowane niekompetencją i chciwością przywódców. Ale nie możemy zmienić ich polityki. Nasze zasady i przepisy, nasze zarządzenia i systemy nadzorcze są torpedowane przez lokalnych władców! Sukcesy pańskiej fundacji zawstydzają Narody Zjednoczone. A tymczasem nieustający kryzys finansowy naszej instytucji paraliżuje nas pod każdym względem.

- To wszystko prawda - powiedział Peter Novak. - Ale to nie nowość.

- Nie - zgodził się Zinsou. - To nie nowość. Możemy czekać i, jak to już bywało, nic nie robić. Za dziesięć lat Narody Zjednoczone staną się równie biedne jak ci, którymi mają się opiekować. Skrajnie nieefektywne - niewiele więcej znaczące niż klub dyskusyjny dla kłótliwych emirów i ołowianych despotów, zdyskredytowanych i ignorowanych przez rozwinięte kraje tego świata. Narody Zjednoczone będą jak wieloryb wyrzucony na brzeg historii. Ale możemy jeszcze wziąć się do dzieła, zanim będzie za późno. Właśnie zostałem wybrany na następne cztery lata prawie przy jednogłównym poparciu ze strony Zgromadzenia Ogólnego. Znalazłem się w rzadko spotykanej sytuacji, kiedy mogę podejmować jednoosobowo rozstrzygające decyzje w istotnych sprawach. Dysponuję zaufaniem i popularnością. I muszę ratować organizację.

- Zawsze uważałem, że zasłużył pan sobie na opinię człowieka przewidującego - powiedział Novak. - Ale to samo jest z opinią dotyczącą pańskiej strategicznej dwuznaczności, *mon cher*. Chciałbym lepiej zrozumieć pańską propozycję.

- Mówiąc wprost, nie ma dla nas ratunku innego niż partnerstwo z panem. Można założyć specjalny wspólny wydział - łącznik pomiędzy Fundacją Wolność a ONZ - zajmujący się sprawami rozwoju gospodarczego. Z czasem coraz więcej zasobów instytucjonalnych ONZ i jej kompetencji przechodziłoby do tego wydziału. Ja mogę służyć jako pomost pomiędzy dwoma imperiami - pańskim i moim. Asygnaty ONZ byłyby, rzecz jasna, nadal w mocy, ale fundacja mogłaby czynić użytek z rozległych aktywów Narodów Zjednoczonych.

- Intryguje mnie pan, Mathieu - powiedział Novak. - Ale obaj znamy zasady panujące w świecie biurokracji. Mówi pan, że podziwia mnie pan i zazdrości mi nadzwyczajnej efektywności. Dziękuję panu za uprzejme słowa. Ale jest prosty powód, dla którego tak się dzieje: sprawuję całkowitą kontrolę nad swoją organizacją.

- Jestem całkowicie świadom tego faktu - odparł sekretarz generalny. - Kiedy mówię o partnerstwie, chcę, żeby pan zrozumiał, o co mi chodzi. Strategiczna dwuznaczność, jak pan to nazwał, często jest potrzebna na moim stanowisku w ONZ. Ale co do jednego nie może być dwuznaczności. Ostateczną kontrolę będzie sprawował pan, Peter.

Nastąpiła dłuższa cisza, aż Zinsou pomyślał, że zerwała się łączność. Potem znów odezwał się Novak:

- Pan jest rzeczywiście wizjonerem. Miło spotykać takich ludzi.

- To ciężka i ogromna odpowiedzialność. Jest pan na nią przygotowany? - Zinsou nie czekał na odpowiedź i mówił dalej, mówił z pasją, mówił sugestywnie, rozwijał swą wizję.

Minęło dwadzieścia minut, człowiek, który mówił o sobie, że nazywa się Peter Novak, przez cały czas był dziwnie małomówny.

- Mamy tyle do omówienia - powiedział Zinsou na zakończenie. - Można to będzie zrobić tylko osobiście. Zatem powinniśmy się spotkać. Może moje słowa zabrzmiały pretensjonalnie, ale naprawdę uważam, że przyszłość świata spoczywa w naszych rękach.

Wreszcie, w słuchawce dał się słyszeć pozbawiony wesołości śmiech.

- Brzmi to tak, jakby pan chciał mi sprzedać Narody Zjednoczone.
- Ja tego nie powiedziałem! - Zinsou lekko podniósł głos. - To skarb, na który nie ma ceny. Ale myślę, że się zrozumieliśmy.

- A na początek, moi ludzie z Fundacji Wolność uzyskają rangę ambasadorów i immunitet dyplomatyczny?

- ONZ jest jak korporacja ze stu sześćdziesięcioma dziewięcioma dyrektorami generalnymi. To powolna machina. Ale mam zamiar ogłosić statut, który postawi tę sprawę jasno - odparł sekretarz generalny.

- A co będzie z panem, *mon cher* Mathieu? Odsłuży pan swoją drugą kadencję i co potem? - Głos w telefonie stał się przyjazny. - Przez tyle lat pracował pan dla swojej organizacji, nie myśląc o sobie.

- Miło z pańskiej strony, że pan to mówi - odparł sekretarz generalny. - Sprawy osobiste są całkowicie drugorzędne, co pan rozumie najlepiej.

Ja troszcę się przede wszystkim o przetrwanie instytucji. Ale, owszem, będę szczerzy. W ONZ niezbyt dobrze płacą. Praca w charakterze, powiedzmy, dyrektora nowego instytutu Fundacji Wolność... z dochodami i dodatkami, rzecz jasna, do negocjacji... byłaby idealnym sposobem, abym mógł kontynuować swoją pracę na rzecz pokoju między narodami. Proszę wybaczyć otwartość. Złożoność mojego przedsięwzięcia sprawia, że musimy być wobec siebie całkowicie szczerzy.

- Myślę, że coraz lepiej pana rozumiem, i uważam, że cała sprawa jest coraz bardziej interesująca - powiedział człowiek, który grał Petera Novaka. Jego głos był teraz przychylny i pełen zrozumienia.

- Więc dlaczego nie mielibyśmy wspólnie zjeść obiadu. Coś *tresintime*. W mojej rezydencji. Im wcześniej, tym lepiej. Jestem przygotowany na zmiany w swoim rozkładzie spotkań.

- *Mon cher* Mathieu - powtórzył głos w słuchawce. W tym głosie wyczuwało się ciepło ogarniające człowieka, któremu właśnie zaoferowano na sprzedaż Narody Zjednoczone. Byłoby to zwieńczenie jego potężnego imperium i to zwieńczenie, które świetnie pasowałoby do całości. Nagle głos odezwał się:

- Skontaktuję się z panem - i połączenie zostało zerwane.

Sekretarz generalny przez chwilę jeszcze trzymał słuchawkę w ręku, zanim odłożył ją na widełki.

- *Alors?*

Zwrócił się do Paula Jansona siedzącego w kącie gabinetu.

Agent popatrzył na wytrawnego dyplomatę ze szczerym podziwem.

- Teraz czekamy - powiedział.

Czy połknie haczyk? Była to śmiała propozycja, ale brzmiała wiarygodnie. Finansowe tarapaty ONZ były rzeczywiście złowieszcze dla organizacji. A Mathieu Zinsou słynął ze swoich ambicji. Znany był też jako człowiek dalekowzroczny. Podczas czterech lat, które spędził u steru ONZ, odmienił organizację bardziej niż jakikolwiek inny z sekretarzy generalnych.

Podstęp zainspirowała przypadkowa uwaga Angusa Fieldinga. Janson wspominał wczorajszą rozmowę z człowiekiem, który nie tak dawno groził mu pistoletem. Tamten dzień był niesamowity - sprzymierzeńcy i wrogowie zmieniali co chwila strony. Rozmowa była z początku dziwna. Fielding był całkowicie speszony, zaskoczony i upokorzony. To nie były uczucia, do których nagradzany laureat Trinity byłby przyzwyczajony. A jednak wystarczyło, żeby Janson napomknął o niebezpiecznej tajemnicy, a umysł uczonego zaczął pracować nad kwestią dotarcia do miliardera odludka.

Był jeszcze jeden element, który Janson włączył do swojego planu. Za Zinsou od lat wlokła się plotka, że jest małym, niezbyt szkodliwym łapówkarzem. Gdy Zinsou był młodym komisarzem w UNESCO, pewnej korporacji medycznej odebrano lukratywny kontrakt i przyznano go innej. Odrażona spółka ogłosiła, że Zinsou otrzymał „specjalne preferencje” od zwycięzcy. Czyżby gdzieś na anonimowe konto wpłynęły pieniądze? Oskarżenia były bezpodstawne, ale w niektórych kręgach zostały przyjęte za prawdziwe i smród utrzymywał się długo. Prawie zapomniane oskarżenie o korupcję sprawiało, że propozycja, jak na ironię, zdawała się pasować do sekretarza generalnego.

Ale najważniejsza w tym wszystkim była ludzka psychika. Demarest chciał, żeby to była prawda. A łatwiej nam uwierzyć w to, czego chcemy.

Janson stał przy biurku Zinsou i wyjmował z nieporęcznego urządzenia kasetę cyfrową, na której zarejestrowana została rozmowa.

- Zaskoczył mnie pan - powiedział do Zinsou.
- Przyjmuję pańskie słowa jako obrazę - odparł sekretarz generalny z uśmiechem.
- Chodzi o to, że nie oczekiwałem takiego efektu? A więc wyszedłem na głupca - a pan powinien przyjąć to jako dowód, że w tym pokoju jest tylko jeden prawdziwy dyplomata.

- Losy świata nie powinny zależeć od łamania etykiety. Ale coś mi się wydaje, że w tym wypadku tak właśnie jest. Czy uwzględnił pan wszystkie okoliczności, które mogłyby sprawić, że coś poszło nie tak jak trzeba?

- Całkowicie ufam pańskim umiejętnościom - odparł Janson.
- Zaufanie to rzecz, która mnie napawa przerażeniem. Ufam sobie: ale nie jest to zaufanie absolutne. Pan też powinien uważać. Mówię, rzecz jasna, o ogólnych zasadach.

- Zasady - powiedział Janson. - Abstrakcje.
- Słabostki, chciał pan powiedzieć. - Uśmiech nie schodził z ust Mathieu Zinsou. - A teraz nie czas na nie. Teraz jest czas na szczegóły. Oto jeden z nich: pański plan zakłada, że można przewidzieć działania człowieka nieprzewidywalnego.

- Niczego nie da się przewidzieć na pewno. Rozumiem pana. Ale są pewne wzory zachowań - są pewne reguły, nawet w przypadku człowieka, który świadomie łamie wszelkie reguły. Znam dobrze tego człowieka.

- Jeszcze przedwczoraj powiedziałbym to samo. Spotkałem się z Peterem Novakiem kilkakrotnie. Raz z okazji uroczystego obiadu w Amsterdamie. Raz w Ankarze w związku z odczytaniem rezolucji dotyczącej Cypru, której patronował - czysto ceremonialne wydarzenie. Złożyłem oficjalne oświadczenie, w którym ogłosiłem wycofanie się wojsk ONZ z linii demarkacyjnej. Teraz rozumiem, że spotykałem się z fantomem. Być może za każdym razem z kimś innym - być może dałoby się to ustalić na podstawie akt programu Moebiusa. Muszę jednak powiedzieć, że było w nim coś charyzmatycznego i przyjaznego. Interesująca mieszanka.

- Mieszanka, którą pan sam chciał zobaczyć - powiedział Janson.

Zinsou wypowiedział zdanie w skomplikowanym języku fon, mowie ludu jego ojca. Był on potomkiem dworzan królów Dahomeju, ważnego niegdyś mocarstwa afrykańskiego.

- To ulubione powiedzenie mojego wuja, wielkiego wodza. Często powtarzał je pochlebcom, którzy go otaczali. W wolnym tłumaczeniu znaczy to: Im bardziej liżecie mi tyłek, tym bardziej mi się wydaje, że próbujecie mnie przechytryć.

Janson się roześmiał.

- Mądry z pana człowiek.

Zinsou uniósł palec wskazujący w ironicznym geście upomnienia.

- Zastanawiające. Czy Peter Novak uwierzył w to wszystko, czy tylko grał? Moja duma została urażona, oczywiście. Trapi mnie myśl, że ktoś mógł przyjąć za dobrą monetę, iż chcę sprzedać organizację, której poświęciłem całe życie. - Zinsou bawił się grubym wiecznym piórem. - Ale to tylko urażona duma przeze mnie przemawia.

- Źli ludzie chętnie widzą zło w innych. A poza tym, jeśli plan się powiedzie, będzie pan miał wiele powodów do dumy. Jak pan tego dokona, będzie to największe osiągnięcie w pańskiej karierze.

Zapadła cisza.

Zinsou nie był samotnikiem: po latach spędzonych w biurach ONZ konsultacje stały się jego drugą naturą. Jego dyplomatyczne zdolności najpełniej wyrażały się w zażegnaniu sporów tłących się w samej organizacji, pomiędzy jej wydziałami - tłumił kłótnie wybuchające między Departamentem Operacji Pokojowych a ludźmi od pomocy humanitarnej, zapobiegał tarciom pomiędzy działaczami terenowymi a ich zwierzchnikami siedzącymi w biurach. Znał tysiące sposobów, żeby zwlekać z podjęciem istotnych decyzji. W swojej długiej karierze miał niejedną okazję, żeby wykorzystywać takie techniki. Metody stosowane przez zwalczających się wzajem biurokratów były równie zaawansowane i wyrafinowane jak techniki wojenne stosowane na polach bitewnych naszej planety. Zwycięstwom na biurowych polach bitew zawdzięczał tak szybki i tak wysoki awans. Co więcej, bitwa prowadzona przez biurokrację była zwycięska dopiero wtedy, gdy pokonany myślał, że to on zwyciężył.

Zdaniem Zinsou, sprawowanie urzędu sekretarza generalnego ONZ było jak dyrygowanie orkiestrą składającą się z samych solistów. Misja na pozór niemożliwa, a jednak wykonalna. Gdy Zinsou był w dobrej formie, potrafił doprowadzić skłóconą komisję do zgody, i to na swoich warunkach, zanim zaczęły się obrady. Sam nie ujawniał swoich preferencji; udawał, że sympatyzuje ze stanowiskami, które po cichu uważał za nie do przyjęcia. Wygrywał napięcia pomiędzy biurokratami; subtelnie doprowadzał do tymczasowych koalicji przeciwko rywalom, których nie znosił; prowadził dyskusję rykoszetami i odbiciami, jak mistrz bilardu wykonujący starannie zaplanowane uderzenie bilą. A na koniec, gdy komisja osiągnęła już stanowisko, na którym mu zależało, z westchnieniem rezygnacji, udając łaskawą dobroć, mówił, że obecni zmusili go do przyjęcia ich stanowiska. Zdarzali się biurokraci gracze, których ego wymagało spektakularnej wygranej. Ale prawdziwa władza spoczywała w rękach tych, którzy naprawdę zwyciężali, nie patrząc na pozory. Wielu nadal przyjmowało za dobrą monetę łagodne i skromne obejście Zinsou i nie widzieli, jak silnym jest on przywódcą. To byli przegrani, którzy uważali się za zwycięzców. Niektórzy ze zwolenników Zinsou popierali go, bo wydawało im się, że będą w stanie go kontrolować. Inni, ci mądrzejsi, popierali go, bo wiedzieli, że będzie przywódcą, jakiego ONZ nie miała od wielu lat. Wiedzieli też, że Narody Zjednoczone bardzo potrzebują takiego człowieka. To był sojusz zwycięstwa - i dla Zinsou, i dla organizacji, której poświęcił życie.

Ale teraz ten wirtuoz sztucznego konsensusu musiał działać sam. Tajemnica, do której go dopuszczono, była tak niebezpiecznej natury, że nie miał komu się z niej zwierzyć. Żadnego spotkania, żadnych konsultacji, żadnych obrad prawdziwych czy ustawionych. Był tylko ten amerykański agent, człowiek, do którego Zinsou nie miał do końca przekonania. Wiązała ich nie tylko niebezpieczna tajemnica, ale i świadomość, że ich działania łatwo mogą skończyć się porażką. Tak zwana doktryna Zinsou, jak nazwała ją prasa, polegała na tym, że interweniować można tylko wtedy, gdy istnieją wymierne szanse na sukces. Tym razem było inaczej.

Ale co im pozostało?

Janson wreszcie się odezwał.

- Pozwoli pan, że opowiem o człowieku, którego znam ja. Mówimy o kimś dysponującym niezwykłym umysłem, o kimś zdolnym do przeprowadzania na bieżąco wnikliwych analiz. Może on być człowiekiem niezwykle wprost czarującym. A jednocześnie okrutnikiem. Moi byli koledzy z wywiadu powiedzą panu, że tacy ludzie to cenny nabytek dopóki robią dokładnie to, co im polecono. Błąd w planie Moebiusa polega na tym, że obsadzono go w roli, w której musi odwoływać się do swoich umiejętności improwizowania. W roli, w której w zasięgu jego ręki znalazły się ogromne bogactwo i władza. Grał rolę najpotężniejszego na

ziemi plutokraty. Przed tym, by rzeczywiście się nim stać, powstrzymywały go tylko zasady gry. Więc poświęcił się złamaniu zabezpieczeń programu. I w końcu mu się udało.

- Tak nie musiało się skończyć.

- Nie zna pan planistów Moebiusa. Niewiarygodna sprawność techniczna połączona z nadzwyczajną głupotą, jeśli chodzi o rozumienie ludzkiej natury - to typowe dla tego gatunku ludzi. Owszem, to musiało się tak skończyć. I to było do przewidzenia.

- Pan to przewidział.

- Owszem. Ale nie tylko ja. Myślę, że i pan widziałby w tym ryzyko.

Zinsou podszedł do swojego ogromnego biurka i usiadł.

- Ten potwór, ten człowiek, który stanowi zagrożenie dla nas wszystkich. .. Być może zna go pan tak dobrze, jak pan sądzi. Ale nie zna pan mnie. Zaskakuje mnie to. Proszę wybaczyć, ale pańskie zaufanie do mojej osoby stawia pod znakiem zapytania moje zaufanie do pana.

- Niezbyt dyplomatycznie pan to powiedział. Doceniam jednak pańską szczerość. Ale myślę, że znam pana trochę lepiej, niż się panu wydaje.

- Ach, te wasze dossier wywiadowcze, zebrane przez agentów, którym wydaje się, że człowieka można sprowadzić do zapisów w instrukcji obsługi - ten sam typ myślenia, który doprowadził do powstania programu Moebiusa.

Janson pokręcił głową.

- Nie będę udawał, że się znamy w potocznym rozumieniu tego słowa. Ale bieg wydarzeń na świecie w ciągu ostatnich paru dekad sprawił, że patrolowaliśmy te same niebezpieczne dzielnice. Wiem, co naprawdę przydarzyło się w Sierra Leone, wtedy, w grudniu, bo tam byłem - monitorowałem całą łączność kwatery głównej wojsk ONZ w tym regionie i szefa specjalnej delegacji koordynującej działania Narodów Zjednoczonych. Nie trzeba mówić, że siły pokojowe niewiele zdziałały - krwawa wojna domowa wyrwała się spod kontroli. Delegata specjalnego Mathieu Zinsou poproszono, aby przekazał do Nowego Jorku raport dowódcy i prośbę o pozwolenie na interwencję. Wysoki komisarz ONZ przedstawiłby dokumenty przedstawicielom Rady Bezpieczeństwa, a ci odrzuciliby zawarte w nich wnioski i zabronili interwencji.

Sekretarz generalny spojrział dziwnie na Jansona, ale nic nie powiedział.

- Gdyby tak się stało - kontynuował Janson - to wie pan, że w masakrach straciłoby życie może nawet jakieś dziesięć tysięcy ludzi. Rozpoznano miejsca składowania broni ręcznej dostarczonej przez dilerów z Mali. Dowódcy stacjonujących w kraju wojsk ONZ otrzymywali wiarygodne informacje, że przywódca rebelii ma zamiar jej użyć, żeby rozpętać waśń plemienną. Że akcja rozpocznie się przed świtem następnego dnia. Że jego ludzie użyją tej broni podczas głębokiego rajdu w rejonie Bayokuta, że będą zabijać swoich wrogów, niszczyć wioski, odcinać ręce i nogi dzieciom. A temu wszystkiemu może zapobiec szybka, niosąca z sobą niewielkie ryzyko akcja niszczenia nielegalnych składów broni. Stronie moralnej i militarnej przedsięwzięcia niczego nie można było zarzucić. Ale protokół dyplomatyczny na nią nie pozwalał.

- I tu robi się ciekawie - mówił Janson. - Jak postąpił Mathieu Zinsou? To wytrawny biurokrata. Świetny organizator. Człowiek szanujący prawo. A przy tym - chytry jak lis. Nie minęła godzina, jak pańskie biuro wysłało informację do wysokiej komisji zajmującej się utrzymaniem pokoju. Depesza składała się ze stu dwudziestu trzech raportów i opisów akcji - wszystkich nieistotnych papierzysk, jakie pan miał pod ręką. Wśród nich ukryty był dokument numer dziewięćdziesiąt siedem z klauzulą „chyba że wydane zostanie inne polecenie”. Zawarta w nim była, czarno na białym, propozycja przeprowadzenia przez Narody Zjednoczone akcji wojskowej wraz z terminem jej rozpoczęcia. Potem poinformował pan waszego generała stacjonującego pod Freetown, że centrala Narodów Zjednoczonych zna jego plany i nie wyraża sprzeciwu. To była prawda. Prawdą jest również to, że sztab wysokiego komisarza

znalazł ten dokument dopiero trzy dni po operacji.

- Nie rozumiem, do czego pan zmierza- powiedział Zinsou znużonym tonem.
- Wydarzenie przeszło do historii - imponujący sukces, operacja zakończona bez jednej choćby ofiary śmiertelnej uratowała życie tysiącom bezbronnym cywilów. I kto nie upomniał się o zaszczyty? A podszyty tchórzem wysoki komisarz Narodów Zjednoczonych z dumą rozpowiadał wśród kolegów, że to oczywiście on wydał zgodę na akcję, a nawet napomykał, że to był jego pomysł. A kiedy wszyscy mu gratulowali, nie mógł nie nastawić się przyjaźnie do Mathieu Zinsou.

Zinsou utkwiał oczy w Jansonie.

- Sekretarz generalny nie potwierdza i nie zaprzecza. Ale ta opowieść nie potwierdza wiary w przewidywalność ludzkiego postępowania.

- Przeciwnie - zacząłem rozpoznawać znaki szczególne pańskiego stylu działania. Później w miejscach kryzysów, w Taszkencie, na Madagaskarze, na Komorach stwierdziłem, że dysponuje pan niezwykłym darem znajdowania najlepszych rozwiązań w najtrudniejszych sytuacjach. Zrozumiałem coś, czego nie zrozumieli inni - pan nie tyle postępuje według reguł, ile sprawia, że reguły dostosowują się do pańskiego postępowania. Zinsou wzruszył ramionami.

- W moim kraju mamy takie, przysłowie. W luźnym tłumaczeniu brzmi następująco: Kiedy jesteś w dziurze, przestań kopać.

- Doceniłem też pańską ogromną dyskrecję. Ma pan się czym chwalić w życiu prywatnym, a nigdy pan tego nie czyni.

- Pańskie uwagi sugerują, że miała miejsce bezprawna, naruszająca prywatność, niestosowna inwigilacja.

- Przyjąłbym to raczej jako potwierdzenie zasadniczych prawd.

- Jest pan człowiekiem, który wiele potrafi, panie Janson.

- Niech mi będzie wolno zadać panu pytanie: co można dać czło wiekowi, który ma wszystko?

- Nie ma takich ludzi - odparł Zinsou.

- Właśnie. Demarestem powoduje władza. A władzy nigdy za wiele.

- Po części dlatego, że władza kreuje własne zaprzeczenie. - Sekretarz generalny miał zamyśloną minę. - Jest to jedna z lekcji, które można wyciągnąć z tak zwanego stulecia Ameryki. Być potężnym to znaczy być potężniejszym od innych. Nie należy nie doceniać siły uraz w kształtowaniu dziejów świata. Najsilniejsza w słabym jest nienawiść do silnego. - Rozparł się w krześle i po raz pierwszy od wielu lat pożałował, że rzucił palenie. - Ale widzę, do czego pan zmierza. Uważa pan, że ten człowiek jest megalomanem. Kimś, komu nigdy nie będzie dość władzy. I ten kasek zostawił pan w pułapce - władzę.

- Tak - odparł Janson.

- Jeden z moich szanownych poprzedników zwykł mawiać, że nie ma nic groźniejszego niż pomysł, jeśli jest tylko jeden. Bardzo elokwentnie skrytykował pan wczoraj program Moebius. Niech pan uważa, żeby nie powtórzyć ich błędów. Pan buduje model tego człowieka...

- Demaresta - pośpieszył z pomocą Janson. - Ale nazywajmy go Peter Novak. Lepiej nie wychodzić z roli.

- Pan buduje model tego człowieka i obserwuje pan, jak ten hipotetyczny twór się zachowuje. Ale czy żywy człowiek też się tak zachowa? Ci, których pan tak pogardliwie potraktował jako „planistów”, są szczęśliwi, jeśli im się udaje stworzyć model. Ale pan? Czy pańska pewność siebie ma rzeczywiście mocne podstawy?

Janson spojrział w brązowe oczy sekretarza. Zobaczył opanowaną twarz, która witała już setki głów państw. Ujrzał mistrzostwo, a gdy przyjrzał się bliżej, zobaczył coś jeszcze, coś, czego Zinsou nie udało się całkowicie ukryć. Zobaczył strach.

To też było uczucie, które dzielili, bo wyrastało z prostego poczucia rzeczywistości.

- Jestem pewien tylko jednego, że zły plan jest lepszy od żadnego - powiedział. - Działamy na wielu frontach. Może gdzieś będziemy mieli szczęście. Może nie. Niech pan pozwoli, że zacytuję jednego z moich nauczycieli: Niech będą błogosławieni ludzie gięcy, bo oni nigdy nie przegną.

- Podoba mi się to - Zinsou klasnął w ręce. - To musiał być bystry człowiek.

- Najbystrzejszy jakiego znałem - odparł ponuro Janson. - Teraz nosi nazwisko Peter Novak.

Zapadła cisza, zrobiło się jakby chłodniej. Sekretarz odwrócił się w stronę okna.

- Tę organizację założył świat, który był już zmęczony wojną.

- Dumbarton Oaks - przypomniał Janson. - 1944.

Zinsou skinął głową.

- I bez względu na to, jak rozszerzyły się kompetencje ONZ, jej najistotniejszą misją jest propagowanie pokoju. Jest w tym pewna ironia. Czy pan wie, że grunty, na których stoi ten budynek, należały przedtem do rzeźni? Bydło transportowano w barkach po East River, a potem wprowadzano do ubojni, która znajdowała się dokładnie tutaj. Zawsze o tym pamiętam: na tej działce stała kiedyś rzeźnia. - Odwrócił się, żeby spojrzeć w twarz agentowi. - Musimy robić, co w naszej mocy, żeby nie stanęła tutaj znowu.

- Spójrz mi w oczy - wysoki, czarnowłosy mężczyzna zaintonował uspokajającym głosem. Wysokie kości policzkowe nadawały jego twarzy nieomal azjatycki wyraz. Człowiek, który nazwał się Peterem Nova-kiem nachylał się nad niemłodym uczonym leżącym twarzą w dół na stole Jacksona, wielkiej półprzezroczystej płycie podpierającej jego klatkę piersiową i uda, podczas gdy brzuch luźno zwisał. Był to standardowy sprzęt do operacji kręgosłupa, gdyż sprawiał, że krew odpływała z okolic krzyża, co minimalizowało krwawienie.

Stary człowiek miał podłączoną do ramienia kroplówkę. Stół był tak ustawiony, że głowa i ramiona uczonego podniesione były do góry, a mężczyzna, który używał nazwiska Peter Novak, mógł rozmawiać z nim twarzą w twarz.

W tle słychać było dwunastowieczną pieśń. Powolny, wysoki śpiew wielu głosów; były to słowa ekstazy, ale dla Angusa Fieldinga brzmiały jak lament żałobny.

*O ignis spiritus paracliti,
Vita vite omnis creature,
Sanctus es vivificando formas*

Pośrodku pleców starego uczyniono długie na piętnaście centymetrów nacięcie. Metalowe uchwyty odciągały mięśnie, odsłaniając biały jak kość słoniowa kręgosłup.

- Spójrz mi w oczy, Angus - powtórzył mężczyzna.

Angus Fielding spojrział, nie mógł się powstrzymać od patrzenia, ale oczy tamtego, prawie czarne, pozbawione były litości. Wydawały się nieludzkie.

Czarnowłosy mężczyzna zrezygnował z wyuczzonego akcentu węgierskiego; mówił jak rodowity Amerykanin.

- Co, dokładnie, powiedział ci Paul Janson? - zapytał ponownie, a kruchy, stary naukowiec zadrżał z przerażenia.

Czarnowłosy skinął na młodą kobietę, technika ortopedycznego z dużym wyszkoleniem medycznym. Zaczęła wpychać w błonę otaczającą dysk oddzielający piąty krąg od szóstego wielki trokar, o rozmiarach igły do szydełkowania. Po niecałej minucie kiwnęła głową do Novaka: trokar był na miejscu.

- Dobra nowina, operacja się udała.

Kobieta włożyła w trokar cienki miedziany drucik, cały pokryty izolacją, poza końcówką, która dotarła do rdzenia kręgowego, pnia przez który impulsy nerwowe docierały do całego ciała. Demarest zakręcił tarczką i po druciku zaczął biec słaby prąd. Reakcja była natychmiastowa.

Uczony zaczął krzyczeć - był to głośny, mrozący krew w żyłach krzyk - aż do utraty tchu.

- Ano właśnie - powiedział Demarest, odcinając dopływ prądu. - Szczególne uczucie, prawda?

- Powiedziałem ci wszystko, co wiem - wydyszał uczony.

Demarest znów pokręcił tarczką.

- Powiedziałem już - powtarzał uczony, a fale bólu przeszywały mu całe ciało. - Powiedziałem!

Migotliwy jak nie z tego świata chorał radości płynął wysoko, ponad straszliwym bólem.

Sanctus es unguendo

Periculose fractos:

Sanctus es tergendō

Fetida vulnera.

Nie, w tych czarnych jak studnia oczach nie było litości. Była w nich paranoja: przekonanie, że wrogowie czają się wszędzie.

- A więc wytrzymałeś - powiedział Demarest. - Wytrzymałeś, bo wierzysz, że ból ustanie, jeśli mnie przekonasz, że powiedziałeś całą prawdę. Ale ból nie ustanie, bo wiem, że jest inaczej. Janson cię odszukał. Odszukał cię, bo wiedział, że jesteś przyjacielem. Że jesteś lojalny. Jak mam ci wytłumaczyć, że to mnie winien jesteś lojalność? Czujesz ból, prawda? A to znaczy, że żyjesz, prawda? Czyż to nie dar? Och, cała twoja egzystencja stanie się bólem. Sądzę, że jak cię o tym przekonam, zaczniemy robić postępy.

- O Boże, nie! - krzyknął uczony, gdy kolejny wstrząs elektryczny przeszył mu ciało.

- Nadzwyczajne, prawda? - zapytał Demarest. - Każde włókno twojego ciała - każdy nerw przewodzący ból wprowadza dane do głównego pnia nerwowego, który stymuluje właśnie ja. Mógłbym przymocować elektrody do każdego centymetra na twoim ciele, a ból nie byłby tak intensywny.

Jeszcze raz po pokoju rozległ się krzyk - krzyk, który skończył się wraz z oddechem.

- Żeby sprawa była jasna, ból to nie to samo, co tortura - kontynuował Demarest. - Jako naukowiec docenisz wagę tego rozróżnienia. Tortura wy maga elementu intencjonalnego. Musi być pełna znaczenia. Fakt, że jest się zjadany przez rekina nie ma nic wspólnego z torturą, ale jeśli ktoś celowo zawiesi cię nad basenem z rekinami, to jest to tortura. Możesz odrzucić takie subtelności, ale ja jednak nalegam, żeby przyjąć to rozróżnienie. Tortura, jak widzisz, wymaga nie tylko intencji zadawania bólu. Wymaga też, żeby torturowany obiekt uznał tę intencję. Ty musisz uznać moją intencję zadawania bólu. A dokładniej, musisz uznać, że ja chcę, żebyś uznał, że zadaję ci ból. Należy przyjąć tę logiczną strukturę. Więc jak, zgoda?

- Tak! - krzyknął stary. - Tak! Tak! Tak!

Rzucił głową na wszystkie strony, prąd znów przepływał przez jego ciało. Był gwałcony bólem, każde włókno jego istnienia było gwałcone.

- A może zaproponujesz inną konstrukcję?

- Nie! - Fielding znów ryknął z bólu. Ból przekraczał wszelkie wyobrażenie.

- Wiesz, co Emerson powiedział o wielkim człowieku: „Kiedy go popychają, dręczą, kiedy ponosi porażki, ma szansę nauczyć się czegoś nowego go; wystawiono na próbę jego rozum, jego męskość; zbiera fakty; uczy się swojej ignorancji; leczy się z szaleństwa pychy”.

Zgodziłbyś się z tym?

- Tak! - krzyknął uczony. - Tak! Nie! Tak!

Drgawki mięśni szarpiące jego kręgosłup powiększały tylko ból, który i tak był nie do wytrzymania.

- Dziwi cię, że możesz wytrzymać tyle bólu? Dziwi cię, że twoja świadomość jest w stanie przyjąć tak wielkie cierpienie? To dobrze być ciekawym. Trzeba pamiętać, że ludzkie ciało dziś jest takie samo jak dwadzieścia tysięcy lat temu. Obwody przyjemności i bólu są takie jak były. Więc możesz sądzić, że nie ma różnicy między doświadczaniem bycia torturowanym na śmierć w czasach, powiedzmy, hiszpańskiej inkwizycji, a doświadczeniem, które ja ci oferuję. Pewnie tak sądzisz, prawda? Ale jako swego rodzaju miłośnik tych spraw informuję cię, że się mylisz. Nasze pogłębiające się ciągle rozumienie neurochemii jest do prawdy bardzo cenną sprawą. W normalnych warunkach ciało ludzkie wyposażone jest w odpowiednik zaworu bezpieczeństwa. Kiedy stymulacja włókien nerwowych osiąga pewien poziom, do akcji wchodzi endorfina, która stępią i łagodzi ból. I traci się przytomność. Boże, jak to mnie wkurza! Tak czy inaczej, fenomenologia bólu zawiera ograniczenia. To jest tak, jak z jasnością. Siatkówkę można stymulować tylko do pewnego stopnia. Po jego osiągnięciu percepcja jasności nie ulega już zmianom. Ale jeśli chodzi o ból, to współczesna nauka o układzie nerwowym zmieniła zasady gry. To, co znajduje się w twojej kroplówce, ma niezwykle istotne znaczenie dla sprawy, drogi Angusie. Wiedziałeś, prawda? Podajemy ci substancję znaną pod nazwą naltrexonu. To przeciwieństwo opiatów - blokuje naturalne środki przeciwbólowe znajdujące się w twoim mózgu, te legendarne endorfiny. Zatem zwyczajne granice od czuwania bólu mogą zostać przesunięte.

Kolejny skowyt bólu - prawie zawodzenie - przerwał wykład, ale Demarest nie zniechęcał się.

- Pomyśl tylko: dzięki kroplówce z naltrexonem możesz doświadczyć poziomu bólu, którego ciało ludzkie nigdy miało nie doświadczać. Ten poziom bólu był obcy twoim przodkom, nawet jeśli mieli tego pecha, że zostali zjedzeni żywcem przez tygrysa szablozębego. A ból można zwiększać prawie bez ograniczeń. Głównym ograniczeniem jest cierpliwość torturującego. Czy ja cię uderzyłem, Angusie, ja, człowiek spokojny? Potrafię, Angusie, przekonać się o tym, potrafię być bardzo spokojny, kiedy trzeba.

Angus Fielding, wybitny uczony z Trinity College, zrobił coś, czego nie robił, odkąd skończył osiem lat: załamał się i rozplakał.

- Zateśkniesz do tego stanu, gdy się jest nieprzytomnym - ale w kroplówce jest także potężny psychostymulant, który może cię utrzymywać w stanie pełnej świadomości praktycznie w nieskończoność. Niczego nie stracisz. Będzie to dojmujące doświadczenie twojego ciała. Wiem, myślisz, że doświadczyłeś bólu przekraczającego wszelkie granice. Ale ja mogę go zwiększyć dziesięciokrotnie, stukrotnie, tysiackrotnie. To, czego doświadczyłeś do tej pory, to jeszcze nic takiego w porównaniu z tym, co cię czeka. Oczywiście, jeśli założymy, że będziesz milczał. - Ręka Demaresta zawisła nad tarczką. - To dla mnie naprawdę ważne, żeby otrzymywać satysfakcjonujące odpowiedzi na pytania.

- Wszystko - wydyszał Fielding, policzki miał mokre od łez. - Wszystko.

Demarest uśmiechnął się, a jego czarne oczy wpatrywały się w podstarzałego dziekana.

- Spójrz mi w oczy, Angusie. Spójrz mi w oczy. A teraz musisz mi całkowicie uwierzyć. Co powiedziałeś Paulowi Jansonowi?

Rozdział 37

Słuchaj, kazałam jednemu człowiekowi pilnować wejścia - powiedziała Jessie Kincaid. Jechali zarekwirowaną żółtą taksówką. - Myśli, że to ćwiczenia. Ale kiedy ona wyjdzie i postanowi pojechać do któregoś z ich prywatnych samolotów na Teeterboro, to możemy ją stracić na zawsze. Ubrana była w bawełnianą koszulę ozdobioną znakiem spółki telefonicznej Verizon.

- Rozmawiałaś z lokatorami?
- Obeszłam wszystkie grube ryby - odparła.

Za pomocą kilku rozmów telefonicznych udało się jej potwierdzić to, co można było wywnioskować z obserwacji. Dowiedziała się więcej niż było trzeba. Wśród mieszkańców budynku były rekiny kapitalizmu finansowego, dyrektorzy fundacji i starzy nowojorczyści lepiej znani z działalności dobroczynnej niż z interesów, które uczyniły ich bogatymi.

Wystrzałowa bogata młodzież zawsze chętna, by popisać się świeżo zarobionymi pieniędzmi, wolałaby poddasza w jednym z pałaców Donalda Trumpa, gdzie każda powierzchnia lśniła i błyszczała. Przy Piątej Alei 1060 w windach do tej pory zachowały się mosiężne harmonijkowe drzwi zainstalowane tam po 1910 roku i pociemniałe boazerie z jodłowego drewna. Komitet lokatorski mógł stanąć w szranki z birmańską juntą, jeśli chodzi o sztywność poglądów i autorytarne zapędy; wiadomo było, że odrzuci podania chętnych o zamieszkanie tutaj, jeśli będzie ich podejrzewał o „ekstrawagancję” - była to ulubiona obelga. Piąta Aleja 1060 chętnie widziała dobroczyńców świata sztuki, ale nie artystów. Przyjmowała z otwartymi rękami patronów opery, ale nie zniżyłaby się do przyjęcia śpiewaka operowego. Ci, którzy kierowani obywatelskim obowiązkiem wspierali kulturę, byli honorowani; ci, którzy ją tworzyli, byli odrzucani.

- Mamy niejaką Agnes Cameron, piętro nad nią - powiedziała Kincaid. - Pracuje w radzie Metropolitan Museum of Art. Towarzystwo bez zarzutu. Zadzwońłam do biura dyrektora, udając, że jestem dziennikarką i piszę o niej artykuł. Powiedziałam, że podobno jest u nich na zebraniu, a ja chciałam sprawdzić kilka cytatów. Jakaś zarozumiała paniusia stwierdziła, że to niemożliwe, bo jest teraz w Paryżu.

- To najlepsza kandydatka?
- Chyba tak... Według zestawień połączeń spółki telefonicznej w ubiegłym roku podłączono ją do szybkiej infostrady internetowej.

Wręczyła Jansonowi bawełnianą koszulę z czarno-czerwonym logo Verizonu, taką, jaką sama nosiła.

- Okazuje się, że twój przyjaciel Cornelius ma brata w Verizonie - wyjaśniła. - Dostaje je hurtem. Dla obu płci.

Potem podała mu skórzany pas, z którego zwisały narzędzia. Największym z nich był jaskrawopomarańczowy telefon monterski. Dopełnienie kostiumu stanowiło szare, metalowe pudło na narzędzia.

Gdy podeszli do odzwiernego stojącego pod płóciennym daszkiem, Jessie przejęła inicjatywę.

- Mamy tu klientkę. Wyjechała z kraju, ale jej przyłącze internetowe nie działa, dlatego prosiła, żeby naprawić to pod jej nieobecność. - Machnęła mu przed oczami laminowanym identyfikatorem. - Klientka nazywa się Cameron.

- Agnes Cameron, na ósmym piętrze - powiedział im odzwierne z albańskim, według Jansona, akcentem. Policzki miał lekko upstrzone trądzikiem, a czapkę z daszkiem głęboko naciśniętą na faliste brązowe włosy. Wszedł do środka i skonsultował się ze strażnikiem. -

Faceci od reperacji ze spółki telefonicznej. Do apartamentu pani Cameron.

Poszli za nim eleganckim korytarzem, wykończonym sztukaterią, wykładanym czarnym i białym marmurem.

- Czym mogę służyć? - Drugi odźwierny, potężny mężczyzna, tak że albańskiego pochodzenia siedział na okrągłym, wyściełanym stołku i rozmawiał ze strażnikiem. Na ich widok szybko wstał. Najwyraźniej był zwierzchnikiem pierwszego odźwiernego i chciał, żeby nie mieli wątpliwości, kto tu podejmuje decyzje.

Przez chwilę przyglądał się im w milczeniu, marszcząc czoło. Potem podniósł słuchawkę starego, wewnętrznego telefonu i nacisnął kilka guziczków.

- Monterzy z Verizonu - powiedział odźwierny. - Verizon. Żeby naprawić linię telefoniczną. Dlaczego? Nie wiem dlaczego.

Zakrył ręką mikrofon telefonu i zwrócił się do nich.

- Gospościa pani Cameron pyta, dlaczego nie mielibyście przyjść, kiedy pani Cameron będzie w mieście. W przyszłym tygodniu.

Jessie teatralnie przewróciła oczami.

- Idziemy stąd - powiedział Janson przez zaciśnięte zęby. - Proszę o małą przysługę: kiedy pan zobaczy panią Cameron, niech pan jej powie, że minie kilka miesięcy, zanim będziemy mogli ustalić następną wizytę, żeby naprawić jej łącze.

- Kilka miesięcy?

- Myślę, że jakieś cztery - odparł Janson z niewzruszonym spokojem fachowca. - Może mniej, może więcej. Zaległości są niewiarygodne. Staramy się dotrzeć do każdego jak najwcześniej, ale kiedy spotkanie zostaje odwołane, gość spada na koniec kolejki. Powiedziano nam, że ona chce, żeby załatwić sprawę, zanim wróci. Mój kierownik rozmawiał z nią osobiście. Wywindował ją na samą górę listy, w ramach szczególnych przysług. A teraz pan nie chce nas wpuścić. To nie moja sprawa ale niech pan nie zapomni powiedzieć o tym pani Cameron. Jeśli ktoś ma za to dostać, to niech to nie będą ja.

W głosie zapracowanego montera brzmiało zmęczenie i urażona duma: harował dla całej tej znienawidzonej biurokracji i był już przyzwyczajony, że winią go osobiście za usterki całego systemu - przyzwyczajony, ale nie pogodzony.

„Jeśli ktoś ma za to dostać”: starszy odźwierny jakby się wzdrygnął. W całej tej sprawie ktoś może zostać kozłem ofiarnym. Lepiej unikać takich sytuacji. Odsłonił mikrofon i powiedział do słuchawki:

- Wie pani co? Myślę, że lepiej będzie ich wpuścić. Niech zrobią, co do nich należy.

Potem kiwnął głową w stronę szeregu wind.

- Korytarzem prosto, a potem na lewo - powiedział. - Ósme piętro. Gospościa was wpuści.

- Jest pan pewien? Mam za sobą męczący dzień. Chciałbym wcześniej skończyć pracę.

- Jedźcie na ósme piętro, ona was wpuści - powtórzył odźwierny, a pod jego beznamiętną manierą kryła się prośba.

Poszli po wypolerowanej podłodze do wind. Chociaż stare drzwi harmonijkowe były takie same jak przed laty, wewnątrz nie było już windziarza. Nie było tam też kamery: przy dwóch odźwiernych i strażniku w korytarzu komitet lokatorski bez wątplenia odrzucił dodatkowe zabezpieczenie jako niepożądaną przesadę, coś w rodzaju techniki na pokaz, której nie powinno być w budynku mieszkalnym zbudowanym przez pana Trampa. Jeśli ktoś chciał się całować w windzie, nie powinien się martwić, że ktoś to zobaczy.

Nacisnęli guzik na siódme piętro; czy się zapali? Nie zapalił się. Obok guzika znajdowała się dziurka od klucza i Janson musiał przy niej chwilę pomajstrować, żeby obrócić zamek i uaktywnić przycisk. Czekali niecierpliwie, aż mała kabina podjedzie na wybrane piętro.

Wreszcie drzwi rozsuneły się, odsłaniając od razu przedpokój mieszkania.

Gdzie była Marta Lang? Czy usłyszała, jak otwierają się i zamykają drzwi windy? Po cichu weszli do przedpokoju i przez chwilę nasłuchiwali.

Brzęknięcie porcelany, ale dochodzące z oddali.

Po lewej stronie, przy końcu ciemnego korytarza znajdowały się schody wiodące na niższe piętro. Po prawej były kolejne drzwi, wyglądało na to, że prowadzą do jednej lub kilku sypialni. Główna część mieszkania musiała być pod nimi. Tam pewnie była Lang. Rozejrzeli się, czy nie ma jakichś obiektów, albo czegośkolwiek, co wskazywałoby, że mieszkanie jest elektronicznie strzeżone. Nie było niczego.

- Dobra - mruknął Janson. - Teraz działamy według reguł.
- Jakich reguł?
- Moich.
- Chwytam.

Kolejny słaby brzęk porcelany: filiżanka pobrzękującą o spodek. Janson ostrożnie zajrzał w głąb klatki schodowej. Nikogo nie było. Ucieszył się, że schody są z podniszczonego marmuru: trzeszczący parkiet mógłby zadziałać jak system alarmowy.

Janson dał znak Jessie by została z tyłu. Szybko zszedł ze schodów. W ręku miał mały pistolet.

Oto, co zobaczył: wielki pokój z oknami przesłoniętymi grubymi zasłonami. Po lewej: kolejny pokój, rodzaj podwójnego salonu. Ściany pokryte były białym, malowanym drewnem; obrazy niezbyt znanych artystów wisiały w równych odstępach. Meble wyglądały jakby zaprojektowano je do nowojorskiej garsoniery tokijskiego biznesmena: eleganckie, drogie, ale pozbawione wyrazu.

Umysł Jansona w mgnieniu oka zredukował otoczenie do wejść i płaszczyzn: pierwsze oferowały zarówno demaskację, jak i możliwości działania, drugie bezpieczeństwo i możliwość ukrycia się.

Od ściany do ściany, od powierzchni do powierzchni, Janson przemieszczał się po salonie. Na podłodze był parkiet, w większej części pokryty wielkim dywanem o przygaszonych barwach. Dywan nie tłumiał cichego trzeszczenia klepek, gdy Janson szedł do wejścia do sąsiedniego salonu. Nagle zadrżał, jakby raził go prąd. Bo oto przed nim, w bawełnianym, bladoniebieskim kombinezonie stała gospoia.

Odwróciła się do niego, przed sobą trzymała staromodny pióropusz do wycierania kurzu. Zamarła, na jej okrągłej twarzy pojawił się strach.

- Paul, uważaj! - To był głos Jessie. Nie słyszał, jak schodziła, ale teraz znajdowała się tuż za nim.

Nagle z klatki piersiowej gospoii wytrysnęła fontanna czerwieni i kobieta przewróciła się na dywan. Miękka tkanina stłumiła odgłos upadku.

Janson obrócił się na pięcie i zobaczył w ręku Jessie pistolet z tłumikiem, smużka dymu kordytowego wydobywała się z perforowanego cylindra.

- Jezu - wydyszał przerażony - Zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś?

- A ty? - Jessie podeszła do ciała i stopą trąciła pióropusz, który nadal tkwił w wyciągniętej ręce gospoii.

Nie było to urządzenie do czyszczenia domu, chyba że w najbardziej krwawym znaczeniu tego słowa: pod brązowym wachlarzem piór sprytnie ukryty był SIG sauer, przymocowany do dłoni kobiety elastyczną taśmą.

Jessie dobrze zrobiła, że strzeliła. Automatyczny pistolet odciągnięty miał kurek bezpiecznika, a kula znajdowała się w komorze. Jansona od śmierci dzielił ułamek sekundy.

Marta Lang nie była sama. Ktoś jej pilnował.

Czy to możliwe, że nadal pozostawała nieświadoma ich obecności? Na końcu drugiego salonu znajdowały się drzwi obrotowe, prowadziły zapewne do jadalni.

Spoza nich dał się słyszeć jakiś ruch.

Janson skoczył pod ścianę po lewej stronie framugi i odwrócił się, trzymając berettę na wysokości piersi, przygotowany do naciśnięcia spustu albo zadania ciosu, w zależności od tego, czego wymagałaby sytuacja. Przez drzwi wpadł do pokoju krzepki mężczyzna z pistoletem. Najwyraźniej wysłany, żeby sprawdził, co się dzieje. Janson uderzył go chwytem beretty w tył głowy. Mężczyzna opadł bezwładnie, ale Jessie chwyciła go, zanim dotarł do podłogi, i po cichu opuściła na dywan.

Janson przez chwilę stał bez ruchu, uspokajał się, nasłuchiwał; nagła agresja pozbawiła go sił.

Nagle rozległa się seria wystrzałów i w drzwiach obrotowych pojawiły się dziury. Czy strzelała Marta Lang? Podejrzał, że tak. Janson spojrzał na Jessie, upewnił się, że tak jak on stoi obok drzwi, poza zasięgiem ognia.

Najpierw chwila ciszy, potem dały się słyszeć kroki: Janson natychmiast zorientował się, co Marta Lang - albo ktoś inny, kto tam był - ma zamiar zrobić i co on zrobić powinien. Tamten człowiek chciał zajrzeć przez otwory po własnych kulach, żeby ocenić celność swojej broni. Musiał wiedzieć, że na linii strzału, tam gdzie przed chwilą przeleciały kule, z pewnością nikogo nie zobaczy.

Czas był wszystkim. Janson miał go bardzo niewiele. Teraz! Janson cofnął się trochę i z całej siły rzucił się barkiem na drzwi. To była jego broń - taran. Drzwi najpierw ustąpiły trochę zbyt łatwo, ale potem, z łomotem, uderzyły w coś. Człowiek po drugiej stronie przewrócił się.

Była to Marta Lang. Drzwi uderzyły ją i przewróciły na biały stół w jadalni. Ciężki pistolet, który wcześniej trzymała w dłoni, leżał teraz na podłodze. Był o kilka centymetrów poza zasięgiem jej ręki.

Lang z kocią zwinnością skoczyła na nogi, okrążyła stół i sięgnęła po czarną, lśniącą broń.

- Nawet o tym nie myśl - powiedziała Jessie.

Marta Lang podniosła wzrok. Spojrzała na Jessie stojącą w pozycji strzeleckiej z pistoletem trzymany oburącz. Jej postawa mówiła, że nie chybi, a twarz, że się nie zawaha.

Lang oddychała ciężko. Przez dłuższą chwilę nie ruszała się i nic nie mówiła. W końcu wyprostowała się i spojrzała z ukosa na swój pistolet.

- To nie jest śmieszne - powiedziała. W dole twarzy, tam gdzie uderzyły ją drzwi, miała krew. - Nie chciałabyś trochę wyrównać szans? Gra stałaby się bardziej interesująca.

Janson zbliżył się do niej. W chwili gdy znalazł się między nią a Jessie, Lang błyskawicznie sięgnęła po pistolet. Janson przewidział to i natychmiast wyszarpnął jej broń z ręki.

- Pistolet marki Suomi. Robi wrażenie. Masz pozwolenie na tę zabawkę?

- Włamałiście się do mojego domu - odparła. - Spowodowaliście ciężkie obrażenia moich domowników. To samoobrona.

Przyglądziła dłonią perfekcyjnie ufryzowane białe włosy. Janson zamarł, czekając na niespodziankę, ale dłoń nadal była pusta. Coś zmieniło się w jej zachowaniu; słowa bardziej stanowcze niż zazwyczaj, poza swobodniejszą. Co on naprawdę wiedział o tej kobiecie?

- Nie marnuj naszego czasu, a my postaramy się nie marnować twojego - powiedział Janson z naciskiem. - Widzisz, my już znamy prawdę o Peterze Novaku. Nie ma sensu tego ukrywać. On już jest martwy. Skończyło się, do cholery!

- Ty biedny, umięśniony idioto - powiedziała Marta Lang. - Wydaje ci się, że wszystko już wiesz. Ale tak samo myślałeś i wcześniej, prawda? Czy to cię nie dziwi?

- Wydaj go, Marto - powiedział Janson przez zaciśnięte zęby. - To twoja jedyna szansa. Postawili na nim krzyżyk. Polecenie egzekucji wyszło od prezydenta.

Białowłosa kobieta okazała całkowitą wzgardę.

- Peter Novak jest potężniejszy niż prezydent. Prezydent Stanów Zjednoczonych jest tylko przywódcą wolnego świata. - Przerwała, żeby jej słowa dotarły do Jansona. - Rozu-

miesz, czy mam ci to narysować?

- Wprowadzono cię w błąd. Jakoś udało mu się wprowadzić się w świat jego własnego szaleństwa. Jeśli się z tego nie wyplącesz, jesteś stracona.

- Gadaj zdrów ty cholerny agencie. Spójrz mi w oczy - chcę zobaczyć, czy wierzysz w to, co mówisz. Prawdopodobnie tak, tym gorzej dla ciebie. Podobno wolność to tylko inne słowo na określenie startu, kiedy nie ma się nic do stracenia. Wydaje ci się, że taki z ciebie bohater? Żal mi cię, wiesz? Dla takich jak ty nie ma wolności. Tobą zawsze ktoś manipuluje, a jeśli to nie jestem ja, to znajdzie się ktoś inny, o mniejszej wyobraźni. - Zwróciła się do Jessie. - Twój chłopak jest jak fortepian. Dopóki ktoś nie zacznie na nim grać, jest po prostu meblem. A ktoś ciągle na nim gra. - Na jej twarzy pojawiło się coś pomiędzy uśmiechem a grymasem. - Nigdy nie wpadło ci do głowy, że on zawsze wyprzedza was o krok? Jesteście tak cudownie przewidywalni - zdaje się, że nazywacie to charakterem. On wie, co wami powoduje, do czego jesteście zdolni i co po stanowicie zrobić. Grał wami jak dziećmi. Oczywiście, że mamy tu zdalny system inwigilacyjny. Śledziliśmy wasz każdy krok. Znaliliśmy każdy element waszego planu i byliśmy przygotowani na każdy wariant. Oczywiście, że Higgins należał, żeby ratować amerykańską dziewczynę. Oczywiście, że ty miałaś ustąpić miejsca damie. Dzentelmen w każdym calu. Całkowicie przewidywalny. Nie muszę dodawać, że samolot został zdalnie zdetonowany. Dyrygował Peter Novak. Rozumiesz, Janson, to on cię zrobił, a nie ty jego. To on dyktował warunki i wtedy, i teraz. I zawsze tak będzie.

- Czy mogę zdmuchnąć tę sukę, sir? - zapytała Jessie, unosząc lewe ramię jak nadgorliwy kadet.

- Poczekaj, Jessie - odparł Janson. - Masz jeszcze szanse na tym świecie, Marto Lang. To twoje prawdziwe nazwisko, tak przy okazji?

- A czy to ważne? - odparła zblazowanym tonem. - Zanim z tobą skończy, będziesz myślał, że to ty się tak nazywałeś. Mam pytanie: Czy myślisz, że jeśli polowanie się przedłuży, to ty zaczynasz sobie wyobrażać, że to on goni psy?

- O co ci chodzi?

- To świat Petera Novaka. Ty tylko w nim żyjesz. - Uśmiechnęła się dziwnie. Kiedy Janson spotkał ją w Chicago, wyglądała jak typowa wykształcona cudzoziemka. Teraz jej akcent był zdecydowanie amerykański.

- Nie ma Petera Novaka - powiedziała Jessie.

- Pamiętaj, kochanie, co mówią o diable -jego najlepszą sztuczką jest wmówić ludziom, że nie istnieje. Wierz, w co chcesz.

Wspomnienie zabolowało Jansona. Popatrzył uważnie na Martę Lang. Szukał jakiegokolwiek objawu słabości.

- Gdzie jest Alan Demarest?

- Tu. Tam. Wszędzie. Powinieneś go jednak nazywać Peterem Novakiem. To niegrzecznie mówić o nim inaczej.

- Gdzie, do diabła!

- Nie powiem - odparła wesoło.

- Co on z tobą zrobił? - nie wytrzymał Janson.

- Przykro mi, ale nie wiesz, o czym mówisz.

- Jak on mógł tak tobą zawładnąć.

- Nic nie rozumiesz? - powiedziała zmęczonym głosem. - Przyszłość należy do Petera Novaka.

Janson popatrzył na nią uważnie.

- Jeśli wiesz, gdzie on jest, to wydobędę z ciebie tę informację. Wierz mi: kilka godzin na kropłówce ze skopolaminą i nie będzie odróżniać swoich słów od swoich myśli. Jeśli to jest w twojej głowie, my to wydobędziemy. Wyciągniemy też pewnie sporo śmieci. Dlatego wolałbym żebyś się oczyściła bez pomocy chemikaliów. Ale tak czy inaczej, powiesz nam to,

co chcemy wiedzieć.

- Gadasz i gadasz - powiedziała i zwróciła się do Jessie. - Pomóż mi. Czy nie doczekam się odrobiny kobiecej solidarności przeciw temu typkowi? Nie wiesz, że siostrzana miłość to potęga. - Pochyliła się tak, że jej twarz znajdowała się tylko kilka centymetrów od jego twarzy. - Paul, naprawdę bardzo mi przykro z powodu twoich przyjaciół, którzy zginęli nad Anurą. - Zatrzepotała rzesami i głosem kwaśnym jak ocet dodała: - Wiem, że byłeś załamany po śmierci twojego greckiego chłoptasia. - Zachichotała. - Cóż mam powiedzieć? Wypadki chodzą po ludziach.

Janson poczuł, jak żyła na czole zaczyna mu boleśnie pulsować; wiedział, że twarz poczerwieniała mu z gniewu. Wyobraził sobie, jak miażdży jej twarz, jak łamie jej kości, jak dłonią złożoną jak ostrze dzidy wbija jej nos wprost do mózgu. Po chwili furia opadła. Zrozumiał, że drażni go, bo chce, żeby stracił nad sobą kontrolę.

- Nie przedstawiłem ci trzech propozycji - powiedział. - Są tylko dwie. I jeśli nie zdecydujesz, ja zdecyduję za ciebie.

- Długo to jeszcze potrwa? - zapytała.

Janson zdał sobie sprawę, że słyszy chóralną muzykę rozbrzmiewającą w tle. Hildegarda von Bingen. Włosy zjeżyły mu się na karku. *Pieśni ekstazy* - mruknął. - Długi cień Alana Demaresta.

- To ja go do tego przekonałam - powiedziała, wzruszając ramiona mi. Dawno temu, kiedy dorastaliśmy.

Janson przyglądał się jej, jakby ją widział po raz pierwszy. Nagle kilka małych szczegółów trafiło na właściwe miejsca. Sposób, w jaki poruszała głowę, nagle, zaskakujące zmiany tonu, wiek, nawet niektóre rysy twarzy.

- Jezu Chryste - powiedział. - Jesteś jego...

- Siostrą bliźniaczką. Mówiłam, że siostrzana miłość to potęga. - Zaczęła masować luźną skórę pod lewym obojczykiem. - Legendarne bliźnięta Demarest. Podwójny kłopot. Dorastając, terroryzowali Fairfield. Te przygłupy od Moebiusa nawet nie wiedziały, że Alan włączył mnie do akcji. - Gdy mówiła, jej okrężne ruchy stawały się coraz głębsze, coraz silniejsze, jakby starała się rozmasować bolące miejsce pod skórą. - Wiec jeśli myślisz, że mam zamiar go wydać, jak to elegancko ująłeś, to lepiej przemyśl swoje słowa.

- Nie masz wyboru - powiedział Janson.

- Co ona robi? - zapytała Jessie cichym głosem.

- Zawsze mamy wybór. - Jej ruchy były coraz bardziej scentralizowane, a palcami zaczęła dźgać się pod obojczykiem.

- Och - powiedziała. - To jest to, to jest to. O, tak czuję się znacznie lepiej...

- Paul! - krzyknęła Jessie. Rzuciła się w jej stronę o ułamek sekundy wcześniej niż on.

- Powstrzymaj ją!

Było już za późno. Rozległ się ledwie słyszalny trzask podskórnej ampułki, kobieta odrzuciła głowę do tyłu, jak w ekstazie, a jej twarz nabrała purpurowo czerwonego koloru. Wydała łagodny, prawie zmysłowy jęk, który ustąpił przed wydobywającym się z głębi jej gardła charczeniem. Szczeka jej opadła, a z kącika ust popłynął strumyczek śliny. Pod półprzykniętymi powiekami widać było tylko białka oczu. Widmowy głos z niewidzialnego głośnika śpiewał:

*Gaudete in ilio,
Quem no viderunt in terris multi,
Qui ipsum ardentem vocaverunt.
Gaudete in capite vestro.*

Janson przyłożył rękę do długiej szyi Marty Lang, szukając pulsu, chociaż wiedział, że go nie znajdzie. Trudno było nie zauważyć znaków otrucia cyjankiem. Wolała umrzeć, niż się poddać, a Jansonowi trudno było powiedzieć, czy był to akt odwagi, czy tchórzostwa.

„Zawsze mamy wybór”, powiedziała. „Zawsze mamy wybór”. Inny głos, sprzed wielu lat dołączył się do tego w pamięci Jansona: jednego ze śledczych Wietkongu, człowieka w okularach w stalowej oprawce. „Nie podjąć decyzji to jest to samo, co podjąć decyzję”.

Rozdział 38

Na biurku sekretarza generalnego zadzwonił telefon. Rozległ się głos Helgi:

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale to znów pan Novak.

Mathieu zwrócił się do wysokiego komisarza do spraw uchodźców, byłego irlandzkiego polityka, kobiety, która łączyła pełen wigoru styl z dużą elokwencją; wiodła waśń z podsekretarzem generalnym do spraw humanitarnych, który rewanżował się jej wojną podjazdową w zupełnie niehumanitarnym stylu.

- Pani MacCabe, szalenie panią przepraszam, ale ten telefon muszę odebrać. Chyba rozumie pani zastrzeżenia co do ograniczeń nakładanych przez departament polityczny i sądzę, że możemy się do niego zwrócić, jeśli wszyscy będziemy mieli powód. Proszę powiedzieć Heldze, żeby zorganizowała spotkanie szefów. - Wstał i skłonił głowę w eleganckim geście pożegnania.

Potem podniósł słuchawkę.

- Proszę się nie rozłączać, będzie rozmowa z panem Novakiem - powiedział kobiecy głos. Kilka kliknięć i elektronicznych szumów i dał się słyszeć głos Petera Novaka.

- *Mon cher* Mathieu - zaczął.

- *Mon cher* Peter - odparł Zinsou. - Pańska łaskawość, że zechciał pan w ogóle rozważyć to, o czym dyskutowaliśmy, musi zostać uhonorowana. Od czasów, gdy Rockefellerowie podarowali teren, na którym stanął kompleks gmachów ONZ, żaden prywatny darczyńca nie...

- Tak, tak - przerwał Novak. - Obawiam się jednak, że nie będę mógł przyjąć pańskiego zaproszenia na obiad.

- Proszę?

- Myślę o czymś bardziej uroczystym. Mam nadzieję, że zgodzi się pan z moim rozumowaniem. Między nami nie ma tajemnic, prawda? Przejrzystość była zawsze najważniejszą cnotą ONZ, czyż nie tak?

- Cóż, Peterze, przejdźmy do rzeczy.

- Powiem ci, o czym myślę, a ty mi powiesz, czy to nie jest nierozsądne.

- Proszę.

- O ile wiem, w najbliższy piątek odbędzie się specjalne spotkanie Zgromadzenia Ogólnego. Zawsze marzyłem o tym, żeby wygłosić mowę przed tym dostojnym gremium. Głupia próżność?

- Oczywiście, że nie - odparł szybko Zinsou. - Wiedz, że kilka osób prywatnych wygłaszało przemówienia...

- I nikt mi nie pożałuje tego prawa i przywileju?

- *Bien sur*.

- Będzie obecnych wiele głów państw, więc środki bezpieczeństwa utrzymane będą na najwyższym poziomie. Nazwiesz mnie paranoikiem, ale środki bezpieczeństwa dodają mi otuchy. Jeśli przybędzie prezydent Stanów Zjednoczonych, to na miejscu powinna się znaleźć także jednostka Secret Service. To bardzo dodaje otuchy. A ja będę prawdopodobnie w towarzystwie burmistrza Nowego Jorku, który zawsze okazywał mi tyle przyjaźni.

- A zatem, będzie to wspaniałe spotkanie na najwyższym szczeblu - powiedział Zinsou. - Muszę powiedzieć, że to niepodobne do ciebie, przy twojej reputacji odludka.

- I właśnie o to chodzi - powiedział głos. - Wiesz, jaką prowadzę politykę: niech się domyślają, ale nie mogą wiedzieć na pewno.

- Ale, co z naszym... dialogiem?- Zmieszanie walczyło w nim o pierwszeństwo z niepokojem: wysiłał się, żeby tego po sobie nie okazać.

- Nie ma powodu do niepokoju. Myślę, że wkrótce się przekonasz, jak wiele prywatności można znaleźć w miejscu publicznym.

- Cholera! - ryknął Janson. Przesłuchiwał nagranie magnetofonowe z ostatniego telefonu Demaresta.

- Czy mogłem coś zrobić inaczej? - zapytał Zinsou, a w jego głosie brzmiał strach i wyrzuty sumienia.

- Nic. Gdyby pan nalegał za mocno, wzbudziłby pan tylko jego podejrzenia. To paranoik.

- Co pan sądzi o jego prośbie. Istna konsternacja, co?

- Ten facet jest pomysłowy - powiedział bez ogródek Janson. - Przewiduje ruchy dalej niż Boby Fisher.

- Ale pan chciał go wywabić...

- Pomyślał o tym i zabezpieczył się. Wie, że siły użyte przeciwko niemu są bardzo jednorodne. Nie ma mowy, żeby ludzi z Secret Service dopuszczono do prawdy. Używa naszych własnych funkcjonariuszy jako tarczy. To nie wszystko. Podejdzie po rampie do budynku Zgromadzenia Ogólnego z burmistrzem Nowego Jorku u boku. Jakakolwiek próba zamachu na jego życie jest w takiej sytuacji wykluczona. Gdyby jakiś amerykański agent próbował strzelić, rozpętałaby się niesamowita burza. Dopóki jest w Zgromadzeniu Narodowym nie możemy go tknąć. Nie możemy. Niech pan sobie wyobrazi - będzie otoczony tłumem.

- To cały Demarest. „Ukryć się w widocznym miejscu” - tak brzmiało jedno z jego ulubionych powiedzeń. Zwykł mawiać, że czasem najlepszą kryjówką stanowią miejsca publiczne.

- Mnie też to powiedział - zamyślił się Zinsou. Spojrzał na pióro, które trzymał, jakby starał się zamienić je w papierosa siłą woli. - I co teraz?

Janson przełknął ryk letniej kawy.

- Coś wymyślę albo...

- Albo?

Spojrzenie miał twarde.

- Albo nie. - Wyszedł z gabinetu bez słowa, zostawiając dyplomatę sam na sam z myślami.

Zinsou czuł ucisk w klatce piersiowej. Prawdę powiedziawszy sypiał źle, odkąd prezydent Stanów Zjednoczonych - niechętnie ulegając naciskom Jansona - poinformował go o kryzysie. Zinsou był przerażony. Jak Stany Zjednoczone Ameryki mogły postąpić tak lekko-myślnie? Tyle że właściwie to nie były Stany Zjednoczone; to była mała grupa programistów. Planistów, jak powiedziała by Janson. Tajemnicę przekazywano administracjom kolejnych prezydentów jak kody do arsenału nuklearnego - a była to nie mniej niebezpieczna tajemnica.

Zinsou znał osobiście więcej przywódców państw niż ktokolwiek inny. Wiedział, że prezydent nie docenia krwawego tumultu, który rozpętałby się, gdyby tajemnica programu Moebiusa ujrzała światło dzienne. Wyobrażał sobie tych wszystkich premierów, prezydentów, sekretarzy partii, emirów i królów zrobionych w nogę. Cała powojenna dyplomacja leżałaby w gruzach. W gorących punktach całego świata dziesiątki traktatów i umów rozwiązujących konflikty zostałyby unieważnione, bo ich autor zdemaskowałby się jako oszust - amerykański agent głębokiej infiltracji. A traktat pokojowy, który Peter Novak wynegocjował na Cyprze? Zanim minie kilka godzin zostanie podarty na strzępy przy akompaniamencie wzajemnych oskarżeń Turków wobec Greków i Greków wobec Turków. Jedna strona będzie oskarżać drugą, że przez cały czas znała prawdę; pakt, który wcześniej uważano za bezstronny, teraz odczyta się jako faworyzujący wroga. A w innych miejscach?

„Ten wasz kryzys walutowy w Malezji? Strasznie nam przykro, chłopaki. To nasza sprawka. To małe obniżenie wartości funta szterlinga siedem lat temu, które stało się przy-

czyną utraty kilku punktów w brytyjskim PNB? To nasza wina, że zła sytuacja stała się jeszcze gorsza. Tak nam przykro... Co myśmy w tym widzieli..."

Epoka względnej pokoju i dobrobytu ustąpi miejsca całkiem innej. A co z biurami Fundacji Wolność w całym Trzecim Świecie i w Europie Wschodniej - zdemaskowanymi jako przyczółki tajnej operacji amerykańskiego wywiadu? Wiele przyjaznych Ameryce rządów nie przetrwa po prostu takiego upokorzenia. Inne, żeby utrzymać wiarygodność wobec własnych obywateli, zawieszają wszelkie stosunki ze Stanami Zjednoczonymi i ogłaszają byłego sojusznika przeciwnikiem. Należące do Amerykanów interesy zostaną przejęte przez rządy, a ich aktywa będą zamrożone. Handel światowy otrzyma niszczący cios. Tymczasem cała planeta rozgoryczona i zrażona, będzie wreszcie miała powód do wojny; wszelkie podejrzenia znajdują katalizator. Zarówno oficjalne partie polityczne, jak i większe ruchy opozycyjne zyskują doskonałe hasło, żeby skupić wokół siebie ludzi przeciwko amerykańskiemu imperium. Częściowo już zunifikowany byt, jakim jest Europa, wreszcie zjednoczy się przeciwko wspólnemu wrogowi.

Kto może temu zapobiec? Kto o tym choćby pomyśli? Oto jest kraj, który zdradził swoich najbliższych i najbardziej zagorzałych sojuszników. Kraj, który potajemnie manipulował całym światem. Kraj, który w końcu skupił na sobie totalny gniew miliardów ludzi. Nawet organizacje służące współpracy międzynarodowej znajdują się w cieniu podejrzeń. Byłby to najprawdopodobniej koniec Narodów Zjednoczonych, jeśli nawet nie od razu, to na pewno w krótkim czasie - na fali wzbierającej nienawiści i podejrzeń.

Kalif ponownie przeczytał depezę, którą właśnie otrzymał. Poczł przyjemny dreszczyk niecierpliwości. To było tak, jakby w chmurach powstał prześwit, przez który na ziemię padł promień słońca. Peter No-vak miał przemawiać do Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych. Ten człowiek - a w końcu był to przecież tylko człowiek - wreszcie pokaże swoje oblicze. Będzie witany mdłymi wyrazami wdzięczności, laurami i aplauzem. A jeśli Kalif znajdzie sposób, czymś jeszcze.

Zwrócił się do ministra bezpieczeństwa republiki Mansur - mimo wspaniale brzmiącego tytułu był to po prostu nadęty handlarz dywanami - i przemówił do niego tonem równie uprzejmym jak władcym.

- To spotkanie międzynarodowej społeczności stanie się przełomowym momentem dla Islamskiej Republiki Mansur.

- Ależ oczywiście - odparł minister, mały, skromny człowieczek w prostym, białym turbanie. W kwestiach, które nie dotyczyły ortodoksyjności islamskiej, przywódcy tego wyludnionego, biednego kraiku, łatwo dawali się wodzić za nos.

- Wasza delegacja sądzona będzie - słusznie lub niesłusznie - wedle jej profesjonalizmu, zachowania i dyscypliny. Wszystko musi się odbyć zgodnie z planem. Trzeba będzie zachować najwyższy poziom zabezpieczeń.

Minister pokiwał głową; wiedział, że zadanie go przerasta, ale na szczęście dla siebie wiedział też, że nie ma co udawać, szczególnie w obecności tego mistrza taktyki.

- Będę zatem towarzyszył delegacji. Musisz tylko zapewnić mi dyplomatyczną przykrywkę, a ja osobiście zajmę się tym, żeby wszystko było tak, jak trzeba.

- Chwała Allahowi - odparł mały człowieczek. - Liczymy na ciebie. Twoje poświęcenie będzie inspiracją dla innych.

Kalif powoli pokiwał głową, przyjmując hołd.

- To, co zrobię - rzekł - musi zostać zrobione.

Wąski miejski dom był elegancki, ale nie rzucał się w oczy. Kamienica, jak setki innych w okolicach nowojorskiej Turtle Bay. Taras przed domem był szarobrazowy z wypukłymi czarnymi paskami ułożonymi ukośnie na schodkach. Miały zabezpieczać przed upadkiem,

gdy schody stawały się śliskie od deszczu albo lodu; elektroniczne czujniki pod paskami wykrywały też obecność gościa. Słońce odbijało się od grubych, witrażowych szyb salonu: wyglądały jak element dekoracji, ale w rzeczywistości chroniły przed kulami najcięższego nawet kalibru. Sterylna Siódemka - tak nazywał ten dom zastępca dyrektora Agencji Wywiadu Obronnego: był to bezpieczny dom zarezerwowany przez planistów Moebiusa na sporadyczne spotkania, jeden z dziesięciu rozrzuconych po całym kraju. Jansona zapewniono, że tu będzie bezpieczny i - co równie ważne - będzie miał dostęp do najbardziej wyrafinowanych urządzeń łączności, włączając w to dostęp do danych bankowych zestawionych przez połączone służby wywiadowcze Stanów Zjednoczonych.

Janson siedział w gabinecie na pierwszym piętrze i patrzył na żółty bloczek. Z braku snu oczy nabiegły mu krwią; w głowie czuł pulsujący ból. Był w kontakcie z członkami programu Moebiusa, którzy jeszcze żyli. Żaden nie pałał optymizmem i nawet tego nie udawał.

Jeśli Novak przybędzie do kraju, to jak to zrobi? Jakie są szanse, że kontrola graniczna powiadomi ich o jego przyjeździe? Do każdego publicznego i prywatnego portu lotniczego w kraju rozesłano okólniki. Urzędników lotnisk poinformowano, że ze względu na „poważne zagrożenie” życia Petera Novaka, niezwykle istotne jest powiadomienie o jego miejscu pobytu oddziału specjalnego chroniącego zagranicznych dygnitarzy, którego działania koordynowane są przez Departament Stanu.

Zadzwoił do Dereka Collinsa, na Phipps Island. Stacjonujący tam regularny kontyngent Gwardii Narodowej został zwiększony trzykrotnie. W tle rozmowy słyszał pobrzękiwanie psiej obroży.

- Butch naprawdę polubił to miejsce - powiedział Collins. - Ten cholerny kundel coraz bardziej mi się podoba. Przy tym wszystkim, co się dzieje, jego obecność bardzo mi pomaga. Oczywiście robotnicy, którzy byli tu wczoraj, żeby wszystko wyremontować, niezbyt go polubili - ciągle na nich patrzył, jakby chciał ich zjeść. Ale idę o zakład, że dzwo nisz w innej sprawie.

- Jakie wieści?

- Dobra wiadomość: kobra jest w drodze - w każdym razie jesteśmy tego prawie pewni. Zła: wczoraj znaleziono ciało Nell Pearson. Pani Novak została skreślona z listy. Podejrzewa się samobójstwo. Podcięła sobie żyły w kąpieli. I w ten sposób ślad się urwał.

- Chryste - powiedział Janson. - Myślisz, że została zamordowana?

- Cóż, to był „krzyk o pomoc”. Kurwa, jasne, że została zamordowana. Ale nikt nigdy tego nie udowodni.

- Szkoda - powiedział Janson. Głos miał jak z ołowiu.

- Idzie jak po sznurku - powiedział ponuro Collins. - Nikt nie widział pumy. Ani śladu. Cztery raporty o ludziach podobnych do niego. Wszystkie szybko wykluczono. Może wcale nie przylecieć z zagranicy - możliwe, że jest już w kraju. Przyjechać incognito to dla niego dziecinna zabawa. To wielki, ludny kraj z ponad pięciuset lotniskami międzynarodowymi. Nasze granice są z natury nieszczelne. Nie muszę ci tego mówić.

- Derek, nie czas, żeby mówić o sprawach niemożliwych do zrobienia - powiedział agent.

- Dziękuję za podniesienie mnie na duchu. Czy ty myślisz, że my nie zaharowujemy się nad tą sprawą? Nie wiemy, kto umrze następny.

Pięć minut później Janson odłożył słuchawkę. Był zaniepokojony.

Niemal natychmiast zadzwonił cicho szarosrebrny telefon stojący na zielonym stoliku. Ten cichy dzwonek jakoś dodawał znaczenia sygnałowi. Była to linia zarezerwowana dla Białego Domu.

Podniósł słuchawkę. To był prezydent.

- Słuchaj, Paul. My tutaj z Dougiem ciągle myślimy. To przemówienie, które Demarest chce wygłosić przez Zgromadzeniem Ogólnym - w nim może być zawarte ukryte ultimatum.

- Sir?
- Jak wiesz, zażądał kodów do całego systemu Echelon. Odmówiłem mu.
- Odmówił pan?
- Spławiłem go. Sądzę, że jego przesłanie jest całkiem niedwuznaczne. Jeśli nie dostanie tego, co chce, to pojawi się przed Zgromadzeniem Ogólnym i wywoła burzę. Wyłoży kawę na ławę, a cały świat będzie słuchał każdego jego słowa. To tylko domysły. Całkiem możliwe, że się mylimy. Ale im bardziej o tym myślimy, tym bardziej dochodzimy do wniosku, że to wiarygodna groźba.
- Czyli?
- Ufam, że Bóg porazi go piorunem, zanim zdoła wstać i wygłosić to przemówienie.
- Hm, to brzmi jak plan.
- Poza tym, chcę się z nim wcześniej spotkać. Skapitulować.
- Czy ma pan zaplanowane wystąpienie w ONZ?
- Pozostawimy tę sprawę nie do końca wyjaśnioną. Będzie tam sekretarz stanu, a wraz z nim nasz ambasador przy ONZ, stały przedstawiciel, radca handlowy i reszta cynowych żołnierzyków, których zawsze wysyłamy. Ale jeśli mamy dokonać tej... wymiany, to inicjatywa musi wyjść z mojej strony. Jestem jedynym, który ma prawo to zrobić.
- Narazi się pan na niebezpieczeństwo.
- Paul, ja już się na nie naraziłem. Ty też.

Rozdział 39

„THE NEW YORK TIMES”
WKRÓTCE POSIEDZENIE ZGROMADZENIA OGÓLNEGO ONZ
Setki przywódców państw z całego świata
mają się zebrać na „Dialogu cywilizacji”

Barbara Corlett

Nowy Jork. Rodowitym nowojorczykom zlot setek zagranicznych szefów państw i wysoko postawionych ministrów każe zadać pytanie: czy kawalkady samochodów w asyście policyjnych motocykli nie pogorszą i tak już nieznośnych korków na ulicach? Jednak w Departamencie Stanu i w innych kręgach dyplomatycznych rozważany jest wznioślejszy problem: porządek dnia. Żywione są nadzieje, że pięćdziesiąte ósme zebranie Zgromadzenia Ogólnego doprowadzi do istotnych reform i podniesie rangę międzynarodowej współpracy. Sekretarz generalny ONZ Mathieu Zinsou zapowiedział, że będzie to „punkt zwrotny” w historii targanej kłopotami organizacji.

Niecierpliwość wzrosła, gdy rozeszły się plotki o możliwości wystąpienia przed Zgromadzeniem Ogólnym czcigodnego filantropa i działacza humanitarnego Petera Novaka, którego Fundacja Wolność porównywana bywa do Narodów Zjednoczonych ze względu na jej globalny zasięg oraz osiągnięcia w dziedzinie dyplomacji. Narody członkowskie, a wśród nich Stany Zjednoczone, winne są ONZ miliardy dolarów, a sekretarz generalny nie czyni tajemnicy z faktu, że ciągle obniżki wynagrodzeń i zamrożenie podwyżek utrudniają przyjmowanie ludzi o wysokich kwalifikacjach. Pan Novak, którego hojność przeszła już do legendy, przedstawi zapewne konkretne propozycje złagodzenia kryzysu finansowego trawiącego ONZ. Oenzetowscy urzędnicy wysokiego szczebla napomykają, że dyrektor Fundacji Wolność może również zaproponować połączenie sił swojej fundacji z ONZ, żeby koordynować pomoc dla regionów najbardziej dotkniętych nędzą i konfliktami. Nie byliśmy w stanie dotrzeć do słynącego z niechęci do publicznych wystąpień pana Novaka, żeby zapytać go o komentarz.

cd. s. 84

To wszystko ma się zdarzyć jutro, a co się zdarzy, zależy od tego, jak się przygotowują.

Jedna stopa do przodu, potem druga.

Janson - oficjalnie występujący jako prywatny konsultant do spraw bezpieczeństwa wynajęty przez biuro sekretarza generalnego - spędził ostatnie cztery godziny, przemierzając budynki Narodów Zjednoczonych.

O czym zapomnieli? Janson próbował myśleć, ale umysł miał zamglony; przez ostatnie kilka dni spał bardzo niewiele, krzepił się czarną kawą i aspiryną. Jedna stopa do przodu, potem druga. To była cywilna misja rozpoznawcza, od której zależało wszystko.

Kompleks budynków ONZ rozciągający się wzdłuż East River od Czterdziestej Drugiej do Czterdziestej Ósmej był jak wyspa. Budynek biur sekretariatu organizacji wyrastał na trzydzieści dziewięć piętér; w linii miejskiego horyzontu inne świetne budynki, jak Chrysler Building czy Empire State Building, w porównaniu z nim były ledwie znaczącymi wypukłościami -jak drzewa wobec góry. Nie tyle wysokość, co niezwykła szerokość wyróżniała

gmach ONZ. Przednia i tylna ściana ze szkła i aluminium były identyczne, pietra zaznaczone były czarnymi rzędami wsporników. Symetrię zakłócały jedynie nieregularnie rozrzucone kraty pięter technicznych. Dwie węższe ściany pokryte zostały marmurem z Vermont - było to, przypomniał sobie, ustępstwo na rzecz byłego senatora z Vermont, który przewodniczył komitetowi doradczemu kwatery głównej i działał jako stały przedstawiciel Ameryki przy ONZ w bardziej unormowanych czasach. Frank Lloyd Wright nazwał budynek sekretariatu „superskrzynią, która ma przewieźć fiasko do diabła”. Te słowa były teraz niebezpiecznie aktualne.

Niski budynek Zgromadzenia Ogólnego usytuowany tuż obok sekretariatu. Stanowił dziwnie zakrzywiony prostokąt, opadający w środku i wyniesiony do góry na końcach. Absurdalna kopuła - kolejne ustępstwo na rzecz senatora - umieszczona została pośrodku dachu budynku. Wyglądała jak przerośnięty otwór wentylacyjny. Teraz budynek Zgromadzenia Ogólnego był pusty. Janson obszedł go kilkakrotnie. Przyglądał się każdej płaszczyźnie, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Południowa ściana była ze szkła. W centrum budynku znajdowała się sala zgromadzeń, półkoliste atrium, gdzie zielone skórzane fotele ustawione zostały wokół centralnego kręgu - ogromnego ołtarza z zielonego marmuru pokrytego czarnym kamieniem. Nad nim zawisł na wielkiej, połączanej ścianie okrągły znak ONZ - dwa wieńce pod stylizowaną mapą świata. Z jakiegoś względu znak ten ze swoimi kręgami i liniami przyciągnął uwagę Jansona. Skojarzył mu się ze skrzyżowanymi liniami w lunecie snajpera. Te tutaj wycelowane były w ziemię.

- *Some people wanna fill the world with silly love songs* – Rosjanin zawodził fałszując.

- Grigorij? - powiedział Janson do mikrofonu w telefonie komórkowym. Oczywiście, to był Grigorij. Janson rozejrzał się po atrium, notując w pamięci olbrzymie ekrany wideo wzniesione po obu stronach mównicy. - Jak się czujesz?

- Nigdy lepiej się nie czułem! - odparł Grigorij Berman. - Znów na własnych śmieciach. Prywatna pielęgniarka o imieniu Ingrid! Już drugi dzień umyślnie upuszczam termometr na podłogę, żeby popatrzeć, jak się po niego schyla. Ach, gdybyś widział pośladki tej klaczki - Wenus w białym fartuchu! Ingrid, mówię, a może zabawiłabyś się w pielęgniarkę? „Miiister Berman”, piszczy cała przerażona, „ja jestem pielęgniarką”.

- Słuchaj, Grigorij, mam do ciebie prośbę. Jeśli nie będziesz chciał mi pomóc, to po prostu powiedz. - Janson mówił kilka minut. Podał kilka nie zbędnych szczegółów; albo Berman dośpiewa sobie resztę, albo nie.

Berman przez chwilę milczał, gdy Janson skończył mówić.

- No, teraz to Grigorij Berman jest cały przerażony. To, co proponujesz, jest nieetyczne, niemoralne i nielegalne - jest absolutnym naruszeniem standardów i praktyk międzynarodowej bankowości. - Przerwa. - Uwielbiam to.

- Tak myślałem - powiedział Janson. - Możesz to dla mnie zrobić?

- *Dają sobie radę z małą pomocą przyjaciół* - zaczął zawodzić Berman.

- Jesteś pewien, że temu sprostasz?

- Zapytaj Ingrid, do czego zdolny jest Grigorij Berman - odparł, parszcząc z oburzenia. - Co Grigorij ma zamiar zrobić? Czego Grigorij nie zrobi?

Janson wyłączył komórkę i poszedł dalej. Przeszedł za pulpitem z zielonego marmuru, gdzie stają wielcy tego świata, żeby wygłosić mowę do zebranych. Popatrzył na stojące jeden nad drugim rzędy foteli, na których zasiądą delegaci. Najważniejsi przedstawiciele państw wypełnią pierwszych piętnaście rzędów. Na zakrzywionych stołach umieszczono tabliczki z nazwami państw wypisanymi białymi literami na czarnym tle; wzdłuż jednego boku były Peru, Meksyk, Indie, Salwador, Kolumbia, Boliwia. Innych nie był w stanie odczytać w przyćmionym świetle. Po drugiej stronie Paragwaj, Luksemburg, Islandia, Egipt, Chiny, Belgia,

Jemen i następne. Kolejność wydawała się przypadkowa, ale plakietki ciągnęły się coraz dalej i dalej, jak drogowskazy w tym nieskończonym, popękany świat. Na długich stołach były guziki, które delegaci naciskali, żeby dać znać, że pragną przemawiać i wtyczki do słuchawek, przez które docierało tłumaczenie w dowolnym języku. Za stołami dla oficjalnych delegatów znajdowały się stromo ustawione rzędy siedzeń dla członków świat dyplomatycznych. Nad głową z okrągłego plafonu zwisały lampy otoczone reflektorami przypominającymi gwiazdy. Zakrzywione ściany wykonane były z drewna urozmaiconego wielkimi malowidłami ściennymi Fernanda Legera. Pośrodku długiego marmurowego balkonu widniał mały zegar, widoczny tylko z mównicy. Nad balkonem znajdowały się następne rzędy siedzeń. A za nimi, dyskretnie osłonięte kurtynami, stały oszklone budki, w których siedzieli tłumacze, technicy i ochrona.

Przypominało to wspaniały teatr i pod wieloma względami był to teatr.

Janson wyszedł z sali i skierował się do pokojów usytuowanych bezpośrednio za mównicą: biura do użytku sekretarza generalnego i pomieszczeń, dla pracowników na szczeblach kierowniczych. Ze względu na rozmieszczenie zabezpieczeń, dokonanie stamtąd zamachu byłoby po prostu niemożliwe. Podczas trzeciego obchodu uwagę Jansona przyciągnęło coś, co przypominało rzadko używaną kaplicę, albo -jak to ostatnio weszło w modę -pokój do medytacji. Było to małe, wąskie pomieszczenie z malowidłem Chagalla na tylnej ścianie, tuż przy korytarzu wiodącym od głównego wejścia do sali zgromadzeń.

Wreszcie Janson wszedł na długą rampę po zachodniej stronie budynku, którą mieli nadejść delegaci. Geometria zabezpieczeń robiła duże wrażenie: masa gmachu sekretariatu działała jak tarcza, dając osłonę prawie z każdej strony. Przyległe ulice zostaną zablokowane dla ruchu - na bliską odległość dopuści się tylko akredytowanych dziennikarzy i członków delegacji dyplomatycznych.

Alan Demarest nie mógł wybrać bezpieczniejszego miejsca, nawet gdyby skrył się w bunkrze na Antarktydzie,

Im bardziej Janson wczuwał się w sytuację, tym bardziej podziwiał taktyczny geniusz człowieka, który stał się jego przeznaczeniem. Musiałoby się zdarzyć coś rzeczywiście nadzwyczajnego, żeby to zepsuć - a to znaczyło, że liczą na coś, na co nie można liczyć.

Bo cóż za społeczność sprawiedliwości z nieprawością? Albo co za społeczność światłości z ciemnością?

Ale Janson widział konieczność takiej „społeczności” jaśniej niż ktokolwiek inny. Pokonanie tego mistrza podstępny będzie wymagało czegoś więcej niż zimne posunięcia i kontrposunięcia racjonalnie myślących planistów: będzie wymagało niepojętego, nieugaszonego, irracjonalnego i bezgranicznego gniewu prawdziwego fanatyka. Co do tego nie mogło być dyskusji: ich największą szansą, żeby pokonać Demaresta, było zdać się na jedyną rzecz, której nie można było kontrolować.

Oczywiście, planiści uważali, że potrafią ją kontrolować. Ale nigdy im się to nie udało, nie byli w stanie tego zrobić. Igrali z ogniem.

Musieli przygotować się na to, że wreszcie się poparzą.

Rozdział 40

Zmotoryzowane kawalkady zaczęły przybywać na plac ONZ o siódmej rano następnego dnia. Przedstawiciele wszelkich kultur i strojów, na jakie dzieliła się ludzkość, pojawiali się w eskorcie policyjnych motocykli. Wojskowi przywódcy państwowi w galowych mundurach maszerowali po rampie, jakby dokonywali przeglądu swoich wojsk. Siłę i pewność siebie czerpali z gwiazdek i baretek orderów, które sami sobie nadali. Przygarbionych szefów tak zwanych demokracji traktowali jak wzbogaconych bankierów: ich ciemne garnitury i ściśle zawiązane kra? waty kojarzyły się raczej z klasami kupieckimi niż z prawdziwą chwałą narodowej potęgi. Wyłonieni w wyborach szefowie liberalnych demokracji patrzyli z kolei na obnoszone przez generację krzykliwe regalia z pogardą i potępieniem: jakież to prymitywne społeczeństwa pozwoliły tym *caudillos* na objęcie władzy? Chudzi przywódcy patrzyli na grubych przywódców i nachodziły ich przelotne myśli o braku samokontroli: nic dziwnego, że ich kraje borykają się z ogromnym zadłużeniem zagranicznym. Korpulentni przywódcy patrzyli znów na swoich chudych zachodnich partnerów jak na bezbarwnych administratorów, a nie przywódców narodu. Takie myśli kryły się za każdym uśmiechem.

Tłum mieszał się, zderzał, formował i rozsypywał jak molekuly. Puste uprzejmości zastępowały zastarzałe spory. Pulchny prezydent środkowoafrykańskiego państwa obejmował tyczkowatego niemieckiego ministra spraw zagranicznych i obaj wiedzieli dokładnie, co ten uścisk oznacza: może dałoby się posunąć naprzód debatę o restrukturyzacji długu? Dlaczego miałbym spłacać długi zaciągnięte przez mojego poprzednika -w końcu kazałem go zastrzelić! Krzykliwe wystrojony potentat z Azji Środkowej witał premiera Wielkiej Brytanii olśniewającym uśmiechem i milczącą przyganą: spór graniczny, który prowadzimy z naszym wojowniczym sąsiadem, nie podlega kontroli międzynarodowej. Prezydent ogarniętego kryzysem państwa członka NATO, wielkiego niegdyś imperium, odszukał swojego sąsiada z sali, dobrze prosperującą Szwecję, i nawiązał pogaduszkę o swojej ostatniej wizycie w Sztokholmie. Informacja niedopowiedziana: prowadzone przez nas działania przeciwko wioskom kurdyjskim leżącym w naszych granicach mogą przeszkadzać waszym rozpieszczonym działaczom na rzecz praw człowieka, ale my nie mamy wyboru i musimy się bronić przed wywrotowcami. Za każdym podaniem ręki, za każdym uściskiem, kryła się pretensja, bo pretensje cementowały międzynarodową społeczność.

Między delegacjami krążył mężczyzna noszący kefię, gęstą brodę i okulary: typowy przyodziewek kręgów rządzących w niektórych krajach arabskich. Krótko mówiąc, wyglądał jak jeden ze stu dyplomatów z Jordanii, Arabii Saudyjskiej, Jemenu, Mansuru, Omanu lub Zjednoczonych Emiratów. Wyglądał na opanowanego i zadowolonego: bez wątplenia cieszył się, że jest w Nowym Jorku, i myślał już o skoku w bok do Harry'ego Winstona, albo po prostu na seksualne targowisko wielkiej metropolii.

W rzeczywistości pokaźna broda spełniała podwójną rolę, nie tylko zmieniała wygląd Jansona, ale służyła też jako schowek na mały mikrofon, aktywowany za pomocą przełącznika, który nosił w kieszeni spodni. Na wszelki wypadek zaopatrzył w mikrofon również sekretarza generalnego; zamontowany był w złotej spince do krawata, całkowicie schowany za poczwórnym węzłem.

Długa rampa prowadziła do pasażu przy budynku Zgromadzenia Ogólnego, gdzie w rzeźbionym marmurze znajdowało się siedem wejść. Janson szedł wraz z tłumem. Przez cały czas wyglądał, jakby właśnie zobaczył dawno nie widzianego przyjaciela. Popatrzył na zegarek; pięćdziesiąte ósme doroczne zebranie zgromadzenia miało się rozpocząć za pięć minut. Czy Alan Demarest przybędzie? Czy w ogóle ma taki zamiar?

Błysk fleszy zasygnalizował pojawienie się człowieka legendy. Zespoły reporterów telewizyjnych, które pracowicie relacjonowały przybycie wielkich i dobrych, teraz skierowały kamery, mikrofony i reflektory na nieuchwytnego dobroczyńcę. Trudno go było wyodrębnić z ciasnego tłumku; z którym przyszedł. Rzeczywiście, był tam burmistrz Nowego Jorku. Obję mową ręką ramię Novaka i szeptał do niego coś, co zdawało się go bawić. Po drugiej stronie multimilionera szedł senator stanu Nowy Jork, który był również zastępcą przewodniczącego senackiej komisji spraw zagranicznych. Tuż za nimi podążała mała świta doradców i luminarzy życia obywatelskiego. Agenci Secret Service rozstawieni byli w taktycznych odstępach. Rozglądali się za snajperami i innymi potencjalnymi złoczyńcami.

Gdy człowiek, którego świat znał jako Petera Novaka, wszedł do zachodniego westybulu, jego świta natychmiast wepchnęła go do sali dla wyższych rangą dyplomatów, znajdującej się za salą zgromadzeń. Na zewnątrz podeszwy i obcasy kosztownego obuwia stukwały po podłodze. Korytarz opustoszał, za to sala wypełniła się ludźmi.

Dla Jansona był to sygnał, żeby wycofać się do centralnego pomieszczenia dla straży, ulokowanego za głównym balkonem sali zgromadzeń. Wokół wielkiego monitora wisiały mniejsze; widać na nich było obrazy z kamer ustawionych pod różnymi kątami. Na żądanie Jansona ukryte kamery umieszczono także w pomieszczeniach za centralnym kręgiem. Konsultant sekretarza generalnego chciał mieć oko na wszystkich VIP-ów.

Pomajstrował przy panelu sterującym i zmienił kąt nachylenia kamer. Szukał miejsca, gdzie zasiadała delegacja Islamskiej Republiki Mansur. Nie zajęło mu to dużo czasu.

W nawie bocznej siedział bardzo przystojny mężczyzna w powiewnej szacie, nieróżniący się od ubrań innych członków delegacji z Mansuru. Janson nacisnął kilka guzików na konsoli i na wielkim, centralnym monitorze pojawił się obraz, zastępując ogólny widok sali z lotu ptaka. Powiększył obraz jeszcze bardziej, cyfrowo zredukował cienie i patrzył jak zauroczony na oblicze, które ukazało się przed nim. Nie mogło być pomyłki.

Ahmad Tabari. Człowiek nazywany Kalifem.

Wściekłość przeszła Jansona jak prąd, gdy przyglądał się płaszczyznom tej hebanowej twarzy, orlemu nosowi i silnej szczękę.

Janson znów nacisnął kilka guzików i na centralnym ekranie ukazał się obraz z ukrytej kamery w sali dla wyższych rangą dyplomatów.

Inna twarz, inny rodzaj bezlitosnej charyzmy: charyzmy człowieka, który do niczego nie dążył, który wszystko już miał. Gęste włosy, ledwie tylko przyprószone siwizną, wysokie kości policzkowe, elegancko jednorzędowy garnitur: Peter Novak. Tak, Peter Novak: nim właśnie stał się ten człowiek i tak Janson musiał o nim myśleć. Siedział u końca stołu z jasnego drewna obok telefonu połączonego z systemem łączności na wysokim marmurowym podium oraz z pomieszczeniami dla techników. Telewizja przemysłowa, której monitor zamontowany był w rogu pokoju, pozwalała VIP-om oglądać na bieżąco wydarzenia na sali.

Drzwi pokoju otworzyły się teraz: dwaj funkcjonariusze Secret Service ze zwiniętymi drucikami opadającymi ze słuchawek na uszach rozejrzeli się po pokoju.

Janson nacisnął kolejny guzik zmieniając nachylenie kamer.

Peter Novak wstał. Uśmiechnął się do swojego gościa.

Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Człowiek, który zazwyczaj kipiał energią, teraz był poszarzały jak popiół. Nie było dźwięku, ale było jasne, że prezydent prosi agentów Secret Service, żeby zostawili ich samych.

Prezydent bez słowa wyciągnął z kieszeni na piersi zalakowaną kopertę i wręczył ją Peterowi Novakowi. Ręce mu drżały.

Z profilu ci dwaj ludzie stanowili studium kontrastu: przywódca wolnego świata, pokonany, lekko pochylony; i drugi, o szerokich barach, triumfujący.

Prezydent skinął głową i patrzył przez chwilę, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

Wyszedł.

Novak włożył kopertę do kieszeni na piersi. Ta koperta, Janson wiedział o tym, mogła zmienić bieg historii świata.

A była to dopiero pierwsza odsłona.

Kalif popatrzył na zegarek. Od czasu zależy wszystko. Wykrywacze metalu sprawiały, że nawet członkowie delegacji nie mogli wnieść broni palnej. Tego się spodziewał. Zaopatrzenie się w broń palną było jednak pierwszoplanowym zadaniem. W budynku ONZ były setki sztuk broni. Nosili ją strażnicy. Kalif, który potrafił sprostać najwaleczniejszym wojownikom na ziemi, niewiele sobie robił z umiejętności straży ONZ. To osobiste męstwo zapewniło mu dożgonny szacunek jego obdartych i niepiśmiennych zwolenników. Mistrzostwo ideologiczne lub znajomość Koranu nie wystarczyłyby. To byli ludzie, którzy musieli wiedzieć, że ich przywódcy dysponują w równym stopniu odwagą fizyczną, co intelektem.

Teraz, gdy dokona tego śmiałego wyczynu, odzyska aureolę niezwycięzonego wojownika, którą utracił tamtej strasznej nocy pod Kamiennym Pałacem. Zrobi, co do niego należy, a gdy wybuchnie panika, ucieknie w ślizgaczu zacumowanym na East River, zaledwie pięćdziesiąt metrów na wschód od budynku ONZ. Świat dowie się, że nie wolno ignorować ich słusznej sprawy.

Tak, dostanie broń w swoje ręce. Będzie to prawie równie łatwe jak zdjęcie jej z półki sklepowej. Przeważnie jednak wymagała, żeby wstrzymał się z tym do ostatniej chwili. Im więcej czasu upłynie potem, tym bardziej wzrośnie niebezpieczeństwo wykrycia. Przecież, w końcu, uzyskanie broni oznaczać będzie wyeliminowanie jej pierwszego posiadacza.

Wedle planu, który wyjawiał mu ambasador Mansuru przy ONZ, Peter Novak rozpocznie wystąpienie za pięć minut. Członek ochrony delegacji z Mansuru musi szybko pójść do łazienki. Popchnął drzwi prowadzące na korytarz, ale poszedł w stronę kaplicy.

Kalif szedł bardzo szybko, jego sandały stuknęły głośno o posadzkę. Wreszcie przyciągnął uwagę amerykańskiego agenta, obciętego na jeża mężczyzny o szerokiej szczęce. To nawet lepszy cel niż zwyczajny funkcjonariusz ochrony ONZ: jego broń będzie szczególnie dobrej jakości.

- Sir - zwrócił się do ubranego w ciemny garnitur agenta. - Chronię przywódcę Islamskiej Republiki Mansur.

Agent Secret Service odwrócił wzrok; zagraniczni szefowie państw nie wchodzili w jego kompetencje.

- Otrzymaliśmy raport, że ktoś tu się ukrywa! - Wskazał ręką na kaplicę.

- Poproszę, żeby ktoś to sprawdził - odparł obojętnie Amerykanin. - Nie wolno mi opuszczać posterunku.

- To jest tuż obok. Osobiście sądzę, że tam nikogo nie ma.

- Przewróciliśmy całe to miejsce do góry nogami kilka godzin temu. Jestem skłonny zgodzić się z panem.

- Ale czy pan sprawdzi? To zaledwie trzydzieści sekund. Bez wątplenia nie będzie z tego raportu, ale jeśli się mylimy, to będziemy musieli się tłumaczyć, dlaczego nic nie zrobiliśmy.

Niechętne westchnienie.

- Pokaż pan drogę.

Kalif otworzył małe drewniane drzwi do kaplicy i zaczął, aż agent wejdzie.

Kaplica była mała i wąska, miała niski sufit i po obu stronach wnęki z lampami; reflektor oświetlał czarne, lakierowane pudło u końca salki. Na jego szczycie stała jarząca się szklana płyta. Wyrażała to, co jakiś projektant sądził na temat zachodniej zeświecczonej religijności. Na ścianie naprzeciwko drzwi znajdowało się malowidło przedstawiające półksiężyc, koła, kwadraty i trójkąty. Wszystko na siebie zachodziło i miało, jak się zdaje, wyrażać jakąś mieszaninę wierzeń. Po drugiej stronie, przy wejściu znajdowało się kilka małych ławek. Posadzka wykonana była z nieregularnych kwadratowych płyt.

- Tu nie ma miejsca, żeby się schować - powiedział ochroniarz. - Nikogo nie ma.

Ciężkie, dźwiękoszczelne drzwi zamknęły się za nim, głuszac hałasy dochodzące z korytarza.

- Cóż z tego - powiedział Kalif. - Nie ma pan broni. Nie miałby się pan czym bronić przed zabójcą!

Funkcjonariusz Secret Service uśmiechnął się i kładąc ręce na biodrach odsłonił poły granatowej marynarki. Pokazał rewolwer z długą lufą tkwiący w olstrach na piersi.

- Proszę o wybaczenie - powiedział Kalif. Odwrócił się, stanął plecami do Amerykanina, udając, że jego uwagę przyciągnęło malowidło ściennie. Potem zrobił krok w tył.

- Pan marnuje mój czas - powiedział Amerykanin.

Nagle Kalif szarpnął głową do tyłu, uderzając w podbródek Amerykanina. Gdy krzepki agent zatoczył się, Kalif wysunął ręce i wyciągnął z jego olstrów rewolwer. Było to magnum kalibru 357 wyposażone w czterocalową lufę zwiększającą celność. Rąbnął chwytem w głowę agenta, żeby pozbawić pewnego siebie niewiernego przytomności.

Schował broń do małej skórzanej walizeczki i zaciągnął muskularnego Amerykanina za hebanowe pudło, żeby nie zobaczył go jakiś przypadkowy gość.

Czas wracać do sali zgromadzeń. Czas pomścić upokorzenia. Czas kształtować historię.

Udowodni, że wart jest tytułu, którym obdarzyli go zwolennicy. Że jest prawdziwym Kalifem.

Nie zawiedzie.

W pokoju dla wyższych urzędników zaświeciła się lampka na czarnym telefonie: był to znak dla mówcy, „pięć minut” - standardowa procedura informująca, że za pięć minut wystąpi przed zgromadzonymi na sali przywódcami świata.

Novak sięgnął po słuchawkę i przytrzymał ją przy uchu.

- Dziękuję.

Janson, który się temu przypatrywał, miał złe przeczucia.

Coś było nie tak.

Szybko wcisnął guzik przewijania i jeszcze raz obejrzał ostatnie dziesięć sekund taśmy wideo.

Światło zapalające się na telefonie. Peter Novak sięgający po słuchawkę, podnoszący ją do ucha...

Coś było nie tak.

Ale co? Podświadomość Jansona podnosiła dziki alarm, ale Janson był zmęczony.

Jeszcze raz przewinął ostatnie dziesięć sekund.

Żarzące się światło brzęczącego telefonu wewnętrznego.

Peter Novak sięga po słuchawkę, żeby usłyszeć, że ma się przygotować na chwilę, gdy znajdzie się w centrum zainteresowania świata.

Sięga prawą ręką.

Podnosi słuchawkę do ucha.

Do prawego ucha.

Janson poczuł się, jakby skórę pokryto mu lodem. Straszna, bolesna jasność zawładnęła jego umysłem, przez który przesunęły się zapamiętane obrazy. Mieszające się twarze i głosy doprowadzały go do szaleństwa. Demarest przy biurku w Khe Sanh, sięgający po słuchawkę. „Te raporty kwatery głównej są bezużyteczne!” Trzyma słuchawkę przy uchu przez dłuższą chwilę. Wreszcie znów się odzywa: „W strefie zdemilitaryzowanej może się wiele zdarzyć”. Demarest w bagnistym rejonie niedaleko Ham Luong sięga po słuchawkę radiostacji polowej, słucha uważnie, wyszczekuje serie rozkazów. Sięga lewą ręką, trzyma słuchawkę przy lewym uchu.

Alan Demarest był leworęczny. Wyłącznie.

Człowiek w pokoju dla VIP-ów nie był Alanem Demarestem.

Chryste! Janson poczuł, jak krew uderza mu do głowy, a w skroniach pulsuje.

Przysłał sobowtóra. Janson musiał ostrzec innych, żeby nie lekceważyli przeciwnika.

Ta gra miała sens. "Jeśli twój wróg ma dobry pomysł, ukradnij go". To mówił Demarest na wietnamskich polach śmierci. Wrogami Demaresta byli teraz programiści Moebiusa. Zyskał wolność, niszcząc swoje duplikaty, ale potem przez lata planował przejęcie władzy. W tym czasie nie tylko kumulował aktywa i sojuszników: stworzył własnego sobowtóra.

Dlaczego Janson o tym nie pomyślał?

Oszust, który siedział w saloniku dla VIP-ów nie był Peterem Nova-kim; on tylko dla niego pracował. Tak, właśnie tak postąpiłby Demarest. On... zmieniłby kąt widzenia. „Zobacz dwa białe łabędzie zamiast jednego czarnego. Zobacz kawałek tortu zamiast tortu bez kawałka. Liczy się tylko *gestalt*”.

Człowiek, który szedł teraz, żeby wygłosić mowę do Zgromadzenia Ogólnego, był podstawiony, miał powieść ich ku zgubie.

Za kilka minut ten człowiek, ta kopia kopii, ten erzac do kwadratu, miał zająć miejsce przed wielkim podium z zielonego marmuru.

I tam miał zostać zastrzelony.

Ale dla Novaka nie będzie to zgubą. To będzie ich zguba. Alan Demarest znajdzie potwierdzenie dla swoich najbardziej paranoicznych podejrzeń: wypłoszy swoich wrogów, odkryje, że zaproszenie w rzeczy samej było spiskiem.

Jednocześnie zerwą ostatnią nić łączącą ich z Alanem Demarestem. Nell Pearson nie żyje. Marta Lang nie żyje. Wszyscy ludzie, którzy mogliby do niego doprowadzić, zostali zlikwidowani - pożartym człowiekiem w saloniku dla VIP-ów. Człowiekiem, który przez pół roku musiał zapewne przechodzić rekonwalescencję po operacji plastycznej. Człowiekiem, który - dobrowolnie lub pod przymusem - poświęcił swoją tożsamość dla genialnego mania-ka, w którego rękach spoczywała przyszłość świata. Gdyby i on został zabity, Janson straciłby ostatni ślad.

A gdy wejdzie na podium zostanie zabity.

Plan, który wprowadzili w życie nie może zostać zatrzymany. To, że nie byli go w stanie kontrolować, zdawało się działać na ich korzyść -ale, jak się okazało, również na ich zgubę.

Janson pośpiesznie przełączył kamery, żeby zobaczyć miejsca, na których siedziała delegacja Mansuru. Był tam fotel, na którym siedział Kalif.

Fotel był pusty.

Gdzie on jest?

Janson musiał go znaleźć: to była jedyna szansa, żeby zapobiec katastrofie.

Uaktywnił mikrofon i zaczął mówić. Wiedział, że jego słowa usłyszy sekretarz generalny.

- Musi pan odwlec pojawienie się Novaka. Potrzebuję dziesięciu minut.

Sekretarz generalny siedział na wysokiej marmurowej ławie, uśmiechał się i kiwał głową.

- To niemożliwe - wyszeptał, nie można niepokoić publiczności.
- Niech pan to zrobi! - powiedział Janson. - Jest pan sekretarzem generalnym, do cholery! To pan to wykombinował.

Potem pognął w dół po wyłożonych dywanem schodach w stronę korytarza otaczającego salę zgromadzeń. Musiał znaleźć fanatyka z Anury. To zabójstwo nie zbawi świata, ono go pogrąży.

Rozdział 41

Janson biegł wyłożonym białymi płytami korytarzem. Na nogach miał buty z gumowymi podeszwami. Kalif zniknął z sali zgromadzeń – to mogło znaczyć, że szuka broni. On, albo jego wspólnik, którego wcześniej udało mu się jakoś przemycić. Jaskrawo oświetlony południowy westybul był pusty. W wielkiej windzie nie było nikogo. Pobiegł w stronę salonu dla delegatów. Na kanapie pokrytej białą skórą siedziały dwie blondynki zatopione w rozmowie: po ich wyglądzie można było się domyśleć, że są stażystkami jakiejś delegacji skandy-nawskiej i nie znaleziono dla nich miejsc w sali zgromadzeń.

Gdzie on może być? Janson z desperacją szukał w myśli tego miejsca.

Zapytaj inaczej: gdzie ty byś był?

Kaplica. Długie, wąskie pomieszczenie, rzadko używane, ale zawsze otwarte. Przylega do salonu sekretarza generalnego, tuż przy sali zgromadzeń. Jedyne pokój w budynku, w którym z całą pewnością nie jest się poddanym obserwacji.

Janson zaczął biec szybciej i choć jego buty na gumowych podeszwach nie robiły hała-su, to oddychał coraz głośniej.

Pchnięciem otworzył ciężkie, dźwiękoszczelne drzwi i zobaczył mężczyznę w powiewnej białej szacie schylającego się za wielkim hebanowym pudłem. Gdy drzwi zamknęły się za Jansonem, mężczyzna odwrócił się energicznie w jego stronę.

To był Kalif.

Jansonem targnęła wściekłość, aż stracił oddech. Opanował się i przybrał minę wyrażającą przyjazne zaskoczenie.

Kalif odezwał się jako pierwszy.

- *Khaif hallak ya akhi.*

Janson przypomniał sobie, że nosi wielką brodę i nakrycie głowy w stylu arabskim i zmusił się do uśmiechu. Wiedział, że tamten zwrócił się do niego po arabsku; prawdopodobnie była to zdawkowa uprzejmość, ale mógł tylko zgadywać. W najlepszej odmianie intelektualnej angielszczyzny, na jaką mógł sobie pozwolić -Arab królewskiego rodu wykształcony w Oksfordzie lub Cambridge mógł z powodzeniem przyswoić sobie obyczaj tych uczelni - odpowiedział po angielsku:

- Drogi bracie, mam nadzieję, że nie przeszkodziłem. Mam taką migrenę. Chciałem połączyć się w modlitwie z samym Prorokiem.

Kalif podszedł do niego.

- Ale obu nam będzie przykro, jeśli pominiemy ciąg dalszy uroczystości, skoro już tak wiele wytrzymaliśmy. Nieprawdaż? - Jego głos brzmiał jak syczenie węża.

- Masz racje, bracie - odparł Janson,

Kalif był coraz bliżej, przypatrywał się badawczo intruzowi. Skóra Jansonowi zaczynała cierpnąć. Przypomniał sobie, że w różnych kulturach dopuszczalny dystans, na który można się zbliżyć do drugiego człowieka, jest inny, że Arabowie zazwyczaj stoją bliżej siebie niż ludzie Zachodu. Kalif położył dłoń na ramieniu Jansona.

Był to łagodny, przyjazny, pełen ufności gest człowieka, który zabił jego żonę.

Janson wzdrygnął się mimowolnie.

Przed oczami duszy przebiegały mu obrazy: kaskada zniszczenia, zburzone budynki biurowe w centrum Caligo, telefon, że jego żona nie żyje.

Twarz Kalifa nagle stężała.

Janson się zdradził.

Zabójca wiedział.

Lufa rewolweru wbiła się w klatkę piersiową Jansona. Kalif podjął decyzję: jego podejrzany gość już stąd nie wyjdzie.

Mathieu Zinsou patrzył na nabitą po brzegi salę zgromadzeń, widział, jak rząd za rzędem sprawujących władzę ludzi zaczyna się coraz bardziej niecierpliwić. Obiecał, że jego słowo wstępne będzie krótkie, okazało się jednak, że potrafi chaotycznie i dużo gadać. Nie leżało to w jego naturze. Ale nie miał wyboru, musiał zwlekać! Widział, jak ambasador amerykański, przy ONZ wymienia spojrzenia ze swoim kolegą, stałym reprezentantem; co się dzieje, że ten mistrz dyplomatycznego oratorstwa stał się takim nudziarzem?

Sekretarz generalny skierował wzrok na stronice, które leżały przed nim na pulpicie. Cztery akapity już przeczytał: niczego więcej nie przygotował, a będąc pod presją chwili, nie bardzo wiedział, co jeszcze dodać. Tylko ci, którzy dobrze go znali mogli dostrzec, że krew odpłynęła z jego ciemnobrązowej twarzy.

- Poczyniono postępy na całym świecie - pięknie akcentował zenujące banały. - Prawdziwe postępy w rozwoju i międzynarodowej współpracy widać w Europie od Hiszpanii po Turcję, od Rumunii po Niemcy, od Szwajcarii, Francji i Włoch po Węgry, Bułgarię i Słowację, nie wspominając Czech i - oczywiście - Polski. Prawdziwe postępy poczyniono także w Ameryce Łacińskiej - od Peru po Wenezuelę, od Ekwadoru po Paragwaj, od Chile po Gujanę i Gujanę Francuską, od Kolumbii po Urugwaj i Boliwię od Argentyny po... - zabrakło mu konceptu. Przeleciał wzrokiem rzędy delegacji siedzące przed nim, oczy skakały mu z jednej plakietki na drugą- ...po, hm, Surinam! - Uczucie ulgi, przelotne jak błysk robaczka świętojańskiego. - Osiągnięcia Surinamu bardzo podnoszą na duchu, doprawdy, bardzo. - Jak długo może to jeszcze ciągnąć? Co Janson tam robi tak długo?

Zinsou odchrząknął. Należał do ludzi, którzy rzadko się pocią; teraz był mokry.

- I, oczywiście, popełnilibyśmy zaniedbanie, gdybyśmy nie zwrócili uwagi na postępy, które obserwujemy wśród narodów żyjących u brzegów Pacyfiku...

Janson patrzył uważnie na człowieka, który pozbawił go szczęścia, człowieka, który skradł klejnot jego życia.

Lekko ugiął nogi, stopy miał rozstawione na szerokość barków.

- Obraziłem cię - powiedział żalonym tonem. Nagle, zatoczył łuk lewym łokciem nad prawym barkiem Kalifa i oburącz schwytał go za rękę z rewolwerem. Mocno szarpną, wykręcił ją do góry i zablokował jego ramie... Potem kopnął lewą nogą i obaj upadli na posadzkę. Kalif uderzał raz za razem w bok głowy Jansona. Ale każda próba zasłonięcia się umożliwiła by Kalifowi wyrwanie się z uścisku: Janson nie miał wyboru. Musiał wytrzymać bolesne razy. Jediną możliwą obroną był atak. Wykręcił rękę dłonią do góry. Kalif przesunął się w kierunku ucisku przekręcając rewolwer w stronę ciała Jansona.

Jeszcze chwila i jego palec naciśnie spust. Padnie śmiertelny strzał.

Ale Janson rąbnął uzbrojoną ręką Kalifa o posadzkę. Ból sprawił, że Arab rozluźnił chwyt. Janson, z szybkością błyskawicy, schwytał za rewolwer i wstał. Kalif leżał bezwładnie na wypolerowanej kamiennej posadzce.

Teraz to Janson miał rewolwer.

Natychmiast włączył mikrofon.

- Groźba zneutralizowana - powiedział sekretarzowi generalnemu.

Wtedy poczuł zwalający z nóg cios od tyłu. Zabójca jak kobra skoczył z ziemi i zacisnął przedramię na gardle Jansona, wstrzymując dopływ powietrza. Janson szarpnął się gwałtownie, wił się i rzucał. Miał nadzieję, że uda mu się zrzucić młodszego, lżejszego mężczyznę,

ale terrorysta jakby składał się wyłącznie z napiętych mięśni. W porównaniu z nim Janson czuł się niezdarny i powolny, jak niedźwiedź walczący z panterą.

Nie próbował już uwolnić się od chwytu Kalifa. Sięgnął za siebie i przycisnął go bliżej do siebie. Potem kopnął obiema nogami w powietrze i padł na posadzkę. Wyładował ciężko na plecach, ale upadek zamortyzowało ciało napastnika.

Janson poczuł na karku oddech. Wiedział, że Kalif mocno uderzył o posadzkę.

Janson przeturlał się i zaczął podnosić się na nogi. Kalif, wykazując niesamowitą odporność, uniósł się i rzucił się na Jansona.

Gdyby odległość między nimi była większa, Janson zrobiłby unik. Ale teraz nie mógł tego zrobić. Brakowało mu szybkości. Brakowało mu zwinności.

Był jak niedźwiedź.

Niech i tak będzie. Wyciągnął ramiona jak do uścisku i wyęzając wszystkie siły, przyciągnął Kalifa do siebie. Przyciskał go mocno, mocniej, coraz mocniej.

Nawet wtedy napastnikowi udało się zadać mu mocny cios w kark. Janson wiedział, że nie wytrzyma długo. Nagłym, konwulsyjnym zrywem uniósł Kalifa. Ten zaczął się rzucać w powietrze jak potężny węgorz. Janson szybko przykucnął, lewe kolano trzymał na posadzce, prawe skierowane miał do góry. Uderzył o nie ciałem napastnika.

Krzyż Kalifa trzasnął, wydając przeraźliwy dźwięk, coś między chrupnięciem a pęknięciem, a usta otworzyły się do krzyku, którego nie zdołały wydać.

Janson schwycił Kalifa za ramiona i rąbnął nim o posadzkę. Zrobił to jeszcze raz i jeszcze. Tył głowy Kalifa nie wydawał już dźwięku kości uderzającej o twardą podłogę. Jego potylicy, potraskana na kawałki, odsłaniała miękką tkanę, którą chroniła.

Oczy Kalifa straciły ostrość, przybrały szklisty wygląd. Mówi się, że oczy są zwierciadłem duszy. Ale ten człowiek nie miał duszy. Teraz już na pewno.

Janson zabrał broń. Patrząc w kieszonkowe lusterko, poprawił sobie brodę i upewnił się, że nie ma na sobie plam z krwi. Potem wyszedł z kaplicy i skierował się do sali zgromadzeń, gdzie stanął pod ścianą.

Od lat myślał o tym, jak zabija człowieka, który zamordował jego żonę. Teraz tego dokonał.

I czuł tylko niesmak.

Czarnowłosa mężczyzna stał na podium i wygłaszał mowę o zagrożeniach, które niesie nowe stulecie. Janson przyglądał się wnikliwie każdemu jego rysowi. Ten człowiek wyglądał jak Peter Novak. Każdy uznałby, że to Peter Novak. Ale brakowało mu zmysłu przywódczego i charyzmy kojarzącej się z legendarnym dobroczyńcą. Głos miał cienki, chwiejny; wydawał się lekko zdenerwowany. Janson wiedział, że ocena przyjdzie później: „Świetna mowa, rzecz jasna. Ale biedny pan Novak był trochę zdenerwowany, nieprawdaż?”

- Pół stulecia temu - mówił człowiek stojący na podium - teren pod naszymi stopami, ziemia, na której stoi cały kompleks Narodów Zjednoczonych, została подарowana ONZ przez Rockefellerów. Historia pomocy ze strony ludzi prywatnych dla tej najbardziej publicznej instytucji sięga jej początków. Jeśli zdołam na swój skromny sposób zapewnić taką pomoc, będę ogromnie usatysfakcjonowany. Ludzie mówią o „odpłaceniu się społeczności”: moją społecznością była zawsze społeczność narodów. Pomóżcie mi pomóc wam. Pokażcie, jak najlepiej mógłbym okazać wsparcie. Będzie to dla mnie przyjemność, zaszczyt i obowiązek. Świat był dla mnie bardzo dobry. Mam nadzieję, że zdołam odwdziżyć mu się za to.

Były to słowa dobrego, starego Novaka, na przemian czarujące i ostre, skromne i aroganckie, a w końcu, zwycięskie. Ale sposób, w jaki zostały wygłoszone, był nietypowy: niepewny i pełen obaw.

Tylko Janson wiedział dlaczego.

Mistrz ucieczek znów umknął. Jak mógł nawet przez chwilę przypuszczać, że uda mu się wygrać ze swoim mentorem? „Masz za krótkie ramiona, żeby boksować się z Bogiem”, półżartem powiedział mu pewnego razu Demarest. Była w tym jednak jakaś nieprzyjemna prawda. Podwładny mierzył się z zwierzchnikiem, uczeń próbował swych sił z nauczycielem. Tylko próżność sprawiała, że nie chciał uznać porażki.

Gdy człowiek na podium zakończył wystąpienie, publiczność urządziła mu owację na stojąco. To, czego zabrakło wykonaniu, ratował retoryczny powab tekstu. Ponadto, kto przy takiej okazji pożałowałby wielkiemu człowiekowi oklasków? Janson z kamienną twarzą wyszedł do westybulu. Oklaski przycichły, dopiero gdy zamknął za sobą drzwi.

Jeśli Demaresta nie było w budynku ONZ, to gdzie mógł być?

Sekretarz generalny zszedł z podium razem z hucznie oklaskiwanym mówcą. Zaczynała się dwudziestominutowa przerwa. Obaj mieli się udać do wyłożonego dywanami pokoju za salą.

Janson stwierdził, że jego słuchawka rozstroiła się podczas walki. Ustawił ją ponownie na właściwy zakres i przez trzaski zaczął słuchać fragmentów rozmowy. Mathieu Zinsou miał przecież mikrofon ukryty w spince do krawata.

- Nie, dziękuję. Ale chciałbym odbyć w cztery oczy tę rozmowę, o której pan przecież wspominał. - Głos był zniekształcony, ale zrozumiany.

- Oczywiście - odparł Zinsou. Jego usta znajdowały się bliżej mikrofonu i dźwięk był bardziej klarowny.

- Dlaczego nie mielibyśmy pójść do pańskiego biura w budynku sekretariatu?

- Teraz?

- Obawiam się, że mam trochę za mało czasu. Chciałbym zrobić to już teraz;.

Zinsou przez chwilę nic nie mówił.

- Więc proszę za mną. Na trzydzieste ósme piętro. - Janson zastanawiał się, czy sekretarz generalny dodał tę informację ze względu na niego.

Coś się tam działo, ale co?

Janson pobiegł do wschodniej rampy budynku Zgromadzenia Ogólnego, a stamtąd wszedł do ogromnego gmachu sekretariatu. Przy każdym kroku czuł klucie w prawym kolanie, siniaki na ciele zaczynały puchnąć i boleć - ciosy Kalifa były nie tylko mocne, ale i dobrze wycelowane. Musiał jednak o tym teraz zapomnieć.

W holu sekretariatu machnął przygotowanym dla siebie identyfikatorem i strażnik go przepuścił. Nacisnął guzik trzydziestego ósmego piętra, wsiadł do windy i pojechał na górę. Mathieu Zinsou i agent Alana Demaresta, kimkolwiek ten człowiek był, powinni pojechać za nim za kilka minut.

Gdy wjeżdżał na szczytowe piętro wieżowca, łączność się urwała. Metal zawarty w szybie windy nie dopuszczał sygnału.

Minutę później winda zatrzymała się na trzydziestym ósmym piętrze. Janson pamiętał plan tego poziomu: windy znajdowały się pośrodku długiego, prostokątnego korytarza. Biura podsekretarzy i delegatów uszeregowane były wzdłuż ściany zachodniej; od północy znajdowały się dwie pozbawione okien sale konferencyjne; ©d południa była wąska biblioteka, też bez okien, Wyłożone drewnem tekowym biuro sekretarza generalnego usytuowane było przy ścianie wschodniej. Ze względu na specjalne zgromadzenie piętro było prawie puste; wszyscy członkowie personelu zatrudnieni byli przy delegacjach.

Janson zdjął przybranie głowy i odkleił brodę. Czekał za rogiem, w pobliżu wind. Osłaniały go drzwi prowadzące do biblioteki, a on, z kolei, widział oba korytarze prowadzące do biura sekretarza generalnego i do wind.

Wiedział, że nie będzie długo czekał.

Rozbrzmiał dzwonek windy.

- To nasze piętro - powiedział Mathieu Zinsou, gdy drzwi kabiny się otworzyły. Uczynił zapraszający gest wobec człowieka, który dla całego świata był Peterem Novakiem.

Czy Janson się nie mylił? Zinsou miał materiał do przemyśleń. Może to zmęczenie wreszcie zmogło amerykańskiego agenta, człowieka, którego okoliczności obarczyły odpowiedzialnością przewyższającą wytrzymałość normalnego człowieka?

- Musi nam pan wybaczyć - prawie cały personel z mojego biura jest teraz w budynku Zgromadzenia Ogólnego. Doroczne spotkanie zgromadzenia dla niektórych pracowników ONZ jest jak dzień wolny.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę - odparł bezbarwnym tonem gość szefa ONZ.

Zinsou otworzył drzwi do biura i przestraszył się, widząc postać mężczyzny siedzącego za jego własnym biurkiem. Zachodzące słońce podkreślało kontury jego sylwetki.

Co, u diabła, się dzieje?

Odwrócił się do gościa.

- Nie wiem, co powiedzieć. Zdaje się, że mamy niespodziewanego gościa.

Człowiek wstał zza biurka i podszedł do Zinsou. Sekretarz generalny otworzył usta ze zdziwienia.

Hełm gęstych czarnych włosów z lekka przyprószonych siwizną, wysokie, niemal azjatyckie kości policzkowe. Twarz człowieka, którego świat znał jako Petera Novaka.

Zinsou odwrócił się do człowieka, który stał obok niego.

Ta sama twarz. Zasadniczo nie do odróżnienia.

Niemniej, były pewne różnice, stwierdził Zinsou. Nie fizyczne. Były to raczej różnice w pozie i postawie. W człowieku, który stał obok niego, było coś płochliwego i chwiejnego: w człowieku stojącym przed nim coś nieprzejednanego i władczego. Marionetką i lalkarzem. Zawroty głowy, które poczuł Zinsou, zmniejszyły się tylko troszkę, gdy przypomniał sobie, co mówił Janson.

Teraz człowiek stojący u boku Zinsou wręczył kopertę temu drugiemu, który mógł być jego odbiciem w lustrze.

Lekkie skinienie głowy:

- Dziękuję Laszlo - powiedział człowiek, który czekał na nich w gabinecie. - Możesz już iść.

Oszust stojący u boku Zinsou odwrócił się i odszedł bez słowa.

- *Mon cher* Mathieu - powiedział ten, który został. Wyciągnął rękę. - *Mon tres cher frere*.

Rozdział 42

Janson wyraźnie słyszał głos Zinsou w mikrofonie. "Mój Boże". Jednocześnie zobaczył jak Peter Novak, który nie był Peterem Novakiem, naciska guzik windy z napisem „dół”. Odjeżdżał.

W słuchawce Jansona dał się słyszeć drugi męski głos:

- Muszę przeprosić za to całe zamieszanie.

Janson popędził do windy i wszedł do środka. Mężczyzna, który nie był Peterem Novakiem, miał wystraszoną minę, ale nie zorientował się raczej, z kim ma do czynienia.

- Kim jesteś naprawdę? - zapytał Janson.

Człowiek w garniturze odpowiedział lodowatym i pełnym godności tonem:

- Czy my się znamy?

- Po prostu nie rozumiem - powiedział sekretarz generalny. Ten drugi był zniewalający, pewien siebie, zrelaksowany.

- Musisz mi wybaczyć te szczególne środki bezpieczeństwa. To był mój sobowtór, jak bez wątpienia się domyśliłeś.

- Wysłałeś sobowtóra, żeby cię zastąpił?

- Wiesz, jaką rolę odgrywał „poranny Stalin”, prawda? Sowiecki dyktator wysyłał go na niektóre publiczne wystąpienia - to sprawiało, że jego wrogowie chodzili na paluszkach. Obawiam się, że były jakieś po głoski o próbie zamachu podczas obrad Zgromadzenia Ogólnego. Wiarygodne raporty mojego personelu. Nie mogłem ryzykować.

- Rozumiem - odparł Zinsou. - Ale wiesz przecież, że premier Rosji, premier Chin i wielu innych też ma wrogów. A jednak osobiście przemawiali do Zgromadzenia Ogólnego. Dziś zaszczycił nas swoją obecnością prezydent Stanów Zjednoczonych. Ta instytucja ma niesplamioną reputację w kwestii bezpieczeństwa, przynajmniej na tej niewielkiej działce nad East River.

- Doceniam to, *mon cher*. Ale ja mam wrogów szczególnego rodzaju. Szefowie państw, których wspominałeś, mogli przynajmniej zakładać, że sekretarz generalny nie spiskuje przeciwko nim. Ale ja wiem, że twoje biuro i urząd zajmuje człowiek o imieniu Kłamstwo.

Zinsou poczuł chłód. Po nieznośnej chwili milczenia powiedział po prostu:

- Przykro mi, że tak myślisz.

Peter Novak poklepał Zinsou po ramieniu i uśmiechnął się przymilnie.

- Źle zrozumiałeś moje słowa. Wcale tak nie myślę. Musiałem się po prostu upewnić.

Na czoło Zinsou wystąpiły krople potu. Nie spodziewał się niczego takiego. Nic tu nie pasowało do planu.

- Może każę przynieść nam kawę? - zapytał.

- Nie, dziękuję.

- Cóż, ja się chyba napiję - powiedział Zinsou sięgając do konsoli telefonicznej na biurku.

- Wolałbym, żebyś tego nie robił.

- Dobrze - Zinsou spojrzał mu w oczy. - Ale dlaczego nie miałbym zadzwonić do Helgi i powiedzieć, żeby...

- Wolałbym, żebyś nigdzie nie dzwonił. Nie ma potrzeby przekładać spotkań i z kimkolwiek się konsultować. Za kilka zaledwie minut odleczę z dachu helikopterem. Wszystko

zostało przygotowane.

- Rozumiem - odparł Zinsou, który niczego nie rozumiał.
- Więc przejdźmy do naszych spraw- powiedział elegancki człowiek o lśniących czarnych włosach. - Tu są instrukcje, jak się ze mną skontaktować. - Wręczył sekretarzowi generalnemu białą kartkę. - Pod ten numer możesz dzwonić. W ciągu godziny ktoś oddzwoni do ciebie. Wraz z rozwojem wydarzeń będziemy musieli pozostawać w stałym kontakcie. Przekonasz się, że twoje konto w banku szwajcarskim zostało już zasilone - zwyczajna zaliczka. Regularne miesięczne wypłaty będą realizowane dopóty, dopóki nasza współpraca będzie miała solidne fundamenty.

Zinsou przełknął ślinę.

- Jesteś bardzo łaskawy.
- To dlatego, żebyś się nie niepokoił. Teraz najistotniejsze jest, żebyś mógł się skoncentrować na sprawach naprawdę istotnych i nie osądzał zbyt pochopnie.

- Rozumiem.
- To ważne, żebyś rozumiał. W mowach, które wygłaszałeś jako sekretarz generalny, często stwierdzałeś, że między cywilizacją a barbarzyństwem jest tylko cienka granica. Lepiej nie wystawiajmy prawdziwości tego stwierdzenia na próbę.

Janson włożył stopę w drzwi windy uruchamiając fotokomórkę. Kabina nie mogła ruszyć z miejsca.

- Daj mi kopertę - powiedział.
- Nie wiem, o czym pan mówi - odparł z wyraźnym węgierskim akcentem mężczyzna. Jeśli jednak słowa były buntownicze, to ton pełen obaw.

Janson zadał mu dłonią miążdzący cios w gardło. Mężczyzna upadł na podłogę w ataku obezwładniającego kaszlu. Janson wyciągnął go z windy. Tamten zamachnął się na Jansona. Cios był powolny, źle wymierzony. Janson uchylił się i uderzył go nie za mocno chwytem rewolweru w skroń. Sobowtór Novaka opadł nieprzytomny na podłogę. Szybkie przeszukanie upewniło Jansona, że mężczyzna nie ma przy sobie koperty.

Janson podszedł cicho do biura Zinsou i zatrzymał się przy wejściu. Dźwięki dobiegały zarówno z mikrofonu, jak i przez zamknięte drzwi. Klarowny, cienki głos przy uchu:

- To wszystko jest trochę niespodziewane - mówił Zinsou.

Janson nacisnął kłamek, gwałtownie otworzył drzwi i wpadł do środka z pistoletem w prawej dłoni. Reakcja Demaresta na to najście była natychmiastowa i zręczna: stanął za Zinsou. Kula, zanim dotarłaby do niego musiałaby powalić sekretarza generalnego.

Mimo wszystko Janson strzelił - na pozór bez sensu: trzy strzały wysoko nad głową, trzy kule w okno. Szyba wygięła się i rozsypała na drobne kawałki.

Nastąpiła cisza.

- Alanie - powiedział Janson. - Jaką piękną fryzurę sobie ułożyłeś.
- Słaby strzał, Paul. Ośmieszasz nauczyciela - Był to głos Demaresta, wreszcie głęboki i uszczypliwy. Rozbrzmiał w tym pokoju tak, jak od lat rozbrzmiewał w pamięci Jansona.

Chłodny powiew wiatru targał kartkami z żółtego bloczka na biurku sekretarza generalnego: podkreślał brak szyby na trzydziestym ósmym piętrze. Między nimi a placem na dole była tylko nisko położona aluminiowa krata. Odgłosy ruchu ulicznego mieszały się z krzykiem mew. Wyżej zbierały się ciemne chmury; wkrótce miał spaść deszcz.

Janson patrzył na Alana Demaresta zerkającego zza pleców Zinsou. Sekretarz generalny zachowywał spokój, co nie każdemu na jego miejscu by się udało. Pod czarnymi studniami oczu Demaresta Janson zobaczył wylot lufy smith & wessona kaliber 48.

- Pozwól mu odejść - powiedział Janson.
- Moja polityka wobec zbędnych członków polega na amputacji - odparł Demarest.

- Ty masz broń, ja mam broń. On tu nie jest potrzebny.
- Rozczarowujesz mnie. Myślałem, że będziesz godnym szacunku przeciwnikiem.
- Zinsou! Idź. Natychmiast. Wyjdź stąd! - Janson wydał polecenia ostrym głosem. Sekretarz generalny przez chwilę na niego spoglądał, potem wycofał się spomiędzy obu zajadłych wrogów.

- Zastrzel go, a ja zastrzelę ciebie - powiedział Janson do Demaresta. - Wykorzystam tę okazję, żeby cię zastrzelić. Wierzysz mi?

- Tak Paul, wierzę - powiedział zwyczajnie Demarest.

Janson czekał z wycelowanym rewolwerem, aż usłyszał, że drzwi się zamykają.

Demarest patrzył twardym, ale nie pozbawionym cienia wesołości wzrokiem.

- Trenera futbolu amerykańskiego Woody Hayesa zapytano kiedyś, dlaczego jego zespół tak rzadko wykopuje daleko piłki. Odpowiedział: „Jeśli rzucisz piłkę w powietrze, mogą się stać tylko trzy rzeczy, a dwie z nich są złe”.

Janson, zupełnie absurdalnie, przypomniał sobie obsesję Phan Nguyena na tle amerykańskiego futbolu.

- Posłałeś mnie do piekła - powiedział. - Myślę, że nadszedł czas, żebym ci się odplacił za tę uprzejmość.

- Dlaczego się tak złościś, Paul? Skąd w tobie tyle nienawiści?

- Wiesz dlaczego.

- Kiedyś wszystko było inne. Kiedyś coś nas łączyło, coś głębokie go. Zaprzeczaj, ile chcesz. Wiesz, że to prawda.

- Nie sądzę, żebym jeszcze wiedział, co jest prawdą. I tobie to zawdzięczam.

- Zawdzięczasz mi wiele. Ukształtowałem cię, zrobiłem z ciebie to, czym jesteś. Nie zapomniałeś, prawda? Nigdy nie zaprzeczałem. Byłeś najlepszym z moich uczniów. Byłeś taki sprytny, taki dzielny i taki pomysłowy. Bardzo szybko się uczyłeś. Byłeś stworzony do wielkich czynów. Sposób, w jaki się odwdzieczyłeś... - Potrząsnął głową - Mogłem uczynić cię kimś wielkim, gdybyś mi na to pozwolił. Rozumiem cię lepiej niż ktokolwiek inny. Wiedziałem, do czego jesteś zdolny. Może właśnie to cię odstraszyło. Może właśnie dlatego mnie odrzuciłeś. Odrzucenie mnie to jak odrzucenie siebie samego, odrzucenie tego, czym naprawdę jesteś;

- Ty w to wierzysz? - zapytał Janson, zafascynowany mimo woli.

- Obaj różnimy się od innych ludzi. Znamy prawdy, których inni nie są w stanie pochwycić. Scytowie mieli rację - prawa są jak pajęczyna - dość mocne, żeby złapać słabych, ale za słabe, żeby złapać mocnych.

- Bzdura.

- Jesteśmy mocni. Silniejsi od innych. A razem możemy być jeszcze silniejsi. Chcę, żebyś przyjął do wiadomości, kim naprawdę jesteś. Dlatego sprowadziłem cię, kazałem jechać na Anurę, żebyś wykonał dla mnie ostatnią misję. Rozejrzyj się, Paul. Pomyśl o świecie, w którym żyjesz. Spójrz mu w twarz - przeciętniacy, zadowoleni z siebie biurokraci, bałaganiarskie gryziopórki, którym nigdy nie zdarzyło się przepuścić okazji, żeby przepuścić okazję. Przeciętniacy, którym pozwalamy, żeby rządili światem. Gzy naprawdę wątpisz w to, że mógłbyś poczynać sobie lepiej niż oni, podejmować lepsze decyzje niż oni? Kochasz swój kraj? Ja też, Paul. Poświęciłeś większość dni swego żywota, żeby służyć rządowi, któremu podjęcie decyzji o zabiciu cię nie zajęło więcej niż pięć sekund. Musiałem ci to pokazać. Musiałem pokazać ci prawdziwą twarz twoich pracodawców, rządu, dla którego od czasu do czasu musiałeś być gotów poświęcić życie. Musiałem ci pokazać, że oni się nie zawahają, żeby kazać cię zabić. I pokazałem. Kiedyś zwróciłeś potęgę rządu przeciwko mnie. Jedyнным sposobem, żebyś przejrzał na oczy, było zrobić to samo wobec ciebie.

Jansona brzydziły gładkie wykręty tego człowieka, ale zabrakło mu teraz słów.

- Przepelnia cię nienawiścią. Rozumiem. Bóg porzucił swego Syna w ogrodach Getsemani. Ja też cię porzuciłem. Ty wołałeś o pomoc, a ja cię zawiodłem. Tyle czasu żyliśmy, każdy swoim własnym życiem, każdy w centrum własnej historii, a kiedy mnie potrzebowałeś, mnie przy tobie nie było. Byłeś rozstrojony. Twoja nauka szła tak szybko, że popełniłem błąd: próbowałem nauczyć cię rzeczy, na które nie byłeś przygotowany. I pozwoliłem ci odejść. Myślałeś pewnie, że zasługujesz na to, co od ciebie dostałem.

- A co to było takiego?

- Zdrada. -Nagle, oczy Demaresta rozbłysły. - Myślałeś, że możesz mnie zniszczyć. Ale oni mnie potrzebowali. Oni zawsze potrzebują ludzi takich jak ja. Zrobiłem to, co musiałem - co trzeba było zrobić. Zawsze robię to, co trzeba. Czasem ludzie tacy jak ja uznawani są za kłopotliwych i wtedy podejmuje się przeciwko nim działania. Ja stałem się dla ciebie zenującym problemem. Byłem dla ciebie zenujący, bo patrzyłeś na mnie i widziałeś siebie. Tyle w tobie było ze mnie. Jakże mogło być inaczej! Nauczyłem cię wszystkiego, co umiesz. Dałem ci umiejętności, które uratowały ci wiele razy życie. Jak możesz mieć czelność mnie sądzić? - Wreszcie, ostrze gniewu przebiło niesamowity spokój w jego głosie.

- Swoimi czynami przekroczyłeś wszelkie bariery - odparł Janson. - Widziałem, co zrobiłeś. Zobaczyłem, kim jesteś. Potworem.

- Och, proszę. To ja pokazałem ci, kim jesteś, a tobie nie spodobał się ten widok.

- Nie.

- Byliśmy tacy sami i tego nie jesteś w stanie zaakceptować.

- Nie byliśmy tacy sami.

- Ależ byliśmy. Na swój sposób nadal jesteśmy. Nie myśl, że straciłem cię z oczu w następnych latach. Nazywali cię maszyną. Wiesz, oczywiście, od czego to skrót? Od „maszyny do zabijania” Bo nią byłeś. I ty chcesz mnie sądzić? Och, Paul, czy ty nie wiesz, dlaczego podjąłeś się zniszczenia mnie? Czyżby aż tak brakowało ci umiejętności spojrzenia w głąb własnego ja? Jakże wygodne musi być wmówienie sobie, że to ja jestem potworem, a ty świętym. Boisz się tego, co ci pokazałem.

- Tak - głęboko zaburzona jednostkę.

- Nie łudź się, Paul. Ja mówię o tym, co ci pokazałem w tobie. Kimkolwiek ja byłem, tym byłeś i ty.

- Nie! - Jansona opanował gniew i przerażenie. Rzeczywiście, umiał posługiwać się przemocą: nie mógł już uciec przed tą prawdą. Ale dla niego przemoc nigdy nie była celem samym w sobie: miała służyć zapobieganiu jeszcze większej przemocy.

- Wiele razy ci mówiłem: wiemy więcej niż wiemy. Zapomniałeś, co robiłeś w Wietnamie? Czy w jakiś sposób pozbyłeś się tych wspomnień?

- Nie nabierzesz mnie na te swoje cholerne psychologiczne brednie - ryknął Janson.

- Czytałem twoje zeznania na mój temat- Demarest kontynuował beztrąsko. - Jakoś zapomniałeś wspomnieć w nich o tym, co sam robiłeś.

- Więc to ty rozpowszechniasz te plugastwa na mój temat - te pokrętne historyjki.

Demarest patrzył bez mrugnięcia okiem.

- Twoje ofiary nadal żyją. Niektóre zostały kalekami, ale żyją. Wyślij tam agenta, niech z nimi porozmawia. Pamiętają cię. Pamiętają i boją się.

- To kłamstwo! To cholerne kłamstwo!

- Jesteś pewien? - pytanie było jak wstrząs elektryczny. - Nie, nie jesteś pewien. Wcale nie jesteś pewien. - Chwila milczenia. - To jest tak, jakby jakaś część ciebie nigdy stamtąd się nie wydostała, bo prześladowają cię wspomnienia, prawda? Powracające koszmary, zgadza się?

Janson pokiwał głową: nie był w stanie się powstrzymać.

- Tyle lat już minęło, a ty nadal masz kłopoty ze snem. A co sprawia, że te wspomnienia tak się ciebie trzymają?

- A co cię to obchodzi?

- Może to poczucie winy? Sięgnij w głąb, Paul - sięgnij w głąb i wyciągnij je na wierzch.

- Zamknij się, skurwysynu.

- Co opuszczasz w swoich wspomnieniach, Paul?

- Przestań! -ryknął Janson, ale w jego głosie było jakieś drżenie. - Nie będę tego słuchać.

Demarest powtórzył pytanie nieco ciszej:

- Co opuszczasz w swoich wspomnieniach?

Te obrazy naszły go teraz, jakby zamrożone odłamki czasu. Nie przesuwają się płynnie, ale jeden obraz wyskakiwał za drugim. Było w nich coś upiornego.

Przekuśtykać kilometr. I jeszcze jeden. I jeszcze. Przejść się przez dżunglę, uważnie omijać wioski i osady, w których mogą mieszkać sympatycy Wietkongu, bo wtedy cała męka pójdzie na marne.

Gdy pewnego ranka przeciskał się przez szczególnie gęstą płataninę lian i drzew, trafił na wielki wypalony owal.

Zapachy powiedziały mu, co się tu stało - zmieszane zapachy sosu rybnego, nawozu z ekskrementów ludzkich i czegoś, co tłumilo nawet te zapachy: intensywnego odoru napalmu.

Powietrze było od niego aż ciężkie. Wszędzie leżały popioły i grudkowate pozostałości szybko płonącego chemicznego ognia. Brnął przez wypalony owal. Jego stopy poczerniały od węgla drzewnego. Wyglądało to tak, jakby Bóg trzymał gigantyczne szkło powiększające nad tym miejscem i wypalił je skupionymi promieniami słońca. Gdy przyzwyczaił się do smrodu napalmu, inny zapach uderzył go w nozdrza, zapach zwęglonego ludzkiego ciała. Kiedy ostygnie, stanie się pożywieniem dla ptaków, robaków i owadów. Jeszcze nie ostygło.

Po zapadniętych, poczerniałych szczątkach domyślił się, że na polanie stało niedawno dwanaście pokrytych strzechami domów. Tuż za wioską, jakby cudem nietkniętą przez płomień, stała szopa kuchenna obłożona liśćmi palmy kokosowej, a w niej świeżo przygotowany posiłek, może jakieś pół godziny temu. Stosik ryżu, gulasz z krewetek z kluskami Banany, pocięte w plasterki, usmażone i posypane curry. Miska z obranymi owocami lychee i durianu. To nie był zwykły posiłek. Po kilku minutach rozpoznał, co to takiego.

Uczta weselna.

Nieco dalej leżały kopcące się jeszcze ciała nowożeńców. Obok nich ich rodziny. Przypadek sprawił, że sam wieśniaczy bankiet uniknął zagłady. Odłożył swój AK-47 i jadł chciwie. Rękami napychał ryż i krewetki do ust. Pił ciepłą wodę z kotła czekającego na następny woreczek ryżu. Jadł, wymiotował i znów jadł, a potem odpoczywał, leżąc na ziemi. Jakie to dziwne - tak mało z niego zostało, a jednak czuł się ociężały!

Gdy wróciło mu trochę sił, poszedł dalej, przez niezamieszkaną dżunglę. Szedł i szedł. Jedna stopa, potem druga.

To go uratowało: bezmyślny ruch, akcja bez refleksji.

A potem była kolejna świadoma myśl. Morze!

Poczuł zapach morza!

Za następną linią wzgórz był brzeg. A to oznaczało wolność. Kanonierki marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych patrolowały ten fragment linii brzegowej. Patrolowały go bardzo dokładnie. Wiedział o tym. A na brzegu, gdzieś niezbyt daleko od niego, założono małą bazę. O tym też wiedział. Kiedy tylko dotrze do brzegu, będzie wolny, przywitają go bracia marynarze, zabiorą go, odwiozą do domu, wezmą do szpitala.

Wolny!

„Tak mi się zdaje, Phan Nguyen, tak mi się zdaje”.

Czy to halucynacje? Już dawno, bardzo dawno temu pił ostatni raz. Wzrok mu słabł, widział dziwne rzeczy. Typowy objaw niedoboru witaminy PP. Niedożywienie też musiało zrobić swoje. Ale teraz oddychał głęboko, napełniał płuca powietrzem i wiedział, że w tym powietrzu jest sól, zapach wodorostów i słońca. Wyzwolenie leżało tuż za linią wzgórz.

„Nigdy się już nie spotkamy, Phan Nguyen”.

Wspinał się po łagodnym zboczu. Pokrywa gleby była coraz cieńsza, a roślinność nie tak już gęsta. Nagle stanął wystraszony.

Jakaś sylwetka przebiegła niedaleko niego. Zwierzę? Napastnik? Wzrok odmawiał mu posłuszeństwa. Wszystkie zmysły zaczynały go zawodzić i to wtedy, gdy były mu najbardziej potrzebne. Tak blisko, a tak daleko.

Chudy palec ześlizgnął się w stronę spustu. Zostać złapanym przez wroga, kiedy jest się tak blisko domu - byłoby to piekło nie do wytrzymania, gorsze niż cokolwiek, co wycierpiał do tej pory.

Jeszcze jeden szybki ruch. Wysłał serię z automatu. Trzy kule. Hałas i kopnięcie kolby o ramię były gorsze niż się spodziewał. Pobiegł, żeby sprawdzić, w co trafił.

Nic. Niczego nie widział. Oparł się o sękatego mangowca i zajął drugą stronę. Tam też nie było nic. Potem popatrzył w dół i zdał sobie sprawę, co zrobił.

Chłopiec. Proste brązowe portki, sandały na nogach. W ręku trzymał butelkę coca-coli, jej pienista zawartość wyciekała teraz na ziemię.

Miał może jakieś siedem lat. Jaką zbrodnię popełnił? Grał w chowanego? Biegał za motylem?

Chłopiec leżał na ziemi. Piękne dziecko, najpiękniejsze, jakie Janson kiedykolwiek widział. Wydawał się dziwnie spokojny. Tylko te postrzępione karmazynowe plamy w poprzek jego klatki piersiowej. Trzy dziury, z których wyciekała krew.

Popatrzył na wychudzonego Amerykanina, nie zamrugał nawet łagodnymi brązowymi oczami.

I uśmiechnął się.

Chłopiec się uśmiechnął.

Obrazy zalały teraz Jansona. Zalały go po raz pierwszy, bo te obrazy jego umysł skazał na banicję już następnego dnia. I tak już zostało do tej pory. Nawet zapomnianej jednak w nim tkwiły, ciążyły mu.

Teraz wszystko sobie przypomniał.

Pamiętał jak opadł na ziemię i trzymał dziecko na kolanach, pamiętał ten uścisk martwego z półmartwym, ofiary ze zbrodniarzem.

„Bo cóż za społeczność sprawiedliwości z nieprawością? Albo co za społeczność światłości z ciemnością?”

I zrobił to, czego nigdy nie robił. Zaszlochał.

Wspomnień, które nadeszły potem, nie dało się dokładnie odtworzyć. Wkrótce przybyli, zaniepokojeni strzałami, rodzice dziecka. Widział ich przerażone twarze pełne smutku pozbawionego krzty nienawiści. Wzięli od niego chłopca. Ojciec lamentował, zawodził... matka potrząsała głową, potrząsała gwałtownie głową, jakby chciała się z niej pozbyć tego widoku. Trzymając pozbawione życia ciało dziecka w ramionach, zwróciła się do wychudzonego żołnierza, jakby szukała słów, które mogłyby coś zmienić.

Ale powiedziała tylko: „Wy, Amerykanie”.

Teraz wszystkie te twarze rozplynęły się i Janson znów napotkał twardy wzrok Alana Demaresta. Demarest coś mówił.

- Przeszłość to inny kraj, kraj, którego nie można do końca opuścić.

To była prawda.

- Nie byłeś w stanie usunąć mnie całkowicie z pamięci, prawda? - mówił Demarest.

- Nie mogłem - powiedział szeptem Janson.

- A dlaczego? Bo związek między nami był prawdziwy. Był silny. „Przeciwieństwo to prawdziwa przyjaźń”. Tak uczy nas William Blake. Och - Paul - jakąż to historię wspólnie przeżyliśmy. Czy ja cię prześladowałem? To ty prześladasz mnie. Janson nie odpowiedział.

- Pewnego dnia rząd Stanów Zjednoczonych wręczył mi klucze do królestwa, zezwolił mi na stworzenie imperium, jakiego świat nie widział. Oczywiście, postarałem się, żeby należało do mnie. Ale bez względu na to, jak wiele masz kufrów złota, niełatwo jest uregulować rachunki. Chcę tylko, żebyś przyjął do wiadomości prawdę, która dotyczy nas obu. Ja cię stworzyłem, Paul, uformowałem cię z gliny, tak jak Bóg niegdyś stworzył człowieka.

- Nie. - To słowojak jęk, wyszło z samych trzewi Jansona.

Krok bliżej.

- Nadszedł - czas, żeby powiedzieć prawdę sobie samemu. - Głos Demaresta był łagodny. - Między nami zawsze coś było - Coś bardzo bliskiego miłości.

Janson patrzył na niego z napięciem, w umyśle nakładał rysy Demaresta na twarz legendarnego dobroczyńcy. Widział podobieństwa nawet mimo zmienionego oblicza wroga. Zadrżał.

- I znacznie bliższego nienawiści - powiedział wreszcie.

Oczy Demaresta płonęły jak żarzące się węgle.

- Stworzyłem cię i nic tego nie zmieni. Zaakceptuj to. Zaakceptuj to, kim jesteś. Gdy to uczynisz, wszystko się zmieni. Koszmary ustąpią. Życie stanie się znacznie łatwiejsze. Weź przykład ze mnie. Ja śpiam doskonale. Wyobraź to sobie, Paul - czy to nie jest coś?

Janson zaczerpnął tchu i nagle poczuł, że znów może się skoncentrować.

- Nie chcę tego.

- Co? Nie chcesz, żeby koszmary cię opuściły? Poruczniku, teraz sami się oszukujecie.

- Nie jestem porucznikiem. I nie prehandluję moich koszmarów.

- Nigdy się nie wyleczysz, bo nie chcesz się wyleczyć.

- Nazywasz to leczeniem? Śypiasz dobrze, bo coś w tobie - możesz nazywać to duszą-umarło. Może coś się stało, że pewnego dnia twoja dusza zgasła, może jej nigdy nie miałeś, ale to jest to, co czyni nas ludźmi.

- Ludźmi? Chciałeś powiedzieć - to czyni nas słabymi. Ludzie zawsze myślą te dwa pojęcia.

- Moje koszmary to ja - powiedział Janson klarownym, spokojnym głosem. - Muszę żyć z tym, co uczyniłem na tej ziemi. Nie muszą mi się podobać. Czyniłem dobro i czyniłem zło. Jeśli chodzi o zło, to nie chce się z nim pogodzić. Mówisz, że mogę uśmierzyć ból? To dzięki niemu wiem, kim jestem, a kim nie. Dzięki niemu wiem, że nie jestem tobą.

Nagle Demarest wyciągnął rękę i wybił rewolwer z ręki Jansona. Bron poleciała, brzęcząc po marmurowej podłodze.

Demarest wyglądał niemal smutno, gdy podnosił pistolet.

- Próbowałem przemówić ci do rozsądku. Próbowałem do ciebie dotrzeć. Napracowałem się przy tym, chciałem, żebyś wszedł w kontakt z twoim prawdziwym ja. Chciałem od ciebie tylko jednego - żebyś uznał prawdę, prawdę o nas obu.

- Prawdę? Jesteś potworem. Powinieneś być zginąć w Mesa Grande. Żałuję, na Boga, że tak się nie stało.

- To godne uwagi -jak wiele wiesz i jak mało zarazem. Jak potężny możesz być i jak bezsilny jesteś. - Potrząsnął głową. - Człowiek zabija cudze dziecko i nawet nie jest w stanie ochronić własnego.

- O czym ty do diabła mówisz?

- O zamachu bombowym na ambasadę w Caligo - wstrząsnęło to twoim światem, prawda? Pomyślałem, że tak będzie, kiedy pięć lat temu przedstawiłem propozycję zamachu.

Musisz mi wybaczyć: pomysł, że możesz mieć dziecko po prostu do mnie nie trafiał. Paul junior- nie, nie wyobrażam sobie tego. Łatwo jest zaaranżować takie rzeczy odwołując się do lokalnych talentów - tych powstańców o dzikim spojrzeniu, marzących o Allahu i rajskich dziewczicach. Jakież byłby z ciebie ojciec, z takiego zabójcy dzieci?

Janson stał jak skamieniały.

Ciężkie westchnienie.

- Czas na mnie. Wiesz, mam wielkie plany wobec świata. Prawda jest taka, że nudzi mnie rozwiązywanie konfliktów. Promowanie konfliktów to nowy plan dnia. Istoty ludzkie jako pionki na bitewnej szachownicy. Jak ja to mówię: pozwólmy człowiekowi być człowiekiem.

- To nie twoja prerogatywa - Janson z trudem wydobywał z siebie słowa.

Demarest uśmiechnął się.

- *Carpe diem* - chwytaj dzień. *Carpe mundum* - chwytaj świat.

- Uczynili z ciebie boga - Janson przypomniał sobie słowa prezydenta - chociaż nie mieli nieba.

- Niebiosą są poza moim zasięgiem. Ale dlaczego ty nie miałbyś tam złożyć raportu, gdy już się tam dostaniesz? Będziesz miał chody u świętego Piotra. - Jego twarz nie miała wyrazu, gdy podniósł pistolet. Trzymał go o metr od czoła Jansona. - Szczęśliwej podróży - powiedział i zagiął palec na spuście.

Wtedy Janson poczuł ciepły deszcz na twarzy. Zamrugał i ujrzał, że pochodzi on z rany wylotowej w czole Demaresta. Strzał snajpera, nie odchylony przez szybę był tak precyzyjny, jakby oddano go z bliska. Janson nachylił się i złapał Demaresta za twarz. Przytrzymał go w wyprostowanej pozycji.

- *Xin loi* - powiedział złośliwie. - Przykro mi.

Twarz Demaresta przez moment nie wyrażała niczego: mógł być w głębokiej medytacji, mógł spać.

Janson puścił go i Demarest osunął się na ziemię. Życie wypłynęło z jego ciała.

Janson patrzył przez stary teleskop sekretarza generalnego. Znalazł Jessie dokładnie w tym miejscu, w którym ją posadził: po drugiej stronie East River. Jej karabin leżał na dachu starej rozlewni napojów tuż pod wielkim neonem. Zaczynała właśnie rozbierać broń szybkimi pewnymi ruchami. Podniosła oczy, jakby poczuła jego wzrok na sobie. I nagle, Janson doznał tego dziwnego, lżejszego od powietrza uczucia, że wszystko będzie dobrze.

Odszedł od teleskopu i popatrzył nieuzbrojonym okiem. Wiatr chłodził mu twarz. Hunter's Point. Nazwa była jak najbardziej na miejscu.

W zapadającym zmierzchu wielki napis pepsicola jarzył się czerwono nad jego ukochaną. Janson zmrużył oczy, odbite światło neonu rozlewało się na błyszczącej wodzie. Przez chwilę wyglądało to jak rzeka krwi.

Rozdział 43

Chciałem panu podziękować, że się pan do nas przyłączył, panie Janson - powiedział prezydent Charles W. Berquist Junior. Siedział przy końcu owalnego stołu. Grupa ludzi zasiadających przy tym stole, głównie wyżsi urzędnicy rządowi i analitycy z agencji wywiadowczych kraju, przyszedli tu pojedynczo. Do niewyróżniającego się niczym szczególnym, eleganckiego budynku przy Szesnastej ulicy wchodzili bocznym wejściem, do którego można było się dostać z prywatnego podjazdu tak, żeby nikt nie mógł zobaczyć przybywających i odjeżdżających gości. Nie było magnetofonu, nikt nie robił notatek. Jeszcze jedno spotkanie, które oficjalnie się nie odbyła.

- Pański naród winien jest panu wdzięczność. Nikt się o tym nie może dowiedzieć. Ale ja o tym wiem. Myślę, że nie zaskoczy pana fakt, że został pan odznaczony kolejną gwiazdą za wybitną służbę wywiadowczą.

Janson wzruszył ramionami.

- Może powinienem się zająć skupem złomu.

- Chciałbym, żeby usłyszał pan też inną dobrą nowinę. I to ode mnie osobiście. Dzięki panu będziemy prawdopodobnie mogli wskrzesić program Moebiusa. Dough i inni kilka razy z rządu przewalowali ten temat ze mną. Wygląda na to, że plan dobrze się zapowiada.

- Doprawdy? - Janson nie zdradzał zainteresowania.

- Nie wydaje się pan zaskoczony - powiedział Berquist przygnębionym głosem. - Myślałem, że pan na to czekał.

- Gdyby pan tak długo znał planistów, jak ja ich znam, też nie dziwiłby się pan tej mieszance geniuszu i głupoty, którą nam oferują.

Prezydent nachmurzył się, niezadowolony z tonu, którym zwracał się do niego agent.

- Chciałbym, żeby przyjął pan do wiadomości, że mówi pan o nie zwykłych ludziach.

- O tak. O ludziach niezwykle aroganckich - Janson powoli pokręcił głową. - Tak czy inaczej może pan o tym zapomnieć.

- Pytanie: gdzie się pan nauczył używać takiego tonu w rozmowie z prezydentem? - wtrącił się Douglas Albright.

- Pytanie: czy wy, ludzie, potraficie się czegokolwiek nauczyć - odgryzł się Janson.

- Nauczyliśmy się mnóstwa rzeczy - odparł Albright. - Nie popełnimy tych samych błędów po raz drugi.

- Prawda - tym razem będą to inne błędy.

Odezwał się sekretarz stanu.

- Odrzucenie programu na tym etapie byłoby równoznaczne ze zmarnowaniem dziesiątków tysięcy roboczogodzin. Byłaby to również próba odwołania czegoś nieodwołalnego. Dla świata Peter Novak istnieje nadal.

- Możemy go stworzyć powtórnie, przekształcić go, dodać cały zestaw zabezpieczeń - powiedział Albright, rzucając sekretarzowi stanu zachęcające spojrzenie. - Są setki sposobów, żeby nie dopuścić do tego, co uczynił Demarest.

- Ja wam nie wierzę - powiedział Janson. - Kilka dni temu wszyscy byliście zgodni co do tego, że popełniście kolosalną pomyłkę. Błąd u podstaw, zarówno z punktu widzenia polityki, jak i moralności. Rozumieliście - albo udawaliście, że rozumiecie - iż plan zasadzający się na ogromnym oszustwie nie mógł się powieść. Był nieprzewidywalny.

- Wpadliśmy wtedy w panikę - odparł sekretarz stanu. - Nie myśleliśmy racjonalnie, Po prostu chcieliśmy się tego pozbyć. Ale Dough przekonał nas potem, spokojnie, rzeczowo. Potencjalne zalety planu są ogromne. To jest tak, jak z energią atomową - oczywiście zawsze

istnieje ryzyko nieszczęśliwego wypadku. Nikt temu nie zaprzeczy. Ale potencjalne korzyści dla ludzkości przeważają. - W miarę jak mówił, jego głos stawał się coraz łagodniejszy i bardziej dźwięczny: głos wysokiego rangą dyplomaty na konferencjach prasowych i podczas wystąpień telewizyjnych. Trudno było w nim rozpoznać wystraszonego człowieka z pałacu Hempela. - Odrzucenie tego ze względu na jakieś błędy z przeszłości nie byłoby godne mężów stanu. Rozumie pan, prawda? Czytamy z tej samej kartki?

- Ale nie z tej samej, cholernej książki!

- Niech się pan opanuje - parsknął Albright. - Przyznaję, wszystko zawdzięczamy panu - poradził pan sobie z tym perfekcyjnie To dzięki panu, możliwe jest wskrzeszenie tego programu. - Nie musiał mówić o szczegółach: ciała obu mężczyzn błyskawicznie usunięto z budynku. Obleczone w białe prześcieradła pojechały w dwie różne strony. - Sobowtór szybko wydobrzył. Trzymamy go w jednej z naszych instytucji odosobnienia, gdzie poddawany jest obszernym przesłuchaniom z użyciem środków chemicznych. Tak jak pan przewidywał, jest przerażony, gotów do współpracy.

Demarest, oczywiście, nie powierzył mu kodów dostępu. Nic nie szkodzi. Kiedy już zabrakło Demaresta, żeby ciągle mieszać w kodach, nasi technicy szybko przeniknęli do wnętrza systemu. Odzyskaliśmy kontrolę. Janson powoli pokręcił głową.

- Na tym polegał wasz błąd. Wydawało się wam, że macie kontrolę.

- Z całą pewnością kontrolujemy sobowtóra Demaresta – powiedział technik o poszarzałej twarzy, człowiek, którego Janson zapamiętał z zebrania w pałacu Hempela. - To gość o nazwisku Laszlo Kocsis. Uczył angielskiego w węgierskim technikum. Pod nóż poszedł półtora roku temu. Zasada kija i marchewki. Krótko mówiąc, za współpracę z Demarestem oferowano mu dziesięć milionów dolarów. Gdyby odmówił, miano zabić jego rodzinę. Niezbyt silny człowiek. Teraz mamy go w rękę.

- Jak pan przewidywał - powiedział uprzejmie szef Agencji Kontrwywiadu - zaproponowaliśmy mu małą wyspę na Karaibach. Odpowiednią dla takiego jak on odludka. Będzie więzieniem w złotej klatce. Nie wolno mu opuszczać wyspy. Przez całą dobę będzie pod strażą Konsularnego Wydziału Operacyjnego. Pożyczymy trochę pieniędzy z Fundacji Wolność, żeby sfinansować tę operację.

- Ale nie dajmy się odwieść formalnościom od głównego wątku - powiedział prezydent uśmiechając się półgębkiem. - Rzecz w tym, że wszystko wróciło do normy.

- I program Moebiusa znów jest na chodzie - dodał Janson.

- Dzięki panu - powiedział Berquist. Mrugnął porozumiewawczo.

- Ale teraz program jest ulepszony - dodał Albright. - Ze względu na to, czego się nauczyliśmy.

- Więc pojmuje pan, na czym stoimy - powiedział sekretarz stanu.

Janson rozejrzał się wokół, żeby zobaczyć to, co widzi prezydent: zadowolone twarze wyższych urzędników, wyższych funkcjonariuszy państwa, analityków, ludzi, którzy tworzą prawdziwy Waszyngton. Pozostałości programu Moebiusa. Najlepsi i najbystrzejsi. Tacy byli zawsze, od dzieciństwa. Gdy dostawali najlepsze oceny i najlepiej zaliczali testy; przez całe życie ich zwierzchnicy nie szczędzili im pochwał. Uważali się za pępek świata. Wierzyli, że wszystko można przewidzieć, opracować warianty; że nieokreśloność może zostać określona przy niewielkim dającym się ująć w liczby ryzyku. .

I nie nauczyli się niczego, mimo że ich szeregi zostały zdziesiątkowane przez nie dające się przewidzieć wybryki natury ludzkiej.

- To moja gra i ja określam zasady - powiedział Janson. - Proszę państwa, program Moebiusa został zamknięty.

- Na czyj rozkaz? - ironicznie parsknął Berquist.

- Na pański.

- Co w ciebie wstąpiło, Paul - powiedział, czerwieniejąc na twarzy. - Gadasz bez sensu.

- Ależ w tym jest mnóstwo sensu - Janson popatrzył mu w oczy. - Zna pan to waszyngtońskie powiedzenie: nie ma stałych sojuszników, są stałe interesy. Ten program nie był pańskiego pomysłu. Odziedziczył go pan od poprzednika, który odziedziczył go od swojego, i tak dalej...

- Ależ to dotyczy mnóstwa rzeczy, poczynając od naszego programu obronnego na polityce monetarnej kończąc.

- Jasne. Trzeba by dożywotnio pełnić urząd, żeby porządnie nad tym popracować, a prezydenci przychodzą i odchodzą.

- Trzeba patrzeć na te sprawy z perspektywy długoterminowej - Berquist wzruszył ramionami.

- Pytanie do pana, panie prezydencie. Właśnie pan otrzymał i przyjął niezgodną z prawem wpłatę w wysokości półtora miliarda dolarów. - Janson wyobraził sobie, jak Grigorij Berman śmieje się od ucha do ucha. Tego rodzaju psoty sprawiały mu ogromną przyjemność. - Jak pan to wyjaśni Kongresowi i amerykańskiemu narodowi?

- O czym ty, u diabła, mówisz?

- Mówię o wielkim skandalu, dziesięć razy większym od afery Watergate. Mówię o tym, jak pańska kariera polityczna wali się w gruzy. Niech pan zadzwoni do swojego bankiera. Sumka z siedmioma zerami została przesłana elektronicznie z należącej do Petera Novaka grupy banków International Netherland. Sygnatury cyfrowe można sfałszować - choć nie jest to takie proste. Więc będzie to wyglądało tak, jakby zagraniczny plutokrata umieścił pana na swojej liście płac. Jakiś podejrzliwy członek opozycyjnej partii mógłby zacząć się nad tym zastanawiać. Może to ma coś wspólnego z ustawą o tajemnicy bankowej, którą pan dopiero co podpisał? Może to ma coś wspólnego z mnóstwem innych rzeczy? Wystarczy, żeby samodzielny prokurator miał co robić przez wiele lat. Byłby to tytuł na cztery, pięć szpalt w „Washington Post”: „Czy prezydent jest na liście płac plutokraty? Śledztwo wkrótce”. I tak dalej. Waszyngtońskie brukowce wymyśliłyby coś prymitywnego, w rodzaju „Prezydent do wynajęcia”. Pan wie jak media nakręcają szaleństwo – byłby taki zgiełk, że nie mógłby pan usłyszeć własnych myśli.

- To bzdura! - wybuchnął prezydent.

- A my wszyscy z chęcią popatrzymy, jak się pan będzie tłumaczył przed Kongresem. Szczegóły nadejdą jutro pocztą elektroniczną do Departamentu Sprawiedliwości. Trafia też do skrzynek ważniejszych członków Izby Reprezentantów i Senatu.

- Ale Peter Novak...

- Novak? Nie tym bym się przejmował, gdybym był na pańskim miejscu. Nie sądzę, żeby któremuś z was udało się wyjść z tego z nienad szarpniętą reputacją.

- To jakieś żarty - powiedział prezydent.

- Niech pan zadzwoni do swojego bankiera - powtórzył Janson.

Prezydent wpatrywał się uważnie w agenta. Najwyższy urząd w kraju zawdzięczał swoim osobistym i politycznym instynktom. Teraz podpowiadały mu, że Janson nie blefuje.

- Popelniasz koszmarny błąd - powiedział w końcu.

- Mogę to zatrzymać - odparł Janson. - Nie jest jeszcze za późno.

- Dziękuję.

- Ale wkrótce będzie. Dlatego teraz musi pan podjąć decyzję co do Moebiusa.

- Ale...

- Niech pan zadzwoni do swojego bankiera.

Prezydent wyszedł z pokoju. Minęło kilka minut, zanim wrócił.

- Uważam, że jest to poniżej wszelkiej przyzwoitości. - Twarde, skandynawskie rysy prezydenta wyrażały wściekłość. - I poniżej twojej godności! Mój Boże, służyłeś krajowi z niewiarygodnym oddaniem.

- I za moje trudy odwdzięczono mi się rozkazem „na straty”.

- Przecież już o tym rozmawialiśmy - Berquist popatrzył na Jansona. - To, co proponujesz, jest zwykłym szantażem.

- Nie dajmy się odwieść formalnościom od głównego wątku - odparł bezbarwnym tonem Janson.

Prezydent wstał. Twarz miał napiętą, mrugał oczami. Bez słowa usiadł z powrotem. Zdarzało mu się już przekonywać do swoich racji krnąbrnych przeciwników. Atakował opornych i niezadowolonych swoim urokiem osobistym i wygrywał ich dla swojej sprawy. Może i tym razem się uda.

- Poświęciłem życie służbie publicznej - zwrócił się do Jansona. Jego ciepły baryton nabrzmiewał od szczerości. - Dobro tego kraju to moje życie. Chcę, żebyś to zrozumiał. W tym pokoju nie podejmowano ani bezmyślnych, ani cynicznych decyzji. Kiedy mnie zaprzysiężono, wypowiedziałem słowa, że będę naród „wspierał i bronił go” - tę samą przysięgę składał dwadzieścia lat temu mój ojciec. To zobowiązanie przyjąłem z największą powagą...

Janson ziewnął.

- Derek - powiedział prezydent, zwracając się do dyrektora Konsularnego Wydziału Operacyjnego, jedyne go człowieka przy stole, który do tej pory jeszcze nic nie powiedział. - Przemów do swojego człowieka. Niech zrozumie.

Derek Collins zdjął grube, czarne okulary i rozmasował zaczerwienioną bruzdę, która odcisnęła się na nosie. Wyglądał jak człowiek, który zaraz ma zrobić coś, czego później będzie żałował.

- Usiłowałem ci to wielokrotnie powiedzieć... nie znasz tego człowieka.

- Derek? - żądanie prezydenta było jasne.

- „Wspierać i bronić” - powiedział Collins. - Mocne słowa. Duży ciężar. Piękny ideał, który czasem wymaga czynienia rzeczy obrzydliwych. - Popatrzył na Jansona. - W tym pokoju nie ma świętych, pamiętaj o tym. Ale miejmy choć trochę szacunku dla podstawowej zasady demokracji. Jest w tym pokoju jedna osoba, która zachowała resztki zdrowego rozsądku i przyzwoitości. To kawał twardziela i sukinsyna, ale jest prawdziwym patriotą i - czy się z nim zgadzacie, czy nie - to jest jego dzień...

- Dziękuję, Derek - prezydent Berquist był poważny, ale zadowolony.

- Mówię o Paulu Jansonie - dokończył podsekretarz stanu, patrząc na człowieka siedzącego w końcu stołu. - I jeśli pan nie zrobi tego, co on mówi, panie prezydencie, to okaże się pan większym durniem niż pański ojciec.

- Panie podsekretarzu Collins - warknął prezydent. - Będę szczęśliwy, mogąc otrzymać pańską rezygnację.

- Panie prezydencie - odparł Collins spokojnym głosem - a ja byłbym szczęśliwy, mogąc otrzymać pańską.

Berquist zamarł.

- Do cholery, Janson. Widzisz, co narobiłeś?

Janson wpatrywał się w dyrektora.

- Interesująca piosenka jak na jastrzębia - powiedział, uśmiechając się półgębkiem.

Zwrócił się do prezydenta.

- Wie pan, co mówią: patrz, skąd bije źródło. Rada, którą pan otrzymał, mówi więcej o interesach pańskich doradców niż o pańskich własnych interesach. Powinien pan, doprawdy, bardziej dbać o hierarchię interesów. Pana też to dotyczy, panie sekretarzu. - Spojrzał na niezbyt pewnie wyglądającego teraz sekretarza stanu i wrócił do Berquista. - Jak mówiłem, dla większości ludzi w tym pokoju jest pan kimś przejściowym. Byli tu, zanim pań nastąpił, będą, jak pan odejdzie. Pańskie osobiste interesy nic dla nich nie znaczą. Oni chcą, żeby pan widział sprawę w „dłuższej perspektywie”.

Berquist milczał przez chwilę. W głębi duszy był pragmatykiem. Zwykł dokonywać zimnych, realistycznych kalkulacji, od których zależał jego byt polityczny. Wobec tej arytmetyki wszystko inne było na drugim planie. Czoło świeciło mu od potu.

Zdobył się na wymuszony uśmiech

- Paul - powiedział. - Obawiam się, że to zebranie od początku się nie klei. Naprawdę chciałbym cię wysłuchać.

- Panie prezydencie - zaprotestował Douglas Albright. - To jest ze wszech miar niedopuszczalne. Omawialiśmy to wielokrotnie i...

- Dobrze już, dobrze. Dlaczego mi nie powiesz, jak unieważnić to, co Paul Janson przeszedł i uczynił. Nie słyszałem, żeby ktokolwiek tutaj chciał w ogóle zająć się tą właśnie sprawą.

- Ależ to jest nieporównywalne! - zawrzał Albright. - Mówimy o długoterminowych interesach geopolitycznych naszego kraju, a nie o największych nawet osiągnięciach administracji drugiego z kolei Berquista na urządzie prezydenta! Nie ma porównania! Moebius przeraża nas wszystkich. Jest tylko jedna słuszna decyzja.

- A co z tym, hm, nadciągającym skandalem politycznym?

- Niech pan to przełknie, panie prezydencie - powiedział Albright. - Przepraszam, sir. Ma pan szansę, żeby to zatuszować. Wy, politycy specjalizujecie się w tym, prawda? Obniżyć podatki, rozpocząć kampanię w obronie moralności, przeciwko Hollywood, i na wojnę do Kolumbii - zrobić coś, o czym będą mówili ludzie od badania opinii publicznej. Amerykanie mają pamięć godną komara. Ale, proszę wybaczyć bezpośredniość, nie może pan poświęcić tego programu na ołtarzu ambicji politycznych.

- Dough, zawsze z zainteresowaniem słucham, co według ciebie wolno mi zrobić, a czego nie - powiedział Berquist pochylając się do przodu. - Ale myślę, że dziś powiedziałeś już dosyć.

- Proszę, panie prezydencie.

- Dough, zamknij się - powiedział Berquist. - Tu się myśli.

- Mówię o perspektywie przekształcenia polityki globalnej - głos Albrighta podniósł się do urażonego pisku. - A pan wciąż o swoich szansach na reelekcję.

- Słusznie to ująłeś. Jakoś podoba mi się ta myśl, dopóki jestem prezydentem. - Zwrócił się do Jansona. - To twoja gra i ty określasz zasady. Jakoś to przeżyję.

- Doskonały wybór, panie prezydencie - powiedział Janson neutralnym głosem.

Berquist uśmiechnął się do niego w sposób wyrażający zarówno rozkaz, jak i usilną prośbę.

- A teraz oddaj mi tę cholerną prezydenturę.

„THE NEW YORK TIMES”

PETER NOVAK REZYGNUJE Z KIEROWANIA FUNDACJĄ WOLNOŚĆ

Miliarder-filantrop przekazuje fundację w ręce

zarządu międzynarodowego

Mathieu Zinsou nowym dyrektorem

Jason Steinhardt

Amsterdam. Podczas konferencji prasowej w amsterdamskiej siedzibie Fundacji Wolność legendarny finansista i społecznik Peter Novak ogłosił, że ma zamiar zrezygnować z kierowania fundacją, światową organizacją, którą stworzył i prowadził ponad piętnaście lat. Organizacja nie powinna mieć problemów z samofinansowaniem: ogłosił również, że przekazuje jej wszystkie swoje aktywa kapitałowe, które zostaną przekształcone w trust publiczny. W skład międzynarodowego zarządu wejdą wybitni

obywatele z całego świata. Na ich czele stanie sekretarz generalny ONZ Mathieu Zinsou. „Wykonałem swoją pracę”, powiedział Peter Novak. „Fundacja Wolność jest większa niż jeden człowiek. Mam zamiar przekazać kontrolę nad organizacją ciała publicznemu, którego członkowie będą mieli szeroki zakres kompetencji. Wraz z wejściem fundacji w nową fazę, jej działania muszą być przejrzyste dla całego świata”.

Reakcje były w głównej mierze pozytywne. Niektórzy obserwatorzy wyraził zdziwienie, ale inni stwierdzili, że od dawna oczekiwali tego kroku. Źródła z kręgów bliskich Novakowi dowodzą, że niedawna śmierć żony przyczyniła się do podjęcia decyzji o odejściu z fundacji. Inne źródła podają, że niechęć do publicznych wystąpień, charakterystyczna dla Novaka, coraz bardziej kolidowała z eksponowaną pozycją, jakiej wymagała jego praca w fundacji. Novak tylko ogólnikowo wspomniął o swoich planach na przyszłość, ale niektórzy jego współpracownicy twierdzą, że ma on zamiar całkowicie usunąć się z widoku publicznego. „Panowie, nie będziecie już mogli poniewierać Novaka”, z radosną ironią powiedział dziennikarzom jeden z jego zastępców. Ale ten tajemniczy plutokrata od dawna słynął z daru zaskakiwania opinii publicznej i ci, którzy go znają najlepiej, są zdania, że myliłby się ten, kto całkowicie by wykluczał jego wpływy.

„On wróci”, powiedział Jan Kubelik, minister spraw zagranicznych Czech, który przybył do miasta na szczyt G-7. „Możecie na to liczyć. To nie koniec”.

Epilog

Gibka kobieta o nastroszonych kasztanowych włosach leżała na brzuchu. Nie ruszała się. Z przodu i z tyłu otaczały ją worki z piaskiem. Przy niej leżał długi karabin. Cień rzucany przez dzwonnice sprawiał, że była niewidoczna nawet z bliska. Gdy odsunęła klapkę z lunety, krajobraz Dubrownika wydał się dziwnie spłaszczony, pokryte czerwonymi dachówkami dachy leżały rozrzucone przed nią jak kolorowe skorupy starego fajansu. Pod kościelną dzwonnice, gdzie od kilku godzin trwała na posterunku, rozciągało się morze twarzy ciągnące się na kilkaset metrów od drewnianej platformy wzniesionej w centrum starego miasta.

To byli wierni. Nie uszło niczyjej uwagi, że papież postanowił rozpocząć wizytę w Chorwacji od kazania w mieście, które stało się symbolem cierpienia narodu. Chociaż od czasów, gdy armia jugosłowiańska obiegała to adriatyckie miasto portowe, minęło dziesięć lat, pamięć tamtych wydarzeń pozostała żywa w umysłach mieszkańców.

Wielu z nich nosiło laminowane znaczki z podobizną swojego ukochanego papieża. On nie tylko mówił prawdę możliwym tego świata; on emanował czymś niezwykłym - charyzmą i współczuciem. To było dla niego typowe; że nie potępiał przemocy i terroryzmu z bezpiecznego zacisza Watykanu, ale niósł przesłanie pokoju w samo serce ziem ogarniętych ogniem walki. Już rozniosła się wieść, że papież ma zamiar odnieść się do historii, o której większość Chorwatów chciałaby zapomnieć. W zastarzałym sporze między katolikami a prawosławnymi po obu stronach znalazłoby się wiele powodów do skruchy. Zdaniem papieża nadszedł czas, żeby zarówno Watykan, jak i Chorwacja stanęły twarzą w twarz z brutalną, faszystowską spuścizną pozostawioną przez ustaszowskie rządy podczas II wojny światowej.

- Chociaż kierownictwo państwowe Chorwacji i większość jej obywateli musiały zareagować na to z niepokojem, jego odwaga moralna wzmogła tylko żarliwość tłumów wiernych. Zaowocowała również - podejrzenia Jansona zostały ostatnio potwierdzone przez jego współpracowników z Zagrzebia - starannie zorganizowanym spiskiem mającym na celu zamach na papieża. Rozgoryczeni serbscy separatyści z mniejszości zamieszkującej Chorwację chcieli pomścić swe historyczne krzywdy, zabijając człowieka, którego katolicka chorwacka większość wielbiła ponad wszystko. W cichym porozumieniu z nimi działała siatka chorwackich skrajnych nacjonalistów: obawiali się reformatorskich skłonności papieża i szukali okazji, żeby wytepić zdradzieckie mniejszości, które zakorzeniły się w narodzie. Po tak monsturalnej prowokacji - a nie mogło być większej niż zabicie uwielbianego papieża - nikt nie stanąłby im na drodze. Każdy obywatel ochoczo przystąpiłby do krwawej sprawy etnicznego czyszczenia Chorwacji.

Jak to ekstremiści, oczywiście nie potrafili zrozumieć konsekwencji swoich działań wykraczających poza natychmiastową realizację własnych celów. Morderczy akt serbskich nacjonalistów spotkałby się z tysiąckrotną odpłatą w krwi ich rodaków. Ale te masakry zmusiłby serbski rząd do siłowej interwencji: Dubrownik i inne miasta znów byłyby bombardowane przez armię serbską, co zmusiłoby Chorwację do wypowiedzenia wojny Serbii. W tym najmniej stabilnym zakątku Europy znów rozszalałby się wielki pożar, dzieląc sąsiednie państwa na sojuszników i przeciwników, a nikt nie byłby w stanie przewidzieć rezultatów. Konflikt globalny wywołany został kiedyś przez jednego zamachowca w Sarajewie; historia lubi się powtarzać.

Wiał łagodny wietrzyk. Niewyróżniający się niczym mężczyzna o siwych, krótko przystrzyżonych włosach - nikt nie popatrzyłby na niego po raz drugi - spacerował ulicą Bożydara Filipovica.

- Cztery stopnie od środka - powiedział cicho. - Dom mieszkalny w środkowej części ulicy. Górne piętro. Masz obraz?

Kobieta lekko poprawiła pozycję i nastawiła karabin. Strzelec leżący w zasadzce wypełnił obraz w snajperskiej lunecie. Lekko zamazana postać była znajoma: Milic Pavlovic. Nie był to jeden z serbskich fanatyków z Dubrownika, ale wytrawny, doskonale wyszkolony zamachowiec, który zaskarbił sobie ich szacunek.

Terrorysty wysłali najlepszego.

Ale tak samo postąpił Watykan, który chciał, żeby zabójcę wyeliminowano bez rozgłosu.

Ochrona osób prywatnych była tylko oficjalnie źródłem dochodu Jansona i Kincaid. Jak zauważyła Jessie, milion dolarów, który spoczywał na koncie Jansona na Kajmanach należał do niego - bo jeśli nie on go zarobił, to kto? Ale, jak stwierdził Janson, są za młodzi, żeby iść w odstawkę. Już próbował - próbował uciec przed sobą. To nie było rozwiązanie. Ani dla niego, ani dla niej. To hipokryzja - a to przecież sam zarzucał planistom - przeciwko której wszystko się w nim burzyło. Oboje nie byli stworzeni do spokojnego życia.

- No, to zarobiłem na swoją wysepkę na Morzu Karaibskim - powiedział Janson. - Szybko mi to minęło.

Pokaźna rezerwa gotówki miała tylko jedno znaczenie: oboje mogli dobierać sobie klientelę i nie musieli oszczędzać na wydatkach służbowych.

Kincaid odpowiedziała, nie podnosząc głosu. Wiedziała, że mikrofon przeniesie jej słowa wprost do słuchawki Jansona.

- Ma cholerną kamizelkę kuloodporną. -Wyprostowała się pod warstwami drucianej siatki, która chroniła przed pociskami. Było jej w tym „ubrani” gorąco i niewygodnie, zawsze protestowała, gdy nalegał, żeby je włożyła. - Powiedz prawdę, wyglądam w tym grubo?

- Myślisz, że ci odpowiem, kiedy jesteś uzbrojona?

Znalazła punkt, gdy zamachowiec, mężczyzna o wyrazistej twarzy, rozkładał dwunożną podpórkę i wkładał magazynek do długiego karabinu. Papierz pojawił się za kilka minut. Znów usłyszała głos Jansona.

- Wszystko w porządku?

- Jak w zegarku - odpowiedziała.

- Tylko bądź ostrożna, dobrze? Pamiętaj o pomocniczym snajperze w magazynie, w punkcie B. Jeśli zauważy twoją obecność, ma cię w zasięgu strzału.

- Panuję nad tym - powiedziała ze spokojem perfekcyjnie ustawionego strzelca.

- Wiem - odparł. - Po prostu mówię, żebyś uważała.

- Nie martw się, kochanie - odparła. - To bułka z masłem.